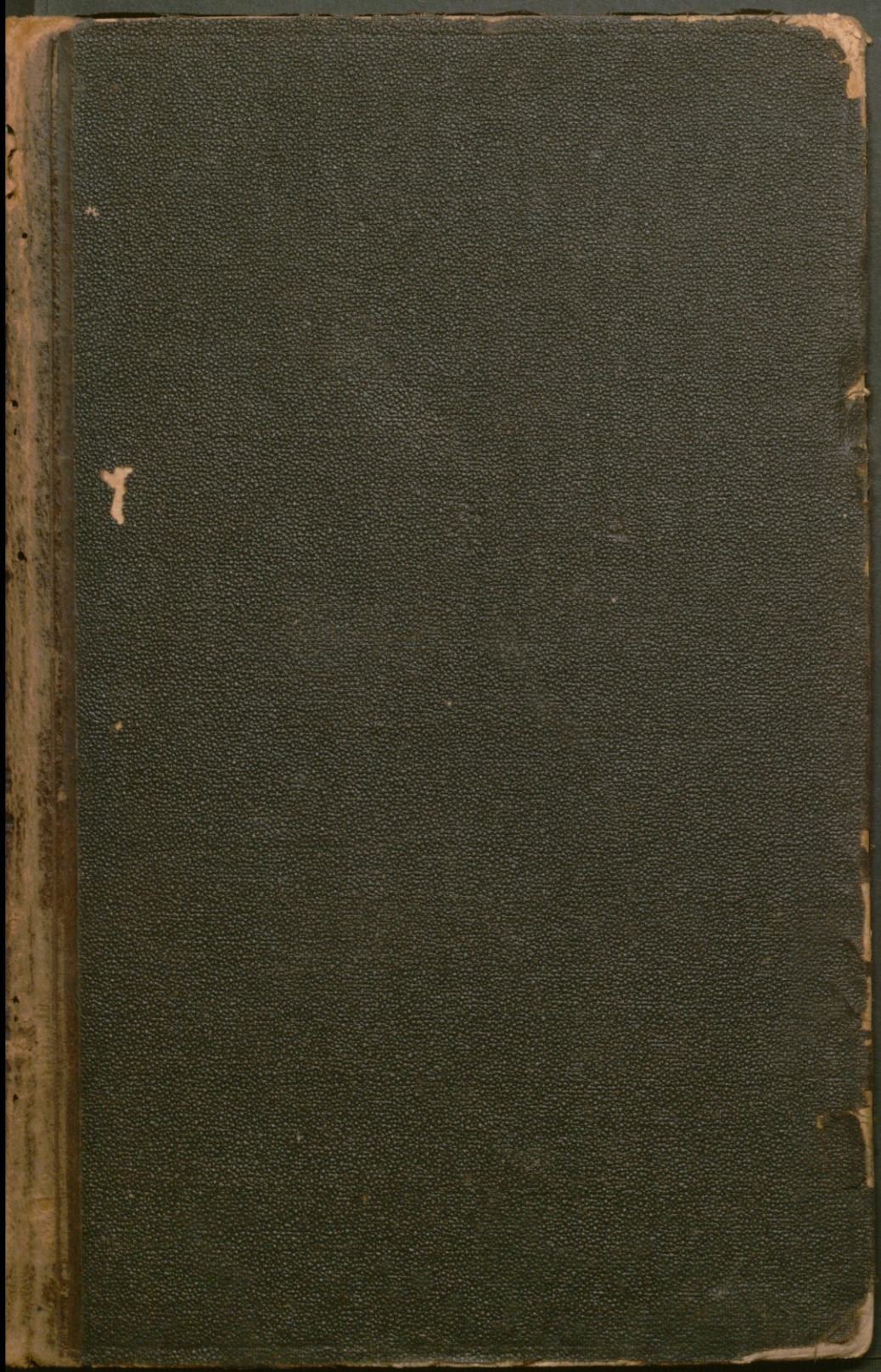


Part Code ST1316

R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

DANES-PICTA.COM

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

KLEMENS KANTECKI.

SZKICE I OPOWIADANIA.

Kłopoty dyrektora teatru.
Generał artyleryi kor. Przygody szpiega.
Samozwanka, proces kryminalny z XVII w. Pan podskarbi.
Za króla Sasa. Karol XII w Polsce i w Turcyi.
Panicz i dziewczyna.
Poniatowscy. Biskup Krasiński w r. 1787.
Początek Zakładu nar. im. Ossolińskich. Z archiwum Mniszchów.
Delegacya galicyjska w Wiedniu przed 93 laty.
Z autografów Zakł. nar. im. Ossolińskich.
Pieśni i ballady Goethego.
Król bez tronu.

W POZNANIU.
DRUKIEM I NAKŁADEM JAROSŁAWA LEITGEBRA.
1883.

884-4(93)

Biblioteka Wojskowa im. K. Rozwadowskiego
47423/2

Nie myślę niniejszego zbiorku zalecać, ani tłómaczyć — niechaj się przed czytelnikiem sam zaleca i tłómaczy; powiem tylko, że uważałem za rzecz stosowną artykuły, rozproszone w różnych dziennikach i pismach czasowych, głównie zaś w Gazecie lwowskiéj i Przewodniku naukowo-literackim, wydobyć z pod piasku zapomnienia, i zebrane razem, podać do rąk szerszéj publiczności. Jakoż spełniłem plan o tyle, że mieszczą się tutaj drobne moje prace, napisane w ciągu dziesięciolecia 1873—1883; gdy jednak szczupłe ramy tomu nie mogły objąć wszystkich rzeczy, przeznaczonych do ogłoszenia, wypadło znaczną ich część odłożyć do drugiéj seryi.

Najważniejszą i niemal jedyną pobudką, która mnie skłoniła do wydania tych pism, była nowość materyałów, z których po raz pierwszy daném mi było korzystać. Są one wszystkie oparte na nieznanych dotąd rękopiśmiennych źródłach, z wyją-

tkiem szkicu krytycznego, któremu starałem się wywalczyć prawo bytu w osobnym przypisku — i drugiego opowiadania pt. Samozwanka, któréj treść zawdzięczam dokumentom, ogłoszonym w Pamiętniku sandomirskim z r. 1829.

Jak czytelnik będzie mógł zauważyć, przeważna większość książki powstała z rękopiśmiennych zasobów Zakładu nar. Ossolińskich; tu jeszcze dodam, że nadto Kłopoty dyrektora teatru, Generał artyleryi koronnéj i Pan podskarbi opierają się na cennych autografach Zakładu.

Różnorodność materyałów i form, pod któremi przyszło je zużytkowywać, utrudniła mi wyszukanie odpowiedniego tytułu, któryby zawarł w sobie wszystkie rodzaje pism tego zbioru; nie chcąc się narazić na niewłaściwą rozwlekłość, musiałem przyjąć napis, obejmujący tylko część prac, tutaj pomieszczonych.

W Poznaniu 14 kwietnia 1883.

Kłopoty dyrektora teatru.

I.

Nie wesołe są dzieje polskiego teatru. Już sztuka dramatyczna w obcych krajach kwitła, już mogła się pochlubić pierwszorzędnemi arcydziełami, gdy u nas jeszcze spoczywała w kolebce, nie rokując nawet słabéj nadziei pomyślnego rozwoju. Przez długie wieki ową niepozorną poczwarką, z któréj się miał wyłonić świetny motyl scenicznego kunsztu, były skromne dyalogi religijne i komiczno-obyczajowe, rozpowszechnione jedynie w niższych warstwach społeczeństwa lub kołach uczącéj się młodzieży, używane przez zwierzchność szkólną — w celach budujących i pedagogicznych.

Na dworach królów i magnatów, którzy mogli stać się mecenasami sztuki, widujemy od czasu do czasu imponujące zewnętrznym blaskiem igrzyska i widowiska maskaradowe, figury alegoryczne w szatach, olśniewających okazałością i przepychem.

W ciągu XVII. wieku, szczególniéj na dworze Maryi Ludwiki, dawano już prawdziwe teatralne przedstawienia, ograniczające się jednak przeważnie do komedyi włoskiéj, opery i baletu. — Dla teatru polskiego okazywali zupełną obojętność i królowie i społeczeństwo szlacheckie; o szlachcie powiedziano, że absorbowana życiem publicznem, będąc widzem i aktorem scen naprzemian wesołych lub wysoce dramatycznych, na gwarnych i burzliwych zjazdach i sejmach, nie łaknęła innych wrażeń a może z politowaniem patrzała na ludzi, przedrzeźniających jéj zdaniem w blady sposób bujną i barwną rzeczywistość.

Zasiadający na tronie polskim obydwaj Sasi, dbali wyłącznie o teatr cudzoziemski. August II. niepomiarkowany wielbiciel opery i baletu, przeznaczył nawet 100 tysięcy talarów na sprowadzenie z zagranicy śpiewaczek i baletniczek. Podczas gnuśnych rządów ociężałego jego syna brzmiały również w Warszawie obce opery i kantaty a królował skoczny balet. Zaprowadzenie właściwego teatru polskiego zawdzięczamy dopiero zasłużonemu opiekunowi sztuk i nauk, Stanisławowi Augustowi. Za danym z góry przykładem, zaczęła się publiczność garnąć do ojczystéj sceny i coraz bardziéj w niéj smakować, lecz niebawem operetka włoska, czyli wedle współczesnego wyrażenia „krotofilne lazy zabawnego buffo caricato“ tak dalece odwróciły uwagę ogółu od polskich przedstawień, że przedsiębiorca rozpuścił polskich aktorów.

W następnych latach zgubnie na scenę polską oddziałał przywilej monopolu. Od księcia Augusta Sułkowskiego nabył go kamerdyner królewski Ryx, i uczynił dla siebie dojną krową. Rozpierały się znowu na deskach wszechwładnie opera włoska i balet, a magnaci, zamiast wspierać sztukę narodową, rujnowali się, szafując ogromne sumy na te zbytkowne reprezentacye. Książę Marcin Lubomirski wystawił własnym kosztem słynne w swoim czasie widowisko baletnicze pod tytułem Sąd Parysa, dla którego same sprowadzone z Paryża kostyumy kosztowały z górą 50 tysięcy złotych.

Że wobec tak zdrożnych, lecz olśniewających wybryków pańskiéj fantazyi gasł polski dramat — to rzecz prosta. Przedsiębiorcy teatru oświadczyli Stanisławowi Augustowi, że nie chcąc dalszych strat ponosić, muszą zaprzestać polskich przedstawień. Hojny król postanowił z własnéj szkatuły łożyć na utrzymanie narodowego teatru, którego byt zdawał się już przez to samo zapewnionym, gdy zepsuła wszystko oburzająca niesumienność zarządzców sceny, którzy gospodarzyli tak marnotrawnie, że w jednym roku (1777) musiał król dołożyć 200 tysięcy złotych. Zniechęcony tém monarcha, odmówił dalszéj pomocy, drużyna artystyczna znów poszła w rozsypkę — rozpoczęła się nowa era biedy teatralnéj, któréj nie zdołały odtąd usunąć przelotne uśmiechy fortuny.

Zaledwie po niejakim czasie rozpoczęło towarzystwo przedstawienia w pałacu księcia Karola Radziwiłła Panie Kochanku, aliści nadeszła do stolicy wiadomość, że magnat ten od upadku konfederacyi barskiéj przebywający na tułactwie, nie tylko do ojczyzny powraca, lecz nawet zamieszka w swym warszawskim pałacu; cała więc trupa musiała w ciągu dwóch dni ustąpić z gmachu, w którym niezwłocznie podjęte naprawy zatarły wszelki ślad scenicznych urządzeń.

W r. 1779 stanął nareszcie osobny budynek teatralny, lecz tak szczupły i niewygodny, że brakło w nim miejsca na dekoracye, a nawet aktorowie musieli się ubierać w przyległéj kamienicy. Bądź co bądź, był to już postęp nie mały, że muza teatru zamiast chodzić komorném, miała własny przybytek, z którego nikt jéj nie mógł wypłoszyć. Zdawało się, że odtąd rozpoczną się szczęśliwsze dla niéj dni, lecz nadzieje te spełzły na niczém wskutek nagłéj i niewytłómaczonéj dezercyi najlepszych sił artystycznych, Owsińskiego i Truskolaskich, którzy ujechali niespodzianie do Lwowa. Powstał wtedy wielki popłoch i zamęt, a niebawem i upadek przedsiębiorstwa.

Następują teraz smutne, tułacze koleje prześladowanego przez los towarzystwa, ciągłe niemal zawody i rozczarowania. Dość wspomnieć dla przykładu, że trupa warszawska wezwana (w r. 1785) przez podskarbiego księcia Stanisława Poniatowskiego do Grodna, dąży tam ochoczo, i stanąwszy na miejscu w połowie lutego, wśród trzaskających mrozów, dowiaduje się, że synowiec królewski zmienił już zamiary, i potrzebując ujeżdżalni, kazał rozrzucić wystawiony w niéj teatr...

W porze naszego opowiadania był już dyrektorem teatru zasłużony pisarz i dramaturg, który pojmował szlachetnie swe piękne zadanie, a wedle trafnego orzeczenia późniejszego poety:

Krzywdzące myśl ojczystą mniemanie umorzył.
Pisał, grał i grających na czas późny stworzył.

Któż z wykształconych czytelników nie odgadnie, że słowa te odnoszą się do niestrudzonego Wojciecha Bogusławskiego, do téj sympatycznéj postaci, co z wiernym sobie zastępem przebiegając kraj cały, wszędzie roznosiła ojczyste słowo, wszędzie zaszczepiała dobry smak

i wznioślejsze uczucia, a około rozbudzenia miłości dla wszystkiego, co swojskie i piękne, z pewnością większe położyła zasługi, niż niejeden rozgłośny koryfeusz literatury.

Imię też jego popularniejsze w narodzie od wielu innych, bo zapisane w sercu i pamięci tłumów, które w pobożnym nastroju słuchały słów, padających ze sceny, bo ta scena nie była wówczas pospolitym środkiem rozrywki, przerywającym nudę potocznego życia, lecz była potrzebą, stanowiła silny czynnik cywilizacyjny.

To też z nieustającym zapałem, z godną podziwu obojętnością na zawody i niedostatek, krząta się Bogusławski po różnych stronach Polski, występuje naprzemian w Wilnie, Poznaniu, Lwowie, Krakowie, Grodnie, Białymstoku, Gdańsku.

Zajmująca ta Odyseja, opisana częściowo w pamiętnikach Bogusławskiego, stanie się kiedyś niewątpliwie przedmiotem wyczerpującéj monografii; my z niéj obecnie, korzystając głównie z nieogłoszonych listów, podajemy krótki epizod.

II.

Rozpoczynamy rzecz naszę od roku 1794, to jest od chwili, gdy nieszczęśliwy obrót Kościuszkowskiego powstania wypędza Bogusławskiego z Warszawy. Przedzierzgnięty zbiegiem okoliczności na dyrektora teatru szlachcic wielkopolski, był wówczas w sile wieku, bo liczył zaledwie lat czterdzieści pięć, a stał u szczytu dobrze zarobionéj sławy. Nie dawno (1 marca) wystawił był swój najlepszy, z uniesieniem przez publiczność przyjęty utwór, pod tyt. *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale*, a lubo operetka ta po trzech przedstawieniach z powodu zawartych w niéj aluzyi została zakazaną, popularność autora wzrosła nadzwyczajnie, a sztuka niesłychanym u nas wypadkiem miała się później doczekać stu kilkudziesięciu reprezentacyi.

W takim to czasie szczęk oręża, bliskie oblężenie Warszawy, wypłasza z niéj dyrektora i aktorów. Jak ptaki przed burzą, tak ta artystyczna rzesza uchodzi

w bezpieczniejsze strony, by w nich sztuce budować ołtarze. Prócz podstarzałych już i ciężkich do włóczęgi maroderów, jak Karol Swieżawski, wyborny w rolach kontuszowych, i znakomity Jakób Hempiński, zostały w stolicy tylko: wstrzymana domowemi stósunkami Petronela Drozdowska, niezrównana w rolach komicznych matek, i Salomea Desznerówna, powabna, pełna wdzięku córka nadwornego tapicera hetmana Branickiego, odkryta przez zalotnego króla podczas jednéj z wizyt u siostry w Białymstoku, zabrana przezeń do stolicy i umieszczona (w r. 1777) w teatrze pod zarządem Ryxa.

Którą miejscowość wybrać na stałą siedzibę po wyjeździe ze stolicy?

Nad tém nie było czasu zastanawiać się wśród ogólnego popłochu. Ucieczka nie odbyła się wspólnie; swoim dworem jechał naczelnik trupy, swoim podwładni — wszyscy jednak spieszyli do jedynego podówczas spokojnego zakątka, to jest do Galicyi. Peregrynacya powiodła się szczęśliwie, choć nie brakło groźnych przygód, za co nie zaniedbuje Bogusławski wielbić „dobroczynnéj“ Opatrzności. Doszły cało na miejsce przeznaczenia garderoba i wszelkie teatralne ruchomości, „w owym okropnym dniu powszechnéj w Warszawie trwogi“ powierzone furmanom z Krakowa.

Nieco późniéj wybrał się sam dyrektor z całą biblioteką. Ale zaledwie ujechał dziesięć mil, napadło go kilkunastu ludzi zbrojnych, którzy zasłaniając się otrzymanym jakoby od komendy rozkazem chwytania szpiegów, zagrozili mu odprowadzeniem do obozu, istotnie zaś przedsięwzięli obłowić się chudobą biednego wędrowca. Jakoż już wyprzęgli od wozów i zabrali konie, wypróżnili tłumok podróżny i przygotowali siekierę do odbijania kufrów.

Struchlały dyrektor nie może się jednak zrzec wesołéj, teatralnéj reminiscencyi, mówiąc, że „w innéj chwili ta scena byłaby podobnie zabawną, jak jest zabawném podziwienie burmistrza w *Operze włoskiéj w podróży*, kiedy zamiast spodziewanych bogactw, znajduje w tłumoczku wędrujących artystów książki i nuty.“

Ale uśmiech zamierał mu na ustach na samą myśl, że może utracić zbieraną przez długie lata bibliotekę, tém cenniejszą, że, jak zapewnia, wówczas „w całym

kraju drugiéj w tym rodzaju nie było.“ Na szczęście nie przyszło do téj ostateczności. Wprawdzie wezwana ku pomocy władza miejscowa nie miała dość sił, ani odwagi, by uderzyć na łupieżców, lecz znaleźli się inni wybawcy. Posłyszawszy o stojącym w pobliżu Dąbrowskim, napisał doń Bogusławski, i wkrótce otrzymał odsiecz, która rozbroiwszy złoczyńców, napadniętego przeprowadziła aż za Pilicę.

W dalszéj pielgrzymce przedsięwzięty w samą porę odwrót ocalił artystyczny tabor od łupieztwa pruskich huzarów. P. Wojciech ani wątpi, że jego biblioteka byłaby żołdakom posłużyła do zapalania fajek.

— Coby się było stało — woła żartobliwie — z niewinną Eugenią, z czułą Aspazyą i romansową staroścíną Modnicką, gdyby wpadły były w ręce huzarów?

Czegoby nie doznały biedne Krakowiaki,
Co pod Szczekocinami dały się we znaki?

Uchodził tak daléj manowcami, dopóki się zupełnie nie ściemniło, noc zaś spędził na wierzchołku obrosłéj krzewami skały. Przeczekawszy trzy miesiące w rodzinném kole pod Jędrzejowem, puścił się zaopatrzony w pruski paszport tém spokojniéj w drogę do Lwowa, że granica galicyjska tylko o dziesięć mil od miejsca jego pobytu była oddalona. Zdumieli się jednak na pograniczu strażnicy, spostrzegłszy kilka wielkich bryk z dziwnym towarem. Blichtr i szych teatralnych przyborów czynił je w przekonaniu prostaczków skarbami bez ceny, arsenał zaś sceniczny stawiał im widmo spisku przed oczy. Zamknąwszy, oplombowawszy i opieczętowawszy kufry jak najstaranniéj, złożyli je w strażniczéj szopie, a na wszelkie przedstawienia odpowiadali, że zatrzymane rzeczy zwrócą dopiero po odebraniu zlecenia w téj mierze z Wiednia.

Nie mogąc zmiękczyć serc celników, wyruszył dyrektor w dalszą podróż, od czasu do czasu tylko zwracając „łzami zalane oczy na ową szopę“, gdzie spoczywało całe jego bogactwo.

Ciężki smutek opuścił go dopiero na widok Lwowa. Radością zadrżało mu serce, gdy ujrzał tu „nieledwie połowę Warszawy“, bo mnóstwo mieszkańców stolicy po klęsce narodowéj schroniło się do nadpełtwiańskiego grodu. Serdeczne i radosne było powitanie

wiernéj artystycznéj drużyny, gotowéj znów pod wodzą doświadczonego mistrza zdobywać względy łaknącéj widowisk publiczności.

Było to w styczniu roku 1795. Wyższe towarzystwo lwowskie, słodząc sobie „wspomnienia świeżo poniesionych strat“, zanurzało się w odmęcie zabaw i uciech. Powszechném było hasłem: bawić się do upadłego, aby o smutnych wypadkach zapomnieć. Przybywał więc Bogusławski w samę porę, do szeregu dotychczasowych rozrywek dodając nową, szlachetniejszą. Przyjmowano go z zapałem, z uniesieniem, „jakby powracającego z królestwa śmierci“, bo już zwątpiono o jego życiu. Rozpłakał się z rozrzewnienia, widząc, z jak nieudaną serdecznością garną się do niego ludzie z wszystkich warstw, bo mu to służyło za miłą wskazówkę, jak szybko stajał w społeczeństwie lód obojętności i pogardliwych uprzedzeń dla aktorskiego zawodu.

Nie skończyła się sympatya na gołosłownych objawach życzliwości; usunięto już owszém wszelkie przeszkody, załatwiono wszelkie formalności wprzód, zanim dyrektor mógł rozpocząć przedstawienia. Wywdzięczając się za doznaną pomoc i poparcie, chciał wystąpić świetnie, zarówno pod względem gry, jak wystawy, a tymczasem biblioteka i garderoba spoczywały dotąd w pogranicznéj szopie. Trzeba więc było, czyniąc zadość powszechnym życzeniom, odłożyć tymczasowo na bok chęć popisu; dla tego wystawił na prędce znaną już dobrze publiczności lwowskiéj operę p. t. „Fraskatanka“, a następnie inne opery i komedye.

W sześć tygodni późniéj odebrał wszystkie ruchomości teatralne. Ponieważ dla dopełnienia formalności potrzeba było poręczenia ze strony osiadłego w mieście obywatela, uczynił to z uprzedzającą grzecznością „jeden z niemieckich konsyliarzy“, choć wielu innych okazywało się gotowymi do spełnienia téj usługi. Widać ztąd, jak się Lwowianie prześcigali w uczynności dla swego ulubieńca — a nawet Niemcy nie dawali się w téj mierze uprzedzić Polakom.

Teraz już mógł wędrowny teatr rozwinąć cały blask i pompę. Szereg świetnych reprezentacyi rozpoczęła opera p. t. „Axur.“ Nie dziw, że te przedstawienia wzbudzały zachwyt w publiczności, bo siły wokalne teatru były podobno niepospolite. Obok utalentowa-

nych śpiewaczek, jak Jasińska, Rutkowska, Kossowska, celowali tenorzy: Kaczkowski, Nowicki, Rutkowski, basiści: Szczurowski, Każyński, Baranowski, Indyczewski.

Niemniéj dobrze obsadzony był dramat, a wśród składających go członków nie brakło sił pierwszorzędnych, choć niektóre dopiero późniéj zawitały do Lwowa. Wyliczenie i charakterystyka wszystkich wychodziłyby po za obręb naszego zadania; wspomnimy więc tylko o kilku, zasługujących na wzmiankę z różnych względów.

Kaźmirz Owsiński, równie podziwiany w rolach komicznych, jak tragicznych, byłby z pewnością ozdobą każdéj sceny. Jeśli Bogusławski zowie go „geniuszem“ i zapewnia, że tak samo zachwycał widza w „Hamlecie“, w „Inez de Castro“, „Iskaharze“, „Dziecięciu miłości“, „Grobach Werony“, jak w „Spazmach modnych“, „Indyanach w Anglii“ itd., to te niezwykłe pochwały moglibyśmy złożyć na karb przyjaźni i wygórowanéj miłości dla wszystkiego, co swojskie. Nie brak jednak świadectw, których już o szowinizm żadną miarą pomawiać nie można: recenzent preszburski i *Gaz. Wied.* stawiają Owsińskiego na równi z największymi mistrzami.

Głos jego dziwnie miły i dźwięczny, miał przenikać duszę do głębi i „wzbudzać nadzwyczajne jakieś omamienie.“ Znany jest powszechnie wypadek, jak szlachcic pewien widząc, że jego ulubieniec na scenie, podobno w „Bawerleju“, nie mogąc się uwolnić od wierzycieli, chciał sobie śmierć zadać — ofiarował się w najdramatyczniejszym momencie spłacić jego długi. Gdy w Iskaharze wymawiał imię królowéj: Dilaro! wszyscy widzowie jakby na komendę powtarzali: Dilaro! a nazajutrz jeszcze „we wszystkich ustach brzmiało imię Dilary...“

Działo się to w owych szczęśliwych dla sług Melpomeny czasach, gdy dzielny aktor wstrząsał nie tylko nerwami, lecz i sercami słuchaczy, gdy kobiety w tkliwszych scenach zalewały się rzęsistemi łzami, a i po marsowych twarzach na bujne wąsy stoczyła się niejedna perła współczucia i rozrzewnienia...

Owsiński nie tylko na scenie, lecz i w życiu był niezwykłym, oryginalnym człowiekiem. W gruncie uczciwy i szlachetny, lecz przytém fantastyczny, zmienny i kapryśny, nieraz przez kilka tygodni z rzędu co-

dzień chadzał do kościoła, zadziwiał skromnością, modlił się i jak najprzykładniéj pościł, aby następnie popuścić sobie cugli i zanurzyć się w odmęcie światowych uciech.

Podczas, gdy jego towarzysze po kilkoletnim pobycie we Lwowie puścili się w dalszą po świecie włóczęgę, on zakończył tu niespokojny żywot 13 maja 1799. I rzecz wielce charakterystyczna: kości jego złożono między grobami dwóch Arcybiskupów, podczas gdy dwadzieścia lat wprzód nie chciano na święconéj ziemi pochować aktorki Skurczyńskiéj, aż dopiero potrzeba było pośrednictwa i rozkazu samego Stanisława Augusta.

Zajmującym dla psychologa okazem była utalentowana śpiewaczka, która po krótkim pobycie w Krakowie zawitała do Lwowa, Magdalena z Lazańskich Jasińska. W ciągu krótkiego życia przechodziła bolesne a dramatyczne koleje. Córka zagonowego szlachcica, urodziła się krótko przed rokiem 1770, na Podlasiu. Ojciec dla braku środków oddał ją bardzo wcześnie do domu spokrewnionego z sobą przedsiębiorcy teatru Karola Radziwiłła Panie Kochanku w Nieświeżu. Tam zakochała się całą siłą młodego serca w przystojnym i utalentowanym aktorze, Jasińskim. Żądny coraz nowych wrażeń młodzieniec wywzajemniał się z razu świeżéj jak róża Magdusi, lecz wkrótce na inny przedmiot skierował swe zmienne zapały.

Nieszczęśliwa istota dowiedziawszy się o przeniewierstwie kochanka, dostała pomięszania zmysłów; wyzdrowiała jednak, mniéj może w skutek usilnych starań lekarzy, jak raczéj solennych zaręczeń rozczulonego jéj miłością zmiennika, że ją niechybnie zaślubi.

O przyszłym losie dziewczęcia rozstrzygnęło zjawienie się w Nieświeżu Bogusławskiego wraz z królem (r. 1784). Umieszczony w domu teatralnego entreprenera, mieszkał młody wówczas Bogusławski obok izdebki, „gdzie Magdalena, jak drugi Kopciuszek, gotując rano kawę, wyśpiewywała przy kominie różne ukraińskie dumki, które melancholiczną swą melodyą tak tkliwie stan udręczonéj duszy malują.“ Zwróciły uwagę znawcy „głos przyjemny a zarazem brzmiący (czytaj dźwięczny) i nadzwyczajna łatwość w powtarzaniu rulad z różnych śpiewów na teatrze słyszanych.“ Niemniéj pociągającą była powierzchność dziewczyny; żywa

a przytém łagodna, miała rysy piękne i ujmujące, oczy i włosy ciemne.

Bogusławski zachęcał przedsiębiorcę do zaangażowania Magdusi, ale ten, „jak baron w Kopciuszku, zostawił ją przy kominie.“ W r. 1785 ściągnięta przez swego odkrywcę do Warszawy, występowała z wielkiém powodzeniem. Jasiński nie bez uczucia rozbudzonéj nagle zazdrości spostrzegłszy w licznem gronie jéj wielbicieli niejednego rywala, przyspieszył odkładany wpierw ślub, ale wkrótce rozstał się z żoną, by do niéj nigdy nie wrócić.

Talent jéj we Lwowie jaśniał w całym blasku. Z powodu niedostatecznéj liczby aktorów przyjmowała każdą rolę, jaką jéj dano, czy to komiczną, czy tragiczną, i z każdéj wywiązywała się świetnie. Wyborna jako królowa w „Meropie,“ w „Hamlecie,“ w „Ines de Castro,“ doskonała pani Murer w „Eugenii“ i w ogóle w rolach poważnych matek, komiczne przedstawiała jeszcze lepiéj, a kłótliwe babiny, stare i zrzędne ochmistrzynie, opryskliwe wieśniaczki, nie mogły się dostać w lepsze ręce. Miała być nieporównaną panią Wolf w dramacie „Dwaj bracia“ i Dorotą w „Krakowiakach.“ Zachwycała publiczność lwowską w operach, jak „Król Teodor w Wenecyi,“ „Drzewo Dyanny,“ „Amazonki“ itd.

W ciągu krótkiego żywota, bo zmarła w r. 1800 w Warszawie, wkrótce po powrocie ze Lwowa do Warszawy, bardzo mało zaznała szczęścia. Los ją ścigał na każdym kroku, a jakiémś fatalném zrządzeniem dla podniesienia niejako dramatycznéj grozy sytuacyi, popadał również w obłąkanie Dominik Kaczkowski, którego przyjaźń osładzała jéj życie, na co patrząc, „wzywała nieustannie śmierci, jako jedynego końca wzmagających się udręczeń.“ Oboje zakończyli szaleństwem. On pierwszy tenor i dobry aktor, miły, przystojny, szlachetny, ale gracz zapalony, téj namiętności głównie zawdzięczał smutny koniec. Wyjechawszy w roku 1796 na kontrakty do Dubna, z łaski króla Faraona przywiózł wkrótce do Lwowa 80,000 złotych, aby następnie przegrać wszystko podczas jednego tygodnia i popaść w obłąkanie.

Słowo jeszcze o Franciszce z Marunowskich Pierożyńskiéj. Urodzona w r. 1764 w Warszawie, wyszła za

dyrektora teatru nieświeżskiego w czternastym roku życia, podobnie jak rodzona jéj siostra, sławna Agnieszka Marya Truskolaska, która już w trzynastym roku zaślubiła Tomasza T.

Przybywszy do Lwowa późniéj niż inni, bo dopiéro około połowy roku 1795, stała się wkrótce ulubienicą publiczności. Z innymi współczesnikami podzielała wielostronność sceniczną, szczególniéj jednak podobała się jako Ofelia w „Hamlecie," Dilara w „Iskaharze," Julia w „Grobach Werony," Hermina w „Amazonkach." Pierożyńska z całego towarzystwa najwięcéj podobno zżyła się ze Lwowem, gdyż „dla domowych obowiązków" została tu aż do roku 1804.

III.

Pomyślność pierwszych miesięcy byłaby się może zmieniła w trwałą, gdyby właśnie ów nadzwyczajny sukces nie był sprowadził katastrofy. Dotychczas przedsiębiorca niemiecki, imieniem Bulli, zadowalał się trzecią częścią czystego dochodu, a Bogusławski opłacał ten haracz bez skargi; gdy jednak teatr niemiecki coraz więcéj zaczął świecić pustkami, bo opuszczali go dla polskiego nie tylko Polacy, ale i Niemcy, postanowiono usunąć rywala i zabronić dalszych reprezentacyi, które téż ustały z końcem maja.

Zdawałoby się, że niezwykłe powodzenie, jakiém się towarzystwo polskie cieszyło dotąd, powinno mu było dostarczyć środków na czarne godziny poniewolnego wypoczynku. Tak jednak nie było. Sam Bogusławski zaręcza na podstawie smutnego doświadczenia, „że wszelkie antreprenerskie zbiory są owemi w czasie dżdżu bańkami na wodzie, których im więcéj gwałtowna zlewa nawalność, tém prędzéj jedna drugą rozbija." To téż po opłaceniu Bullego, dziennych wydatków, pensyi dla dwudziestu aktorów i kilkunastu pomocników, nie tylko nic nie zostało w kasie, lecz owszem zamiast gotówki pokazało się kilka tysięcy długów. Dług ten o mało nie przyprawił dyrektora o zupełną majątkową ruinę; nie opłacony bowiem przez cały czas pobytu towarzystwa we Lwowie, podwoił się dzięki sławnéj tu już podówczas, „bo niemal na godziny rachowanéj lichwie."

Groźna więc przyszłość zaglądała w oczy proskrybowanym, którym nawet na podróż i tymczasowe potrzeby brakło zasobów.

Po długich staraniach wykołatał wreszcie Bogusławski pozwolenie grywania raz na tydzień, i to w dniu najgorszym, bo poniedziałkowym, w którym mieszkańcy po niedzielnych zabawach zwykli się byli skazywać na dobrowolną pokutę i miły wypoczynek. Ale z końcem sierpnia miało ustać i to nieznaczne ustępstwo. Na szczęście wbrew obawom, mimo, że miasto było już zupełnie ogołocone z zakordonowych gości, przedstawienia odbywały się przy tak tłumnym napływie widzów, że starczyły za dwa inne widowiska. Znaczny ztąd dochód nie pokrywał wielkich kosztów bieżących, zwłaszcza pensyi dla personału; ale znaleźli się szczęściem ludzie życzliwi, co skorą pomocą uchronili towarzystwo od upadku.

Bogusławski, nie mając widoków powodzenia, sposobił się już do porzucenia Lwowa, a pragnął przenieść do Krakowa swe teatralne Lary i Penaty. Wiadomość o tém postanowieniu ulubionego dyrektora wzbudziła w powszechności żywe niezadowolenie: serdeczny żal ogarnął zarówno Niemców, jak Polaków. Nieopłacany dawno personał niemiecki, z zamierzonym odjazdem polskiéj trupy straciwszy wszelką nadzieję otrzymania należnéj remuneracyi, zaczął się starać o pomieszczenie na innych scenach. Bulli ujrzał nagle stanowisko swoje zupełnie podkopaném, bo skoroby mu się aktorzy rozjechali, postradałby tém samém wszelkie dobrodziejstwa, przywiązane do monopolowego przywileju, jak haracz od reprezentacyi gościnnych, dochody od redut i subwencyą od rządu. Jak tonący więc chwycił się ostatniéj deski ocalenia: układów z polskim dyrektorem. Z początku chciał go zmusić do przyjęcia narzuconéj ofiary, lecz widząc, że z butnym szlachcicem na téj drodze nie trafi do końca, udał się w prośby, a Bogusławski zgodził się na wzięcie pod swój zarząd i na własną odpowiedzialność obydwóch teatrów.

Rozpocząwszy przedstawienia po przydłuższéj przerwie 1 października 1795 do czerwca r. 1796, zdołał płynącemi obficie dochodami nie tylko pokryć wszelkie bieżące wydatki, lecz nadto stósownie do zobowiązania spłacić znaczną część długów Bullego. Lato nie obie-

cywało tak sowitego plonu, a tymczasem w rzędzie uciążliwych, kontraktem zastrzeżonych warunków, figurował obowiązek odnowienia publicznego teatru, niedogodnego i bardzo już zrujnowanego budynku. W takim składzie rzeczy wolał przemyślny entreprener wystawić na letnią porę rodzaj rzymskiego amfiteatru, gdzieby wśród dokuczliwych upałów można było wypoczywać w miłym chłodzie. Wybrał na ten cel ulubiony podówczas ogród Jabłonowskich, ocieniony drzewami, zasadzonemi jeszcze w czasie powrotu zwycięzkiego Jana III z pod Wiednia.

Architekt i malarz w jednéj osobie, Włoch Maraino, podjął się wystawienia amfiteatru, lecz wykonanie zamysłu pociągało za sobą liczne koszta. Bogusławski widział jeden tylko środek uzyskania potrzebnéj na to kwoty: należało koniecznie przedstawić zabronionych do owéj pory „Krakowiaków," co się téż niebawem udało.

Nie zawiodły autora nadzieje. Sztuka ta ściągała niezmiennie tłumy słuchaczy, wprawiała ich stale w zachwyt i uniesienie. Ale któryż sukces posiada warunki niezachwianéj trwałości? Tak samo tutaj obok róż nie brakło i cierni. Do wydatku na teatr letni dołączył się inny na miejski, przekształcony z wązkiego a bardzo wysokiego pofranciszkańskiego kościoła. Potrzeba restauracyi okazała się tém naglejszą, że przez wyłamane sklepienie ujrzano z przerażeniem wyglądające z trumien kości nieboszczyków, których grobowy spokój zamącano wrzawą światowéj zabawy, śmiechem i pląsem.

W zimowym sezonie tegoż roku nie źle się wiodło teatrowi, ale latem roku 1797 zmniejszyły się znacznie dochody a nakłady nie ustawały. Ciągła słota tak dalece tamowała przedstawienia, że nieraz w ciągu jednego wieczoru kilkakrotnie przychodziło przerywać sztukę. Spłoszeni aktorzy schodzili wówczas ze sceny — spędzona z ławek publiczność chroniła się do przyległego pałacu, aby powrócić na miejsca, skoro zabłyśnie pogoda. Mokły przytém dekoracye, puszczały malowidła.

Przypomniano sobie wtedy, że Rzymianie mieli sposób zabezpieczenia się przeciw ulewie, i rozciągniono nad amfiteatrem przesiąkłe olejem płótna. Na zakupno kilku tysięcy łokci materyi, farb, lin i oleju wysiliła się znowu kasa. Dla podniesienia więc na nowo cie-

kawości ogółu zaczął dyrektor dawać nowe jeszcze dla Polaków melodramy. Napisana w tym rodzaju przez Bogusławskiego sztuka „Iskahar, król Guaxary," tém bardziéj nęciła widzów, że treść jéj zaczerpniętą była z „czytanéj wówczas z uniesieniem historyi zawojowania Peru, która z losem ojczyzny naszéj niejakie miała podobieństwo."

Jeśli utworowi temu nie mało dodawała powabu muzyka Elsnera, „wspaniała i czuła," nie szczędził także dyrektor jaskrawszych efektów i umyślił olśnić publiczność wystawą. Naiwny podziw wywoływały dwie bitwy Amerykanów z Hiszpanami — zdumiewał nieznany dotąd widok kilkuset żołnierzy, kroczących dumnie po obszernéj scenie z armatami i wszelkiemi przyborami wojennemi.

Iskahar przyjęty jednogłośnym okrzykiem uwielbienia, stał się dla Bogusławskiego, jak sam zaręcza, „rzuconą tonącemu liną." Widząc, jak popłaca wystawienie wojennego rzemiosła na scenie, rzucił nasz dramaturg nową bombę w postaci Amazonek, opery, w któréj znów admirowano bez końca „mnogość wojsk dwóch płci różnych, w ubiorach, zwyczajach i ćwiczeniach Marsowych."

Dopytywano się troskliwie, zkąd dyrektor wydobył tak liczny zastęp wojowniczych niewiast, władających orężem jak wrzecionem — a on śmiał się ze złudzenia widzów, bo żwawe amazonki udawali chłopcy o gładkich, nie pokrytych jeszcze zarostem twarzyczkach, ubożsi uczniowie szkół publicznych, gotowi na każde skinienie Bogusławskiego, a radzi pobaraszkować z szablą w ręku wobec tysiącznych świadków. Hełmów zaś, tarcz, kopii, armat i zbroi dostarczał obficie arsenał lwowski, bo rząd austryacki zaopatrywał chętnie każdą dyrekcyą w wojenne rynsztunki i odstępował aktorom lekarstw za połowę ceny.

A trzeba wiedzieć, że armaty figurowały podczas widowisk nie dla prostego zajęcia oka — że owszém, aby złudzenie było zupełném, śmiercionośne te narzędzia huczały i za teatrem i na saméj scenie, przejmując zapewne trwogą niejedno niewieście serce, a od zemdlenia wstrzymywały tę i ową elegantkę chyba arcypopularne naonczas „Spazmy modne."

Nie kończyły się na tém sceniczne efekta: zdumiona rzesza widzów nie mogła oderwać oczu od innego, ciekawszego jeszcze widoku, gdy zdobywający miasto Grecy zanurzali się aż po szyję w rzekę, aby po wzniesionych do góry ich głowach mogły przejść jak po moście dalsze szeregi.

Toż nie dziw, że burza oklasków towarzyszyła stale tym cudownościom, że publiczność z wzrastającym zapałem spieszyła do teatru i że przez dłuższy czas dobrze się wiodło przedsiębiorcy.

Ale na wiosnę w r. 1798 niefortunny obrót wypadków na teatrze wojny i wszczęte na pograniczu rozruchy, srodze się Bogusławskiemu dały we znaki. Obywatelstwo rozjechało się ze Lwowa, uwaga powszechna ku innéj skierowała się stronie; to téż sala świeciła zwykle pustkami, jeśli dla jéj zapełnienia nie spędzono z miasta próżniaczéj gawiedzi, która się tu rozpierała — gratis. Biedny dyrektor myślał już teraz jedynie o jak najszybszém zrzuceniu się z kontraktu; jakoż zakończył szereg reprezentacyi na początku jesieni przedstawieniem „Drzewa Dianny,“ opery Martyniego, z tekstem tłómaczonym przez Kamińskiego, wówczas jeszcze zasiadającego na szkolnéj ławie.

Okazały rachunki, że Bulli winien polskiemu dyrektorowi około 30 tysięcy złp., lecz jakżeż je wydobyć od zadłużonego po uszy przedsiębiorcy? Po długich dopiero zachodach i kłopotach udało się tę kwotę zaintabulować na kamienicach Bullego. „Stało się to dla mnie późniéj — mówi Bogusławski — tarczą przeciw pociskom, zniszczyć mnie pragnących wierzycieli.“ Tarcz ta jednak nie była widocznie dość silną, skoro, jak zobaczymy późniéj, nie ochroniła go od tysiącznych kłopotów.

Zaciągnąwszy nowe długi na opłacenie personalu, ułożył się Bogusławski o dawanie reprezentacyi na ośm jeszcze miesięcy, to jest aż do 1 maja r. 1799. Ale ścigał go już zawzięcie nielitościwy fatalizm. Opuszczony przez najlepsze siły, nie tylko nie mógł wystawiać sztuk większych, lecz nadto musiał zaciągać pożyczki na bajecznie wysokie procenta, by zaspokoić pretensye odjeżdżających aktorów. Nasza artystyczna drużyna byłaby ztąd w ostatnią popadła nędzę, gdyby nie współczucie otaczającego ją społeczeństwa. Niemal co ty-

Biblioteka Jagiellońska Akad. Polit.

dzień nadchodziły na ręce dyrektora bezimienne pieniężne składki: Teodor Potocki, wojewoda belzki, całym swym majątkiem poręczył za Bogusławskiego, pani Wielhorska, kuchmistrzyni koronna, nadesłała mu swe klejnoty dla ułatwienia pożyczki, pewien znakomity obywatel złożył sto, pewien duchowny pięćdziesiąt dukatów.

Wszystkie te rozrzewniające objawy współczucia nie zaspokajały olbrzymich wydatków, bo długi zdwajały się lichwiarskiemi procentami. Jeden z nich, w wysokości 200 cz. zł. o mało biednego dyrektora nie przyprawił o ostateczną ruinę i śmierć ze zmartwienia. Zaciągnął go jeszcze w r. 1797 dla spłacenia należytości wspaniałomyślnemu Kaźmirzowi Rzewuskiemu. Hrabia nie upominał się wcale, niemniéj przeto dług ten ciężył bardzo dyrektorowi. Gdy przyszło do zapłacenia żydowi, Bogusławski, jak zwykle, miał pustki w kieszeni. Lwowski Shylok sądząc, że zrozpaczonego dłużnika zdoła skusić do występku, w pewnéj silnie podejrzanéj sprawie, gdzie chodziło o wielką sumę, powołał się na Bogusławskiego i następnie ofiarował mu 300 dukatów za fałszywe świadectwo. Ten utaiwszy na razie oburzenie dla zyskania czasu, wystąpił publicznie przeciw oszustowi, a żyd, mszcząc się za doznany zawód, kazał mu opieczętować wszystko, co posiadał, nie wyjmując nawet łyżek.

Szczęściem poręczenie T. Potockiego uwolniło dyrektora od téj klęski, a sukcesya spadła na teatralnego faktora, dozwoliła uiścić się niegodziwemu lichwiarzowi. Bogusławski przemyśliwał już tylko o jak najszybszym powrocie do Warszawy, zkąd od księcia Józefa Poniatowskiego, jako właściciela teatru, najżyczliwsze odbierał zapewnienia. Lwowskim wierzycielom swoim przekazał należność, zalegającą u Bullego, nie wypłacone zaś jeszcze aktorom pensye, oraz sumy pożyczone od przyjaciół, zabrał z sobą, według własnych gorzkich słów do Warszawy, jako pamiątkę pięcioletnich prac swoich we Lwowie.

Ułożywszy tak interesa, zostawił Kaczkowskiego w roli pełnomocnika dla przewiezienia personalu i ruchomości teatralnych, sam zaś wyjechał 7 maja naprzód do zamieszkałéj pod Jędrzejowem rodziny, a spędziwszy pośród niéj zaledwie dni kilka, ruszył na Piotrków do Warszawy.

IV.

Ale przykrości i zawody nie ustały bynajmniéj z chwilą opuszczenia Lwowa. W nadwiślańskiéj stolicy miał się Bogusławski spotkać z nowemi kłopotami, lwowskie zaś następstwami swemi miały go jeszcze trapić długo. Z listów, pisywanych co kilka dni do niejakiego Tomaniewicza, Lwowianina, widać, iż w czasie układania pamiętników nie dopisała mu pamięć, skoro zaręcza, że prócz zaległych aktorom pensyi i pożyczek u przyjaciół, nie pozostawił już we Lwowie innych długów. Niestety, wówczas nie uwolnił się jesze od stosunków z niemiłosiernymi synami Izraela, którym i w Warszawie poświęca długie godziny rozmyślań, wysilając swój dowcip, celem wydobycia się ze szpon lichwiarskich.

Pierwszy list do Tomaniewicza nosi datę 9 sierpnia, pisany więc na trzy tygodnie przed rozpoczęciem reprezentacyi. Okrom innych ciekawych wiadomości, zawdzięczamy mu także drobną wzmiankę, rzucającą niejakie światło na obcą nam postać korespondenta. Człowiek ten, zasypywany przez Bogusławskiego jużto gradem zarzutów, już to objawami czuléj wdzięczności i serdecznéj przyjaźni, wydobywającéj się z wnętrza listu aż na adres, gdzie czytamy: „Tomaniewicz, mon cher ami, à Leopol“ — człowiek ten określony jest tutaj jako „reprezentujący w sprawach Bogusławskiego osobę Wgo Białoruskiego“, widocznie adwokata.

Nie spodziewając się, aby zaprzątnięty licznemi interesami, sam mecenas zechciał chodzić gorliwie około jego sprawy i donosić mu regularnie o jéj przebiegu, udaje się Bogusławski nierzadko praktykowanym zwyczajem do pomocnika adwokata, jakim był niewątpliwie p. Tomaniewicz, a poniesione w tym celu trudy przyrzeka mu wynagrodzić. „Odtąd już, pisze, wszystkie moje listy do Wgo Pana adresować będę, prosząc bardzo, abyś mi regularnie odpisywał, a moje zlecenia względem dalszych interesów moich wypełniał tak, jak ja sobie życzę i pisać mu będę, a ja zaręczam, że prace jego nie będą nadaremne i że starać się zawsze będę zawdzięczyć mu jego do mnie przywiązanie i dobre serce, byle mnie tylko Bóg w cokolwiek lepszym postawił stanie.“

Stan ten w istocie nie był świetnym: wydatki się mnożyły, a dochodów nie było jeszcze wcale; zwłaszcza przetransportowanie personalu na wielkie narażało koszta. Bogusławski jest przekonany, że były jego pełnomocnik, Kaczkowski, już w drodze; na wszelki jednak wypadek przesyła dalszą instrukcyą, mającą na względzie głównie pozostawione we Lwowie dzieci. „Jeżeli Teosia i Rózię, oraz papiery potrzebne wziął z sobą (Kaczkowski) to dobrze, pisze daléj Bogusławski, jeżeli zaś nie, to Wiel. Pan upatrz do tego furmana i przyszlesz mi ich oboje z jakim człowiekiem, na któregoby się spuścić można. Paszport im wyrób zawczasu, a ja ci przyszlę pieniędzy na drogę dla nich i na oporządzenie Leopolda, którego koniecznie we Lwowie na pensyą oddać trzeba, bo tu żadnych szkół, ani akademii nie ma.“

Uczyniwszy zadość rodzicielskiemu uczuciu, nawraca zaraz dyrektor do kwestyi finansowych. „Zaręczone przez WPana długi — czytamy — możesz być pewnym, że na terminach niezawodnie opłacę, ale pobierz od wszystkich, którzy na to przystają, zaręczenie na piśmie, aby mi potém rzeczy nie aresztowali, gdyby się z Mendlem skończyło.“

Objawiona tu ostrożność, to skutek smutnego doświadczenia z niedawno upłynionéj przeszłości — to wykrzyk trwogi przed groźną sekwestracyą. Straszne widmo smutnéj téj alternatywy nieustannie mu staje przed oczyma i goryczą przepełnia serce; toż nie dziw, że często wspomina o tak ważnym dla siebie przedmiocie. „Oprócz Krzysztofa — pisze — i faktorów, reszta kredytorów moich już są zaspokojeni; pilnuj WPan dokładnie i jako naskrupulatniéj, aby można mieć dekret z apellacyi tak albo owak, abym wiedział, jak sobie daléj postąpić. Jeżeli w apelacyi przegramy kaucyą Potockiego, to ja pomyślę o innéj, aby rzeczy moje uwolnić, ale trzeba się z kredytorami, którzy nam skrypta do Warszawy przysłali, mocno pilnować i mieć ich karty w ręku, aby się potém nie zrzucili i rzeczy nie aresztowali...“

Wspomniany powyżéj Krzysztof należał zapewne do oficyalistów teatralnych, co widać ze słów następnych: „Krzysztof nic zrobić nie może, bo nie ma skryptu w ręku. Pretensye moje za potracone peruki, brody, za lato, co nic nie robił, jak się potrącą, to nie wiele

zostanie, i panu Glazowi to samo, a reszta kredytorów już jest zaspokojona.“

Od niejakiego Jaffina i od innych zaleca wziąć „komplanacyą“, z Falkowskim sam się obiecuje ułożyć, po czém znowu folguje trawiącemu go niepokojowi o teatralne ruchomości, zwłaszcza o bibliotekę: „Domu mojego i wszystkich rzeczy a osobliwie kufra z papierami, co stał w sali, jako najmocniéj pilnuj WPan, bo tam cała spokojność życia mojego zamknięta. Do tych papierów żyd nie ma prawa, równie jak i do biblioteki, bo on nie wie, ani wiedzieć nie mógł i nie może, jakie się tam książki znajdują, a nadto partytury i egzemplarze nie należą do sekwestru, i jeżeli przegramy w apelacyi, to można podać do magistratu o wydanie egzemplarzy i oper, bo to wedle galicyjskiego prawa jako rzecz do rzemiosła należąca, jest wyjęte od sekwestru i musi mi być wydane, jeżeli chcą, abym na opłacenie długów zarobił.“

Na wypadek wygrania rekursu w apelacyi, każe Bogusławski bez zwłoki za dekretem sądowym a za pośrednictwem znawców, taksować wszystkie zaaresztowane rzeczy, „bo ja — dodaje z mocą — nigdy żydowi krzywdy mojéj nie daruję i będę miał pomoc nawet w Wiedniu od rządu mojego.“

Po tych donioślejszych sprawach następują podrzędniejsze. Dyrektor poleca oddać załączone listy jakiemuś panu Płachetce, jakiejś „żonie Icka“ — odpowiada stanowczo na petycyą fryzyera Buszkiewicza, że „go nie chce, ani żadnego człowieka ze Lwowa“, czém zdradza niepomierne zniechęcenie do tamtejszych oficyalistów — rozkazuje rugować ze swego dworka każdego wierzyciela, skoro tylko zostanie zaspokojonym, „bo ja mam w tém — dodaje tajemniczo — moje racye, aby tam nikt nie mieszkał.“ Owe powody poznamy wkrótce.

W końcu prosi o przesłanie opery *Pustelnicy*, kilku sztuk, jak tragedya *Essex*, oraz własnych jego utworów, zamkniętych w szafce — niemniéj psa Domarlana i pudlicy. Gdyby zaś nie było pewnéj okazyi, każe żywić psy i pamiętać o nich, nie myśli bowiem sprzedawać ulubionych zwierząt.

Z listu tego wieje pewien spokój, pewna otucha, że z wszystkich kłopotów uda mu się jeszcze wyjść

obronną ręką, że niezadługo wybrnie z długów i uchroni się od grożącego niebezpieczeństwa przyaresztowania teatralnych ruchomości. Dręczy się wprawdzie niemało Mendlem, lecz ani przypuszcza, aby z téj chmury miał tak prędko grom wypaść. Katastrofa zaskoczyła go nagle, niespodzianie, bo w chwili, gdy poprzednie pismo wysyłał do Lwowa, domagał się Tomaniewicz wypłacenia należytości w ciągu dni dwudziestu.

Pismo lwowskiego prawnika zdziwiło i oburzyło dyrektora; zdziwiło, iż sądy, przywykłe do przeciągania procesów w nieskończoność, gdy chodziło o niego, tak nadzwyczajnie się pospieszyły — oburzyło, że jego obrońcy i zastępcy zaspali pole, że nie postarali się przeciwważyć wpływów bogatego lichwiarza. To téż list Bogusławskiego z dnia 13 września pełen jest szorstkich wymówek i nieukrywanéj goryczy. „Nie mogę pojąć — pisze — jak się to stało, bo ani razu nie miałem doniesienia o tém, że ta sprawa wzięta była na stół; ale jak się domyślam, podobno WPaństwo sami nie wiedzieli nic, jak się to i kiedy stało, że ta sprawa sądzona była.“

Na wezwanie, by przesłał należną Mendlowi kwotę, odpowiada wcale niegrzecznie; „Smieszne jest — pisze — WPana żądanie, abym w trzech niedzielach przystawił pieniądze — wiedziawszy dobrze, że ja nie gram w Warszawie, że Kaczkowski, bez którego nic grać nie mogę, dopiero wyjechał ze Lwowa i tu nawet do dziś dnia jeszcze nie stanął.“ Nie spodziewa się, aby mógł rozpocząć przedstawienia przed początkiem września, „bo nie ma z kim“ a z powodu spóźnionego przyjazdu aktorów musiał się wyrzec zamierzonéj wycieczki do Gdańska. Dla tego nie będzie mógł wysłać pieniędzy przed 10, a zatém do Lwowa dojdą one dopiero około 18 grudnia.

Głęboki żal, wywołany przykrą nowiną o przegranéj z Mendlem, nie pozwala mu się ograniczyć na poprzednich wymówkach: wraca on do niéj, aby dołączyć boleśniejsze i dotkliwsze zarzuty. „Należało WPaństwu — mówi — kiedy termin sądzenia *in merito* sprawy przypadał, uwiadomić mnie o tém, ale od wyjazdu mojego ani słowa jednego wzmianki nie mam o tém w listach moich. Byłbym się przecież przygotował na to i może o pieniędzach pomyślał, a teraz jeżeli żyd przez licyta-

cyą zabierze mi wszystko, na co ja przez lat kilkadziesiąt życia pracowałem, to będę miał WPaństwu do podziękowania za to! Teraz poznaję, jak pilnie mojéj sprawy doglądaliście! Łudziliście mnie od dnia do dnia referatem rekursu w apelacyi, za którym nikt nie biegał, a tymczasem przypuściliście sprawę *ad meritum* w trzech miesiącach, kiedy inne po dziesięć lat w Galicyi trwają... To wszystko winienem starannym zabiegom WPaństwa!"

W końcu wprost na Tomaniewicza godzi gniew zawiedzionego dyrektora, gdy przemawia słowami kłującemi, jak szpilki: „żebyś WPan przynajmniéj po ludzku pisywał do mnie, ale te kilkanaście słów składają list, z którego nikt mądrym być nie może!"

Jeśli żądło tych wyrzutów nie dosięgło do saméj kości lwowskiego dependenta, musiał chyba bardzo twardą mieć skórę.

Sam Bogusławski snać poczuł, że zemścił się do syta za niedbałość adwokata *in spe*, że jeśli go nie zraniły rzucone już pociski, to nic nie zdoła mu zamącić olimpijskiego spokoju, porzuca skargi i trzymając się już ściśle samego interesu, wypisuje dla Tomaniewicza szczegółową instrukcyą: „Jeżeli będziesz WPan koniecznie musiał na terminie 130 dukatów złożyć, wprzód nim ja będę mógł dostać pieniędzy, tedy proś albo Wgo Wronowskiego, albo kogokolwiek z przyjaciół, a nareszcie żydów, aby te wszystkie rzeczy z dworku zabrał do siebie, albo je sobie do czasu, aż ja pieniądze przyślę, zapieczętował, a 130 dukatów pożyczył. Ja za niedziel pięć od dziś dnia, na pewno pieniądze prześlę, a prędzéj nie mogę."

Z Mendlem gotów zaprzestać procesu i ułożyć się, jeśliby można było, ofiarując się wypłacić za dwa miesiące przysądzone 200 cz. zł. „Jeśli wierzyciel przyjmie propozycyą, niech weźmie jako rękojmią w zastaw wszystkie opieczętowane ruchomości, a nadto karetę, byle mi — dodaje dyrektor — konie, kocz i dzieci tu odesłano, a za to dajcie mu skrypt pani Kazanowskiéj tylko do dwóch miesięcy."

Nie przypuszczał Bogusławski, aby żydowin śmiał odrzucić układ, a to z obawy przed procesem o lichwiarskie procenta. Zaleca jednak ostrożność w postępowaniu, aby inni wierzyciele nie „zarwali"

ruchomości, boby je trudniéj potém przychodziło wykupować.

Następne listy oddychają jedną głównie myślą, jedną dążnością, skierowaną do wyswobodzenia biblioteki i różnych teatralnych przyborów. Myśl ta stósownie do okoliczności, w rozmaitych pojawia się kształtach i rozmaitemi téż środkami ma być wprowadzoną w życie. W trzecim z kolei liście, chce dyrektor dla spełnienia tego wielkiego czynu użyć furmana, imieniem Naurwiakowskiego. Ten w porze naszego opowiadania powracał właśnie z Warszawy do Lwowa, a zaspokojony zupełnie w dawniejszych swych pretensyach, oświadczył gotowość zapłacenia żydowi 130 dukatów i zabrania rzeczy do siebie, aby je przesłać dyrektorowi.

Ułożywszy się z nim w Warszawie, pisze znacznie już uspokojony Bogusławski: „Toby był najlepszy ze wszystkich sposób, bo jeżelibyś WPan komu innemu oddał te rzeczy, toby je kredytorowie znowu przyaresztować mogli, a tu na tém całe moje szczęście zależy, aby panna Wilczyńska, Krzysztof i aktorzy wleźli koniecznie na Bullego (to znaczy, aby ich należytość zaintabulowano na domach niemieckiego przedsiębiorcy), od którego prócz skryptu Lumplowéj jeszcze mi się 260 cz. zł. należy.“ Sprawę z Naurwiakowskim trzeba załatwić cicho a przebiegle i spiesznie, aby nie zwrócić uwagi czujnych strażników swego własnego dobra, — tj. wierzycieli. „Tak więc sobie postąp, abyś wziąwszy pieniądze od Naurwiakowskiego, tego samego wieczora, którego rzeczy żyd odpieczętuje, zaraz one jemu oddał, żeby się kredytorowie wtenczas dopiero o tém dowiedzieli, kiedy już rzeczy w domu nie będzie; masz zaś do tego pretekst, udając, że wszystkie rzeczy zastawiasz, chcąc żydowi zapłacić.“

Pomysł ten wcale zręczny i dowcipny, przynosi zaszczyt dyplomatycznéj głowie, która go spłodziła. Nie zbyt wprawdzie idealny, tłomaczy się twardą koniecznością, jaka przyciskała biednego sługę Melpomeny i srogością nielitościwych lichwiarzy. Nie wiemy z pewnością, komu go przypisać należy, czy Bogusławskiemu, czy téż nieznanemu nam bliżéj wierzycielowi. „Pan Naurwiakowski — ciągnie daléj — przyrzekł mi, że umówiwszy się z WPanem, téj saméj nocy, któréj rzeczy odbierze, razem z końmi odeszle mi one. Naradź

się więc WPan z nim w sekrecie i uczyń to roztropnie, a jak już rzeczy nie będzie we Lwowie, wszystko WPanu łatwiéj pójdzie, i dopiero sami zapozywać będziemy tych, którzy nas zapozywać mają.“

Jakby zaś dla usprawiedliwienia podstępnéj manipulacyi, mówi: „Nie opuszczaj WPan tego sposobu, bo ja tu bez koni i partytur w żaden sposób dłużéj być nie mogę.“

Nie łudzi się jednak Bogusławski łatwością wykonania planu, nie tajne mu liczne i wielkie przeszkody. Wypada się mieć na baczności przed wszystkimi, najbardziéj przed Falkowskim, aby nie przyaresztował rzeczy, „bo się boi — tłomaczy dyrektor — o dwieście czerwonych zł., które na skrypt brata mego pożyczył, ale ja już od brata mam fundusze na nie, tylko że to aż za dwa miesiące nastąpi, a ja nie chcę takiéj prowizyi zapłacić, jaką on mnie chce narzucić.“

Uporawszy się z najnaglejszym interesem, zwraca się znowu jako troskliwy ojciec do syna: „Panu Leopoldowi zgódź pan pensyą. Ja zaraz w septembrze przyszlę na to i na oporządzenie onego. Całuję go serdecznie i upominam sercem ojcowskiém, aby się aplikował i uczył, bo odemnie oprócz edukacyi, niczego się nie ma spodziewać.“

Następują daléj drobiazgowe polecenia, jak wysłania „wszystkich rzeczy stajennych i kuchennych,“ psa i kozła, o którym częstokroć w następnych listach czytamy, sprzedania barana, wykupienia różnych przedmiotów, pozastawianych u żydów, obok nierównie ważniejszéj instrukcyi w sprawie wzniesionego z takim kosztem w ogrodzie Jabłonowskich amfiteatru: „Ze sprzedażą teatru w ogrodzie pospiesz się WPan, bo zima za pasem. Proszę bardzo, aby go z gruntu rozebrać i plac nawet zrównać. Procesu z Włochem (zapewne z architektem Maraino) nie zapomnijcie. Meble, jeżeli rzeczy wyszlesz, będziesz mógł sprzedać, a i za to cokolwiek przybędzie“ itd. Kończy się pismo nader charakterystyczném pytaniem: „Co o mnie mówią we Lwowie?“ Brak listów Tomaniewicza, dający nam się czuć dotkliwie, bo zniewalający do jednostronnego przedstawienia rzeczy, nie pozwala i niniejszéj wątpliwości rozwiązać stanowczo. Z natury jednak rzeczy, jak nam się zdaje, wypływa, że niezaspokojeni wierzyciele mówili

o nim źle, sympatyzująca zaś z udręczonym dyrektorem publiczność jak najlepiéj...

List następny, późniejszy od powyższego o dni jedenaście, nie zawiera w sobie nic ciekawego. Prócz streszczenia dawniejszych poleceń, głównie w kwestyi uwiezienia opieczętowanych rzeczy, zasługuje na uwagę tylko następne zdanie: „I pani Pierożyńskiéj oświadcz WPan, że skoro tylko cokolwiek pieniędzy mieć będę, zaraz jéj przyszlę, ale to przed pierwszym być nie może. Rózia zdrowa i na pierwszego pójdzie na pensyą.“

O ile Naurwiakowski spełnił dane przyrzeczenie, nie wiedział Bogusławski ani 27 sierpnia, ani 3 września, pod którym to dniem znowu pisał do Tomaniewicza. Niespokojny, żąda jak najrychlejszego uwiadomienia w téj mierze, aby wiedział, czego oczekiwać nadal.

V.

Było to już po drugiém z kolei przedstawieniu w Warszawie. Po raz pierwszy wystąpił nasz dyrektor przed warszawską publicznością 31 sierpnia. Nowy szereg widowisk rozpoczął bardzo szczęśliwie operą Martiniego „Drzewo Dianny,“ nazajutrz tragedyą „Inez de Castro,“ istną bombą dramatyczną, która rozpinała nerwy słuchaczów, jak na łożu Prokrusta.... To téż mimo całéj nędzoty pod względem treści i formy, była powszechnie lubioną, a tkliwe serca rozczulała do tego stopnia, że ją „dżdżem łez“ zwano. Po długich rzęsach pięknych Warszawianek staczały się potoki łez na batystowe chusteczki, wilgotniały nawet oczy, krzywiły się twarze, marszczyły czoła i ruszały wąsy płci brzydkiéj, gdy pani i panna Truskolaskie w roli królowéj i Inez, jéj córki, deklamowały rozrzewniające tyrady...

Było to dla dyrekcyi nie tylko tryumfem, lecz zarazem rękojmią trwałego powodzenia, bo taka rzęsiście oblana sztuka miała przywilej ściągania przez długi czas tłumów.

Rzecz jasna, że dochody z dwóch, lubo najwietniejszym sukcesem uwieńczonych przedstawień, nie mogły dostarczyć nawet najskromniejszego funduszu na wypłatę długów; wystarczyły one zaledwie na miesięczną

pensyą dla aktorów. Składa się tém Bogusławski, wyrażając równocześnie nadzieję, że zapewne już Naurwiakowski zaspokoił żyda. Na interes ten kładzie znów silny przycisk, polecając ubocznie wykupno różnych przedmiotów zbytkowych z zastawu, przypominając, co należy zrobić z „Leopolsiem,“ co z kozłem i baranem. Krótką wzmiankę poświęca innym wierzycielom: „Pan Węgliński szkodzić WPanu nie może, bo musiałby chyba sądownie czynić, a on się na to dla pani Leszczyńskiéj nie odważy, chyba tylko Wilczyńska lub fryzyer.“ Z dworku każe usunąć co rychléj niepotrzebnych mieszkańców, aby nie wyśledzili przed czasem zamierzonéj wyprawy ze złotém runem teatralnych przyborów...

Niepewność w téj sprawie miała nareszcie ustać, lecz niestety w bardzo przykry sposób. Naurwiakowski zawiódł zupełnie zaufanie Bogusławskiego, oddawszy jednemu z wierzycieli, niejakiemu Tomaszewskiemu list adresowany do Tomaniewicza, w którym autor nie tylko wyjawiał swe skryte plany, lecz na dobitek odzywał się o pierwszym bardzo niekorzystnie.

Zawód, sprawiony przez Naurwiakowskiego, wyjawienie sekretu przez oddanie listu w niewłaściwe ręce, wszystko to wielkiego kłopotu nabawiło naszych korespondentów, popsuło im szyki i pozbawiło nadziei, którą się karmili tak długo. Dyrektorowi opadają ręce, opuszcza go otucha; gotów zdać na wolę losów swą chudobę, dla ocalenia któréj tyle dokładał starań. „Ten przypadek — pisze — tak mi wszystko pomięszał, że nareszcie jestem w intencyi pozwolić wszystkie rzeczy moje, pozostałe we Lwowie licytować na zaspokojenie Mendla, bo tym sposobem zawiedzione zostaną nadzieje upartych panów kredytorów, i będą się potém musieli komplanować, jak ja sam zechcę.“

Rozpaczliwe to postanowienie stara się wytłumaczyć Tomaniewiczowi jako nieuchronną konieczność: „Pewien tego jestem, że kiedy już Tomaszewski takie zachody około moich rzeczy czyni, to będzie tak dobrze pilnował, że WPan nie potrafisz ich wysłać sekretnie, bo on ma znajomych wszystkich furmanów, a choćby on je popuścił, to wpadnie Wilczyńska, albo Krzysztof, albo pan Falkowski, a tak ja będę ustawnie pieniędzy dosyłał, a co jednego zaspokoję, to mi drugi zatrzyma rzeczy, a tymczasem ja konie żywić będę, człowieka trzy-

mać i moich rzeczy nigdy nie dostanę, bo tych sum razem zebranych, ani w roku zaspokoić nie będę w stanie. A zatém najlepsza rzecz licytacyą przypuścić — konie, pojazdy kazać sprzedać, kopersztychy, bibliotekę i wszystko, tylko mi WPan niektóre jeszcze książki, które ci na przyszłą pocztę napiszę, — przysłać musisz."

Zdecydowawszy się na ostateczny ten krok, nie wątpi Bogusławski, że coś przynajmniéj z krwawym trudem nagromadzonych zbiorów, do niego powróci: „Kopersztychy, które mnie wiele kosztują, a za bagatelę zapewne licytowane będą, tym sposobem możemy nazad dostać, że WPan namówisz kogo z licytujących, aby jako najwyżéj licytował i kupił a ja mu wrócę pieniądze; podobnie i inne rzeczy."

Ale i o tym planie należy dla bezpieczeństwa chować głębokie milczenie. „Nim przyjdzie do tego, nie powiadaj WPan nikomu o mojéj rezolucyi i staraj się, jeżelibyś mógł, to wszystko sekretnie przesłać, to ja przyślę 200 czerwonych złotych, ale nie prędzéj, aż po pierwszym Octobris, bo muszę teraz płacić najpierwéj to, co tu zaciągnąłem na Lwów i na furmanów, co więcéj do 300 dukatów wynosi, a żyd z garderobą i innemi poprzejmowanemi długami (wzmiankowany dawniéj faktor) siedzi mi jak djabeł na karku."

Z wyszczególnienia niektórych żądanych książek, możemy zaglądnąć choć tylko jakby przez szpary do biblioteki dyrektorskiéj i nabrać choć trochę pojęcia o jéj treści: „Pan Marewicz przywiózł mi role i kamizelki, ale książki zostawił we Lwowie u jakiegoś pana Trzoskowskiego, do którego tu WPan masz list; odbierz więc nazad te książki i przyślij mi tu przez kogo. Jeżeli będziesz miał okazyą, to oprócz tych książek przyślij mi jeszcze Oeuvres de roi de Prusse, de Montesquieu, de Dorat, de Diderot, de Rousseau i co tam lepszego zobaczysz, a najbardziéj kufer mój z kwitami i listami, bo te mi są koniecznie potrzebne."

W chwili, gdy to pisał, był już Bogusławski po piątém przedstawieniu. Z pomiędzy trzech dalszych sztuk, które grał, znamy tylko jednę. Była to popularna wówczas sztuka niemieckiego komedyopisarza Schrödera, p. t. „Pierścionek," ulubiona przez publiczność, choć z odwrotnych powodów, jak „Inez del Castro." Wyci-

skała ona również łzy, ale łzy wesołości. Nie mogła się przeto Warszawa skarżyć na dyrektora, bo jeśli ją jednego wieczora zasmucał, to spieszył nazajutrz pocieszać, rozweselać i dobrym humorem rozpraszać troski codziennego życia, które na niego samego waliły się tak tłumnie.

Dość zadowolony z teraźniejszości, więcéj on liczy na przyszłość, zwłaszcza na porę karnawałową. „Grałem już pięć razy — pisze — nieźle to idzie, ale Warszawa jest jeszcze gola; dopiero się w przyszłym miesiącu zjeżdżać zaczną. Aktorom zaplaciłem wszystkim gażę z góry i już Ickowi 70 czerw. zł. na zastawy i jego pretensye dałem ą na skrypt garderobiany 60 dukatów. Spodziewam się, że to dobrze pójdzie, ale tak prędko nic być nie może. Za parę miesięcy odmieni się zupełnie moja sytuacya.“

Nadzieje spełniły się o tyle, że już 1 października donosi: „Mnie coraz lepiéj idzie i spodziewam się, że najdaléj w czterech miesiącach wyjdę zupełnie z mych długów.“ Szczęśliwym też, choć nie znanym nam bliżéj zbiegiem okoliczności rzeczy uszły pomyślnie licytacyi, a na nowo w sercu Bogusławskiego odżyła otucha wyswobodzenia ich z pod nadzoru lichwiarzy, bo wedle własnéj jego zapowiedzi, miały być wykupione przez jadącego do Lwowa Chreptowicza. I teraz jeszcze radzi zażyć podstępu względem innych wierzycieli. „Powiadaj wszystkim — zaleca — że ja kazałem rzeczy licytować na Mendla, to się oszukają, a osobliwie panu Falkowskiemu, do którego ja to sam piszę, a któryby ci mógł szkodzić“

Nakazuje też ponownie przesłać kufer z kwitami, „bo go wielu napastuje o dawne pretensye,“ z których sami kwitowali, poczém dodaje: „Bardzo proszę, abyś się z dworku wyniósł do IMPana Tomaszewskiego, bo zawczasu ręczę, że będziesz miał zmartwienie i mnie zgubisz...“

Wbrew objawionéj w powyższém piśmie pewności, miała okazać najbliższa już przyszłość, że na Chreptowicza tyle można było liczyć, co na jego poprzedników. Ale na niebie nadziei szanownego dyrektora, skoro tylko jedna gwiazda gasła, natychmiast zapalała się druga. I nie dziw, bo tonący brzytwy się chwyta a jakżeż nie było ująć oburącz dłoni, przyrzekającéj ratować roz-

bitka, choćby to była jak w niniejszym wypadku, dłoń jednego z tych synów Izraela, co się bohaterowi naszemu tak dali we znaki.

O dalszych szczegółach téj aktorskiéj Odyssei dowiadujemy się z listu, datowanego pod dniem 22 października, a spóźnionego z powodu opałów, przez jakie przechodził jego autor: „Nie dziwuj się WPan, że nie miałeś odemnie żadnych listów, bo przez całe dwie niedziele byłem w obrotach względem opery *Pustelników*, którą gubernium zakazywało a publicum chciało jéj koniecznie; to mi tyle zmartwienia i zabiegów sprawiło, że nie byłem w stanie myśleć o żadnych interesach moich."

Teraz więc dopiero daje Tomaniewiczowi „ostateczną," i jak się spodziewa, skuteczną rezolucyą téj treści: „Nie mogąc się w żaden sposób zdobyć na to, abym mógł WPanu przysłać pieniądze na wykupienie rzeczy i popłacenie zaręczonych przez niego długów, bo mi i panowie aktorowie za lwowskie długi ani minuty spokojnéj nie dają i żyd Icek siedział mi na karku i zabierał wszystko, co zarobiłem, gdyż nie tylko 750 cz. zł. na dwa skrypta, ale nadto prowizye nowe, i jego fatyga a do tego rewersa innych, przez niego zaręczonych (sic) żydów i wykupionych zastawów więcéj, jak 900 dukatów sumę wynosiła. Widząc, że temu wydołać nie potrafię, umyśliłem był pożyczyć tu sobie, jakoż i pożyczyłem 300 cz. zł. i te chciałem posłać WPanu, a zatrzymać tu jeszcze do dalszego czasu Icka z jego pretensyami, bo mu dopiero 400 dukatów byłem wypłacił. Ale, że Icek, dowiedziawszy się o tém zaprzysiągł(!) mi, że bylem go zapłacił i odprawił do Lwowa, on te same pieniądze obróci zaraz na zapłacenie Mendla i wykupienie wszystkich zastawów moich, dałem więc Ickowi te 300 cz. zł., zapłaciłem go zupełnie i nagrodziłem jego fatygę, jak sam chciał, a on zostawił u mnie dukatów 20 w zakład, że interesa moje we Lwowie wszystkie zaspokoi, moje rzeczy przyszle mi przez furmanów zaraz do Warszawy, przez który czas ja znowu starać się będę zebrać tę sumę do zaspokojenia onego. Dufając poczciwości Icka, piszę ten list do niego, ażeby on najprzód 200 dukatów na Mendla zaspokojenie dał WPanu, a potém 38 czerw. zł. 14 c. na zaspokojenie terminów, zaręczonych przez niego."

VI.

Icek uroczystą przysięgą tak dalece zdobył zaufanie dyrektora, że ten czyni go swoim totumfackim, rzekłbym niemal ambasadorem na Lwów, że wszystkie komisa i przesyłki mają przechodzić przez jego ręce, wszystko ma się odbywać za jego wiedzą i współdziałaniem. Z wyjątkiem wykupionych z zastawu przedmiotów, powierzonych dla zabezpieczenia ich przed wierzycielami wracającemu do Warszawy, staremu kamerdynerowi księcia Józefa Poniatowskiego, wszystkie interesa pospolu z Tomaniewiczem, zgodnie z powszechną już wówczas galicyjską praktyką, załatwia ruchliwy Izraelita, nie szczędzący zachodów, ni trudów, podczas gdy Tomaniewicz i jego adherenci wygodniejsi, dość niedbale chodzą koło interesów. „Teraz więc potrzeba — poleca Bogusławski — abyś WPan naradził się sekretnie z Ickiem, jak z Mendlem postąpić wypadnie, aby z bezpieczeństwem wszystkie moje rzeczy wyprawić do Warszawy; on to najlepiéj zapewne wyprowadzi, bo WPanu wiadomo, jak Żydzi są zręczni i mają sposobność do tego. Ale zmiłuj się WPan, nie mów nikomu ani słowa o tém, bobyś wszystko popsuł. Jak będziesz zaręczone asygnacye płacił, powiedz, że ja przysłałem na pocztę pieniądze, i zaklinam go na honor, abyś zaraz od każdego wziął kwit uniwersalny na całą pretensyą, jako się już mu nic a nic odemnie nie należy, bo to do spokojności i szczęścia mojego koniecznie jest potrzebne. Wszystkie moje zastawy, tak te, co są w banku, jak i te, co są w innych miejscach, Icko wykupi, jak mi przyrzekł.“

Na samym końcu pisma, jakby dla osłodzenia Tomaniewiczowi gorzkich pigułek, któremi go raczył poprzednio, jakby dla zapewnienia, że składając cały ciężar interesów na silne barki Izraelity, nie chce przez to okazywać mu nieufności, zdobywa się na serdeczność:

„Polecam się WPana przyjaźni i proszę wierzyć, że nigdy nie zapomnę jego dobrego serca i życzliwości i jak tylko pierwszego tu odbędę, który jest strasznym dla mnie, zaraz i na WPana potrzeby przyszlę mu, co będę mógł. Adieu, bywaj zdrów, rób pomyślnie i sekretnie interesa, i kochaj mnie, jak twojego przyjaciela.“

Znacznie natomiast odmiennym jest nastrój listu następnego, pisanego pod dniem 22 listopada 1799 r. Bogusławski rozżalony na dependenta, że mimo otrzymanych funduszów, nie spełnił poleceń, pisze z goryczą: „Po odebraniu listu WPana ostatniéj poczty, w którym mi piszesz, że dałeś rewers Ickowi na 420 dukatów, rozumiałem, że WPan wszystkie interesa już uspokoiłeś. Tymczasem widzę, że i z pieniędzy od Icka wziętych, i od furmanów, i za sprzedane sprzęty i za amfiteatr, tyle nie zrobiłeś, abym długu kilkanaście dukatów zapłacił, aniś mi wszystkich partytur, ani rzeczy nie poprzysyłał, a co najgorsza, dotąd chłopca na pensyą nie oddałeś, co mnie najbordziéj boli, boś mógł chociaż miesięcznie od niego płacić, zamiast robić niepotrzebny ekspens w domu.."

Wyrzuty były silne i jak się zdaje, nie bez podstawy. Urażony niemi pomocnik adwokata czyni wymówki swemu klientowi, a ten na dniu 6 grudnia w przydłuższym wywodzie usprawiedliwia swoje pretensye. Z listu tego podajemy obszerniejszy wyjątek raz dla tego, że on najlepiéj maluje stósunki i uzasadnia słuszność poprzednich zarzutów, powtóre, że napisany w związku i jednym niejako ciągiem, nadaje się więcéj do zacytowania w dłuższym ustępie, aniżeli dawniejsza, urywana, z luźnych notatek złożona korespondencya. Brzmi on w pierwszéj swéj części, jak następuje: „Mości Panie Tomaniewicz. Niesłusznie żalisz się WPan na mnie, bo ja umiem być wdzięcznym za dobre serce, ale boli mnie to, że wiele rzeczy zrobiło się z wielkim ekspensem dla mnie, chociaż je z mniejszym daleko zrobić można było. Te ustawiczne podziały odsyłania rzeczy zawsze nowe za sobą ciągną ekspensa, jako i teraz przez jadącego Icka nie odesłałeś mi WPan bardzo wielu drobiazgów, koniecznie mi potrzebnych, które zostały w domu, i znowu od nich jeszcze raz płacić będzie potrzeba. Jeżeli się WPan dobrze zastanowisz nad tém, tedy porachujesz łatwo, że przewiezienie kompanii i rzeczy już do 300 dukatów dochodzi, a jakże ja kiedy do czego przyjść mogę? Ledwoby, rozumnie porachowawszy, nie lepiéj wypadało było wyrzec się wszystkich rzeczy, boby za te pieniądze nowe sprawić można. Żalisz się WPan, że mu nie przysyłam pieniędzy; to pochodzi z téj saméj przyczyny, że nowe

coraz asygnacye przysyłane mi ze Lwowa, wydzierają mi zawsze, co tylko uzbieram i właśnie miałem WPanu odesłać resztę pieniędzy, któreś pozaręczał, kiedy furman, u któregoś i pożyczył pieniędzy i zgodziłeś go 30 dukatów za transport, wydarł mi 50 dukatow, które już dla WPana leżały. Teraz znowu to samo się dzieje. Icek żyd, który zabrał odemnie 300 dukatów, i zapłacenie długów, zaręczonych przez WPana pożyczonych na Mendla, przyrzekł mi był, że sześć niedziel na miejscu we Lwowie siedzieć będzie, i że dopiero za 8 niedziel do Warszawy przybędzie, przez który czas ja mógłbym był zebrać tę sumę, którą on teraz wydał, aż on nie wiedzieć dla czego piątego tygodnia już mi się w Warszawie zjawił, kiedy ja jeszcze pożyczonych dla niego 300 dukatów nie oddałem, już on mi znowu siedzi na głowie, każdy grosz mi zabiera i nie chcąc w żaden sposób czekać, przymusi mnie do tego, że znowu muszę pożyczyć na niego kilkaset dukatów. Zważ tedy WPan sam, że podobna suma nie tak łatwą jest do zapłacenia, bo chociaż warszawskie percepty są znaczne, ale też i gaże przeszło 300 dukatów wynoszą, a z ekspensami codziennie kosztuje teatr przeszło 700 dukatów co miesiąc. Żeś WPan Leopolda nie oddał na pensyą, sam osądź, że się słusznie żalę. Pisałeś mi już w septembrze, żeś go oporządził, a sam Icek mi powiadał, że go bez butów zastał, i żeś mu dopiero teraz cośkolwiek sprawił! Oprócz 300 złotych, które WPanu pan Kaczkowski zostawił, pożyczyłeś u furmanów kilka dukatów, wziąłeś za klawicymbał dukatów 10, za sprzedane hafty dukatów 13, za kanapy i stoliki złotych 100, a za szory, koła i inne drobiazgi i meble jeszcze nie wiem wiele. Z tego dałeś tylko duk. 7 za zegar Zinkowskiego, resztę zaś ekspensów na wyprawę rzeczy przesłałeś mnie do zapłacenia a zatém, jak miarkować mogę, przeszło 100 dukatów miałeś percepty, ponieważ sam pisałeś, że amfiteatr przyniósł 96 dukatów, z których tylko kilkanaście zabrał pan Kaczkowski. Z tych tedy pieniędzy, gdybyś był 15 dukatów odłożył na kwartał dla Leopolda, byłby już na pensyi i nie byłoby próżnéj ekspensy domowéj...“

Słowa powyższe wykazują, jak nam się zdaje, dostatecznie, że Bogusławski w osobie Tomaniewicza nie najgorliwszego miał następcę. Pomimo tego nie chcąc

go zrażać zupełnie, dodaje po długiéj litanii zarzutów: „Ale to wszystko pominąwszy, rozumiem, że się z tego regestrami usprawiedliwisz; tymczasem zaś, proszę, przedewszystkiém bądź przekonanym, że nie tylko, co ci się z zasług należy, to wszystko pewnie odbierzesz, ale nadto będę umiał nagrodzić mu wszystkie jego podjęte dla mnie starania.“

Niezadowolony ze swego położenia we Lwowie, pragnąłby nasz dependent, jak widać z dalszego ciągu niniejszego listu, przenieść się do Warszawy i prosi w tym celu dyrektora o poparcie. Odpowiedź, jaką otrzymuje, nie jest wcale zachęcającą: „Co do Jego tutaj, pisze, ochoty umieszczenia się w kancelaryi, zawczasu cię ostrzegam, nie czyń téj nieroztropności, abyś opuszczał miejsce swoje u Wgo Białoruskiego, przez co, znany już we Lwowie, możesz wyjść na człowieka, bo tu jest ubogich, oczekujących miejsca, tysiącami, i musiałbyś się pruskiego prawa z gruntu inaczéj uczyć. Chyba, jeśli chcesz widzieć tylko Warszawę, to odłóż to do lata, bo i ja zapewne będę we Lwowie. Jestto szczera i przyjacielska rada, którą przyjmij, jako z dobrego serca pochodzącą.“

Po téj pierwszéj, jednym ciągiem napisanéj połowie listu, następuje druga, złożona z dziesięciu niepowiązanych ze sobą punktów, stanowiących generalną instrukcyą dla Tomaniewicza. Przytaczamy z nich tylko trzy, gdyż pozostałe siedm albo ze względów na drobiazgowość materyi, albo dla tego, że są powtórzeniem dawniejszych rozporządzeń, nie zasługują na uwagę:

„Leopolda, jakożkolwiek przecie oporządzonego, przy jakiéj pewnéj okazyi odeślij mi WPan, bo go oddam do tutejszych szkół, gdyż w Galicyi uczący się medycyny muszą na nowo tutaj kurs odprawiać, a zatém, jak się cokolwiek poduczy, odeślę go do Berlina. Pan Teodor obrał sobie aptekarstwo, uczy się teraz z wielką pilnością łaciny i za dwa miesiące pójdzie do apteki. — Odeślesz mi WPan kaucyą autentyczną JWgo wojewody Potockiego za mnie daną, ponieważ odesłać mu ją muszę, gdyż już do mnie pisano, a to już na nic nie jest potrzebne. — Zadnemu z oficyalistów, ani służących nie dawaj WPan attestatów imieniem mojém. Nie można dobrém sumieniem dawać zaświadczenia tym niegodnym ludziom, którzy albo mnie kradli, albo tak nie-

godziwie postąpili sobie w nieszczęściu mojém. Każdego odeślesz WPan do mnie, mówiąc, że nie masz ani blankietów, ani plenipotencyi do tego.“

Ostatni punkt obejmuje wezwanie, aby Tomaniewicz przesyłką regestru wydatków udowodnił dokładność rachunków. Bogusławski prosi i zaklina, aby pełnomocnik spełnił wszystkie zawarte w owych dziesięciu artykułach życzenia, ponieważ — dodaje — największy cel mój, punkt honoru na tém zawisł, abym moje interesa we Lwowie jak najprędzéj zakończył i był jak najprędzéj w stanie przez publiczne pismo tam ogłosić, żem już nic a nic nikomu nie winien.“

O pozwolenie ogłoszenia takiéj odezwy poprosi wkrótce gubernatora i dyrektora policyi lwowskiéj, a wtedy dopiero — dodaje — „honor mój ocalony zostanie a ja spokojnym będę.“

List powyższy jest już ostatnim z pisanych przez dyrektora do dependenta. Nie ulega prawie wątpliwości, że musiały po nim nastąpić inne, lecz w naszym zbiorze nie ma ich wcale. Czy zaginęły, czy były dla p. Tomaniewicza tak niemiłe, że sprawił z nich całopalenie? Nie umiemy wyjaśnić. Jest jeszcze jeden list Bogusławskiego, ale już o cały lat dziesiątek późniejszy, pisany w porze Księstwa Warszawskiego 29go czerwca 1809 z Warszawy do Hilarego Siemianowskiego, mianowanego podówczas świeżo „konsyliarzem najwyższym policyi lwowskiéj.“ Pisze go dyrektor, nie mogąc się doczekać odpowiedzi od Bullego w sprawie zamierzonéj wycieczki na dwa miesiące do Lwowa, gdzie, są jego słowa, „w teraźniejszych okolicznościach narodowy teatr i ku miłéj zabawie i ku zagrzaniu ducha patryotycznego wiele mógłby posłużyć.“

Nie będziemy śledzili dalszych losów koczowniczego teatru, nie chcąc nadużywać cierpliwości łaskawych czytelników. Ale już z powyższego opowiadania, jak mniemam, jest rzeczą widoczną, że Bogusławski był niejako uosobieniem i ofiarą choroby, prześladującéj wszystkie prowincyonalne, wędrowne teatra polskie — choroby dotkliwego niedostatku i dręczącéj niepewności o jutro. Nic prawdziwszego, jak własne jego wyznanie, że od chwili, gdy objął kierunek sceny, „przez lat trzydzieści nie doznał nigdy spokojności: różnemi nawałnicami na różne miotany strony, utraciwszy majątek

i zdrowie, dopiero wtedy stanął u lądu, kiedy już między starością a grobem nic do użycia nie pozostało.“

Od owego czasu, od którego datuje początek swych kłopotów i nieszczęść, t. j. gdy z woli Stanisława Augusta został przedsiębiorcą i dyrektorem teatru, upłynął niemal wiek cały, bo w roku 1883 minie okrągłych lat sto. Jestto tak ważny wypadek w dziejach teatru polskiego, że społeczeństwo nasze, które w ostatnich latach okazało się bardzo pochopném do święcenia różnego rodzaju jubileuszów, a teatr, jako instytucyą narodową, otacza szczególną opieką, nie powinno zapomnieć o niespożytych zasługach tego niepospolitego człowieka, lecz uczcić je w sposób odpowiedni. Tém gorącém życzeniem kończę niniejsze opowiadanie.

Generał artyleryi koronnej.

I.

Hrabia Henryk Brühl, wszechwładny Augusta III minister, z żony Franciszki Kollowratówny, wedle Bartoszewicza „niewiasty rzadkich przymiotów,“ w rzeczywistości zaś kobietki bardzo lekkiéj, zepsutéj i dość podobnéj do zdjętego w powieści Kraszewskiego portretu, miał czterech synów i dwie córki.

Najstarszy z synów, Fryderyk Alojzy Józef, dziwnie bogaty w imiona, bo oprócz wymienionych już trojga, spotykamy obok jego nazwiska jeszcze inne, a mianowicie wedle jednych: Stanisława Ludwika, wedle drugich, Alojzego Macieja — owoż ów Fryderyk (bo tak go nazywać będziemy) sam jeden dobił się wybitniejszego w Rzeczypospolitéj stanowiska, i choć buta szlachectwa polskiego najdotkliwiéj dała mu się we znaki, choć jako pisarz w niemieckiéj literaturze poczestne zajmował stanowisko — nie poszedł za przykładem młodszych braci i nie porzucił przybranéj ojczyzny, aż dopiero w podeszłych latach, gdy syt dostatków i dostojeństw, w ojczystych stronach umyślił spędzić resztę żywota.

Przyszedł on na świat latem w roku 1739, a więc w porze, gdy ojcowska gwiazda pełnym już świeciła blaskiem, gdy sprytny, a w środkach nie przebierający minister, dokonawszy po mistrzowsku sztuki wysadzenia z siodła niebezpiecznego do pańskich względów rywala

w osobie Augusta Sułkowskiego, sam jeden bez podziału rządził dwoma państwami, a do współrządów w Rzplitéj nie przypuścił był jeszcze Czartoryskich, którzy dopiero odbywali polityczną pokutę za spółkę z Leszczyńskim i mimo najgorętszych poleceń ze strony petersburgskiego dworu, nie mogli znaleść łaski w obliczu Fryderyka Augusta.

Łaknący wiecznie nowych nabytków dla swego domu hr. Henryk, chciwém okiem spoglądał na rozległe włości Rzeczypospolitéj, któremi Król Jegomość wedle zwyczaju obdarzał dobrze zasłużonych, a których rozdawnictwo zależało tylko od jego skinienia. Myślał on, jakby to dobrze było wyposażyć temi dobrami własne potomstwo — jednakże prawa krajowe stawiały jego marzeniu nieprzepartą na pozór zaporę, bo tylko rodowity szlachcic polski mógł korzystać ze szczodrobliwości monarszéj.

Ale dla przebiegłego ministra nic nie było niepodobném. Zachciało mu się szlachectwa polskiego i stało się podług jego wszechwładnéj woli. Dowiedziała się wkrótce ze zdumieniem cała Rzeczpospolita, że Brühlowie to stara sarmacka szlachta, że ich przodkowie, głośni już za Kaźmirza Jagiellończyka — wówczas bowiem występuje Jan Brühl, podkomorzy poznański, dziedzic na Ocieszynie. Ten i ów, wiedząc, zkąd pochodzi faworyt, wzruszył ramionami, ten i ów rozsierdzony, zgrzytnął na panoszącego się i depczącego polskie zwyczaje i prawa Sasa — ale cóż pomogły wszelkie gniewy i oburzenia, kiedy ten ex-paź i niedawno jeszcze chudy pachołek, trzymał wszystkie sprężyny władzy w swym ręku, kiedy rozdając w imieniu króla dostojeństwa i starostwa, umiał ugłaskać najopornicjszych, a na dowód swego polskiego szlachectwa, mógł pokazać wcale udatne, imponujące, choć podrobione dokumenta. Familia Czartoryskich uczestniczyła w téj robocie, toż nie dziw, że się powiodła jak najświetniéj, i że nikt przeciw niéj nie założył protestu, a pan minister, chcąc aby komedya była zupełną, pieniał się po trybunałach o należny mu jakoby po przodkach majątek — wygrywał zaś nie tylko dla tego, że trząsł całą Rzecząpospolitą, ale i dla tego, że przegrywający lepiéj na tém wychodzili, niż gdyby im przyznano słuszność we wszystkich instancyach.

Dzięki tak szczęśliwie przeprowadzonéj intrydze, młodym Brühlom otwarły się na rozcież wrota do łaski i darów, szafowanych hojnie kosztem Rzeczypospolitéj; można powiedzieć, że niemal w kolebce padały w udziale niemowlętom zaszczyty i darowizny. Toż Fryderyk dwunastoletniém pacholęciem (r. 1750) został starostą grodowym warszawskim, a więc objął ważny urząd sędziego stolicy. Młodociany dygnitarz szumnie, z wielką wrzawą i pompą odprawił uroczysty wjazd do zamku, z wyuczoną powagą miał mowę do panów i szlachty, a pan wojewoda mazowiecki, filut nad filutami, choć śmiał się w duchu, prawił z wielkiém na pozór przejęciem i namaszczeniem o „tajemnicach łaski pańskiéj w dodaniu lat staroście," boć oczywiście musiał August upełnoletnić syna swego ulubieńca.

W siedm lat późniéj, bezwąsy młokos, dostał po Szółdrskim, wojewodzie inowrocławskim, chorągiew pancerną, a niebawem został orderowym panem dzięki carowéj Elżbiecie, która udzieleniem orderu Aleksandra newskiego synowi wice-króla pragnęła okazać, ile mu sprzyja. Jako młodzieniec dwudziestoletni dźwigał już zaszczyt poselstwa, bo brać szlachecka w Zakroczymiu za staraniem partyi dworskiéj ogłosiła go swym reprezentantem na sejm, który jak tyle innych, nie doszedł.

Ostrogi żołnierza zdobywał w niefortunnéj dla Saksonii wojnie siedmioletniéj, walcząc w szeregach sprzymierzonéj z elektorem Austryi przeciwko Fryderykowi II.

Stary minister z rozkoszą i dumą spoglądał na najstarszego potomka. Przystojny, miły, ujmujący w obejściu, wykształcony, utalentowany, grał, rysował i malował wybornie, mówił biegle kilku językami i nader zręcznie władał piórem, a jak się okazało, na polu bitwy umiał nieprzyjacielowi stawić czoło bez trwogi. Rozrywany w towarzystwach, chętnie widywany przez kobiety, nie dziw, że stał się ulubieńcem ojca, który mu pragnął w spadku przekazać własne znaczenie i zebrane różnemi sposoby bogactwa. Jakoż przeznaczył mu liczne starostwa i włości, a nawet ożenił go z córką Franciszka Potockiego, siostrą Szczęsnego, słynnego z zamożności dziedzica Humańszczyzny, pana na Krystynopolu.

Wespół z Brühlem skierował swe afekta na tak pełnego nadziei młodzieńca nieprzywykły do samodziel-

nego myślenia król August III. Zaczął go więc używać do dyplomatycznych misyi, wyróżniać zaszczytnie, i wysłał najprzód do Wiednia do Maryi Teresy, a później do Petersburga do świeżo na tron wyniesionego Piotra III z powinszowaniami, mianował go cześnikiem w. koronnym i obdarzył orderem Orła białego.

Ale wrażenie tak wielkich sukcesów miała wkrótce zaćmić bolesna klęska. Partya familii, zerwawszy z faworytem, dość dawno już ścierała się z nim i z całém stronnictwem dworskiém; nadeszła chwila stanowczéj walki, a zarazem stanowczego pogromu dla tak długo bezkarnego ministra. Cios miał ugodzić równocześnie i jego samego i ukochanego syna. Zbyt znane jest skandaliczne zajście na sejmie warszawskim (5 października 1762) między stolnikiem litewskim, Stanisławem Poniatowskim, który się stał na chwilę bohaterem dnia, wystąpiwszy w roli obrońcy swobód szlacheckich przeciw uroszczeniom obcego przybysza, a panem cześnikiem — zbyt znane, mówię, abyśmy je tu na nowo opisywać mieli. Zarzucano Fryderykowi, wybranemu posłem z ziemi warszawskiéj, że nie może posłować jako nie szlachcic, bo trybunał piotrkowski niesłusznie przyznał jego rodzinie polskie szlachectwo. Pan stolnik czując, że ma tłum za sobą, wśród wrzawy domagał się na całe gardło, aby Brühla wyrzucić z izby. Wołano już: „rozsiekać Brühla,“ co słysząc pan starosta, musiał uchodzić z pośród téj rozhukanéj rzeszy, którą niedawno jeszcze przywykł był widywać tak uniżoną i potulną. Nazajutrz wprawdzie zausznicy ministra i księcia Karola Panie Kochanku utrzymali starostę warszawskiego w charakterze posła, ale nic nie zdołało przywrócić mu wziętości wzburzonéj przeciw niemu szlachty.

Gniewało to Czartoryskich i licznych ich zwolenników, że Fryderyk otaczał się wspaniałym, niemal książęcym orszakiem, że miewał przy sobie straż niemiecką — że dostał od ojca dzierżone przezeń generalstwo artyleryi koronnéj. Wskazując na podobne nadużycia, nie trudno było odebrać staroście wszelką pośród szlacheckiego gminu popularność.

W niewiele miesięcy po ostatnim wypadku, nie mogąc dłużéj dźwigać ciężaru panowania, które się u niego kończyło na niezmiernie męczącéj funkcyi pod-

pisywania królewskiego imienia, zstąpił Fryderyk August do grobu. Nastały ciężkie dla Brühla czasy. Czartoryscy, popierani przez północną aliantkę, wodzili rej w rzeczypospolitéj, mszcząc się w dotkliwy sposób na swych adwersarzach. Rzecz prosta, że ulubiony syn ich największego wroga, szczęśliwy, we wszystko opływający Fryderyk, do którego, krom publicznych, ten i ów miał prywatną urazę, że lubo zagraniczny hołysz, wziął piękną i bardzo bogatą pannę — że mówię ów przystojny i dostojny młodzieniec, stał się pierwszym celem stronniczéj nienawiści. Brühl za życia króla generał i starosta i poseł i pan orderowy, i z łaski pańskiéj bogacz nielada, ujrzał się nagle na sejmie konwokacyjnym pozbawionym urzędów i włości, otrzymanych od króla — utracił nietylko generalstwo i mnogie godności, lecz nawet tak zręcznie przez ojca uzyskane szlachectwo polskie.

Ocaliła go jednak ta przytomność umysłu i zdolność oryentowania się, którą odziedziczył po ojcu, stojąc zresztą moralnie znacznie od niego wyżéj. Kogo innego niesprawiedliwość taka byłaby oburzyła do głębi i popchnęła do jak najsilniejszéj opozycyi: pana eks-starostę i eks-generała usposobiła wręcz przeciwnie. Czując całą potęgę prądu wiejącego od północy, umyślił pójść za powiewem wiatru, choć w ten sposób sprzeniewierzał się polityce ojca, popierał dążności śmiertelnych nieprzyjaciół jego i własnych, którzy mu niedawno tak ciężką wyrządzili krzywdę. Ale pan Fryderyk widział, że opór nie zdałby się na nic sprawie, a jego samego zgubiłby stanowczo. Może mu nawet wskazał taką drogę krótką przed śmiercią (1763) sędziwy ojciec, umiejący się dziwnie stósować do okoliczności.

Bądź co bądź, Brühl głosował na polu elekcyjném za tym, co niedawno żądał wyrzucenia intruza z izby sejmowéj, a niebawem miał sposobność ujrzeć błogie skutki tak politycznego postępowania: zyskał bowiem na razie tyle, że mu dozwolono podpisać się na dokumencie elekcyjnym, co już samo było aktem uznania jego szlachectwa.

Stanisław August nie zawiódł nadziei młodzieńca. Wstąpiwszy na tron za protekcyą postronnego mocarstwa, jako wyniesiony z poziomu szlacheckiéj równości człowiek partyi — pragnął on pokazać, że z chwilą

pozyskania korony wyrzekł się dawniejszych nieprzyjaźni i antypatyi, że jest odtąd, wedle staropolskiego ulubionego przysłowia, pszczołą, sączącą zarówno dla wszystkich słodkie miody łask i względów monarszych — że jak kokosz tuli wszystkich pod swoje skrzydła, że słońcem swego majestatu oświeca każdego, kto się tylko nie odwraca od niego zuchwale i pysznie, jak taki butny i buńczuczny książę Panie kochanku. Miał też ostatni król polski to poczucie szlachetnéj rycerskości, które go opuszczało czasem w późniejszych niepomyślnych czasach, lecz cechowało szczęśliwego wybrańca fortuny w porze tak niepośledniego tryumfu, jaki odniósł w r. 1763 i 1764.

Ale Król Imć nie mógł bez uchybienia sobie zadawać wręcz kłamu panu stolnikowi litewskiemu, który domagał się wykluczenia starosty warszawskiego z sejmu jako nieszlachcica. Aby więc uczynić zadość przyzwoitości i spełnić powzięty zamiar, nadał Poniatowski Fryderykowi i młodszemu jego bratu indygenat, przyznał im wszystkie dobra, jakie posiadali w kraju, dał pierwszemu nominacyą na generalstwo, przywiléj na starostwo warszawskie, lipnickie itd. itd.

II.

Położenie pana generała artyleryi koronnéj było teraz dziwném. Z tradycyi rodzinnéj i koligackiéj, jako ożeniony z Potocką, należał do przeciwników świeżo wzniesionego tronu — przez uczucie wdzięczności był jego poplecznikiem. Przyszło mu więc odgrywać rolę człowieka bezbarwnego, obojętnego na burzę, która na ówczas rozrywała łono Rzeczypospolitéj, do niczego się nie mięszać, by się nikomu nie narazić. Dla kogo innego byłaby to sytuacya trudna i nie do zniesienia, ale pan starosta warszawski, nie mający szczególnéj sympatyi do żadnego z bojujących stronnictw, a przytém, jakeśmy to już widzieli, układny, dosyć skłonny do ustępstw i wygodny, był z niéj podobno zadowolony.

W najburzliwszéj porze, gdy kraj cały, rozdarty na wrogie obozy, walczył na języki, na pióra, ba i na szable — podczas konfederacyi radomskiéj i barskiéj sie-

dział starosta cicho to w Krystynopolu u teścia, to wśród swoich w Saksonii, oddany pracy literackiéj i fachowo-wojskowéj, a do sporów nie mięszał się wcale. Może wreszcie i lepiéj, że jako bądź co bądź obcy, nie mięszał się do domowych zatargów i nie przyczyniał zamętu, od którego się rwały ściany Rzeczypospolitéj. Pełnił natomiast obowiązki swego stopnia z tak wielką gorliwością i znajomością rzeczy, że mu za to jednogłośne dostają się pochwały. W istocie dobrze się zasłużył około wydoskonalenia artyleryi koronnéj, wpierw zaś około uporządkowania i upiększenia Warszawy, nad którą jako starosta miejscowy miał sobie poruczoną pieczę.

Król widząc, że generał wstrzymuje się od udziału w politycznych knowaniach, a nad wykształceniem wojska pracuje ze szczerym zapałem, coraz większe okazywał mu względy. Co rok, zwykle w porze pierwszéj pieśni słowika na rozległych błoniach pod generalną rezydencyą Młocinami, odbywały się ćwiczenia, czyli tak wówczas zwane „kampamenta“ artyleryi koronnéj, z wielką paradą i pompą. W roku 1777, właśnie podczas takiego kampamentu, dał król dowódzcy order św. Stanisława.

Wdzięczny generał znosił się ciągle ze Stanisławem Augustem i wyjechawszy nawet do Saksonii, obdarzał go tyle podówczas, w braku gazet, pożądanemi nowinami politycznemi.

W rok po otrzymaniu orderu wyruszył Brühl swoim zwyczajem w rodzinne strony, aby po obowiązkowych trudach odpocząć w ulubioném swém miasteczku, Pforthen, położoném w niższéj Luzacyi.

Saksonia, nie przyszedłszy jeszcze zupełnie do siebie po klęskach siedmioletniéj wojny, stała się znowu teatrem walki, jaka wybuchła pomiędzy Austryą a Prusami — tylko że teraz nie stała po stronie piewszéj, jak wówczas, lecz drugich. Zatarg ztąd powstał, że Fryderyk II sprzeciwił się zajęciu Bawaryi przez Austryą po śmierci bezdzietnego elektora bawarskiego, Maksymiliana Józefa. I elektor saski oświadczył się za księciem Dwóch Mostów, a późniejszym królem bawarskim Maksymilianem I; tak więc znalazł się pod jedną chorągwią z śmiertelnym do niedawna wrogiem swego kraju, królem pruskim.

Nasz generał artyleryi więc, zamiast się oddawać spoczynkowi, więcéj niż kiedykolwiek miał do czynienia, bo i sam jako wojskowy ciekawy był rozpoczęcia akcyi wojennéj i zobowiązał się donosić królowi o wypadkach z teatru wojny. Po całych więc dniach, wedle własnych słów, bywa w ruchu, przebiega bez odpoczynku pola, podąża za przedniemi strażami i śledzi kierunek marszu różnych oddziałów, a w nocy, powróciwszy znużony do domu, układa relacyą dla Króla JMci. Owe relacye, pisywane w języku francuzkim a przechowane w oryginałach, dają nam wyobrażenie o ruchliwości generała i okazują, jak skorym był dla usług Stanisława Augusta.

Wchodzą one w zbyt drobnostkowe szczegóły, abyśmy je tu dosłownie powtarzać mieli. Nie była to zresztą wojna na wielką skalę. Ograniczała się na małych potyczkach; bardzo wcześnie, bo pod koniec września r. 1778, ku niemałemu zdziwieniu Brühla już się wojska zaczęły rozchodzić na leże zimowe, a 13 maja następnego roku zawarto pokój. Pomijamy przeto szczegółowe opisy potyczek, marszów, kontrmarszów i t. p., jako dla nas obojętnych, a nie należących do rzeczy, wspominając tylko dla charakterystyki naszego bohatera, że niepomny przebiegu siedmioletniéj wojny i nienawiści, jaką pałał ku jego ojcu nienawidzony wzajem Fryderyk II, generał okazuje się dlań usposobionym jak najżyczliwiéj, względem Austryi zaś zdradza stanowczą niechęć — rozpisuje się z upodobaniem i zapewne nie bez przesady o gwałtach, jakich się dopuszczają Austryacy i zapewnia, że za ich zbliżeniem panuje w okolicy powszechny popłoch.

Z listów, pisywanych do króla, podajemy tylko maleńki, bardziéj charakterystyczny ustęp, pod datą 19go września (z Pförthen):

„Gdy pruski król maszerował do Wittschütz, nieprzyjaciel zaczepił jego przednią straż i zdobył sześć armat, ale major książę Hohenlohe odebrał je napowrót i wziął nawet dwa nieprzyjacielskie działa wraz z mnóstwem jeńców, za co na placu został pułkownikiem. Książę pruski kierował tym tak pomyślnie wykonanym manewrem. Oficerowie nie mogą się dość nachwalić jego przytomności umysłu, nieustraszonéj odwagi i mądrych rozporządzeń, dawanych w téj potrzebie. Zdarzył się

też prawdziwy fenomen: król w obliczu wojska chwycił go w swe objęcia i uściskał, co mu się dotąd nigdy nie zdarzyło, lejąc łzy radości, poczém zamknął się sam z księciem na trzy godziny, i odtąd tak dalece go wyróżnia, że książę brunświcki okazuje zazdrość z tego powodu."

O ile krótką wzmianką mogliśmy zbyć korespondencyą Brühla z Poniatowskim, jako odnoszącą się do spraw nie zbyt ważnych, a nam obcych — o tyle uważamy za potrzebne przytoczyć w całości jedyny list Fryderyka, pisany do generała Komarzewskiego w sprawach wojskowych, a malujący wybornie ludzi i stósunki. Nie potrzebuje on osobnego komentarza, widać bowiem z niego jasno, o co chodzi — widać, jakie wyobrażenie miał Brühl o tém niegdyś przedmurzu chrześciaństwa, jak dawnemi czasy zwano Kamieniec, wbrew twierdzeniu historyografa téj miejscowości dr. Antoniego J., że był zachwycony i samą twierdzą, i jéj komendantem. A mógł w téj mierze wydać lepszy sąd niż inni, raz jako człowiek fachowy, a powtóre ponieważ wedle słów Bartoszewicza „często bardzo zajeżdżał do Kamieńca", miał więc sposobność dobrze mu się przypatrzyć.

„Otrzymałem wczoraj — pisze Fryderyk 28 lipca 1778 r. z Drezna do Komarzewskiego — sztafetę od Cichockiego, oddającego się rozpaczy, tak samo jak cały pułk, z powodu, że są skazani na powrócenie do Kamieńca. Wyznaję, że lepiéj byłoby rozwiązać oddział w Białym Stoku, gdyż stracimy trzy czwarte przez dezercyą. Ci, co znają i co zakosztowali komendy Witta, będą woleli palnąć sobie kulą w łeb, jak wrócić do niego. Jedni pójdą na granicę do Prusaków — inni, rodem z Podlasia, odkomenderowanie do Kamieńca uważają za równoznaczne z wypędzeniem na Sybir.

„Pomówmy, kochany Generale, trochę po wojskowemu, a zacznijmy od wypowiedzenia zasady, że skoro nieprzyjaciel, nie będący niedołęgą, zapragnie Kamieńca, będzie go miał w przeciągu pięciu do sześciu dni, choćby miasto miało do obrony Turenniusza, tém bardziéj zaś, gdy ma takiego paplę jak Witt, który nie przestanie nigdy wiele gadać, a robić będzie same tylko głupstwa i jest przedmiotem nienawiści wojska, nie wchodząc w inne przyczyny, czyniące Kamieniec jedną z najnędzniejszych forteczek w Europie. Jedna z nich jest skutkiem położenia Kamieńca, nad którym panują wzgórza, zkąd

mogą wziąć tył załodze na jéj własnych fortyfikacyach pod zasłoną ognia forteecznego z czterema moździerzami i zburzyć twierdzę tak, że kamień nie zostanie na kamieniu. Gdzież komendant złoży amunicyą, gdzie żywność? Ma on tylko jednę starą kazamatę w zamku, a i ta, wątpię, czy oprze się bombom. Gdy dowódzca nie będzie miał więcéj amunicyi, prócz magazynów prochu, te, wylatując w powietrze, porwą z sobą część załogi. Gdy głód da się we znaki, cóż pocznie komendant? Będzie zniewolony poddać się bardzo prędko. Jestem zobowiązany znać Kamieniec z powodu mego stopnia i nie sądzę, aby go generał Witt lepiéj znał odemnie, gdyż badałem tę miejscowość bezstronnemi oczyma, które widywały wiele fortec.

„Twierdzę, kochany Generale, że każdy, ktoby wzbraniał się wejść do Kamieńca i podjąć jego obrony, otrzymawszy rozkaz, postąpiłby źle, lecz byłby téż szaleńcem, gdyby wchodząc doń, nie wypowiedział tego, co ja powiedziałem. Tak jak dzisiaj, Kamieniec może się obronić chyba przeciwko konfederatom, Kozakom, Tatarom i innym wojskom tegoż gatunku, a wówczas co najwięcéj 1800 do 2000 ludzi mogłoby znaleść w nim schronienie. Większa liczba nabawiłaby komendanta kłopotu — nie ma ich nawet gdzie pomieścić, a ci, co tam mieszkają, mają gorsze kwatery, niż u mnie psy: ani łóżka, ani okrycia, ani nawet słomy, tak że aż litość bierze. I taka załoga aż nazbyt dostateczna dla stawienia czoła niespodziewanemu napadowi. Jeśli to przeciwko Turkom, nie zdolni oni wziąć tego miejsca od razu, choć byłoby tam tylko tysiąc ludzi. Przypuszczam téż, że nie pozwolonoby im oblegać spokojnie miasta i przeszkodziliby im, jak się zdaje, Rosyanie. Co się tyczy ostatnich, mniemam, że można ich zaliczyć do wojsk dobrze wyćwiczonych, a więc wypada mi tylko powtórzyć to, co już powiedziałem.

„Wierzaj mi, mój Generale, rozumny komendant nie chciałby nawet silniejszéj załogi. Poddaję twierdzenie moje pod sąd ludzi fachowych. Niech wypowie swe zdanie znający miejscowość generał Coccei. Uważałem za obowiązek sumienia nie taić, com myślał, bom przysiągł powiedzieć, cobym poczytywał za pożyteczne dla służby króla i Rzeczypospolitéj. Czynię to, Generale, a potém będę słuchał rozkazu. Jest to dozwolone,

a nawet nakazane każdemu wojskowemu, zajmującemu jakie takie stanowisko, wypowiedzieć, jak mu się rzecz przedstawia. Zrobiłem to i proszę cię, Generale, skorzystaj z rady mojéj w sposób, jaki uznasz za właściwy. Nie kieruje mną osobisty interes. Owszem, im więcéj będzie ludzi, tém więcéj liczyć ich będę pod moją komendą, ale gdyby się tak na nieszczęście stało, iżby całe to wojsko padło ofiarą, któżby pozostał? Gdybym dziś otrzymał rozkaz, zamknąłbym się chętnie w Kamieńcu, złożywszy jednak wprzód deklaracyą; wówczas poddałbym się bez szemrania losowi i dowiódłbym przynajmniéj, że pod gruzami Kamieńca spoczywają kości dzielnych ludzi, którzy nie wahali się, choć bezużytecznie, poświęcić dla ojczyzny życie.“

Ostatnie słowa, pełne patryotycznego zapału, zdają się świadczyć, że Brühl, acz Niemiec pochodzeniem, przywiązał się całém sercem do swéj drugiéj ojczyzny a o pierwszéj zapomniał. Mniemaniu temu jednakże zadaje kłam fakt, że w dziesięć lat późniéj, bezpośrednio przed sejmem czteroletnim, zerwał Fryderyk z całą swą polską przeszłością, zrzekł się wszystkich urzędów i godności i powrócił do Saksonii, gdzie dzielił czas między swoją łużycką posiadłością a stolicą, oddając się literaturze i życiu towarzyskiemu.

Mówią, że go zniechęcił do Polski zgon drugiéj, ukochanéj małżonki, również z domu Potockiéj, którą na nagrobku kamedulskiego kościółka na Bielanach zwie „najlepszą i najcnotliwszą żoną i matką,“ siebie samego mieniąc „najnieszczęśliwszym z mężów.“ Ale twierdzenie to nie bardzo wydaje się zgodném z prawdą, skoro „najnieszczęśliwszy“ wdowiec nie wahał się raz jeszcze wejść w związki małżeńskie, a widać, że i uczucie polskie nie bardzo silnie w nim biło, skoro swego pióra nie poświęcił nigdy polskiemu piśmiennictwu. Jego komedye zażywały w swoim czasie wiele popularności i grywano je na prowincyalnych i stołecznych scenach, a i warszawski teatr wystawił pięcioaktowego *Podrzutka* i krótszy *Figiel za figiel*, tłómaczony przez Wojciecha Bogusławskiego. Umarł Fryderyk 27 stycznia 1793 r. w drodze z Drezna do Berlina.

Przygody szpiega.

Pamiętniczek, z którego podajemy czytelnikom naszym szereg ciekawych szczegółów o Polsce w pierwszéj połowie XVIII wieku, zawdzięczamy paryzkiemu archiwum koronnemu (archives nationales) w ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie spotkaliśmy się z kilku kartkami bezimiennego pisarza, opiewającego niekaligraficznie ciekawą Odysseę losów nieznanego z imienia nadsekwańskiego przybysza nad brzegami Wisły.

Opowiadając z drobiazgową ścisłością wszystko, co mu się przytrafiło od chwili wyjazdu z Królewca aż do powrotu, zapomina jednak nasz turysta, a raczéj szpieg polityczny, dopełnić opisu odkryciem przyłbicy i wyjawieniem własnego nazwiska. Uczynił to niezawodnie z powodu, że znali je dobrze ci, dla których spisywał swój dyaryusz, a o potomność bez wątpienia nie dbał, ani przypuszczał, aby ktoś w czwartéj cząstce XIX wieku zechciał drukiem rozsławiać jego imię, skazane może, jak tyle innych, na to, aby utonąć „w niepamięci piasku.“

Jeśli zaś wbrew takiemu przeznaczeniu dzienniczka francuskiego turysty nie wahamy się uchylić zasłony z jego postaci i wtajemniczyć ogół w pozostałą po nim piśmienną spuściznę, czynimy to ze względu na nie małą wagę jego zwierzeń dla politycznéj i obyczajowéj historyi, na barwną i dosadną charakterystykę, mimo wiedzy może autora objaśniającą tak wymownie ducha czasu i ludzi.

Nazywając go powyżéj szpiegiem, nie rozminęliśmy się z prawdą, lecz użyliśmy może zbyt silnego wyrażenia; spieszymy więc z objaśnieniem, aby zdjąć z anonima hańbiące piętno. Był on wprawdzie szpiegiem, jak widać z toku jego narracyi, lecz nie w pospolitem znaczeniu wyrazu — podejmował się roli, budzącéj w nas wstręt tak słuszny, lecz nie jako płatny najemnik, tylko jako ochoczy zwolennik sprawy, któréj służył, poczytując sobie tę misyą nie za hańbę, ale raczéj za chlubę i zasługę.

Nie on jeden zresztą tak rzecz pojmował i nie on sam puszczał się na niebezpieczną grę śledzenia kroków nieprzyjacielskich. W porze naszego opowiadania było szpiegostwo bardzo powszedniém zajęciem w obydwóch stronnictwach, tak u Sasa, jak i u Lasa, o czém świadczą przechowane szczęśliwie listy szpiegów, donoszących swym przyjaciołom politycznym, co się działo w przeciwnym obozie. Pochodzą one nie tylko od osób, wysłanych na zwiady, lecz także od ludzi, którzy na pozór należąc do jednéj partyi z konieczności lub dobrowolnie, czy to ulegając serdecznemu pociągowi do drugiéj, czy téż w nadziei, że ona z czasem weźmie górę, a chcąc sobie wcześnie zaskarbić jéj względy, utrzymują z nię stałą korespondencyą na wzór księcia Marlborough, Leedsa, Godolphina, Seymoura i tylu innych, pozornie najwierniejszych sług Wilhelma Orańskiego, a znoszących się mimo to z wygnanym Jakubem Stuartem i zdradzających mu wszystkie zamysły swego pana.

Jak w ostatnim dziesiątku XVII wieku między Londynem a Saint-Germain, tak w czwartym XVIII stulecia najprzód między Krakowem, Warszawą a Gdańskiem, późniéj zaś między Warszawą a Królewcem, rezydencyami Fyderyka Augusta III i Stanisława Leszczyńskiego, biegały nieustannie na różnych tajnych drogach listy, wykrywające najważniejsze nieraz rządowe sekreta, pisywane zwykle pod pseudonimami takiego n. p. Morgensteina, wiernego Stanisławczyka, chowającego się pod skrzydłami saskiego stronnictwa.

Jak w Anglii, tak i w Polsce rozmaicie owym skrytym agentom służyło szczęście. Jeśli niektórym z pomiędzy nich, jak Rudzińskiemu, kasztelanowi czerskiemu, który się w roku 1734 nieszczerze zaciągnął

pod saską chorągiew, udawało się stale uchodzić czujnego oka stróżów — innym natomiast mniéj pomyślnie się wiodło, że tylko wspomnimy księdza kanonika Humańskiego, który za znoszenie się z podskarbim Ossolińskim i dworem Leszczyńskiego poszedł do turmy.

W skutek rozwiniętéj po obu stronach podejrzliwéj czujności, listy bardzo często przejmowane dostawały się w niewłaściwe ręce; ztąd téż z konieczności trzymane w tonie ogólnikowym, pełne zwrotów tajemniczych, przenośni i pseudonimów, nie dość szczegółowych dostarczały wiadomości.

Postanowiono tedy dopomagać sobie wysyłaniem ludzi, którzyby pod osłoną prywatnych interesów zjeżdżali do rezydencyi nieprzyjaciół, po zasięgnięciu pożądanych informacyi wracali do swych panów, aby ustnie opowiedzieć, co im się widzieć i słyszeć zdarzyło, a przy sposobności jednać zwolenników swemu stronnictwu. Taką rolę odegrał prawdziwie po mistrzowsku w Królewcu na niewiele tygodni przed zajmującemi nas obecnie wypadkami zdradziecki skarbnik litewski, Odachowski, najprzód stronnik Stanisława, od chwili zaś dostania się do niewoli rosyjskiéj, ślepe narzędzie Sasów. Dzięki nieograniczonéj łatwowierności zacnego Leszczyńskiego, udało mu się pod samem okiem króla w najjaskrawszy sposób podniecić szlachtę i magnatów do przerzucenia się na przeciwną stronę i potrzeba była dopiero całéj energii mniéj dobrodusznych ludzi, aby przekonać „dobroczynnego filozofa,“ że zażartował z niego pan skarbnik, zapewniając, iż dla wyższych celów będzie musiał niekiedy podawać się za jego przeciwnika.

Toż samo zadanie, co Odachowski w Królewcu, miał teraz spełnić w Warszawie bohater naszego opowiadania, o którym wiemy jeszcze z pewnością, że nie był Polakiem, lecz Francuzem, co widać z dziwnie przezeń przekręcanych polskich imion.

Puścił się on z Królewca 4 września 1735 roku i dzięki paszportom, w które się zaopatrzył, przejechał bez najmniejszéj przeszkody przez oddziały Rosyan i Sasów, spieszących do Warszawy. Drudzy pod wodzą generał-majora Polentza równocześnie z nim stanęli w stolicy. Ucieszony doznawaną dotychczas względnością, swobodniéj już oddychał, gdy w tém niespodzianie spotkała go przykra i niebezpieczna przygoda.

W Wyszogrodzie, o 11 mil od Warszawy, przyaresztował go oddział żołnierzy, złożony z 25 do 30 ludzi. Ci przetrząsnąwszy rzeczy podróżnego jak najściśléj, zmusili go do pokazania pasportów i korespondencyi, które rozpieczętowali bez ceremonii. Znajdował się między listami jeden, pisany przez niejakiego pana Domskiego (ma być zapewne Dąbski lub Dąmbski) do brata, a w nim cztery dukaty jako koszta utrzymania ekwipażu, pożyczonego Francuzowi na podróż. Żądni grosza rycerze nie przepuścili i dukatom, jak niemniéj kosztownemu angielskiemu zegarkowi, zaręczając tylko, że wszystko najniezawodniéj zwrócą w Warszawie.

Trzymali go tak wśród siebie przez całe dwa dni, poczém pozwolili mu przeprawić się przez Wisłę, zdarłszy w końcu biedaka choć nie na własną korzyść, bo zmusili go do zapłacenia dukata przewoźnikom. Złupiony Francuz musiał téj kwoty pożyczyć od lokaja, sakiewka jego bowiem spoczywała w ręku niemiłych stróżów. „Znam — dodaje rozżalony turysta — imiona wszystkich oficerów, mieniących się przywódzcami téj partyi.“ Ciekawa rzecz, ilu wodzów liczyć mogła garstka, złożona z dwudziestu kilku ludzi.

Generał-major Polentz, przybywszy do stolicy 12 września, kazał wyjść z zamku ośmiu rotom Rosyan, z podpułkownikiem na czele, którzy go strzegli dotychczas. Poszli oni do Pułtuska, „gdzie — dodaje nasze źródło — przebywają jeszcze obecnie.“ W ich miejsce wyznaczył Polentz pułk de Xavier Saxon, nadto około 180 ludzi z gwardyi koronnéj i dwie kompanie artyleryi. W porze przybycia tego wojska, było w Warszawie jedenaście dział kutych albo lanych: sprowadzono zaś wówczas z Drezna jeszcze szesnaście sztuk trzyfuntowych lanych.

Z panów polskich znajdowali się wówczas w mieście: Biskup poznański Hozyusz, Dunin Piotr, kasztelan radomski, Poniński, marszałek konfederacyi wraz z synem i dwoma krewnymi. Prócz wymienionych byli jeszcze inni, ale to już figury bez znaczenia. Z posłów zagranicznych bawili tutaj: angielski i holenderski.

Sam Fryderyk August przybył z żoną do rezydencyi 22 listopada, o godzinie 4 po południu. Towarzyszyli mu hr. Wratislaw, ambasador cesarski, poseł duński, Lipski, biskup krakowski, dwóch Szembeków, dwóch

Flemmingów, książę Sanguszko, marszałek wielki nadworny, Sułkowski, Brühl i Moszyński, podskarbi nadworny koronny, występujący w relacyi francuskiéj pod niełatwą do odgadnięcia nazwą „Mugensky, petit trésorier.“

Uświetniała to grono swą obecnością szczególna postać, przypominająca żywo jednę z najpocieszniejszych figur Arystofanesa, a rzucająca jaskrawe światło na środki i sposoby, używane przez gabinet saski, dla zyskania przewagi nad Leszczyńskim.

Osobliwy ten człowiek przedstawiał w owéj chwili wcale pokaźną osobę, bo samego posła Porty Ottomańskiéj, w tym bezwątpienia celu, aby Stanisławowskich stronników przekonać, że daremnieby dłużéj trwali w uporze, skoro już nawet Turcya, dotąd stale Augustowi przeciwna, godząc się z nieodpartą koniecznością, uznała go królem. Był to zaś poprostu przebrany tylko po turecku żyd, znany dobrze całemu miastu, gdyż — jak zaręczało wiele wiarogodnych osób, przed pięciu laty sprzedawał w Warszawie futra i klejnoty.

Wieść o téj komedyi tak zaalarmowała i ubawiła mieszkańców, że król, nie chcąc się podawać na pośmiewisko ogółu, wkrótce niegodnemu oszustwu położył koniec, składając żydka z improwizowanéj godności równie szybko, jak go na nią wyniósł. Rzecz oczywista, że ów pomysł nie urósł w głowie ociężałego Augusta, nie można go téż przypisać wygodnemu i dumnemu Sułkowskiemu, lecz raczéj skoremu do podobnych intryg i żadnym środkiem nie gardzącemu Brühlowi.

W ośm czy dziesięć dni wracała owa strącona wielkość nie z pyszna do Saksonii, a gazeta holenderska, godna poprzedniczka dzisiejszych dzienników, puściła fałszywą wieść, jakoby ex-posła schwytano w niechlubnym odwrocie. O dalszych jego losach głucho w dziejach; możnaby jednak powątpiewać, czy na wyżynie, na jaką go wyniósł chwilowy interes nie przebierających w środkach Sasów, nie dostał zawrotu głowy i czy z równym, jak dawniéj, zapałem handlował futrami i klejnotami.

August pozostał w swym pałacu od 22 do 26 listopada. Gdy konno odbywał wjazd do stolicy, otaczało go tylko czternastu Polaków. Powitany przez straż miejską pod łukiem tryumfalnym na Krakowskiém Przedmieściu, pospieszył do kościoła św. Jana, gdzie odśpie-

wano Te Deum. Następnie witali go Robertson, audytor biskupa poznańskiego i Lipski, biskup krakowski.

Królowa, przybywszy incognito, przyglądała się ceremonii z trybuny. Po skończeniu nabożeństwa odbył się powrót przez galeryą do zamku, gdzie biesiadowano przy dwóch stołach. Na przodzie jednego siedział król, drugiego zaś królowa, na jednym było dwadzieścia cztery zastaw, na drugim trzydzieści sześć.

W czasie uroczystości Moszyński, jako podskarbi nadworny, rozrzucił pewną ilość złotych pieniędzy i medalów, po jednéj stronie z koroną i z napisem: Meruit et tuebitur, na odwrotnéj zaś: Augustus tertius, rex Polonorum, magn. dux Lith. electus V. oct. 1733, coronat. 17 jan. 1734.

Po opisanym wjeździe królewskim, przybyli do Warszawy: wojewoda chełmiński, Jan Czapski, kanclerz w. litewski, książę Michał Wiśniowiecki z żoną, wojewoda trocki, Józef Ogiński, generał artyleryi Sapieha z żoną, biskupi: płocki, Jędrzéj Stanisław Załuski i kujawski, Krzysztof Szembek — oraz niejaki Dąbrowski i Stanisław Poniatowski, wojewoda mazowiecki. Z ostatnim często prowadziła polityczne rozmowy ambitna Austryaczka, królowa Józefina. Zajmowała się ona bez porównania więcéj sprawami państwa, niż otyły i gnuśny Fryderyk August, nawykły nie dbać o cały świat, jeśli tylko mógł spokojnie puszczać z lulki kłęby dymu i patrzeć bezmyślnie w płonący na kominie ogień, zwłaszcza gdy na dworze było zimno i wietrzno — dla rozmaitości zaś słuchać bez ruchu muzyki lub co najwięcéj, strzelać do psów.

Psuć sobie głowę publicznemi interesami czyż warto? a od czegoż Brühl i Sulkowski, tylko aby mu oszczędzali kłopotu. Błogi spokój, cisza, wygoda, oto hasła, którym hołdował.

Inne o królewskich obowiązkach wyobrażenie miała żona monarchy, zwanego przez współczesnych „słupem“ i „statuą...“ W głowie dumnéj córy cesarzów roiły się wyniosłe plany, które nie dozwoliły jéj równie spokojnie odpoczywać na tronie, jak to czynił godny jéj małżonek.

Pożerana żądzą wyniesienia się po nad inne koronowane głowy, w kilka lat późniéj nakłoni niełaknącego

wyższych zaszczytów Augusta, do starania się o dostojeństwo cesarza niemieckiego; obecnie ogranicza swe zabiegi na utrwaleniu nie dość jeszcze pewnéj władzy królewskiéj w Polsce. Kilka miesięcy wprzód błagała świeżo na „saską wiarę“, choć tylko powierzchownie nawróconego prymasa, Teodora Potockiego, aby zamiast dwuznacznego: *Niech żyje król*, wznosił raczéj toast: *Niech żyje August* — teraz z ważniejszą prośbą zwraca się do Poniatowskiego.

Wiedząc, jak wielką wziętością między wojskiem cieszył się niepopularny wśród magnatów wojewoda, zaklinała go (*faisait les instances imaginables*), aby zechciał zawezwać armią do poddania się Fryderykowi. Jaki skutek odniosły nalegania królowéj, nie dodaje autor pamiętniczka; dla nas jednak nie ma w téj mierze wątpliwości. Pełen galanteryi, zwłaszcza dla tak wysoko położonych dam, Stanisław nie mógł się okazać twardym dla żony swego monarchy, o którego względy chodziło mu teraz więcéj, niż kiedykolwiek. Dziwi nas to nawet, że potrzeba go było tak bardzo prosić o odezwę do rycerstwa, gdyż od chwili poddania się Gdańska niejednokrotnie już odzywał się w tym duchu. Może pan wojewoda nie odmawiał, lecz zapewniał tylko o bezskuteczności podobnego środka, zastawiając się, jak niewiele miesięcy wprzód w liście do Kayserlinga, niepłonną wcale wymówką, że popularność jego nietylko pośród szlachty, lecz i w wojsku, od chwili przejścia do saskiego obozu, znacznie podkopana.

Fryderyk August w ostatnich dniach 1735 roku oświadczył osobom, zasługującym na wiarę, że jeśli będzie musiał koniecznie wracać do Saksonii, pożałują tego Polacy, a zdanie swoje uzasadniał, napomykając o krzywdach, jakich się naród może spodziewać po armii rosyjskiéj, rozproszonéj po całym kraju, szczególniéj zaś w okolicach Warszawy, w Pułtusku, Rawie, Łowiczu i Węgrowie. Liczył na spotkanie się z wojskiem polskiém między Sandomierzem a Lublinem i na stoczenie z niém bitwy.

„Na samym schyłku roku — czytamy we francuskim dyaryuszu — stanął w stolicy szlachcic polski, którego poznałem zaraz, bom go widział w Królewcu w komnacie króla polskiego“. Leszczyński, będąc wówczas widocznie przy pieniędzach, co mu się w porze królewieckiéj

rezydencyi bardzo rzadko zdarzało, obdarzył nawet sprytnego szpiega datkiem pieniężnym. „Nie wiem jak się nazywa — powiada Francuz — lecz wiem natomiast, że nacechowany blizną na głowie i na czole.“

Nasuwa nam się mocne podejrzenie, że tym filutem, co króla Stanisława tak zręcznie wywiódł w pole, co mu szkodził za jego własne pieniądze, nie był nikt inny, tylko znany nam już Odachowski. Zgadzają się daty, bo wypędzony wreszcie w lipcu z Królewca, mógł teraz przybyć do Warszawy, a ponieważ wpierw służył wojskowo, mógł jako pamiątkę żołnierskiego rzemiosła unieść dwie szramy. Nie możemy jednak powiedzieć tego z pewnością, bo skoro nie znaleźliśmy w liście Ossolińskiego konterfektu pana skarbnika, nie wolno nam wychodzić z granic domysłu, a za walną w téj mierze pociechę służy nam silne przekonanie, że historyografia nie wiele na tém straci, jeśli tożsamość osoby nie zostanie ostatecznie sprawdzoną.

Otóż ów pan skarbnik, czy téż inny równie dowcipny szlachcic, wielkiéj trwogi nabawił francuskiego przybysza. Jeśli drugi miał dobrą pamięć i bystre oko, niemniéj czujnym był pierwszy. W obecności samegoż Francuza szepnął do ucha księciu Sanguszce i biskupowi Lipskiemu, że należy się strzedz ptaszka i mieć się przed nim na baczności, dodając, iż zasługuje także na uwagę fakt, że gość, wedle zapewnienia pewnego Sasa, był na mszy w katolickim kościele potajemnie (*lui y étant incognito*).

Książę Sanguszko, jako marszałek, z urzędu swego mając powinność czuwania nad dobrém i bezpieczeństwem króla i Rzeczypospolitéj, przesłał nazajutrz Francuzowi w imieniu dworu rozkaz, aby odtąd nie przychodził już na zamek. Trzeba było, choć z żalem, zastósować się do wyższéj woli, ale snać wkrótce do poprzednich przyłączyły się silniejsze podejrzenia, bo w tydzień późniéj nadszedł na téjże saméj drodze stanowczy rozkaz, aby przybysz z nad Sekwany w ciągu czterdziestu ośmiu godzin opuścił Polskę. Dano mu w tym celu saski pasport i zapowiedziano dostawienie przez straż, złożoną z drabantów, do Francyi, przez Ślązk, Saksonią i inne, od cesarza zawisłe ziemie. „Ce que j'ai prévenu — dodaje z żalem — en me reti-

rant en Prusse, et en payant chèrement mes guides."

Nie czekając przeto na przyrzeczoną sobie straż, nie miał bowiem wcale ochoty wracać do ojczyzny, ujechał ze stolicy chyłkiem i pospiesznie, ale krok ten za miast uwolnić nieszczęśliwego od narzuconéj opieki, na nowe go owszém wystawił kłopoty. Jak tropiony banita, musiał starannie unikać wszelkiego spotkania z Rosyanami i Sasami; dla tego wymijał jak zapowietrzone wszystkie, przez ich wojska obsadzone miejscowości. Nie udało mu się przecież wyminąć Skrzeszowa, gdzie przebywał pułkownik rosyjski z sześciuset ludźmi i jedném działem.

Pan komendant wybadawszy go nasamprzód szczegółowo, pozwolił mu jechać daléj spokojnie, ale wkrótce snać pożałował swéj łagodności, bo gdy Francuz poczytując się już za bezpiecznego, odpoczywał w leśnéj karczmie, nazwanéj tu z polska „cachemar", powrócił pułkownik z orszakiem ośmiu oficerów, pewnéj liczby kałmuków i kozaków, żądając ponownie pokazania paszportów, a wiódł też z sobą sekretarza, biegłego w trzech językach, t. j. w polskim, rosyjskim i niemieckim.

Na szczęście płonną okazała się bojaźń, przepełniająca serce uchodzącego Francuza na widok tak licznego zastępu wojskowych, gdyż pułkownik wziął tylko do ręki pasport, wydany przez rosyjskiego ambasadora, o który z właściwą sobie przezornością postarał się przybysz w Warszawie, kazał go odczytać na głos wobec całego towarzystwa, poczém najspokojniéj wyszedł. Widząc odchodzących, ochłonął chwilowy mieszkaniec karczmy. *Il avait sans doute* — dodaje — *ses raisons pour le faire, ce que j'ignore.* Może nagabywany przez którego z oficerów, że wypuścił z rąk niebezpiecznego człowieka, dla uwolnienia się od zarzutu, polecił odczytać publicznie rosyjski pasport.

Po téj pomyślnie zakończonéj przygodzie, bez przeszkody już, jak się zdaje, dojechał Francuz do Królewca. Nie twierdzimy jednak stanowczo, czy tak było, kartki bowiem naszego manuskryptu, późniéj dopiero widocznie zeszyte i liczbowane, nie dostarczają nam dostatecznéj rękojmii, czy która z nich nie została uronioną w szeregu lat, oddzielających nas od owéj epoki.

Odprowadziwszy Francuza do rezydencyi Stanisła-

wowskiéj — musimy teraz odsłonić pewien sekret jego pamiętnika, który dodaje rys wymowny a smutny do charakterystyki obyczajów owych czasów. Do wielu przesadzonych obwinień, złożonych na nieszczęśliwe barki Stanisława Augusta, tego kozła ofiarnego, nad którym znęcanie się przez tak długie lata stanowiło najulubieńsze i najpopularniejsze zajęcie pewnéj szkoły historycznéj — należy i to, jakoby rozwiozły król wniósł rozpasanie i demoralizacyą w czyste dotąd ogniska rodzinne narodu. Jeśli się nie da zaprzeczyć, że bezżenny, za łatwemi miłostkami goniący król, przykładem swym nie mógł oddziaływać zbawiennie na moralność otoczenia — to z drugiéj strony przyznać należy, że wbrew tak rozpowszechnionym krzykom na ówczesne zepsucie, ograniczało się ono jedynie do wyższych sfer hierarchii społecznéj, zakreślając przytém koło nie opodal stolicy, a nie docierając na szczęście do głębi społeczeństwa, do oddalonych od dworskiego gwaru rodzin szlacheckich, wiernych starodawnéj prostocie i patryarchalnéj czystości obyczajów. Nie zawadzi przytém pamiętać, że pewną część pierwszych w kraju rodzin znacznie już wprzód przegryzła rdza rozkładu — że sprawczynią powszechnego rozprzężenia i upadku moralnego była epoka Sasów, pod którą grunt przygotował zgubny wpływ francuski.

Działał zaś nie tylko fatalny przykład cynicznego Augusta II, lecz także ów daleki powiew od wykwintnego i ton nadającego Zachodu. Takie we Francyi na dworze Ludwika XIV wychowane, a w Polsce za mąż powydawane damy, jak księżna Kaźmirzowa Czartoryska, kasztelanowa wileńska, i marszałkowa Bielińska, obie z domu podskarbianki Morsztynówny, takie na powaby Paryża zapatrzone piękności, jak hetmanowa Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska, podkopywały coraz więcéj prostotę i czystość prastarego obyczaju.

Działo się wiele złego już i przed niemi, w XVII wieku i dawniéj, ale o tém mniéj wiemy i z powodu większéj odległości epoki i dzięki większéj wstrzemięźliwości języka, bardziéj wpierw dbałego o szanowanie czci niewieściéj, choćby się ona sama nie szanowała. Toż do dnia dzisiejszego ogół, umiejący wyliczyć na palcach wszystkie płoche Syreny z drugiéj połowy XVIII wieku, nie zna głośnego zgorszenia z drugiéj po-

łowy XVII stulecia, którém się wsławiła szanowna wielce matrona, żona Bogusława Słuszki, kasztelana wileńskiego i hetmana polnego lit. za życia męża romansując równocześnie z wojewodą wileńskim, Kaźmirzem Sapiehą i Rafałem Leszczyńskim, ojcem króla — po jego śmierci zaś i wyjściu za pierwszego z amantow, pozostając z drugim w jak najprzyjaźniejszych stósunkach.

Do galeryi płochości tych czasów dodaje anonim francuski nowy konterfekt. Oto turysta ten wątpliwego charakteru powołuje się wszędzie i z bezczelną otwartością na protekcyą i gorącą sympatyą jednéj z dam polskich. Damą tą była pani kanclerzyna Tekla z Radziwiłłów, primo voto Flemmingowa, która wyszła po raz pierwszy za mąż 9 stycznia 1725 r., a owdowiawszy w trzy lata późniéj, oddała swą rękę powtórnie księciu Michałowi Wiśniowieckiemu. Damę tę już dwa lata przedtém w najniepochlebniejszych barwach malują agenci sascy, hr. Wackerbarth i jenerał Baudissin, zarzucając jéj lekkomyślność i chciwość — obecnie zaś niegodny hołysz i przybłęda z „gościnnéj ziemi Franków“ z oburzającym cynizmem powołuje się na poufałe związki z wielką panią polską — i to właśnie stanowi najdotkliwszą karę księżnéj.

Pierwszą wzmiankę o protektorze naszego anonima znajdujemy w ustępie, gdzie mowa o rozkazie, aby Francuz oszczędził sobie nadal trudu składania wizyt w zamku, przyniósł go bowiem pewien szlachcic „do pałacu pani kanclerzyny wielkiéj,“ co nam wskazuje, że tam nasz bohater zamieszkał.

Po téj pierwszéj ogólnéj wskazówce następują inne, bez porównania dokładniejsze. Nasz awanturnik mówi już wyraźnie o zabiegach księżnéj Tekli, mających na celu wyjednanie mu prawa powrotu.

Z téj części dyaryusza podajemy drobny wyjątek, jako charakterystyczny i popierający nasze zdanie. „*Madame la grande chancelière* — czytamy — *qui me fait la grâce de m'aimer*, używała wszelkich środków, pisała nawet do Augusta w jak najdobitniejszy sposób o mojéj sprawie, ale nic nie zdołała uzyskać.“ Ow list, wedle zapewnienia autora, ma być załączony przy dzienniczku, lecz nam nie udało się z nim spotkać.

„Czuje się ona tém bardziéj dotkniętą“ — opowiada daléj Francuz że otrzymała pasporty od hr. Wratislawa i pana Brühla, ministra dworu saskiego, dla wysłania z całém bezpieczeństwem jednego ze swych powozów z potrzebnym na to funduszem do Paryża po moję żonę, „którą chce koniecznie mieć przy sobie, tak samo, jak mnie do końca życia.“

Słowa powyższe mogłyby nasunąć uwagę, że chyba chełpliwość anonima jest niesłuszna, że księżna była tylko szlachetną protektorką biednego przychodnia. Pragnęlibyśmy sami szczerze, aby tak było; niestety, dalsze wywody rozwiewają to korzystne przypuszczenie.

Ale trzeba nam wracać do powozu, mającego przywieść z Francyi do Rzeczypospolitéj godną Francuza połowicę. Przechodził on szczególne koleje, jakby na stwierdzenie, że nie tylko księgi mają swoje fata. Wyprawiony w drogę jeszcze 29 listopada r. 1735, zatrzymany został w Łowiczu i zaprowadzony do Rawy. Nazajutrz, z rozkazu jenerała Lacy, przytrzymano jadącego z nim sekretarza, pod pozorem, że ów człowiek imieniem Gibert, był dawniéj u posła francuskiego, markiza Monti, podczas gdy jeszcze obecnie — czytamy w relacyi — przebywa u markiza ktoś inny, imieniem Dader. Pod takim więc czczym pozorem, a raczéj, jak podejrzywa autor, w skutek dobrze obmyślanego planu, przetrząsnąwszy skrupulatnie wszystkie jego papiery, w których nic zdrożnego nie znaleźli, więzili go przez cały miesiąc, poczém pozwolili mu jechać daléj na Wrocław, Saksonią i Frankfurt, nie myśląc wcale tłómaczyć się „*après un pareil affront.*“

Prześladowany przez los i ludzi Francuz wie dobrze, jak sobie tłómaczyć wszystkie te zdarzenia. „Mam dowody w ręku — woła z oburzeniem — że książę Sanguszko, książę Wiśniowiecki (Michał) i generał artyleryi, Sapieha, naprzykrzali się Fryderykowi Augustowi, aby mnie oddalił od kanclerzyny (*à m'exiler d'auprès de Madame la chancelière*).“ Wspólność zabiegów księcia kanclerza i generała artyleryi tłómaczy się tém, że obydwaj pojęli rodzone siostry, Radziwiłłówny, obydwaj zatém lękali się, aby księżna Tekla wedle domysłu Francuza nie spróbowała rozrządzić na jego korzyść swoją fortuną.

W téj ważnéj i delikatnéj sprawie wolimy znów odstąpić głosu anonimowi, aby sam przedstawił swe położenie wobec książąt i księżnéj. „Widząc — są jego słowa — w jak wielkiéj łasce jestem u księżnéj, obawiali się, abym im nie sprawił uszczerbku.“ Ale równocześnie stara on się wykazać płonność tych obaw, oświadczając, że jego przeciwnicy wiedzą przecież dobrze, „*que n'ayant pas l'indigénat, je ne peux pas hériter de la dite dame.*“

Nieludzkie ich postępowanie z biednym Francuzem przywodzi księżnę „do rozpaczy“, a boleść jéj powiększają doznawane zkądinąd krzywdy. Były to w istocie niesłychane nadużycia, jeśli anonim przez sympatyą dla swéj dostojnéj przyjaciółki nie dopuszcza się w opisie przesady. Wedle jego zapewnień trzech magnatów, z których jeden Sapieha, grasowało, łupiežąc w dobrach kanclerzyny i nałożyło na nie 3800 lirów (sic) kontrybucyi, a lepiéj jeszcze spisał się Teodor Lubomirski, wojewoda krakowski, wydarłszy księżnie 16,000 tymfów i wybierając 22 woły tygodniowo ze starostwa nowotarskiego, z którego wyciąga 11,000 tymfów miesięcznie.

Jeśli tak bezkarnie uciskano księżnę Teklę, widać, że ją opuścili mąż i szwagier i nie wahali się wydać jéj na pastwę zuchwałych łupiezców, bo szczególniéj książę Janusz Wiśniowiecki, jako kasztelan krakowski, wyższy od Lubomirskiego dygnitarz i senator, mógł powściągnąć takie nadużycia.

Ze szczegółów powyższych, zwłaszcza z wiadomości, że owego łupieztwa dóbr dopuszczali się stronnicy sascy, oraz z faktu, że gładki Francuz był gorliwym zwolennikiem Leszczyńskiego, godzi się przypuścić, że księżna podzielała jego polityczne skłonności — z sympatyi więc ku niemu musiała chyba zmienić swe przekonania, jeśli je miała, gdyż w r. 1733 była przeciwną Stanisławowi i wraz z matką przeciągnęła księcia Michała na stronę Fryderyka Augusta.

Na całéj drodze, którą nasz Francuz świeżo przebył, o tyle dłuższéj, że wielokrotnie z wiadomych nam przyczyn musiał zbaczać z prostego gościńca, nie spotkał ani jednego magnata polskiego, ani plebana, ani zakonnika, ani wieśniaka, słowem nikogo zarówno z maluczkich, jako też z wielkich, ktoby nie tęsknił za uko-

chaną wolnością i nie wzdychał do szczęśliwéj chwili ujrzenia znowu prawowitego króla. „Imiona wielu z nich — dodaje — wymienię we właściwém miejscu i czasie.“

Mówiąc o sprawach publicznych, nie zapomina o swym prześladowcy, małżonku swéj protektorki, księciu Michale Wiśniowieckim, a pamięta o nim dla tego, aby mu przypiąć łatkę. Kanclerz w. litewski, wedle jego zaręczeń, chciał wbrew wszelkim prawom zająć pałac francuskiego posła. Nakłoniono zatém dwór saski do zalecenia podwładnym markiza Monti, panom Autoir i Dader, aby niezwłocznie wyjechali z Warszawy i udali się na wskazanéj drodze do Francyi, lecz po dłuższych układach pozwolono im połączyć się ze swym panem w Toruniu. Musieli się puścić w podróż 3 stycznia 1736 roku. „Pierwszą czynnością generała Polentz — mówi autor z przekąsem — po przybyciu do Warszawy, było zdarcie herbów Francyi z nad bram tego pałacu.“

„Wiem z całą pewnością — są dalsze jego słowa — że do Prus przeszło wielu przebranych oficerów rosyjskich, ani wątpić, że w złych zamiarach. Zwierzyła mi się z tém w Warszawie pewna bardzo wiarogodna osoba. Jestem silnie przekonany, że odkryłem trzech lub czterech z pomiędzy nich, bądź sam, bądź za pośrednictwem trzeciéj osoby, na któréj świadectwie polegam, kilku nawet przebrało się po polsku, władają bowiem krajowym językiem.“

Po téj ciekawéj wiadomości udziela nasz agent jeszcze ważniejszéj i donioślejszéj, ztąd téż dodaje, że „ten artykuł zasługuje na szczególną uwagę.“ „Peterson — mówi — kapitan Sapieżyńskich dragonów, powiedział mi, że od piętnastu miesięcy żaden oficer z litewskiego wojska Augustowskiéj partyi nie dostał ani szeląga (*un chelon*). Zapewniało mnie również o tém dwudziestu innych oficerów, a niektórzy nawet nie wahali się odzywać bardzo głośno, że jeśli stan ten jeszcze przez pewien czas potrwa, pójdą gdzieindziéj szukać chleba.... Uprowadzonym z Gdańska niedobitkom wzbroniono widywać się z pozostałém w Warszawie żołnierstwem, dopóki ich nie umieszczono oddzielnie, gdyż pierwsi mówili publicznie, że nie będą służyli nikomu innemu, tylko dobremu królowi Stanisławowi (*qu'ils ne serviront jamais, que leur bon Roi Stanislas*) i że wolą

jemu służyć za sześć groszy, niż Augustowi za szóstaka (*six gros un schostag*). Jest to tak dalece prawdziwém, że w porze mojego odjazdu pełnili jeszcze służbę oddzielnie, a wbrew wszelkim ostrożnościom drudzy żywią toż samo uczucie.“

„Utworzono kompanią dragonów z 72 ludzi pułku, który był w Gdańsku. Przywodził nią Gułkowski, lecz pewnego pięknego poranku, gdy ich powołano na wycieczkę do Błonia z pięćdziesięciu Tatarami, dragoni tak się rozpierzchli, że wróciło do Warszawy tylko trzydziestu dwóch. Reszta złączyła się z polskiém wojskiem. Wiadomość tę mam od samego kapitana, który mi jéj udzielił w dniu następnym, a na którego nie można liczyć, aby innych pilnował.“

Widać ztąd, że i u Sasów panował podobny niedostatek, jak w Królewcu, z tą jedynie różnicą, że podczas gdy sam Leszczyński był wedle własnych słów goły „jak reformat, konsolujący się tylko wiarą nienaruszoną,“ dwór Augusta opływał we wszystkie dostatki, tylko faworyci, a zwłaszcza Brühl, zapychając własne kieszenie, głodzili wojsko.

Rzecz dziwna, że w gruncie tak źle się wiodło Stanisławczykom, wbrew wszystkim najpomyślniejszym wieściom, jakiemi zapełnione bywają ich listy, jakiemi tchnie większa część ich doniesień, zwłaszcza w dziennikach francuskich. Nie ulega wątpliwości, że wiele z tych optymistycznych zapewnień grzeszy przesadą, lecz z drugiéj strony nie można zaprzeczyć, że n. p. słowa Francuza o powszechnéj dla Leszczyńskiego sympatyi nie były kłamliwym frazesem. Cały, z nielicznemi wyjątkami, naród pragnął ujrzeć na tronie teścia Ludwika XV, lecz gnuśny i w przeważnéj już części pozbawiony cywilnéj odwagi a gnieciony żelazną pięścią obcego regularnego żołnierza, nie śmiał się zerwać do czynu, wspólnemi siłami skruszyć saskie jarzmo, przenosząc raczéj nad śmiałe pomaganie samemu sobie, bierne wyczekiwanie pomocy od Francyi, Szwecyi, Turcyi, zkąd bądź wreszcie, choćby z obłoków, byle nie z własnego łona.

SAMOZWANKA.

PROCES KRYMINALNY Z XVII WIEKU.

Agnieszka Machówna była prawdziwie niepospolitą kobietą, a zmienne koleje jéj życia dostarczyłyby wątku do bardzo zajmującéj powieści. Całe nieszczęście téj osławionéj postaci na tem polega, że przyszła na świat o dwa wieki za wcześnie, w epoce, gdy jeszcze społeczeństwo zbyt okrutnie mściło się krzywd swoich, gdy wymiar sprawiedliwości starozakonnym zwyczajem zbyt hojnie karą śmierci szafował, gdy daléj telegrafy nie roznosiły wieści o głośnych awanturnikach i zbrodniarzach, gdy dzienniki nie podawały efektownych sprawozdań z posiedzeń sądów przysięgłych, a wyrobnicy pióra nie uszczęśliwiali ludzkości romansami kryminalnemi.

Téj to odmiennéj fizyognomii wieku zawdzięcza nasza Agnieszka, że przyszło jéj wreszcie dać białą szyję pod topór kata, że nawet imię jéj nie przeszło do potomności, że nie jest tak znaném w świecie, jak wielu społecznych wywołańców, lubo i ona w swoim czasie nie małego musiała zażywać rozgłosu, skoro nawet rymy poetów, a mianowicie nie pośledniego w ich rzędzie, Gawińskiego, uwieczniły jéj pamięć.

Ale nawet owe rymy byłyby dziś dla nas niezrozumiałe, gdybyśmy nie posiadali do nich komentarza

w makaronicznym zapisku pewnego szlachcica, który dziwne przygody awanturnicy zwięźle opowiada.

O ileż większe zaszczyty spotkałyby Agnieszkę, gdyby się była urodziła w dziewiętnastym wieku! Redaktorowie gazet zamiast dawać rady ministrom i gabinetom, zamiast zachmurzać i wypogadzać polityczny horyzont i z jednego słowa dyplomaty, rzuconego chciwemu nowin reporterowi, wysnuwać polityczne horoskopy dla świata — zapełniliby większą część łamów opisem przeszłych, teraźniejszych i przyszłych losów obżałowanéj, rozwodząc się szeroko nad jéj usposobieniem, skłonnościami i charakterem; dyrektorowie podrzędniejszych teatrów zamawialiby u nadwornych swoich dramaturgów sztukę, którejby ona była bohaterką, a księgarze w rodzaju Karafiatów, Hartlebenów i Grossów, poleciliby pisarzom w rodzaju Borna, Strocha e tutti quanti sfabrykowanie na tle jéj życia romansu i drukowaliby go w kilkudziesięciu zeszytach, illustrując najważniejsze i najjaskrawsze ustępy.

I wyszłoby to wszystkim na dobre — bo pewnego rodzaju czytelnicy i widzowie, zarekrutowani głównie ze sfer przedpokojowych, zachwycaliby się temi utworami a trudy i nakłady dyrektora teatru, księgarza i powieściopisarza opłacilyby się sowicie.

Nawet w kraju, gdzie czytanie nie jest w modzie, spekulacya taka mogłaby liczyć na powodzenie, o czém zapewniał piszącego pewien wybornie publiczność swą znający księgarz. Natarczywość, z jaką przytem usiłował mnie skłonić do uczynienia ś. p. Agnieszki bohaterką dwutomowego przynajmniéj romansu, każe mi się lękać, by czasem jaki polujący na temat a w silnych efektach rozkochany powieściopisarz nie targnął się na moję literacką własność.

Dla tego téż idąc za zwyczajem, praktykowanym niekiedy i przez najmierniejszych pisarzy, zapowiadam, że wszelkich tłómaczeń, reprodukcyi lub naśladowań drogą prawną dochodzić będę...

A teraz zagrodziwszy się przeciw literackiemu korsarstwu, rozpoczynam opowiadanie.

Domorosły pisarz, z którego nam tu wiadomość o życiu Agnieszki Machówny czerpać przychodzi, nie miał widocznie zwyczaju badać tajników serc ludzkich, śledzić za ukrytemi sprężynami czynów, ze skutków

sądzić o pobudkach — słowem nie myślał o uwzględnieniu nauki, zwanéj dziś psychologią. Nasz szlachcic, deputat na trybunał lubelski, nie troszcząc się o podobne drobnostki, zapisywał tylko po prostu same fakta, które go w zdumienie wprawiły; chciał je przeto jako „curiosa“ przekazać potomności. Ani mu się zapewne śniło, aby ta potomność miała prawo żądać odeń więcéj, aniżeli jéj dawał — aby pragnęła poznać stósunki, wśród których wzrosła Agnieszka, które ją mogły usposobić do późniejszéj awanturniczéj karyery, dać jéj dość ogłady i znajomości świata, jakich było potrzeba do łudzenia przez długie lata wielu światłych i do najwyższego świata należących osób.

A rzecz ta tém więcéj zasługuje na uwagę, że Machówna była prostą wieśniaczką, zrodzoną za panowania Jana Kazimierza z ojca, dobosza z Dubna i matki, chłopki z Kolbuszowéj.

Opowiada nasz autor, że pierwsze lata młodości spędziła w miejscu rodzinném, w Kolbuszowéj, najprzód w domu matki a po jéj śmierci u ciotek, pasąc gęsi i trzodę. Wśród podobnych zatrudnień nie mogła dziewczyna nabrać wspomnianych wyżéj warunków, lecz już wówczas była lekkomyślną i zepsutą, a dziwnie piękna jéj postać ściągała roje wieśniaczych wielbicieli.

Szczęśliwym wybrańcem, który nadobną wieśniaczkę powiódł do ołtarza, był kozak, imieniem Bartosz Zatorski. Ale nie długo miał z nią zażywać małżeńskiego szczęścia. Piękna i zalotna kobieta nie myślała zamknąć się w oddalonéj od zgiełku świata zaciszy, porówno z towarzyszkami swemi pełnić skromne obowiązki gospodyni i matki, zrzec się powabów i uciech, jakie jéj obiecywał wesoły, hulaszczy a gwarny żywot miejski. Toż nie bacząc na złożoną mężowi przysięgę, nie krępując się względami na moralność i opinią ludzką, pewnego pięknego poranku porzuciwszy kozaka, zbiegła do Krakowa.

Pobyt pani Zatorskiéj w Krakowie nie trwał długo. Czy to sprzykrzywszy sobie po pewnym czasie wietrzne życie i wyrzutami sumienia dręczona, czy téż opuszczona przez uwodziciela i nie wiedząc, co z sobą począć — dość, że po latach kilku z własnéj woli wróciła do porzuconego niedawno Bartosza.

Zdaje się, że pan Bartosz nie był wcale podobnym do Otella, że wyrządzilibyśmy mu krzywdę, posądzając go o nieprzejednaną srogość względem niewiernéj małżonki; skoro bowiem powróciła do niego, musiała być pewną, iż porzucony przez nią kozak da się bez wielkich zachodów ubłagać i przyjmie do siebie zbłąkaną owieczkę. Siła wdzięków pani Zatorskiéj nie takich późniéj dokazywała cudów; toż nie dziw, że ugłaskała znieważonego dotkliwie Bartosza.

Ale zepsutéj na wskroś, przyzwyczajonéj do płochości, zbytku i próżniactwa niewieście, nie nawyknąć już do cichego, jednostajnego żywota w wiejskiéj ustroni, do uciążliwéj pracy w chacie i na polu. Chciwa dawniejszych wygód i rozkoszy, tęskniąca za gwarem i wrzawą wielkiego świata, za silnemi wzruszeniami i swobodą, powtórnie opuściła męża i pozbywszy się wszelkich skrupułów, rzuciła się w odmęt z postanowieniem wypłynięcia za jakąbądź cenę na powierzchnią społecznego życia.

Kilkoletni pobyt w Krakowie, dopomógł znakomicie wrodzodzonym jéj talentom -- sprawił, że w sztuce usidlania ludzi, pociągania i olśniewania wdziękami i kokieteryą, doszła do niezwykłego mistrzostwa.

Przebiegała tedy większe miasta, wszędzie znajdując mnogich wielbicieli. Postępowała przytém z podziwu godną znajomością serc ludzkich, z niepospolitym sprytem i doświadczeniem. Wiedząc, jak pociągającą jest tajemniczość, użyła jéj za dzielne narzędzie do swego awanturniczego zawodu. Zataiła swój ród i pochodzenie, na miejscach publicznych pojawiała się rzadko, i to zawsze dla dodania sobie tajemniczego uroku, ze spuszczoną na twarz zasłoną.

Nie bacząc na żadne względy, uwodziła zarówno bezwąsych młokosów, jak ludzi dojrzałych i poważnych ojców rodziny, tam zaś zwykle zwracała swe sidła, gdzie największych spodziewać się mogła korzyści. Ciągnięte ztąd dochody trwoniła z prawdziwie pańską rozrzutnością, jaka przystała dziedziczce wielkiego imienia; czyniąc bowiem zadość osobistéj próżności, oraz licząc na słabość ludzką, przybrała głośne i słynne w Rzeczypospolitéj imię Zborowskich. Występowała zawsze z licznym dworem i pompą wielką a przepych i dostatki odpowiadały kłamanéj dostojności rodu.

Aż dotąd nie spotkaliśmy się w źródle naszém ani z jedną datą; teraz dopiero znajdujemy w niém pierwszy dokładny chronologiczny szczegół.

W roku 1668 zjechawszy do Warszawy, syta już zapewne przygód i z obawy, by się nie odkryły jéj sprawki, przedsięwzięła Agnieszka ustalić los swój bogatém małżeństwem. O żyjącego Zatorskiego nie troszczyła się wcale, — sądziła bowiem, że do ostatka będzie jéj się udawało mamić świat i uchodzić za niezamężną Aleksandrę Zborowską. Z niejaką znajomością genealogii wywodziła swój ród od Marcina z Rytwian Zborowskiego i powtórnéj jego żony, Kopciówny, wdowy po Domaradzkim.

Bawił wówczas w stolicy Polski pewien kawaler, imieniem Collalti, oficer wojsk cesarza austryackiego, Leopolda I. Ten ujęty wdziękami Agnieszki, wpadł w sidła zalotnicy, zaślubił ją i powrócił do Wiednia.

Młody mąż, dziedzic świetnego imienia i pan mnogich włości, obdarzył ją hojnie, „zachęcając do dobrych obyczajów.“ Stanąwszy u kresu swych życzeń, dobiwszy się dostatków i wysokiéj, acz nie prawnie zyskanéj pozycyi, mogła już Agnieszka pędzić odtąd dni szczęśliwie i dostatnio, przykładném życiem bodaj w części okupując dawne grzechy.

Ale piękna zalotnica nie myślała wcale o poprawie, o pozbyciu się zakorzenionych nałogów. Za nic sobie ważąc dobrodziejstwa, jakiemi ją obsypał Collalti, niezdolna do uczucia wdzięczności i szlachetniejszych popędów, doprowadziła niebawem do tego, że ją mąż, do żywego dotknięty jéj sromotną płochością, z domu swego wydalił.

Wyrzucona nagle ze świetnego stanowiska Agnieszka, ujrzawszy się znowu awanturnicą bez punktu oparcia, bez dachu i ogniska, nie traci jednak głowy. Zdaje się istotnie, jak gdyby byt spokojny, choćby najkorzystniejszy, był dla niéj nieznośnym, jak gdyby jéj koniecznie było potrzeba widzieć się wyzutą ze wszelkich praw społecznych, rzuconą na igraszkę losu. Wtenczas dopiero była w swoim żywiole, wtenczas rozwijała wszelkie środki i sposobiki, na które się mogły tylko zdobyć jéj niepospolity umysł i niewyczerpana imaginacya.

Porzucona przez mniemanego męża, nie myślała zrzec się korzyści swego zamężcia, pozbawić się ucze-

stnictwa w majątku Collaltego. Z właściwą sobie obłudą śle tedy prośbę do cesarza Leopolda, wystawiając się jako pokrzywdzona, niewinna ofiara niegodziwości rakuzkiego kawalera.

Dla zjednania swéj sprawie sympatyi, układa przebiegła i w wyborne pomysły zawsze bogata zalotnica bajeczkę, dość do prawdy podobną. Pisze tedy, że jest córką marszałka polskiego, że wychowywała się właśnie w klasztorze, gdy ją Collalti poznał i uwiódł, biorąc z nią „sto tysięcy w klejnotach.“ Nie podejrzywając oskarżycielki o kłamstwo, omamione układnością władze austryackie, przyznały jéj słuszność a zarazem kilkadziesiąt tysięcy z dóbr Collaltego, który drogo przypłacił miłość do awanturniczéj Syreny. Agnieszka snać zręcznie umiała zawinąć się około swéj sprawy, bo niebawem po wyroku otrzymała ową sumę.

Porosłszy znowu w pierze, zaczęła nasza Kolbuszowianka prowadzić dwór gwarny a szumny, licząc na to, że wystawność jéj życia, blask i przepych salonów, zabawy i uczty, ściągną roje bogatych paniczów, pośród których nie trudno będzie znaleść ofiarę i uplątać ją w zwodnicze sidła. Jakoż nie miały jéj zawieść nadzieje.

Zawitało wówczas do Wiednia młodociane, bo zaledwie szesnastoletnie paniątko polskie, wyprawione dla dokończenia edukacyi do cudzych krajów. Był to Stanisław Rupniowski, kasztelanic biecki. Pacholęciem niemal puszczony w świat szeroki, przedwcześnie uwolniony z karbów rodzicielskiéj opieki, bo już wówczas osierocony, idąc za wzorem towarzyszów, mniéj podobno dbał o wyniesienie moralnych korzyści ze swéj peregrynacyi, jak raczéj o wesołe i hulaszcze spędzenie czasu, o skosztowanie wzbronionéj sobie dotąd swobody.

Tak zręcznéj jak Agnieszka zalotnicy, z łatwością przyszło uwieść niedoświadczonego młodzieńca.

Wprowadzony do niéj zapewne przez którego ze stołecznych towarzyszów, miał się biedny kasztelanic wprządz do jéj rydwanu i nierównie ciężéj, niż austryacki kawaler, odpokutować swą płochość.

Stawszy się celem zabiegów Agnieszki, wystawiony na jéj wypróbowanéj siły pociski, rozgorzał ku niéj Stanisław płomieniem prawdziwéj miłości. Na to tylko czekała niegodziwa kobieta. Widząc, że zaślepiony

młodzieniec gotów zrobić, co tylko sama zechce, przedsięwzięła Machówna po raz już trzeci sakramentem utwierdzić związek. Na ulicy przeto schwyciwszy księdza, imieniem Biego, wzięła ślub z pachołęciem i wyjechała z nim co prędzéj do rozkosznéj stolicy Francyi, Paryża.

Nie długo jednak cieszyła się Agnieszka tym nowym związkiem, który powtórnie nadawał jéj świetną pozycyą zagranicą i w Polsce. Młody Rupniowski wkrótce umarł.

Owocem tego stadła miało być dziecię, które pani kasztelanicowéj posłużyło za pozór do przywłaszczenia sobie majątku nieboszczyka męża. Z dziecięciem przeto i ze świadectwami skojarzonego kościelnym trybem małżeństwa, spieszy żałobna wdowa do Polski, składa w urzędzie dowody zawartego ślubu, i praktykowanym onemi czasy zwyczajem, zajeżdża włości zmarłego kasztelanica, w jego prawowitego syna i dziedzica, oraz we własném imieniu.

Czyn ten zuchwały nie miał wszakże ujść bezkarnie; on to owszem staje się powodem upadku dziwnie aż po tę chwilę szczęśliwéj awanturnicy, przyczynia się do zdarcia z jéj czoła zręcznie aż dotąd trzymanéj maski. W wypadkach podobnych pierwszy krok rozstrzyga o rozwiązaniu — po nitce potem snadno już dojść do kłębka.

Zasługa uczynienia tego pierwszego kroku, dążącego do uwolnienia społeczeństwa od niebezpiecznéj kobiety, należy się siostrze zmarłego kasztelanica, staroścince bieckiéj, Annie Barbarze Szembekowéj, która tak ze względu na pamięć wtrąconego przedwcześnie do grobu brata, jako też na spodziewany po nim spadek, postanowiła nie dopuścić, by Agnieszka nosiła imię i dziedziczyła majątek Rupniowskich.

Wszczęły więc obie niewiasty walkę na śmierć i życie — walkę, która nie zaraz miała się skończyć tryumfem dobréj sprawy. Pani starościna nie znała zrazu wszystkich sprawek i ciemnéj przeszłości przeciwniczki swojéj, wystąpiła przeciw niéj z początku, jak występują zwykle krewni bogatego nieboszczyka w obronie spadku, do którego niespodzianie ktoś trzeci rości sobie prawo.

Oburzenie zaś pani Anny Barbary było tém żywsze, że nagły i niezwykły związek małoletniego brata zagranicą z kobietą nieznaną, mógł mimo braku nawet dowodów uchodzić słusznie za owoc przebiegle ukutéj intrygi, za wyzyskanie łatwowierności niedoświadczonego chłopca. Na mocy tych to okoliczności usiłowała pani Szembekowa wystawić samo małżeństwo za nieważne, pretensye do majątku kasztelanica za bezprawne.

Powoli jednak spadała zasłona, którą Kolbuszowianka tak troskliwie okrywała przeszłe życia swego koleje, a im głośniejszą stawała się sprawa o dziedzictwo po Rupniowskim, tem jaskrawsze dochodziły wieści o mniemanéj córce domu Zborowskich. Starościna gorliwie zbierała te pogłoski, szukała dowodów, przygotowywała oskarżenie — aż wreszcie dotarła do źródła. W roku 1677 pozwała Agnieszkę przed trybunał lubelski, wykazując, że nie w magnackim dworze Zborowskich, lecz pod wieśniaczą strzechą ujrzała światło dzienne, że nie mogła być żoną jéj brata, gdyż poprzednio dwukrotnie już zawierała śluby małżeńskie a obaj mężowie jéj żyją — słowem podała szczegółowy opis występnego życia awanturnicy.

Pomimo groźnych na przyszłość widoków, nie zwątpiła o swojéj gwieździe Agnieszka; energia i powodzenie zabiegów szwagrowéj pobudziły ją tylko do tém większéj gorliwości w obronie. Zabrała się też do niéj z całym zapałem i sprytem, na jakie się zdobyć mogła — od rozwiązania bowiem procesu, w który zabrnęła niebacznie, zależały jéj los i życie. Wygrawszy sprawę, zatryumfowałaby nad nieprzyjaciołmi, opływałaby w dostatki i zaszczyty, w razie przegranéj przyszłoby jéj za mnogie oszustwa wedle surowych praw ówczesnych dać gardło.

Sądząc po ludzku, nie można było mieć najmniejszéj wątpliwości o rezultacie procesu. Zdawałoby się, że po wykryciu sprawek przebiegłéj Kolbuszowianki, sędziowie nie powinni byli ani na chwilę wahać się z wyrokiem, powinni byli przedewszystkiem odsądzić ją od praw do majątku Rupniowskich i do przywłaszczonego samozwańczo imienia Zborowskich. Tymczasem wbrew wszelkim przypuszczeniom, dzięki niewyczerpanym fortelom i wybiegom awanturnicy, sprawa czysta

jak słońce, przeciągnęła się przez lat cztery, a w czasie tym trybunał przyznawał nawet słuszność kozaczce.

I tak zaraz pierwszy z kolei wyrok sądu wypadł na korzyść Agnieszki. Ówczesne sądownictwo polskie w opłakanym znajdowało się stanie; panowie deputaci trybunału więcéj zwykle kierowali się osobistemi uczuciami, niż sprawiedliwością — to też komu ich życzliwość pozyskać się udało, mógł być pewnym wygranéj, choćby nie miał prawa zasobą. Widoczném jest, że mądra Machówna poruszyła wszystkie sprężyny, nie zaniechała niczego, coby jéj przychylność sędziów zjednać zdołało i że znana nam już potęga wdzięków i tu nie małe oddała jéj usługi. Przebija się to wyraźnie ze słów naszego źródła, jeśli je odczytamy uważnie, bo autor, sam deputat, arcyostrożnie tylko mógł wyjawić swe zdanie, by nie urazić towarzyszów sądu — a może téż i sam nie zupełnie był wolnym od zarzutu, może i on zrazu ulegając wspominanéj przez siebie ułomności ludzkiéj, dał się omamić powabnéj awanturnicy...

Gdyby jéj przeciwnicy byli ludźmi ubogimi, bez stanowiska i wpływu, bez przyjaciół i popleczników — byłaby sprawa stanowczo ubitą, tryumf podającéj się za Zborowską kozaczki zupełnym i trwałym. Ale ród Rupniowskich był silny i zamożny, miał mnogich przyjaciół i znaczne środki, a postanowiwszy raz nie wypuścić z rąk odziedziczonych po kasztelanicu włości, odkryć zamachy i występki samozwanki, a zarazem pomścić wczesną śmierć krewniaka — pracował w téj mierze bez wypoczynku, z wytrwałością, godną tak ważnéj sprawy.

Tak więc podwójnym ulegając wpływom, rozdzielił się téż trybunał na dwa wrogie obozy, walczące ze sobą na zabój, z których raz ten, to znowu ów brał nad drugim górę. Zapasy te były długie i uporczywe — dokładny ich przebieg, gdybyśmy go mieli, byłby wielce ciekawym i pouczającym, rozświeciłby niepomiernie społeczny i obyczajowy stan kraju, a obok tego i charakter kobiety. Na nieszczęście doszło nas tylko głuche echo téj walki, przytłumione jeszcze trudnemi niekiedy do zrozumienia sądowemi terminami, ciemnym i zawiłym stylem, oraz barbarzyńską łaciną naszego deputata.

Nie zasypiała tedy sprawy rodzina zmarłego kasztelanica; przekonawszy się, z jak niebezpiecznym przeci-

wnikiem ma do czynienia, z podwójnym zapałem przystąpiła do walki, założyła protest przeciw niesprawiedliwemu wyrokowi i zaczęła na panów sędziów wpływać różnemi sposoby. Jakoż wkrótce zmieniła się postać rzeczy. Drugi trybunał nie traktował już tak lekko procesu, jak poprzedni: zażądał przedewszystkiem od Agnieszki, aby dla zbicia czynionych sobie zarzutów i obwinień, oraz dla stwierdzenia praw swych do spadku po Rupniowskim, zebrała w ciągu czterech tygodni dowody. Gdy ten czas minął bez skutku, wykołatali stronnicy Kolbuszowianki jeden jeszcze tydzień, w ciągu którego obwiniona, pewna potępiającego wyroku, uszła do klasztoru, w murach zakonnych chroniąc się przed ramieniem karzącéj sprawiedliwości.

Ów brak dowodów i ucieczka do klasztoru posłużyły, jak się zdaje, za najdzielniejszą broń przeciw niéj; to téż udało się krewnym Rupniowskiego po jedném śledztwie uzyskać wyrok zaoczny, skazujący Agnieszkę.

Ale samozwance przybyła nagle nowa a dzielna pomoc. Upodobał ją sobie Stanisław Domaszewski, starosta łukowski, a piękna awanturnica skorzystała z tego skwapliwie, bo wobec niefortunnego obrotu sprawy nie mogła jéj być obojętną pomoc człowieka, mającego środki i wpływy, cieszącego się nawet względami samego króla, Jana IIIgo. Zamieszkała tedy pod jego opieką, wolna od ścigań sądu, od czego, dzięki niedołężności sądownictwa polskiego, broniła jéj dostatecznie powaga starosty.

Ale przeciwnicy jéj nie opuścili rąk, nie zwątpili o możności spełnienia wyroku. Wyszukano wreszcie pierwszego męża Agnieszki, Bartosza Zatorskiego, co znacznie pogorszyło jéj sprawę, bo w osobie kozaka przybywał żywy świadek występków awanturnicy, zadający kłam jéj roszczeniom do pochodzenia z rodziny Zborowskich, piętnujący ją jako zbrodniarkę.

Potrzeba było dla przeciwstawienia tak silnym świadectwom czegoś więcéj, niż dotąd, potrzeba było otwartego i głośnego wobec całéj opinii zaprzeczenia zarzutom i posądzeniom, uznania w niéj uczciwéj, niewinnie pokrzywdzonéj kobiety. Za taką rehabilitacyą uważała Kolbuszowianka uroczyste, kościelne zaślubiny z panem Domaszewskim; boć jużci musiało to zaważyć na szali sądów ludzkich, że człowiek takiéj, jak

starosta łukowski pozycyi, kojarzy się z nią związkiem małżeńskim, czegoby przecież nie uczynił, gdyby ją poczytywał za samozwańczą awanturnicę, rzucającą jednego męża, by paść w objęcia drugiego.

Pan Domaszewski stał się żądaniu pięknéj samozwanki powolnym. Nasz deputat nie rozstrzyga, czy go pobudziły do tego kroku prośby Agnieszki, czy też chciwość — mógł się bowiem spodziewać, że pojąwszy ją za żonę i wygrawszy proces tak wskutek osobistych wpływów i zabiegów, jako téż łaski królewskiéj, odziedziczy wraz z nią spadek po kasztelanicu Rupniowskim. Zdaje się, że tak jedno, jak drugie, wpłynęło na postanowienie starosty, człowieka widocznie słabego charakteru i nieszczególnych zasad, jak to jeszcze zobaczymy poniżéj. Za nieprawdziwy natomiast uważamy szczegół, jakoby bohaterka nasza już po zamążpójściu jeździła do Wiednia po pieniądze, które zawdzięczać miała kradzieży — tem więcéj, że sam oskarżyciel, powtarzając bajkę, składa ją na wieść tylko.

Ważyły się przeto znowu losy stron, dzieliły zdania sędziów, z których większa część wyrok trybunału jako zaoczny i z jednego tylko śledztwa wypływający, mienila nieważnym. Groźną też była — są słowa deputata — JM. Panu Staroście Bieckiemu (Franciszkowi Szembekowi, szwagrowi kasztelanica) potęga nowego męża obwinionéj. Chcąc go tedy zniewolić do opuszczenia jéj, poleca kozakowi, aby wytoczył skargę przeciw samemu Domaszewskiemu, że broni kryminalistki, że mu wziął żonę, że jest wspólnikiem jéj występków i t. d.

Wzięła znów górę sprawiedliwość i zdawało się, że dobra sprawa zatryumfuje już stanowczo; nietylko bowiem padł obojgu Domaszewskim w udziele wyrok infamii, lecz nawet w samo niedawno zawiązane stadło wkradła się zdrada. Widząc, że siły jego nie dopisały, że wplątawszy się lekkomyślnie w intrygę, sam może paść jéj ofiarą, przedsięwziął pan starosta wycofać się zręcznie z niebezpieczeństwa, dla tém pewniejszego zaś ocalenia własnéj osoby i wyciągnięcia ztąd jeszcze dla siebie korzyści, poświęcił żonę.

Z luźnych wzmianek o Domaszewskim trudno sobie o charakterze jego urobić pewne zdanie; stósownie do sprzecznych niejednokrotnie uwag wspomnianego już

tylekroć deputata, możnaby go raz pomawiać tylko o słabość, drugi raz o sprzedajność i wyrafinowaną przewrotność. Nasz autor ma dlań słowo przygany za małżeństwo z Agnieszką, a zdaje się pochwalać zdradzieckie z nią postąpienie, sprzedanie za judaszowe srebrniki.

To pewna, że nie teraz dopiero stał się starosta łukowski „świadomym wystepków Agnieszki,“ — że zdrady jego nie godzi się składać na karb zawodu, jakiego padł ofiarą, uważając ją do téj chwili za kobietę uczciwą. Był to widocznie mistrz obłudy i przewrotności, skoro nawet tak przebiegłą jak Machówna kobietę, udało mu się wywieść w pole. Ożenił się z nią w widokach wzbogacenia się, choć w nieprawy sposób — porzucał ją i wydawał w ręce oprawców, gdy sprawa przybrała niebezpieczną postać, by wśród pomyślniejszych warunków jeszcze do niéj powrócić.

Sle więc w największym sekrecie przyjaciół do Szembeka, podejmując się wydać Agnieszkę, skoro ten postara się o zdjęcie z niego infamii i zarzutu wspólnictwa, a przytem wypłaci mu pewną kwotę, jakoby za wydatki, łożone w téj sprawie....

Stanął układ, a za nim w ślad zdrada.

Ufającą na ślepo, nie domyślającą się niczego Kolbuszowiankę, podstępnie mąż wiedzie przed trybunał, każe jéj iść między kramy a tymczasem nadeszła straż i szepnięto instygatorowi:

— Oto ona, pochwyćcież ją!

Pojmawszy obżałowaną, przyprowadzono na ratusz — uwięzionéj tymczasowo kazano się tłómaczyć. Lubo strzeżona, mogła jednak swobodnie z wszystkimi się widywać i rozmawiać.

Nie zrozpaczyła „mądra baba“ i teraz o swoim losie. Domyśliwszy się zdrady Domaszewskiego, jęła głosić, że ją mąż zaprzedał, że się zmówiono na jéj majątek i życie, błagać pomocy i wsparcia sądu. Sąd czy miłosierdziem zdjęty, czy też, że ułomność ludzka skłania się ku błędom, okazuje się dla uwięzionéj pobłażliwym.

Na terminie Bartosz Zatorski przedkłada sędziom otrzymane przeciw Agnieszce akta dekretów i infamii, wymienia szereg zawartych przez nią małżeństw, wy-

kazuje, jako zaślubiła najprzód jego, potem Collaltego, daléj Rupniowskiego i Domaszewskiego — i żąda wymiaru sprawiedliwości. Na odwrót utrzymuje oskarżona, „że kozaka obwieszono, i że miał inną żonę, nie ją,“ że Collalti nie był jéj ślubnym mężem, że ona Zborowska Aleksandra, nie Agnieszka Machówna — a dla poparcia słów swoich powołuje się na świadectwo Zborowskich ze Zborowa.

Sędziowie raz do łagodności okazawszy pochopność, szli w tym kierunku daléj; nie uwzględniając przeto dawnego wyroku, wyznaczyli na termin śledzwa obu stronom dzień 12 września. Przygotowywała się znowu walka zacięta, jednano sobie zwolenników i przyjaciół; dla kozaka starał się o świadków i dowody starosta biecki, dla Agnieszki starosta łukowski, który drugą z kolei popełniając zdradę, lubo od strony przeciwnéj wziął był zapłatę, gdy gwiazda sprzedanéj przezeń miłośnicy jaśniejszym zabłysła blaskiem, stał się ponownie gorliwym jéj obrońcą, głosił, że jest niewinną, że Bartosz Zatorski tylko nastawiony przez Szembeka, świadczy fałszywie.

W dzień sądu sprowadzili stronnicy Domaszewskiego i jego żony na trybunał Zborowskich-Mileńskich i tłum przyjaciół. Starosta biecki nie stanął; wszczął się tedy spór uporczywy, czy obecność jego konieczną jest, czy nie.

Po długich sprzeczkach i wyczerpaniu z obu stron całego arsenału prawnych argumentów, zgodzono się jednomyślnie na odroczenie sprawy: Agnieszkę uwolniono z więzienia, kozaka zostawiono na wolnéj stopie za poręczeniem jednego z osiadłéj szlachty.

Partya Domaszewskich, ufna w powodzenie, do takiéj urosła pychy i zuchwalstwa, że w tymże roku (1680) chciała przemocą zająć dzierżone przez Szembeka dobra Rupniowskieh, ale starosta biecki, przygotowany na podobne zaczepki, orężem utrzymał się przy własności.

Najdzielniejszém poparciem sprawy Kolbuszowianki było uznanie jéj przez poboczną linią Zborowskich. Jaką drogą pozyskano ich pomoc, jakie pobudki skłoniły ich do wydania fałszywego świadectwa — trudno rozsądzać. Dość, że na następnym trybunale (r. 1681)

Zborowscy-Mileńscy podali do akt grodu lubelskiego podrobiony rodowód i zaprzysięgli, że Agnieszka istotnie do ich rodziny należy. Sędziowie zaczęli porównywać prawdziwe dokumenta z fałszywemi, sprawdzać okoliczności czasu i osób. I wtenczas to wyszły na wierzch różne fałsze i kłamstwa — wykryła się cała intryga. Sama tak dotąd zręczna i przebiegła awanturnica, uwikłała się we własnych zeznaniach, podała przeciwnikom broń przeciw sobie, pogrążyła się już nieodwołalnie w przepaść.

Nie zaprzeczała ona pierwotnie, że dziecięce lata spędziła w Kolbuszowéj, gdzie ją podczas nieporozumień między rodzicami wychowywać miała mamka — późniéj zaś utrzymywała stanowczo, że wsi téj nie zna wcale, że od kolebki jako sierota „rosła u różnych dworów.“ Co do swych stosunków familijnych opowiadała, że matka jéj (jako było napisane w genealogii) z domu Kopciówna, wyszła najprzód za Domaradzkiego a następnie za Marcina Zborowskiego z Rytwian. Tymczasem zbijając ten wymysł, udowodniono jéj, że żona wymienionego Zborowskiego nie nazywała się z domu Kopciówna, lecz Domaradzka, że po śmierci Marcina, który był jéj pierwszym mężem, wyszła za Godlewskiego. Że tak było a nie inaczéj, poświadczyła owa mniemana matka Agnieszki własném zjawieniem się w trybunale, kontraktami ślubnemi, kwitami grodowemi, podpisanemi już po owdowieniu w układach ze Zborowskimi, którzy popełnili krzywoprzysięztwo.

Wedle przedstawionéj trybunałowi metryki, miała się Agnieszka rodzić r. 1651; okazało się zaś, że już dwa lata wpierw, bo r. 1649 układała się owdowiała pani Zborowska o spadek po Marcinie z rodzonym jego bratem, Mikołajem, z czego oczywisty wniosek, że w dwa z górą lata po śmierci ojca na świat przyjść nie mogła.

Wobec tak jawnego i stanowczego zdemaskowania oszustki, trudną była obrona. Surowe prawodawstwo ówczesne gardłem karało wielożeństwo; toż i naszéj Kolbuszowiance przyszło życiem przypłacić wyrządzone społeczeństwu krzywdy i zniewagi. Skazał ją trybunał pod marszałkowstwem wojewody Łęczyckiego, Piotra Opalińskiego, a prezydenturą księdza kanonika Żórawskiego, na szarpanie kleszczami i na ścięcie.

Wyrok ten spełniono, lubo obżałowana do ostatniéj chwili łudziła się nadzieją ocalenia, dla tego nawet nie przygotowała się na śmierć.

Jaki los padł obrońcy winowajczyni, panu staroście łukowskiemu, Domaszewskiemu, oraz krzywoprzysiężnym Zborowskim, nie wiadomo. Milczą o nich wszelakie źródła z onego czasu, które nam się zdarzyło mieć pod ręką. Natomiast pamięci saméj bohaterki naszego opowiadania, poświęca piękny wiersz jeden z poetów współczesnych, sielankarz XVII wieku, Jan z Wielomowic Gawiński. Przedstawia nam ją poeta w ostatniéj chwili przed zgonem, gdy skruszona żegnając się ze światem, opowiada zmienne koleje swego żywota.

Wzywa naprzód skazana każdego, kto przyszedł, aby się przyjrzeć „ostatniej scenie smutnéj tragedyi“ a daléj samego kata, by się wstrzymali na chwilę. Nie czyni tego z obawy przed śmiercią, bo „Amazonką raczéj i tu w cyrku śmiertelnym każdy ją obaczy.“ Czyni to, by obwieścić światu swoje występki i „zmiękczyć zagniewane nieba.“ Przypomina z goryczą, że niedawno była „światu dziwowiskiem,“ teraz zaś jest „igrzyskiem fortuny,“ która na to wyniosła ją w górę, by późniéj tem boleśniéj w przepaść pogrążyć.

Onam ja, któram w Polsce zrodziła się w cieniu,
Byłam wszytkim z gładkości w wielkiém poważeniu,
Piękność moję z anioły niemal porównano,
Ztąd i wielkich parentel bydź mię poczytano.

O swych przymiotach umysłu i ciała mówi upoetyzowana Agnieszka bez fałszywéj skromności, unosząc się w ostatnich chwilach przed zgonem nad swoją urodą i „nad subtelnym, wielkim rozumem.“ Przyznaje wprawdzie, że tego rozumu nieraz na złe używała,

Lecz któryż rozum wielki, tego dostojeństwa,
Aby nie miał mieć swojéj przywary szaleństwa?

Następuje teraz wdzięczny opis jéj podbojów i tryumfów tak w kraju, jak za granicą. Gawiński następujące słowa wkłada w usta pięknej, nieszczęśliwej samozwanki, ginącej pod mieczem kata:

Onam ja, której w chwałę Polska szczupła była,
Aż mi jechać pod cudze nieba chęć radziła.

I ze skutkiem mię dobrym wiózł Merkury; Dyanną
Bom się zdała, gdziem była, lub jutrzenką ranną.
Onam tedy ja, której wszystkie cne ozdoby
Nieba dały życzliwe i nie było, ktoby
Z mych mię nie miał ukochać wdzięków przyrodzonych
I gracyj przyjemności w ciele mém złożonych;
Onam ja Wenus polska, któréj czołem biły
Państwa, i humorowi memu się dziwiły,
Pięknéj urodzie, któréj i matrony same
Nie zajrzawszy, za swą mię poczytały damę.
Onam ja, co w méj twarzy róże i lilije
Wespół oraz kwitnęły z mych piersi i szyje,
Co i z oczu łask pełnych Kupido się rodził,
A wtedy w serca ludzkie kochania zawodził.
Onam ja, gdym z cukrowych ust słów dobywała,
Ludzi złotym łańcuchem za sobąm ściągała,
Którzy z gładkiéj mowy méj, a gładkości mownéj
Opadali na złotéj sieci méj połownéj.
Mnie i mitry książęce, auzońskie infuły,
Purpury watykańskie, pełne chwał tytuły
Oddawały. O! jakie sławne polskie Tatry,
Że Heleny swe mają, mają Kleopatry!
Mnie Danaą (próżno to) sami tronowładni
I do pary miewali Paryse niezadni, *)
Kiedy młodość z naturą po morzu krewkości
Żagiel mój unaszały za sterem miłości.
Tak bujając jak i ja, orlica do woli,
Gdy do jednej gałązki, gdzie ma sieść, zakoli, **)
Padam i wraz upadam, bo Hymen godowy
Skryty upad w weselu przyniósł mi gotowy.

Opowiada dalej, że najlepszym wróżbom, które jéj świtały przy kolebce syna, czas i niezbadane wyroki boskie kłam zadały — przegląda wspomnieniem całą świetną swą Odysseę aż do chwili powrotu do kraju, i płacze nad swym strasznym upadkiem:

Jam tedy, com Kloryndę męztwem i odwagą,
Erminią kochaniem, Armidę powagą
I przemieniającej się natury obrotem
Wyrażała, mą miłość tocząc kołowrotem;

*) Niepośledni.
**) krąży.

Tu się dziś nisko kaszę i z owéj tak chwalnej
Purpuratów rządczyni i serc tryumfalnej
Bohaterki, obrazem dziś jestem nędzarki,
I w domu uścigniona od złej na krew Parki.

Wystawia własną lekkomyślność i przyznaje ze skruchą, że wyrok sądu lubo surowy, nie mniej jest sprawiedliwym.

Ach, będąc zbogacona dobrami natury,
Jęłam bujać wysoko nietrwałemi pióry.
Bez dobra przedniejszego, ponieważ niebaczny
Zmysł przewiódł we mnie więcéj nad mój rozum znaczny;
Ponieważ te znikome z dóbr ginących chwały
Darmych we mnie prezumpcyi kiedy dość nawiały,
Latać Ikara wyżéj, przelatuję zonę
Méj fortuny, więc padam i tu we krwi tonę.
Daléj o swéj ruinie zamilczę: albowiem
Sobie sam człowiek zgubą, sobie jest i zdrowiem;
Tobie, jedyny Boże! me świadome sprawy,
Ty mię karz, a na sądzie Twym bądź już łaskawy.
I nie myślcie, aby mię miano sądzić opak;
W moje życie lubelski święty areopag
Wejrzał dobrze...

W końcu zwraca się w czułych wyrazach do ukochanego syna:

A ty synu mój wdzięczny, latorostko mała,
Rośń, żyj na późne wieki, a cobym ci miała
W wieczny dać upominek, miéj to za iściznę:*)
Mądrym, możnym Bóg daje cały świat w ojczyznę.

Dziwnie piękne są ostatnie słowa żegnania ze światem, ostatnie zwrócenie się do Boga:

Już mi zegarek dociekł, a cień tylko gadam,
Tobie, duchu, mieszkanie z ciała wypowiadam:
Tnij, mieczu! Ty o Twórco, jedyne czci mojéj
Miejsce pokutujących daj, gdzie wierni Twoi!

W przytoczonym powyżéj wierszu Gawińskiego okrom niestety zbyt pobieżnéj wzmianki o wielu nie-

*) Prawdę.

znanych nam szczegółach, przebija się wielkie uwielbienie dla „polskiéj Heleny i Kleopatry," które dzięki poetycznemu usposobieniu i bujnéj fantazyi każe mu nieraz przesadzać w kolorach. Z drugiéj jednak strony poeta, będący echem swego czasu, spisał to tylko, co w mniéj może jaskrawéj formie przechodziło z ust do ust współczesnych. O ile jednak Gawiński idealizował, o tyle znów pan deputat lubelski nie hamował się w przeciwnym kierunku, tak że z dwóch tych świadectw, stojących na odwrotnych krańcach, może bezstronny czytelnik urobić sobie sąd sprawiedliwy.

Pan Podskarbi.

I.

Smutnemi dla Polski były saskie czasy. Zardzewiała szabla, szczerbiona jeszcze niedawno na karkach pohańców, sława oręża polskiego rozniesiona po świecie przez Jana III, zaćmiła się sromotą klęsk wojny szwedzkiéj, obyczaj stary poszedł w poniewierkę, Sasi plądrowali po kraju, dopuszczając się gwałtów niesłychanych, Fryderyk August II zarażał kraj rozpustą, ociężały syn jego gnuśnością, a w porze bezkrólewia, co rozgraniczyło ich rządy, ta magnaterya i szlachta polska, o któréj z patetyczną przesadą mówi Bartoszewicz, że „jéj nigdy jeszcze nie rozkazywała siła," gorsze upokorzenia znosiła od zuchwałego Münnicha, niż w kilkadziesiąt lat późniéj od Repnina, i mimo junaczych przechwałek i pogróżek, poddała kark pod jarzmo niedołężnego Augusta III.

Dawniéj za lada pozorem burzyło się w anarchicznéj Rzeczypospolitéj, brzęczały szable, wszczynał się rokoszu gwar i już elekcyjny tron drżał w swych posadach — teraz zniewieściały, rozpity, w pokojowych wczasach rozmiłowany naród nie czuje swéj hańby i pląsa w obroży wedle nuty, na jaką mu zagrają, sławi owszem tysiącznemi głosy „ten złoty panowania wiek, w którym Polska smacznie dotąd zasypia" — nie pomnąc, że to był niezdrowy sen nad przepaścią, w którą się niewytrzeźwiony miał stoczyć.

Nie tak dawno jeszcze wydawał ze swego łona owych dygnitarzy kościelnych, co jaśnieli rozumem i cnotą, jako świetny dla całego chrześciaństwa przykrzykład, a za rządów rozpustnego króla Don-Żuana

upada duchowieństwo tak nizko, że Mikołaj Wyżycki, biskup chełmski, na schodach przed drzwiami królewskiemi sypia, by ubiedz współzawodników w oglądaniu monarszego oblicza i tak niegodném poniżeniem dostąpić pańskich względów...

Dąsał się niegdyś ten naród przeciw swojskim królom, urzędnikom i dygnitarzom, podejrzywając ich o wrogie dla swobód ojczystych zamysły, a teraz nie mocen pozbyć się wszechwładnego faworyta i tylu saskich kreatur, które wbrew jego prawom i przywilejom rozpierają się w należnych krajowcom stanowiskach, gospodarując w ojczyźnie złotéj wolności z nieokiełznaną niczém samowolą — reprezentując go na obcych dworach, gdzie jako cudzoziemcy nie doznają wyrzutów sumienia, gdy im przychodzi zawierać traktaty, uwłaczające dobréj sławie Rzplitéj.

Wśród licznéj rzeszy tych przybyszów, zbogaconych polskim groszem, należy poczynić staranne różnice, bo nie wszyscy jednako wywdzięczyli się krajowi za smaczny chleb, którego im udzielał tak obficie. Najgorzéj bez wątpienia wypłacił mu się niegodziwy szalbierz dyplomatyczny, minister Augusta III, Henryk Brühl, który swą polityką małoduszną i nie przebierającą w środkach, na zewnątrz podał Polskę na pośmiewisko i wzgardę, wewnątrz ją osłabił, wycieńczył i ostatecznie zdemoralizował. Zrządzone przezeń szkody obliczyć się nie dadzą, tak były dotkliwe i tak głęboko w grunt narodowy sięgały.

W obec tego wielkiego zbrodniarza politycznego nikną winy współczesnych jego ziomków. Były one w istocie stósunkowo niewielkie, najprzód dla tego, że nie mieli dosyć władzy w swym ręku, by się stać szkodliwymi na równie szeroką skalę, że więc byli po większéj części tylko ślepemi narzędziami w jego własnym, lub też innym ręku — a przytém sprawiedliwość przyznać nakazuje, że ten i ów, jeśli nie położył wielkich zasług około dobra Rzeczypospolitéj, to przynajmniéj służył jéj wiernie, pełniąc wedle sił obowiązki, przywiązane do piastowanego przezeń urzędu.

Widzieliśmy już w takiéj roli użytecznego obywatela, syna samegoż ministra Brühla, generała artyleryi koronnéj — przyjrzyjmy się teraz postaci Jana Jerzego Detlofa Flemminga.

Jan Jerzy Detlof Flemming wywodził się z pomorskiéj linii Flemmingów, z przydomkiem Martentin, a był synem feldmarszałka hr. Henryka Hajno. Urodzony w roku 1701, w piątym roku życia już utracił ojca. Mając liczne rodzeństwo, musiał szukać fortuny w służbie publicznéj, a bliskie pokrewieństwo z ulubieńcami królewskimi zapowiadało młodzieńcowi świetną karyerę. Wszakżeż to brat stryjeczny Jerzego, Henryk Jakób, był prawą ręką Augusta Mocnego, a dziewierz Przebendowski, podskarbi wielki koronny, zdobył sobie prawo do niewygasłéj wdzięczności królewskiéj, przysposobiwszy umysły w Polsce do wyboru elektora.

Bohater nasz widząc, jak dobrze dzieje się w Polsce bratu, jak porasta w pierze i mimo krzyków szlachty otrzymuje coraz wyższe urzędy koronne, coraz donośniejsze królewszczyzny, sam w bardzo młodych latach porzucił Saksonią, aby szczęścia w Polsce próbować. Jakoż już w początku roku 1724 objął dowództwo pierwszego pułku królowéj; przeniósłszy się następnie do artyleryi litewskiéj, pełnił w niéj obowiązki pułkownika.

Na tym stopniu zaskoczyło go bezkrólewie po zgonie Augusta II. Nie trudno się domyślić, jakie stanowisko wobec ścierających się z sobą stronnictw zajął młody hrabia. Dla niego wybór Fryderyka Augusta III był kwestyą bytu, bo tylko za jego rządów mógł się spodziewać wyniesienia i karyery, podczas gdy pod innym królem byłby może do końca życia pędził dni w żołnierskiéj mierności jako podrzędny generał. To téż Jerzy zrozumiawszy własny interes, w porze bezkrólewia dokłada wszelkich starań, aby królewicz, a nie kto inny, zasiadł po ojcu na tronie. Posłowie elektora przy Rzeczypospolitéj, hr. Wackerbarth-Salmour i generał jazdy, Baudissin, oddają jego gorliwości należne pochwały. „Pułkownik hr. Flemming — piszą oni w raporcie ze stycznia 1734 r., znajdującym się w tajném archiwum drezdeńskiém — okazał nam się nader użytecznym, tłomacząc wielu osobom, co było najprzydatniejszém dla interesu W. K. Mości. Oficer ten ma odwagę, poczucie honoru i zapał dla służby W. K. Mości a przytém nie zdradza interesowności.“

Król hojnie wynagrodził usłużność pułkownika: mianował go wkrótce generałem artyleryi litewskiéj, dał

mu starostwa brzesko-litewskie, szadowskie, szereszowskie, chorągiew husarską w wojsku litewskiém, mianował go szefem pierwszego pułku gwardyi litewskiéj, obdarzył orderem orła białego i wreszcie obsypanego tylu łaskami, wyniósł do wysokiéj godności ministra, uczynił go podskarbim wielkim i pisarzem ziemskim litewskim.

Ale hrabia sądząc, że na te zaszczyty i łaski zasłużył, nie poczuwał się do obowiązku wdzięczności dla dworu, który znał zbyt dobrze, aby go mógł szanować. Stanąwszy na niezawisłém od dworu stanowisku, pomnożywszy własny majątek wielkim posagiem, wziętym za księżniczką Czartoryską, kanclerzanką w. litewską, po któréj śmierci zaślubił młodszą jéj siostrę, zmienił ton i zachowanie względem króla, któremu teraz nie zaniedbywał już okazywać, że łask jego nie potrzebuje i że tak samo, jak którykolwiek z magnatów polskich, jak które z butnych i dumnych królewiąt, może mu dać uczuć całą wagę swego gniewu. Na dobitek był on z natury gorączką nielada; zapalny jak siarka, dawniéj, gdy się dopiero majątku i znaczenia dorabiał, tylko z wielkim trudem hamował swą zapalczywość i burzącą się krew. Obecnie, nie potrzebując już sobie zadawać przymusu, bez skrupułu popuszczał wodze wyuzdanéj niekiedy gwałtowności. Tylko w obliczu jednego teścia panował zwykle nad sobą, ale czynił to może mniéj przez przywiązanie dla despotycznego i niezbyt w osobistych stósunkach miłego kanclerza, jak przez szacunek i respekt, bo książę, jak gdyby stworzony był do panowania, umiał imponować i wzbudzać dla siebie uszanowanie. Wiedział też pan podskarbi, że z tym rozumnym i namiętnym człowiekiem żartować nie można, a wadzić się niebezpiecznie — czuł własną niższość i dla tego mu ulegał prawie zawsze, lubo w pierwszéj chwili i przeciw niemu niekiedy się burzył. Życzenie księcia Michała było dlań po największéj części rozkazem — jego zaniedbanie nawet i nieporządek nie gorszyły pedantycznie w czystości i porządku zamiłowanego Flemminga.

Na dowód téj uległości i przywiązania „syna“ do ojca przytacza Bartoszewicz fakt następujący. „Przy stole — prawi autor Panów niemieckich na dworze Stanisława Augusta — zdarzyło się raz, że książę z widelca upuścił szpinak, który niósł

z półmiska na talerz i splamił nakrycie. Flemming zapalił się i poprawił na krześle, ale nie mógł już wytrzymać, wyciągnął ku księciu rękę jakby strzelbę a drugą nabił i strzelił ustami...“

Miał to być dowód nadzwyczajnego umiarkowania, do jakiego ze strony zięcia tylko książę kanclerz mógł rościć prawo.

Podobnego umiarkowania nie okazywał podskarbi, jak zobaczymy, nawet wobec króla JMci, — prawda, że chodziło tu o coś ważniejszego, niż o szpinak.

Kamieniem obrazy była dla Flemminga jedna z tych królewszczyzn, których już tyle zawdzięczał hojnemu monarsze. Fryderyk August chciał dać administracyą donośnego starostwa mereckiego zmarłemu wkrótce potém kasztelanowi witebskiemu, Stanisławowi Ogińskiemu, nazwanemu tu wcale charakterystycznie i znacząco „mężem pani Ogińskiéj,“ co się stało źródłem nieporozumienia, i podskarbiemu, mającemu apetyt na doskonały ten kąsek, dało powód do awantury, opisanéj szczegółowo we współczesnym liście, znajdującym się w archiwum książąt Czartoryskich. Autorem listu był dyplomata saski, F. L. de Saul, jak sam zapewnia „znany sługa całéj familii,“ bo pobierał od niéj pensyą, pisał go zaś do wojewody mazowieckiego, sędziwego już podówczas Stanisława Augusta Poniatowskiego, w Dreznie pod dniem 14 listopada 1748 r.

Służył on za pośrednika między panem regimentarzem a Brühlem, ministrem z imienia, królem de facto. Poniatowski nie chcąc zbyt często trudzić samego faworyta, udawał się do Saula z prośbą o uwiadomienie w téj lub owéj sprawie, albo o wyjednanie czegoś u Brühla. Tak i teraz napisawszy doń list pod dniem 3 lutego, wyprawił go do Drezna, gdzie bawił król wraz z całym dworem, przez Ogrockiego, podobno zaufanego sekretarza swego, bo gdy ojciec Stanisława Augusta przed sześciu laty w tajnéj misyi politycznéj od Augusta II jeździł do Paryża, wziął sobie „Ogrozia“ jak go nazywał, do pomocy i powierzał mu podkładanie pod cyfry najtajniejszych depesz. Regimentarz posłyszawszy, że w téj porze mają być niektóre wakanse rozdane i że najwięcéj widoków powodzenia mają ludzie przeciwnego stronnictwa, zgłaszał się do pana de Saul

z prośbą o przypomnienie ministrowi osób protegowanych przez familią. Wiadomość była jednak mylną; dla tego też dyplomata uważał za stósowne oszczędzić sobie niepotrzebnych zabiegów.

Zbywszy sprawę wakansów kilku wierszami, rozpisał się pan de Saul, jak już wiemy, bardzo obszernie o nieprzyzwoitém zachowaniu Flemminga, a czynił to zapewne z polecenia Brühla, w nadziei, że Poniatowski jako głowa familii, któréj i pan podskarbi stał się niedawno członkiem, powagą swoją i wpływem zdoła pohamować jego zuchwałość.

„Z prawdziwym żalem i poufnie — pisze po francuzku saski dyplomata — donoszę JWPanu, że żywość i uniesienie, jakiemi podskarbi w. litewski wybuchnął w ostatnich dniach swego pobytu tutaj, wielce mu zaszkodziły w umyśle króla i królowéj, a niewymowną przykrość sprawiły ministrowi.“

Wymieniwszy znaną nam już przyczynę gniewu Flemminga, dodaje skromnie, że nie ośmiela się bynajmniéj oceniać samego faktu, wie jednak z pewnością, iż umiarkowane przedstawienie w téj sprawie byłby król dobrze przyjął. Po tém grzecznem i ostrożném zastrzeżeniu, opowiada korespondent przebieg całego zajścia częścią jako naoczny świadek, częścią wedle narracyi ministra. Wypada nam trzymać się wiernie tego źródła, gdyż jako jedyne, nie dopuszcza kontroli.

August III chcąc się uwolnić od natrętnych próśb pani Ogińskiéj, które mu zamącały ulubiony spokój, polecił zawiadomić ustnie podskarbiego, że pragnąłby poruczyć administracyą starostwa mereckiego mężowi energicznéj kobiety, kasztelanowi witebskiemu. Flemming zażądawszy zlecenia królewskiego na piśmie, otrzymał je bez zwłoki; wówczas oświadczył zimno, że przed powrotem do Warszawy nie może wydać potrzebnych ku temu rozporządzeń.

Odpowiedź tę poczytano za wyraźną odmowę; król mógł być z niéj niezadowolonym, lecz w Polsce primus inter pares przywykał do podobnych przykrości. W tym razie jednak uczucie dotkliwego zawodu zaprawiała goryczą myśl, że tak śmiały opór stawiał człowiek, wyniesiony przez dwór do wysokich godności. Ale niechęć ku niewdzięcznemu miała wzrosnąć jeszcze do większych rozmiarów. Zaciąwszy się

w gniewie, zapowiadał butny hrabia, że on i cała familia nie pozwolą nigdy, aby kasztelan witebski utrzymał starostwo mereckie. Zuchwałe te pogróżki zaniesiono wkrótce królowéj. Król, a raczéj faworyt, nie chciał mu dać starostwa mereckiego, lecz trwał w pierwotnéj intencyi, pewny, że tymczasem znajdzie coś innego dla naprawienia humoru chciwego ministra. Ale pycha Flemminga oburzyła srodze dwór i odjęła mu wszelką chęć do wchodzenia ze śmiałkiem w układy.

Brühl wedle naszego korespondenta widząc gniew monarchy a pragnąc się dowiedzieć od samego winowajcy, o ile zaniesione do tronu skargi prawdziwe, aby, jeśli można, wziąć go w obronę (?) — wyprawił doń pana de Saul z zapytaniem i ostrzeżeniem; prosił nadto usilnie, aby nic nie przedsięwziął, czémby go mógł skompromitować. „Podjąwszy się téj roli — mówi saski dyplomata — spostrzegłem z najżywszym bolem i zadziwieniem, że zamiast przyjąć wdzięcznie od przyjaciela tę poufną przestrogę, najprzód łotrami nazywał tych, co się ośmielili wymyślić podobne kłamstwo, następnie zaś z uniesieniem mówił o postępowaniu dworu, z którym nie ma już sposobu żyć dłużéj w zgodzie. Mówił, że się usunie od niego na zawsze, że już go nie potrzebuje, że mu na nim tylko dokuczają, że ja widziałem, co to u nich znaczy minister — że może odjechać i istotnie odjedzie, i tysiąc podobnych rzeczy. A mówiąc to, był tak wzburzony, że doznawałem niewysłowionego żalu, zastanawiając się równocześnie i nad szkodą, jaką sobie samemu wyrządzał i nad złem, jakie ściągał na całą familią, która chciałaby go jednak podtrzymać — ubolewając téż, że król utraci w ten sposób osobę, którą wzbogacił i wyniósł wysoko, a na stałość jéj przywiązania zawsze liczył. Z tych pobudek poważyłem się wystawić hrabiemu z należném uszanowaniem, że nie powinien się tak unosić, ani téż z powodu podobnych drobnostek ostygać w przywiązaniu do pana, który mu wyświadczył tyle dobrodziejstw. Przedstawienia moje przyjął bardzo źle. Odpowiedział mi, że więcéj zasłużył, aniżeli odebrał, i że cokolwiek posiada, to nabył za własne pieniądze.“ Mówiąc to, miał zapewne na myśli rozległy majątek nad Bugiem, kupiony po zmarłym hetmanie Ludwiku Pocieju.

Wpadłszy raz w niepowściągniony zapał, wygłosił

Flemming z właściwą sobie gwałtownością wszystko, co mu na sercu leżało, a w niniejszym razie o tyle mniéj miał słuszności, że nie gromiąc tego, co zasługiwało na skarcenie, wyliczał tylko swoje własne, po części urojone krzywdy.

W ciągu rozmowy, zamiast ochłonąć, coraz więcéj się zapalał, a pod wpływem rozdrażnienia nie oszczędzał i posła, dając mu do zrozumienia, że nie czuje doń najmniejszego zaufania Na szczęście dla pana de Saul nadejście Brühla przerwało przykry dyskurs. Zapewnia on, że zaledwie dwudziestą część tego, co usłyszał, doniósł ministrowi, pragnąc koniecznie uniewinnić Flemminga i wytłumaczyć jego gniew oburzeniem na złośliwe plotki. „Uważałem — mówi daléj — za obowiązek donieść rzecz tak, jak się miała, aby JW. Pana nie zaskoczyły niespodziewanie smutne następstwa fałszywego kroku, i abyście Panowie mogli wspólnie zapobiedz złemu.“

Sprawa wymagała rzeczywiście rychłéj rady, bo pan podskarbi brnął daléj, narażając sobie w najwyższym stopniu króla i faworyta. Już po rozmowie z panem de Saul poszedł do królewskiego stołu, a po obiedzie, zapominając o należnych monarsze względach, prosił Fryderyka Augusta, aby nie dawał wiary „powieściom starych bab.“

Zręczny dworak nie widział go odtąd; zapowiada téż, że nie będzie się zbliżał do niego, zagniewany bowiem na cały świat hrabia, zapowiedział mu przez Ogrockiego, aby nadal nie ważył się przychodzić z podobnemi zleceniami. „Będę się z pewnością strzegł — kończy on — udzielania mu w przyszłości poufnych przestróg, lecz ilekroć otrzymam zlecenie od króla, aby z nim mówić, tylekroć to uczynię bez wahania.“

Nie wiemy, jak długo trwała zawziętość podskarbiego i jakich środków zaradczych użyła familia, dla ocalenia oddanego sobie człowieka. Tyle pewna, że ich zabiegi odniosły pożądany skutek, bo Flemming nie spadł wówczas z bystrego konia łaski pańskiéj, choć się postawił tak ostro i krnąbrnie. Snać nie cierpiący opozycyi teść nakłonił go do uległości wobec majestatu, a niezrównany w układach dyplomatycznych wojewoda mazowiecki wyjednał mu przebaczenie Brühla a tém samém i króla.

II.

Pamiętniki Marcina Matuszewicza zawierają niemało ciekawych szczegółów, malujących w bardzo dosadny sposób charakter i temperament podskarbiego. Szczegóły te potwierdzają ustaloną jego repntacyą jako gorączki, będącego w ciągłych wzruszeniach, bardzo ambitnego, nie żałującego swych wielkich kapitałów, gdy chodzi o sprawy polityczne, przytém uczciwego i łatwego w interesach, bo wystawia mu to chlubne świadectwo nieprzyjaciel, że słowo jego „było zawsze punktualne.“

Zadając niejako kłam narodowéj flegmie niemieckiéj, Flemming niemal co dzień wybucha największą gwałkownością, wpada we furyą, „od złości się trzęsie,“ „rozpala się ostatnią pasyą.“ łaje najobelżywszemi słowy: „szelmą, kanalią, szpicbubem,“ a nawet bije, bez względu na osobę przeciwnika, jeśli ten zawczasu nie umknie przed kułakiem lub kijem. Kiedy się ten wielki pasyonat zatrząsł, gdy mu pod wpływem wściekłego gniewu zaczęła „skakać lewa jagoda na twarzy,“ na którą biły płomienie, wtedy adwersarz zwykle w rychłym odwrocie szukał ocalenia, albo uległością i posłuszeństwem starał się przejednać groźnego dygnitarza.

Zawody, doznane w polityce razem z Czartoryskimi, odczuwał silnie i głęboko. W roku 1757 dotknięty do żywego niemiłym dla familii wyborem Jasińskiego na marszałka trybunalskiego, przyjechawszy do swego pałacu, „jak się oparł głową o ścianę i stanął do wszystkich gości swoich tyłem, tak z kwadrans stał i na nikogo się nie chciał obejrzeć.“

Gdy chodziło o jednanie stronnictwu nowych przyjaciół lub wynagradzanie dawnych, bywał hojnym i szczodrobliwym; czasem wszakże po pierwszéj chwili wspaniałomyślnego popędu odzywała się w nim żyłka skąpstwa czy oszczędności, i wtedy gorzko swéj hojności żałował. Ustąpiwszy donośnego starostwa brzeskiego Sosnowskiemu, uczuł skrupuły po niewczasie i był z tego powodu w bardzo złym humorze. Książę Michał Czartoryski spiesząc na wjazd Sosnowskiego na to starostwo, zjawił się niespodzianie w swym folwarku, Kur-

nicy, a że tam było i nieporządnie, i zimno i dymno, przeto pojechał tegoż dnia na noc do Terespola, przez umyślnego posłańca doniosłszy zięciowi o swém przybyciu. Podskarbi nie będąc jeszcze przygotowanym na te przyspieszone odwiedziny, wpadł w straszny gniew i tak energicznie zabrał się do marszałka dworu, Maliszewskiego, że ten musiał oknem uciekać. Wypada za nim we furyi Flemming, lecz zamiast szybkonogiego dworaka, spotyka babę i tę bez zastanowienia kijem okłada. Widzi tę scenę nadjeżdżający kanclerz, lecz zacietrzewiony podskarbi nie zwracając uwagi na teścia, bije daléj bez miłosierdzia nieszczęsną ofiarę i dopiero na usilne perswazye księcia, zaprzestaje okrutnéj operacyi.

Uchodziły mu płazem podobne wybryki, a zasługująca się bogatemu panu szlachta, nieraz go nawet „w brzuch“ całowała, jak to sam o sobie opowiada Matuszewicz, co próżnego dygnitarza rozbrajało, bo gwałtowny nad miarę w pierwszéj chwili, nie był tak zawziętym i mściwym, jak książę Michał Czartoryski i można go było przeblagać pokorą. Ale ten sam szlachcic, co z ujmą własnéj godności włóczył się u nóg pańskich i ślady stóp jego całował, zupełnie inną przybierał minę i fantazyą, gdy się znajdował w tłumie na sejmiku, a magnat, od którego może połknął niejedno upokorzenie, należał do przeciwnéj partyi. Uważając taką chwilę za porę sposobną do odwetu, srodze się nieraz możnemu panu dawał we znaki, i wtedy przynajmniéj sprawdzało się kłamliwe zresztą przysłowie, że szlachcic na zagrodzie równy jest wojewodzie.

Było to w r. 1754. Pułkownik Matuszewicz, brat autora Pamiętników, ujęty przez Sołtyka, wówczas koadjutora kijowskiego, i Mniszcha, marszałka nadwornego koron., zobowiązał się zrobić Flemmingowi na sejmiku brzeskim awanturę i w tym celu poczynił tajemnie wielkie przygotowania, podczas gdy podskarbi, nie wątpiąc o swéj przewadze, bo o niczém nie wiedząc, najspokojniéj jechał do Brześcia, pewny, że przeprowadzi swych kandydatów, Bystrego i Kropińskiego. Jakoż zalecony do laski sejmikowéj przez wojewodę brzeskiego, Sapiehę, z właściwą sobie szybkością usiadł na opuszczoném przez niego krześle, i już chciał dziękować panom braciom za ten zaszczyt, gdy się posypały gęste

protesta. Zmięszany i rozdrażniony niespodzianym oporem, jął się gniewać i rzucać, co zamiast uciszyć krzykliwy gmin szlachecki, tém więcéj go oburzyło i tém gwałtowniejsze wywołało hałasy.

Cierpliwość podskarbiego miała być niebawem wystawioną na nielada próbę, bo szlachta od słów przystąpiła do czynów, i bez względu na wysokie dostojeństwo osoby, siedzącéj na marszałkowskiém miejscu, to wyrywała z pod niego krzesło, to „wraz go z impetem bardzo ciasno krzesłem do stołu przypierała“ — słowem żwawo już dobierała się do ministeryalnéj skóry.

Nieprzywykły do podobnych obrotów, widząc, że nim rzucają niemal jak piłką, i że jak piłka może paść na ziemię, rwał się już do szpady, ale od tego nierozważnego kroku powstrzymał go faworyt jego, Bystry. Położenie było bez wyjścia; ciżba urągała ministrowi i popychała go, on zaś przywiedziony do wściekłości, siedząc na cenzurowaném a chwiejącém się krześle, do każdego, kto go znieważył grubszém słowem, zwracał się z zapytaniem:

— Jak się ty zowiesz? — na co mu „żwawo“ odpowiadano. Zagadnięty tak Franciszek Kościuszko, pisarzewicz grodzki brzeski, rzekł:

— A ty jako się zowiesz? — i zaczął z naigrawaniem opowiadać historyą pewnego Sasa, który podczas ostatniego bezkrólewia przywędrował do Polski.

Nasłuchawszy się dość cierpliwie różnych konceptów i szlacheckich komplementów, chciał już niedoszły marszałek zakończyć nieznośną dla siebie scenę; podniósłszy przeto laskę, uderzył w stół i wyrzekł jedno tylko słowo:

— Żegnam!

Na to odezwała się szlachta szyderczym chórem:

— Nie żegnaj, boś nie witał!

Wtedy Flemming, który dotąd wobec groźnego niebezpieczeństwa hamował się, jak mógł, i choć w nim wrzało, okazywał na zewnątrz pewne umiarkowanie, nie zdolen już panować dłużéj nad sobą, „począł się z furyą ciskać“ na pułkownika Paszkowskiego, który mu najwięcéj dogryzał. W odwet za to Piotr Tołoczko, dobywając szabli, krzyknął:

— A pókiż tak będziesz szlachtę traktował?

W jednéj chwili, jak gdyby za daném hasłem, las szabel zabłysnął, i już krew bratnia miała popłynąć strumieniem. Nieliczni stronnicy familii ocalili się szybką ucieczką, sam podskarbi uchodził co żywo. Na nieszczęście, chcąc przeskoczyć przez wał szlachty, która się w popłochu zwaliła z ławy, padł jak długi, i w owéj to chwili spotkała go sromota tém dotkliwsza, że sprawcą jéj był niedorostek. Czternastoletni bowiem dzieciuch, Tymoteusz Laskowski, wypłazował leżącego tępą szablinę po plecach, a kto wie, coby się było jeszcze stało, gdyby hajduk Flemminga nie był ogłuszonego porwał i uniósł do celi, zanim najbliżsi mu szlachcice zdołali powstać z ziemi, i skuteczniéj, niż słabe pacholę, popróbować swych karabel na pańskim grzbiecie.

Odwieziony do Terespola, zapadł podskarbi na gorączkę. Starania lekarzy przywróciły go do zdrowia, lecz bardziéj i dłużéj, niż fizyczne cierpienia, bolała ambitnego człowieka poniesiona w Brześciu porażka i doznany tam gorzki despekt. Długo po tym wypadku był podobno bardzo „mizerny“ i nie prędko przyszedł do „lepszéj fantazyi.“

Drugi cios równie dotkliwy, choć w odmiennych warunkach, spotkał Flemminga w dziesięć lat późniéj, w porze gdy potęga i szczęście familii stanęły u szczytu, gdy członek jéj, a powinowaty naszego bohatera, zasiadł na tronie. Tryumfował przeto ten dzielny ród, zbierając błogie owoce długiéj i wytrwałéj walki, a niemiłosierny odwet biorąc na przeciwnikach. Tryumfu tego jeden tylko Flemming nie podzielał, choć dla niego pracował przez długie lata z zapałem i poświęceniem.

Pod panowaniem nowego króla otwierała się dla jego krewnych i przyjaciół era pomyślności i dobrobytu, ale podskarbi miał nową tę epokę rozpocząć smutną rezygnacyą. Michał Czartoryski, choć zawzięty i chciwy władzy, zbyt był rozumnym i o dobro kraju dbałym, aby tam, gdzie chodziło o reformę anarchicznéj Rzpltéj, nie poświęcił ochoczo interesów prywatnych publicznym. Żądając gruntownéj naprawy opłakanych urządzeń skołatanego państwa, musiał pierwszy z siebie dać dobry przykład. Aby zapewnić społeczeństwu bezpieczniejszy wymiar sprawiedliwości, wniósł

z uszczerbkiem własnéj powagi i władzy, aby asesorowie na sądach kanclerskich mieli głos równy z kanclerzami.

Pokonawszy miłość własną i osobiste uczucia, nie mógł się trzymać innéj taktyki w obec członków familii, którzy powinni byli wstępować w ślady swego naczelnika. składając prywatne korzyści na ołtarzu publicznego dobra nie tylko bez szemrania, lecz nawet z tym spokojem, który cechował tę rządną i wybornie uorganizowaną partyą.

Podskarbstwo bywało zawsze w Polsce przedmiotem usilnych zabiegów a podskarbich spotykał nie rzadko ciężki zarzut, że się bogacili kosztem skarbu i kraju. Lubo szlachta nasza była zbyt podejrzliwą i do obwinień skorą, w tym jednak wypadku oskarżenia jéj bywały częstokroć słuszne. Podskarbiowie nie składali zwykle porządnych rachunków, i pewni bezkarności, nie bardzo skrupulatnie oddzielali dochody państwowe od własnych. Ich potomstwo odziedziczało ogromne fortuny, a do wyjątków należy szlachetne postąpienie Augusta i Fryderyka Moszyńskich, synów podskarbiego w. kor., którzy pragnąc oczyścić pamięć osławionego ojca, Jana Moszyńskiego, w kilkanaście lat po jego śmierci z własnego natchnienia zażądali wyznaczenia komisyi, któraby obliczyła, o ile skrzywdził Rzpltą, i wedle jéj obrachunku zwrócili skarbowi szkodę.

Z powodu zrywanych lub niedoszłych sejmów, od dwudziestu kilku lat nie zdawali podskarbiowie sprawy ze stanu powierzonéj sobie administracyi publicznego majątku, a i teraz wystąpili z obrachunkiem ogólnym, „per medium, złe lata dobremi nagradzając,“ co się wcale nie podobało stanom, zgromadzonym na sejmie konwokacyjnym. To też chcąc mieć dozór nad szafunkiem sum skarbowych i zapobiedz na przyszłość wszelkim nadużyciom, ustanowił sejm rady ekonomiczne, czyli komisye skarbowe (consilium oeconomicum), wybierane z obu izb przez sejmujące stany i odpowiedzialne za użycie grosza publicznego.

Takie opisanie i ograniczenie absolutnéj dotąd władzy podskarbiowskiéj, nie mogło przypaść do smaku Flemmingowi. Niezadowolenie jego wzrosło, gdy książę kanclerz lit. nie bacząc wcale na szwagra, zaprotestował stanowczo przeciw zapadłéj już uchwale, która

przyznała ministrom znaczne sumy w nagrodę za straty, poniesione przez wyznaczenie wspomnianych komisyi — a doszło to do zenitu, gdy w dodatku delikatnie i grzecznie zażądano od hrabiego, aby zrzekł się téj godności, sprzedając ją marszałkowi konfederackiemu, Brzostowskiemu, którego za poniesione trudy trzeba było wynagrodzić.

Fakt, że i w tym razie Czartoryscy dla zjednania sobie Brzostowskiego, nie chcieli stanąć w jego obronie, lecz owszém doradzili mu pogodzić się z losem, wprawił go w gniew wielki i wściekły. Złorzeczył familii, że mu się wypłaca niewdzięcznością za długą i wierną służbę, z niemałym żalem mówił o narodzie, który z nim postąpił jak z oszustem i złodziejem, nie pomnąc na to, że pracował uczciwie i robił, co mógł, aby udaremnić złe następstwa saskiéj gospodarki finansowéj i niecnego fałszerstwa polskiéj monety, dokonywanego przez pruskiego Fryderyka II, że zapobiegając gorszemu złemu, nie zważając na krzyki ciemnéj szlachty, z własnéj inicyatywy w porozumieniu tylko z konferencyą Panów i Rad, bez względu na zrywane ciągle sejmy, zredukował (w r. 1761) upodloną monetę i zakazał żydom zdrożnego handlu pieniędzmi.

Zdawało się już, że związki jego z książętami, które przetrwały długie lat dziesiątki, a nawet ze samym krajem, który mu zastąpił ojczyznę, nie przetrwają téj niebezpiecznéj próby. Rozżalony zarówno na Czartoryskich, jak na cały naród, pod świeżem wrażeniem zawodu zamyślał przeciąć wszystkie węzły, jakie go łączyły zarówno z pierwszymi, jak z drugim. Szczególniej, gdy się okazało, że nieszczerą była obietnica wynagrodzenia go województwem wileńskiém za podskarbstwo, nie posiadający się z gniewu eks-podskarbi wybierał się do Saksonii, gdzie brat jego był ministrem i powziął nawet zamiar ożenienia się z zamieszkałą tamże synowicą, aby jéj przekazać cały majątek. Celem wyjednania dyspensy na ten związek, wyprawił podobno do Rzymu kosztowny kredens srebrny, a w końcu zachorował ze zgryzoty i zmartwienia. Widywał się wtedy tylko z długoletnią swą przyjaciółką, starościną rostkowską, Tymanową, wdową po kapitanie, która w tych ciężkich dniach była mu jedyną pociechą. Jejmość ta, osoba niemałego rozumu i wielkiéj „chytrości

białogłowskiéj“ tak wszechwładnie panowała nad jego sercem, że nawet Czartoryscy, w trudnych a ważnych sprawach nie mogąc czegoś wymódz na nim, używali jéj pośrednictwa i perswazyi. W niniejszym wypadku zażądała familia od starościny stanowczo, aby swego starego wielbiciela skłoniła do sprzedania podskarbstwa, a późniéj wybiła mu z głowy wyjazd z kraju. Jakoż Tymanowa, gdy do prośb dołączono groźby, usłuchała rozkazu, i stało się wedle jéj woli.

Zanim przecież do tego doszło, musiało otoczenie Flemminga znieść niejeden wybryk, niejeden objaw jego rozdrażnionego humoru.

Na domiar złego partya Radziwiłła Panie Kochanku, mszcząc się za zajęcie Nieświeża przez generalną konfederacyą litewską, najechała mu i złupiła wzorowo zagospodarowany Błotów, nazwany Terespolem na cześć pani Teresy z Czartoryskich Flemmingowéj, zabrała konsystującą tam Flemmingowską piechotę, a nawet, jak się rozeszła pogłoska, uwiozła Tymanową. Rozwścieklony tém wszystkiém eks-podskarbi wpadłszy jak bomba do senatu, całą swą złość wywarł na Przeździeckim, referendarzu litewskim, bo krzyknąwszy, że wszystko złe, które go nawiedziło, jest wynikiem szalbierczych rad referendarza, pchnął biedaka pięścią w brzuch tak mocno, że wedle współczesnego wyrażenia „aż Przeździecki trzasł...“

Napróżno wzburzonego uspokajał książę kanclerz w. lit., bo Flemming zrażony do teścia, i na niego „z ostatnią obruszył się złością.“

Zdawało się, że już drugi zięć (pierwszy podkanclerzy Sapieha) skruszy jarzmo „twardéj księcia kanclerza dependencyi,“ ale dał się ugłaskać i dochował szwagrom wierności do grobu, a nawet niedługo potém złotą rękę pięknéj i głośnéj w dziejach swéj jedynaczki, Izabeli, oddał księciu Adamowi Czartoryskiemu, generałowi ziem podolskich, chcąc, aby jego olbrzymi majątek pozostał w familii.

Stanisław August nie mógł pominąć krewniaka przy rozdawnictwie wakansów. Jakoż w dniu 22 maja 1766 roku ofiarował mu województwo pomorskie wraz ze starostwem grodowém skarszewskiém i obdarzył go orderem św. Stanisława.

Eks-podskarbi, dostawszy pierwszy urząd w swém rodzinném gnieździe, bywał w niém jednak bardzo rzadkim gościem. Z wiekiem stawszy się wygodniejszym, wolał zdala od miejsca urzędowych obowiązków pędzić czas swobodnie albo w swych dobrach na Litwie, gdy zapragnął sielskich rozkoszy, albo gdy wytchnąwszy na wsi, chciał zakosztować przyjemności stolicy, oddychać w atmosferze świetnego dworu dostojnego kuzyna. Najmilszém jego zajęciem była wówczas gra w bilard na królewskich pokojach z Czaplicem, łowczym koronnym, o tyle powolnym i roztargnionym, o ile wojewoda był prędkim.

Podczas gdy skory zawsze do ćwiczeń gimnastycznych Flemming „przechylał się, latał, skakał, Czaplic wolno chodził w około, jakby się namyślał, czy pchnąć kulę, czy ją na miejscu zostawić.“

Jakież jaskrawe przeciwieństwo: ten zapalony gorączka, skaczący tak zapamiętale około bilardowego stołu, że uwagę wszystkich na siebie zwraca — a ten poważny i sztywny dygnitarz podczas uroczystego wjazdu na województwo pomorskie, w którym uczestniczył także rozpoczynający zawód publiczny Wybicki. Na szumną mowę dwudziestoletniego podówczas kancelisty nic nie odpowiedział, tylko się łaskawie uśmiechnął. „Bardziéj był Niemiec, niż Polak — dodaje Wybicki — człek nudny, zgoła oryginał.“

Wbrew temu bezwzględnemu sądowi, w chwilach, gdy nie doznawał silnych wzruszeń, bywał Flemming miłym i wesołym towarzyszem, a przy sposobności żartobliwym i dowcipnym. Podczas wjazdu jego na starostwo brzeskie, gdy kanonik Laskowski rozpoczął oracyą, niespokojny rumak nie chciał pod podskarbim stać na miejscu. Ruszył więc nasz dostojnik daléj, powiedziawszy z flegmą:

— Jabym słuchał, — ale mój koń słuchać nie chce!

Jego nawrócenia nie należy zapewne tłómaczyć zbyt idealnemi pobudkami, chodziło tu bowiem o rzeczy wielce praktyczne, o możność sięgnięcia po godność ministra Rzeczypospolitéj. To téż Dylewski, stolnik smoleński, jowialny poseł z tegoż województwa, ten sam, który publicznie w Izbie sejmowéj podał oryginalny, lecz nie nadający się do powtórzenia sposób rozwiązania kwe-

styi żydowskiéj i grubym konceptem uraczył Grabowską, starościnę wisztyniecką, jako seniorkę, święcącą kalwińskich predykantów — dziękował królowi z wielką powagą „za zbawienie duszy chrześciańskiéj, ponieważ dał podskarbstwo Flemmingowi, który z Lutra katolikiem został.“

Do licznych zalet hrabiego należała rządność i gospodarność, coraz już rzadsze w Rzeczypospolitéj w téj epoce. Sąsiedzi podziwiali zaprowadzone przezeń wzorowe gospodarstwo, rozwinięty umiejętnie przemysł, widzieli, jak z tejże saméj ziemi wydobywał nierównie większe, niż oni dochody, jak na szkutach spławiając zboże do Gdańska, zyskiwał sam to, coby byli zarobili pośrednicy. Brać szlachecka patrząc na to wszystko, z początku ramionami wzruszała, lecz widząc, jak doskonale wychodzi na swych przedsiębiorstwach, szła powoli za dobrym przykładem.

Ostatnie lata zamąciła mu konfederacya barska, w obec któréj mimo lat podeszłych zajął wrogie i wojownicze stanowisko. W jesieni r. 1769 powstała myśl utworzenia po stronie króla rekonfederacyi, któréj hrabia miał być marszałkiem generalnym na Litwie, ale rzecz spełzła na niczém; sam wybór marszałka nie był szczęśliwy.

Niezadowolony z coraz gorszych w Rzeczypospolitéj stosunków, oburzony na konfederatów, którzy mu niszczyli majątki a na Terespol nałożyli kontrybucyą, miał niemało powodów do gniewu i złorzeczeń. Syt lat i dostatków, umarł nagle w Warszawie 10 grudnia 1771, nie dożywszy rozbioru kraju, który bądź co bądź kochał po swojemu, i nie gorzéj zapewne od niejednego rodowitego Polaka. W czasie gdy tylu rodzonych synów Rzeczypospolitéj zdradzało ją niecnie, był on dalekim od intryg i machinacyi przeciw przybranéj ojczyźnie; trudno jednak wymagać od cudzoziemca, aby w epoce powszechnéj demoralizacyi politycznéj świecił krajowcom przykładem ofiary i poświęcenia. Prawda, że nie zawsze osobiste korzyści chciał podporządkować sprawie publicznego dobra, ale pytamy, iluż wtedy było obywateli, którzyby dla dobra kraju wyrzekli się prywaty? Zrażony niesprawiedliwością ludzką, groził wprawdzie opuszczeniem Rzeczypospolitéj na zawsze — ale nie zapominajmy, że z myślą tą dłużéj i poważniéj

nosili się rodowici polscy panowie, a między nimi sam Jan Sobieski.

Skończyłem rzecz moję, która nie ma pretensyi do biografii, lecz jest tylko próbą charakterystyki. W ciągu powyższego opowiadania starałem się przedstawić podskarbiego w bezstronném o ile możności świetle.

Zdaje się, że nie był to umysł politycznie głęboki; tém większa jego zasługa, że zamiast się rwać niebacznie do akcyi na własną rękę i przysparzać zamętu, który i tak rozpierał chwiejące się ściany Rzeczypospolitéj, poddał się pod rządy ludzi bystrzejszych i wytrawniejszych, że zamiast iść za przykładem Sapiehy i Branickiego, którzy pozrywali z teściami i zawichrzyli kraj, był wiernym i uległym wykonawcą planów familii i niemało się przyczynił do przeprowadzenia wielkiego dzieła reformy. W porze powszechnéj samowoli i anarchii, przedstawia ta karność pocieszający i budujący widok i każe nam poniekąd zapomnieć o niejednym wybryku krewkiego magnata, którego pamięci nie plami i nie obarcza żaden występek przeciw majestatowi przybranéj ojczyzny.

Za króla Sasa.

Wiemy dobrze, jak smutny widok upadku i spustoszenia przedstawiała Polska w burzliwéj epoce pierwszych kilku lat ubiegłego stulecia, gdy się stała łupem najazdu, teatrem krwawych zapasów między Szwedem a Sasem, z którymi złączeni krajowcy, podnosili przeciw sobie dłoń bratobójczą.

Rzeczpospolita wplątana wbrew własnéj woli w ciężką wojnę z bohaterskim Karolem XII, srogo przypłaciła wybór saskiego lekkoducha. Bezsilna, bo rozdwojona, nie zdolna do stanowczego kroku, nie umiejąca wyzyskać politycznéj sytuacyi, ponosiła wszelkie szkody i ciosy, narażała się na wszelkie klęski, żadnéj korzyści nie otrzymując w zamian. Gdyby cały kraj jak jeden mąż stanął był przy Auguście, jako prawym monarsze, i zbrojnie wystąpił przeciw nachodzącemu go Karolowi, nie byłby Szwed rozpierał się w polskiéj ziemi — od granic odparty, byłby może w inną stronę zwrócił swój oręż. Gdyby cała Polska jak szeroka i długa, odpłacając za gwałcone przez Sasa pacta conventa i mnogie bezprawia, odstąpiła była od niego, złożyła go z tronu i weszła w układy z zaczepionym przez niego Karolem, byłaby również położyła tamę rozlewowi krwi, byłaby mogła godniejszemu ofiarować koronę a związawszy się w ligę północną z bohaterem Skandynawii, stanąć niewzruszonym murem, od którego odbijałyby się bezsilnie wszelkie ościenne najazdy.

Bądź co bądź, przechylenie się całéj Rzeczypospolitéj na jednę lub drugą stronę, byłoby stanowiło o zwycięstwie. Ale w Polsce łatwiéj było o wszystko, niż o jednomyślność w działaniu. Ile głów, tyle rozumów

— a każdy swojemu przyznaje nieomylność — ile serc, tyle dotkniętych miłości własnych i ambicyi, zawiedzionych nadziei, żądz wyniesienia. Toż dość, że pan hetman powiedział czarne, aby już kanclerz lub inny dygnitarz przysięgał na gardło, że białe. Przyszło więc twardo odpokutować obrzydłe warcholstwo. Bili i prześladowali stronników szwedzkich Sasi i Rosyanie, ogniem i mieczem pustoszyli ich mienie — toż samo względem partyi saskiéj czynili Szwedzi. Najsilniejsze dotąd głosy podnosiły się u nas przeciw nadużyciom i gwałtom Szwedów, lubo bezprawia wojsk Augusta, monarchy kraju, były pod niejednym względem większe i sroższe. Wywołały one tak silne między ludnością wzburzenie i żądzę odwetu, jak zapewnia Otwinowski, że rybacy łowiąc w stawach, częściéj wyciągali z wody utopionych przez chłopstwo Sasów, aniżeli szczupaka... Możnaby na to przytoczyć wiele dowodów; jednym z niepoślednich jest niezużytkowany dotąd dwukartkowy manuskrypt z r. 1702 p. t. „Żałośna, ale prawdziwa relacya o excesach ludzi nadwornych, alias Harwatów, za królem JMcią z Litwy powracających a po Mazowszu i Podlasiu hostilissime grasujących.“

Dosyć już — są mniéj więcéj słowa relacyi — spustoszyły dzielnicę tę naprzód wojska litewskie, potém koronne, nakoniec regimenty niemieckie, zdążające do ekonomii litewskich i do Prus — tak, że okolica przedtém bardzo żyzna, słusznie spichlerzem Warszawy zwana, podobną jest do pustyni a mieszkańcy jéj niedostatek a nawet głód cierpią. Wszystkie jednak dotychczasowe przykłady ucisku i ciemięstwa ze strony zbrojnego ludu, który tędy przechodził, niczém są w obec ostatniéj „ciężkiéj oppressyi, którą stan rycerski tu poniósł od wrogiéj tyranii ludzi nadwornych Króla JMci, alias Harwatów.“

Już to po raz drugi przechodzili oni tą stroną. Spiesząc na Litwę za Augustem, łupieztwo swoje „jakążkolwiek pokrywali modestyą“; natomiast w powrocie dopuszczali się czynów tak bezprzykładnéj samowoli i okrucieństwa, do jakichby się tylko najdzikszy żołdak w nieprzyjacielskim kraju mógł posunąć.

Minąwszy Tykocin, rozpuścili pogłoskę, że ziemię tę oddał im król na łup, czyli wedle słów naszego źródła „puścił na ich dyskrecyą.“ Niebawem pod wodzą

kapitana Fryderyka Geismara i porucznika Heudego, szerokim bo sześciomilowym krążąc gościńcem, tak że ćwierć mili tylko dziennie przebywali, rozpasali się na łupieże i gwałty, na których opis włosy powstają na głowie, a pierś drży oburzeniem i grozą.

„Rozpuścili“ — brzmi opis — „czambuły szeroko, nie już chałupy i domy poddańskie, ale dwory szlacheckie najeżdżając, rabując; pieniądze, suknie, srebra zabierając, więżąc, na kołkach do góry nogami wieszając, dymem kurząc, nakoniec żony i córki poczciwości zbawiając, tak dalece, że na wieść pochodu ich, jako przed ordą białogłowy szlacheckie na mil kilka po lasach uciekać musiały, a szlachta słysząc o tak bezecnéj tyranii, do kapitana Geismara i Heudego zewsząd prośby nasyłała, okupując dobra swoje. I wzięli tu we dwóch niedzielach na kilkadziesiąt tysięcy, i to w talarach, gdyż na szelągi i patrzeć nie chcieli.“

Trwał ten prawdziwie tatarski pochód tygodnie całe, a rozzuchwalone hultajstwo „w takowéj posturze pomykając się ku Nurowi“, dopytywało się o zamożne w okolicach dwory. Zapytywani z obawy przed krwawą pomstą, nie zwlekali z odpowiedzią — a tak niecni napastnicy co najdostatniejsze domy na łup sobie wybierali. Dowiedzieli się w tenże sposób o „Gostkowskim dworze, dziedzicznym JMci pana Starosty Nurskiego.“ Pogłoski krążące o mnogich skarbach pana starosty tak żywą w chciwych najemnikach wzbudziły żądzę grabieży, że mimo licznych już łupów, mimo znacznéj odległości, bo ów dwór o trzy mile w bok był oddalony, przedsięwzięli nań niezwłocznie uderzyć. Zaprawiony w zbójeckiém rzemiośle kapitan Geismar, wyprawił się z wielkim pospiechem i tak wcześnie stanął na miejscu, że spokojni mieszkańcy nic o jego pochodzie nie zasłyszeli. Niespodzianie jak sęp spadłszy na ofiarę, połowę swojéj zgrai umieścił we dworze, połowę na folwarku — a wziąwszy pod straż podstarościego, kazał pootwierać wszystkie składy, wziąć wszystko, co się tylko zabrać dało, jako to pieniądze, złożone przez pewnego szlachcica na wykupno dóbr, daléj nie małe sumy, które napłynęły z intrat, wreszcie kosztowności, zapasy słoniny, masła, sukna, zboża itp. Łupy te wysłali naprzód cugowemi końmi starosty; „potém wieś przez całą noc

rabując, chłopów męcząc, białogłowy bezczeszcząc, nazajutrz obciążeni grabieżą, wyjechali.“

Posłyszawszy Heude, że chorągiew jego godnego towarzysza i wspólnika łotrowskich sprawek, tak obfity plon zebrała w starościńskich dobrach, umyślił iść za jego przykładem i dla tego „począł się na stanowisku pilnie pytać o drugim jakim folwarku Imci Pana Starosty.“ Powiedziano mu, że jest opodal wieś jego Zaszkowa, lecz chcąc dojść do niéj, trzebaby się aż o dwie mile zawrócić. Łakomy żołdak dla obfitego połowu postanowił nie szczędzić trudu. Zajechał przeto co prędzéj na miejsce „a tam spiżarnią zastawszy porządną i pieniądze gotowe przy tamecznym pisarzu, dwór i wieś spustoszył, w najokropniejszy sposób grasując.“ Padły i tu znów ofiarą kobiety, zabito chłopca, „domowéj poczciwości broniącego“ — legło nie mało innych z ręki rabusiów.

Starosty nie było wówczas na Mazowszu; zjechał on do odległéj na dziesięć mil ztamtąd miejscowości Mordy, gdzie się przysposabiał na pogrzeb rodzonego brata, archidyakona łuckiego. Dowiedziawszy się jednak o tém, co podczas jego nieobecności w dobrach zaszło, zlecił ceremoniał pogrzebowy bratu, stolnikowi nurskiemu, a sam co rychléj, bez wytchnienia dniem i nocą spieszył ku Mazowszu, „gdzie już nic we folwarkach nie zastał, tylko wielkie gromady skwierczącéj szlachty na Harwańców, gdyż tak w ojczystéj mowie zwią Harwatów, skarżącéj się a oraz proszącéj, aby jako starosta pozwolił im a zarazem dopomógł bić gwałcicieli i ciemięzców swobód szlacheckich według konstytucyi r. 1611 o swywolnych kupach.“

Ale pan starosta lubo tak srodze pokrzywdzony, rozważnie i zimno rzeczy biorący, nie pochwalił gorącego ferworu braci szlachty, lecz owszém powagą swojéj godności powstrzymał ich od doraźnego wymiaru kary na złoczyńcach, wykładając, że to ludzie nadworni, i „że mają najwyższą głowę sprawiedliwości Króla JMci“, a więc godzi się na razie zemsty zaniechać. Radził zaś i przekonywał, „aby z nim wespół na powinnéj drodze sprawiedliwości szukali.“

Lubo z niechęcią i żalem, posłuchała nieszczęśliwa szlachta rady starszego brata, zamiast rozgromić hałastrę, przykładnie ją wedle przysługującego sobie prawa

ukarać i odebrać to, co było wzięte *jure caduco*. Nie dopuścił tego polityczny rozum pana starosty, czego pewnie po niewczasie niejednemu poszkodowanemu ciężko przyszło żałować.

Tymczasem sascy hołysze dostawszy języka o rozruchach między szlachtą, przeprawili się przez Bug wraz z wielkiemi łupami, które wieźli wołami i końmi. „Wzięli nawet z sobą szlachcica jednego w kajdany i łańcuch osadzonego który Harwata jednego, za znieważenie swéj małżonki obuchem zabił; insze niegodziwości wypisać tak prędko niepodobna, ale z grodów brańskiego i nurskiego wkrótce same czyny mówić będą.“

Że autor źródła naszego, zaledwie cząstkę gwałtów tych opisał, widać i ztąd, iż na samym końcu listu donosi o nowém bezprawiu, które go doszło w chwili, gdy już „tę ekspedycyą miał wyprawiać. Oto „pan Zaleski, komornik ziemski drohicki, we dworze swoim, zniecierpliwiony mnogiemi zbrodniami, zabił Harwata jednego i sam uszedł, czego mszcząc się kapitan Geismar, całą chorągwią najechał dwór jego i dotychczas w nim grasuje.“

Karol XII w Polsce i Turcyi.

I.

Ogłaszając drukiem spoczywający dotąd w archiwalnym pyle nowy przyczynek do historyi pierwszych lat XVIII wieku, winienem podzielić się z czytającym ogółem wiadomością o samym rękopisie i jego autorze, jak niemniéj o korzyści, jaka z tego nowego materyału dla nauki wypłynie.

Jest to niedokończony pamiętnik Stanisława Poniatowskiego, ojca Stanisława Augusta, pułkownika, następnie generała w służbie Karola XII, w końcu kasztelana krakowskiego, którego oryginalny tekst francuzki znajduje się w archiwum książąt Czartoryskich vol. 937, we współczesnym odpisie p. t.: *Mémoire ou plutôt une rélation du Palatin de Masovie des évenemens de sa vie, depuis sa sortie de chez lui, faite à la requisition de sa Famille 1734, 22 de Janvier.*

Jakkolwiek dzięki znanéj uprzejmości księcia Władysława Czartoryskiego i osobiście przez pewien czas miałem sposobność czerpać z tego nieoszacowanego dla dziejów ojczystych źródła i późniéj, nie mogąc odbyć podróży do Kórnika, gdzie jeszcze wtedy zostawały te cenne zbiory, otrzymywałem liczne kopie pożądanych listów i dokumentów — mimo to nie znałem dotąd rzeczonego pamiętnika, nie mogłem go przeto zużytkować w ogłoszonéj najprzód w *Atenæum* monografii o *Ojcu Stanisława Augusta*, i nie byłoby mi się może wcale udało wy-

dobyć z pod kurzu zapomnienia tak ciekawéj spuścizny po znakomitym człowieku, gdyby nie listowna wskazówka, udzielona łaskawie przez czcigodnego pana Bronisława Zaleskiego, obeznanego doskonale ze skarbami naukowemi, jakie dla narodu przechowała dostojna rodzina książąt.

Na mocy nowego pozwolenia szanownego właściciela, już po sprowadzeniu archiwum z Kórnika do Krakowa, gdzie obecnie na szczęście dla powszechności stoi otworem, otrzymałem z łatwością wierny odpis pomienionego zabytku, który niniejszém ogłaszam w dosłownym polskim przekładzie. Czynię to zaś tém skwapliwiéj, że pamiętnik Poniatowskiego mieści w sobie nietylko szczegóły ważne dla uzupełnienia jego biografii — że owszém generał zwięźle opowiadając własnego życia koleje, wspominając o sobie tam jedynie, gdzie sam poniekąd wybitną odegrał rolę, podaje bardzo zajmujący obraz wszystkich zdarzeń, w których uczestniczył, ze szczególną zaś uwagą i miłością zwraca się ku ukochanéj przez siebie postaci bohatera, przy którego boku walczył przez długie lata. Zarówno ze względu na niezwykłą miarę człowieka, stanowiącego główną figurę opowiadania, jak na doniosłość wypadków, wstrząsających podówczas połową Europy, nabierają zapiski Poniatowskiego niepospolitéj wagi i ceny. Znaczenie ich zaś tém większe, że wyszły z pod pióra człowieka, mówiącego o tém tylko, na co patrzył własnemi oczyma lub o czém wie doskonale, nieraz z ust samego Karola, z którym obcował niemal bez przerwy przez lat z górą dziesiątek. Choćby więc pamiętnik z powodu spóźnionéj pory wydania nie zawierał nic nowego, choćby go niemal we wszystkiém ubiegły ogłoszone wpierw źródła, jużby do wydrukowania uprawniał pożytek, płynący z możności sprawdzenia z jego pomocą tamtych świadectw. Na szczęście nie jesteśmy skazani na zadowolenie się taką pośrednią tylko użytecznością naszéj zdobyczy; znajdziemy w niéj bowiem wiele rysów i szczegółów, którychbyśmy gdzieindziéj szukali napróżno.

O prawdziwości słów powyższych przekonamy się niebawem; wpierw jednak wypada nam powiedzieć, wśród jakich warunków zostały spisane owe wspomnienia młodości, abyśmy ztąd mogli wyciągnąć wniosek o stanowisku autora i o celu, w jakim je wylał na papier. Dla

zrozumienia tak pierwszego, jak drugiego, należy sobie, mniemam, uwidomić położenie i samego wojewody i familii i całéj partyi Leszczyńskiego w chwili, gdy rozpoczynał pisanie pamiętnika. Szczęśliwym wypadkiem posiadamy tu dokładną datę, bo wymieniony w nagłówku pisma dzień 22 stycznia 1734 roku.

W jakim stanie, zapytujemy, znajdowały się wówczas interesa samego Poniatowskiego i Stanisławowego stronnictwa, którego był jednym z głównych filarów? Leszczyński już przed czterema miesiącami nie czując się bezpiecznym w Warszawie, schronił się był wraz ze znakomitszymi stronnikami do warownego Gdańska. Generał rosyjski, Lacy, wybierał się właśnie pod tę twierdzę, aby przeciwników swéj monarchini zniewolić do poddania, zająwszy przed tygodniem (17 stycznia) bez oporu Toruń, z którego małodusznie bez przyczyny uszedł generał-major Kampenhausen. Zagrożony tak przez znaczne siły i od kraju odcięty król Stanisław, mimo niebezpiecznego położenia dobrze jednak tuszył o swoich losach. Pozycya jego była wyborną: ze wszech stron mógł otrzymywać odsiecz i posiłki, a liczył na pomoc Szwecyi, zkąd przybyło stu oficerów, po większéj części weteranów z epoki Karola XII, więcéj jeszcze na wsparcie Francyi. W złudzeniu tém utrzymywały go: dość zrazu obiecująca troskliwość paryzkiego dworu o teścia Ludwika XV., świeżo przybyła francuzka fregata, kilkadziesiąt tysięcy dukatów, ofiarowanych wojsku, gorliwe zabiegi hr. Plélo, posła francuskiego na duńskim dworze, jak niemniéj markiza Monti, krzątającego się około wystawienia pułku dragonów i najpiękniejsze rokującego nadzieje — dowóz amunicyi na holenderskich statkach, w końcu przywiązanie i zapał Gdańszczan, gotowych dlań „do ostatniego się azardować“, dość przyjazne usposobienie berlińskiego gabinetu i wiele zapowiadający ruch konfederacyjny w całym kraju na rzecz narodowego króla przeciw Sasowi, narzuconemu postronną przemocą i samowolą kilku ambitnych magnatów.

Nie potrzeba było być tak łatwowiernym i do złudzeń skłonnym jak Leszczyński, aby liczyć na zwycięstwo, aby być przekonanym, że je odniesie choćby nawet bez obcego poparcia, skoro tylko, jak się spodziewał, obruszona do żywego rosyjsko-saskiém gospodarstwem szlachta tłumniéj niż zwykle podąży na pospolite ruszenie.

Następne miesiące rozwiały wprawdzie te słodkie marzenia, ale wówczas nikt jeszcze nie poddawał się ponurym przeczuciom, nikt nie odgadywał ciemnéj przyszłości — każdy owszém żył błogą otuchą otrząśnięcia z bark Rzeczypospolitéj uciążliwego jarzma obcych wpływów, któremi pragnęły Polskę ubezwładnić sąsiednie mocarstwa.

Zdaje się, że ogólne to przekonanie podzielał nawet tak bystry i przenikliwy człowiek, jak Poniatowski, choć następujące wypadki prędzéj zapewne, niż wielu innym, otworzyły mu oczy i pozwoliły przewidzieć smutny koniec dramatu. O ile jednak późniéj, gdy już widział jasno nieuchronny upadek sprawy Leszczyńskiego, nie popieranéj poważnie ani przez Francyą, ani przez naród, który Stanisława na tron powołał — o ile, mówię, wówczas założył ręce i w gnuśnéj bezczynności oczekiwał rozwiązania, o tyle teraz, wierząc jeszcze w gwiazdę teścia arcy-chrześciańskiego monarchy, z energią i zapałem zabrał się do pracy. Na początku (5) grudnia powrócił był z Berlina, gdzie się układał w imieniu Leszczyńskiego z Fryderykiem Wilhelmem I. Rokowania te nie odniosły wprawdzie pożądanego skutku, bo żądne zdobyczy Prusy gotowe były udzielić Stanisławowi pomocy tylko za cenę poniżającego ustąpienia części przyległego im kraju, a sama ta myśl, jakeśmy to wykazali gdzieindziéj, zgrozą przejmowała serce szlachetnego króla, wbrew mylnym twierdzeniom dzisiejszych historyografów pruskich. Mimo tego niepowodzenia wojewoda mazowiecki tak zręcznie działał na dworze Fryderyka Wilhelma, że między Berlinem a Gdańskiem ożywiły się stósunki i przybrały charakter przyjazny, co widać z wymiany darów.

Po powrocie z dyplomatycznéj misyi, postanowił nasz bohater na innem polu służyć swemu panu. Czując potrzebę wzmocnienia w mieście załogi, sam zwerbował pułk wojska podobnie jak August Czartoryski i kilku innych magnatów, a około 12 stycznia otrzymał dowództwo na zewnętrznych fortyfikacyach, podczas gdy komendantem samego miasta był generał Wittinghof. Przytoczoną co dopiero datę, od daty wypisanéj na nagłówku pamiętnika, przedzielają niespełna dwa tygodnie. Nieprzyjaciel był jeszcze daleko od miasta, bo

dopiero 20 lutego przystąpił do oblężenia. Pełni wiary w pomyślne zakończenie walki z najezdzcą Czartoryscy żałowali zapewne, że najznakomitsza w ich rodzinie osoba pozbawiła się dobrowolnie sposobności odegrania wybitniejszéj roli wśród gotującego się starcia, składając ważny stopień regimentarza na rzecz śmiertelnego wroga. Gdyby teraz nie ociężały już Józef Potocki, ale dzielny Poniatowski stanął czy na czele wojsk koronnych, czy pospolitego ruszenia, innąby zapewne rzeczy przybrały postać, a gdyby ktoś z grona familii odniósł walne zwycięstwo w boju z nieprzyjaciołmi i kraj wyswobodził od uciążliwego najazdu, miałaby ona niezaprzeczone prawo do pierwszych w Rpltéj dostojeństw i do bezpośredniego wpływu na rządy.

Ulegając namowom familii, na jéj żądanie umyślił Poniatowski użyć sposobu, któryby Leszczyńskiego nakłonił do stawienia znowu ex-regimentarza na czele sił zbrojnych — postanowił bowiem przedstawić mu opis własnych czynów i zasług, aby przypomnieć, że z większém niż ktokolwiek inny poświęceniem i zaparciem walczył dla jego sprawy, a zarazem dać poznać, że więcéj także, niż ktokolwiek zdolnym jest przyczynić się do zwycięzkiego odparcia rozzuchwalonych wrogów. Że taki a nie inny cel miał wojewoda, spisując Odysseę swoich i Karola XII czynów, widać z następnych słów, skreślonych na okładce pamiętnika: *Mémoire à rendre en mains propres de sa Majesté.*

Zasadzony przez szwagrów do stolika Stanisław pisał zapewne tak długo, dopóki zmiana politycznéj konstelacyi nie zniechęciła go do pracy jako bezowocnéj, odebrawszy mu wszelką wiarę w powodzenie Leszczyńskiego. Zasuwała się coraz więcéj w posępną ciemność gwiazda teścia Ludwika XV, a coraz żywszym blaskiem lśniło słońce Augusta, zasilone czerpanemi od potężnéj aliantki z Północy promieńmi. O ile kreślone przez Poniatowskiego wspomnienia stawiały go wysoko w oczach człowieka, wyniesionego na tron przez szwedzkiego monarchę, o tyle byłyby mu zaszkodziły niechybnie w opinii jego szczęśliwego rywala. Nie było więc rzeczą rozumną kończyć pamiętnik — należało owszém, nie przypominając wcale jaskrawo zarysowanéj przeszłości, myśleć o skarbieniu względów nowego pana. Gdyby później

był opisywał swój udział w wojnie Karola XII z Augustem, byłby pewnie odmiennym kolorytem nawiódł swe opowiadanie, byłby według słów Rulhièra starał się wykazać, że w owéj porze „był za młodym, aby uczynić wybór między stronnictwami.“ Wskutek zapewne owéj zmiany sytuacyi nie ocalał oryginał pisma, zniszczony może przez ostrożnego autora; przeszło zaś do potomności jedynie w kopii, sporządzonéj może przez jednego z powinowatych, troskliwego o sławę członka familii.

Dopiero w siedm lat późniéj, w porze, gdy już niczego nie potrzebował się obawiać pan wojewoda, dzięki serdecznym stósunkom z Brylem i jak największemu zaufaniu Augusta III, dopiero wtedy odważa się opowiedzieć pewną część przynajmniéj swych czynów, począwszy od bitwy pod Półtawą a czyni to jeszcze bezimiennie pod osłoną krytyki dzieła Woltera, który lubo jakieś jego zapiski miał pod ręką, korzystał z nich arcyskąpo i niedokładnie. Wydana przezeń w r. 1741 w Hadze książeczka, nosi tytuł: *Remarques d'un seigneur polonais sur l'histoire de Charles XII par Mr. de Voltaire.*

Dziełko to, znane dziś tylko uczonym, nie zmniejsza wcale wartości naszéj zdobyczy; najobszerniejsza i najważniejsza bowiem jego część odnosi się do epoki, nie objętéj już ramami niniejszego opowiadania. Cała rzecz o Baltadżi baszy, cała epopeja o wyprawie nad Prut, stanowiąca jądro *Uwag*, wychodzi po za obręb zdarzeń, skreślonych w r. 1734. Że ich nie znajdujemy w rękopiśmiennym zabytku, nie ma czego żałować — niepodobna bowiem, aby być mogły opisane szczegółowiéj i dokładniéj, jak we wspomnianéj broszurze. Rozpoczynając się od r. 1709, obejmuje ona z dwóch lat też same zdarzenia, co pamiętnik; mogłoby się przeto wydawać, że ta część przynajmniéj nic nam nie przyniesie nowego. Na szczęście po bliższém zastanowieniu i porównaniu obu relacyi, i ta obawa okazuje się płonną. Nasamprzód rękopiśmienne źródło tę nad drukowaném posiada wyższość, że jest porządną, zaokrągloną opowieścią, podczas gdy drugie, z natury swéj ułamkowe i niezupełne, jako krytyka i uzupełnienie mylnych lub niedokładnych ustępów Wolterowego dzieła. Ale nie na tém kończy się jego pierwszeństwo; przewyższa ono późniejszą redakcyą całemi siedmiu latami świeższéj pamięci. Ztąd w relacyi z r. 1734 mieści się wiele

takich szczegółów, takich drobnych na pozór a przecież ważnych i charakterystycznych rysów, które w siedm lat później albo już się zatarły w księdze pamiątek autora, albo też musiały ustąpić ze względu na polemiczny charakter broszury, nie dopuszczający szerokiego rozwodzenia się o osobie generała. Jestem silnie przeświadczony, że Poniatowski dając odprawę słynnemu filozofowi, nie miał dawniejszego pamiętnika pod ręką, co widać z drobnych różnic pomiędzy temi pismami. Fakt ten o tyle dla nas pomyślny, że nam daje możność rozciągnięcia nad nim śledztwa za pomocą porównania własnych jego słów, wyrzeczonych w r. 1734 a 1741. Nie mając podobnego ułatwienia dawniéj, gdym pracował nad *Ojcem Stanisława Augusta*, zachowywałem się dość skeptycznie względem niektórych ustępów narracyi generała; dziś natomiast wyznaję z przyjemnością, że okazałem wówczas zbyt wielką może podejrzliwość i że Stanisław zasługuje na wiarę w wyższym stopniu, niż mi się zdawało.

Ile w niniejszym pamiętniku przybywa materyału do biografii samegoż Poniatowskiego, łatwo ocenić, rzucając okiem na pierwsze karty wspomnianéj już wyżéj monografii, gdzie w odwrotnym stósunku do wielkiéj obfitości źródeł z lat następnych, o młodym wieku naszego bohatera mogłem podać tylko szczupłe i niedokładne wiadomości. Ale rzecz ta nietylko ważna jako opowiadająca wypadki, których dotąd brakło w żywocie Stanisława, lecz nadto jako prostująca fałsze, choć je zbija nie w inny sposób, jedno samém milczeniem. Okazuje się to w następnym przykładzie.

Jan Lipski, podkanclerzy koronny i biskup krakowski, później zaś kardynał, dworak giętkiego karku i wytartego czoła, w wydanéj na kilkanaście dni przed zgonem Augusta III książce p. t. *Rozmowa pewnego ziemianina ze swoim sąsiadem o teraźniejszych okolicznościach*, przemawiając gorąco za wojewodą mazowieckim, jako stronnikiem dworskim, forytowanym na hetmana, opowiada, jakoby młody Poniatowski wróciwszy do Polski z pierwszéj wyprawy przeciw Turkom za życia jeszcze Sobieskiego, a zapytany przez tegoż króla o szczegóły walki, tak wybornie zdał sprawę z przebiegu wojennych obrotów, że uradowany bohater miał zawołać:

— To to Polak w cudzych krajach aplikujący się cnotliwie, gdzie inni tańca tylko i komplementów uczyć się jadą. Nauczcie się WMPanowie od niego (miał ciągnąć daléj, zwróciwszy się do otoczenia), jak z młodych lat na godnych ludzi formować się trzeba. Życzę Ci, panie Poniatowski, żebyś się tak kontynuował, jakeś pięknie zaczął; będziesz swego czasu godnym człowiekiem — będziemy i my pamiętali i t. d.

Otóż nietylko powyższe słowa, ale całą historyą pobytu młodego Stanisława na dworze królewskim musimy uważać za czczy wymysł podkanclerski, skoro nie wspomina o tém ani słowem sam Poniatowski, zapisujący skwapliwie wszelkie stósunki z koronowanemi głowami i znakomitymi ludźmi, przytaczający z łatwo zrozumiałém upodobaniem każdy objaw ich życzliwości i zaufania. Ani wątpić, że gdyby był poznał osobiście głośnego na cały świat wojownika, cóż dopiero, gdyby był przezeń powitany tak pochlebnemi wyrazy, byłby niechybnie opisał szczegółowo całe zdarzenie, a byłoby mu ono z pewnością tém bardziéj utkwiło w pamięci, że miało zajść w tak młodym wieku, gdy jeszcze nie zajmował stanowiska w świecie, gdy dopiero z szablą w młodocianym ręku zaczynał dosługiwać się znaczenia.

Liczne szczegóły z jego własnego życia w epoce szwedzkiéj służby, utwierdzają nas w powziętém dawniéj o nim przekonaniu. Był on przedewszystkiém żołnierzem, podnoszącym swój oręż nie w imię i z hasłem dobra kraju, którego był synem, lecz na usługi uwielbianego bohatera, żołnierzem zresztą dzielnym, w każdéj chwili i potrzebie przytomnym i nieustraszonym, zaglądającym śmierci w oczy bez drgnienia, dobywającym szpady czy pistoletu nawet bez potrzeby z awanturniczą, zuchwałą pewnością siebie, przestrzegającym nadzwyczaj troskliwie kodeksu wojskowego honoru, unikającym ztąd pilnie wszystkiego, coby temu bożyszczu zdawało się przeciwném. Świadczy o tém całe zachowanie jego od zaciągnienia się pod chorągiew Marsa aż do zgonu Karola — świadczy zaimprowizowany na prędce pojedynek z podpułkownikiem i historya knowań jego na ziemi tureckiéj, arcydzieło sprytu i dyplomatycznéj zręczności.

W ojcu naszego bohatera widzimy człowieka niezamożnego, pragnącego mimo braku środków wykierować synów na znakomitych ludzi, i obudzającego w nich to

uczucie ambicyi, jakie w sercu Stanisława odtąd tętni z taką mocą. Młody, kilkunastoletni chłopiec wbrew woli rodzica, pragnącego, aby się jeszcze kształcił w podróżach, wstępuje w cesarskie szeregi, marząc o zdobyciu za pomocą szpady stanowiska i sławy. Żądzę znaczenia i chwały roznieciło w nim, jak sam wspomina, obcowanie z oficerami — rozpłomieniło ją następnie zakosztowanie żołnierskiego życia.

Tyle o samym autorze pamiętników. Przystępując do ocenienia jego opowieści, poświęconéj sprawom publicznym, nie możemy szczegółowo, punktu po punkcie przechodzić całego dyaryusza, i wykazywać, co w nim nowego i nieznanego dotąd. Regestr taki, z natury rzeczy długi i suchy, bo w skład jego wchodziłyby tysiące drobnych rysów, znużyłby szersze koło czytelników a nie odpowiedziałby celowi, bo historyk i uczony nie zadowalając się podobnym spisem, sam zestawi i porówna inne źródła z niniejszym nabytkiem. Powiemy więc tylko ogólnie, że w całéj epopei Karolowych wojen z Piotrem i Augustem obok rzeczy zkądinąd już dawno wiadomych, napotykamy szczegóły i rysy świeże, których nie znajdziesz w szwedzkich, ani w polskich źródłach, ani w Nordbergu, ani w Otwinowskim, Zawiszy i t. d.

Ulubieniec i prawa ręka króla szwedzkiego, nie dziw, że więcéj o nim wie niekiedy, niż jego kapelan; od polskich zaś pamiętników dokładniejszy i wiarogodniejszy, jako naoczny świadek tego, co opowiada, a mówi niemal wyłącznie o krokach i czynach Karola, podczas gdy uwaga tamtych rozprasza się na liczne przedmioty spraw krajowych.

Do najciekawszych ustępów pamiętnika, obok opowiadania wypadków, zaszłych krótko przed i po klęsce Pułtawskiéj, należy niezawodnie opis sceny, któréj autor był naocznym świadkiem, pomiędzy Stanisławem Leszczyńskim, a wzburzonym, bo w ambitnych widokach zawiedzionym kardynałem Radziejowskim, bezpośrednio przed elekcyą pierwszego. Za wiarogodność opowiadania ręczy zarówno przytomność pułkownika przy zajściu, jak i to, że pamiętnik był przeznaczonym dla jednego z aktorów starcia. Już sam wzgląd, że memoryał miał być wręczonym dobrze wielu opisywanych spraw świadomemu Leszczyńskiemu, już wzgląd ten, mówię, służył autorowi niewątpliwie za przestrogę, aby się nie rozmijał

z prawdą, powstrzymywał go skutecznie na śliskiéj drodze samochwalczego ubarwiania wypadków, choćby go w tym kierunku parła jak najsilniejsza pokusa.

Zapiski te przytém niejednę wątpliwość rozstrzygną, niejeden fałsz usuną. Wykazują one n. p. mylność twierdzenia Otwinowskiego, jakoby królewicz Aleksander ustępując naleganiom Karola XII, gotów był z rąk Karola XII przyjąć polską koronę i rękę królewny szwedzkiéj, Ulryki Eleonory, i jakoby w tym celu „gotował się mocno jechać do Szwecyi“, później jednak sam król szwedzki „odrzucił królewicza.“ Było owszém, o czém już wspomina Nordberg, a za czém przemawiają i inne świadectwa, przeciwnie: Aleksander Sobieski zaciąwszy się w uporze, nie chciał żadną miarą przyjąć ofiarowanego sobie tronu, bądź tylko z miłości dla brata Jakóba, bądź o co go posądza nie bez kozery Jarochowski, „dla ukochanéj wygody i skąpstwa.“

Samego Nordberga za pomocą opowiadań generała nieraz uzupełnić, nieraz na szowinizmie i przesadzie schwycić można. I tak o buncie kozaków w drodze z pod Pułtawy do Benderu ma on arcy-niepewną wiadomość, wspomina o szemraniu, różnie przez różnych tłomaczoném — powiada, że jedni sądzili, iż rozruch powstał wskutek niewypłacenia żołdu, inni podejrzywali, że to zdrada, wymierzona albo przeciw Karolowi, albo téż przeciw Mazepie. „Mogło być i tak i owak“ dodaje tajemniczo historyk Karola XII, nie wiedzący téż nic o zbiegostwie kilkuset kozaków w następnéj nocy. Co się tyczy rażącéj przesady na korzyść Szwedów, dość wspomnieć, że Nordberg opisując sławną przeprawę Karola przez Desnę, liczy po stronie nieprzyjacielskiego generała, Allarda, tysiąc poległych, podczas gdy Poniatowski wie tylko o pięciu stach, jakkolwiek był naocznym świadkiem a o chęć zmniejszenia chwały szwedzkiego oręża nikt go pomawiać nie będzie.

Nie chcąc dłużéj nużyć czytelników, powiemy tylko jeszcze, że na szczególną baczność zasługują podane tu opisy bitew, pomimo że czasem skreślone kilku zaledwie słowy. Ale ta oszczędna w wyrazy zwięzłość, więcéj nieraz warta, niż rozwlekłe innych wywody, bo niekiedy w jednym rysie czuć znawcę, sądzącego o strategicznych ruchach generałów nie wedle pewnych wyuczonych formułek, lecz jako biegły adept wojennego rzemiosła. Pod

tym względem i Nordberg i wielu innych pójść by mogło do szkoły Poniatowskiego.

W końcu słowo jeszcze o zewnętrznéj formie pamiętnika. Grzeszy ona silném zaniedbaniem, rażącą niepoprawnością co się tyczy pisowni imion własnych, jak w ogóle gramatyki i ortografii. Małą cząstkę tych błędów można zapewne złożyć na karb kopisty; większą bez porównania przypisać należy samemu autorowi. W dziecinnym niemal wieku zaprzestawszy szkólnéj nauki, wiele się wprawdzie nauczył w życiu; niemniéj jednak taki rodzaj studyów niekorzystnie się odbił na jego francuzczyźnie, niekiedy, zwłaszcza w listach pod względem treści zręcznéj a nawet wytwornéj, częściéj jednak niezgrabnéj i przepełnionéj błędami. Na *Uwagach magnata polskiego* czuć troskliwą rękę korrektora; tutaj nikt sobie nie zadał pracy poprawiania a zdaje się, że autor nie trudził się nawet przeglądaniem swych zapisków. Chcąc o ile możności odtworzyć wiernie francuski oryginał, nie zawsze ztąd mogłem odpowiedzieć warunkom, stawianym dobremu przekładowi.

* * *

Stanisław hr. Ciołek Poniatowski urodził się w województwie krakowskiém, z rodziców Franciszka Ciołka Poniatowskiego i Heleny Legęzianki Niewiarowskiéj; lata pierwszéj młodości spędził na uniwersytecie (?) krakowskim dla nabrania niejakiego naukowego wykształcenia. Gdy licząc lat trzynaście wyszedł ze szkół, ojciec, który wiele podróżował, wyprawił go razem ze starszym bratem do Wiednia zarówno dla tego, aby się nauczyli niemieckiego języka, jak aby świat widzieli. Nakazał im nawet przez pół roku nosić polskie stroje, ażeby publiczność zaciekawiona, dowiadywała się, coby zacz byli i aby młodzieńcy w ten sposób dawali się więcéj poznać. Powiodło się to dość szczęśliwie: wszyscy, nawet pierwsze figury wiedeńskiego dworu z przyjemnością zapoznawali się z młodzieńcami, którzy już powierzchownością swoją i ubiorem dobrze dla siebie usposobiali krajowców.

Na nauczyciela przeznaczył im księdza, więcéj dla miarkowania właściwéj ich wiekowi żywości, jak dla wpojenia w nich dobrych obyczajów i pięknych uczuć;

nie będąc bowiem dość zamożnym, aby im dla wychowania dodać do boku takich ludzi, jakby był sobie życzył i jakby przystało, liczył raczéj na ich pojętność i przyrodzone skłonności, że się dobrze prowadzić będą, niż na naukę guwernera, któryby jéj poniekąd sam potrzebował.

Między ojcowskiemi przepisami znajdował się i ten, aby zawsze jadali w publicznéj oberży, gdzie się zwykli stołować ludzie przyzwoici i oficerowie a to dla nabrania śmiałości w obcowaniu z wielkim światem. Dowiedziawszy się, że zaczęli mówić po niemiecku i nieco po francuzku, polecił im zmienić strój i nauczyć się rzeczy, przystojnych szlachcicom, mającym kiedyś pracą los sobie zapewnić.

Po dwóch latach, spędzonych w ten sposób, powziął myśl wysłania ich w podróż i dał im w tym celu kilka weksli, lecz młodzieńcy, zachęceni przykładem znanych sobie w oberży oficerów, zamiast podróżować, postanowili udać się do Węgier i odbyć kampanią. Zaopatrzyli się przeto wedle możności w potrzebne przybory i po fakcie dokonanym zwrócili się do ojca z prośbą o przebaczenie i pozwolenie pójścia za popędem serca do wojennéj służby.

Hrabia Caprara, wówczas naczelny wódz armii jako feldmarszałek cesarski, gromadził wojska pod Peterwaradynem, lecz mając znacznie szczuplejsze siły, aniżeli Turcy, trzymał się odpornie; rzeczywiście nieprzyjaciel znając położenie, nie omieszkał podstąpić w celu otoczenia i armii i twierdzy.

Wojna była dość nużącą, jakkolwiek nie zdarzyło się w niéj nic godnego pamięci; czas schodził na nieustannych utarczkach, aż przybyło armii cesarskiéj z odsieczą sześć tysięcy Brandenburczyków a zbyt spóźniona pora skłoniła nieprzyjaciela do odwrotu.

Ponieważ nie brakło ochotnikom sposobności do odznaczenia się, przeto obydwaj szlachcice dzięki gorliwości w służbie, zyskali pewne uznanie wodzów. Był pomiędzy nimi pewien pan polski, hr. Sapieha, wielki koniuszy litewski i generał-major w służbie cesarskiéj. Ten zaprosił obu Poniatowskich do swego stołu i umieścił ich przy sobie a na końcu kampanii dał starszemu stopień chorążego w swoim pułku piechoty, którego dowództwo otrzymał późniéj hr. Solari. W taki sposób

rozłączyli się bracia: starszy poszedł z pułkiem do Włoch, młodszy został jako ochotnik przy wspomnianym generale. Po skończonéj wojnie hr. Sapieha, jako generał-major kawaleryi, porzucił swój pułk piechoty i wziął oddział kirasyerów, opróżniony po generale Karolu Palfi. Dał wówczas młodszemu Poniatowskiemu stopień pułkownika i mianował go następnie swoim adjutantem. Po bitwie stoczonéj w pobliżu Temeszwaru, pomiędzy rzeką Temesz a kanałem Bega, gdzie Poniatowski przy jego boku odniósł ranę, dał mu kompanią w tymże samym pułku.

Armia cesarska zostawała wówczas pod komendą elektora saskiego (1695—1696). Gdy ten po zgonie Jana Sobieskiego został okrzyknięty królem polskim, otrzymał po nim komendę książę Eugeniusz. W pierwszym roku jego dowództwa przegrali Turcy sławną bitwę pod Zentha (11 września 1697); w rok późniéj nastąpił pokój karłowicki (26 stycznia 1699).

Poniatowski powróciwszy ze swym generałem na Litwę, za jego radą pojął wdowę po hr. Ogińskim, mieczniku litewskim. Miała to być bardzo dobra pod względem majątkowym partya, gdyż wiek damy nie zupełnie odpowiadał wiekowi kawalera; na dobitek dobra, jak się późniéj okazało, były tak obciążone długami, iż przyszło mu wskutek tego ożenku pozbyć się części ojcowizny, drugiéj zaś połowy ustąpił szlachetnie starszemu bratu, zakładając swe nadzieje na Opatrzności i na talencie, za pomocą którego chciał się dobić stanowiska w świecie.

Wśród tych wypadków, niemal równocześnie z wybuchem wojny szwedzkiéj rozpoczęły się na Litwie zamieszki, wzniecone przeciw domowi Sapiehów, wówczas bardzo potężnemu w kraju. Sapiehowie przegrali bitwę pod Olkiennikami przeciw republikanom; wielkiego podkoniuszego zabito. Poniatowski wzięty do niewoli, zagrożony podobnym losem, znalazł sposoby ocalenia się z innym kawalerem swego województwa, imieniem Jordan. Część nieprzyjaciół dopędziwszy ich w drodze, rozebrała aż do koszuli; na szczęście uchodzący nie poznani, znaleźli sposoby wymknięcia się z rąk napastników i pospieszyli do Warszawy.

Z jednéj strony Sapiehowie, wypędzeni zupełnie z Litwy, szukali schronienia w Polsce u krewnych, poparcia u całéj Rpltéj i króla; z drugiéj król szwedzki

pobiwszy feldmarszałka saskiego, Steinau'a podczas przeprawy przez Dźwinę i zdobywszy na nowo Dünamunde-Schantz, posunął się ze zwycięzką armią naprzód, aby spocząć na zimowe leże w Kurlandyi.

Sapiehowie nie znalazłszy wcale łaski u Augusta, ani też dostatecznego poparcia u Rpltéj a będąc przyprowadzeni do ostateczności, postanowili zwrócić się do króla szwedzkiego; zasięgnąwszy więc rady kardynała Radziejowskiego, hetmanów koronnych wielkiego i polnego (Stan. Jabłonowskiego i Feliksa Potockiego), generała wielkopolskiego (Leszczyńskiego), biskupa chełmińskiego (Teodora Potockiego), dzisiejszego prymasa i wielu innych przyjaciół, którzy przyznali jednogłośnie, że król polski przeciw prawom i bez zezwolenia Rpltéj rozpoczął wojnę ze Szwecyą, i że był sprawcą wewnętrznych na Litwie zaburzeń, wysłali Poniatowskiego do króla szwedzkiego do Kurlandyi, w celu wymożenia na nim wsparcia dla siebie a równocześnie nakłonienia go do ruszenia naprzód i stawienia tamy nadużyciom króla polskiego, za nic sobie ważącego prawa Rpltéj.

Poselstwo to, jakkolwiek długo nad niem rozmyślano, było dość tajemném. Przybywszy do Kurlandyi, doznał jak najlepszego przyjęcia u Karola XII, zwłaszcza że na pierwszém jego posłuchaniu był przytomny książę Sachsen Gotha, który go znał we Węgrzech jako oficera dobrego imienia, o ile na to pozwalał wówczas jego wiek młodociany. Powrócił z pożądanemi rozolucyami a nawet król szwedzki posunął swe wojska ku Żmudzi.

Król polski ujrzawszy Poniatowskiego, zjawiającego się na dworze a przestrzeżony przez kogoś, że tenże był poprzednio w obozie szwedzkim, zapytał go sam o tę podróż, lecz nie mogąc się od niego niczego dowiedzieć, postanowił go uwięzić i wysłać do Königsteinu. Poniatowski posłyszawszy na szczęście o grożącém sobie niebezpieczeństwie, schronił się do województwa krakowskiego z zamiarem powrócenia do Niemiec, gdzie miał potężnego protektora w księciu Salm, byłym nauczycielu cesarza Józefa. Ale ulegając prośbom Sapiehów, hetmana w. lit. (Kazimierza) i podskarbiego w. lit. (Benedykta), aby ich nie opuszczał w nieszczęściu, zmienił postanowienie i porzucił służbę cesarską, a wstąpił do litewskiéj, w stopniu pułkownika. W całéj Polsce mówiono wówczas tylko o zaburzeniach na Litwie i o wojnie

szwedzkiéj. Zwołano do Warszawy sejm nadzwyczajny tak dla wciągnięcia Polski w tę wojnę, jak dla pogodzenia wzburzonych na Litwie stronnictw. Gdy go zerwał Pac, kawaler maltański, wszystko pozostało *in statu quo*, wojska saskie ciężarem kraju a Sapiehowie wygnani z Litwy, widząc, że dwór im przeciwny, przedsięwzięli skwapliwie szukać poparcia u króla szwedzkiego. Podskarbi w. litewski napisał do Poniatowskiego z wezwaniem, aby przybył do Warszawy. Kiedy stanął w stolicy, Sapiehowie powzięli już byli decyzyą; w kilka dni późniéj otrzymawszy od hetmana w. k. Jabłonowskiego straż, złożoną z czterystu koni, wyjechali z Warszawy wśród białego dnia, w samo południe, pod okiem króla, Sasów i całéj Polski, spiesząc do swego opiekuna. Król po spełnionym fakcie bardzo był gniewnym, że ich nie kazał uwięzić.

Stanąwszy już w pobliżu króla szwedzkiego, na granicy Żmudzi, wysłali doń Poniatowskiego z prośbą o naznaczenie schadzki dla odbycia narady w sprawach bieżących. Król wyraził życzenie zobaczenia się z nimi w Jurborku. Wezwani przybyli tu w oznaczonym czasie a młody monarcha przyjął ich otwartemi ramiony i przyrzekł, że nie ukończy wojny, dopóki im nie wróci dóbr, urzędów i godności; lecz oświadczył zarazem, że należy uchwalić strącenie Augusta II z tronu, ponieważ tak jawnie wykracza przeciw zaprzysiężonym niedawno Paktom konwentom i przeciw prawom Rpltéj. Gdy wystawiali różne trudności, stające na przeszkodzie wykonaniu tego projektu, odpowiedział im po łacinie temi kilku słowy: *Ego semel dic et fac (sic*, zamiast: *dico et facio*; przypisek tłómacza). Po krótkiéj naradzie rozłączono się a król dał wojsku rozkaz ruszenia naprzód, Poniatowskiego zaś zatrzymał przy sobie. Od téj pory nie opuścił on już szwedzkiego monarchy i miał szczęście stać przy jego boku we wszystkich sławnych potrzebach.

W Ołyce otrzymał Karol wiadomość o śmierci hetmana w. k. Jabłonowskiego; żałował go bardzo z powodu wielkich zasług, oraz stałości, jakiéj złożył dowody, nie chcąc się nigdy mimo licznych ofiar ze strony króla polskiego, zgodzić na wojnę ze Szwecyą, ani téż zezwolić, by niektóre oddziały, zostające pod jego wodzą, złączyły się ze Sasami. Wielką buławę otrzymał Potocki, wo-

jewoda krakowski, ówczesny hetman polny, hetmaństwo zaś polne dostało się podskarbiemu w. koronnemu, Lubomirskiemu; pierwszy nie długo cieszył się swoim urzędem, umarł bowiem w dziesięć dni po nominacyi. Opróżnioną po nim godność dano hetmanowi polnemu, Lubomirskiemu, mniejszą buławę wojewodzie bełzkiemu, Sieniawskiemu; obydwaj znani byli z przychylności i przywiązania do Augusta. Król szwedzki podążał daléj ku Warszawie, zostawiając na Litwie oddział wojska z generałem Mörnerem i hetmanem w. Sapiehą na czele, przeciwko siłom Ogińskiego, starosty żmudzkiego, który trzymał z królem polskim. Podskarbi w. litewski poszedł z Karolem XII.

Gdy wojna z każdym dniem przybierała poważniejszy charakter, rada senatu złożona przy boku króla polskiego, wyprawiła do króla szwedzkiego deputacyą, złożoną z Lipskiego, wojewody kaliskiego, Kryszpina, wojewody witebskiego, Tarły, kuchmistrza koronnego i Ogińskiego, starosty gorzdowskiego, celem wstrzymania pochodu Karola i spróbowania układów. Uzyskawszy posłuchanie u monarchy o dwie mile od Grodna, za całą jednak odpowiedź otrzymali oświadczenie, że król szwedzki nie może się zatrzymywać w marszu dla traktowania z komisarzami Rpltéj, wiedząc, że wielu Polaków żywi odmienne uczucia. Stanąwszy w Warszawie z sześciu tysiącami ludzi, kazał wystawić most na Wiśle i zaprosił kardynała Radziejowskiego do stolicy. Przybyciu tego kościelnego dygnitarza stanęły pewne trudności na zawadzie, po usunięciu których przyjechał w towarzystwie w. podskarbiego kor. hr. Leszczyńskiego, magnata, który się cieszył wielką popularnością dzięki tysiącznym świetnym przymiotom a zięcia zmarłego hetmana Jabłonowskiego, ożywionego więc temiż samemi republikańskiemi uczuciami, gorliwego praw i swobód ojczystych obrońcy.

Bardzo dobrze przyjęci przez króla za pierwszą bytnością u niego na Pradze, odbyli następną konferencyą z tym monarchą w Ujazdowskich kąpielach (w dzisiejszych Łazienkach). Starali się nakłonić go do umiarkowania, wystawiając mu, jak szczupłemi siłami rozporządza w porównaniu z wielkiém wojskiem króla polskiego, zgromadzoném pod Krakowem; lecz Karol ufny w sprawiedliwość swéj sprawy, przedsięwziął rozstrzygnąć spór orężem a licząc na dzielność swoich, nie

dał się przekonać przedstawieniom tych dwóch panów. Wezwawszy ich przeto, aby postępowali, jak na dobrych obywateli i republikanów przystało, rozłączył się z nimi w zgodzie i przyjaźni, aby zdążać małemi marszami daléj ku Krakowu.

Gdy nadeszła wiadomość, że siły saskie wynoszą 22,000 ludzi, nie licząc w to oddziału wojska koronnego, podskarbi Sapieha wspólnie z ministrem hr. Piperem, wiedząc, że generał Mörner nie ma na Litwie wiele do czynienia a hetman Sapieha sam zdoła stawić czoło Ogińskiemu, staroście żmudzkiemu, oraz jego partyzantom, napisali do generała bez wiedzy monarchy, by ze swym pięciotysięcznym korpusem pospieszył na południe i połączył się z królem, jeśli nie chce dopuścić, aby ten na czele szczupłéj garstki ludzi stoczył nierówną walkę z trzydziestotysięczną nieprzyjacielską armią.

Król szwedzki szedł wciąż daléj, lecz dotarłszy do Kielec, o piętnaście tylko mil od Krakowa, i uważając, że żołnierze nieco strudzeni, postanowił zatrzymać się tutaj na tydzień. Wówczas hr. Piper i podskarbi w. lit. wyznali królowi, jak postąpili z generałem Mörnerem, czem się nieco uraził, lecz złagodził to uczucie wzgląd na ich gorliwość i dobre chęci. Zapał do walki uniósł go jednak, lubo nie wiedział, czy generał Mörner blizko, czy daleko. Wydano rozkazy do pochodu. Nowina o zbliżaniu się generała Mörnera nadbiegła bardzo w porę; oddalony o dwa dni drogi od króla, złączył się z nim rzeczywiście w wilią bitwy pod Kliszowem (19 lipca 1702), o milę od Pińczowa, gdzie obozowała armia saska.

Król polski wydał nakaz oddziałowi, złożonemu z dwustu pięćdziesięciu koni, aby się wysunął naprzód dla pochwycenia języka. Zakryci lasami, wpadli oni na polną gwardyą Szwedów; dzielnie przez nią przyjęci, rozbici i ścigani, uciekali w popłochu aż do czat, zostawionych w lesie dla ułatwienia odwrotu. Wzięci w téj potrzebie do niewoli Sasi opowiadali, że armia tylko o półtoréj mili oddalona, co niewymownie ucieszyło króla, wlewając weń otuchę, nadzieję walki i zwycięztwa. Podzielił się następnie tą nowiną z wojskiem, zagrzewając każdego własnym przykładem i oświadczając, że nie mają innego wyboru, okrom zwycięztwa lub zgonu.

W następnéj nocy o godzinie dwunastéj sam wszczął alarm i widząc, że wszyscy gotowi, wydał rozkaz do pochodu o świcie; o godzinie dziesiątéj z rana ujrzał obóz nieprzyjaciół, a śledząc ich pozycyą, próbował sam, czyby nie mógł uderzyć na nich ze strony, która mu się wydała najwłaściwszą. Usiłował ztąd popędzić na ich lewe skrzydło, lecz błotnistość okolicy przeszkodziła spełnieniu tego zamysłu; zarządził więc pół obrotu na lewo dla zaatakowania przeciwnika na bokach prawego skrzydła, nakazując swéj armii pochód wzdłuż całéj linii nieprzyjaciół, zakrytych bagnem, jak się zdawało niedostępném.

Manewr ten dał przeciwnikom dość czasu do ustawienia się w bojowym szyku, i rażenia tymczasem Szwedów 36 działami, podczas gdy ci posiadali zaledwie dwa do dawania sygnałów.

Po wydaniu rozkazów z jednéj i z drugiéj strony, rozpoczęła się potyczka na prawem skrzydle saskiém Polacy i hrabia Fleming pierwsi rozpoczęli napaść, lecz wytrzymawszy pierwszy strzał, cofnęli się Polacy na stronę, a oddział Fleminga poszedł w rozsypkę. Generał ten powracał jednak trzykrotnie z coraz inną kawaleryą. Saska piechota, zakryta jazdą Friesena, zwarła się z piechotą szwedzką. Gdy po daniu ognia podeszli tak ku sobie, że się rozpoczął bój na szable, nic nie zdołało oprzeć się Szwedom. Tymczasem prawe skrzydło Sasów, znając lepiéj miejscowość niż Szwedzi, przebywszy bagno, które się tym wydawało niedostępném, zwróciło się ku ich lewemu skrzydłu, lecz gdy tu dzielnego doznało odparcia, stała się walka ogólną. Armia saska bita ze wszech stron, szukała ocalenia w odwrocie. Około dwóch tysięcy ludzi dostało się do niewoli, na polu bitwy pozostało około pięciu tysięcy; obóz i bagaże wraz z wielkiemi bogactwami i kasą wojskową, dostały się w ręce zwycięzców, również i artylerya. Między nieprzyjacielskiemi bagażami znaleziono więcéj niż dwieście powozów, napełnionych oficerskiemi kobietami. Doznały one wiele uprzejmości od Szwedów, którzy nietylko nie myśleli ich obdzierać, lecz owszem starali się zabawiać je w niewoli. Gdy jednak oficerowie okazywali dla téj pięknéj zdobyczy zbyt wiele względów, król z obawy, by ich waleczność nie zmiękła, pragnąc się nadto pozbyć kłopotu, dał im straż, złożoną z dwustu koni

z poleceniem, aby je doprowadziła do granicy Szlązka i tam puściła na wolność.

Nie ścigano nieprzyjaciela, nie chcąc niszczyć niesłychanie już znużonéj kawaleryi. — Król pozostał na polu bitwy przez ośm dni dla dania wypoczynku wojsku, dla ogłoszenia dalszych rozporządzeń, zaopatrzenia rannych, których miał około dziewięciuset, i pogrzebania poległych, których było tysiąc stu czterdziestu, a pomiędzy nimi książę holsztyński, bardzo żałowany przez króla, swego szwagra. Ranni wraz ze strażą, złożoną z pięciuset ludzi, pozostali w zamku w Pińczowie, o milę od pola bitwy, król zaś skierował swój pochód ku Krakowu, otrzymał bowiem wiadomość, że siedm tysięcy Sasów przybyło dla wzmocnienia armii i że mają zamiar bronić się w Krakowie.

Na wieść o nadciąganiu Karola, król polski nie osądził za właściwe czekać na zwycięzców; powziął on zamiar pospieszenia w stronę gór tarnowskich, o czém posłyszawszy Szwedzi, zwrócili się w tę okolicę, dognali zaś tylną straż dopiero nad rzeką Rabą. Zaskoczona nagle część Sasów, rzuciwszy powozy, schroniła się do lasu. Król szwedzki czując potrzebę udzielenia armii chwili wytchnienia, zabawił przez pewien czas w okolicach Krakowa. Zdarzył mu się wówczas nieszczęśliwy wypadek, że złamał prawą nogę poniżéj kolana, upadłszy w pędzie wraz z koniem na powrozy namiotu generała Stenbocka. Przed bitwą pod Kliszowem wydał hrabiemu Güllensternowi (Gyllenstiernie) rozkaz, aby mu przywiódł wojska z Pomorza; gdy jednak przybyły, zadowolił się ich obejrzeniem, poczem je odesłał tam, zkąd przyszły, pewny, że ich potrzebować nie będzie.

Podczas gdy król szwedzki wypoczywał, Sasi przybyli do kraju i umieścili swą piechotę w doskonale wówczas obwarowanym Toruniu. Skoro się o tém dowiedział Karol, pomimo że jeszcze nie przyszedł do zdrowia i mimo dróg, w zimowéj porze niedostępnych, wyruszył z Krakowa ku Warszawie, lecz napotkawszy zbyt wielkie trudności w pochodzie, obrał sobie na siedzibę Łubnicę w województwie sandomirskiém, gdzie postanowił doczekać się wiosny.

Powracające na Pomorze wojsko straciło dwustu od armii odciętych ludzi; wzięło ich do niewoli wojsko koronne. Uwiadomiony o tym wypadku król, wysłał

Poniatowskiego do hetmana Lubomirskiego do Lwowa z żądaniem wydania tych jeńców i z groźbą, że w razie odmowy wyprawi oddział wojska z rozkazem, aby jego piękne dobra na Rusi puściło z dymem. We Lwowie odbywało się wówczas walne zgromadzenie wszystkich partyzantów króla polskiego; mimo to Poniatowski tak zręcznie i skrycie wywiązał się z poruczonego sobie zlecenia, że w tydzień później owe dwie setki dragonów w mundurach i na koniach powróciły do króla.

Na początku wiosny nakazał Karol wojsku dalszy pochód do Warszawy, a otrzymawszy wiadomość o bytności korpusu saskiego w Pułtusku, stanął na czele kilku pułków i chcąc go zaczepić, odbył kilka trudnych przepraw, nawet w pław. Generałowie Beist (Beust) i St. Paul wraz z pewną liczbą saskich oficerów wpadli mu w ręce jako jeńcy wojenni, niemniéj mnóstwo prostych żołnierzy; reszta ocalała, uszedłszy w popłochu do Prus i Torunia. Król zgromadziwszy wszystkie swe siły, szedł daléj ku téj twierdzy, gdzie się zamknęło ośm tysięcy saskiéj piechoty, lecz nie mając z sobą niezbędnéj w podobnych razach artyleryi, musiał oblężenie zamienić na blokadę, która trwała niemal przez całe lato. Około jesieni przybyła ze Szwecyi ciężka artylerya, a gdy zaczęto ostrzeliwać miasto bombami i dano do poznania, że niebawem rozpocznie się praca około przekopów, generał saski zażądał kapitulacyi; gdy król nie chciał o niéj słuchać, poddał się na łaskę i niełaskę (14 października 1703). Cała załoga w charakterze jeńców wojennych poszła do Szwecyi; weszli oni po największéj części w służbę zwycięzcy, a służyli wiernie i dzielnie.

Zdawało się, że opanowaniem Torunia skończy się wojna, lecz król przed pójściem na zimowe leże do Warmii, stanął pod Elblągiem i zajął go niemal bez strzału.

W porze oblężenia Torunia zwołał król polski sejm nadzwyczajny do Lublina. Posłów wielkopolskich usunięto dla tego, że nie mieli dogodnych dla monarchy instrukcyi, co tak dalece wzburzyło umysły w téj prowincyi, że na sejmiku relacyjnym, na który przybył hr. Poniatowski z ramienia króla szwedzkiego, zawiązano konfederacyą pod laską Bronisza, starosty pyzdrskiego, przeciwko opresyi praw i gwałtowi, zadanemu posłom.

Wyrażenia konfederacyi były dość ostre, lecz samego króla oszczędzano jeszcze; umieszczono bowiem zastrzeżenie, że się wiążą dla utrzymania praw i króla, lecz *salvo vinculo pactorum conventorum*. Zastrzeżenie to podobało się nadzwyczajnie królowi szwedzkiemu; objawił też swoje zadowolenie z postąpienia Wielkopolski, za którą poszły inne województwa, gromadząc się w Warszawie gwoli utworzenia generalnéj konfederacyi. Wówczas to zaczęto przemyśliwać o prawnéj exwinkulacyi względem Augusta i o osobie, odpowiedniéj do zajęcia tronu. Cała Wielkopolska, równie jak inne województwa, zwróciły wówczas swe oczy na królewicza Jakóba Sobieskiego. Zgromadzenie w Warszawie stawało się coraz liczniejszém; gdy rozpoczęto posiedzenia pod powagą generalnéj konfederacyi, w obecności kardynała Radziejowskiego, wielu senatorów i szlachty, król szwedzki przysłał na nie od siebie deputowanych ze skargami przeciw królowi polskiemu, który na własną rękę, bez udziału Rzpltéj, bez najmniejszego powodu, wpadł do jego prowincyi, rozpoczął niesprawiedliwą wojnę, chciał następnie zawrzeć układ z uszczerbkiem Rzpltéj, bo poświęcając jéj ziemie. Konfederacya sprawdziwszy na oryginalnych dokumentach rzetelność wszystkich tych zażaleń, przystąpiła do exwinkulacyi i wyznaczyła termin zgromadzenia na nową elekcyą. Gdy się o tém dowiedział król polski, pochwycił za pozwoleniem cesarskiém królewiczów: Jakóba i Konstantego na drodze do Wrocławia (21 lutego 1704) i kazał ich powieść jako jeńców naprzód do Lipska, następnie do Königsteinu. Książę Aleksander, który nie jechał razem z braćmi, nie ważył się już wyruszać z Wrocławia, dopóki mu król szwedzki nie przysłał aż do bram tego miasta eskorty, która go zaprowadziła do Warszawy. W braku królewicza Jakóba, Stany Królestwa były dość skłonne wynieść na tron Aleksandra. W takim składzie rzeczy wojewoda poznański, następnie królem polskim obrany, udał się do monarchy szwedzkiego do Heilsberga, aby się z nim porozumieć w bieżących sprawach. Po kilku konferencyach powrócił Leszczyński do Warszawy, gdzie tak sam, jak kardynał i wszyscy, co się tam znajdowali, namawiał królewicza Aleksandra jak mógł, aby przyjął koronę; widząc, że jest niewzruszonym, pocieszano się jeszcze nadzieją, że królowi szwedzkiemu łatwiéj

przyjdzie nakłonić go do przyjęcia, tém więcéj, że książę podążył do Elsberga (Heilsberga), aby podziękować monarsze za opiekę. Karol przyjął go jak najłaskawiéj i usiłował uczynić powolnym dla swych planów, składając uroczyste przyrzeczenie, że go utrzyma na tronie; nie mogąc złamać jego uporu, pozwolił mu wrócić do Warszawy, zapewniając go zawsze o swoich względach. Powrót królewicza zasmucił całe zgromadzenie. Król szwedzki nie porzucając bynajmniéj powziętych zamysłów, napisał do warszawskiego zebrania, aby nie zrażając się zawodem, poszukało owszem innego kandydata. W odpowiedzi kardynał Radziejowski zaproponował księcia Lotaryngii, przypuszczając, że sprzyjałby mu dwór wiedeński, i chciał już wysyłać hrabiego Poniatowskiego z propozycyami do księcia, lecz Karol wyliczył prymasowi tyle silnych argumentów, przedkładając wszystkie niedogodności, jakichby się Polska nabawiła, powołaniem cudzoziemca, wystawiając, że należy wybrać kogoś z łona narodu, i przyrzekając, iż będzie go podtrzymywał całemi siłami — że kardynał ustąpił. Chodziło teraz o to, aby się porozumieć wprzód co do osoby i usposobić dla niéj życzliwie Stany. Napisał więc do króla szwedzkiego, że widzi tylko trzech ludzi: jednego polityka, drugiego bogacza, trzeciego zacnego człowieka (*honnête homme*). Politykiem nazwał hetmana w. kor. Lubomirskiego, bogaczem księcia Radziwiłła, kanclerza w. lit., zacnym człowiekiem wojewodę poznańskiego hr. Leszczyńskiego. Miasto odpowiedzi, otrzymał te po trzykroć powtórzone słowa: „zacnego człowieka, zacnego człowieka, zacnego człowieka!“

Wielka wziętość, jakiéj zażywał hrabia Leszczyński tak pośród współziemian w Wielkopolsce, jak w całym narodzie, sprawiła, że gdy powyższa odpowiedź doszła do wiadomości ogółu, radość stała się powszechną, a jakkolwiek termin elekcyi jeszcze nie nadszedł, był on już wybranym w sercu każdego. Kardynał nawet mawiał publicznie, że wskazał nam go sam Bóg. Trzeba zaś wiedzieć, że Radziejowski uroił sobie przedtem ożenienie krewniaka, Towiańskiego, podczaszego koronnego, ze starszą córką hetmana w. kor., Lubomirskiego, lecz nie mogąc dopiąć celu, prosił wojewodę poznańskiego, aby się podjął w téj sprawie pośrednictwa. W istocie w niewiele dni późniéj starania jego odniosły

pożądany skutek; nietylko bowiem otrzymał słowo dla siostrzeńca, lecz nawet wyznaczono już dzień ślubu, który też wkrótce nastąpił. Wówczas kardynał zmienił nagle postępowanie i od téj pory zmierzał do wyniesienia na tron teścia swego siostrzeńca, hetmana Lubomirskiego. Zwoławszy radę senatu oświadczył, że należy pomyśleć o kandydacie, ponieważ się zbliża termin elekcyi. Hetman wielki koronny będąc zarazem jako kasztelan krakowski pierwszym świeckim senatorem, zabrawszy głos, zaczął od tłómaczenia się, że jest chorowity, znużony, stary, i że sam się nie uważa za sposobnego do dźwigania brzemienia władzy królewskiéj, lecz przerwał mu Sapieha, podskarbi w. litewski, uważający jego wymówki za śmieszne, mówiąc: „Próżno się Waszmość trudzisz, bo nikt nie myśli o Waszmości“, co wielce rozgniewało kardynała. I tak rozeszła się rada, nic nie postanowiwszy.

Tymczasem spisano *Pacta conventa*, a gdy nadeszła pora elekcyi, rozpoczęto na polu pod Wolą obrady. Król szwedzki dla zasłonienia wyborów, przebywał z wojskiem w okolicach Warszawy, w Błoniu. Kardynał gniewny, że nikt nie podziela jego widoków względem hetmana, nie stanął między wyborcami. W dniu przeznaczonym na nominacyą, sejmujący wezwali wojewodę poznańskiego i hr. Poniatowskiego, iżby zaprosili kardynała do proklamowania elekta. Wojewoda poznański udawszy się do Radziejowskiego, namawiał go wszelkiego rodzaju poważnemi racyami, aby zechciał uczestniczyć w akcie, który sam wyznaczył, przyrzekając nawet, że wszystkich swych przyjaciół skłoni do dania głosów na tego, kogoby on sobie życzył. Kardynał daleki od wysłuchania perswazyi, przyjął go z niewymowną pychą i z niesłychaną wyniosłością, odpierając, że jeszcze za młody, aby się mógł dobijać o koronę, i że przed nim stoją ludzie, co wielokrotnie przelewali krew za ojczyznę. Gdy przestał mówić, wojewoda ze swéj strony przybrał ton dumny, włożył czapkę na głowę i rzekł do kardynała, że przyszedł z najlepszemi chęciami, aby działać w myśl jego widoków, lecz nie spodziewał się nigdy tak odpychającego przyjęcia. Widząc, iż Jego Eminencya nie zdolna do rozumowania, oświadczył, że idzie zdać sprawę ze swéj misyi zgromadzeniu, a ma nadzieję, iż kardynał, postępujący tak wyniośle, przyjdzie jutro dla

ucałowania jego sukni, jako prawnie wybranego króla. Poczem wyszedł, trzasnąwszy gwałtownie drzwiami.

Gdy po powrocie zdał krótką sprawę z odmowy Radziejowskiego, nie przesadzając w niczém, rozgniewana szlachta chciała natychmiast biedz dla skarcenia kardynała. Rozruch uśmierzył się wprawdzie dzięki gorliwym staraniom tegoż wojewody, wszyscy jednak nastawali usilnie na przyspieszenie elekcyi, zobowięzując biskupa poznańskiego, aby przystępował do nominacyi hr. Leszczyńskiego, wojewody poznańskiego. Biskup przeto zapytał wedle zwyczaju trzykrotnie, czy się wszyscy zgadzają na wojewodę, widząc zaś, że wszyscy jednogłośnie wołają: niech żyje król Stanisław Leszczyński! jego zanominował. Gdy się nieco uciszyło, dwóch posłów z podlaskiego województwa, Jeruzalski i Gąsowski, kreatury domu Sapiehów, zażądało głosu, a otrzymawszy go powiedzieli, że nie protestują bynajmniéj przeciw osobie króla Stanisława, lecz chcieliby jeszcze zaczekać na przybycie innych braci szlachty, aby zjazd był liczniejszym. Domagali się oni zwłoki kilku dni z natchnienia podskarbiego w. lit., Sapiehy, który tajemnie żywił uczucie zazdrości względem Leszczyńskiego; wiedząc zaś z jednéj strony, że wielki hetman kor. wyprawił tajne rozkazy do wojsk koronnych, złożonych ze szlachty, a zostających pod wodzą jego brata, wielkiego podkomorzego koronnego, Lubomirskiego i synowca, obożnego kor. także Lubomirskiego, aby się naprzód posuwały, w celu iżby za ich przybyciem żołnierze zmięszani ze szlachtą, liczebną swoją przewagą wpłynęli na nominacyą — z drugiéj strony miał nadzieję, że szlachta chcąc uniknąć groźnego starcia, mogłaby wpaść na wybór trzeciego, którymby był albo on sam, albo téż syn jego, pisarz litewski. Zamiary te nie odniosły skutku; szlachta, choć nie znając ich planów, nie chciała żadną miarą zezwolić na zwłokę. Uspokojono owych dwóch posłów podlaskich, a ci przywrócili sejmowi zatamowaną chwilowo czynność. Takiemi to są mniemane protestacye, którym król August i jego stronnictwo usiłowali późniéj nadać wielką doniosłość. Nastąpiła niebawem proklamacya, poczem wszyscy udali się do kościoła św. Jana i odśpiewali *Te Deum*, dziękując Bogu za jednomyślny wybór.

Król Stanisław w powrocie z kościoła do pałacu swego na Lesznie, spotkał siostrzeńca kardynała u schodów, który na kolanach błagał o przebaczenie dla Radziejowskiego i dla siebie, zapowiadając przybycie wuja z submisyą na dzień następny. Powiedział on między innemi, że jest zgubionym człowiekiem, na co odparł król, że go uważa za znalezione, nie zgubione dziecię.*) Dwuznacznik ten pokrywał tajemnicę, z któréj otoczenie bardzo się uśmiało.

Następnie siadł król Stanisław na koń i pospieszył do króla szwedzkiego do Błonia, lecz spotkał go w drodze o dwie mile od Warszawy, zdążającego do stolicy dla powinszowania mu korony. Podczas tego spotkania zapewnienia zobopólnéj przyjaźni były nad wyraz serdeczne. Król polski jechał daléj do Błonia wbrew namowom króla szwedzkiego, który go chciał koniecznie odprowadzić do Warszawy, co też nastąpiło istotnie nazajutrz. Po powrocie Stanisława do stolicy, kardynał w towarzystwie hetmana w. kor. udał się do królewskiego pałacu, wśród tysiącznych próśb o przebaczenie. Otrzymał je od króla, będącego z natury najuprzejmiejszym z ludzi.

Wojsko koronne, t. j. jazda polska, składająca się z pięciu tysięcy żołnierza, w niewiele dni późniéj stanąwszy w Warszawie, uznało jednogłośnie króla Stanisława swoim monarchą. Kazał on im wypłacić dwie kwarty. Zdawało się, że wszyscy zadowoleni i spokojni, a myślą tylko o ucztach i rozrywkach.

Na wieść o wkroczeniu hetmana Mazepy z czterdziesto-tysięczną armią i zbliżaniu się do Lwowa, wyruszył król szwedzki z wojskiem w tę stronę. Generał hrabia Horn, będący zarazem ambasadorem Karola, z dwoma innymi panami jego dworu pozostał przy królu polskim.

W czasie gdy wszystko nastrajało się na pokojową nutę, otrzymał król Stanisław wiadomość z Wielkopolski, że wojsko saskie obległo Poznań i zamkniętego w nim z kilku szwedzkiemi pułkami generała Meyerfeldta, postanowił więc bez zwłoki pospieszyć mu na pomoc z oddziałem wojska koronnego. O cztery mile od War-

*) W języku polskim nie można odtworzyć gry słów francuzkiego frazesu: *enfant perdu — enfant trouré.*

szawy doszła go nowina, że inny korpus armii, połączony z Kozakami, posuwał się ku stolicy, gdzie przebywali: królowa małżonka Stanisława, jego matka, kardynał i inni panowie. Musiał się przeto zawrócić i wydać rozkaz, aby królowa, matka, kardynał i całe zgromadzenie, pojechali do Gdańska. Stało się według rozkazu, a król polski szedł bokiem nieprzyjaciół. W istocie zaledwie się posunął o 6 mil od Warszawy z tamtéj strony Wisły, aliści otrzymał wiadomość, że kilkuset Szwedów, wyprawionych po kontrybucye, zostało zniesionych w Latowicach przez saskiego generała Brandta i Kozaków, którzy mu towarzyszyli tłumnie. Ponieważ oba wojska stały w małéj od siebie odległości i las je tylko przedzielał, przeto hetman w. kor. jął prowadzić do bitwy swych żołnierzy, pełnych, jak się zdawało, otuchy i chęci do boju, lecz mimo całéj wierności, jaką objawiał pozornie, ustawiał ich tak powoli, że nietrudno było się przekonać o nieszczerości jego zamysłów. Król przeto chcąc korzystać z dobrych chęci armii, polecił hr. Poniatowskiemu, aby wziąwszy pewną liczbę ludzi, udał się na rekonesans a jeźli można, wciągnął nieprzyjaciela do walki, przywabiwszy go do uszykowanego wojska naszego. Ale idący z Poniatowskim żołnierze otrzymali widocznie tajne rozkazy od hetmana; stanąwszy bowiem w środku lasu, podnieśli fałszywy alarm, nie widząc nieprzyjaciela, zaczęli dawać ognia z pistoletów i równocześnie cofnęli się z pospiechem, zostawiając swego przywódzcę w towarzystwie samych tylko ciurów. Opuszczony widząc, że nie może zgromadzić zbiegłych, poszedł sam i przebył las dla zbadania pozycyi nieprzyjaciela; spotkał go również szykującego się, a nie mogąc nic przedsięwziąć z dziesiątkiem koni, powrócił do króla, któremu już doniesiono, że poległ.

Przed powrotem hr. Poniatowskiego radził hetman wysłać obożnego koronnego, Lubomirskiego, na rozmowę z generałem Brandtem, jako starym jego przyjacielem; rada ta przeważyła zdanie królewskie i została przyjętą ku wielkiemu żalowi dobrze myślących. Gdy obożny wrócił, postanowił hetman porzucić 150 Szwedów, którzy królowi służyli za gwardyą oraz bagaże, pod pozorem, że są zbyt ciężkie — a próbować przejścia na stronę nieprzyjacielską, aby zdążać ku Lwowu, gdzie, jak mniemano, przebywał król szwedzki.

Generał Brandt nie ufając zbytecznie ani sobie, ani swoim, powziął również zamiar przejścia na bok w las i ruszenia daléj ku Warszawie, o czem nie wiedział król polski. Za nadejściem nocy powołał on do siebie Poniatowskiego i zobowiązał go, aby jak najwcześniéj odszukał króla szwedzkiego, zawiadomił go o obecném jego położeniu i oświadczył, że niewiele liczyć może na wierność hetmana kor. Jakoż przestrzeżono go w istocie, że Lubomirski oddalając szwedzką gwardyą, przemyśliwał o pochwyceniu swego króla i o przejednaniu tą ofiarą Augusta. Hr. Poniatowski wyruszywszy bez zwłoki, przedarł się szczęśliwie przez całe nieprzyjacielskie wojsko, i stanął we Lwowie przed królem, który dwa dni przedtem wziął był miasto szturmem bez najmniejszéj ze swéj strony straty. Ze względu na ważność sprawy, nie godzi się zostawić jéj bez krótkiego opisu.

Król szwedzki w czasie pobytu w Jaworowie dowiedziawszy się o nieprzyjacielskim pochodzie na Warszawę, przedsięwziął pójść w tęż stronę, lecz wpłynęła na zmianę tego postanowienia wyniosła odpowiedź Gałeckiego, wojewody kaliskiego. Pan ten, przebywający wówczas we Lwowie, oświadczył oddziałowi Szwedów, szukających żywności, że im zamiast prowiantu, ofiaruje proch i kule. Tknięty tą zuchwałością do żywego Karol, wziął z sobą drabantów wraz z kilku pułkami dragonów i po całonocnym pochodzie dotarłszy do miejsca, z którego widać było fortecę, zauważył, że najlepiéj będzie natrzeć ze strony Kapucynów. Na powiązanych deskach dostał się następnie na wał i straciwszy dziesięciu ludzi, opanował miasto, z którego po ośmiu dniach na przedstawienie hr. Poniatowskiego ruszył trzema kolumnami ku Warszawie. Mazepa, słynny hetman Kozaków, lubo miał czterdzieści tysięcy ludzi, raz szczęśliwie odparty, gdy w nocy próbował napaści pod Lwowem, nietylko nie śmiał zachodzić mu drogi, lecz owszém cofnął się co prędzéj ku Wołyniowi.

Król Stanisław posunął się już do Wysocka, pod Jarosławiem; w okolicy téj połączył się z królem szwedzkim. Hetman Lubomirski schroniwszy się do swoich dóbr, w Rzeszowskie, posłał do króla Stanisława z tłómaczeniem, że słabość nie dozwala mu za nim podążyć. Ale równocześnie wyprawił także gońca do króla Augusta

z ofiarowaniem pokoju i prośbą o przebaczenie, które otrzymał snadnie, choć się nie ziściły jego plany.

Podczas marszu do Warszawy nie zaszło nic godnego pamięci okrom tego, że w owéj porze król August opanował warszawski zamek, gdzie generał hr. Horn zamknął się z 300 Szwedami, biskupem poznańskim (Święcickim) i dwoma kolegami, ambasadorami, Palenbergiem (Palmenbergiem) i Wachschlagerem a widząc się pozbawionym obrony i od wszelkiéj pomocy dalekim, podpisał kapitulacyą. August pozwolił Hornowi pospieszyć do Karola. Ale powracający doznał złego przyjęcia, król bowiem twierdził, iż generał nie powinien był oddalać, ani też rozdzielać swych sił, celem wybierania kontrybucyi, wiedząc, że nieprzyjaciel się zbliża, ponieważ zaś hr. Horn mówił o szlachetności króla Augusta i o łaskawém u niego przyjęciu, odrzekł Karol, że skoro tak mu się u niego podobało i skoro jest jeńcem Augusta, może doń powrócić, co też generał musiał uczynić.

Postępując w towarzystwie króla Stanisława z wielkim pospiechem, stanął król szwedzki w Pradze, miasteczku leżącém naprzeciwko Warszawy, po drugiéj stronie Wisły. Króla Augusta zastał w zamku warszawskim, całe zaś wojsko jego w okolicy zachowywało się tak, jak gdyby mu chciało bronić przeprawy. Ponieważ zaś Sasi opanowali i zatopili wszystkie łodzie i statki, przeto trzéj królowie skazani byli przez pewien czas na bezczynne przypatrywanie się sobie przez przybliżające lunety, każdy bowiem ze swéj strony zwiedzał posterunki na brzegach rzeki. Król August kazał w najwęższém miejscu na Wiśle urządzić redutę, myśląc, że Szwedzi będą tędy próbowali przeprawy. Pewnego razu przechadzał się wzdłuż brzegu z hr. Vitzthumem i Gospodem; król szwedzki dosiadł również konia i używał przejażdżki w stronie reduty w towarzystwie króla Stanisława i siedmiu do ośmiu oficerów, oddzielony tylko od przeciwnika samą rzeką. Gdy tak przypatrywano się sobie nawzajem, hr. Vitzthum zapytał Szwedów, czy wkrótce przejdą na drugą stronę. Karol widząc, że nikt nie odpowiada, rzekł do hr. Poniatowskiego: „Odpowiedz Pan, co chcesz.“ Zagadnięty tak pułkownik odparł, że przeprawią się niebawem, byle tylko Sasi na nich zaczekali. Wówczas odezwał się król August: „Pójdźcie

tylko, a ja Wam słowem mojém ręczę, że na Was poczekamy."

Pewien strzelec, towarzyszący zwykle Karolowi, zmierzył do Augusta gwintówką, lecz król szwedzki nie pozwolił mu wystrzelić; z drugiéj strony nie strzelano również, lubo 150 Sasów stało na reducie. Hr. Poniatowski znając ich, rozpoczął z nimi rozmowę i przemawiał do nich po imieniu, nie wymieniając własnego nazwiska a czynił to z woli króla szwedzkiego. Widząc to ci panowie, że mają na przeciwnéj stronie znajomych, przesyłali uprzejme ukłony i poszli następnie ku zamkowi, Karol zaś powrócił na Pragę.

Brak łodzi opóźnił wystawienie mostu; trzeba się było uciec do domów z drzewa, rozebrać je i zbudować w ten sposób dwa mosty z tratew. Mając materyał, rozkazał król generałowi Strombergowi rzucić jeden most pod Warszawą, drugi zaś kazał wziąć na wozy i zawieść w nocy o cztery mile wyżéj, ku wsi Otwockowi, gdzie przybywszy o świcie, wzięto się natychmiast do dzieła pod nosem saskiéj straży, stojącéj po tamtéj stronie. Nieprzyjaciel ciekawy, co myślą robić przybysze, stał na miejscu, aż spostrzegłszy nagle, że most zapełnia się piechotą i że go puszczają z prądem rzeki, aby dosięgnął na drugi brzeg, zaczął co żywo dosiadać koni. Ponieważ nie zmierzono należycie szerokości rzeki a ztąd most okazał się za długim, prąd wody tak dalece go zwątlił przy brzegu ze szwedzkiéj strony, że piechota, idąca przodem, przeszła na drugą stronę, oddzielona od reszty wojska. Niezmięszani jednak bynajmniéj tym wypadkiem, zaczęli wysiadać na ląd dla zajęcia posterunku. Sasi zamiast uderzenia i odpędzenia Szwedów opuścili swe stanowisko i cofnęli się ku Warce. Przez cały dzień pracowano nad naprawą mostu; tymczasem król, palający niecierpliwą żądzą spotkania się z wrogiem, kazał hr. Poniatowskiemu i panu Grudzińskiemu pójść wpław ze sotnią Wołochów, aby mieć nieprzyjaciela na oku.

Gdy generał Stromberg wykonał ten sam manewr pod Warszawą a król August posłyszał, że most pod Otwockiem już gotowy, nie uważał za stosowne czekać na nieprzyjaciół w stolicy, lecz ruszył z wojskiem w stronę Kalisza. Ponieważ zaś oddalił się był blizko o dwa dni drogi, król szwedzki nie sądząc, aby go mógł

dosięgnąć piechotą, wziął siedm pułków dragonów i puścił się w pogoń. August dowiedziawszy się o tém a chcąc zmylić pochód przeciwnika, zwrócił się z garstką kawaleryi ku Krakowu, zaleciwszy generałowi Schulemburgowi, aby z całą armią zdążał wprost do Saksonii.

Złożona ze stu koni jazda wołoska, wzięła po drodze do niewoli mnóstwo maroderów; poddawało ich się po trzydziestu i po pięćdziesięciu, nie próbując nawet walki.

Po niejakim czasie dopędził król szwedzki nieprzyjacielskie wojsko pod Poniecem, o milę od Szląska. Uchodzący, zobaczywszy nadciągających Szwedów, utworzyli czworobok. Ponieważ już słońce zaszło a król chciał korzystać z resztek dziennego światła, rozpoczął przeto napad, rozbił wkrótce saską kawaleryą i przeszedł środkiem obalonéj piechoty mimo straszliwego ognia, jaki trapił szwedzką kawaleryą.

W dniu tym odznaczył się król Stanisław, gdyż na czele szwadronu dragonów jeden z pierwszych wdarł się w rozbite bataliony. Tylko noc bardzo ciemna nie pozwoliła Szwedom dokończyć zwycięztwa. Generał saski korzystając z ciemności, cofnął się tak spiesznie do Szlązka, że nie znalazł nawet czasu na porwanie dzisiejszéj królowéj francuzkiéj, wywiezionéj wtedy z Rydzyny do wsi szlązkiéj, przez którą generał przechodził.

Król szwedzki spostrzegłszy o świcie ucieczkę nieprzyjaciela namyślał się przez pewien czas, czy przekroczyć szlązką granicę dla ścigania uchodzących. Po kilku godzinach postanowił odważyć się na ten krok i poszedł aż do Oberbeltsch, gdzie nieprzyjaciel przechodził przez rzekę Odrę; nie uważając jednak za właściwe z garstką ludzi zapędzać się w głąb kraju, a słysząc, że kilka tysięcy Kozaków znajduje się o ćwierć mili w bok, tam zwrócił swe wojsko. Dwustu z pomiędzy owych Kozaków poddało się zaraz za zbliżeniem Szwedów, dwa tysiące schroniło się do wsi i rozpoczęło obronę w domach, gdzie połowa zginęła wśród płomieni, reszta od miecza.

Następnie powrócił król do Polski i spędził noc w małém miasteczku tego królestwa, Wschowie; gdzie odpocząwszy kilka dni, rozłożył armią na zimowe leże w Wielkopolsce, sam zamieszkał w Rawiczu. Zabawił tu przez rok, zarówno dla tego, aby strudzony żołnierz

należycie wytchnął, jak aby tymczasem nadciągnęli ze Szwecyi rekruci.

Król August uwijał się w téj porze po kraju; raz bawił w Krakowie, drugi raz w Jarosławiu, potém na Litwie, gdzie oczekiwał Moskali. Król szwedzki ze swéj strony pragnąc dzieło swe doprowadzić do szczęśliwego końca, nalegał na króla Stanisława, aby odbył koronacyą. Wysłał w tym celu naprzód do Warszawy dwa pułki kawaleryi pod pułkownikiem Nirodem i Burenscheldem (Nieroth, Burenschöld), z marszałkiem konfederacyi, Broniszem. Król August dowiedziawszy się o tém, rozkazał generałowi Patkulowi, aby uderzył na nich z sześciu tysiącami Sasów i z polskiém wojskiem, co razem wynosiło około szesnastu tysięcy ludzi. Przeszli oni Wisłę pod Bielanami wbrod, woda bowiem stała wówczas dość nisko, przyczém wysłany przez Niroda na rekonesans pułkownik Bonde zginął, drogo jednak sprzedał swe życie, natarłszy na nieprzyjaciela na czele sześćdziesięciu ludzi w samym środku rzeki. Dzielność i nieustraszoność tego żołnierza dały nieprzyjacielowi, mimo wielkiéj liczby wojska wiele do myślenia; zanim bowiem poległ, dokazał rzeczy nadzwyczajnych. Gdy wróg stanął w szyku bojowym pod Wolą, niezmięszani Szwedzi natarli nań od razu tak silnie, że go w puch rozbili, naczelnego generała Patkula wzięli jeńcem a resztę uciekających zmusili do przejścia wpław przez Wisłę.

Król Stanisław zdążał wówczas właśnie ze strony Łęczycy, w towarzystwie uwolnionego przez króla Augusta hr. Horna, Palemberga (Palmenberg Just) i Wachschlagera, hetmana w. lit., Sapiehy i świeżo z pośród Szwedów uformowanych drabantów pod wodzą hr. Poniatowskiego. Ten powróciwszy od króla szwedzkiego z Rawicza i uważając, że jego podpułkownik, zkądinąd oficer dobrego imienia, dopuścił się w drodze pewnych wykroczeń, dał mu zasłużoną naganę. Nie podobało się to bynajmniéj rzeczonemu podpułkownikowi, zawadyace z rzemiosła; odpowiedział zatém na przyganę z pewną goryczą. Hr. Poniatowski nie chcąc go oddawać pod sąd wojenny, wezwał owszém do chwycenia natychmiast za pistolet dla tém prędszego zakończenia sprawy, któraby się może ciągnęła długo. Pierwszy strzał pistoletu pułkownika, nabitego widocznie dwiema kulami, ugodził

w głowę i w brzuch konia hr. Poniatowskiego, lecz ten przed upadkiem swego rumaka, zranił przeciwnika w głowę; ponieważ jednak rana nie obaliła go z konia, chwycił hr. Poniatowski równie jak tamten, drugi pistolet do ręki i zraniwszy powtórnie adwersarza, zmusił go do proszenia o pardon. Ponieważ rzecz się działa w pochodzie, niemal pod oczyma króla Stanisława, skazano na areszt tak pułkownika, jak podpułkownika, lecz pierwszy niebawem uwolniony, wstawił się za drugim i uzyskał dlań również przebaczenie. W kilka tygodni później król szwedzki przybywszy do Błonia, zapytał hr. Poniatowskiego o przebieg sprawy i poczytał mu to bardzo za złe, że nie wziął pod areszt podpułkownika i nie złożył nań sądu wojennego za przestępstwa, jakich się dopuścił, zamiast się bić z podwładnym. Naglony przez króla o wymienienie powodu tak osobliwego postąpienia, odrzekł, że gdyby winowajca nie był Szwedem i człowiekiem znanym z męztwa, byłby z nim postąpił wedle przepisów wojskowéj karności; ale dostrzegłszy w nim zbyt dużo buty, uważał za rzecz właściwą wybić mu w inny sposób tę zuchwałość z głowy. Wypadek ten i szczerość tłómaczenia Poniatowskiego podobały się bardzo królowi, który go i nadal darzył swemi względami.

Pobyt dwóch królów: jednego w Warszawie, drugiego w Błoniu, nie schodził bynajmniéj bezczynnie. Zwołano sejm koronacyjny, który się zebrał już po upływie wyznaczonego na podobne obrzędy terminu. Car moskiewski i król August siedzieli wówczas na Litwie; na wieść, że mają zamiar podstąpić pod Warszawę, obaj królowie chcąc ich uprzedzić, ruszyli pod Grodno, gdzie stanęli siódmego dnia, choć szli najgorszą w świecie drogą a zima była niesłychanie mroźna. Zastali oni Moskali okopanych prawie po uszy; car odjechał dwa dni przed przybyciem króla szwedzkiego, król zaś August został z wojskiem, lecz i on uszedł nazajutrz po przybyciu Szwedów z garstką kawaleryi, lasami i niedostępnemi drogami ku Augustowu. Król szwedzki zastanawiał się bardzo poważnie, ażali nie zaczepić okopanych nieprzyjaciół, i dla tego kazał zostać swemu wojsku pod bronią przez dwa dni, lecz czy to pora nie pozwalała, czy sądził, że stosowniejszą ku temu będzie wiosna, dość, że dla pokrzepienia armii wyprowadził ją na leże

w okolicę, sam zaś osiadł w Żołudku*), podczas gdy król Stanisław przebywał w Wasiliszkach. Moskale widząc, co im grozi, skoro tylko tajać zaczęło, wyszli z Grodna i popędzili przyspieszonym marszem na Polesie i Wołyń drogami niemal niedostępnemi, o czém posłyszawszy król, ścigał ich, lecz bezowocnie — bądź dla tego, że znalazł przejścia i mosty zniszczone, bądź, że nie mógł iść tak spiesznie, jakby sobie życzyć należało, trzeba było bowiem brodzić po pas w błocie. Doszedł tak w pogoni aż do Pińska, gdzie wypadło zatrzymać się bezwarunkowo, nie chcąc zupełnie zniszczyć armii. Zabisz (Zabierz), dość korzystnie położony zamek księcia Wiśniowieckiego, zaopatrzony w dobrą artyleryą i w kilka set żołnierzy, chciał się oprzeć szwedzkim wojskom, lecz zagrożony jak największą surowością, gdyby się nie zdał na łaskę, posłuchał głosu upomnienia, równie jak inny o 18 mil ztamtąd oddalony gród, Radziwiłłowski Nieśwież. Tymczasem nastała piękna pora a wieść o gromadzeniu się wojsk moskiewskich na Wołyniu wskazywała królowi pochód w tę stronę; nie mogąc tam znaleść, czego szukał, a widząc, że te pochody naprzód i w tył po Polsce, mogłyby jeszcze trwać ze dwa lata, pozwoliwszy wypocząć żołnierzowi, ruszył wprost na Saksonią.

Wojska saskie nie wielki stawiały mu opór. Król August przewidując zupełne spustoszenie swego kraju, wyprawił co rychléj dwóch posłów, Imhoffa i Fincka, celem zawarcia z królem szwedzkim pokoju, znanego tak dobrze pod nazwą Altransztackiego traktatu. Ponieważ się to jednak działo mimo wiedzy cara, musiał król August uczestniczyć w bitwie pod Kaliszem, wydanéj przez Moskali, Sasów i Polaków generałowi szwedzkiemu, Mardefeldowi, który nie wiedząc, co się dzieje, lubo ubocznie otrzymał od króla wskazówkę, aby unikał walki i szedł dwa lub trzy dni w tył, nie mogąc zrozumieć sprawy, stoczył i przegrał bitwę. Dostali się do niewoli niektórzy Polacy ze Stanisławowskiego stronnictwa, jak wojewoda kijowski (Potocki) hr. Tarło, ich żony i rodziny. Ale Polacy, wydani Moskalom, uszli za pomocą generała Śmigielskiego, któ-

*) Król bawił w tém dziedzicznem Sapiehów miasteczku od 10 lutego r. 1706; sam mieszkał w klasztorze OO. Karmelitów.

remu straż nad nimi powierzył był książę Menżyków, Szwedów zaś wszystkich oddali Sasi dla utrzymania zawartego co dopiero pokoju; to téż przegrana w niczem go nie nadwerężyła. Król August wycofał się z pośród Moskali, zanim powzięli jakąkolwiek wiadomość o traktacie i udał się wprost do kwatery króla szwedzkiego w Saksonii; przyjęto go tam otwartemi ramiony i uwzględniono tłómaczenie w sprawie zajścia z Mardefeldem, przyznając, że nie mogło się stać inaczéj, jeśli się nie miała wydać tajemnica, niezbędna dla zabezpieczenia jego osoby.

Znane są powszechnie dzieje generała Patkula, poddanego króla szwedzkiego, Inflantczyka, który w téj porze uwięziony w Königsteinie za jakąś niewłaściwą odpowiedź a domagając się uporczywie wyswobodzenia, został wydany zwycięzkiemu królowi i następnie stracony, gdyż wyrok oddawna już wydały nań Stany szwedzkie.

Gdy między wojującymi z sobą królami przyszło do zgody a król Stanisław doczekał się uznania ze strony króla Augusta i niemal wszystkich europejskich mocarstw, zdawało się, że pokój będzie trwałym. Nie brakło nawet propozycyi pojednania z carem, lecz ponieważ nie chciał żadną miarą ani oddać, ani z ziemią zrównać Petersburga, król zaś szwedzki, obawiając się zawsze (co rzecz słuszna), Moskali na Bałtyku, nie chciał o niczém słuchać bez tego poprzedniego ustępstwa, przeto widoki pokojowe spełzły na niczém ku zadowoleniu księcia Malborough, przybyłego do króla szwedzkiego w celu powstrzymania swemi rokowaniami pośrednictwa Jego Królewskiéj Mości między Francyą a Sprzymierzonymi. Były to płonne obawy, gdyż nie ubiegł jeszcze czas, w ciągu którego król szwedzki zobowiązał się słowem nie mięszać się wcale do ich spraw, Jego Królewska Mość téż, będąc więcéj poczciwym człowiekiem, aniżeli politykiem, powiedział mu na posłuchaniu, że pamięta o obietnicy. Nie można jednak zaprzeczyć, że Karol bardzo pragnął, aby ów termin minął, byłby bowiem wielce rad, gdyby był mógł w jakikolwiek sposób rozwikłać zagmatwane i trudne interesa Francyi, swéj staréj przyjaciółki; nawet żądanie zwrotu luterskich kościołów na Szlązku było może pozorem dla usprawiedliwienia dalszego pobytu w Niemczech, lecz gdy się zgodzono na wszystko bez najmniejszego oporu, nie można

było trwać dłużéj w téj myśli. Postanowił więc następnie pójść wprost do Moskwy, chcąc tam zakończyć sprawę czy to zwykłemi zwycięztwami, czy téż wywołaniem rewolucyi, aby się późniéj zwrócić i stanąć na widowni w Niemczech z pośrednictwem, popartém przez zwycięzkie i bardzo podówczas przez całą Europę szanowane wojska.

Rozkosze Saksonii, leże zimowe przez rok cały, wygody, jakich nie szczędzono wojsku, zahartowanemu niegdyś pracą i wszelkiemi przykrościami ostrych pór roku, zmiękczyły nieco Szwedów; to téż wielki pochód aż do granic Rosyi nadzwyczajnie ich znużył. Jeden tylko nasz bohater pozostał niezachwianym, za nic sobie ważąc przeszkody i zmniejszenie wojska. Car oddalał się zawsze ku swym granicom, nie chcąc czynem stanowczym rozstrzygać o swym losie. Armia jego stawiła przecież raz przeciwnikom czoło na przeprawie pod Hołowczynem, lecz z tym samym skutkiem, co dotąd. Widząc, że nic nie zdoła powstrzymać króla szwedzkiego: ani rzeki, ani okopy, (z których o trzy mile od Mohilewa wyparła księcia Repnina sromotnie garstka oblegających, przy czém król, jak we wszystkich poprzednich walkach, dał wiele dowodów męztwa), postanowili Rosyanie paląc i pustosząc wszystko, cofać się coraz daléj. W istocie należące do Litwy województwo mścisławskie, uległo takiemu losowi, a nawet własny kraj cara aż do Smoleńska, ku któremu zmierzali Szwedzi.

Następstwem tak osobliwszego postanowienia było, że król szwedzki, przywykły zdążać do celu, nie troszcząc się o magazyny, zaczął uczuwać brak żywności i powziął nowy plan, opierając się na pewnych twierdzeniach Mazepy, hetmana Kozaków i gubernatora Ukrainy, najżyzniejszego w świecie kraju. Ponieważ trzeba było przejść las trzydziestomilowy, przed wkroczeniem do niego wyznaczył generała Lagercronę, swego adjutanta, oficera nie wielkiego wprawdzie talentu, lecz nadzwyczajnie sumiennego w spełnianiu rozkazów, jakie mu dawano, z pięciu tysiącami wyborowego żołnierza i pionierów, aby szli naprzód, przysposobiali przejścia w lasach i zajęli pewną miejcowość, nazwaną Poczopem, którędy należało wejść na Ukrainę, nie chcąc zakreślać koła pięćdziesięciu z górą mil ze strony Głodowa, gdyż niedostępne

błota zagradzały wszędzie drogę. Ale generał Lagercrona wbrew przedstawieniom podwładnych oficerów, na wstępie do wspomnionego lasu, w małém miasteczku litewskiém Krzyczewie, zkąd mógł wziąć dobrych przewodników, nie zadał sobie wcale tego trudu, lecz ograniczył się na kilku żydach, z właściwą sobie srogością zmusiwszy ich batogami do wskazywania drogi, jakkolwiek się tłómaczyli nieznajomością okolicy. Przeszedłszy przez rzekę Soszę, zamiast zwrócić się na lewo, podążył owszém w prawo, o dwadzieścia sześć z górą mil w bok od prawdziwéj drogi. Król szwedzki w cztery dni późniéj stanąwszy na początku lasu, poznał błąd Lagercrony. Przewodnicy dali mu wskazówki i polecili ruszyć inną stroną przez Poczop; w przypuszczeniu jednak, że się Lagercrona z nim połączy, zaniechał Karol wysłać za nim gońców, niemniéj zawiadomić generała Lewenhaupta, spieszącego z Kurlandyi z oddziałem dziesięciu tysięcy ludzi i wielkiemi zapasami dla wojska, że zmieniono plan pójścia na Smoleńsk, gdzie rzeczony generał miał rozkaz spotkać się z królem.

Przejście przez ów tylokrotnie wspominany las, było nader utrudnione. Ponieważ nie napotykałeś tam ani wsi, ani żywności, ani nic zgoła, a pochód odbywał się wciąż błotem i okolicami prawie niedostępnemi, przeto cała armia nadzwyczajnie ucierpiała, szczególniéj kawalerya, gdyż z pomiędzy koni, żywionych tylko liśćmi z drzew, bardzo wiele zdychało, reszta zaś upadała ze znużenia. Mimo usilnych starań, zaledwie dziewiątego dnia udało się armii wyjść z lasu, i to bez żadnéj wieści o generale Lagercronie. Król wyznaczył zaraz majora z trzema stami konnicy dla opanowania wedle pierwszego planu przejścia przez Poczop, ale Moskale nie tylko go już zajęli, lecz nawet około piętnastu pułków pod wodzą generała Wedela wdarło się do kraju dla zatrwożenia mieszkańców, chcąc ich skłonić do opuszczenia wsi a potém spalić wszystko w stronie, w którą przypuszczali, że Szwedzi się skierują. Po części dla dania wytchnienia armii, po części zaś dla zaczerpnięcia wiadomości, co się stało z Lagercroną, zatrzymał się Karol przez dwa tygodnie w okolicy, gdzie wyszedł z lasu, szczególniéj, że żywności była tu wielka obfitość. Wysłani na wsze strony za Lagercroną gońcy donieśli wreszcie, że poszedł w stronę Staroduba,

warownego ukraińskiego miasta, gdzie popełnił jeszcze błąd niepowetowany, nie wszedł bowiem doń, lubo mu mieszkańcy dawali klucze, lecz cofnął się o dwie mile, a tymczasem generał Wedel umieścił tam siedmiotysięczną załogę.

Wśród tych wypadków generał Lewenhaupt postępował daléj, a natrafiwszy na ślad wielkiéj armii, poszedł za nią, lecz zanim przekroczył rzeczkę Soszę, zwaliła się nań wielka armia moskiewska z carem na czele w okolicy zwanéj Lissa i stoczyła z nim bitwę. Generał walczył bardzo dzielnie przez dzień cały, a widząc, że nie zdoła oprzeć się dłużéj, przeszedł przez rzekę z resztą pozostałego żołnierza, spaliwszy część swych bagażów, drugą zaś zostawiwszy nieprzyjacielowi; na nieszczęście wpadłszy w lesie na trop drogi Lagercrony i wziąwszy ją za drogę wielkiéj armii poszedł nią daléj i z wielkim trudem połączył się z tym generałem.

Pierwsza ta przez Szwedów poniesiona klęska, zraziła bardzo wojsko, zwłaszcza, że zabrakło zupełnie zapasów. Następnie zwrócił się król w stronę Lagercrony do Baturynia, słynnéj rezydencyi Mazepy, dla dania odsieczy hetmanowi, oblężonemu przez Moskali. Po niejakim czasie stanął nad rzeką Desną, nader głęboką i wartką, choć niezbyt szeroką, a z drugiéj strony stał generał moskiewski, Allard, na czele sześciu tysięcy ludzi, z zamiarem, jak się zdawało, bronienia przeprawy, i tak już trudnéj z powodu braku łodzi i materyałów, do budowy mostu potrzebnych. Ale szukając wytrwale środków, dla zapobieżenia temu niedostatkowi, znaleziono stare domostwo, z którego sporządzono dwie tratwy. Ponieważ sytuacya wymaga szczegółowego opisu, miło mi go podać w skróceniu.

Król szwedzki stał nad niezmiernie urwistym brzegiem, generał Allard zaś na płaszczyźnie, zarosłéj krzakami z drugiéj strony rzeki. Chcąc spuścić w głąb przygotowane tratwy, trzeba było użyć powrozów; tak samo przy spuszczaniu żołnierzy z liną uwiązaną u góry, i to pod nieustannym ogniem nieprzyjacielskim. Tratwy mogły utrzymać tylko po dziesięciu ludzi. Gdy pierwsza z nich przybiła do przeciwnego brzegu, nieprzyjaciel drwiąc sobie widocznie z przedsięwzięcia, pozwolił spokojnie zająć posterunek owéj dziesiątce żołnierzy, w mnie-

maniu, że skoro przybędzie większa ilość, będzie ich można albo wziąć do niewoli, albo wpędzić w rzekę. Druga tratwa przybiła bezpośrednio po pierwszéj. Wówczas generał Allard widząc pilność Szwedów, którzy nie bacząc na ciągły ogień, robili daléj swoje, kazał nastawić kilka armat i dać z nich ognia na tratwy. W istocie pierwsze strzały zatopiły jednę z nich i odcięły liny u drugiéj. Zaczęła też grać ze swéj strony artylerya szwedzka, aby o ile możności zakryć żołnierzy, którzy się przeprawiali z majorem Stainflichtem *), a znajdując się już na drugiéj stronie w liczbie trzystu, musieli wytrzymać silne natarcie generała Allarda. Był to widok godzien podziwu, gdy tak szczupły oddział z nadludzkiém męztwem bronił się przez całe trzy godziny. Zabrakło im w końcu prochu, którego szukali u poległych lub rannych towarzyszów; wreszcie z szablą w dłoni odpędzili korpus generała Allarda i poparci przez artyleryą, zmusili go do spiesznego odwrotu, przy czém oprócz 500 trupów zostawił na polu sześć armat. Noc dokonała reszty — cała armia szwedzka przeszła rzekę w ciągu dwóch dni bez najmniejszéj już przeszkody. Przejście przez Granik i wszystko, co można było widzieć w tym rodzaju w staro- i nowożytnéj historyi, jest niczém w porównaniu z tą przeprawą.

Król szwedzki poszedł następnie z całą swobodą do Baturynia, lecz stanął tu zbyt późno, gdyż dwa dni wpierw książę Menżyków dobył go wraz z wielkiemi skarbami Mazepy i puścił z dymem. Sam Mazepa krążył tymczasem z czterema tysiącami najwierniejszych Kozaków i niedługo potém złączył się z królem. Wszystkie te marsze, kontrmarsze i przeprawy, niesłychanie znużyły i zmniejszyły armią. Król starał się wszelkiemi siłami dognać jądro moskiewskiego wojska celem stoczenia bitwy, lecz widząc, że jéj unikają i że trud jego daremny, zbyt już wreszcie daleko zapędziwszy się w głąb kraju a spostrzegając, że małe starcia, choć zawsze dla Szwedów korzystne, wcale rozstrzygającemi nie są, zdecydował się zająć Budyszczyn i okolicę, aby przyciągnąć armią nieprzyjacielską, która się zbliżała raczéj dla nużenia Szwedów drobnemi potyczkami, jak w chęci stanowczéj rozprawy. Jakkolwiek Szwedzi od-

*) Starenflychtem.

nosili ciągłe korzyści, nie mniéj przeto w każdém spotkaniu tracili pewną liczbę swoich, a jakkolwiek straty nieprzyjacielskie bywały znacznie większe, nie wydawały się przecież tak wielkiemi, gdyż Moskale otrzymywali zawsze świeże i nowozaciężne wojska, Szwedzi zaś w ciągu długich ośmiu miesięcy nie mieli nawet wcale stosunków z krajem.

Ponieważ siły królewskie zniewolone potrzebą szukania żywności, rozdzieliły się, przeto pułki Dalldorffa i Lagercrony pozostawały w Hadziaczu, oddalonym od kwatery króla o sześć mil ukraińskich, co czyni z pewnością dziesięć niemieckich. Oddziały te, zaczepione przez wielki korpus moskiewski, potrzebowały odsieczy, zwłaszcza że niemal cała armia nieprzyjacielska postępowała tą stroną. Król szwedzki sam na rzeczone miejsce podążył. Wtedy to rozpoczynała się właśnie owa wielka zima roku 1709. Przed przybyciem do Hadziacza utracili Szwedzi trzy tysiące żołnierzy, zmarzłych na śmierć, nie licząc wszystkich niemal stangretów i wielu koni, wskutek czego więcéj, niż kiedykolwiek dało się uczuć rozprzężenie w armii. Mężczyźni, kobiety, konie ginęły, a nie można było zapobiedz nieszczęściu. Znajdowano martwe ptaki na drzewach lub na ziemi. Bądź cobądź król stanął w Hadziaczu dość wcześnie, aby sprowadzić odwrót Moskali, którzy cofając się, wrzucili dwa tysiące ludzi do pewnéj twierdzy, oddalonéj o niewiele mil od Hadziacza, imieniem Wiepryk. Król podszedł pod nią w biały dzień, spodziewając się wziąć ją szturmem, lecz z powodu zbyt krótkich drabin oblegający wiele ucierpieli, stracili bowiem około trzech tysięcy ludzi i wielu dzielnych oficerów. Oblężeni widząc, że mimo mężnéj obrony przyjdzie im uledz wreszcie, poddali się na łaskę, na czém dzięki wspaniałomyślności króla bardzo dobrze wyszli, bo ceniąc jak zwykle, waleczność, pozostawił oficerom broń i wszystkie bagaże i postępował z nimi z powodu żwawego oporu bardzo łagodnie i uprzejmie.

Postępując obok moskiewskich słobód, wzięto dwie nieznaczne miejscowości, Zierików i Ochtyrkę (Achtyrkę), pierwszą szturmem, drugą w drodze układów. Tymczasem już zima zaczęła ustępować wiośnie, gdy przybyto do Kołomaku, o ośm tylko mil od Azyi. Wrzucenie czternastu pułków moskiewskich do Pułtawy, skłoniło

króla do szturmu i do sypania okopów przed twierdzą, bądź to dla zdobycia jéj, bądź dla otworzenia sobie drogi do Moskwy, bądź w końcu dla przywabienia cara z całą armią i stoczenia rozstrzygającéj bitwy, czego się też doczekał, lecz na własną szkodę, jak to zobaczymy niebawem.

Z trzydziestu tysięcy ludzi, z których się armia szwedzka składała, gdy wychodziła ze Saksonii, nie licząc w to osobnego oddziału Lewenhaupta od dwunastu do piętnastu tysięcy, pozostało w chwili przybycia pod Pułtawę najwięcéj ośmnaście tysięcy żołnierza, i to jeszcze w opłakanym stanie, z powodu niewysłowionych trudów, jakie znosili w przykrych nad wyraz pochodach. Ale byli to Szwedzi, ożywieni królewskim przykładem. Uważając zdobycie Pułtawy za koniec wszystkich udręczeń, przystępowali do oblężenia z gorączkowym zapałem.

Car baczny na wszystkie kroki króla szwedzkiego, a lękając się zdobycia miasta, nadciągnął z całém wojskiem i rozłożył się po drugiéj stronie rzeki Worskli. Oblężenie się przeciągało, Pułtawa broniła się dzielnie. Król miał tylko polowe działa, amunicyi zaczynało mu braknąć, o żywność było trudno; szczupła ilość zboża, które wynaleziono trzeba było mleć rękami. Jedni zajęci byli robieniem prochu, inni obroną przekopów. Wszystkie te trudności przeciągały oblężenie, a nieustające trudy zniechęcały najmężniejszych. Jeden z carskich generałów, imieniem Gołowkin, próbując wprowadzić do miasta posiłki, dostał się do niewoli, a jego podwładni częścią polegli, częścią poszli w rozsypkę. Następnie ukazało się sześć tysięcy Moskali, jak gdyby z zamiarem przejścia przez rzekę Worsklę o półtory mili od Pułtawy.

Kilka sotni Kozaków, nie bacząc na złożony z 48 jeźdźców posterunek obserwacyjny, przeszło rzekę wpław i wpadło pod Pułtawą na gwardye szwedzkie. Król wedle zwyczaju zwiedzając wszystkie placówki o rannym brzasku, doznał wraz z 18 jeźdźcami przyjemności odpędzenia ich i ścigania aż do miejsca, w którém przebyli rzekę; dopiero widząc ich zanurzonych w wodzie, zatrzymał się na brzegu.

Wojska moskiewskie, stojące po drugiéj stronie, dawały bez ustanku ognia; kula z gwintowanego kara-

binu przeszyła królewską nogę od pięty aż do końca palców, łamiąc wszystkie kości stopy. Król wsparty właśnie na hr. Poniatowskim, zbladł tylko nadzwyczajnie, co ten spostrzegłszy, rzekł kilkakrotnie: „W. Królewska Mość raniony.“ Król zrazu nie dawał wcale odpowiedzi, lecz pułkownik widząc na jego obliczu wypiętnowane cierpienie, nie przestawał nalegać, aż w końcu Karol wyznał, że to prawda, lecz ponieważ nikt tego nie zauważył, przeto nie należy o tém mówić, gdyż kula nie dotarła do kości.

Gdy przeciwnicy zmiatali ciągle ludzi celnemi strzałami, błagał Poniatowski króla, aby się usunął z miejsca, tak bardzo wystawionego na niebezpieczeństwo, lecz ponieważ Karol posłał po 500 koni dla zajęcia tego posterunku, dwadzieścia cztery zaś koni, pozostałych z 58, zwłaszcza wskutek odniesionych ran, nie wystarczało do zatamowania nieprzyjacielowi przejścia, pragnął doczekać się wprzód posiłków. Dzięki nieustającym prośbom hr. Poniatowskiego usunął się wreszcie, zostawiając go tam dla poczynienia koniecznych rozporządzeń, skoro tylko przybędzie spodziewana odsiecz, co pułkownik ostatni spełnił wiernie.

Zamiast wtedy myśleć o bolesnéj ranie, przez dwie z górą godziny zwiedzał król wszystkie posterunki swego obozu i wydawał rozkazy. Aż do téj chwili nikt nie spostrzegł jego rany, chociaż krew płynęła z niéj obficie, ale kiedy wróciwszy do namiotu, chciał stąpić nogą na ziemię, padł na wznak omdlony. Gdy go następnie zaniesiono na łóżko, okazało się, że rana bardzo niebezpieczna i że trzeba odciąć kilka kostek niezwłocznie. Zagrzewał sam chirurgów, aby go nie oszczędzali i aby cięli, ile potrzeba.

Feldmarszałek Reinschöld, obozujący o półtory mili z drugiéj strony od Pułtawy, doniósł w tymże czasie królowi, że nieprzyjaciel przechodzi przez rzekę całą siłą, i zapytywał, coby czynić wypadało. Jego Królewska Mość wyprawił doń swego adjutanta z doniesieniem, w jakim się stanie znajduje, i z oświadczeniem, aby postępował wedle swego rozumienia a bez względu na jego ranę.

Feldmarszałek otrzymawszy tę smutną nowinę, wyprowadził swój korpus kawaleryi do bitwy, lecz zamiast natrzeć na nieprzyjaciela, zwłaszcza żeby go we-

przeć do rzeki, obok której przechodził, stał spokojnie bez ruchu, mniemając, że należy złączyć całą armią dla stoczenia raczéj ogólnéj bitwy, zamiast się wystawiać na drobne starcia i narażać tak osobę króla. Nieprzyjaciel przeszedłszy rzekę bez przeszkody, okopał się następnie, a feldmarszałek cofnął swe wojska w pole; gdy wieczorem spotkał się z królem, rozporządzenie jego nie podobało się Jego Kr. Mości, lecz nie można już było zapobiedz złemu.

Nieprzyjaciel postępował wciąż naprzód ku Pułtawie, okopując się bezustannie, oblężenie zaś ciągnęło się daléj, jak wprzódy. Ale gdy podeszli zbyt blizko, król przywołał feldmarszałka z generałami, aby odbył rodzaj rady wojennéj. Uchwalono na niéj, że nie można dłużéj tracić czasu, że trzeba owszém wpaść na nieprzyjacielski obóz; zaraz téż tego wieczora wydano rozkazy, aby każdy na dwie godziny przed świtem był gotów do pochodu. Feldmarszałek miał zajść nieprzyjaciela z boku z kawaleryą, piechota miała natrzeć na czoło. Król zostawiwszy dwa tysiące ludzi w okopach i wysławszy o milę bagaże z pułkiem Alwendeila, aby je zakrył, kazał się nieść w lektyce dwudziestu czterem podwładnym, zmieniającym się po czterech. O świcie ujrzano nieprzyjaciół z rydlami jeszcze w ręku dla urządzenia redut i ukończenia linii. Niektóre z tych redut zniszczyli potém Szwedzi mimo znacznych strat, jakie ponosili od ognia karabinowego i artyleryi, złożonéj ze stu wybornie obsługiwanych armat. Generał-major Roos z sześciu najlepszemi batalionami, zniósłszy kilka redut, gdzie znalazł działa, zamiast słuchać rozkazów, zatrzymał się natychmiast z miłości dla tych nędznych armat.

Przełamano w różnych stronach linie moskiewskie a Moskale sami zaczęli się cofać, choć nie nadchodziła szwedzka kawalerya, zmyliwszy nocą drogę. Piechota, idąca do ataku, zatrzymała się dla dania czasu do połączenia się z sobą generałowi Roos, który odcięty przez Moskali, został w tyle — oraz kawaleryi, lecz ta ukazała się dopiero w końcu, spiesząc kolumnami.

Przeciwnik widząc, że zapał Szwedów stygnie, zaczął się formować na tém samém miejscu a spostrzegając przed sobą tylko szczupłą garść przeciwników, ustawił się w szyk bojowy. W téj pierwszéj próbie

ludzie, co nieśli króla, po większéj części polegli, tak że trzeba było pod silnym ogniem zastąpić ich dwoma końmi. Jego Król. Mość widząc ze swéj lektyki, że się nic nie czyni, że się owszém traci pierwsze korzyści, wyprawiał gońca za gońcem do feldmarszałka z zapytaniem, co robi; pan ten jednak czy to ze starości już i znużenia, czy przez jakie nieszczęście, nie był zdolny do wydawania koniecznych rozkazów. Łajał on tylko wszystkich, nie słuchając nikogo, nie uszykował nawet kawaleryi, a widząc, że wróg ze swéj strony gotuje się do natarcia, przybył na chwilę do króla z oświadczeniem, iż chce wszcząć bitwę, nie ma już bowiem innego wyboru.

Król odparł, że powinien czynić, co uzna za właściwe, sam bowiem nie może wydawać poleceń, ani wysyłać rozporządzeń. Całą piechotę zatém ustawiono w pierwszéj linii, kawaleryą zaś miasto umieścić na skrzydłach, ustawiono za piechotą w kolumnie drugiéj linii. Piechota miała zaledwie dość czasu, dla zrobienia pół obrotu w prawo, aby stanąć twarzą do nieprzyjaciela i aby nań natrzeć. Lubo sześć batalionów z generałem Roosem na czele już było odciętych, inne zaś straciwszy wielu ludzi w natarciu na reduty i szeregi, stanowiły już nader szczupłą liczbę, mimo to szły na nieprzyjaciela z całą pewnością, jaką im dawało tyle dotychczasowych zwycięztw; atoli otoczone ze wszech stron, zostały niejako pochłonięte przez zbyt przemagające siły, gdyż armia carska składała się z 80,000 ludzi. Kawalerya stała bezczynna a po wzięciu feldmarszałka do niewoli, błądziła bez ładu z jednéj strony w drugą. Król niesiony na lektyce pomiędzy dwiema liniami, pozostał sam ze szwadronem, złożonym z sześćdziesięciu drabantów; opasany przez nieprzyjaciół, wydał rozkaz otwarcia sobie gdziekolwiek przejścia. Człowiek prowadzący konia u noszów, nie śmiał ruszać; hr. Poniatowski więc, znajdujący się przy królu, zagrzawszy drabantów i szwadron pułkownika Horna, który znalazł pod ręką, przebił się przez nieprzyjaciół, wytrzymując z dwóch stron strzały licznych batalionów. Tak ocalał król szczęśliwie, lecz pozostało przy nim tylko dwadzieścia koni. W przeprawie téj przestrzelono hr. Poniatowskiemu siedmnaście razy kaftan na ciele, on sam nie poniósł ani jednéj rany. Uchodząc z niebezpiecznego miejsca, skierował

się w stronę, która mu się zdawała najwięcéj odkrytą, lecz oddziały, dające ognia widząc, że tak drobna garstka naprzód się posuwa, zwróciły przeciw niéj swe działka polowe i zdruzgotały lektykę na drzazgi, przy czém padły obydwa konie.

Hr. Poniatowski wsadził króla na konia masztalerza, lecz o dwa kroki daléj padł i ten koń pod monarchą. Wówczas brygadyer drabantów, Guerta, znajdujący się w pobliżu, dał mu swego, i w ten sposób wyprowadzono króla po za obręb nieprzyjacielskiego ognia. Hr. Poniatowski zobaczywszy błądzące dwa szwedzkie szwadrony, dopędza je a nie mogąc nic wskórać dobrocią, wymierza szablę przeciw przywodzącemu oficerowi i znieważa go, aby szedł do króla. Wkrótce potém złączyło się z nimi jeszcze trzystu piechurów. Wszyscy byli ranami okryci a na ich czele stał oficer, imieniem Merner, zaledwie czternastoletni, wszyscy bowiem oficerowie polegli w bitwie. Wtedy król z otwartą raną, z któréj krew płynęła strumieniem, oświadczył, że może iść do boju, znajdując się na koniu, mając piechotę i kawaleryą. Nie wiem, czy nieprzyjaciela zmięszało nieoczekiwane zwycięztwo, lecz pozwolił królowi ruszać daléj spokojnie dla zabrania bagażów; uwijały się tylko w tę i w ową stronę niektóre oddziały, nie wszczynając walki. Znaleziono już w obozie owe dwa tysiące ludzi, które pozostały w okopach a widząc, że bitwa przegrana, uratowały się szczęśliwie. Trzydzieści dział, umieszczonych na przodzie bagaży, choć nie nabitych z powodu braku amunicyi, wzbudzały uszanowanie w nieprzyjacielu, który się tam wielokrotnie pojawiał. Król spędził półtoréj godziny na miejscu, już to zatopiony w myślach, już dopytując się nowin o feldmarszałku i hr. Piperze, lecz nie dowiedziawszy się niczego, poszedł z całym tym zapasem bagaży do Szandarowa, małego miasteczka, odległego o dwie mile od Pułtawy. Powstała tam radość z powodu przybycia Lewenhaupta z niedobitkami wojska, którego główną siłę stanowili Polacy i Kozacy, oraz z częścią szwedzkiéj kawaleryi, około siedmiu do ośmiu pułków, które nie poniosły szwanku w bitwie. W trzy dni późniéj przybyto nad brzeg Dniepru, do Perewołoczny.

Na niewiele dni przed bitwą przyjechał ze Szwecyi oficer, imieniem Klinkenstrom (Klinkowström), wypra-

wiony z nowiną o śmierci księżny holsztyńskiéj, siostry króla, który jeszcze o tém wcale nie wiedział, nie chciano mu bowiem udzielać smutnéj wiadomości. Oficer ten jechał przez Krym. Chan tatarski przydał mu Murzę. Tatar odznaczył się w walce i zdołał uprowadzić z sobą kilku moskiewskich jeńców.

Nad brzegiem Dniepru odbył król naradę, co czynić daléj? Mazepa żądał, aby ruszać na Wołoszczyznę obok Benderu, zapewniając, iż pochód nie potrwa dłużéj nad dni cztery, Bender zaś o niewiele mil odległy od granic Polski, gdzie pozostał generał Krassau, dla podtrzymywania króla Stanisława. Projekt ten spodobał się królowi, lecz jakże przebyć Dniepr bez statków, których niepodobna było dostać! Nadto czas naglił a przerażała obawa przed pogonią nieprzyjacielskiego wojska, gdyż tylko ośm mil przedzielało nas od pola bitwy. Oprócz żołnierzy towarzyszyło nam jeszcze wielu Moskali i Kozaków, którzy się dobrowolnie oddali królowi, błagając go o obronę przeciw carskiéj tyranii. Król pomyślał nasamprzód o zabezpieczeniu tych nieszczęśliwych. Chciał zostawić z nimi i z niedobitkami wojska generał-majora Kreutza, aby ich poprowadził ku Krymowi, przyjaźni chana bowiem był pewny. Ztamtąd miał generał Kreutz ruszyć do Polski. Rozkazał mu spalić, albo wrzucić do Dniepru pojazdy a wziąć z sobą tylko pieniądze, resztki ze saskiéj zdobyczy. Lewenhaupta pragnął król mieć przy swym boku, gdyż od czasu, jak Piper dostał się do niewoli, bardzo go potrzebował. Był to mąż uposażony zarówno talentami wojownika, jak dyplomaty, dobry żołnierz, dobry generał, dobry minister, przytém wielkiéj zacności człowiek. Ale on przypomniawszy, że już niejednokrotnie miał szczęście walczyć zwycięzko z Moskwą, prosił króla, aby mu powierzył to zadanie, żywi bowiem niepłonną nadzieję, że się z niego dobrze wywiąże. Monarcha przychylił się do jego prośby.

Sam król chciał zabrać z sobą tylko kilka set jazdy i iść z Mazepą, który się ofiarował, że go poprowadzi. Znaleziono na szczęście kilka łodzi; wprzód przeszli wpław Kozacy Mazepy, on był ostatnim. Nazajutrz, czwartego dnia po bitwie, posunięto się w pustynie, kierując się ku Benderowi. Lewenhaupt ze swéj strony miał natychmiast ruszać w drogę. Tymczasem

o dziewiątéj godzinie z rana widać go było jeszcze na brzegach Dniepru, co bardzo zmartwiło króla.

Na szczęście dla Karola, Moskale zaskoczeni nieoczekiwaném i niespodziewaném zwycięztwem, pozwolili mu ujść spokojnie. Nareszcie ruszył w pogoń książę Menżyków z czternastu tysiącami kawaleryi. Król szedł daléj, prowadzony przez Kozaków, którzy choć sami często polowali w tych pustyniach, nie znali dokładnie drogi. Wtem rozległ się w stronie Dniepru strzał armatni. Nie rozumiano, coby to znaczyło, domyślano się jednak, że to Moskale nadciągnęli. Pierwszéj nocy oficer szwedzki, który przebył rzekę ostatni, przyniósł królowi wiadomość, iż Moskwa z całą siłą stanęła nad brzegiem Dniepru i że spotkała tam jeszcze Lewenhaupta. Nazajutrz trwał daléj pochód w pustyni, gdzie nie było widać ani wsi, ani domu, ani drogi, słowem nic zgoła. Na tych pustych płaszczyznach spotykało oko wędrowca jedynie usypane z ziemi mogiły, na których stały posągi po trzy, pięć aż do dziewięciu, widocznie bardzo starożytne. Idąc tak, dotarli wreszcie do suchego rowu. W niedostatku zapasów, trzeba się było żywić kwaśnemi wiśniami, znajdowanemi od czasu do czasu na małych drzewkach. Szczególniéj brak wody dotkliwie czuć się dawał. Było to w miesiącu lipcu, w gorącym kraju; ludzie umierali niemal z pragnienia. Hr. Poniatowski prowadził oddział, złożony głównie z Polaków i Kozaków, których wódz, Mazepa, okazywał mu więcéj zaufania, niż innym — hr. Poniatowski, mówię, wszedłszy na pagórek, odkrył z dala drzewo, a przekonany, że to wierzba, sądził, że powinnaby tam być i woda. Popędziwszy w tę stronę cwałem, szukał dopóty, dopóki nie znalazł źródła. Szczęśliwe to odkrycie ocaliło szczupły zastęp królewski.

Nocą trzeciego dnia rozległa się w obozie wrzawa. Kozacy zbuntowawszy się przeciw Mazepie, chcieli złupić jego wozy, napełnione wielkiemi skarbami, schwycić jego samego i wydać carowi. Wysłany do nich przez króla Poniatowski, znany i szanowany wśród Kozactwa, przemówił z powagą a obok próśb i gróźb nie szczędząc (lubo Kozacy, liczący cztery do pięciu tysięcy ludzi, byli daleko silniejsi od Szwedów, których było zaledwie kilka set jazdy), uśmierzył bunt i ocalił Mazepę. Na-

zajutrz jednak uszło siedmiu set z pomiędzy buntowników.

Czwartego dnia stanął oddział nad jeziorem, wzdłuż którego można było dojść aż do Benderu. Ale Mazepa przekonał króla, że lepiéj ruszyć na Oczaków, gdzie basza czyli gubernator jest jego przyjacielem, że tam łatwiéj im przyjdzie przeprawić się przez Boh (przez starożytnych zwany Hyppanis), aniżeli idąc wprost. Życzeniu jego stało się zadość.

Po poddaniu się Lewenhaupta, książę Menżykow wysłał generała Wołkońskiego z sześciu tysiącami kawaleryi w pogoń za królem. Wołkoński przeszedłszy przez Dniepr, miał przed sobą dwie różne drogi; jednę prowadzącą w pustynie, przez które szedł król, drugą, wiodącą do Czehryna. Generał moskiewski nie przypuszczając, aby się król zapuścił w pustynie, pospieszył ku Czehrynowi i biegł przez dzień cały; wreszcie spostrzegłszy swą pomyłkę, powrócił bez zwłoki i podążył w pustynię. Szedł zaś z tak wielkim pospiechem, że stanął nad jeziorem wkrótce po wyruszeniu króla. Postępował zawsze królewskim śladem, lecz straciwszy go w nocy, poszedł wzdłuż jeziora prosto w stronę Benderu i biegł jeszcze dzień cały napróżno.

Król natomiast stanął tegoż samego dnia nad brzegiem Bohu, u ujścia téj rzeki, wpadającéj wespół z Dnieprem pod murami Oczakowa do morza Czarnego, i wyprawił Poniatowskiego przodem z poleceniem udania się do baszy Oczakowa. Ale na rzece nie było łodzi do przeprawy. Po długich poszukiwaniach znalazła się przecież jedna, na któréj Kozacy Zaporozcy zbierali sól, lecz widząc obcych, uszli coprędzéj. Mimo nawoływań Poniatowskiego, nie zwracali nań uwagi. W końcu towarzyszący mu Kozacy Mazepy dokazali tyle, że Zaporożcy wrócili. Przepłynął więc na téj łodzi, kształtu zwykłego, długiego, wydrążonego drzewa. Gdy stanął na lądzie, Tatarzy biorący tam kamienie na fortyfikacye miasta, o cztery mile oddalonego od rzeki, otoczyli go wielkim tłumem, przyglądając się jego postaci i nieznanemu ubiorowi. Towarzyszył mu Tatar z orszaku Murzy, wysłanego z Klinkenströmem przez chana krymskiego, a mówiący po francuzku. Przyjąwszy na siebie rolę tłómacza, powiedział Tatarom Oczakowskim, co cudzoziemiec chciał oświadczyć baszy. Naczelnik, zwany

przez nich *wojewodą* (sic) odparł, że Giaurom jest wstęp do twierdzy wzbroniony, na usilne jednak prośby posłał jednego z Tatarów do miasta a niedługo potém nadeszła odpowiedź, że jutro o godzinie dziesiątéj udzieli basza przybyszowi posłuchania w ogrodzie. Gościnność u Turków i Tatarów jest jednym z artykułów wiary; postępowali z nim przeto dość uprzejmie i przynieśli mu żywności.

Następnego dnia mówił Poniatowski z baszą, przedstawiając w jaskrawych kolorach nieszczęście króla szwedzkiego i przegraną bitwę, zaręczając, że jest przyjacielem Porty, że Sułtan w porze zwycięztw wyprawił doń posła — nie pomijając zgoła niczego, coby mogło skłonić Turka do wpuszczenia króla w kraje sułtańskie i udzielenia mu na czas pewien przytułku. Basza wysłuchawszy mowy spokojnie, odparł nader chłodno, że o tém wszystkiém nic nie wie, że jednak wierzy, skoro go Poniatowski o tém zapewnia. „Ale cóż odpowiem sułtanowi — dodał — jeśli, gdy wam pozwolę wstąpić w jego ziemie, Moskale w pogoni za wami, również rzekę przekroczą?“ W rzeczy saméj argument był prosty, lecz dobrze uzasadniony. „Ale jeśli Pan chcesz — mówił daléj — napiszę do Konstantynopola dla dowiedzenia się o woli mojego Pana.“

Gdyby Poniatowski nie był się chwycił innego sposobu w układach, byłby król zgubionym. Oczaków od Stambułu dwieście mil odległy, czas naglił a Moskale ścigali bez wytchnienia. Poprosiwszy więc baszy, aby kazał wyjść wszystkim z pokoju, oświadczył, iż król szwedzki nie okazałby się niewdzięcznym za jego uczynność, na dowód czego ofiaruje mu dwa tysiące dukatów. Basza w tejże chwili zmieniwszy ton, zapytał tłómacza, gdzieby były owe dukaty? Poniatowski wręczył mu je natychmiast. Odtąd zaczął Turek przemawiać w inny sposób. „Wszystko co panu przekładałem — mówił — jest prawdą; nie mogę zmienić postanowienia, znajdzie się przecież środek, z którego pan będziesz zadowolonym. Poszlę wam łodzie z zapasami, z których będziecie mogli zakupić, ile zechcecie, a na łodziach tych będzie się mógł także przeprawić król ze swojém otoczeniem.“

Poniatowski złożywszy baszy podziękowanie, wrócił z tą nowiną do króla. Wkrótce potém łodzie, sułtań-

skiemi zwane, przybiły z wszelkiego rodzaju zapasami, lecz zamiast przypłynąć do samego brzegu, zatrzymały się w pewnéj odległości. Jedna z nich tylko przybliżyła się a sprzedawszy prowizyą, odpłynęła, inne poszły za jéj przykładem. Widząc to Poniatowski, rzekł do króla, że go oszukano i dał dobrą radę, aby Szwedzi sami wskoczyli na łodzie, i uwijając się około kupna zapasów, opanowali statki przemocą. Takim sposobem przeprawiono się przez rzekę w dwóch dniach. Musiał jednak król patrzeć z boleścią, jak czterystu ludzi, tak Szwedów, jak Polaków i Kozaków, którzy nie zdążyli przebyć rzeki, dostało się na brzegu w moskiewskie ręce.

W tym czasie dowiedział się także o przybyciu Klinkowströma i śmierci siostry, księżny holsztyńskiéj. Nowina ta tak bardzo go zasmuciła, że przez 24 godzin nie chciał nikogo widzieć i zalewał się rzewnemi łzami. Musiał jednak przyjąć odwiedziny baszy, oświadczającego się z przywiązaniem i służbami swemi. Turek ten nie okazywał mu wprawdzie względów, należnych monarsze, postępował jednak dość grzecznie.

Tymczasem Jussuf-basza, seraskier Benderu, przysłał mistrza ceremonii swego dworu z wspaniałym namiotem i chłodzącemi napojami dla powitania króla, prosząc zarazem, aby raczył przybyć do Benderu, gdzie we wszystko opływać będzie. Posłaniec otrzymał w nagrodę tysiąc dukatów. Trzeba wiedzieć, że są u Turków dwa różne gatunki baszów, o dwóch i trzech buńczukach, a ci są wyżsi od tamtych. Basza, seraskier Benderu, był z rzędu ostatnich i miał niejaką wyższość nad Oczakowskim. Mają oni wszyscy dwór takiż sam, jak sułtan, tylko na mniejszą skalę.

W niewiele dni późniéj przybył sam basza Benderu. Był to sędziwy starzec, Czerkies z rodu, uprzejmy, przystępny a posiadał w najwyższym stopniu wszystkie przymioty poczciwego człowieka. Do króla zbliżył się z wielkiém uszanowaniem. Nasamprzód zganił mocno baszę Oczakowa, że nie dość godnie postępował z osobą monarchy, lubo nie użalał się ani król, ani nikt inny. W grzecznych i pełnych uszanowania wyrazach ofiarował królowi gotowość służenia mu we wszystkiém i czynienia wszystkiego, czegoby tylko można było od niego wymagać a nadto prosił, aby król zechciał coprędzéj

podążyć do Benderu, gdzie mu na niczém zbywać nie będzie. Król dał się łatwo namówić i ruszył do tego miasta. Po drodze pełno było wszelkiego rodzaju zapasów; nałożone na nie ceny były bardzo umiarkowane dzięki baszy, który pod surowemi karami zabronił zdzierstwa. Szwedzka moneta miała być przyjmowaną w téj saméj wartości, jak w Szwecyi. Zanim przybyto nad brzegi rzeki Tulaysu (starożytni zwali ją „Ister“, Polacy zaś Dniestrem, płynie pod murami Benderu i przedziela Podole od Wołoszczyzny) oczekiwali króla, by mu służyć za orszak przyboczny, Lipkowie czyli Tatarzy wołoscy. Przeszedł nawet przez rzekę miejski oddział, a na jego czele przyjmował króla sam basza, ofiarując mu klucze od miasta z oświadczeniem, że ma tylko rozkazywać, oni zaś we wszystkiém będą mu posłuszni. Król podziękował za okazaną sobie grzeczność i względy, lecz nie chcąc przejść przez rzekę, rozłożył się obozem po drugiéj stronie. Równocześnie artylerya miejska powitała go trzechkrotnemi wystrzałami. Basza nie mogąc uprosić króla, aby wszedł do miasta, wezwał zarządcę królewskiego domu, imieniem Dibe, aby go uwiadomił, czego potrzebuje dla króla i jego ludzi. Ten zaś odpowiedział, że nie potrzebuje niczego, pragnie tylko, aby mógł dostać za pieniądze wszystkiego, czego zażąda. Basza niezadowolony z odpowiedzi, wyznaczył zaraz pięćset talarów dziennie dla kuchni królewskiéj, co trwało do chwili królewskiego wyjazdu z Turcyi, w znak zaś osobliwéj czci dla króla, wyznaczył pięciu set Janczarów jako straż honorową. Trzeciego dnia prosił króla o posłuchanie, na którém ofiarował mu ponownie klucze od bram miasta, poddając się sam pod jego rozkazy. Słowem dobry ten starzec robił wszystko, co mógł, aby się stać pożytecznym królowi i zyskać jego względy. Król dał się przeto nakłonić do przejścia rzeki, lecz nie chcąc żadną miarą wejść do miasta, rozłożył się nad Dniestrem.

Jeszcze w Oczakowie zapadła uchwała wyprawienia posła do Stambułu. Zlecenie to otrzymał niejaki Neugebauer, niegdyś nauczyciel carskiego syna, następnie zbieg od Moskali. Król mając zamiar strącenia z tronu cara i osadzenia na jego miejscu carewicza, po którym się spodziewał, że będzie spokojniejszym, niż ojciec, miał nadzieję, iż mu się uda zużytkować z korzyścią

stosunki Neugebauera w Moskwie. Dla tych widoków zatrzymano go na dworze i wyznaczono mu tysiąc talarów rocznéj pensyi. Prosił on króla o pozwolenie udania się do Konstantynopola, aby ztamtąd powędrować do Hollandyi, następnie z łatwością powrócić do Gdańska, miejsca swego urodzenia, i być jeszcze królowi w Polsce użytecznym. Ponieważ Szwedzi nie znali wcale Turków, ani ich zwyczajów, nikt nie chciał się podjąć zlecenia do Stambułu. Nastręczyła się tedy sposobność powierzenia sprawy Neugebauerowi. Nie otrzymał on jednak pisma uwierzytelniającego, lecz tylko zwykły list króla do sułtana. Wyjechał przeto z Benderu do Konstantynopola. Przedstawiony w. wezyrowi, na zapytanie, czy ma dla niego listy, odparł, że dostał tylko pismo do sułtana. Wezyr zażądał, aby mu je oddał. Gdy się tamten tłómaczył, iż ma rozkaz wręczenia listu samemu cesarzowi, oświadczył mu minister, że to niemożebne, żaden bowiem Chrześcianin nie może widzieć sułtana, ani z nim mówić, jeśli nie posiada charakteru ambasadora. Tak zatém list nie doszedł na miejsce przeznaczenia, a podróż Neugebaura dla sprawy króla spełzła bezowocnie. Wyprawił on do Benderu wiadomość o tém, prosząc króla o nadesłanie papierów, uwierzytelniających go jako posła.

Zwłoka ta nie przypadła królowi do smaku, lecz nie szczególnie będąc uprzedzonym o zręczności pana Neugebaura, nie chciał go uwierzytelnić. Hr. Poniatowski wyzdrowiawszy nieco z choroby, w którą popadł w Benderze, a pałając chęcią ujrzenia Konstantynopola, poprosił o pozwolenie udania się do tego miasta przez prostą ciekawość, na co się król zgodził i dał mu nadto list dla Neugebaura, za namową benderskiego baszy zaszczycając go tytułem posła. Poniatowski przysposabiał się do wyjazdu, a że miał szczególny dar jednania sobie wszędzie przyjaciół, prócz tego zaś cieszył się w wysokim stopniu zaufaniem królewskiém, zyskał niebawem przyjaźń baszy Benderu tak dalece, że ten polecił go listownie w. wezyrowi. Zaledwie stanął w Stambule i oddał list panu Neugebaurowi, aliści przysłał po niego wezyr; zapytał go o powód przybycia, dowiadywał się następnie o położeniu króla, o wojnie z Moskwą, o bitwie pod Pułtawą, w końcu o Szwecyi, o stanie i o siłach tego królestwa. Poniatowski na wszystkie

pytania odpowiadał dokładnie i objaśnił go o wszystkiém, niczego nie przesadzając, ani nie zmniejszając. Przy pożegnaniu powiedział tłómaczowi, Greczynowi, imieniem Maurocordato, późniejszemu hospodarowi włoskiemu, że przybył do Konstantynopola, wiedziony jedynie ciekawością ujrzenia sułtana, jego dworu, ministrów, jego wspaniałości i wszystkiego, co najciekawsze i najosobliwsze. Wezyr kazał mu odpowiedzieć, że jest bardzo ciekawy i że takie przywileje nie przysługują nawet ambasadorom. Uśmiechnął się jednak i przydał mu człowieka ze swego orszaku, z rozkazem prowadzenia go wszędzie, gdziebykolwiek iść zapragnął.

Wkrótce zapowiedziano Neugebaurowi posłuchanie z nadmienieniem, że ma się również znajdować na niém Poniatowski. Ten w krótkim czasie zjednał sobie tak wielką wziętość pomiędzy Turkami, że zamiast do posła, wszyscy udawali się w każdéj sprawie do niego. Na audyencyi chciano mu dać pierwsze miejsce przed Neugebaurem, lecz nie chciał sam wyrządzać téj ujmy godności i charakterowi posła. Lubiono go i wyszczególniano wszędzie. Bawił wprawdzie za pierwszym pobytem tylko dwadzieścia dni w Stambule, lecz zawiązał więcéj znajomości, niż kto inny w ciągu wielu miesięcy. Znalazł nawet sposób dostania się do seraju, z czego wyciągnął wielkie korzyści za drugim pobytem. Ponieważ z natury jest szczodrym, Turcy zaś nadzwyczaj kochają pieniądze, hojność i rozrzutność jego wespół z kształtną postawą i ujmującym wyrazem twarzy, zjednały mu między ludem przyjaciół, powagę a nawet szacunek, podczas gdy pan Neugebauer, wielce zagniewany, spoglądał nań zawistném okiem dla tego, że gdy on radził cokolwiek dla dobra i interesu swego pana, nigdy nie znajdował posłuchu, a rady jego nawet najrozsądniejsze i najzbawienniejsze, odrzucano stale.

Uczyniwszy zadość ciekawości, a nie mając nic więcéj do czynienia w Konstantynopolu, posłał do wezyra z prośbą o ferman, to jest paszport na powrót do Benderu. Ale minister kazał mu odpowiedzieć, aby sam przyszedł do niego a ponieważ sprawił sobie ubiór wedle tureckiéj mody, aby z większą łatwością módz wejść wszędzie, gdzie cokolwiekbądź chciał widzieć, wyraził wezyr życzenie ujrzenia go w tym stroju.

Stało się wedle jego woli, z czego był bardzo zadowolony. Okazywał on mu wielkie zaufanie, rozprawiał z nim o interesach króla i oświadczał w tych rozmowach, że pragnie bohaterskiemu monarsze służyć całym swym wpływem, aby go na czele stu tysięcy ludzi przywrócić do dawnéj świetności. Poniatowski wśród podziękowań zapytał, czy może to wszystko powtórzyć królowi?

„Owszém, odparł minister, i proszę Pana, byś zapewnił króla o mojém przywiązaniu do jego osoby i sprawy; uważamy zresztą cudzoziemców za wysłańców niebios i dla tego podejmujemy ich z jak największą gościnnością.“ Poniatowski rozstał się z nim wielce uradowany tém, co słyszał; zanim wyszedł, przyniesiono w wielkim skórzanym worze dwa tysiące dukatów. Wezyr kazał powiedzieć Poniatowskiemu, że to dla niego na podróż, ten zaś odpowiedział tłómaczowi, że bardzo wdzięczny wezyrowi za wspaniałomyślność, lecz nie braknie mu środków na opędzenie kosztów powrotu. Powstał ztąd spór między tłómaczem a Poniatowskim; pierwszy zamiast powtórzyć jego słowa wezyrowi, pragnął go nakłonić do przyjęcia daru, drugi uchylał się stale od przyjęcia. Gdy wezyr zagadnął o przedmiot sprzeczki, opowiedział tłómacz rzecz całą z drżeniem; minister zapytał o przyczynę. Okrom pierwszéj, już wymienionéj, dodał hr. Poniatowski, że oficerowie jego stopnia zwykli przyjmować dary tylko od koronowanych głów. Na to rzekł wezyr z uśmiechem, że to sułtan ów trzos mu przysyła; zadowolony z tego oświadczenia hr. Poniatowski, wziął worek i wyszedł, ofiarowawszy dwieście dukatów sługom dworu wezyra. Ci nie przywykli (choć to zwyczaj) otrzymywać tak wspaniałych podarunków, roznieśli sławę hojnego dawcy po całym seraju.

Pan Neugebauer pozostał w charakterze posła u Porty Ottomańskiéj, lecz dopuścił się na tém stanowisku wielkich błędów. Tołstoj, ambasador moskiewski w Konstantynopolu, miał pięciu jeńców inflanckich, wziętych do niewoli przez Moskwę, a kupionych przezeń od Ormian. Przyszli oni do pana Neugebaura, prosząc o opiekę; jakoż przyrzekł ich prośbie uczynić zadość. Hr. Poniatowski przekładał mu, aby się miał na baczności, gdyż ztąd mogą dlań urość wielkie przykrości. Gdy poseł odparł, że winien się upominać o dobro

swego pana wszędzie, gdziekolwiekby je mógł znaleść, radził mu Poniatowski, by przynajmniéj wyprawił jeńców zaraz z nim razem nazajutrz. Pan Neugebauer potrzebując sług dla utrzymania swéj powagi, nie chciał pójść za udzieloną sobie wskazówką i zatrzymał niewolników u siebie, zaręczając, że nikt mu ich nie wydrze, skoro raz dostali się do niego.

P. Poniatowski powróciwszy do Benderu, zdał królowi bardzo szczerze sprawę z wszystkiego, co widział i co słyszał. Wkrótce po jego wyjeździe ze Stambułu nastąpiło w sprawie owych pięciu Inflantczyków to, co przewidział. Kupił ich poseł moskiewski, prawnie więc należeli do niego. Słuszném ztąd było wymaganie, aby p. Neugebauer albo zwrócił mu własność, albo przynajmniéj kwotę, jaką wyłożył na kupno. A chcąc mu dać dowód życzliwości, wezyr ofiarował pieniądze na wykupienie tych niewolników od moskiewskiego ambasadora. P. Neugebauer zamiast korzystać z téj szlachetności, kazał odpowiedzieć, że w. wezyr nie ma mu nic do rozkazywania, że jest obowiązany upominać się zawsze i wszędzie o dobro swego pana i że nikt mu niewolników wydrzeć nie zdoła. Wezyr przysłał doń po raz drugi, oświadczając, że pragnie sam wybadać i odkupić niewolników. Poseł jął wówczas miotać obelgi na wezyra i powiedział, że gdyby się kto ośmielił zaczepić go gwałtem, będzie się umiał bronić. W tym celu nakupiwszy pik i strzelb, zatarasował swój dom, w końcu przygotował się wedle własnych słów: do obrony prawa narodów i godności swego charakteru. W. wezyr dotknięty tą odpowiedzią, przysłał 50 Janczarów dla odebrania mu niewolników przemocą. Wówczas okazało się, jak czcze i płonne były przechwałki i groźby posła. Widząc nadchodzących Janczarów, umknął dachem domu do ambasadora holenderskiego i udał się w prośby, aby go wysłał natychmiast na holenderskim statku. Wezyr zaś, wypytawszy przyprowadzonych przed siebie niewolników, zwrócił posłowi moskiewskiemu pieniądze za czterech, którzy w ten sposób wykupieni, zbisurmanili się następnie, a nowy pan obdarzył ich wolnością. Piąty na własne żądanie powrócił do dawnego pana.

Król szwedzki szukając przytułku w krajach sułtańskich, nie myślał w nich bawić długo, miał bowiem

zawsze na myśli powrót do Polski. Z téj to przyczyny wysłał podpułkownika Gyllenkroka z 300 ludźmi na granicę Podola. Generał Wołkoński, który na czele sześciu tysięcy Moskwy ścigał był króla aż do brzegów Bohu, a nie mógł przebyć rzeki, wpadł na Gyllenkroka i zabrał go do niewoli z całym oddziałem w wołoskiéj wiosce, imieniem Czernica. Ta napaść Moskali na państwo sułtańskie, podała królowi plan pobudzenia Porty Otomańskiéj do zemsty i uzbrojenia Turków przeciw Moskwie. Zalecił tedy posłowi swemu w Stambule, by podał skargę do sułtana i wezyra; lecz ponieważ pan Neugebauer nie miał ani kredytu, ani dość talentu, niezbędnego dla pomyślnego pokierowania tą sprawą, przeto pieniądze cara odniosły zwycięztwo a jego ambasadorowi udało się mimo napaści na Szwedów wyjednać przedłużenie pokoju, co w. wezyr rozkazał ogłosić edyktem po całym kraju. P. Neugebauer doniósł o tém królowi, zapewniając, że w. wezyr zdradza jego interesa, i dołączając wiele kłamliwych szczegółów w sprawie pięciu inflanckich jeńców.

Tymczasem sułtan przysłał królowi 25 najpiękniejszych tureckich koni, z których jeden tak wspaniale przybrany, że rząd jego liczono co najmniéj na sto tysięcy talarów. W. wezyr dołączył ze swéj strony do sułtańskiego daru pięć koni z pysznemi rzędami. Przed ich nadejściem jeszcze otrzymali o tém wiadomość ze Stambułu basza benderski i hr. Poniatowski i donieśli ją królowi, na co odpowiedział, że nie przyjmie podarku wezyra, chociaż basza starał go się wszelkiemi sposobami przekonać, iż odrzucenie tego daru mógłby sam przypłacić głową. Król zamiast zmienić postanowienie, zawołał z gniewem, że napisze do Stambułu, iż mu basza nie chce oddać sułtańskiego daru. Basza widząc w królu wolę niezłomną, dał mu natychmiast sułtańskie konie; wezyrskich nie przedstawiano nawet, król bowiem i widzieć ich nie chciał. Koniuszy, który przyprowadził rumaki, dostał dziesięć tysięcy, każdy zaś z masztalerzy po dwieście dukatów. Tą to nadzwyczajną hojnością zjednał sobie król serca Turków. Imię jego było pośród nich już znane; w czasie jego zwycięztw i pomyślności stugębna fama dziwne rzeczy głosiła o bohaterze. Skoro więc sam przybył do Benderu, Turcy i Tatarzy zbiegali się ze wszystkich stron tłumnie,

aby go ujrzeć. Każdy gościnnie przyjęty, otrzymywał wspaniałe dary i łaskawą odprawę. Wszyscy go szanowali i uwielbiali. Widząc jego surowe życie i stałość w powstrzymywaniu się od wina, mawiali, że to prawdziwy Muzułmanin. Uważano go już za wyższą, nadludzką niejako istotę. Pewien bez celu dokonany czyn, zwiększył przywiązanie Turków do niego. W zdobytym Lwowie znaleźli Szwedzi 50 tureckich jeńców, zakutych w kajdany a wziętych do niewoli w poprzednich wojnach Polski z Portą Otomańską. Król z właściwą sobie wspaniałomyślnością obdarzył ich swobodą a nawet ubiorem i odesłał do Turcyi. Ci wynosili jego szlachetność pośród krewnych i przyjaciół z jak największym zapałem. Ale szczególniéj basza Benderu, ów dobry starzec, kochał go jak własnego syna a uważał za swego pana, nie chciał jednak przyjąć od niego ani jednego solda, jakkolwiek wielokrotnie ofiarowano mu bardzo wielkie dary.

Król mocno przeciw w. wezyrowi obruszony, rzekł pewnego razu do Poniatowskiego: „Daremnie go Pan chwalisz, nie zasługuje bowiem na to; owszém pojedziesz go strącić.“ W istocie rozkazał mu pospieszyć w tym celu niezwłocznie do Stambułu. Było to arcy-niebezpieczne przedsięwzięcie. Sułtan jest wprawdzie panem wezyra, lecz i wezyr panem całego państwa. Pierwszy tonąc w rozkoszach seraju, zadowala się często samym czczym tytułem władzy i możnością złożenia ministra z urzędu, kiedy mu się spodoba, podczas gdy drugi dzierży wszystkie sprężyny działania w swym ręku i może również za pomocą rewolucyi zrzucić z tronu swego pana. Poniatowski mimo to puścił się bez wahania w drogę.

Z powodu nadzwyczajnéj chciwości tureckiéj, potrzeba było wiele pieniędzy, jeśli się sprawa miała powieść. Król ich nie posiadał — zaledwie mu starczyło na wydatki w Benderze. Dla tego też Poniatowski otrzymał jedynie otwarty list królewski z pozwoleniem wpisania w nim, cokolwiek zechce.

Stanąwszy w Konstantynopolu, zastał p. Neugebaura w niekorzystnym dla królewskich interesów stanie. Nie dopuszczano go już wcale na konferencye, ani na posłuchania. W. wezyr był na niego niesłychanie zagniewany; na odwrót dowiedziawszy się o przybyciu Po-

niatowskiego, wysłał natychmiast po niego, przyjął go bardzo grzecznie i zapytał, dla czego przyjechał do Stambułu. Poniatowski odparł, że pragnie wykupywać szwedzkich jeńców, sprzedanych Turkom i Tatarom; w dalszym zaś ciągu rozmowy powiedział bardzo szczerze i poufnie, że król nie przesłał mu listu, czuje bowiem żal do niego z powodu owych inflanckich niewolników, zabranych przemocą jego posłowi wbrew prawom narodów, jak niemniéj z przyczyny przedłużenia pokoju z Moskalami, mimo ich wkroczenia w granice sułtańskiego państwa. Wezyr wytłómaczył się z jednego i z drugiego, składając całą winę na pana Neugebaura, i rozstał się z nim wśród wielkich czułości i objawów przyjaźni.

Ale Poniatowski przeniósł interes swego pana nad jego osobliwą przyjaźń i nad własne przywiązanie, jakie czuł dla wezyra. Przed rozpoczęciem tak wielkiéj sprawy, jak strącenie pierwszego ministra Porty, zaczął szukać pieniędzy. Jakoż zebrał w krótkim czasie u zagranicznych kupców, handlujących w Stambule, sześć tysięcy talarów, które chętnie złożyli. Z tą kwotą i z własnym tysiącem z górą dukatów, przystąpił do dzieła. Odnowiwszy stare znajomości z pory pierwszéj swéj podróży, postarał się nadto o nowe; to téż znali go wszyscy, tak mężczyźni, jak kobiety. Szczególniéj wielce użyteczną stała się dlań znajomość z pewnym Węgrem, imieniem Horwat Ferens, stronnikiem niegdyś Tekelego, osiadłym następnie w Stambule. Poznali się na obiedzie u p. Feriol'a, ambasadora francuzkiego. Horwat nie omieszkał odwiedzić Poniatowskiego. Mieszkając w Konstantynopolu długie lata, odbywszy nawet kilka wypraw z Turkami, znał doskonale ich rząd, wszystkie zwyczaje i obyczaje, oraz pewne środki dla dopięcia celu, gdyby ktoś chciał przedsięwziąć u nich jaką sprawę. Poniatowski wyciągnął zeń wszystkie te wiadomości nader zręcznie, nie odsłaniając mu wcale swego planu, udając owszém, jakoby go wypytywał jedynie dla utrzymania rozmowy i zaspokojenia ciekawości. Podczas trzech odwiedzin objaśnił go Węgier o wszystkiém i wytknął mu drogę postępowania.

Poniatowski nie omieszkał zamienić w czyn otrzymanych wskazówek. Przez cztery miesiące przysposabiał środki dla urzeczywistnienia swego planu, ukończył

zaś rzecz pomyślnie po upływie czternastu miesięcy. Zachował przy tém tak wielką ostrożność i działał tak potajemnie, że w. wezyr niczego nie mógł dociec. Pojmował, że potrzeba przedewszystkiém uwiadomić koniecznie sułtana, iż minister działa w poprzek jego własnym interesom. Dla dokazania tego, dokładał najusilniejszych starań. Nasamprzód przedstawił pierwszemu referendarzowi kilka memoryałów, lecz ten ujęty przez moskiewskiego posła, odrzucił je. Za pomocą więc seraju znalazł pewną aż do sułtana drogę. W bardzo obszernym memoryale wystawił, że wielki wezyr przekupiony przez Moskali, przedłużył z nimi pokój mimo porwania Szwedów na ziemiach sułtańskich, pomimo iż Moskwa czyni wielkie przygotowania na morzu Czarném w Tagan-Rogu, o pięć mil od Azowu, gdzie buduje okręty i obwarowuje miejscowość. Wyciągnął ztąd niekorzystne dla interesów Porty wnioski, zapewniając, iż na przyszłą wiosnę flota moskiewska ukaże się pod murami Stambułu. Przedstawienia te sprawiły wielkie wrażenie na sułtanie; kazał hr. Poniatowskiemu zamilknąć, nie mówić nic o téj sprawie, ani téż wspominać, że ma stosunki w seraju, sam zaś wysłał szpiegów na wskazane miejsce. Znaleziono wszystko w takim stanie, jak przedstawił p. Poniatowski. Sułtan wielce zdumiony, zapłonął wielkim gniewem, że się dowiedział o tém od cudzoziemca, podczas gdy jego minister i ambasador moskiewski, udzielali mu wprost przeciwnych wiadomości. W miarę jak się wykrywała prawdziwość doniesień przybysza, wzrastały téż jego wziętość i opinia.

Jakkolwiek wszystkie te zabiegi czyniono nad wszelki wyraz oględnie i tajemnie, ogromne jednak wydatki i szczodrobliwość hr. Poniatowskiego wzbudzały ogólny podziw. Tak długi pobyt jego w Stambule bez misyi, stał się źródłem podejrzeń dla wielu ludzi. Między innymi Neugebauer zazdrosny o swą powagę, nie mogąc powstrzymać podejrzliwości, użalał się w liście do króla, że Poniatowski knuje coś w Konstantynopolu przeciw jego interesom. Odpowiedział król, że ma pełnić spokojnie obowiązki swego urzędu, nie mięszając się wcale do spraw p. Poniatowskiego.

Poseł moskiewski lepiéj od wszystkich innych przeniknął jego zamiary. Rozrzucając również szczodrą dłonią pieniądze, liczył wielu przyjaciół; mimo to

wszystko nie mógł w niczém zaszkodzić hr. Poniatowskiemu. Sułtan rozkazał wezyrowi przysposabiać się do wojny, lecz nie mówiąc przeciw komu. W istocie wkrótce potém Ali-basza złożony z godności w. wezyra, dostał urząd w Rumelii. Otrzymał on rozkaz, aby natychmiast wyjechał ze Stambułu do swéj prowincyi, i aby w Benderze złożył uszanowanie królowi szwedzkiemu w imieniu sułtana. W Babadzie, o 20 mil od Benderu, uduszono go z rozkazu naczelnika wiernych.

Pieczęć państwa dostała się Numan-baszy, z domu Kuprulich. Jego ojciec i dziad piastowali z kolei godność wielkich wezyrów. Był to człowiek, którego cnoty i zalety ciała i duszy przyniosłyby zaszczyt największym ministrom chrześciańskich książąt. W wysokim stopniu uczciwy i zacny, celował wielkiemi zdolnościami tak w porze wojny, jak pokoju, wytrwałością w przedsięwzięciach, dzielnością w wykonaniu. Umiał on z okazałością utrzymać godność własnego urzędu i honor władzcy. Interesa swego narodu znał lepiéj, niż ktokolwiek inny. Obok tego przestrzegał jeszcze nader ściśle praw Mahometa. Pięknéj i ujmującéj postawy, wzrostu był dobrego i kształtnego. Liczył wówczas lat 36 a był gubernatorem Esdromu. Krótko przed strąceniem w. wezyra przyjechał do Konstantynopola w sprawach prywatnych. P. Poniatowski zapoznawszy się z nim wówczas, skorzystał z tego po jego wyniesieniu. Przychodził do niego niekiedy; rozmawiali wówczas o stanie, oraz interesach książąt i królestw. Rozmiłowany w naukach a szczególniéj w geografii, prosił hr. Poniatowskiego o atlas; śledził na nim z uwagą położenie wszystkich królestw i państw chrześciańskich książąt i zestawiał je z interesami własnéj ojczyzny. Odtąd zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń. Skoro więc otrzymał godność w. wezyra, hr. Poniatowski przyszedł złożyć mu powinszowanie. Po wielu grzecznościach z jednéj i z drugiéj strony, nowy wezyr przywoławszy do siebie wszystkich oficerów, zalecił im, aby wprowadzali hr. Poniatowskiego, o którejkolwiek godzinie przyjdzie — słowem aby miał zawsze wolny przystęp. Jeszcze zanim został wezyrem, uwiadomił go już hr. Poniatowski o wszystkiém, co czynił dla podniecenia sułtana do wojny przeciw Moskwie. Teraz więc jął naglić, aby przystąpił do spełnienia owych

planów. Odpowiedział na to wezyr: „Będziesz Pan ze mnie zadowolonym, lecz muszę czekać na sposobniejszą porę.“ W istocie prowadził rzecz z wielką oględnością a z wszystkiego, co robił, zdawał sprawę panu Poniatowskiemu. Pewnego razu powoławszy do siebie moskiewskiego posła, wyjawił mu arcy-szczerze swe myśli. Sułtan — mówił — bardzo chętnie przedłuży pokój z Moskwą, lecz prawa naszéj religii zalecają świadczyć gościnność każdemu bez różnicy, czy to Mahometaninowi, czy Chrześcianinowi, czy wyznawcy jakiéjkolwiek innéj religii, a wiecie, że król szwedzki schronił się do państw sułtańskich, nie możemy mu przeto odmawiać w nieszczęściu pomocy. Wiedzcie więc, że sułtan powziął zamiar odprowadzenia go bezpiecznie przez Polskę aż do jego szwedzkiego królestwa. Ambasador odparł, że zobowiązania cara względem króla Augusta, któremu przyrzekł czterdzieści tysięcy ludzi przeciw wszystkim jego nieprzyjaciołom, nie dopuszczają, aby Moskale dozwolili iść królowi szwedzkiemu przez Polskę.

— Jeśli tak — odparł wezyr — napisz Pan do cara, że skoro król szwedzki nie może być pewnym przejścia przez Polskę, stanę wkrótce na czele stu tysięcy ludzi, aby mu służyć za straż bezpieczeństwa, a jeśli mi ktokolwiek stawi opór, będę się z nim umiał rozprawić.

Pan Tołstoj powtórzył tylko, co wpierw oświadczył, że car oprze się téj wyprawie.

Interesa króla szwedzkiego stały jak najlepiéj, gdy wtém nagle niespodziewany wypadek zniweczył wszystkie zamysły a przynajmniéj zawiesił wykonanie ich na czas niejaki. Pewnego dnia zaprosił hr. Poniatowski na obiad do siebie kilku przyjaciół Polaków a między nimi wojewodę kijowskiego, który w tym czasie przybył do Stambułu. Siedzieli właśnie przy stole, gdy pewien derwisz turecki wszedł do pokoju. Zapytano go, czego żąda i czyby nie zechciał napić się wina.

— Przyjmę — odparł — cokolwiekbądź mi dacie. Następnie zbliżył się doń Poniatowski, sądząc, że ma mu coś do powiedzenia. Turek go zapytał: „Czemuś Pan tak wesoły?“ Poniatowski odpowiedział, że ma powód do wesołości, gdyż interesa jego dobrze idą a w. wezyr jest mu przyjacielem. Nie ciesz się wcale, mój

synu, rzecze Turek, gdyż za pięćdziesiąt dni będzie on złożony z urzędu.

Słowa te wprawiły w gniew hr. Poniatowskiego; zaczął łajać mniemanego proroka, lecz ten mówił spokojnie daléj:

— Jeśli mi pan nie wierzysz, napisz na ścianie a zobaczysz, czy się rzecz nie spełni, jak powiedziałem.

Zobaczymy téż niebawem skutek téj przepowiedni.

Tymczasem w. wezyr przykładał się poważnie do pracy a wszystkie jego zabiegi miały dobro państwa na względzie. Odznaczał on się wielką szlachetnością, nie chciał nikomu wyrządzić krzywdy, ani przyjmować darów, zabronił nawet pod wielkiemi karami odbierania podarunków wszystkim swym oficerom i służbie. Wydawał wiele, ale w zarządzie sułtańskim skarbem przeciwstawiał często sprawiedliwość samowoli swego pana. Ta ścisła surowość stała się jedną z przyczyn jego upadku.

Inny nadto wzgląd odwrócił od niego zupełnie serce sułtana. Był w Stambule pewien stary Aga Janczarów, przywódzca czterdziestu tysięcy ludzi, człowiek bez zdolności, lecz nadzwyczaj ambitny. W. wezyr zamyślając o wojnie przeciw Moskalom, chciał zamianować w jego miejsce innego, sposobniejszego ku temu człowieka, posłał więc do Egiptu po niejakiego Jussufa-Agę, rodem z Georgii, wielkiego podobno talentu żołnierza. Ponieważ listy u Turków nie bywają nigdy pieczętowane, stary Aga przeczytawszy pismo, szukał sposobów dla utrzymania się na zajmowaném stanowisku i zgubienia wezyra. Powiodło mu się. Jest zawsze w seraju dwustu Janczarów, jako straż sułtana; ztąd Aga Janczarów miał doń wstęp bardzo ułatwiony. Korzystając z tego, obwinił wezyra o różne występki, w których ani słowa nie było prawdy: że knuje przeciw sułtanowi spisek, że odbywa w meczetach osobne schadzki z muftymi, że podnieca gmin do buntu, i podobnie jak Kupruli, który strącił z tronu poprzedniego sułtana, nosi się ze zbrodniczemi planami. Sułtan uwierzywszy staremu Adze na słowo, przywołał natychmiast w. wezyra, zarzucił mu, że wydaje nierównie więcéj, niż jego poprzednik, i zażądał zwrotu pieczęci.

Wezyr w poczuciu swéj niewinności, odpowiedział z mocą i wielką odwagą, że poprzednik jego uciskał

lud, aby niesprawiedliwemi środkami uczynić zadość interesom swego pana, co się z jego charakterem wcale nie zgadza; pragnie on służyć mu wiernie, lecz przytem nie wyrządzać krzywdy nikomu. Następnie złożywszy w ręce sułtana pieczęcie, rzekł:

— Nie starałem się o wezyrat, dałeś mi go z własnéj chęci; bierz go, skoroś ze mnie nie zadowolony.

I wyszedł z gniewem. Sułtana zatrwożyły te słowa, Kupruli bowiem miał wielu przyjaciół w państwie a czczono go wszędzie. Sułtan lękał się śmierć mu zadać; wydał tylko rozkaz, aby go w tejże chwili wypędzono na wyspę Moreę. Gdy się wieść o niełasce Kuprulego po mieście rozbiegła, lud zaczął szemrać, lecz skoro nadeszła wiadomość, że się nie targnięto na jego życie, uspokoił się rozruch powoli.

Sułtan wedle zwyczaju zamianował w Konstantynopolu kajmakana, to jest gubernatora miasta, który w porze opróżnienia wezyratu zajmuje się wszystkiemi sprawami i pełni w zastępstwie obowiązki pierwszego ministra. Został nim pewien Georgijczyk, kupiony jako niewolnik na rynku za 30 florenów. Imię jego: Soliman-basza. Był to człowiek małych zdolności, chciwy do najwyższego stopnia; to też poseł moskiewski, Tołstoj, nie omieszkał go przekupić podarkami. Miał on jeszcze innego przyjaciela w ministerstwie, to jest Reis-Effendi'ego czyli pierwszego referendarza, któremu dał dwakroć sto tysięcy dukatów. Dwaj ci ludzie starali się wszelkiemi sposobami odwrócić wojnę przeciw Moskalom, na którą sułtan był zupełnie zdecydowany dzięki zabiegom hrabiego Poniatowskiego. Polecił on mu, aby spisywał wszystkie swoje z ministrami rozmowy i aby mu je przedkładał. Tak wiedział o wszystkiém, co Kajmakan i Reis-Effendi czynili dla podtrzymania interesów cara. Pewnego razu, gdy właśnie hr. Poniatowski szedł do kajmakana, spostrzegł go z okna sułtan a ponieważ nosił pałasz, wbrew zwyczajowi Turków, noszących jak wiadomo szablę tylko podczas wojny, wysłał przeto za nim oficera z pytaniem, czemu idzie z pałaszem u boku Poniatowski odparł, że jestto zwyczaj i oznaka godności u Chrześcian, i że między nimi tylko gmin chodzi bez szabli. Otrzymawszy tę odpowiedź, kazał mu powiedzieć, jako sądził, że to czyni z obawy; jeśliby bowiem miał

wrogów w Stambule, sułtan gotów popierać go w każdéj sposobności, nie potrzebuje się więc lękać nikogo. Oficer oświadczył to wszystko w obecności Kajmakana. Nareszcie ani usunięcie Kuprulego, ani przeszkody ze strony Kajmakana, nie wpłynęły wcale na zmianę interesów króla szwedzkiego; stały one jak najlepiéj.

Ambasador moskiewski widząc bezowocność swych intryg, zamyślał innym sposobem odwrócić burzę, grożącą jego panu: przysłał do Poniatowskiego zaufanego człowieka z ofiarą dwóch kroć stu tysięcy rubli i stopniem generała artyleryi w wojsku moskiewskiém, jeśliby chciał króla szwedzkiego opuścić. Hr. Poniatowski odpowiedział wysłańcowi Tołstoja, że gdyby nie miał dla niego pewnego szacunku, (był bowiem jego znajomym), wyrzuciłby go natychmiast oknem za propozycyą, którą tylko nieuczciwemu człowiekowi uczynić można.

Gdy okazał się daremnym i ten środek, Tołstoj nie mogąc pozyskać hr. Poniatowskiego, przedsięwziął go zgubić: odważył się na uwiedzenie jednego ze sług jego, przyrzekając mu tysiąc talarów wynagrodzenia i urząd w Rosyi, jeśli otruje swego pana. Gościł wówczas u Poniatowskiego świeżo do Stambułu przybyły wojewoda kijowski. Z wojewodą przybył p. Buchholz, podpułkownik gwardyi króla Stanisława; p. Poniatowski dał i jemu pokój z oknami, wychodzącemi na turecki cmentarz i tegoż samego służącego do usługi. Pewien Wołoch przyrządzał hr. Poniatowskiemu kawę. Buchholz rozmiłowany w czytaniu, spędzał po największéj części czas z książką w ręku, patrząc niekiedy oknem. Siedząc tak, ujrzał pewnego dnia, że ów służący ukrył się na cmentarzu po za cyprysami, zdobiącemi grobowce Turków, że daléj obejrzawszy się na wszystkie strony i widząc, że niema nikogo, zaświstał, a ktoś drugi mu odpowiedział, że mówili ze sobą a następnie się rozłączyli. Buchholz nie zaniechał donieść o całéj komedyi hrabiemu Poniatowskiemu, lecz ten nie zwrócił uwagi na ową drobnostkę, mówiąc, że ponieważ u Turków wszystko się dzieje potajemnie, być więc także może, iż ci ludzie mają ze sobą sprawę, w którą nie chcieliby wtajemniczyć innych. Ale gdy się taż sama scena powtarzała przez kilka dni z rzędu, p. Buchholtz przestrzegł p. Poniatowskiego, aby na tego sługę zwracał pilną baczność. Ostrzegany gardził ciągle upomnie-

niem, aż mu zarządca domu przyszedł powiedzieć, że ów sługa od kilku dni jest bardzo smutnym, niespokojnym i roztargnionym, że musi mu coś ciężyć i że, jak się wydaje, nie ma czystego sumienia. Hr. Poniatowski polecił zarządcy, aby go do siebie przywołał i wybadał. Po długiém śledztwie służący powiedział z płaczem, że zasłużył na śmierć. Zdziwiony temi słowy zarządca, badał daléj, obżałowany zaś powtarzał nieustannie, że na śmierć zasłużył i że pan każe mu uciąć głowę. Rządca zapewnił, że się nie potrzebuje obawiać niczego, wreszcie po długim oporze skłonił go do zupełnego wyznania winy, poczem pobiegł natychmiast do hr. Poniatowskiego, aby zdać sprawę ze śledztwa. Przyzwany ponownie służący, rzucił się do nóg pana i błagał o przebaczenie, mówiąc, że poseł moskiewski uwiódł go i kazał wydrzeć Poniatowskiemu życie, że dał mu już 700 talarów, że chirurg ambasadora z tego samego, co on kraju rodem, urządzał tę intrygę, że dał mu już buteleczkę z trucizną, którą miał otruć w kawie swego pana i wojewodę kijowskiego, że rzecz byłaby już skończona, ale się flaszeczka przypadkiem stłukła, że lekarz ambasadora, który przyprawiał truciznę, przygotował drugą, że cyrulik ma przyjść nazajutrz i własnoręcznie wlać truciznę do kawy. Wtedy Poniatowski nie podnosząc wcale wrzawy, przyrzekł winowajcy, że go nie ukarze, obiecał mu nawet nagrodę, jeśli zechce poprowadzić rzecz do końca, jak gdyby nikt nie wiedział o niczém.

Ponieważ u Turków nie ma sądu, ani wyroku bez świadków, przeto hr. Poniatowski zawezwawszy dwóch Ormian, dwóch Greków i dwóch Turków, ukrył ich w szafach kuchni, dokąd miał przyjść cyrulik i gdzie się miała odbyć komedya, aby mogli następnie złożyć świadectwo. Hr. Poniatowski miał zwyczaj pić kawę po wieczerzy. Cyrulik przyszedłszy do kuchni w oznaczonéj godzinie, w chwili gdy służący przyprawiał napój, wydobył butelkę z trucizną, nalał jéj do filiżanki, z któréj sam hrabia Poniatowski zwykł był pijać i zabierał się właśnie do nalania jéj w drugą, przeznaczoną dla wojewody kijowskiego, gdy świadkowie, widząc wszystko przez dziury, wywiercone umyślnie w szafach, wyszli w téjże chwili i pochwycili zbrodniarza. Ten rzucił natychmiast flaszeczkę na ziemię, zdmuchnął świecę i szukał nogą

butelki, aby ją zdeptać, co mu się jednak nie udało, dla tego służyła w sądzie za dowód. Gdy hałas doszedł do pokoju, gdzie wieczerzano, wojewoda kijowski zapytał, co to znaczy?

— To nic — odparł Poniatowski — tylko byłbyś Waszmość otrutym, ale odkryto zdradę. Nie rób WPan wrzawy i siedź spokojnie.

Świadkowie schwyciwszy chirurga, chcieli z nim odbyć śledztwo, lecz nie mogli wydobyć z niego ani słowa. Obydwóch winowajców oddano pod straż. Służący hr. Poniatowskiego prośbami i płaczem nakłonił tamtego do wyznania zbrodni przed tym, przeciw komu chciał jéj się dopuścić. Hrabia Poniatowski usłyszawszy, że ludzie ambasadora przysposobili się do zadania mu gwałtu we własnym domu, zarządził środki ostrożności a tymczasem wysłał do Dywanu ze skargą tłómacza, świadków i obżałowanych pod strażą. Świadkowie złożywszy akt oskarżenia, przedłożyli słoik z resztkami trucizny. Kajmakan, serdeczny przyjaciel Moskali, nie chciał nic ztąd wnosić, jakkolwiek winowajcy dobrowolnie wszystko zeznali — aż jeszcze bardziéj uderzający dowód usunął wszelkie wątpliwości. Jeden z członków Dywanu objawił życzenie, aby zadano téj trucizny psu, co uczyniono, zmięszawszy ją z mlekiem. Pies zaledwie wyszedłszy na ulicę, rozpękł się na dwoje. Wówczas sam kajmakan musiał dać wiarę oskarżeniu. Wydano wyrok, skazujący cyrulika na pięć lat na galery. Sługa hrabiego Poniatowskiego uzykał wolność, gdyż ten wstawił się za nim; obdarzywszy go, jako był przyrzekł, odprawił ze służby.

Ale Poniatowski uważając, że wyrok nie odpowiada wielkości zbrodni, udał się do Muftego, prezydenta trybunałów, mającego we wszystkich sprawach głos przeważny. Opowiedział mu rzecz całą, jak się zdarzyła. Mufti był wielce zdumiony, bo nie wiedział dotąd o niczém. Hr. Poniatowski domagał się, aby p. Tołstoja i wszystkich Moskali wypędzono ze Stambułu. Dobry starzec wysłuchawszy go spokojnie, przyznał, że nie otrzymał dostatecznego zadośćuczynienia.

— Ale mój synu — mówił — gdybyśmy wypędzili ambasadora, możebyśmy dostali innego, gorszego jeszcze. Powściągnij się więc, miéj cierpliwość, zosta-

niesz wkrótce pomszczony w inny sposób, tak że będziesz zadowolony.

Hr. Poniatowski uszanował zdanie Muftego i zaczekał na sposobną do zemsty chwilę, która też wkrótce nadeszła. Aby scharakteryzować Muftego jedném słowem, trzeba powiedzieć, że był to człowiek uznanéj zacności, czczony przez swój naród, nawet przez samego sułtana. Nie chciał on nigdy przyjmować od hr. Poniatowskiego darów, choć mu tenże ofiarował raz dziesięć tysięcy dukatów."

II.

(1708—1710).

Do dziejów Polski z pierwszych lat XVIII wieku, zwłaszcza po odliczeniu publikacyi zagranicznych, posiadamy tak szczupłą ilość drukowanych źródeł, że należy korzystać jak najskwapliwiéj z każdéj sposobności dopełnienia niedokładnych i luźnych materyałów. W archiwach i bibliotekach książąt Czartoryskich, Ossolińskich i innych, kryje się wprawdzie nieprzebrana mnogość różnorodnych dokumentów z téj epoki, któreby więc może co rychléj godziło się ogłaszać; są to jednak niemal wyłącznie materyały surowe, jak listy, dyskursa, pamflety polityczne, nadające się raczéj do opracowania w monografiach, niż do wydawania *in crudo*, podczas gdy tyle innych rzeczy oczekuje druku. Coby natomiast w nierównie wyższym stopniu stopniu zasługiwało na podanie do publicznego użytku, a czego jednak szukano nadaremnie od chwili, gdy Otwinowskiego wydał Raczyński a Zawiszę Bartoszewicz, (Matuszewicz bowiem sięga już lat późniejszych), to pamiętniki współczesne, to opowieść wypadków, których autor był czy to współuczestnikiem, czy tylko świadkiem, opowieść obejmująca takie zdarzenia, rysy i szczegóły, jakichbyśmy napróżno szukali w listach i dokumentach. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w krótkim przeciągu czasu udało mi się wynaleść dwa takie źródła do rzeczonego okresu: pierwsze, wydrukowane powyżéj, drugie, z którém niżéj zapoznać czytelników zamyślam. Jeśli tamto było ważném i cenném głównie ze względu na podawane o kolejach szwedzkiego bohatera i obrocie jego sprawy wiadomości, niniejsze bliższe dla nas i bez-

pośredniejsze, obchodzi nas o tyle bardziéj, że mniéj, szczególniéj w pierwszéj swéj części, losom Karola XII poświęcone, wgląda natomiast nierównie bystrzéj i głębiéj, niż to czyniono dotąd, w wewnętrzne sprawy zaburzonego kraju, daje nam dokładny pogląd na wzajemny do siebie stosunek znakomitych rodów, na ich sympatye i antypatye, na powody i sprężyny ówczesnych usposobień, na zmienną odpowiednio do zmieniających się okoliczności i interesów, grę grupujących się stronnictw — słowem na tę podziemną robotę wrzących w głębi żywiołów, któréj dotychczas widzieliśmy następstwa i rezultaty, nie widząc ich przyczyn, źródła i przebiegu — a ztąd wiele wypadków i czynów wydało nam się albo zagadką, albo też wypływem ślepego igrzyska przypadkowości.

W niniejszym pamiętniku wiele owych ukrytych przed naszymi oczyma widoków występuje na jaw; niejedno oblicze, chroniące się troskliwie po za gęstą zasłoną, niejedna postać, ukazająca się tylko ze spuszczoną przyłbicą, tu wychodzi z odkrytą twarzą. Z tych bezimiennych zapisków dopiero poznajemy dokładnie postępowanie w owéj porze znakomitszych dygnitarzy i panów, jak Wiśniowieckich, Potockich, Ogińskich, Sieniawskich, t. j. hetmana i żony, któréj energiczną i wielostronną działalność w sprawach publicznych tu widzimy, ich stosunek wzajemny do siebie, do Karola XII, Leszczyńskiego i Fryderyka Augusta. Jestto tło, niezbędne dla wyraźniejszego uwidomienia i wytłómaczenia znanych powszechnie zdarzeń zewnętrznych: głośnych czynów szwedzkiego monarchy i zmiennych kolei orężnéj walki.

Niezbyt dotąd obfitą mozaikę materyałów do historyi ówczesnéj, wzbogaca nasz autor sporym zasobem kamyków, tem cenniejszych, że nie pochodzą z trzeciéj, jak się często zdarza, ręki; pamiętnikarz bowiem zna wybornie rzeczy, o których mówi, bywa naocznym świadkiem opisywanych przez siebie scen i wypadków, ukazuje nam się w pięknym charakterze prawdomównego i bezstronnego opowiadacza; to też zapewnienie jego, jako bez „passyi pisze,“ nie jest czczym frazesem. W gwałtownym wirze politycznym, który jego współczesnych w przeciwne porwawszy kierunki, pozbawił równowagi i uprzedzeniami zaćmił jasność wzroku, nasz

autor zachował całą niezależność i swobodę umysłu bystrego, zdrowego a przedewszystkiem, powiedzmy to na jego chlubę, mimo pewnéj zbyt niekiedy posuniętéj pobłażliwości dla ujemnych stron wieku, ożywionego uczuciem szczeréj miłości ojczystego kraju. Stanowi on w téj mierze jaskrawe a dla badacza nader zajmujące przeciwstawienie do Stanisława Poniatowskiego. Jeśli ten, przylgnąwszy całą duszą do Karola, zdradza zawsze szczególną słabość do Szwedów — to tamten nie staje ani po jednéj, ani po drugiéj stronie, nie zapala się ani do Szwedów, ani do Sasów — boleje owszém nad zaślepieniem ziomków, i ponad chaos walk stronniczych wynosi zdrowy zmysł patryotycznego Polaka, który pragnąc jedynie dobra Rzeczypospolitéj, chciałby ją ujrzeć co rychléj uprzątniętą z wszelkich obcych żywiołów, z wszystkich włóczących się po niéj i walczących z sobą wzajem cudzoziemców, co pod maską obrońców i protektorów nieszczęśliwéj krainy, najsroższe jéj zadawali ciosy.

Już dla samego porównania punktów wyjścia obydwu pisarzy, godziło się zestawić ich obok siebie, tém więcéj, że objęta przez drugiego epoka wchodzi w ramy opowiadania pierwszego a nadto, że drugi, uzupełniając pierwszego (wzajem przezeń uzupełniany) tam gdzie się schodzą, prócz małoznacznych różnic w drobnostkach, zgadza się z nim niemal zupełnie tak, że wziąwszy ich razem, utwierdzamy się w przekonaniu o wiarogodności obydwóch. Dla przykładu przypominamy tylko opis ucieczki Karola po Pułtawskim pogromie, szczegół o uspokojeniu przez Poniatowskiego buntujących się przeciw Mazepie Kozaków i t. d.

Po dokładném odczytaniu bezimiennego pamiętnika i porównaniu go z tém, co dotąd o owych czasach było nam wiadomém, nabraliśmy silnego przekonania, że przechowany w całości, byłby bezwątpienia najważniejszym utworem literatury pamiętnikowéj w pierwszéj połowie XVIII wieku, przerastałby zaś o całą głowę Otwinowskiego i Zawiszę — a i w takiéj formie, w jakiéj do nas przeszedł, jest znakomitém, acz ułamkowém źródłem dla historyografii naszéj. Po powyższém wyznaniu winniśmy czytelnikom objaśnienie, czemu ze względu na tak wielką wagę zabytku, nie ogłaszamy go całego w oryginalném brzmieniu, zamiast podejmować trud

opracowania. W pytaniu tém kryje się zarzut, na pozór mocno uzasadniony. I my jesteśmy jak najsilniéj przeciwni owemu zbyt często niestety zdarzającemu się, a zwykle z niefortunném uzupełnianiem wedle innych źródeł połączonemu obrabianiu pamiętników, któreby należało wydać w pierwotnym, nienaruszonym kształcie. W obecnym wypadku przychodzi jednak odstąpić od téj reguły z przyczyn, zdolnych może rozbroić źle z góry względem pamiętnikowych opracowań uprzedzonych czytelników. Nie byłaby nas popchnęła na tę drogę sama fragmentaryczność pamiętnika — rozstrzygnął jednak wątpliwość w téj mierze smutny stan rękopisu. Nie jestto bynajmniéj oryginał, ale niedokładna i nędzna kopia. Przepisywacz, snać niezbyt piśmienny i inteligentny, częścią kopiował mylnie, częścią już to przez nieuwagę, już téż z powodu, że nie mógł odczytać oryginału, opuszczał wyrazy a może i zdania całe, daje się bowiem czuć brak związku nietylko tam, gdzie zostawiono wolne miejsce, lecz i w wielu innych ustępach. Wskutek tego zdarzają się często zdania tak bałamutne a wątpliwości tak znaczne, że wybrnąć z nich trudno.

Gdyby wzgląd powyższy nie był mi jeszcze wybił z głowy myśli, że praktyczniejszém byłoby ogłoszenie pamiętnika *in extenso*, byłby może przechylił szalę fakt bardzo wymowny, iż nie uczynił tego człowiek wielkiéj w kwestyi wydawnictw historycznych powagi. Od lat wielu miał ten manuskrypt w swych rękach śp. August Bielowski, znalazł go nawet sam niegdyś w klasztorze bazyliańskim w Krasnopuszczy, koło Pomorzan (obecnie znajduje się w Zakładzie nar. im. Ossolińskich, pod liczbą 2085), odczytywał go pilnie, o czém świadczą porobione przezeń tu i owdzie znaczki przy wzmiankach zwłaszcza o wojewodzie ruskim — a jednak nie pomyślał o podaniu go do druku, lubo nie zajmując się specyalnie XVIII wiekiem, nie patrzał obojętném okiem na źródła dziejowe téj pory, ogłosił ich kilka a w wyborze nie był nawet zbyt wymagającym i wybrednym, dobywając n. p. na światło dzienne zapiski Antoniego Barnaby Jabłonowskiego.

Sądzę, że nie będzie mi to poczytaném za złe, jeśli zabiegając stracie, jaką nasza literatura historyczna ponosi przez to, że nie może korzystać ze źródła, z po-

wodu, iż niewłaściwość ogłoszenia go w całości i dosłownie tak poważny badacz, jak Bielowski uznał — opracowałem je w ten sposób, aby się stało przydatném do czytania i użytkowania. Rozwięzując niektóre niejasności tam, gdzie byłem pewny, że nie błądzę, opuszczając ustępy wprost niezrozumiałe tak przecież, aby nie było znać przerwy — starałem się wszędzie o zachowanie barwy i właściwości oryginału, dla czego téż cytowałem od czasu do czasu wiernie słowa autora, szczególniéj charakterystyczniejsze i dosadniejsze, a dając od siebie tylko ramki i zewnętrzną szatę, nie pozwalałem sobie dodatków — jeśli zaś kiedy wypowiedziałem moje indywidualne zapatrywanie, uczyniłem to tak wyraźnie i namacalnie, że czytelnik nie mógł nie spostrzedz, iż to osobista uwaga wydawcy.

Po tém krótkiém zdaniu sprawy ze sposobu, w jaki skorzystałem z rzeczonego źródła, przystępuję do rzeczy saméj.

Rozpoczyna się nasz pamiętnik od środka zdania, wskutek czego niewiadomo, ile kart w nim braknie: „....lecz król dwór szwedzki przez wszystkie racye trudnił, dalszy cel polityce swojéj założywszy; nie było zatém téj zimy nic, jedno spoczynek.“ Bezpośrednio po tym następniku zdania, którego poprzednik niewiadomo gdzie się ulotnił, czytamy o krokach wojennych Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego. Wyszedłszy z Prus na czele małego oddziału, „urwał“ kilkudziesięciu Sasów pod Poznaniem i stanął pod Kaliszem, bronionym przez pułkownika Swiniarskiego. Siły oblegających były nader szczupłe, zapadła więc na radzie wojennéj uchwała, aby skierować napaść na bramy miejskie, w mniemaniu że nagłość szturmu i męztwo jednostek dokażą tego, coby się nie powiodło przy zwykłym trybie oblężenia. Zgłosili się na ochotników oficerowie, pragnący osobistą walecznością dobić się stopnia. Gdy przyszło do dzieła, najpiękniéj sprawił się Poniatowski, choć w pamiętnikach swoich nic o tém nie wspomina. Z właściwą sobie, nieustraszoną odwagą „obcesem skoczył i wpadł w bramę.“ Gdy jednak towarzysze nie poszli za jego przykładem, „bo wnet zamknięto kratę,“ żwawy napastnik ujrzał się nagle odciętym i osamotnionym wobec

spieszących do obrony miasta oblężeńców. Mając zamknięty odwrót a przed sobą cały tłum przeciwników, nie mógł myśleć o ocaleniu; snać jednak nie poddał się od razu, skoro ubito pod nim konia.

Wzięty do niewoli, nie stracił bynajmniéj animuszu; poczynając sobie ze zwykłą przytomnością umysłu, większą sprawie szwedzkiéj byłby wyświadczył przysługę, niż na polu bitwy, gdyby wszystkiego nie była zepsuła łatwowierność Potockiego. Nie zakłopotany swym losem, aczkolwiek jeniec, zyskał niebawem przewagę nad umysłem Swiniarskiego. Przezadziwszy mocno liczbę oblegających, wystawiał komendantowi miasta, że daremnie kusiłby się stawiać dłużéj opór przeważnym siłom nieprzyjacielskim. Uwierzywszy jego słowom przelękniony komendant oświadczył, że posłucha rady jeńca, w rzeczy zaś saméj postanowił „zażyć kunsztu,“ aby z téj imprezy wyjść cało. Niebawem przeto „wyjechał w pole na rozmowę z wojewodą kijowskim, gdzie go jako hetmana witał, obiecując jutro, skoro dzień, przyjść do niego i z ludem swoim.“ Zwiedziony przez Poniatowskiego, zwiódł teraz Swiniarski Potockiego, bo ten ufny w jego zapewnienie, wstrzymał się od nieprzyjaznych kroków i cofnął nawet o ćwierć mili, a tymczasem pan komendant Kalisza zwątpiwszy o możności obronienia powierzonego swéj pieczy miasta, pragnąc zaś przynajmniéj sam ujść niewoli i schwytanych dawniéj jeńców uprowadzić, wyszedł o zmroku inną bramą i stanął szczęśliwie w obozie hetmana w. kor., Mikołaja Sieniawskiego. Poniatowski o tym niespodziewanym obrocie rzeczy dowiedział się dopiero nazajutrz o godzinie dziesiątéj z rana, gdyż ostrożny Swiniarski „przy furcie Jezuickiéj, kędy siedział jeniec,“ postawił straż i nikogo tam aż do oznaczonéj godziny nie pozwolił wpuszczać.

Mimo tak zręcznie zawikłanéj sytuacyi, wpadł pan komendant sam w zastawione przez siebie sidła. Mściwy Sieniawski, przejąwszy list jego, pisany do Potockiego, tak to żywo uczuł, iż pułkownik dał w nim wojewodzie kijowskiemu tytuł hetmana, „że go kazał nietylko wziąć w areszt, ale nawet w kajdany okować.“

Opisawszy szczegółowo ciekawe i dramatyczne zajście, napomyka pamiętnikarz tylko ogólnie o dalszych kolejach nieszczęśliwego. Zesłany do Kamieńca, siedział w turmie; udało mu się wprawdzie ujść z kaźni,

lecz dogoniony i wtrącony do więzienia ponownie, wyszedł z niego „nierychło, dawszy na siebie asekuracyą, że miał cicho w domu siedzieć i nie mięszać się do strony szwedzkiéj.“ Z powyższego zdarzenia wyciąga autor szczególnego rodzaju morał. „Dosyć na tém — powiada — że jawnie Bóg pokazał, jako karać zwykł tych a przynajmniéj nie błogosławić, którzy się od Jezuitów wydzierają.“ Biorąc pochop z téj wzmianki o Jezuitach, którą niewiadomo jak powiązać z poprzedniém opowiadaniem, choćbyśmy nawet uwzględnili areszt Poniatowskiego za jezuicką fortą — wyraża autor zdanie swoje o zakonie: „Ja sam napatrzyłem się i nasłuchałem takowych przykładów, bo to zakon jest prawdziwych sług Bożych i nikt od nich (mówiąc naturalnie po większéj części) nie może się naprzeć, tylko albo dla ambicyi honorów, albo amorów, albo niesforności.“ Można się ztąd domyślić, że pan pułkownik nosił wpierw jezuicką suknią, zanim skosztował żołnierskiego rzemiosła i że za to porzucenie służby Bożéj dla służby światowéj, zasadzającéj się na rozlewie krwi bliźnich, tak srodze ukarała go Opatrzność.

Podstępnie zwiedziony pod Kaliszem, zwrócił się Potocki ku Wieluniowi i złączywszy się z Grudzińskim, który w Sieradzkiém „kilkanaście uchwycił chorągwi,“ podszedł pod samo miasto. Zamknął się tutaj z trzema lekkiemi pułkami Garbowiecki, „ale jako tylko poczęła dragonia i pachołcy wojewody kijowskiego drabiny do murów przystawiać, prosił o kapitulacyą i uczyniwszy ją z pomienionym wojewodą, wyszedł z miasta, przywitał jako hetmana i przysiągł posłuszeństwo.“ Ale i on nie czuł się wcale związanym przysięgą i sprzeniewierzył się dobrodusznemu Potockiemu, a jeśli go za to tymczasowo minęła należna kara, jakiéj zaznał Swiniarski, to chyba dla tego, że przynajmniéj nie uciekał, jak tamten, ze stowarzyszenia Jezusowego. Garbowiecki uszedł tak ostrożnie „niemal ze wszystką swoją dywizyą, że był więcéj o mil dziesięć, nim się o tém dowiedział wojewoda.“

Sieniawski widząc coraz śmielsze kroki „antagonisty,“ wyprawił przeciw niemu „z potężną dywizyą“ Rybińskiego. Nie śmiąc się mierzyć z silniejszym nieprzyjacielem, Potocki umknął aż za Wisłę. Wówczas Rybiński czując się bezpiecznym w „całych zawiślnych

krajach," zajął je i korzystał ze swego wygodnego położenia w pospolity wówczas sposób: „rekrutował się jak mógł, brał kontrybucye i podymne, zkąd swojéj szkatuły nie uszkodził, regimenty wystawił i hetmanowi swemu niejednę kiesę talarów posłał."

Bolało to srodze wojewodę kijowskiego; „nie mogąc tedy wytrzymać," zaproponował Sieniawskiemu zgodę. W liczbie pełnomocników, mających się zająć układami, wysłał i podkomorzego koronnego, Lubomirskiego. Pan ten był „świeżo dysgustowany, bo gdy chciał na początku roku tego z ludźmi swymi do Sieniawskiego przebierać się, zaskoczył go z tyłu pod Toruniem Szmigielski i przymusił, że się do wojewody powrócił." Zatarła się wprawdzie sprawa i stanęła zgoda między naczelnikiem a przeniewierczym podwładnym, „trwała z tém wszystkiém awersya." To téż podkomorzy rad nastręczającéj się sposobności spełnienia niedopiętego wprzód planu, „pod tą pokrywką zgody" udał się do Sieniawskiego i odstąpił potém oczywiście partyą szwedzką. Dopuściwszy się zdrady, o tyle przynajmniéj odpowiedział zaufaniu wodza, że „wymógł" na kilka tygodni zawieszenie broni. Kwarciani stali „po Wisłę z tamtéj strony, z téj zaś po Narew wojewoda kijowski." Nie ufał umowie Potocki, jakkolwiek zawarł ją „za powagą" posła francuzkiego, Bonaca, nadto zaś jakby nie dość było na zgodzie mężów, zjechały się ze sobą żony: wojewodzina kijowska z domu Leszczyńska i Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska.

Wszystkie pomienione rękojmie nie wydały się Potockiemu wystarczającemi; posłał więc do króla Stanisława na Litwę z prośbą o posiłki. Leszczyński wyprawił mu na pomoc trzydzieści co najlepszych chorągwi z wojska litewskiego i dwa pułki pod komendą księcia Janusza Wiśniowieckiego. Uczynił to król z dwóch powodów: po pierwsze. „aby miał swoję podufałą dywizyą," powtóre, aby ukontentował książąt (Janusza i Michała), którym było niesmaczno, że dwór szwedzki Sapiehów utrzymuje."

Ale ta pomoc nie na wiele się zdała, wojsko bowiem było zimowym trudem znużone a i Wiśniowieccy nie bardzo się kwapili do boju; łaknąc bowiem wyższych godności, mianowicie hetmaństwa, którego zajrzeli Sa-

piehom, „zapatrywali się, co się stanie z buławą litewską.“ Ztąd też uznawszy zawieszenie broni, donieśli ze swéj strony Sieniawskiemu, „iż chcą z nim żyć w dobréj przyjaźni.“ Wskutek tego oświadczenia hetman, aczkolwiek sądząc, że nie w pokojowych zamiarach nadciąga litewskie wojsko, już „ordynował“ ze znacznym oddziałem pod nadbużański Janów Chomętowskiego, wojewodę mazowieckiego, zmienił nagle rozkaz i odwołał umyślnie wojewodę, „aby książąt ludziom miejsce na Podlasiu uczynił.“

Gdy tak książęta traktują z nieprzyjacielem nie bez szkody dla swego stronnictwa, o własne tylko dbając wyniesienie, „nie spał i Pociéj.“ W Janowie stanął układ pomiędzy nim a Wiśniowieckimi, że jeśli hetmanem zostanie Sapieha, „on nie przystąpi, jeśliby zaś książę Michał, deklarował się serdecznie.“ Nawzajem książęta „insynuowali, aby w nieszczęściu oddania buławy, onym drogę słał do dawnych kolligatów,“ tj. do partyi saskiéj.

Był to kompromis, godny i owych ludzi i czasu, w którym wszystko stało na prywacie, a wybitne osoby zmieniały stronnictwa, jak kapelusze, odwracając się w razie zawiedzenia ambitnych nadziei od swego króla, jak dzieci od starszych, gdy im upragnionego cacka odmówią. Mimo to nasz pamiętnikarz, nieodrodny syn swéj epoki, nie poczytuje Janowskiego układu wcale za rzecz zdrożną, tłómaczy nawet Pocieja, mówiąc: „Przyznać należy, że oddaniem kluczów księciu Czartoryskiemu, wcale odepchnął od siebie król Stanisław Pocieja.“ Utrzymują wprawdzie inni, „że mu te klucze oddano a przynajmniéj pozwolono od Sapiehów kupić; przecież Pociéj (dodaje autor) w tych konjekturach byłby daleko mieć większy powinien akces, ile że to, co tamten dał, oddawał.“

Prosto z Janowa, „ścieląc drogę książętom,“ pobiegł urażony Litwin co żywo do hetmanów koronnych. Ci bawili właśnie wówczas w Leżajsku, „gdzie ministrowie moskiewscy umyślnie do nich przybieżeli ze znacznemi podarunkami, upewniając onych o affekcie i statku pryncypała swego.“ Nawet z posłami Piotra W. nie wahał się porozumiewać zaciekły w swéj zemście, „lubo w tém nie użyty Pociéj.“ Zawarłszy traktat, „na który się pomienieni podpisali ministrowie,“

tak dalece przytém posunął się w przewrotności swojéj, że „z drugiéj strony książęcia upewnił i króla Stanisława o swojém przystąpieniu, jeżeli przy buławie zostanie książę.“ „Jakoż nieomylnie przyszedł Pociéj“ (t. j. przystąpił do szwedzkiéj strony), zapewnia pamiętnik, dodając, co rzecz szczególna, że „dwór Stanisławowski nie bronił z nim książętom korespondencyi.“

Przekazanie buławy domowi Sapieżyńskiemu było ze strony Leszczyńskiego niepolitycznym krokiem. Na wieść o tym wypadku wszystko się w Litwie „mięszać zaczęło;“ samemu królowi Stanisławowi przyszło wracać do Karola XII z obawy przed „mięszaniną,“ co jednak wcale nie ukoiło „zaciętych affektów,“ fakt bowiem oddania buławy Sapieże służył Sieniawskiemu za ostrzeżenie, że mu „nie mógł dufać,“ a oburzały téż niepomiernie całą Polską niektóre przez Szwedów nałożone warunki, najwięcéj zaś ten, aby król nie składał sejmu przed powrotem Karola. Niebawem więc porzucił król Litwę, zabawiwszy krótko w Grodnie, „gdzie chciał litewskich hetmanów do kupy sprowadzić;“ ale nie doczekał się tutaj nawet Michała Wiśniowieckiego, lubo ten stanął w mieście zaledwie w godzinę po królewskim odjeździe. A na domiar nieszczęścia ciż sami Sapiehowie, dopiero co za cenę powszechnego w kraju niezadowolenia przez króla tak wyszczególnieni, odpłacili mu się czarną niewdzięcznością. Starosta bobrujski tak się nawet uniósł pychą, że w Grodnie nie chciał wyjść z gospody na powitanie Stanisława, „pretendując przy buławie generalstwa wielkopolskiego, które mu był król podpisał kadukiem.“

Nie mniéj chłodném było spotkanie z Potockim, niezadowolonym również z rozporządzenia buławą. „Widział się (król) z wojewodą kijowskim, ale bardzo przez zęby, bo też cale Wiśniowieckiemu sprzyjał i dla własnego interesu, bo Sapieha z Lubomirskiéj zrodzony, kto mógł mu wierzyć, aby nie był Sieniawskiemu przychylniejszy?“ Na niniejszym wypadku sprawdza się po raz setny znane zdanie, że niepodobna poznać historyi Polski, nie znając stosunków prywatnych i węzłów pokrewieństwa znakomitszych rodzin, gdyż te wpływały potężnie na obrot spraw publicznych. Sympatya Sapiehy do Sieniawskiego tłómaczy się tém, że obydwaj mieli za żony panny Lubomirskie.

Nasz autor szczególną przychylnością otacza Wiśniowieckich i przypisuje im jak najlepsze intencye: „że nie doczekał król księcia Michała (mówi) wielka szkoda, bo ten pan niczego więcéj nie pragnął, jedno szczeréj ze Sapiehami zgody i jedności i cale nie chciał pomsty, byle mu dał pokój dom pomieniony.“

Spotkawszy się z przykrą oziębłością na Litwie, pospieszył Leszczyński do Malborga. Tymczasem Szwedzi w Prusiech i Wielkopolsce „dziwnie ciężkie na wystawienie nowych regimentów brali kontrybucye,“ a Śmigielski traktował z Rybińskim. Ostatni przeciągał układy jedynie dla zyskania czasu, co widząc dzielny partyzant Stanisławowski, przeszedł nagle przez Wisłę i zaskoczył go około Skrzynna; „żeby był darmo o dwie mile przez pół dnia nie stał, mógłby go był znieść nieomylnie, a tak tylko odwodu mu kawałek urwał i za Wisłę go pod Sędomierzem przepędził.“

Podczas tych przejść król Stanisław w Malborgu „wesołych myśli zażywał, nim się wyrekrutowali Szwedzi.“ I nie dziw, że tak dobrze tuszył o sobie, bo widnokrąg polityczny dziwnie się rozpogadzał nad jego głową. Dwór francuzki winszował mu w téj porze tronu przez Bonac'a, a najpotężniejszy z jego krajowych adwersarzy, chwiejny Mikołaj Sieniawski, może pod wpływem małżonki, więcéj niż kiedykolwiek skłaniał się do przejścia pod jego chorągiew. Chodził około téj sprawy najwięcéj poseł francuzki. Trochę mniéj uporu ze strony Karola XII, a tylekroć nie zdecydowany wojewoda bełzki byłby przeszedł Rubikon, nad którego brzegiem tak często stawał w zamyśleniu. Już nawet w znak szczerości swych zamysłów wysłał „Kaznoffa, pułkownika swego i innych,“ oświadczając, że gotów natychmiast przejść do Stanisławowskiego obozu, jeśli tylko będzie mógł zatrzymać buławę, gdy udaremniła układ wyraźna wola króla szwedzkiego, „aby Sieniawskiego z buławą nie przyjmować żadną miarą.“ Nie innego zapewne zdania wbrew oczywistemu swemu interesowi był Leszczyński, ze względu na obdarzonego przez siebie hetmaństwem krewniaka, Józefa Potockiego.

Po za tym nieudanym kompromisem „nic w Polsce tego lata nie działo się sławnego.“ Zaszedł tylko jeden ważniejszy wypadek na korzyść Stanisława. Znanego nam Garbowieckiego, choć późno, dosięgła zasłużona za

krzywoprzysięstwa kara. Nie mogąc się „przebrać po Zawiślu, około samego Malborka obtarł się i nabrawszy wiele niewolnika, nieostrożnie powracał, gdzie około Rożana nagonił go Grudziński i cale go zniósł, aż sam się ledwo salwował.“

Karol XII szedł Litwą i Białą Rusią a około połowy lipca odniósł znaczne zwycięstwo nad Moskwą pod Hołowczynem, o którém posiadamy szczegółową relacyą nie w samym pamiętniku, lecz w poprzedzającym go liście znanego partyzanta szwedzkiego, pułkownika Urbanowicza, pisanym do hetmana w. litewskiego, Sapiehy, 15 lipca r. 1708 w pobliżu pola bitwy, o cztery mile od Dniepru. Wedle opowieści pułkownika stanął król szwedzki 10 tegoż miesiąca z trzema tylko pułkami pod Hołowczynem, nad rzeką Wabiecz. Po drugiéj stronie stała cała dragonia carska w liczbie dwudziestu, piechoty zaś ośm pułków, z księciem Menżykowem na czele. W okopach pod samém miastem obozowało dziesięć pułków dragońskich pod wodzą generałów Rehna i Rencela, oraz ośm pułków pieszych pod rozkazami księcia Repnina, drugie dziesięć regimentów dragonów pod komendą feldmarszałka Goltza, oraz trzy tysiące Kałmuków i Kozaków o ósmą część mili od miasta za tąż rzeką „w wielkich korespondencyach z działami.“ Z resztą wojsk moskiewskich stał Szeremetiew pod Szkłowem.

Karol w dniu tym nic nie przedsięwziął; zatrzymawszy się tylko nad rzeką tuż pod miastem, przesłał rozkaz oddziałom, postępującym o kilkanaście mil w tyle, aby się spieszyły. Równie spokojnie przeczekał dzień następny. Dwunastego zjawiła się wreszcie artylerya, pułk Sygrota, gwardya królewska, generał Kreutz i przyboczny pułk Reinschölda. Tegoż samego dnia około jednastéj z rana półtoratysięczny tłum Kałmuków i Kozaków podkradł się lasami pod sam obóz szwedzki. Uciekli jednak wkrótce, zabiwszy kilku z towarzystwa a między nimi brata naszego korespondenta, Kazimierza Urbanowicza. Padł on śmiercią walecznych, przeszyty na wylot dwiema kulami i trzynaście razy dzidą pchnięty. Ludzki dla swych wiernych podwładnych król, współczuciem i szczodrobliwością otarł łzy z oblicza opłakującego tę stratę pułkownika, o czém sam z uznaniem wspomina. „Odebrałem (pisze do hetmana) wielką kon-

dolencyą u Króla Jmci, bo i ciało nawiedzał, obaczywszy wszystkie rany — chorągiew téż brata mego oddał na imię moje z propozycyą, że lubo odjeżdżam ztąd do WM. Pana Dobrodzieja, cztery tysiące tynfów gaży ma mię dochodzić od Króla Jmci corok.“

Trzynasty lipiec przeszedł znów bezczynnie, czternastego natomiast porówno z rannym brzaskiem rozpoczął Karol działanie. Wysławszy jeszcze o północy artyleryą z dwunastu działami przeciw obozowi nieprzyjacielskiemu, stojącemu o ćwierć mili pod Repninem i Goltzem, sam o godzinie trzeciéj na czele gwardyi przeszedł w bród przez rzekę, sięgającą jeźdźcom „po pachy,“ i przebrnął przez błoto, które na przestrzeni sześciuset kroków sięgało po kolana, podczas gdy „armaty z sobą korespondowały nieźle.“ Przestraszona gwałtownością natarcia piechota moskiewska, nie myślała stawić czoła w okopach, lecz uchodziła z pospiechem ku poblizkiemu lasowi.

Dopiero gdy rozgrzany walką Karol zapędził się za nią w las, stanęła w szyku bojowym. Bohaterski król jak zwykle był wszędzie, gdzie najgoręcéj wrzał bój i na „wszystkie ognie“ wystawiał się z zuchwałą odwagą. Z podziwem mówi o tém Urbanowicz: „Nie wierzyłem temu przedtém, alem teraz widział na oko moje.“ Podczas bitwy był niemal zupełnie odosobnionym; otaczali go tylko prócz Urbanowicza książę Wyrtembergski, niedawno „postrzelony w pół,“ teraz znowu tak dzielnie się sprawujący, że zabił szpadą kilku nieprzyjaciół a konia pod nim przestrzelono na wylot — daléj pułkownik Stanisław Poniatowski, dwóch generał-adjutantów i pułkownik-ochotnik, a więc razem zaledwie sześciu. Walka była tak żwawa, że aż w zdumienie wprawia naszego korespondenta, choć mu rzemiosło wojenne nie obce; „co tam był za grzmot i łoskot (powiada), wypisać nie można.“ Ogień trwał bez ustanku przez półtory godziny, „bo piechota nasza (słowa pułkownika) obces szła do lasu do Moskwy, a ci strzelali w lesie.“ Nie dotrzymawszy placu i tutaj, uciekali daléj; trudno jednak było puszczać się za nimi w pogoń, bo las ciągnął się na półtory mili a siły szwedzkie były już bardzo strudzone.

Z Kałmukami i dragonami potykał się feldmarszałek Reinschöld. Ten nie mogąc pospieszyć za kró-

lem dość prędko ze swą konnicą, zostawił ją w tyle a tylko z dwiema chorągwiami dragonów i z drabantami uderzył na dziesięć tysięcy dragonii i na trzy tysiące Kałmuków i Kozaków z obawy, aby ci nie zaskoczyli szwedzkiéj piechoty od tyłu. Poszedłszy do ataku na szpady, bo Karol strzelać zakazał, wytrzymał parcie tak przeważnych sił; tymczasem przeszli wpław przez rzekę generał Kreutz, pułkownicy Dalldorf i Rosenstierna i odparli zwycięzko moskiewską piechotę, a odciąwszy ją od jazdy generała Goltza, pędzili przed sobą w popłochu przez półtoréj mili, ścieląc trupem nieprzycielskim pole, choć sami nie wyszli z téj potrzeby bez znacznego szwanku dla tego, że spełniając wiernie rozkaz królewski, szli tylko ze szpadą w ręku, wróg zaś raził ich strzałami. Źle spisali się tylko generałowie Rehn i Rencel, bo „z generałem Mężykiem (Menżykowem) nie potkawszy się, ani dawszy sukursu piechocie swéj, uciekli do Mohylewa.“

Nieprzyjaciel utracił dwóch generałów od piechoty, „żołnierzy prostych trudno rachować;“ po szwedzkiéj stronie zginęli generał-adjutant Klazgierszt, generał drabantów, Wrangel i trzydziestu pięciu jego podwładnych, „postrzelanych“ z rannymi mniéj więcéj dwudziestu. Padło téż nie mało oficerów, których nazwisk autor listu nie wymienia, dodając: „o czem się powoli dowiemy, jak się który zowie.“ W dniu pisania niniejszego listu odbył się pogrzeb poległych, których naliczono z górą stu, „postrzelanych“ i rannych zaś około czterystu.

Tryumf to był dla Karola tém większy, że w lesie odebrał Moskwie wszystkie armaty w liczbie kilkunastu wraz z amunicyą, sprawiwszy wielką rzeź między piechotą, bo do niewoli nie brano wcale. Zawstydził nieubłaganego zwycięzcę mniéj okrutny pułkownik, gdyż „miłosierdzia zażywszy,“ w obliczu królewskiém wziął generał-majora Czambersa jeńcem i odstawił go Karolowi żywcem. O półtoréj mili dognawszy feldmarszałka Goltza, wrócił król na miejsce, „gdzie stała Moskwa,“ „i tam dziś (kończy Urbanowicz) stoimy, jutro zaś ruszamy się ku Mohylewowi z podjazdem naszéj Wołoszy; to mamy, że Moskwa uciekła wszystka za Dniepr i z tamtéj strony mają bronić przeprawy.“

Nieulękły w boju, zdradza jednak w końcu pan pułkownik niejaką obawę, może wskutek świeżego przykładu zuchwałego awanturowania się Karola w bitwie, bo donosi, że tylko do Dniepru będzie „sługą królewskim," następnie zaś podąży co rychléj do hetmana, nie chcąc narażać się dłużéj, „bo niepodobna, (kończy) żeby tu kiedy nie zabili..."

Pomienione zwycięztwo Szwedów. jak zapewnia nasz pamiętnikarz, wielką dumą i jak najlepszą otuchą napełniło Leszczyńskiego; „zaczął się on daléj wbijać w górę a Sapieha około Brześcia skupiwszy wojsko, zaczynał ciche z Sieniawskim praktyki." Najwięcéj na to sarkał Ogiński. Pan ten „przebrawszy się od cara Białorusią, czynił co mógł na oderwanie Litwy." Ale mógł w istocie bardzo niewiele, bo dostał wprawdzie od Sieniawskiego znaczną część koronnego wojska, lecz żołnierze mieli od hetmana tajną instrukcyą, aby się nie bili. Sapieha zaś dla okazania, „iż nie próżnuje," wyruszył osobiście na podjazd przeciw dwom tysiącom Kozaków, spieszącym z pomocą Ogińskiemu. Ostrożni jednak Kozacy, posłyszawszy dość wcześnie o nadciągającym nieprzyjacielu, „między wielkiemi błotami około Sokola położyli się," i wysłali do Sieniawskiego z prośbą o pomoc. Wtenczas dopiero hetman, „aby omamił Moskwę," podążył sam na czele wojska, lecz stanąwszy o dwie mile od przeciwnika, postępował już odtąd bardzo powolnie, choć wprzód pięć do sześciu mil dziennie przebywał. Sapieha i listownie przezeń przestrzeżony i tak „leniwym marszem" aż nazbyt zabezpieczony, zamiast natrzeć na Kozaków, cofnął się do Brześcia, co go uchroniło od pewnéj zguby.

Dotąd sprzyjała fortuna Szwedom. Widząc niepodobieństwo przedarcia się do Smoleńska, postanowili zwrócić się ku Mohylewu. Ale tutaj spotkał ich „pierwszy wstęp odmiany fortuny," Kałmucy bowiem znieśli całą ich „przednią straż lekkich ludzi i samego Kanifera wzięli." Kozacy téż lubo nigdzie nie pobili Szwedów, szczególnym swoim sposobem prowadzenia wojny, którego w wiek późniéj tak skutecznie użyli przeciw większemu geniuszowi militarnemu, nie małe im zadawali klęski. Roznosząc pożogę dokoła, gdziekolwidk przechodzili, kilkakroć czasem dziennie napadali na nieprzyjaciół a choć im nigdy nie mogli dotrzymać kroku,

szkodzili jednak o tyle, że „przypuściwszy blisko do siebie szwadrony szwedzkie, dawali ognia burząco a potém na swoich bachmatach całym się pędem z wielką rezolucyą ustępowali.“ W każdém takiém spotkaniu kilku lub kilkunastu Szwedów spadało z koni, oni zaś uchodzili cało, bo nie sposób było dognać ich rączych biegunów.

Najdzielniéj atoli począł sobie Michał Galicyn, „bo kiedy Horn młodszy we dwóch regimentach pieszych około Mohylewa między błotami ubezpieczony stał nieostrożnie, on ze swoją brygadą niespodzianie napadłszy, zderzył się z nim i zniósł piechotę pieszy (*sic*), zkąd począł serce swoim rodakom zaprawować.“ A był to dopiero pierwszy przykład, że Moskwa odniosła znaczniejszą korzyść nad nieprzyjacielem. Klęska ta mniéj przecież dała się Szwedom we znaki, jak głód w okolicach spustoszonych ogniem. Moskwa tak ściśle spełniała otrzymywane z góry rozkazy, że prawie całe województwo mścisławskie legło w popiołach. A jak dalece niedostatek trapił Karolowe wojsko, świadczy następujący wypadek, zaczerpnięty przez autora „z ust godnego tamtego kraju podkomorzego.“ Otóż gdy pan podkomorzy w szwedzkim obozie wyjmował z wozu dla posilenia się „suchary i wędzonki,“ wówczas „Szwedzi przypadali, garścią sypiąc czerwone złote i prosząc, aby sobie co chciał, to brał i co chciał, to dał chleba i gorzałki.“ Nie myślał szlachcic polski korzystać z tego okropnego położenia biedaków, darmo wiec rozszafowywał swoje zapasy a „nawet, kiedy któremu z oficerów worek mąki darował, z wielką przyjmowali obligacyą.“ Sam król zaproponował podkomorzemu dostawienie prowiantu za dwadzieścia tysięcy rubli, obiecując dziesięć talarów za wór mąki, co na owe czasy było ceną bajecznie wysoką.

Gdy car widząc skuteczność środka, pustoszył również i swoje prowincye, przekonał się Karol, że zgłodzone wojsko nie dojdzie do Smoleńska, i dla tego zwrócił się na Ukrainę w nadziei, że znajdzie tam „i pożywienie i interesów swoich awantaż,“ wiedział bowiem, że życzliwy Polakom Mazepa, „starał się o to usilnie, jakoby mógł ojczyźnie swojéj usłużyć.“ To, co pamiętnikarz mówi o sławnym hetmanie Kozaków, zasługuje na szczególną uwagę; ztąd téż poświęcony mu

ustęp powtarzamy dosłownie: „Mówiąc prawdę, ten zacny starzec częścią prywatną ambicyą wiedziony, aby się był z domami najpierwszemi skoligował, chcąc matkę książąt Wiśniowieckich poślubić, częścią nie mogąc znieść moskiewskiéj opresyi, częścią dla usługi i przyłączenia kraju Rzpltéj, odezwał się Stanisławowi królowi, że chce mu być życzliwym, byle tylko na ziemi polskiéj on nie bawił z Polakami, a zbliżał się ku Kijowu, z czém nietylko wyprawił swoich, lecz i Jezuitę pewnego, przy którym doskonale rzeczy postanowił.“ Surowo karci autor Stanisławowską partyą za lekkomyślne odrzucenie wybornéj propozycyi; „ale my woleliśmy, mówi, w Malborku dobréj myśli zażywać, aniżeli pójść, gdzie nas wokowała potrzeba publiczna, bo gdyby był dwór Stanisławowski zjednoczył hetmanów litewskich przy tych wojskach, które miał starosta bobrujski i wojewoda kijowski, śmieleby się mogło pojrzeć w oczy Sieniawskiemu.“ Autor pamiętnika składa całe niepowodzenie na grzeszny brak wiary we własne siły, w przeciwstawianiu do przeceniania szwedzkiego męztwa; „ale to nasze nieszczęście, mówi, że Polaków za nic, Szwedów za bogów miano.“

Za Karolem pospieszył na Ukrainę i Piotr W. Ten posłyszawszy, że nadciąga na czele piętnastu tysięcy ludzi generał Lewenhaupt, zwrócił się ku niemu z całą swą potęgą i zaszedł mu drogę nad rzeką Soszą. Zdziwił się wielce nie spodziewający się napaści Lewenhaupt, gdy po przejściu przez rzekę, ujrzał „z lasu wychodzącego naprzód jednego konnego, potem dwóch, a potem całe pułki.“ Zatrzymawszy się przeto nad „rzeczką, która w tę rzekę wpada,“ stał w porządku bojowym. W pierwszym dniu grały tylko z obu stron działa, bez korzyści dla Szwedów. Gorzéj natomiast wiodło im się nazajutrz, albowiem „tę rzeczkę wyżéj przebywszy, Moskwa wszystka pieszo uderzyła na nich i tak ogniem dokuczała, że nic ręczną bronią nie robili a gleidrami (szeregami) żołnierze padali, iż Lewenhaupt widziawszy swoję małą garść, działa pozakopywawszy, sam wozy porzuciwszy, z kawaleryą uszedł.“ Co się tyczy liczby wojsk po jednéj i drugiej stronie, różnią się zdania; Moskale utrzymywali, że siły były równe, Szwedzi zaś nieprzyjaciela mienili w dwójnasób mocniejszym. Sam autor przechyla się do drugiego mniema-

nia: „gdzie sam car był, mówi, nie kładę, aby z małą kwotą, ile na początku szczęścia swojego.“

Autor pamiętnika zauważywszy, że gdyby Karol z Mohilewa był okazał, „że nie jest daleki od traktatu,“ byłby otrzymał korzystny i chlubny pokój, wyciąga ztąd trafny morał: „piękna panom nauka, w moc swoję dufającym, i którzy nie mają za cel szczęścia poddanych swoich.“

Od chwili odniesionego nad Lewenhauptem zwycięztwa „Moskal począł brać na kieł, Sieniawski z adherentami swymi na harde.“ Zmiękł teraz Karol i zgadzał się już na oddanie ostatniemu buławy, ale za późno. Król Stanisław „ze swymi Szwedami“ ruszył na Podlasie, Józef Potocki „tamtą stroną Wisły poszedł ku Łęczynie do swoich.“ a żwawy partyzant Śmigielski „począł umykać w zad“ przed przeważnemi siłami połączonych przeciwników, bo Pociéj połączył się był z Rybińskim i Sosnowskim, miała zaś nadto przejść do niego „dywizya“ książąt Wiśniowieckich, jak zapewniał jéj regimentarz, imieniem Eperyasz.

Wojewoda kijowski pałał gorącą żądzą starcia się z Rybińskim, i tylko na usilne prośby ks. Janusza i Śmigielskiego pozwolił swemu wojsku odpocząć nieco w okolicy Łowicza. Wówczas właśnie przybył Poniatowski w poselstwie od Leszczyńskiego „z propozycyą odstąpienia buławy.“ Sieniawski wysłał w tym celu z pełnomocnictwem Potockiego, krajczego koronnego, Józef zaś Potocki wyprawiwszy od siebie Janusza Wiśniowieckiego, wbrew gorącym odradzaniom tegoż księcia, aby „dać pokój krwi szlacheckiéj rozlaniu,“ wyszedł na spotkanie Rybińskiego i Pocieja. Zeszedłszy się z nimi w dniu dwudziestego pierwszego listopada pod Koniecpolem, zastał ich gotowych do boju i tak natarczywie „obcesem uderzył na skrzydła,“ że szeregi nieprzyjacielskie pierzchły w popłochu. Zostały tylko na miejscu piechota i dwa szwadrony kawaleryi. Wojewoda kijowski pewny już zwycięztwa, puściwszy się z całą swą siłą w pogoń, szczupłą tylko garstkę zostawił przy działach. Nieoględność ta zgubiła go, bo kawalerya nieprzyjacielska wraz z piechotą odbiwszy słabo bronione armaty, mocno goniącym dała się we znaki. Przyszło więc Potockiemu uchodzić nie z pyszna; utracił przy tém okrom dział bagaże, a wielu jego oficerów dostało

się do niewoli. Przegrana była tém dotkliwszą, że początek bitwy inny zapowiadał koniec, a niektóre chorągwie Rybińskiego w sromotnéj ucieczce zapędziły się aż za Wisłę.

Ochłódłszy z wojowniczego zapału, cofnął się wojewoda kijowski na drugą stronę Wisły. Król Stanisław bawił téż wówczas w okolicy Łukowa. Przybył do niego starosta bobrujski, Sapieha „z wielką ku Wiśniowieckim dyfidencyą,“ przejął bowiem ich korespondencyą z Pociejem, prowadzoną jak się już wspomniało, za pozwoleniem dworu. Starosta domagał się, aby jemu oddano oddział książąt, lecz przeciwił się temu silnie Potocki, „bo to niemal była jego moc.“ Silny również opór stawiali sami Wiśniowieccy, ale gdy i Leszczyński jął na nich nalegać, aby ustąpili, oświadczyli gotowość uczynienia zadość żądaniu, wymówiwszy sobie tylko, aby im zostawiono nadworną służbę.

Jednakże gorliwość Sapiehy nie tylko nie odniosła pożądanego skutku, lecz nawet najgorsze wydała owoce, bo przerzuciła wojsko Wiśniowieckich na przeciwną stronę; stojący w Dobrzynie Eperyasz na pierwszą wiadomość o tém, co zaszło, w dwanaście chorągwi co prędzéj przeszedł do Pocieja.

Nielepiéj skończyły się układy z Sieniawskim. Przysłany przezeń do Wiśniowy pod Łuków krajczy koronny, wystąpił z bardzo ciężkiemi warunkami, a gdy i wojewoda kijowski niezbyt do ustępstw okazał się skłonnym, „każdy mógł zważyć, że to było dla pozyskania czasu.“ Mimo to zbyt ufna w swój wpływ nad mężem pani Elżbieta Sieniawska, pospołu z francuzkimi pośrednikami „wbiła to w głowę królowi, że szczerze jéj mąż traktuje.“ Pan hetman tymczasem podszedł pod Tarnów i „miawszy koło, kantonami, *alias* liniami pułki rozłożył.“ Pochód Szwedów odbywał się nader powolnie z powodu chciwości generała Krassau, bo ten ruszał się leniwie, aby tém srożéj módz kraj niszczyć i ciemiężyć, nakładając na mieszkańców wielkie kontrybucye. Gorzéj jeszcze od chciwego cudzoziemca poczynał sobie Sapieha, bo mając wysłać pod Włodzimierz trzydzieści chorągwi, wcale o tém nie myślał, a odbiegłszy od wojska, powrócił do domu i za pomocą rozłożonych po całéj Litwie chorągwi „dziwnie trapił szlachtę,“ co jeszcze w większą u współziemian nienawiść podało dom Sapie-

hów. Równocześnie zaś „pod sekretem z Sieniawską korespondował, która go obiecała przy honorze utrzymać w swojéj partyi.“ W powiecie krzemienieckim grasował Ogiński, „osobliwie z Wiśniowiecczyzny ostatnią ruiną.“

Tak niegodne postępowanie służyło oczywiście Szwedom za podnietę i zasłonę, bo na uczynione sobie zarzuty mogli odpowiedzieć, że nie lepiéj poczynają we własnym kraju sami Polacy. Toż nie dziw, że wybierali coraz większe kontrybucye, a rozzuchwaleni i przywykłszy za nic sobie ważyć Polaków, obchodzili się lekceważąco i pogardliwie z ludźmi rycerskimi, stojącymi nawet po ich stronie: „wyganiali ich z konsystencyi i jak niewolników traktowali, bijąc i obdzierając.“ Zatrwożony tém Józef Potocki „przebierać się musiał“ na Wołyń, co mu się udało tak pomyślnie, że w Podkamieniu nie wiele brakło, a byłby wziął jeńcem Ogińskiego. Ten umknąwszy szczęśliwie, tak czmychał, że się oparł dopiero aż za Słuckiem, w Lubarze.

Wojewoda kijowski stanąwszy na Wołyniu, miał przednią straż w Ostrogu, lecz nie długo zatrzymał się w tém województwie, bo starosta bobrujski, Sapieha, uważając, że ono niepodzielnie do niego należy, „niemal znosił ludzi wojewody.“ Leszczyński mimo królewskiego tytułu nie mający wcale powagi monarszéj, zamiast poskromić samowolę butnego panka i utrzymać go w karbach posłuszeństwa, musiał udać się niemal w pokorę, bo „zabiegając dalszym kolizyom, prosił, aby wojewoda poszedł na Pokucie.“

Dotknięty powolnością dworu dla litewskiego magnata Potocki, posłuchał zlecenia dopiero z początkiem następnego roku; wprzód zaś „z dywizyi książąt odmówiwszy prawie wszystkich, do nieugaszonego gniewu wrota otworzył.“

Tutaj przypomina sobie autor, że zaniechał powiedzieć o tém, co najbardziéj zasługiwało na uwagę „a bez czego — dodaje uroczyście — albo zginie Rzeczpospolita, albo powstanie, inaczéj żaden naród w zawziętościach nie bywa uspokojony, jeno jednością.“ Po sentencyi, zawierającéj wielką prawdę, któréj jednak nikt wówczas nie myślał wprowadzać w życie, wypowiada autor nie mniéj trafną uwagę, że „nigdy pogodniejszego czasu nie było skupienia się Polaków, bo Moskwy i Szwedów za granicą tłukła się potencya, Sasi stali

u siebie.“ Ważne i piękne posłannictwo ukojenia wzburzonych stronnictw, wprowadzenia pewnego ładu i zgody w skołatane tylu klęskami społeczeństwo ojczyste, postanowił wziąć na swe barki wojewoda sandomirski, Stanisław Morsztyn, a budziły go do tego przedsięwzięcia zarówno wzgląd na publiczne dobro, jak nie mniéj tak powszechne wówczas uboczne widoki, grzeszna a wszędzie nurtująca prywata. Żywił bowiem tę miłą nadzieję, „że téż mógłby miecznikowi koronnemu, (Denhoffowi), z którym się dużo był przez listy poswarzył, chrząszcza przepuścić.“ Porozumiawszy się przeto z Krakowianami i Sandomierzanami, zwołał „prawami i zwyczajami tak wielu praktykowany zjazd“ pod Korczynem.

W oznaczonym czasie przybył okrom innych i Denhoff, a z nim znaczne zastępy zbrojnych z wojska Sieniawskiego, z Rybińskim na czele. Kiedy przeciwne stronnictwa podjechały blisko do siebie, zaproponował zgodę łowczy koronny, Jordan. Za Morsztynem stała szlachta z pachołkami, a „okrom kilku kornetów różnych panów, mała garść regularna do wojny,“ za Denhoffem silny zastęp wojskowych, oraz głośny i „aż dotąd litewskiemi akcyami straszny“ Zaranek.

Wszczęła się nasamprzód sprzeczka, „kto miał zagaić i gdzie;“ wbrew zapowiedziom nie było nadziei, aby Morsztyn mógł to uczynić w Korczynie, bo nie chciał go wpuścić do miasta Denhoff jako starosta tamtejszy. Rozpoczął więc wojewoda sandomirski obrady w polu, późniéj jednak uchwalono zjechać się na jedném miejscu, Morsztyn miał zagaić zebranie, poczém miano radzić, „jakby tę konfederacyą na dobro Rzeczypospolitéj utrzymać.“ Ale jak zwykle w gwarnych i swarliwych zjazdach anarchicznéj rzeszy szlacheckiéj, piękne zamiary spełzły bezowocnie. Nasz autor nie umie wytłómaczyć, dla czego konfederacya w istocie nie doszła, choć nie trudno z jego słów się domyślić, że partya saska nie bardzo skłonna do kompromisu, za powód do zerwania wzięła zwłokę ociężałego wojewody. Improwizowany ten statysta, choć nie przynaje tego pamiętnikarz, snać nie dorósł do wysokości zadania, skoro się zatrzymał w drodze, „radząc, jakby zaczął rzecz,“ gdy przecież wypadało wpierw o tém pomyśleć i być na wszystko przygotowanym, raz zabrawszy się do tak doniosłego dzieła. Za tę lekkomyślność spotkała go sroga

kara, bo przeciwna strona w postępowaniu jego dopatrując się dla siebie obrazy, „hurmem z protestacyami napadła, a dużo natarła uszu wojewodzie i nakiwała.“

Cóż miał więc począć teraz Morsztyn, jeśli nie rozwiązać tak burzliwą sesyą? Nie przyszło już do porozumienia, bo wedle słów pamiętnika „pilnował Denhoff,“ co mimo objektywnego wyrażenia autora w poprzednim ustępie, wskazuje namacalnie a zgodnie też z opowiadaniem Otwinowskiego, że jemu przypisuje winę rozpędzenia zjazdu. Widać to niemniéj i ze słów późniejszych. Wprawdzie obie strony zadawały sobie tę winę, co autor jako współuczestnik zebrania sam słyszał, powiada bowiem: „w oczach moich żalili się na siebie, partykularnie Denhoff, że ten zjazd uczynił wojewoda, aby był utwierdził Stanisława na tronie, co pono było w sekrecie a przez to zniósł konfederacyą.“ Morsztyn na odwrót zarzucał przeciwnikom, że na niego „żwawo nastąpiono.“ Szlachecki ogół mienił marszałka sprawcą burdy, co widać z wyrażenia: „jakożkolwiek pierwszy to był wstęp do zepsowania kredytu między szlachtą Denhoffowi.“

Dwór Stanisławowski nie dość energicznie starał się o względy Stolicy apostolskiéj, tylko więc „przez fakcye francuskie“ nadeszła z Rzymu odpowiedź, że papież uzna Leszczyńskiego za króla, skoro go uzna Rzeczpospolita. Aby pozyskać od narodu pożądane uznanie, wysyłano na sejmiki drukowane projekta, „na które marszałkowie imieniem województw, gdzie sejmikowali, podpisywali się, że obierają Stanisława za króla.“ Dla przeszkodzenia téj robocie, Sieniawski ze swymi stronnikami „posłali na kontrapunkt tamtych do Rzymu, otwierając oczy, i tak daremny był Stanisława zawód i niepotrzebna speza, co wielu z jego strony nie chwaliło.“

ROK 1709.

Na Ukrainie doznał już Karol czynnéj i jawnéj pomocy ze strony Mazepy. Różnie sobie tłómaczono postąpienie hetmana Kozaków. Jedni widzieli w niém jedynie czyn szczerego patryotyzmu, mający na celu „tak piękne prowincye do Polski przyłączyć,“ inni przypisywali ambitnemu starcowi mniéj szlachetne pobudki,

twierdząc, że stanął po stronie szwedzkiéj za cenę przyrzeczonego sobie księstwa czerniechowskiego; ci na dowód słuszności swego podejrzenia zapewniali, że „w zabranych pod Pułtawą wozach jego to znaleziono dyploma.“ Nasz autor jak zwykle bezstronny, przywiódłszy obydwa mniemania, nie przypisuje sobie prawa rozstrzygania sprawy, lubo mimowoli przeciw owym oszczercom hetmana Ukrainy nasuwa się uwaga, że głos tych, co pod Pułtawą zabrali wozy Mazepy, jako interesowanych i nienawidzących go całą duszą, nie bardzo zasługuje na wiarę.

Widząc, jak dotąd zdołał uśpić carską czujność, chciał on jeszcze na czas pewien zwlekać jawne przerzucenie się do szwedzkiego obozu, lecz przeszkodziło temu przejęcie listów, pisanych przezeń do kuchmistrza Tarła, oraz nadesłanych do niego przez dwór Stanisławowski, w których była wyraźnie mowa o hetmańskich zamysłach. A wielka szkoda, że przynajmniéj na kilka dni nie wstrzymał się ze spełnieniem zamiaru, boby mu to było zapewniło walną korzyść. Menżyków i inni generałowie „mało co wiedząc o zdradzie,“ zaprosili się doń na ucztę, w niepłonnéj nadziei, że sobie podpiją „dobrego wina“ z hetmańskiéj piwnicy. Gdyby Mazepa był spokojnie czekał na przybycie gości, byłby ich mógł wziąć jako jeńców, bo jechali w kilkanaście koni, nie przeczuwając nic złego; lecz jako wedle przysłowia na złodzieju czapka gore, tak też ataman sądząc, iż książę idzie przeciw niemu na czele licznych pułków i że „w téj wizycie tai się zdrada,“ opuścił Baturyń w nocy i podążył do wojska, czekającego od dawna w polu. Po długiéj mowie zapytał Kozaków, „jakąby drogą chcieli iść, ponieważ dwaj monarchowie u nich goszczą?“ Zadając to pytanie, był pewnym pożądanéj przez siebie odpowiedzi, ale zawiodły go błogie nadzieje, czerń bowiem wbrew wymownym słowom wodza krzyknęła: „Chcemy być przy carze!“ Nie zrażony złém przyjęciem Mazepa, „zażył na nich kunsztu,“ bo przyzwał do siebie Karola, pewny, że obecność królewska i licznego wojska podziała lepiéj, niż jego wymowa. Jakoż Kozacy po części zastraszeni, po części zaś „perswazyą przywiedzeni,“ nie opierali się dłużéj, sam zaś hetman „od króla za ćwierć mile potkany i mile przyjęty,“ tém lepiéj był w szwedzkim obozie widziany, że darował

Karolowi trzy tysiące wołów i jako miejscowości świadomy, służył mu za przewodnika. Nie wszystkich jednak podwładnych mógł ze sobą uprowadzić. Zostawiony w Starodubie największy faworyt hetmański, Skoropacki, „zważywszy, iż może być u Moskala na miejscu Mazepy, posłał do cara ze submisyą,“ a otrzymawszy to, czego pragnął, „swego dobrodzieja ze znaczną partyą odstąpił.“ Na odwrót jednak „przebrał się“ doń Biturym, koszowy Zaporożców, na czele kilkunastu tysięcy ludzi.

Na nieszczęście miał Mazepa zręcznego i niebezpiecznego przeciwnika; „car dziwnie mądrym procederem rzeczy robił, odwabiał Kozaków, wydał amnestyą, płacił powracającym.“ Sposobiki te nie pozostawały bez skutku; co dzień topniały stojące z hetmanem szeregi mołojców, bo każdéj nocy uchodziła gromadka. Dla hulaszczych i swawolnych synów stepu nie był sympatycznym ani surowy Karol, ani w ogólności Szwedzi, z którymi nic ich nie łączyło a przeciwnie „i wiary różnica i mowy, wiele wstrętu czyniła.“ Piotr téż stawał się coraz śmielszym i szczęśliwszym. Uwziąwszy się, aby Karola trapić bez ustanku, tak go miał na oku, „trzymając się fortelów, że czasem o milę albo dwie wojska od siebie stawały.“

Wzrosła carska buta, gdy „pierwszy raz dwa konne regimenty niedaleko samego króla zniósł generał moskiewski Rhen,“ o którym autor powiada, że był to „z Kurlandyi zacny szlachcic.“

Straszliwe spustoszenie sprawiły w obu wojskach srogie mrozy, zima bowiem „tak tęga była, iż nie pamiętają gorszéj, bo nietylko że się ziemia padała, ale drzewa marzły z korzenia, ryby w stawach, ptaki na powietrzu, zwierz w lasach, cóż dopiero ludzie.“ Wedle naszego pamiętnika „Moskal na kilkanaście tysięcy zmarzłych liczył, a Szwed połowę.“

Leszczyński w Polsce postępował z wolna, łudząc się ciągle nadzieją pokoju, obiecywanego przez niestrudzoną w dyplomatycznych zabiegach panią Sieniawską. Do téj powolności przyczynił się także niemało Jabłonowski, wojewoda ruski, przez zbytnią wiarę w „medyacyą francuską.“ Chciwemu generałowi Krassau nie potrzeba było nawet takich pobudek do zwalniania pochodu, „bo dobrze mu było iść z lekka, a brać z nagła

kontrybucye.“ Korzystał on z téj ociężałości przeciwników i „bawił się mądrze“ w okolicy Tarnowa; wedle zaręczenia autora „poszedłszy za Wisłę, więcéj wygrawał, chodząc po Polsce, niżeli udawszy się ku Ukrainie, albowiem kto z towarzystwa chciałby za Słucz? tu zaś wszędzie by każdy się wlókł, bo i w swojéj ojczyznie i mając w Szwedzie co wziąć.“

Tymczasem łupieżący ochoczo Krassau „tak długo wytrzymawszy sandomirskich konfederatów, naparł na ostatek,“ co widząc Sieniawski, podążył z pod Tarnowa ku Lwowu, „a nie mogąc się na Lwów przebrać, bo już tam Tarło był z regimentem swoim, udał się wielkiemi górami ku Podolu.“ W ślad za nim popędził Józef Potocki, i „odwód mu zniósł i wiele rajtaryi chorągwi zabrał.“ Byłoby mu się nawet powiodło zmiennego przeciwnika wziąć jeńcem, co dla niego i dla sprawy byłoby się stało walnym tryumfem, ale przeszkodziła temu właściwa panu wojewodzie kijowskiemu nieporadność i zamiłowanie w wygódkach życia; nie bacząc bowiem, jak wiele w tym razie zależy na pospiechu, bawił długie godziny za stołem na obiedzie u szwagra Leszczyńskiego, starosty winnickiego w Żurawnie. Ów długi a pewnie hojnie węgrzynem oblany obiad ocalił wojewodę bełzkiego, uchodzącego co sił starczyło, przed liczniejszą garścią nieprzyjaciela. Przepędzony aż za Dniestr, „obaczył się aż pod Czarnym Ostrowem;“ zabawiwszy tu przydłużéj, pospieszył ku Sandomierzowi.

Niemniéj szczęśliwie wiodło się równocześnie, zostającemu pod komendą Potockiego pułkownikowi Grudzińskiemu, w Mielcu bowiem „kasztelana kijowskiego, (Czermińskiego) nagonił, któremu odwodu w kilka chorągwi zostawiony we dworze gdy nie mógł dobyć, bo się mężnie bronił, osobliwie Zagórski, starosty konińskiego porucznik, dwór z nimi zapalił i pan (tj. kasztelan) kijowski znowu ledwo w jego ręku nie był.“

Strwożony zaś ostatniém niefortunném przejściem Sieniawski, nie ważył się ruszyć na krok z pod Czarnego Ostrowa; siedział w nim przez całe trzy miesiące, śląc do cara jednego posłańca za drugim z prośbą o odsiecz.

Wkroczenie Potockiego na Wołyń skłoniło Ogińskiego, do opuszczenia téj prowincyi i powrotu do Lachowiec. Zachęcał go do zgody z Wiśniowieckim Sie-

niawski, on sam już nawet okazał się do układów gotowym, ale domowi jego odwiedli go od pojednawszych zamiarów; „dopiero zniósłszy księcia Janusza chorągiew pancerną, namiestnika puścił wolno i kazał książętom opowiedzieć, że nie jest zawzięty z nimi od kombinacyi.“ Ztąd też wysłali książęta ze swéj strony Wołłowicza, późniejszego referendarza a wówczas podkomorzego mścisławskiego. Ogiński posła „człowieka godnego,“ przyjąwszy „niewymownie mile,“ położył za warunek ugody, aby on sam mógł zatrzymać wielką, książę Michał zaś polną buławę. Na takie *dictum* Wołłowicz „wybił wielkiemi racyami,“ że to niemożebne „dla samego prawa,“ lecz równocześnie podał inny sposób zażegnania waśni, proponując, aby Ogiński starszego syna wydał za córkę książęcą, i aby obaj zostawiając rozrządzenie buławami przyszłemu sejmowi, tymczasowo podpisywali się „hetmanami W. X. L.,“ coby tłómaczono: hetman wojsk W. X. litewskiego.“

Podobał się Ogińskiemu i związek rodzinny z przeciwnikiem i dowcipny fortel w sprawie hetmaństwa. To też zadowolony z takiego obrotu rzeczy, nie troszczył się o Sapiehów i nie uwzględniał żądań Sieniawskiego.

Leszczyński rezydował podówczas w Wysocku. Coraz więcéj naprężały się stosunki między nim a starostą bobrujskim, Sapiehą. Przyczyną rosnącéj z każdym dniem zuchwałości ostatniego miało być dane mu przez panią Sieniawską słowo, „że go utrzyma pod Ogińskim przy polnéj buławie u cara.“ Czy to prawda, trudno rozstrzygać; bądź co bądź byłoby bardzo pożądaném, byśmy jak najrychléj mogli się doczekać wyczerpującéj monografii téj niepospolitéj kobiety, bo praca taka rozwiązałaby niewątpliwie wiele dotąd ciemnych spraw i dałaby nam jasny pogląd na stan Polski w porze najburzliwszéj, w któréj odpowiednio do zmieniających się widoków téj lub owéj sprawy, zmieniały się też stronnictwa, zapełniane coraz to innemi żywiołami.

Jeśli tedy prawda, co nam o przyrzeczeniu wojewodziny bełzkiéj prawi pamiętnikarz, Sapieha „wolał być u Augusta w nadziei polnym, niżeli u Stanisława wielkim hetmanem.“ Usposobienie to starosty tłómaczy autor wyniosłą ambicyą, nie chcącą, bez względu nawet na węzły krwi „równego wywyższenia cierpieć.“ Sapieha tak się zaciął, że mimo przyjazdu samego króla Stani-

sława pod Brześć i częstych listów, „czynił rzeczy nie czyniąc i ledwo po zapustach z Kossowa swego ruszył.“ Powiat słonimski nie mało musiał wydać na jego kuchnią, choć szło to pozornie na dragonią.

Poszedł wreszcie „z letka“ na Wołyń a do szczerszego odtąd działania pobudził go głównie „wielki człowiek,“ podkanclerzy Szczuka. Ruszył więc Sapieha przeciw osiadłemu w Lachowcach Ogińskiemu, i gdyby był poszedł, nie zatrzymując się w drodze, byłby go pewnie wziął do niewoli. Ale na nieszczęście zachciało się panu staroście łatwego tryumfu na „monastyrze zahajeckim,“ gdzie się zamknął niejaki Tarnawski, porucznik Ogińskiego. Sapieha mimo mężnéj obrony, dobył klasztoru i Tarnawskiego kazał rozstrzelać. Posuwał się zaś tak spiesznie, cicho i na tak tajnych drogach, że go prawie nikt nie widział; wyszedłszy bowiem z Beresteczka, omijał starannie wsie, a dążył lasami i manowcami. Zdradziło go dopiero owo niefortunne zdobywanie monastyru; gdy bowiem wojował z Tarnawskim, dopadł Lachowiec najkrótszą drogą „Jedloski, ekonom księcia z Krzemieńca i dawny Ogińskiego znajomy,“ i doniósł, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Ogiński spał właśnie, nie przeczuwając nic złego. Przestrzeżony, zaledwie miał dość czasu, aby wyjść w pole i posłać do pułkownika rosyjskiego, Inflanta, który z tysiącem wojska stał w okolicy Ozochowiec. Złączywszy się z nim pod Białogródkiem, ustępował „szykiem sprawnie wielkiemi polami,“ Sapieha zaś ścigał go „porządnie i mężnie.“ Wprzód jeszcze, bo w samém mieście Lachowcach, napadł starosta miński na tylną straż Ogińskiego i zniósł ją zupełnie, lubo pod nim zabito konia. Pod Białogródkiem przyszło do walnego starcia. Sapieha dzielnie się potykał na czele dragonii, która strzelała tak silnie i żwawo, że w końcu „Moskwę od grobli spędziła, hurmem uchodzącą.“ Ale zanim Sapieżyńska jazda zdołała się przeprawić, Ogiński już całą milę ubiegł, Inflant zaś zrozpaczony, wychylał jeden kielich za drugim, czyli mówiąc językiem pamiętnika „potężnie maczał.“ Niebawem umarł w Ozochowcach, wedle jednych ze zmartwienia po klęsce, wedle innych zaś, „ze zbytecznego pijaństwa, osobliwie z generałem Granowskim, do uprzykrzenia i excesu ochoczym.“

Starosta bobrujski nie puszczał się już daléj w pogoń za uciekającymi; zawróciwszy się owszém do Beresteczka, „z Wołynianami się na sejmiku zgodził“ i wierny swemu zwyczajowi, wybierał znów wielkie kontrybucye „a nawet i na swoję kuchnią prowianty.“ Chcąc uniknąć podejrzeń, że powtarzająca się już wzmianka o zaopatrywanéj cudzym kosztem starościńskiéj kuchni jest złośliwym wymysłem, powołuje się nasz autor na głos publiczny marszałka Wołłowicza na „walnéj Radzie“ warszawskiéj.

Potyczka pod Białogródkiem wpłynęła stanowczo na stosunek Ogińskiego do Sapiehów. Odtąd raźniéj przeciw nim nastawał, i o ile wprzód z Wiśniowieckim „nieznacznie czynił sobie zgody,“ o tyle już teraz jawną okazuje mu przyjaźń, Sapiehów zaś i Sieniawskiego „publicznie łaje.“ Na nieszczęście książę Michał zamiast korzystając ze sposobności, dobić targu za pośrednictwem tegoż samego co wpierw, „zacnego i rozumnego“ Wołłowicza, powierzył sprawę pojednania „poufałemu niegdyś przyjacielowi,“ Pociejowi.

Po téj wiadomości następuje ustęp dla niniejszéj sprawy nader ważny, lecz nieco zawikłany; dla tego przytaczamy go w dosłownėm brzmieniu: „Jakoż Pociéj w kupie z Rybińskim czynił wiele dla książąt i posłał do cara po amnestyą, a przez ks. kanonika Gąsieskiego, którego na początku téj zimy z Wissowa król Stanisław z propozycyami pokoju do Pocieja był ordynował, a ten prałat pod tym zaszczytem bardziéj do niego dla interesów jechał, stawszy się wielkim domu Sapiehów nieprzyjacielem z okazyi śmierci swojéj siostry, wojewodziny wileńskiéj, która na Boże Ciało przeszłego roku w Wilnie umarła.“

Charakterystyka pani wojewodziny wykazuje niezwykłe zalety umysłu obok wad gruntownie zepsutego serca. Że dla pierwszych była wysoko cenioną, widać i ztąd, iż Jan III w jéj towarzystwie wyprawił córkę, Teresę Kunegundę, do męża elektora bawarskiego, Maxymiliana II; drugie są poświadczone niemniéj jaskrawemi faktami. „Pani wysokiego rozumu,“ mówi o niéj naprzód autor, co tylko zaszczyt przynosi kobiecie — „w publiczne się mięszająca interesa,“ co wprawdzie mniéj chlubne i właściwe, lecz wówczas, zwłaszcza we Francyi, bardzo zwykłe — ale gorzéj świadczą o niéj

ostatnie słowa tego zdania: „nieco w śliskiéj materyi często o jéj było słychać intrygach.“

Jeśli już to ogólnikowe powiedzenie wcale niepochlebne, bez porównania ciemniejsze światło na postać wojewodziny rzuca szczegółowsze, acz krótkie potrącenie o brzydkie praktyki téj kobiety, o których nie możemy zamilczeć, bo służą za ciekawą ilustracyą ówczesnych stosunków a tłómaczą ugrupowanie stronnictw w kraju. „Ta bardzo — mówi pamiętnikarz — wojewodę wileńskiego (Sapiehę Kaz.) estymowała, z dawna jeszcze za życia męża swego pierwszego, Słuszki.“ Po tém wynurzeniu jednak dodaje zaraz powściągliwy i dyskretny autor: „nie mówię, aby *niesłuszną miłością*, bo o domach trzymać dobrze, mówić dopieroż, cóż pisać z dyskrecyą należy.“

Nie skończyło się nawet na tym jednym stosunku; nastąpiła waśń między kochankami, a za nią poszedł wybór innego wielbiciela. Opróżnione chwilowo miejsce zajął niebawem niemniéj w dziejach, jak Sapieha, głośny człowiek, bo generał wielkopolski, Rafał Leszczyński. Następstwa tego wypadku zbyt tutaj ogólnikowo wspomniane, by nam dokładne o rzeczy dać mogły pojęcie: „okazya zwady z wojewodą, afront królowéj (?) i rugi z pałacu, którego ona była kochająca (?) podczas konwokacyi.“ Ciekawych ze względu na historyczność osób, przejść skandalicznéj katastrofy, zaledwie domyślać się można z dziwnie lakonicznych napomknień pamiętnika. Przy téj sposobności miał generał wielkopolski dać zdumiewające dowody miłości dla pani swego serca; „co nie czynił dla niéj, (czytamy) wymówić trudno.“

Jak widać z naszéj narracyi, był to człowiek bardzo uczuciowy, lecz słaby i dający się używać za powolne narzędzie przewrotnéj piękności, która nim zawładnęła niepodzielnie; „on był pierwszym w Litwie na Sapiehów poddymaczem, on potem, gdy się z wojewodą pogodziła, był najżwawszym na szlachtę litewską nieprzyjacielem.“

Rzecz dziwna, że nie miał nic przeciw pogodzeniu się wojewodziny z rywalem, że nietylko go znosił, lecz nawet najgorliwiéj popierał, lubo zręczna kobieta „przy nim daleko więcéj wojewodzie wileńskiemu świadczyła

afekt i weselszą twarz, czém się nie odrażał generał pomieniony.“

Nareszcie w r. 1701 umarł Słuszka, a cnoty, jakie w nim chwali Niesiecki, wcale zapewne nie przypadały do smaku zalotnéj i żądnéj światowych rozkoszy Teresie. „Umarł — powiada O. Kacper — śmiercią pobożną, do któréj się gotował przez różne cnoty, osobliwie miłosierdzie na ubogich, sprawiedliwość w rządach, nabożeństwo, dla którego zwykł się był na trzy dni przed Wielką Nocą w zakonnym gdzie domu zamykać.“

Jeśli ukrywanie się w murach klasztornych szanownego fundatora wołczyńskich OO. Bernardynów, chwalebne w oczach uczonego Jezuity, mniéj mogło być pożądaném dla żony, to posiadał Słuszka inne zalety i zasługi, które go w opinii wszystkich uczciwych ludzi stawiać musiały wysoko. „Z fortuny swojéj — czytamy daléj w zacytowanym już herbarzu — niemałą sumę wysypał był na potrzeby ojczyzny, owszém i życie swoje za nią nie w jednéj okazyi gotów był położyć, osobliwie jednak pod Chocimem i Wiedniem.“

Gdy tak pan kasztelan dzielił swój czas między służbę Bożą a służbę dla Ojczyzny, szafując hojnie groszem na potrzeby wojenne i na kościół, przestrzegając pilnie sprawiedliwości w urzędowaniu, małżonka jego nazwana *zacną* przez autora książki p. t. *Życia Sapiehów*, zabawiała się z niemłodymi już gachami. Gdy zaś mąż umarł, trzeba było wdowie wybierać jednego z wielbicieli.

Zdarzyło się, że niemal równocześnie ze Słuszką, przeniosła się na drugi świat żona Sapiehy. Owdowiały wojewoda zażądał od ukochanéj kobiety, aby ślubem przypieczętowała długoletni związek. Nieobecni zwykle tracą; toż i powabna wdówka przeniosła bliższego Sapiehę nad wielkopolskiego generała. Daremnie wyprawiał do niéj Leszczyński jeden list za drugim, zapytując, czy istotnie ma zamiar oddać rękę wojewodzie wileńskiemu, „grożąc jéj odmianą przyjaźni swojéj i swoje zasługi wymawiając.“

Nie zatrwożona pogróżką, pewna, że i nadal zdoła go na jedwabnéj nici utrzymać przy swym tryumfalnym rydwanie, odpowiedziała pani Teresa „jawnie“, to jest bez ogródek, „wyznając obligacye, ale się z tém nie tając, że pójdzie za wojewodę.“

Nie zawiodła jéj i w tym razie rachuba. „Rzecz dziwna — dodaje pamiętnikarz — i tém się nie odraził, ale był do śmierci jéj życzliwy.“

Zgon pani Teresy uczynił Sapiehę, jak zapewnia Niesiecki, panem „wielkiéj substancyi“, przekazanéj mu przez żonę. Niezadowolony z tego wojewoda, posunął chciwość tak daleko, że nie uszanował ostatniéj woli zmarłéj małżonki, bo nie wykonał jéj zapisów na rzecz siostry i brata, wymienionego już wyżéj kanonika Gąsiewskiego. Ztądto ostatni powziął serdeczną niechęć ku Sapiehom; dla księcia Michała Wiśniowieckiego natomiast usposobiony jak najlepiéj, „chciał rzeczy naprawić, bo i on wiele za życia siostry swojéj pracował, aby był książę do Stanisławowa poszedł.“ Otóż za jego pośrednictwem zapewniał Pociej książąt „o swoim nieporuszonym afekcie“, równocześnie zaś Rybiński „wszędzie za Wisłą po koniec Polski panował i co chciał, to brał na ludzi a drudzy mówią, że i o buławie nie zapomniał, od któréj gdyby nie był ustawicznie tamowany ordynansami, niemylnie Poznań by był w ręku jego, w którym, że strasznie panowało powietrze, Szwedzi ustąpili, ale on miałby sposób utrzymania się.“

Szarpał skutecznie i Szwedów, a jeden z jego pułkowników zniósł niemal cały „regiment francuski.“ Gdy następnie Rybiński zwrócił się do Prus, Leszczyński, zaniepokojony powodzeniom jego oręża, wyprawił doń Jana Jabłonowskiego, wojewodę ruskiego i Teodora Potockiego, biskupa chełmińskiego, „aby go ci namówili do akcesu.“ Przebiegły generał na pozór „okazywał się łatwym“, ale w istocie o przejściu do szwedzkiéj partyi wcale nie myślał, chodziło mu zaś tylko o zwłokę; dla tego to odkładając spełnienie stanowczego kroku z dnia na dzień, „przebierał się“ tymczasem do Sieniawskiego. Nie mógł go téż zachęcić do połączenia się z królem Stanisławem własnoręczny list tegoż, znaleziony w zabranéj Józefowi Potockiemu szkatule, a zawierający słowa: „jak prędko *quocunque titulo* dostaniesz Rybińskiego, abyś jako hultaja obiesił.“

Tak zdradzieckie i srogie zlecenie, niezgodne wprawdzie ze znaną, nieraz w słabość przechodzącą łagodnością i dobrocią Leszczyńskiego, ale nasz autor, któremu kłamstwa zadawać nie możemy, usuwa w tym

względzie wszelkie wątpliwości, zapewniając: „widziałem ten list sam i znam rękę.“

Skoro tak rzecz się miała, nie dziw, że nie wiele sprawili królewscy posłowie; z ich poselstwa ta jednak wypłynęła korzyść, że „Szwedów piechotę z *praesidium* elbląskiego ruszyli i byli okazyą Schulzowi generałowi z Pomeranii do pospiechu.“ Rybiński zaś i Pociej podążywszy do Warszawy, zaczekali tam na księcia Michała Wiśniowieckiego; postanowili bowiem bez względu na rozkazy, jakieby im przysłać mógł Sieniawski, słuchać tylko księcia, pójść z nim na Sapiehę i „odebrać mu wojsko litewskie, w którém miał wielkie swoje *sequito* i *fomento* pomieniony książę.“

Połączył się z nimi „wielki książąt przyjaciel“, Potocki, kasztelan kijowski, nadciągnąwszy z pod Mielca (w Sandomirskiém), gdzie był wypoczywał; wydał nawet, tak często podówczas powtarzającym się przykładem, uniwersał do braci szlachty, „*exprobrando* królowi Stanisławowi, co z księciem Michałem uczynił i do jedności zapraszając.“ Natomiast „książę hetman rzeczy długo ważył a nadto publicznym aktem chciał przystąpić; dla czego z Broniszem się znosił, bardzo niekontentym ze Szwedów, i miały te partye uformować akcesyą konfederacyi wielkopolskiéj do sandomirskiéj.“

Wszystkie owe plany przerwał grom bitwy pułtawskiéj, mający przekształcić zupełnie stosunki wschodniéj połowy Europy. Ale już przedtem „bytność w Polsce króla Stanisława rzeczy pomieszała“, co w następny sposób objaśnia nasz autor: „bo to tak miało być, że w Pułtusku miało stanąć *consilium* konfederacyi wielkopolskiéj; laska tameczna i wszystkie partye pod Rawą sendomirską i hetmani; miał być biskup chełmiński, Potocki, z jednéj strony a z drugiéj kujawski (Szembek), naznaczeni w Warszawie traktować i z innymi senatory.“

Podstawą zgody miały być wzajemne ustępstwa i obopólne „pomiarkowanie“ w honorach. Zacny Rzewuski oświadczał gotowość ustąpienia polnej buławy, Józef Potocki zaś, wojewoda kijowski „dałby się namówić“; z pośród innych Ogińskiego „ujętoby łacno“, Sapieha „stary hetman, nie miałby dysputy.“ W różowych już tedy kolorach przedstawiała się przyszłość zwolennikom pojednania zwaśnionych; w ich oczach gołąb po-

koju z gałązką oliwną zlatywał już na ziemię, od tak dawna zawichrzoną wybrykami stronniczéj anarchii. Zdawało się tym naiwnym statystom, że namiętności ludzkie i sprzeczność interesów dadzą się zażegnać od razu, jakby za skinieniem rószczki czarnoksięzkiéj, że wszystko się zmieni, skoro tylko w myśl uchwały wyprawią do Leszczyńskiego poselstwo, „aby był królem, ale bez dependencyi i *mediator, non bellator gentium.*“ Nie dość zrozumiałym jest związek tego powiedzenia, z następującém bezpośrednio po niém zdaniem: „Znać że to postrzeżono (kto? czy partya saska?) i buławy pomięszano litewskie.“

Usposobienie Litwy dla Sapiehy było jak najgorsze; „niepodobna — czytamy w pamiętniku — jak na nowego hetmana mruczała.“ Skarżyli się zaś Litwini na srogi ucisk nakładanych ciężarów, „bo więcéj dziesiąta (dziesięciu) talerów z dymu brało wojsko a połowę do gaży wojskowéj a bardziéj do skarbu wodza swego oddawano.“ Przyznaje wszakże autor, że uciskana Litwa zawdzięczała hetmanowi pewne korzystne zmiany w wojsku: „regiment bardzo moderował i czeladzi nawet strzelbę i szablę kupowano, a tak czeladź poczęła być bitna i ognista, jako cudzoziemskie wojsko.“

Burzyli się Litwini na Sapiehów, że ci schwyciwszy w Hojnikach smutnéj sławy Białozora, kanonika wileńskiego, uwięzili go jako sprawcę mordu, spełnionego na koniuszym litewskim, na co (jak wiadomo) „biskup wileński (Brzostowski) był żałosny a kapituła tameczna cale się do exkomuniki brała, za powodem najbardziéj księdza Gąsiewskiego i Ogińskiego kanoników.“ Już się zamknęły przed wiernymi bramy wileńskich kościołów, już „ostatnie *monitorium* Sapiehom wyszło“, już powiat wilkomirski pod pozorem obrony religii a za sprawą Szyrwińskiego, swego chorążego, byłego pułkownika Petyhorskiéj chorągwi księcia hetmana, „począł się mieć do kupy“ — gdy przerażeni tak groźnemi objawami Sapiehowie, lękając się powtórzenia olkiennickiéj batalii, pomiarkowali się w zapale i w ten sposób dość jeszcze wcześnie powstrzymali wybuch. Nie lekceważąc niebezpieczeństwa, starali się o pokój za pośrednictwem biskupa łuckiego (Aleks. Wyhowskiego) a „Rzym dał ostatni komis temu, aby tę sprawę *finaliter* osądził“, co się stało w dwa lata późniéj, jak powiadano autorowi;

stolica apostolska skazała kanonika „z inkwizycyi“ na wieczyste więzienie a nawet do degradacyi mało brakło.

Nie zadowoleni z tego odwetu Sapiehowie, gotowali pomstę zabójcom koniuszego. W tym celu jeden z nich, marszałek wielki „obrawszy się z Wilna deputatem a potem trybunalskim marszałkiem“, rozkazał ująć niejakiego Zasadzkiego, „*manualem homicidam* tak wielkiego kawalera“, a mając obżałowanego w swym ręku, dokładał wszelkich starań, aby go nakłonić do wydania co znakomitszych spólników zbrodni, przyrzekał mu nawet w takim razie przebaczenie. „Dla czego — dodaje pamiętnikarz — pokazało się tu na oko, że książęta (Wiśniowieccy) nie byli motorami śmierci nieodżałowanéj tak zacnego człowieka, bo tenże Zasiadzki (niewiadomo, która pisownia imienia winowajcy prawdziwa?) przedtem w domu Sapiehów służył i wielkie dobrodziejstwa uznając, już na placu śmiertelnym wyznawał, że go gorzałka, a nie kto inny, przywiodła, iż w piersi ciął koniuszego, i tak dał zapłatę albo raczéj wziął część należytą akcyi swojéj.“

Ale czas już wrócić na szerszą arenę polityczną, gdzie nas ważne czekają wypadki. Feldmarszałek Goltz ulegając nieustającym naleganiom Sieniawskiego, podszedł pod Pików, następnie zaś pod Płoszkirów a po złączeniu się z Ogińskim i z wodzami koronnymi, jako téż odbyciu rady wojennéj, mieli ruszyć każdy w inną stronę, Ogiński na czele szczupłego hufca na Podkamień, hetmani koronni na Złoczów, Goltz zaś na Krzemieniec. Nie zastosowali się jednak sami do własnéj uchwały; zmienił drogę Ogiński „instynktem jakimś, czyli co zrozumiał“, bo poradziwszy feldmarszałkowi, aby on szedł do Podkamienia, sam podążył za Sieniawskim. Mówią, że ostatni nie wiedząc o téj zmianie, dał znać o marszu wojsk Sapieże. To rzecz niezawodna, że Leszczyński mógł zgnieść Goltza, bo miał niespodzianie wpaść na niego pod Glinianami wespół z Józefem Potockim, wojewodą kijowskim, generałem Krassau i starostą bobrujskim. Ale ostatni nie dopisał, a nawet „jakby na przestrogę“, osobno ruszył przeciw nieprzyjacielowi. Spodziewał się zajść drogę Ogińskiemu a spotkał kwatermistrzów feldmarszałka, „obóz miarkujących“; wziąwszy ich przeto do niewoli, ustawił swe szyki na

bardzo szczupłéj przestrzeni, aby go przeciwnik nie spostrzegł. Goltz spuszczał się właśnie „od Podkamienia z góry“ na czele dwóch pułków. Na szczęście dla niego „trafiło mu się we środku szyków swoich błotko małe, lgnące, że tym sposobem miał swój szyk, równy litewskiemu szykowi.“ Litwini natarli „z dziwnie wielką odwagą“; szczególniéj chorągwie dawnego zaciągu „tak dalece Moskwę szablami raziły“, że straciwszy ducha, zaczęła ustępować, i byłby Goltz zginął, gdyby się nie był wkrótce pojawił na górze z piechotą „największy junak między Moskwą“, książę Galicyn. Tak dzielnie dotąd sprawująca się Litwa, spostrzegłszy ciągnącą odsiecz nieprzyjacielską, „spieszno nazad obróciła“, z małą jednak stratą. Objaśnia nas pamiętnik, że „miejsca szczupłość była Litwie nieco winna a o pół ćwierci mili mogłyby Xerxesa się potykać wojska.“

Po owém spotkaniu wszczęła się dopiero na dobre zwada między polskimi wodzami. Ogiński mszcząc się za zgotowany jakoby przez Sieniawskiego zamach, wystawił go przed Goltzem, którego „przylubił“, „jakoby cale był Sapiehów przyjaciel.“ Podnosił zaś skargę nie w formie podejrzenia, lecz z całą stanowczością; „rzecz niechybna — mówił — że z sobą mieli wielką przyjaźń, nawet powiadają, że starosta bobrujski widział się z samą Sieniawską nieznacznie.“

Z tego powodu waśń zawzięta wrzała między nimi przez całe lato. Ogiński zaciąwszy się w gniewie, „co mógł, to na Sieniawskiego gadał, nawet i popędliwie.“ W takim składzie rzeczy obóz saski nietylko nie był sposobnym do akcyi, lecz nawet lada chwila dla zwad stronniczych groził rozpryśnięciem; „gdyby był książę Michał, hetman, wtedy Wołłowicza posłał — zapewnia autor — na odwrót (Ogiński) cale by był ustąpił do wielkiéj buławy pretensyi, ponieważ jeszcze natenczas Pułtawska nie była.“

Leszczyński „widząc starosty bobrujskiego procedery“, a przytém chcąc się połączyć z Schulzem, dziwnie powoli ciągnącym z Pomorza na czele szwedzkiéj piechoty, podążył ku Opatowcu, Józef Potocki zaś, siedząc sam w Krakowie, „dużo po za Wisłą wojsko swoje rekrutował i już maszerowały regimenta piesze szwedzkie za usilną Szwedom biskupa chełmińskiego (Teod. Potockiego) i wojewody ruskiego (Jabłonowskiego) u dworu

Stanisława mianowanego kanclerza perswazyą.“ Jeden z tych pułków był pomorski, drugi z garnizonu elbląskiego, trzeci z poznańskiego „i księżny matki króla Stanisława w Szczecinie i z synową swoją mieszkającéj, z którą o prym niepotrzebne zachodziły emulacye, że aż tam biskup chełmiński na medyacye zjeżdżać musiał — lecz i te piechoty nie wczas przyszły.“ I dalszy ustęp tak jest treściwy i charakterystyczny, że go podajemy dosłownie: „W Ukrainie bowiem po obojętnéj fortunie, zawsze jednak Moskwie pomyślniejszéj, kiedy Mężyk ubiegłszy Baturyń w oczach Szwedów, na drugiéj stronie stojących, od mału do wielu wyciął a to za niedobrą tamecznego komendanta sprawą, bo chcąc garnizon animować, dał im wiele gorzałki, że się popiwszy, nie mogli bronić.“

Autor przy téj sposobności rozwija swoje zapatrywanie, o ile się godzi rozgrzewać wódką żołnierstwo dla wzniecenia w niém wojennego zapału. „Nie ganię tego, że wodzowie, osobliwie mniejszych żołnierzów trunkiem animują, ale nie zbytecznie, bo powiadają, że Lewenhaupt pod Lesznem tém miał przegrać, gdyż to słyszałem, że pułkownicy sami byli bardzo szumni, gdy ich pobrano w niewolę.“

Tymczasem źle się wiodło Szwedom; Dołhoruki zrujnował Sicz i Zaporoże, a Kozacy i Kałmucy niepokojąc ich ciągle, nie dawali im spocząć na chwilę. Wówczas to dopiero, jak świadczą i inne zapiski, Karol „poznał, że źle bez Polaków“ — ale już uznanie i żal przychodziły za późno. Nieszczęściem nie dopisały nadzieje, pokładane w Mazepie, choć nie z jego winy. Kozacy bowiem „rwali się“ od niego tak, że dochowało mu wierności zaledwie kilka tysięcy. Car ogłosił amnestyą dla tych, coby opuścili hetmana a jednał ich sobie, „mile onych przyjmując i pijąc z nimi i bratając się, oraz gadając z każdym poufale.“ To téż nie dziw, że tak postępując, „wielu do siebie powabił.“

Na radzie między Karolem XII a Mazepą, zapadła uchwała, aby dobywać Pułtawy. Gród ten był niegdy własnością Jeremiasza Wiśniowieckiego. Książę „piękną tam staroświecką zaczął fortecę, a potém mocniéj dokończono.“ Różnie różni tłómaczyli usilną chęć zdobycia téj twierdzy: „jedni mówią, że tam miał jeszcze Mazepa swoje depozyta, drudzy że bez wzięcia téj for-

tecy nie spodziewał się w Kozakach doskonałéj rewolucyi.“ Nie wydaje się to właściwém naszemu pamiętnikarzowi; wedle niego „lepiéj by pono brać się do Kijowa i byłaby snadna komunikacya z Polską i Ukraina białoczerska niechybnie huknęłaby.“ Pod Pułtawą natomiast tak ze strony Rzpltéj „zamknione były szlaki, że ledwo ptak mógł przelecieć.“ Trudno téż policzyć, „jak wiele tam popów nawieszano, jak wiele ludzi przejęto.“

Król Stanisław nie otrzymawszy przez długi czas wieści od Karola, a widząc niepodobieństwo zniesienia się z nim na zwykłéj drodze, wziął się na inny sposób, oto uprosił kogoś (nazwiska nie znamy, bo w naszym manuskrypcie wymieniono tylko godność „grafa“, obok zaś zostawiono wolne miejsce) „aby sobie był tytuł ablegata od dworu berlińskiego do szwedzkiego wyjednał, co uczynił król pruski.“ Zdawało się, że ten zręczny wybieg zostanie uwieńczony pożądanym skutkiem, ale rzecz się udawała tylko do Kijowa. Gubernator tego miasta, Dymitr Galicyn, „pan ostrożny i przezorny i życzliwy carowi, daléj go nie puścił, owszém wziął w areszt, z którego ledwo go potém król pruski wybawił, widziawszy się po Pułtawskiéj z carem w Kwidzynie.“

Nie bez kozery także kusił się Karol XII o zdobycie Pułtawy; byłoby ono dlań wielką korzyścią „z racyi blizkiéj z Krymem komunikacyi i pożar poszedłszy do (tu brak jednego lub dwóch wyrazów) nowéj rewolucyi a potem i do Kazania niedawno uskromionego od Szeremeta, i do Astrahanu a na ostatek do (znów brak wyrazu), którzy ustawicznie na cara wojują i bronią się jak mogą.“ Leży nadto Pułtawa „blisko bitego szlaku morawskiego, którym Tatarowie w Moskwę wpadali.“

Nie dziw przeto, że strona przeciwna wytężyła wszystkie siły dla niedopuszczenia Szwedów do miasta; bronił go mężnie „najmłodszy Galicyn“, po drugiéj zaś stronie Worskli stał car z odsieczą, utrzymując stosunki z Pułtawą, „któréj zawsze mógł i ludzi i wiktu dodawać.“ Nie zwracał na to baczności król szwedzki a przytém nie szanował wcale własnego zdrowia, wystawiając się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. I tak „chcąc miasto rekognoskować, pojechał nie daleko, a tam w łozach byli kozacy zasadzeni, którym kiedy bliżéj

podpadł, z samopału dużo był raniony na wylot w nogę.“

Nie powiódł się też plan pomsty na kozakach, albowiem tylko „swoich bardzo naraził“, a Kozacy wdarli się przecież do twierdzy.

Ośmielony dotychczasowemi korzyściami Piotr, „odważył się dać batalią formalną Szwedowi, a to w działa swoje i okopy dufając, bo jako kret ryć się umyślił ostrożnością, każdemu wojennikowi użyteczną.“ Przeszedł więc przez Worsklę, rzuciwszy szańce, „około infanteryi kawaleryą po obu bokach postawiwszy, a między niemi reduty dawszy i żołnierzem każde osadziwszy.“ Tutaj następuje opis nie we wszystkich szczegółach dokładny; przywodzimy go jednak wiernie. Usłyszawszy o krokach cara Karol, a nie mogąc z powodu rany usiedzieć na koniu, kazał się nosić w lektyce. Oddawszy część wojska w obozie z Lewenhauptem na czele, „na którego niewinnie był żałosny o przegraną nad Soszą“, wpadł „obces“ na ustawioną po prawém skrzydle jazdę moskiewską „i nietylko onę zniósł, samego generała *letaliter* postrzeliwszy, ale reduty same pobrał i wyciął.“ Wówczas jeszcze wedle zapewnień autora pamiętnika, mógł był szczęśliwie zakończyć bitwę, nadając jéj inny obrót; gdyby był — czytamy — daléj ku lasowi awansował w bok okopów moskiewskich, zastałby niedokończone, ani osadzone działami wały i (brak wyrazu) okopów moskiewskich i mógłby był co wskórać.“

Jak widzimy, pamiętnik całą winę niepowodzenia składa na barki rannego króla, który dla słabości sam nie mogąc kierować wojskiem, zdał niefortunném zdarzeniem komendę na feldmarszałka Reinschölda. Tutaj nawet ostatni wychodzi cało kosztem sławy Karola. Król wedle naszego autora, zamknął się równolegle z nieprzyjacielskiemi okopami o stajęć i jął szykować wojska w celu uderzenia wprost na czoło wroga. Ale jakżeż (pytamy) mógł temu zadaniu podołać człowiek opadły na siłach, leżący na noszach? Czytamy daléj w pamiętniku, jako feldmarszałek odradzał swemu monarsze „gołym brzuchem zbrojnego atakować“, ale na odwrót kanclerz szwedzki, hr. Piper, na wzór Cycerona „*in campis Pharsalicis*“, napierał się usilnie, aby tegoż

samego dnia jeszcze iść w bój. Posłuchał jego rady „*desperatissime*“ Karol.

Siły były bardzo nierówne; „Moskwa mając półtora sta dział i kilka set organów, z hakownic złożonych, ustawicznie z nich biła.“ To téż Szwedzi padali całemi szeregami, a zanim podeszli na strzał karabinowy, „ledwie trzecia (?!) część została.“ Mimo to mężnie szli na okopy, „ale ręczną strzelbą zranieni, z wielką klęską musieli ustąpić“; dopiero feldmarszałek Reinschöld, widocznie ulubieniec autora pamiętników, podczas gdy Poniatowski zasypuje go gradem zarzutów, dopiero on „kazał odwrót trąbić i bardzo porządnie, ze strachem nieprzyjaciół ustępował“, co mu się udało tém pomyślniéj, że ci obawiali się zasadzki. Popsuł znów wszystko wedle zdania pamiętnikarza król, rozkazując iść wojsku naprzód, wbrew radom wszystkich generałów, „tylko za swoją idąc dawną fortuną i Pipera niewydaną rezolucyą.“

Moskwa spostrzegłszy teraz szczupłość sił nieprzyjacielskich, „wyszła z swego legowiska“ i czekała pod osłoną licznych armat. Rozpoczęła się walka na nowo; „Szwedzi wprzód ognia dali a Moskwa po nich, a gdy dym upadł, generałowie szwedzcy widząc, że nie było z kim co daléj czynić, kapelusze na szpady pokładli i poddali się.“ Nie powiodła się Reinschöldowi zamierzona ucieczka; poznany przez ludzi Szeremetiewa, dostał się z innymi do niewoli. Na polu bitwy padło niewielu, między nimi zaś pułkownik Funk.

Po tak smutnych wypadkach zaczął szwedzki bohater „w zad poglądać“, ale nieszczęście chciało, „że go kula dogoniła działowa i konia jednego dobiła i nosze pod nim urwała.“ Opis téj ważnéj chwili zgodny w ogólności z przedstawieniem ojca Stanisława Augusta: „Gdyby nie polska (?) jedna chorągiew, bo miał ich nadwornych tam z sobą kilka, byłby zginął albo wzięty, a Poniatowski Stanisław choć kulawego na konia wsadził z wielkiém swojém niebezpieczeństwem, kiedy Polacy impet wstrzymali nadchodzących i wiele ich zginęło.“ Zdarzenie to sprawiło, że „od tego czasu zaczął lepiéj estymować król szwedzki naród polski.“

Hr. Piper wraz z młodym księciem wirtemberskim został wzięty do niewoli i „dużo kułakami stłuczony.“ Król chcąc ujść podobnego losu, zostawił Lewenhaupta, sam zaś „z Mazepą wsiadł w kolaskę i nocą pojechał.“

Radość Piotra z tak stanowczego zwycięztwa, była niewymowna: „w nocy z niewolnikami się cieszył, ile gdy mu Pipera przywiedziono a młody książę Wirtemberg, wielkiéj nadziei, od kułaków jedni mówią, drudzy że od wina z carem ustawicznie boszując, który go wolno wypuścił, w Dubnie nie bawiąc umarł.“

Lewenhaupt ruszył bez zwłoki za Karolem, prowadzonym przez Mazepę do Budziaku. Hetman „stary wojennik i wielki polityk“, doradził pochód w tę, jako sobie znaną okolicę, nadto zaś pragnął rozdmuchać pożar wojny między Portą Otomańską a Rosyą. Naszemu autorowi jednak zdaje się, że byliby uczynili lepiéj, zwracając się ku Czarnobylu, na Litwę, bo zamiast trudnego do przebycia Dniepru, byliby mieli dogodne w około lasy. Gdyby byli znosili za sobą mosty, nie wskórałby nic car a gdyby daléj złączyły się wszystkie siły szwedzkie, pozostające pod wodzą Lewenhaupta i Krassau'a, zdołałby Karol na czele téj armii i wojska litewskiego, „bez pomocy oryentalnéj“ dać sobie radę z Moskwą i wkrótce dotarłby niezawodnie do Inflant. Ale on „udał się w dzikie pola potężne i stanąwszy pod Perewołoczną, ledwo kilka chałup znalazł, z których tratwy prędko porobiwszy, siebie i króla i co miał pieniędzy, przewiózł.“

Lewenhaupt otrzymał rozkaz, „aby się jak mógł przeprawował i bronił do upadłego“, lecz było to zadanie arcy-trudne, gdyż żołnierze „ledwo w pół broni mieli, bo flinty i żelaza i ciężary, jako w ucieczce bywa“, porzucali, boć „i Szwedzi są ludzie, których ta akcya pokazała, że nie niezwyciężeni.“ Widząc to dowódzca, zdał królowi sprawę ze stanu rzeczy i zapytał, co ma czynić; otrzymał zaś odpowiedź ogólnikową, aby postępował, jak mu się wyda najlepiéj. Doszedłszy do Perewołoczny, znalazł się w najgorszém położeniu, bo i „lasu żadnego nie miał“ i „przewozów nie zastał“ a na kilku promach, jakie były, przeprawiali się z królewskiego rozkazu Kozacy. Na domiar nieszczęścia nadciągał Menżykow. Ujrzawszy go Karol, „umknął ku Dniestrowi“, do Lewenhaupta zaś wysłał znowu toż samo, co wpierw zlecenie, „aby to czynił, co mu się będzie widziało.“ Ten nie stracił jeszcze zupełnie otuchy a jako dzielny żołnierz i wierny podwładny, chciał się

bronić do upadłego. W tym celu, zebrawszy oficerów, „począł ich animować“, ale „tak w nich, jak w żołnierzach poznał żal na pana swego.“

Nasz autor chce wiedzieć dobrze, jak ów obrót fortuny pojął mężny generał; „zrozumiał — powiada — karę Bożą i odmienne serce“, mimo to „pokazał szyk swój i minę do obrony.“ Nie przyszło jednak wcale do walki. Menżykow „nie chciał się odważyć z bliska pójść ku nim, lecz za przeprawą stojąc błotka pewnego, na cara, z całą armatą idącego czekał.“

Przez dwa dni stały tak obydwa wojska naprzeciw siebie; w końcu wyprawił kniaź do Szwedów trębacza z żądaniem, aby się poddali. Lewenhaupt wprawdzie z razu „pokazał twarz surową“, ale zmiękł wkrótce. Wysłani przezeń dwaj pułkownicy ułożyli rzecz całą niebawem, „bo się za niewolników Szwedzi poddali, wymówiwszy dobry traktament, i aby oficerom na parol wolno było jechać do siebie.“

Wielka ztąd dla Menżykowa urosła chwała, że bez dobycia oręża, bez jednego strzału, wziął do niewoli kilkanaście tysięcy wojska, ktore niedawno sławą swego imienia napełniało Europę a dreszczem trwogi przejmowało nie jednego mocarza. Ale nie myśląc o dotrzymaniu słowa, o dwie czy też kilka mil daléj odebrał jeńcom broń i chorągwie i „równą narewskiéj akcyą począł się zaszczycać.“

Dalsze losy Karola i pozostałéj przy jego boku garści żołnierstwa, opowiada nasz autor zgodnie z narracyą Poniatowskiego, choć o jego zasłudze w téj okoliczności wcale nie wspomina. Mówi, jak po przebyciu dzikich pól uchodzący monarcha, „w nową mało nie wpadł łapkę“, gdy go Wołkoński już doganiał a „sandziak w Oczakowie“ nie chciał mu ułatwić przewozu, „aż ledwo Kozacy wynaleźli statki i to sposobami, zwabili bowiem wielu z tamtéj strony, kupując u nich za znaczną summę prowianty, a potém gdy więcéj na ten odgłos, że dobrze leguminy popłacają, przypłynęli, że się na sto (?) i daléj czołnów rachować mogło, wszystkie zabrano przemocą.“

Nadmieniwszy, jak zaledwie ze Szwedami i Polakami uszedł Karol, wielu zaś Kozaków nie zdążyło nawet przeprawić się przez rzekę, popuszcza pamiętnikarz cugli moralizatorskiemu zapałowi i prawi na temat

marności wszelkich rzeczy światowych: „Niechże tu stanie w podziwieniu fortuna, niech swoje zniesie jedwabne nadzieje ambicya“ itd. Mówiąc dalej, jak król żądał pomocy od Turków, dodaje: „Miły Boże, ten, co na Watykanie miał szpadę zawiesić, którego cała Europa bała się, szuka u poganina akcesyi.“

A w parze z tą kaznodziejską weną, idzie teraz w pamiętniku dowolność i niedokładność. Już to rzec można, iż wyszedłszy po za granice Rzpltéj, gdzie jako na rodzinnym gruncie, stąpał pewną i bezpieczną nogą, autor nasz pląta się i majaczy nieco. Znać tu dobrze, iż nie był sam na miejscu, że znał ludzi i zdarzenia z dość niepewnych źródeł; to też na jego opowiadaniu nie można polegać zupełnie. I tak wedle niego miał Karol oskarżyć baszę, czyli jak go nazywa, „starostę“ oczakowskiego przed seraskierem Benderu, który „tegoż starostę kazał śmiercią ukarać.“ Nadto utrzymuje, że zanim stanął w Benderze, znowu mu zagroziło wielkie niebezpieczeństwo „bo Kozacy chcieli go złapawszy, wydać Wołkońskiemu, gdy jeszcze nad Bohem stali.“

Szanowny autor widocznie słyszał, że dzwonią, tylko wedle przysłowia nie wiedział, w którym kościele. Ale następujące bezpośrednio zdanie o tyle ważne, że potwierdza opowiedziany przez Poniatowskiego fakt udaremnienia przezeń zamierzonego już zamachu. „Żeby się byli — prawi — Poniatowskiemu, który znaczny miał afekt u nich, nie zwierzyli, pono by było po charapie...“

Powitany przez sereskiera „z wielką ludzkością“, jął Karol leczyć nogę, „któréj mało nie opanował ogień piekielny“ (gangrena). Seraskier pragnął listownie usposobić wezyra jak najlepiéj dla dostojnego jeńca, „co Moskwa postrzegłszy, téj minuty wezyrowi dziesięć tysięcy czerwonych złotych przysłała, aby króla szwedzkiego wydał.“ Jeśli zaś wezyr nie zgodził się na żądanie cara, uczynił to wedle naszego pamiętnika „dla interesu, aby mu ta gęś więcéj złotych jaj nosiła, lecz umyślił utaić go przed cesarzem.“ Miał tedy oświadczyć sułtanowi, „jako król szwedzki przegrał, jako ekwipaż porzucił w Benderze a sam lekko do Polski pobiegł.“ Użył zaś takiego fortelu, „chcąc doświadczyć cesarza, co na to rzecze.“ Sułtan jednak na wzór Katona objawił dla zwyciężonego serdeczną sympatyą, „bardzo ża-

łował tego króla nieszczęścia i mile jego akcye, jego osobę wspominał", nakazując wszelkie dla jego dworu wygody a dla niego samego, gdyby się znalazł, królewskie przyjęcie. To też wezyr zalecił podejmować Karola jak najwspanialéj, a ten niedaleko od miasta „nowe sobie osadził i wybudował mieszkania." Tu znowu zwraca się do nas autor z konfidencyonalną refleksyą: „proszę cię, kto czytasz, tak uważaj niespodzianą odmianę i przyznaj: *nil nisi afflictio spiritus.*"

W Polsce, nawykłéj do Karolowych zwycięztw, długo nie dawano wiary nadbiegającym od wschodu nowinom; „dwór Stanisławowski dobrze sobie rokował, a jako kto się w szczęściu nosi, tak w nieszczęściu upada." Wspomniawszy o dworze Leszczyńskiego, rozpisuje się autor o dwóch jego filarach, podkanclerzym Szczuce i Janie Jabłonowskim, czyli jak ich wówczas zwano, Tacycie i Pliniuszu, „doradcach Trajana." Wojewoda ruski czuł się z razu tą nazwą urażonym, ale gdy mu ukazano z żywota Pliniuszowego, że *Plinius amicitia principis utebatur ad aliena mayis, quam sua commoda*, był kontent." Nasz autor żywi jak najlepsze przekonanie o późniejszym więźniu w Königsteinie: „niech bowiem kto co chce mówi o Jabłonowskim, chyba *e longinquo argumento*, bo to był natenczas człowiek wielce zacny i dobrze radzący", osobistych interesów nie miał na względzie a od Pliniusza tém się chyba odróżniał, że sławny Rzymianin żył z Tacytem w szczeréj przyjaźni, między nim zaś a Szczuką zachodziły pewne nieporozumienia.

Szczukę daleko wyżéj stawia autor: „*divinissimus* to, powiada, Tacitus, człowiek nieporównany, wielki i poczciwy tak dalece, że to był prototipon cnoty wszelakiéj, osobliwie *maximus ille toga.*" Pan podkanclerzy zwykł był mawiać, że zawsze trzeci, przychodzący pośredniczyć między dwoma zwaśnionymi, spór załagodzi i „zapatrywał się na dom królewski wyszukanym od schizmy zachodniéj przykładem, że dwóch papieżów trzeci Colomna pogodził." Zaczął się on porozumiewać z prymasem Lubomirskim i z Wiśniowieckimi, „ale niewola jego i tamtych niespodziane pogrzeby rzeczy pomięszały."

Po nad interesa Leszczyńskiego wyżéj stawiając dobro i spokój ojczyzny, „chciał uczynić partyą niewinnéj Rzpltéj", po Pułtawskim więc pogromie nakłaniał króla

Stanisława, aby koronę „zdał na ręce Rzpltéj.“ Rada ta znalazła echo w sercu skołatanego zmiennością losu Stanisława; „jakoż uniwersał prawie abdykacyi wydany i Jabłonowski i ksiądz biskup chełmiński (Potocki) i on, byli naznaczeni do kombinacyi ze stroną przeciwną, aby było trzeciemu to jabłko naraić.“ Spodziewał się może Leszczyński, że ujęte jego ustępstwem Stany zwrócą mu złożone berło, a przynajmniéj nie powierzą go jego przeciwnikowi. Ale stało się inaczéj, bo już na podobny eksperyment było za późno; tłómaczono go słabością, widziano w nim proste następstwo Karolowéj klęski. Sieniawski i jego stronnictwo oświadczyło się już za Fryderykiem Augustem; dla tego też „nie przyjęli propozycyi tych wielkich ludzi“ a sami wielcy ludzie o mało utratą wolności nie przypłacili pojednawczych zabiegów. Bez względu na pasport, udzielony przez Sieniawskiego, wziął ich w Warszawie pod straż niejaki Błędowski; ocaliło zaś jeńców tylko wstawienie się hetmana polnego. Rzewuskiego i „rezolucya“ księdza Potockiego. Puszczeni na wolność, pospieszyli co rychléj do Prus, a car „bardzo się gniewał“, że im ujść dozwolono.

„I była to — dodaje autor — piękna planta pacyfikacyi ojczystéj, bo za dobrowolném oddaniem korony w ręce Rzpltéj a z rąk Rzpltéj od króla Stanisława przyjętéj, na głowę którego z królewiczów włożonéj, nie byłaby w Szwedzie taka zawziętość, którą przeciw Augustowi pokazał.“ Ale co innego mieli na myśli: prymas, „lubo to święty biskup (dodaje z przekąsem pamiętnikarz) *Augustinus* drugi, bardziéj o niebie myślał“, Denhoff i biskup kujawski (Szembek). Dwaj ostatni w Opawie wyczekiwali na pomyślniejszą dla Sasa porę. Za zwrotem fortuny pobiegli co żywo do Drezna, gdzie Fryderyk August królowi duńskiemu „rzymskim kosztem i spezą niewidzianą sprawował divertimenta, aby go był na wojnę szwedzką pobudził i namówił.“

Za późno więc były środki, użyte przez Leszczyńskiego, choć przyznać trzeba, że i przed bitwą Pułtawską „szukał przyjaźni polskiéj.“ Wyprawił on księcia Czartoryskiego chorążego W. księstwa Litewskiego, do hetmanów koronnych, do rodzonego jego szwagra, Ogińskiego, i do miecznika Denhoffa, o którego siostrę starał się chorąży. Nasz autor wystawia Czartoryskiego, jako

człowieka „godnego, rozumu i poczciwości wielkiéj“, przyznaje mu zdolności, odpowiednie wysokiemu urodzeniu. Do Stanisława szczerze był przywiązanym, za co mu się źle odpłacił król, bo przyrzekłszy generalstwo artyleryi, nie dotrzymał obietnicy. Ztąd pamiętnikarz stosuje doń słowa pisma: „*Est qui prae pudore promittit omnia, et lucratur sibi inimicum gratis.*“ Niezrażony niewdzięcznością, przyjął książę „wspaniałém sercem zawód swój“, i jak dawniéj dla Leszczyńskiego na szwank narażał zdrowie, „i mało od Sasów na Bielanach nie zginął.“ Nie zdały się jednak na nic gorliwe zabiegi dostojnego posła, bo „już zastał rzeczy zmięszane“ a niedługo też nastąpiła Pułtawska katastrofa.

Stanęła przeto Polska na roścież przed Augustem, gdy wkroczył z wojskiem, rozrzuciwszy uniwersały, zapewniające amnestyą każdemu, ktoby pod opiekuńcze skrzydła saskie powrócił. Altransztadzki traktat ogłosił za nieważny, jako zawarty bez pozwolenia Rzpltéj. Wychodzili mu naprzeciw reprezentanci powiatów i województw, witając go „jako pana, jako eliberatora.“ W istocie nietylko w słowach, ale i w czynie całe inném było teraz postępowanie elektora i jego podwładnych. Poczynali oni sobie zupełnie inaczéj, niż dawniéj, celowali grzecznością i „dyskrecyą“ a maszerowali na koniach „tak strojno, tak porządnie, że przechodzili przeszłą swoję kawaleryą.“ Męztwa im jednak nie przybyło; na odgłos bowiem, że nadchodzi Leszczyński, złączywszy się z pomorską piechotą postanowili oszczędzać pięknych strojów i pięknych koni, i dla tego nie czekając, umknęli co prędzéj za kujawskie błota...

Król Stanisław widząc zły obrot swéj sprawy, pałał żądzą schwytania Fryderyka Augusta, i w tym celu umyślił ostatnich sił dobywać. Byłby mu się może udał ten zamysł, gdyby przydłuższe zatrzymanie się jego w Częstochowie nie było pozwoliło Augustowi „wartę przebić, gdy jeszcze pod Pankowem spoczywał.“

W pobliżu Jasnéj Góry, w Parzymiechach, kazał Leszczyński wziąć pod straż generała Śmigielskiego, przejąwszy pisywane doń ze saskiego obozu listy. Pragnął ocalić winowajcę podwładny jego, pułkownik Gniazdowski, lecz daremnie, „bo Śmigielski konia nie mógł

dosieść w czerkieskiéj kulbace a tymczasem straż nadeszła i w ściślejszy areszt onego wzięła.“

Autor pamiętnika przyznawszy, że słynny partyzant dawno rozmyślał o zdradzie, tłómaczy go, opowiadając, że jako dzielny żołnierz, nie mógł znieść złego obchodzenia się Szwedów z Polakami, ani „zapomnieć obligacyi królowi Augustowi.“ Z zamiarów swoich zwierzył się Józefowi Potockiemu, wojewodzie kijowskiemu, chcąc go za sobą pociągnąć; Potocki wyznał rzecz całą Grudzińskiemu, zapytując, jak postąpić, ten zaś, wierny dotychczasowemu panu, wyjawił plany Śmigielskiego.

„Już też i sam car do Lublina przybywał z jazdą wojsk, nieco dalekim marszem zrujnowaną i jako tryumfator ogromnie się zbliżał.“ Nasz pisarz bierze ztąd pochop do opowiedzenia sprawy, „o któréj cała Polska mówiła“, o pojmaniu i niewoli księcia Michała Wiśniowieckiego. Przed rozpoczęciem narracyi podaje charakterystyczne zastrzeżenie: „*lubo obligowany*, prawdę powiem, bo bez pasyi piszę.“ A daléj: „stanęła była — prawi — rada między bratem jego a nim jeszcze w Pińsku, i życzliwymi przyjacioły, aby książę hetman patrzał na rzeczy w okurencyach publicznych, żonę i dzieci do pruskiéj granicy odesławszy, do Wilkowiszek starostwa swego, co się po części stało, i ztamtąd miał się ogień zacząć.“ Od wykonania tego planu odwiodły księcia Michała zapewnienia Pocieja, „że miał od cara amnestyą, ręką jego własną podpisaną“ i zaklęcia „na rany Boże.“ Chciały też losy, że dumny Korybut wystawiwszy sobie wspaniały pałac pod Pińskiem, „od swoich murów nie chciał się oderwać“ i oczekiwał tu żony. Na ten błąd składa Pociej w swéj obronie całą winę katastrofy, ręcząc, że „gdyby był tygodniem pospieszył, nie zastałby był cara w Lublinie, pogodziłby się z Ogińskim i z gotową rzeczą byłby witał cara, a niktby na niego nie instygował.“ Inni utrzymują na odwrót, że Pociej mocno zawinił, upewniając księcia o amnestyi, choć nie miał jéj w ręku. Piotr wysłał ją wprawdzie Daszkowowi, swemu rezydentowi przy Sieniawskim, lecz cofnął po pułtawskiém zwycięztwie. Słuszna zatém uwaga autora, że „przódy należało mieć amnestyą u siebie, a potém pisać do niego, aby przyjeżdżał.“

Książę Michał zaufany w słowach Pocieja, nie przypuszczając nic złego, wybrał się w podróż wielce okazale, z licznem gronem przyjaciół. Już w drodze doszło go pismo Pocieja, radzące ostrożność; dla tego postanowił jechać daléj pod imieniem Olszańskiego, chorążego wołyńskiego „człowieka nieporównanego.“ Ten „poczciwy mąż“ radził księciu, aby się nieco wstrzymał w pochodzie, nadeszła bowiem wiadomość, że Piotr z Dubna dąży ku Włodzimierzowi, którędy i im jechać wypadało. Doradzał tedy Olszański „bardzo mądrze“, „aby było przerżnąć szlak a w prawą udać się i tym gościńcem choć z drogi ku Jarosławowi, albo Zamościowi iść“. w ten sposób bowiem nie potrzebowaliby się lękać ani Moskwy, ani stojącego pod Mielnikiem Sapiehy.

Ale rozsądny głos pana chorążego przemogła znowu rada księdza Gąsiewskiego, „który machinę robił.“ Ten wlawszy w księcia Michała zaufanie do Pocieja, nakłonił go do rychłéj wycieczki ku Lublinowi. Podążali więc „w sam szlak moskiewski“ bez przeszkody, aż w Orochowie podczas kucia konia niebaczny i gadatliwy pokojowiec zetknąwszy się z wojskowymi, zdradził się, „iż jest księcia a książę niedaleko jedzie.“ Ucieszony pożądaną nowiną oficer rosyjski poił sługusa „a on tém bardziéj prawił z prostoty.“ Wybadawszy go dostatecznie, uwiadomił porucznik o szczęśliwém zdarzeniu pułkownika, ten zaś kazał bez namysłu ująć księcia.

Wyprawiony w tym celu do Wiśniowieckiego major choć „z furyą“ wpadł do wsi, powrócił bezskutecznie, książę bowiem „złożył mu się pasportem Menżykowa.“ Pozostawionych w miejscu kilku żołnierzy, stanowiło raczéj „asystencyą, aniżeli wartę.“ Była jeszcze pora do wydobycia się z matni. Rozumny Olszański, odgrywający tu rolę książęcego anioła-stróża, radził umknąć co prędzéj i przewodnikom wydał już nawet rozkazy, aby nie szli daléj.

Ale na niczém spełzły najzbawienniejsze przestrogi, bo butny Korybut zaciąwszy się, ani chciał słuchać o ucieczce, aby mu późniéj nie mógł ktoś zadać trwogi i małodusznego tchórzostwa; lubił bowiem uchodzić za rycerza *sans peur et reproche* a słabość charakteru i chwiejność łączył z nagłemi, od czasu do czasu wybrykami uporu, któremu pragnął nadać pozory mocy i niezłomności ducha. To téż i teraz, „raz odważywszy

się, drugi raz znów nie", wmówił w siebie następnie, że nie powinien uchodzić, i żadne już prośby, ni zaklęcia nie zdołały go zmiękczyć. „Już był koń gotowy — czytamy — już przewodnik znaleziony, lecz gdy kogo Bóg chce skarać, rozum mu odejmie, bo książę niezmiernie uparty był, tak dalece, że należytego honoru upór z ambicyą nie pozwolił inaczéj."

Im większą zalecano mu ostrożność, z tém większą on pyszałkowatością urągał niebezpieczeństwu; nie wahał się nawet w szczupłém otoczeniu jeździć do szlachty na obrady. Radzili mu wszyscy, aby ujeżdżał, a dla osłonięcia jego popularnéj osoby, nastręczali się na przewodników i obrońców, lecz wszelkie ofiary odrzucał statecznie za niefortunnym podszeptem kanonika, polegając przytém na „jednym ze swoich, zdrajcy niejakim Tokarskim." Wysłał go do Pocieja z zapytaniem, „coby to za rzecz była i prosząc o przestrogę." Zapytany zawahał się i wedle naszego źródła „z Pawła odmienił się na Szawła, bo jako Ogiński zapadł był na zdrowiu, tak zrozumiawszy, że nie będzie żyć, dał się unieść nadzieją, podeptawszy obowiązki przyjaźni i odebrawszy od cara (!) słowo buławy przyszłéj, nie przestrzegł należycie i owszém zatrzymał Tokarskiego. Prosił z tém wszystkiém, aby księcia do Lublina przywiedziono, i czyli to przez politykę, czyli inną racyą nakierowano z nim ku Lublinowi, bo miasto Tokarskiego, kilka set Moskwy przybyło i wzięli w ciężką niewolę księcia."

Jeśli zatém całe opowiadanie dokładne, jedynym zdrajcą był ambitny Pociej, poświęcający przyjaciela dla spodziewanéj buławy, a nie zatrzymany przezeń Tokarski, którego nie wiadomo, dla czego tąż samą nazwą piętnuje autor*). Wzięto zaś Wiśniowieckiego pod ści-

*) W ciągu poszukiwań do znacznie późniejszéj epoki, zdarzyło mi się przypadkiem znaleść w archiwum wiedeńskiém ciekawą wzmiankę o Pocieju. Relacya hr. Wilczka z 3 stycznia roku 1733 podaje o nim szczegół, uzasadniający złe mniemanie autora pamiętnika. Poseł rosyjski, Löwenwolde, na stwierdzenie zdania, że w Polsce na nikogo liczyć nie można, „*erzählete mir (Wilczkowi), wie der verstorbene Grossfeldherr Pociey ehemals zu gleicher Zeit an den Czaaren in Moskau, an Augustum und an den Stanislaum Expresse abgeschicket und allen dreyen seine Dienste angetragen habe. Wie dann eben dieser sich bey Ihme befindende und nacher Lithauen abgeschickte Obrist-Lieutenant Darefsky, einer von diesen Expressen gewe-*

słą straż w Piaskach — za czyją sprawą, utrzymywano rozmaicie. Jedni twierdzili, że stało się to za radą Pocieja, inni zapewniali, że na prośbę pani Sieniawskiéj, „która dla utrzymania Sapiehy na buławie dziwne rzeczy robiła.“ Prowadzonego aż do Ostroga księcia Michała strzeżono tém pilniéj, że starszemu jego słudze udało się uciec z drogi.

Zwięźle a dosadnie maluje tu nasz pamiętnik sytuacyą. „W Lublinie — czytamy — car boszuje i codzień na traktamentach kolejno, atoli na Sieniawskiego nie dobry tak dalece, że się z nim Mężyk oczywiście przemówił. Ogiński coraz słabszy, którego wojsko car pod rządem Pocieja lustrował, i niezbyt mu się podobało, że szczupłe a Sapieha ułowiony nadzieją obietnicy Sieniawskiéj, że go miała utrzymać, która wszystkim czyniła, co tylko może być, nie żałując datku — kapitulacyą z carem (zawarł) i pułkownika swego posłał, którego z dobrą nadzieją dwór carski odprawił i amnestyą z strony dworu odłożono do obaczenia się.“

Czynił to wszystko Sapieha, nie mogąc znieść równego sobie na tronie. Gdyby był wedle przyrzeczenia połączył się ze Szwedem pod Glinianami, albo jak zapowiedział późniéj, pod Płockiem z Leszczyńskim i Józefem Potockim, „pewnieby mogli pojedynkiem zniósłszy Sasów, uderzyć i po Pułtawskiéj na Moskwę, która tryumfami omamiona, wlekła się dywizyami z wielką nieostrożnością.“ Ale dumny magnat wbrew wszelkim przyrzeczeniom, po długich korowodach „zdał się na dyskrecyą zwycięzcy i wybieżał do niego.“

Umarł właśnie Ogiński, którego już dawno na drugi świat wyprawiano, a przygotował się na śmierć „z wielką rekolekcyą.“ Spowiednika swego, Jezuitę, prosił na łożu śmiertelném, „aby suplikował Carowi o księcia, aby go wypuścił, bo na niego nieco instygował.“ Miał to być człowiek chciwy i próżny, o czém świadczy

---

sen und an Stanislaum nacher Frankreich abgegangen seye und solle er Pociey, als er befraget worden, wie er sich dann gegen die zwey andern, so er verlassen würde, verantworten wollte, wiedersetzet haben, die Zeit würde solches schon an die Hand geben; er müsse sich dahin lenken, wo er zum besten sein Conto finde.“ O Darewskim, ciekawym condottierze i agencie rosyjskim, choć z urodzenia Polaku, opowiem przy innéj sposobności.

całe jego życie, tak iż „dobrze go każdy nazwać mógł Curionem Litwy.“

Piotr zmierzał ku Toruniowi, „kędy przodem król stanął, zabawiwszy w Kujawach czas długi.“ Przybyło do pierwszego dwóch konkurentów o buławę, któréj się domawiali u obcego monarchy bez sromu, „ani się z tém tając“; byli to Pociej i Denhoff. Drugi przynajmniéj równocześnie „przy Wiśniowieckim obstawał żwawo“, lecz bezskutecznie.

Powitanie sprzymierzonych mocarzy było „miłe i wdzięczne.“ Wyjechali do miasta razem wśród „aplauzów.“ Licznym i świetnym był orszak towarzyszących im magnatów. Miał do króla dość długą w języku francuzkim przemowę książę biskup warmiński, Jędrzej Załuski, „z detencyi ankońskiéj świeżo wolny.“

Monarchowie odbyli w Toruniu tajną, „na pozór uprzejmą“ konferencyą; „Fleming od koligata namówiony, wbił carowi w głowę, aby dać pokój Pomeranii, o co nalegali Polacy, bo się bali zimówki moskiewskiéj u siebie.“ Za księciem Michałem wstawiali się wszyscy, „na co odpowiedź obojętna i do rady zawieszony skutek.“

Pospieszył na spotkanie dostojnych podróżników za innymi i Sapieha, starosta bobrujski. Witał ich na szkucie, ale z wielką trwogą, „ile gdy téj minuty, jak tylko wszedł na statek, kazał car odbijać i prosto do Świecia, gdzie go i król odprawował, popłynął.“ Płonnemi jednak okazały się obawy, gdyż Piotr przywiódł nawet swém pośrednictwem do zgody zwaśnionych, Sapiehę z Pociejem i Wołłowiczem.

Na ponowione w Świeciu za Wiśniowieckim prośby oświadczył Fryderyk August w imieniu cara, „że go na Radę stawi.“ Od Sapiehy zażądano natomiast, „aby wojsko oddał“ i kazano mu się pożegnać z nadzieją otrzymania buławy. Zniewolony do zrzeczenia się tyle upragnionéj godności, wyszukiwał środków uchylenia się od téj smutnéj dla siebie ostateczności, a mianowicie „wymawiał się, że nie miał z sobą pieczęci wojskowéj“, lecz widząc, że ten wybieg nie przyda się na nic, usłyszał bowiem szorstkie groźby i „blisko gospody swojéj soldatów obaczył“, uległ nieuchronnéj konieczności, zastrzegłszy sobie tylko niektóre warunki.

Król choćby był chętnie wstrzymał się jeszcze nieco z rozdawnictwem buław, na żądanie carskie oddał

Pociejowi wielką, polną zaś Denhoffowi, o którym teraz nie bardzo zgodnie z poprzedniemi swemi słowy powiada autor, że „niezbyt o to konkurował.“ Sławi tu również szlachetność świeżo mianowanego hetmana, okazaną w zabiegach około wyswobodzenia Michała. „bo lubo miał książąt Wiśniowieckich koligacye, ale bardziéj z przyjaźni uprzejmie o księcia starał się eliberacyą.“ Przemawiał on żarliwie, choć inni milczeli wtedy nawet, gdy brat więźnia, Janusz, poparty przez zaprzyjaźnionego z sobą Menżykowa, wręczył prywatnie list od księcia Michała.

Piotr lubo zagniewany, chciał z nimi mówić w téj sprawie, a widać było, „iżby mógł daléj postąpić“, ale Pociej i Wołłowicz wedle naszego źródła, jak gdyby pragnąc nie dopuścić do tego, „rzucili kwestyą o libertacyi dóbr swoich“, i tak ubili sprawę.

Dobiegła do Torunia wiadomość, że „odwód króla szwedzkiego za Bohem już książę Wołkoński zniósł.“ Przyszedł z tą wieścią do króla car z rozpromienioną twarzą. Należało korzystając z okazyi i z dobrego humoru Jego Cesarskiéj Mości, odezwać się za jeńcem, i król podobno „już się gotował“, ale znów na nieszczęście zepsuł wszystko Sieniawski, wyrywając się z prośbą za strażnikiem koronnym, Stefanem Potockim, „na którego był car niewymownie zawziętym.“ „A to tak — objaśnia autor — Sieniawski chciał był strażnikowi uczynić, jako *hasta Achillis*.“ Nie było już czasu przemówić za Wiśniowieckim, car bowiem „prędko się porwał“, nie chcąc słuchać o strażniku.

Sprawa uwięzionego senatora stała się na Wołyniu przyczyną dziwnie nietaktownego i niepatryotycznego kroku; to też nie dziw, że ztąd „Wołyńcy w cenzurę wpadli u dworu i u całéj Rzpltéj.“ Gdy Menżykow stanął w zagrabionem księciu podkomorzemu Lubomirskiemu Połonnem *), wyprawili doń uniżone poselstwo,

*) „Jako książę Mężyk zajachawszy Połonne, do nich się odezwał — czytamy w naszém źródle — tak oni do niego publiczne legacye wyprawili.“ Zdanie powyższe o tyle niedokładne, że Połonne zajechał książę przed kilku laty. Porusza tę sprawę Felicyan Junosza Piaskowski, podstoli podlaski, wówczas dworzanin księcia podkomorzego, tego samego, co się rozwiódł z Bokunówną, „która z królem Augustem swoje zachowywała komeraże“, w pamiętniku, wydrukowanym już w r. 1865, choć podobno nie

„uznając go za Polaka szlachcica.“ Królowi nie podobało się to tém bardziéj, że „przy nim tego poselstwa słuchał znany z próżności książę.“

Do Fryderyka Augusta przybyła legacya od ziemi pruskiéj. W imieniu towarzyszów przemawiał wojewoda chełmiński, Tomasz Działyński. Podobała się zgromadzonym, jego do smaku czasu zastosowana oracya. Zacząwszy od frazesu, że „błędne, nie błądzące, bo porzucone owce do pasterza przychodzą“, wywiódł koleje, przez jakie ostatniemi czasy przechodził rozdarty na wrogie partye naród, na zakończenie zaś życzył, „aby podobne drogi do Saxonii królowi zarosły“, to jest, aby już nigdy nie potrzebował uchodzić przed zwycięzkim nieprzyjacielem do dziedzicznego kraju. Pan Działyński chciał następnie z biskupem chełmińskim, Teodorem Potockim odwiedzić Menżykowa, ale ten „nie dał im audyencyi, dając racye, że ma zakaz od cara w tém swojego.“

---

puszczonym wcale w obieg księgarski. Pisemko to o 130 stronnicach, przy całéj naiwności swojéj, jest w niektórych ustępach cennym przyczynkiem do dziejów obyczajowości współczesnéj. Ciekawym jest między innemi opis ugoszczenia cara przez Lubomirskiego w Janowcu, gdy na czternastu szkutach napełnionych piechotą, płynął po Wiśle do Torunia. Przytaczamy z niego najcharakterystyczniejszy wyjątek: „Car zwyczajem swoim przed schodami prędko wysiadłszy, przez galeryą poszedł do pokojów najprzód marmurowych, widzieć malowania *al fresco* na sufitach, niektóre historye przedstawiających, a potém w pokoju średnim z ręki prawéj oglądał nad szufladowatym kominem malowanego słonia w expresyi niby żerującego z podniesionym nosem, dla bojaźni, aby mu tamże blisko wyrażona myszka w trawie pokazująca się, w nos nie wskoczyła, co in *Africa meridionali* często się wielkim praktykuje bestyom. Więc car, choć go mniéj uważnym zwano, za rękę wziąwszy pana mego, przyprowadził do tego słonia i zaczął explikacyą: *Słysz ty podkomory, słoń ten jest tak mocny i silny, jak Karol szwedzki, a ja jak hetaja myszka małochońkaja i kak ja mu wles w nos, tak jewo skrutił pod Pułtawaju.* Jakoż zaprawdę nieszpetna aluzya prostego zdania, że największemu rzecz najmniejsza zwykła szkodzić.“ Gościnność księcia podkomorzego, który się dla kompanii przykładnie upił, nie była bezinteresowną: „Wtenczas też pan mój darował Carowi JMci bat na sześć pojazdów, *alias* wioseł, malowany ślicznie z herbem Śreniawy Lubomirskich, przyczém prosił cara, aby Mężyk powrócił mu Połonne miasto, którego od lat kilku był *in possessione* a car ze wszelką wdzięcznością ścisnąwszy pana za szyję, deklarował, że w tym roku (jakoż dotrzymał) Połonne będzie mu oddane.“

Car JMć w Toruniu przed odjazdem w wybornym był humorze, szczególniéj względem kanclerza w. l., Radziwiłła, „aż do jego uprzykrzenia.“ Ale obruszył się srodze na Jezuitów, pomawiając ich niewinnie o przechowanie Francuza, imieniem Vimainé („Wimene“ czytamy w pamiętniku). Był to człowiek „zacnego rodu“, przy boku króla angielskiego, Jakuba, złożył dowody męztwa a przywodził kilku tysięcom Francuzów, „ale że coś zawinił ministrowi Króla JMci francuzkiego, wzięty jest do Bastylii *), z któréj w kilka lat wyszedłszy, trochę w głowę zaszedł.“ W tułaczce swojéj po dalekim świecie zabłąkał się i na dwór moskiewski, ale nie będąc z niego zadowolonym, „jako burakami żyjącego“, umknął i „pijany schował się w siano na górze jednego mieszczanina.“ Car podżegnięty jakoby przez Lutrów, w przekonaniu że „przytulili“ zbiega dla jedności religii Jezuici, wpadł do kolegium, w którém rezydował biskup chełmiński i inni, i kazał je otoczyć wojskiem. Szczęściem uniesiony szlachetnością Francuz, nie chcąc narażać niewinnych Ojców na carską zemstę, sam dobrowolnie wyszedł z ukrycia.

Z Torunia wyruszył Piotr do Kwidzyny, gdzie „koronat pruski“ już go oczekiwał; „tam dobréj myśli z nim zażył a oraz nową postanowił kolligacyą przez obiecane wesele, które na bezrok doszło.“ Był to niefortunny, tragicznie w niewiele dni po ślubie zakończony związek synowicy carskiéj, Anny Iwanówny, z siostrzeńcem pruskiego „koronata“, Fryderykiem Wilhelmem, księciem kurlandzkim. Ucieszony wreszcie przyrzeczeniem aljantów, że nie dopuszczą Szwedów do Polski „odwrócił od Pomorza intencyą“, a wojsku swemu wyznaczył stanowiska na Litwie i w Małopolsce.

Sasi pragnęli ułożyć się z carem i magnatami polskimi w sprawie przyszłych losów Rzpltéj, osobliwie „jakkolwiek materyą interregni pogładzić.“ W ułożonym przez siebie projekcie „przyjmują króla za króla a ogłaszają prymasowi, bo prymas ostrożny nie chciał przódy pana promulgować.“ Zauważa jednak autor, „że to nie był sposób rzetelnéj satysfakcyi“; jakoż spełzł bezowocnie.

---

*) W rękopisie: b a t a l i i.

Rozdał jeszcze król w Toruniu opróżnione dostojeństwa. Biskupstwem poznańskiém obdarzył księdza Tarłę, misyonarza, lubo ten bardzo się wymawiał od przyjęcia tak wysokiéj godności, łaknął jéj zaś silnie Aleksander Wyhowski, biskup lucki i „srodze był nie kontent“ z doznanego zawodu. Wiedząc o przemożnym wpływie Piotra W. na bieg polskich interesów, użył jego poparcia, lecz zamiast dopomódz zaszkodziło mu to, król bowiem wyjątkowo „w tém carowi powodować się nie chciał.“ W przytomności téż Piotra dał senat posłuchanie tatarskiemu poselstwu. Car śledził pilnie, czy poseł nie ma instrukcyi do Lasa, zamiast do Sasa i dla tego sprzeciwiał się udzieleniu mu audyencyi; dopiero Sieniawski przekonał go, że podejrzenie było nieuzasadnione. Nie należy jednak sądzić, jakoby Piotr względem Sieniawskiego dobrze był usposobionym. Księciu Januszowi, starającemu się o uwolnienie brata za pośrednictwem księcia Dołhorukiego, polecił nawet, „aby posłał do wojewody kijowskiego (Józefa Potockiego), wabiąc go i donosząc, że jeżeli ma jaki dowód rzetelnéj korespondencyi Sieniawskiego ze Stanisławem, tedy Rzewuskiemu wielką, jemu polną da buławę.“

Źleby może było z panem wojewodą bełzkim, gdyby owa propozycya była się pojawiła prędzéj. W chwili, gdy szukano Potockiego, on „doprowadziwszy do saméj granicy (pomorskiéj) króla, gdzie się rzewliwie napłakali, ruszył granicą ku Wołochom, chcąc górami do Sniatyna przebrać się.“

Jeszcze przed rozstaniem się z Leszczyńskim doznał bolesnego zawodu, bo brzydkiego odstępstwa ze strony prowadzonego przez Czarneckiego oddziału Lubomirskich. Złupiwszy szwedzkie bagaże, uszli oni do przejednanego już z Augustem księcia podkomorzego.

Potocki umyślił powetować świeżo poniesioną stratę pochwyceniem dwóch wielkich dam moskiewskich, bo saméj Carowéj JMci i księżny Menżykowowéj, które pod osłoną szczupłego orszaku stanęły w Koniecpolu. Ale o planie jego dowiedział się jeszcze dość wcześnie Goltz. Ten zaszedł wojewodzie drogę pod Ostrzeszowem. Zaskoczony niespodzianie Potocki, nie myślał próbować szczęścia w bitwie; zasięgnąwszy więc tylko języka, obrócił się z powrotem pod Odolanów, „aby za prze-

prawą błotnistą mógł mu się bronić.“ Można było dostać się na drugą stronę chyba tam, albo w Ołoboku „na Baryczy, bardziéj błotach, aniżeli rzece.“ Stanąwszy jednak za tą przeprawą, postąpił pan wojewoda z właściwą sobie lekkomyślnością, oto czując się bezpiecznym, nie postawił nawet straży przy mostach. Nic dziwnego, że ujrzał Goltza wówczas dopiero, gdy ten przeprawił się już przez rzekę. Waleczność polska naprawiła jednak złe, zrządzone przez polską niedbałość. Zastęp Potockiego „w błoto napędził gwałt Moskwy tak dalece, że sam Goltz do zameczku musiał się rejterować a drabanci króla Stanisława i Buchholz pułkownik ze swoimi ludźmi, dużo dogrzewali Moskwie.“

Gdy noc zapadła, wojewoda kijowski obawiając się słusznie większego zbiegowiska nieprzyjaciół, bo już nadciągali ze wszech stron kwarciani i Moskwa, wysłał przodem na Ślązk wozy a za niemi sam poszedł tak cichuteńko, że siedzący w odolanowskim zameczku Goltz dopiero około południa zauważył jego odwrót. W pogoń za uchodzącym wyprawieni kozacy, nie dopędzili już samego, ale złupili nieco tylne wozy.

Potocki szybkim pochodem dotarł do Krakowa. Namawiany przez wojewodzinę malborską (Przebendowską), aby przeszedł na moskiewsko-saską stronę, „exkuzował się przykładem księcia Michała.“ W Wiśniczu dognał go wysłaniec carski, mnich zakonu św. Filipa Nereusza, Olszowski, z wiadomém nam już zleceniem. Wojewoda kijowski oświadczył, że „nie ma w ręku dokumentów“ i domagał się spiesznego wyswobodzenia Wiśniowieckiego, „z tém wszystkiém dużo się był nakłonił.“

Jak obsaczony przez ogary odyniec, musiał uchodzić daléj z pospiechem „bo Goltz następował, a drugą stroną Wołkoński od Wołoch, Brzuchowiecki też za nim szedł i zniósł mu dwanaście w Samborze chorągwi.“

Nie było sposobu wydobyć się inaczéj z matni, jak przechodząc do Węgier, co też uczynił, a potrzebujący rycerstwa Rakoczy przyjął go otwartemi ramiony.

Spoglądając wstecz na upłyniony rok, przychodzi autor do przeświadczenia, że „był fatalnym dla wielkich ludzi.“ Świadkiem nietylko Wiśniowiecki, „lecz i po trochu strażnik koronny, (Potocki) ze wszystkiém od Moskwy zrabowany“, który zaledwie życie uniósł, „bo

gdyby był sam nie uciekł na podjezdku, byłby zabity nieomylnie.“ Nasz autor słyszał „od ludzi moskiewskich“, że Leszczyński przez niego „chciał mieć z Tatarami konszachty, bo tam bardzo strażnika kochali.“ Zgubiła go nie rzadka u nas chełpliwość, bo wysłany z listami do chana i murzów, „chlubił się“ tém wobec wielu osób. Doszła ta wiadomość do Sieniawskiego, który jako niechętny strażnikowi, podobno „dał znać carowi.“

Domorosły dyplomata okazał się tak nieostrożnym, że uchodząc, „nie popalił tych dokumentów, które w zabranych wozach znaleziono.“ Ocalał szczególném zrządzeniem Opatrzności, „bo na niego zdradą i komplementami godzono, tylko że bardzo z wielką ostrożnością list do niego pisał Mężyk; dla tego mu słusznie upadła suspicya i ostrożność szczęśliwa.“

Fryderyk August wyznaczywszy na rok przyszły walną Radę, wyruszył z Torunia do Saxonii. Rychły ten wyjazd nie nastąpił bez ubocznego celu. Pragnął chytry król, „aby Moskwa i Sasi bez jego dokuki Polsce dokuczali, a on aby sobie czas trawił w swobodzie.“

Potrącając o stosunki Augusta z Rzymem, wspomina pamiętnik o Albanim, „który dlatego do Drezna przyjechał, iż król Rzymowi będąc wdzięczny, obiecał syna swego w ręku Albaniego uczynić katolikiem.“ Nie szło to z początku łatwo, bo syn „za radą matki swojéj publicznie komunikował w zborze luterskim, z czego był niezmiernie Rzym nie kontent.“

A tymczasem biedny jeniec, ofiara cudzéj przewrotności i lekkomyślności własnéj, „jechał w smutku i desperacyi, opłakując dni fortuny swojéj.“ Pisywał on nieustannie do przyjaciół, ale ci mało dbali o niego. Tylko książę Janusz niezmordowanym był w zabiegach o uwolnienie brata; „wymógł on u Mężyka, że dał taki ordynans, aby gdzie go zastanie to pismo, tam czekał, bo się spodziewał Mężyk, że go zastanie około Kijowa.“ Ale wysłaniec nie zastał już księcia Michała w Kijowie, gdzie źle przyjęty przez gubernatora Galicyna, pozbawiony nawet szabli i otoczenia, z samym tylko chłopcem, z księdzem Gąsiewskim i niejakim Pilchowskim, zawieziony został do Moskwy. Tutaj przez dni kilka chodził jak gdyby był wolnym, zkąd urosło mniemanie,

że Galicyn nie miał rozkazu wysłać go daléj, lecz niebawem wtrącony do więzienia, miał dla siebie i towarzyszów tylko dwa pokoiki w budynku tak murem opasanym, że jeńcy tylko „nieba kawałek“ widzieć mogli.

Na dobitek „głód haniebnie dokuczał“ nieszczęśliwym, gdyż zabrakło im już funduszów, a dozorcy więzienia nie poczuwali się wcale do obowiązku żywienia tych, których trzymali w swym ręku. Zdawało się, że głodowa śmierć przerwie pasmo ich cierpień. Żyli już tylko z dwóch złotych, które ksiądz dostał w Smoleńsku na mszę, „kupiwszy za nie mizernego piwa i chleba.“

Powracający bezskutecznie z Kijowa posłaniec, niejaki Kulczycki, spotkał się w Janowcu z Menżykowem. Ten z uznania godną uczynnością zaopatrzył go w pieniądze i polecił odwieść księcia co prędzéj do Kijowa.

Kulczycki przybywszy do stolicy, „zastał pana wpół żywego“, ale nie zrozumiawszy dobrych w téj sprawie intencyi Menżykowa, wystawił go jako nieprzyjaciela Wiśniowieckiego, któremu oświadczył, że zupełnie wolny. Zawierzywszy słowom posłańca książę Michał, „ze dwa dni rysując Moskwę, niepotrzebnie bawił i aż trzeciego dnia ruszył.“ Zetknąwszy się w Głuchowie ze swym protektorem a poczytując go za swego wroga, siebie zaś mniemając zupełnie swobodnym, poczynał sobie z nim bardzo wyniośle i nawet wszczął zwadę po pijanemu. Na szczęście kniaź wytrzeźwiawszy, „mało co pamiętał“, a gdy Skorepacki i inni zaczęli w niego wmawiać, że „źle niewolnika traktował“, zakończyła waśń solenna zgoda. Wiśniowiecki przekazał Menżykowowi darem kilka przyległych do Połonnego wsi, za co ten przyrzekł mu „służyć szczerze“ i pocieszał go nadzieją rychłego uwolnienia dopóty, dopóki nie przybiegł doń rezydent od Pocieja. Wysnuto ztąd domysł, że ostatni „musiał rzeczy psować.“ Autor tém chętniéj daje wiarę pogłosce, że odtąd nie otrzymał żadnéj dla więźnia korzystnéj „noty“ gubernator Głuchowa, imieniem Ismael, człowiek „nieporównanéj godności“, były poseł do Danii i Szwecyi. Z Wiśniowieckim obchodził on się jak najszlachetniéj, mimo przeciwnych zleceń Galicyna.

Siedział zatém książę Michał w Głuchowie, a zacny ks. Janusz dla uwolnienia brata poruszał niebo i ziemię. Za jego staraniem domagały się u cara wyswobodzenia polskiego magnata Stany węgierskie i sam

cesarz, a król francuzki polecił swemu posłowi chodzić jak najpilniéj około téj sprawy.

Na wszystkie wstawienia odpowiadał Piotr wykrętnie, „iż Rzpltéj polskiéj będzie słuchał w tém prozby, aby go zaraz taż osądziła.“

Niemniéj i Lubomirski, „okropnie także omylony“, byłby pewnie dostał się do Moskwy, gdyby z drogi do Kijowa nie był zatrzymał się w Ostrogu, kontentując się niby asygnacyą do króla Augusta, bo tam sobie dług pretendował mieć Mężyk.“ Uniknąwszy szczęśliwie kaźni, „cicho“ w Brzeżanach „się lizał“, po stracie wszystkiego, co miał z ruchomości, „w tém godzien reprehenzyi, że na saméj granicy mieszkając.“

Doszedłszy do tego miejsca, spostrzegamy z niezmiernym żalem, żeśmy już stanęli u końca naszego pamiętnika, choć można się było spodziewać po nim jeszcze wielu ciekawych wiadomości. Autor, którego opowiadaniu zawdzięczamy tyle przyjemności i korzyści zarazem, urywa swą opowieść nagle, w środku zajmującéj narracyi, jak zręczny powieściopisarz, rzucający pióro w chwili, kiedy intrygę romansu najmisterniéj zawikłał a publiczność tak usposobił, że z upragnieniem oczekuje dalszego ciągu. Z przykrością więc i my składamy pióro, powtórzywszy tylko wiernie charakterystyczne zdanie, zamykające niniejszy pamiętnik: „Tak Moskwa z modestyą poczęła tryumf, co najznaczniejsze domy oprymując; jednego niewolą, Wiśniowieckiego — drugiego po kalecie, Potockiego, trzeciego po dobrach Lubomirskiego, lubo Car słowami korzył się przed Bogiem, jemu przyznając dank zwycięstwa.“

Rozstając się z naszém źródłem, powiedzmy raz jeszcze, że jest nieocenionym nabytkiem dla naszéj literatury pamiętnikowéj, pomimo że doszło nas w formie ułamkowéj i w lichéj kopii, pomimo, że nie dostaje nam dziś środków sprawdzenia wielu twierdzeń i posądzeń autora, których prawdziwość mogłyby dopiero wykazać nowe dokumenta.

Panicz i dziewczyna.

Niewydany dramat

Karola Szajnochy.

Czy przypominasz sobie, czytelniku, „Epilog do *Panicza i dziewczyny*“, ten krótki rozmiarami, lecz podniosły natchnieniem poemat Ujejskiego, z którego bije jakiś czar i wdzięk niewymowny, jakaś tęskna rzewność, daleka jednak od mdłego sentymentalizmu i rażącéj zawsze przesady?

Pamiętam, że gdym przed laty odczytał po raz pierwszy ten piękny utwór, w który 23-letni poeta wlał tyle uczucia i tyle zarazem klasycznéj prostoty, zapragnąłem gorąco poznać sam dramat, który go usposobił do tak świetnéj kompozycyi. Zdawało się, że to usilne pragnienie, jak tyle innych młodzieńczych chęci i marzeń, nigdy się nie ziści. W *Bibliotece Ossolińskich* z roku 1847 (zeszyt VII) znalazłem zaledwie drobny urywek sztuki Szajnochy, nie dający wyobrażenia o całości, a gdy mi następnie daném było zbliżyć się do autora *Maratonu*, usłyszałem od niego, że dramat *Panicz i dziewczyna* zaginął gdzieś może niepowrotnie, i zapewne tylko ślad w *Bibliotece* będzie o nim świadczył potomności. Już się przeto rozstałem z nadzieją zobaczenia go kiedykolwiek, gdy wtém, po wielu latach, rzeczywistość dała mi więcéj, aniżelim dawniéj marzył; bo oto slynny autor *Parafiańszczyzny*, Leszek hr. Borkowski, obdarzył mnie całym, tak upragnionym utworem, przepisanym do druku w kwietniu 1846 r. własną ręką Szajnochy.

Pięcioaktowy „obraz dramatyczny“, jak go nazwał autor, miał już razem z *Wojewodzanką Sandomirską* iść pod prasę nakładem Jana Dobrzańskiego, kiedy zerwanie stosunków między poetą-historykiem, a dziennikarzem, jak wskazuje list, przytoczony w biografii pierwszego (dodanéj do edycyi Ungra, str. 306), przecięło układy i skazało obydwa te płody dramatycznéj Muzy na tułactwo po szerokim świecie.

Pora, w któréj powstawał interesujący nas obecnie utwór, była porą ogólnego zajęcia się ludem i jego dolą, wprowadzenia go do literatury, nie już w sielankowych postaciach tkliwych pasterzy, ale w charakterze zbliżonym więcéj do rzeczywistości, ogólnie ludzkim. Spadały wtedy z chłopków i wiejskich dziewic stereotypowe, idyliczne obsłonki, w jakie ich ustroili poeci klassycznéj epoki, znikała także powoli fantastyczność romantyzmu, a uwolniona od tych obcych sobie naleciałości, wyswobodzona z krępujących ją więzów, wychylała się z pośród zielonych sadów nasza wioska, ukazując swoje prawdziwe oblicze. Zaczynamy już odtąd patrzéć na nią nie przez szkła, zabarwione staremi teoryami, zaczynamy ją malować nie wedle rojeń mniéj lub więcéj chorobliwéj imaginacyi; przeciwnie, pozbywszy się dawnych estetycznych uprzedzeń i przesądów, zdobywamy się na rysunek z natury, na przedstawienie jéj w rzeczywistém, choć często wcale nieidealném świetle, nie wyrzekając się jednak bozkiego tchnienia poezyi, ozłacającéj nawet zwykłe przedmioty i sprawy.

Najcenniejszém niewątpliwie dziełem tego kierunku w piśmiennictwie naszém jest Kraszewskiego *Ulana*, osnuta (w r. 1842) na tle prawdziwego zdarzenia, pełna w rozwiązaniu dramatycznéj grozy, w przeprowadzeniu zaś ludzkiéj i lokalnéj prawdy. Po raz-to pierwszy wtedy doczekała się wioska poleska tak wiernego, a zarazem wysoce artystycznego odtworzenia, po raz pierwszy mieszkańcy jéj przemówili właściwym sobie językiem. Z powieści płynie myśl szlachetna i piękna, nie psując jednak kompozycyi, bo autor przystąpił do pracy nie z powziętą z góry dążnością, nie jako doktryner lub reformator społeczny, noszący w kieszeni gotowe recepty na chorobę, a podający pacyentowi morał w pigułce, ale przedewszystkiém jako artysta, ożywiony serdeczną mi-

łością dla warstwy społeczeństwa, którą maluje. Nie narzuca on czytelnikom sensu moralnego, co zwykle tylko niesmak obudza, i dla tego właśnie odnosi tak wielki tryumf, usposabia do poważnego zastanowienia.

Szajnocha umiał niezawodnie odczuć prawdę psychologiczną, zawartą w tytułowéj postaci téj powieści, ale jego idealny nastrój umysłu szukał innego rozwiązania tak prostéj, a tak, niestety, często powtarzanéj intrygi; sądził bowiem, że rezultatem podobnego zawikłania może być co innego, aniżeli samobójstwo, nadto zaś pod wpływem skrajnych tendencyi, jakie wówczas panowały w kołach literackich, upatrywał zapewne w obrazku powieściowym Kraszewskiego zbytnią pobłażliwość dla „kasty uprzywilejowanéj.“ Należy pamiętać, że jest to pora, w któréj na bruku lwowskim wiały silnie prądy anty-arystokratyczne, z całą bezwzględnością przejawiając się w literaturze; że jestto epoka *Parafiańszczyzny* Leszka Borkowskiego, *Szpicruta honorowego* i *Salonu i ulicy* Józefa Dzierzkowskiego, i tylu innych utworów tegoż samego kierunku. Ówczesne wyższe sfery społeczeństwa polskiego w Galicyi zasługiwały niezaprzeczenie na surową naganę i chłostę; toż nie dziw, że umysły młode i gorące, widząc ujemne strony świata arystokratycznego, a równocześnie ogrzane powszechną wtedy i żywą, lubo dość sztuczną sympatyą dla klas niższych, zwłaszcza dla ludu, przedstawiały wzajemny do siebie stosunek różnych warstw w zbyt jaskrawém i jednostronném świetle, zapominając o tém, że dzieło sztuki nie znosi powziętéj z góry i z gorączkową namiętnością przeprowadzonéj antytezy, że wszelka przesada mści się na samym utworze. Autor *Bolesława Chrobrego* wyswobodził się wkrótce z pod tego jednostronnego wpływu swego otoczenia, co widać szczególniéj w redagowanym przez niego w kilka lat późniéj *Dzienniku Literackim;* ale około roku 1845, gdy pisał *Panicza i dziewczynę*, nie otrząsł się był jeszcze z tych naleciałości, i ztąd-to, składając niejako hołd panującemu gustowi, stworzył scenę niesmaczną, w któréj nie możemy poznać ani późniejszego historyka, ani poety, scenę, odbywającą się pomiędzy biedną, uwiedzioną dziewczyną, a rozpustnym paniczem, bezpośrednio przed ślubem bohatera sztuki.

I.

Panicz i dziewczyna rozpoczyna się na sposób sielankowy: szambelanowa, dziedziczka wsi, będącéj sceną dramatu, przejęta sztuczną, czułostkową sympatyą dla ludu, zamierza dać mu dowód swych niezwykłych względów, wybierając podczas uroczystości dożynków jednę z dziewczyn wiejskich na wychowanie do dworu. Fakt ten, który ona liczy sobie za wielką zasługę, staje się źródłem zawikłań, kończących się tragicznie. Nie przypuszczając, aby jéj krok mógł mieć zgubne następstwa, pewna owszém, że nad wyraz uszczęśliwi wieśniaczkę, wynosząc ją z włościańskiego poziomu do pańskiéj sfery, spełnia sentymentalna pani plan swój bardzo uroczyście. W chwili, gdy w głębi sceny zataczają beczki, ustawiają stoły i czynią przygotowania do uczty wiejskiéj, szambelanowa, chcąc dać włościanom „jawny dowód swéj łaski“, decyduje się „zbliżyć“ do nich mową i strojem; dla tego wychodzi wraz z siostrzenicą przybrana po wiejsku, i proponuje używanie ludowego „wy“, zamiast „pan“, lub „pani“, zapewniając, że lud „grzeczniejszy od nas i lepiéj rozumie ton konwersacyi, niż nasze salony“. Wiktor, „panicz“, zobaczywszy improwizowane wieśniaczki, nie może się oprzéć wesołości.

Co widzę! (woła) mama w kostiumie! dalibóg!
Ależ i Emcia za chłopkę przebrana!
Otóż z dożynków istna maskarada!

O tém, która dziewoja zamieni rodzinną chatę na pałac, ma los rozstrzygnąć, ale ślepemu losowi przychodzi w pomoc przezorny Wiktor za pośrednictwem starego sługi, Wojciecha, którego córeczka, Elżusia, wyciąga kartkę. Wchodzą do dworu wśród śpiewów żeńcy; z pośród ich grona występuje na przód piękna Zonia, zdejmuje wieniec z głowy, i oddając go dziedziczce, przemawia:

Przynieśliśmy ci plon
Ze wszystkich stron,
I z góry, i z podgórza,
Do dworu na podwórza,
A z podwórza do stodoły
A z stodoły do komory,
A z tamtąd znów na rolę,
Na rolę, nowe pole;

Aby, jak to Podole,
Każda skiba i gleba,
Bożego niosła chleba,
I było wszędzie syto,
I pełno, i obfito,
I złocisto, i lito,
I dla nas, i dla ciebie,
Daj nam to Boże w niebie!

Szambelanowa dziękuje uprzejmie, obwieszcza ludowi swą wolę, a widząc, jak dobrego przyjęcia doznają jéj słowa, mówi daléj:

Więc się rozstąpcie i poufném kołem
W jedno rodzinne otoczcie nas grono;
Przy takim akcie łaski i miłości,
Jak spólném czuciem serca nasze płoną,
Tak też i ręce niech się razem wiążą.

To mówiąc, wręcza Elżusi woreczek z imionami dziewcząt i każe jéj ciągnąć; szczęśliwą wybranką losu zostaje królowa wieńca, Zonia. Uradowany tém jéj ojciec, Onufry, w tkliwych wyrazach składa dzięki pani, ale brat, Duklan, stawia opór, bo mu matka na łożu śmierci powierzyła siostrę „i strzedz zleciła, jak źrenicy w oku.“ Nastaje chwila wahania się; sama dzieweczka, zagadnięta, czy woli iść do dworu, czy do rodzinnéj chaty, pasuje się z sobą, wybucha płaczem i skargą. Nie chcąc wywierać nacisku na Zonię, odzywa się Szambelanowa:

Nie dziw to, ludzie! Czuje ona biedna,
Że w téj tu chwili szala jéj żywota
Wstrząsła się nagle, i jak łódź nad tonią,
Na dwoją stronę waży się i chwieje,
To też i serce drży tak i truchleje...

Dla tego daje niezdecydowanéj dziewczynie czas do namysłu. Zonia, zostawiona sama sobie, walczy jeszcze, niepewna co począć. Z goryczą myśli o tém, że „pani ze dworu w łaskę się zabawia“, bo czuje, że „ona biedna sercem to przypłaci.“ Ach—woła—„zmilknij serce, lub zgaśnij pamięci!“ — jakoż zagasła w skazanéj na zgubę pamięć o zmarłéj matce, a serce nie przestaje nęcić „gdzieś z chaty, z domu, ku niemu, ku niemu!“

Właśnie gdy kończy te słowa, świadczące tak wymownie o trawiącéj ją namiętności, wbiega panicz i prze-

chyla ostatecznie szalę. Napróżno broni się dziewczyna, wołając: „matka między nami, matka na marach“; czar, ciągnący ją do świetnego młodzieńca, okazuje się silniejszym od tych wspomnień i od głosu sumienia. W jéj dziewiczych żyłach gore już trucizna, wlana namiętnym pocałunkiem pańskim wtedy, gdy goniąc za zwierzyną, ujrzał w lesie zbierającą zioła; odtąd nie zaznała już pokoju:

Rosa rosiła — tarń nogi raniła,
Dziewczyna przecież rada tam chodziła.

Odtąd tak silnie zawładnął jéj duszą, że równie trudném byłoby dla biednéj obronić się przed nim, jak przed promieniem, „co pada z góry na falę w strumieniu.“ Dziewczę u brzega „kładzie dłoń na falę“, w złudnéj nadziei, że go skryje,

A jasny promień z pod dłoni wytrysnął,
Wytrysnął wolno i na ręce błysnął,
I dłoń oświecił, co go więzić chciała.

Ale oto nowy kłopot dla panicza — Duklan domaga się natrętnie, aby i jego wraz z siostrą wzięto do dworu. Nie chce o tém słuchać z początku Wiktor, lecz ulega prośbie kuzynki, przeznaczonéj mu za żonę, panny Emmy, która nalega, aby nie rozłączał rodzeństwa. Hardy kmieć przestępuje pańskie progi z zamiarem czuwania nad czcią siostry, ale nie spełna szlachetnego przedsięwzięcia. Widzimy to zaraz na początku drugiego aktu, zastawszy Zonię siedzącą w ogrodowéj altanie przy popogrążonym we śnie paniczu. „Natrętny bąku, nie budź mi lubego“, mówi, opędzając śpiącego od owadów, a snać z książki, którą trzyma w ręku, czerpie pełną dłonią nowe myśli i pojęcia, bo pyta: czyż może być większe szczęście, „niż już na ziemi być komuś aniołem, sczarować na dół niebiosa, i bodaj chwilę przeżyć rajsko społem?“

Upojony szczęściem chwili, wpółsenny jeszcze, Wiktor odzywa się do téj, która go darzy taką rozkoszą i zachwytem:

Ja z snu jednego w drugi sen się budzę,
I widząc ciebie, na jawie się łudzę,
Jakbym był w niebie...

Na tak miłe wyrazy odpowiada rozpromieniona dziewczyna, że „i na jawie — to dworskie życie snem, czy niebem prawie.“

Ale w tym uroczym duecie miłosnym odzywa się przykry dysonans. Przebudzony zupełnie panicz przywodzi sobie na pamięć, w jak niemiłém znajduje się położeniu, i gdyby nie śliczna Zonia, trudno byłoby mu wysiedzieć w nudnym dworze, bo matka nakłania go do zaślubienia bogatéj kuzynki, a zadłużony kawaler nie ma wyboru. Sądził on, że wiadomość ta gromem uderzy w biedne serce oddanéj mu zupełnie istoty; lecz omylił się, — przeciwnie, nie zatrwożona wcale, pyta jedynie ze zdziwieniem:

Mogłyżby te śluby
Serca mię twego pozbawić, mój luby?

A o nic więcéj jéj zresztą nie chodzi, bo od pierwszéj chwili wiedziała, że tak być musi. Po pierwszém zobaczeniu panicza, naszła ją jakaś tęsknota „w wiszniowym sadzie przyszła i chodziła polem i lasem za nią i mówiła: — Gdyby téż chwilkę być panią! być twoją!“ Za ziszczenie tego pragnienia byłaby gotowa dać „dolę swoję.“ „A polna cisza — mówi daléj do kochanka — przenikła, co skrycie Szeptało w piersi tajne serca bicie, Zgadła, i ciebie przywiodła o świcie, I rozkazała dolę dać za wolę — I byłam twoją! jestem! — Niechaj więc Emma posiada twe imię, twój dom i dostatki... Nas darmo jasna zaręczyła zorza, Darmo w kwiat ziemia ubrała się boża, bezpłatnie nam przygrywał słowik, dodaje z rzewną melancholią,

Miesiąc przyświecał, a rosa płakała,
Że się już cała rozkosz nam przebrała
I nie ma odtąd szczęścia dla dziewczyny...

Spędzając z oka natrętną łzę żartem i śmiechem, mówi, że formalny ślub wyglądałby teraz jak drugie, złote wesele, którém się tylko kojarzą starcy nad grobem:

Wolę ja ciebie młodego bez ślubu,
Wolę ja twoje serce bez imienia,
Tylko to serce niech mi się nie zmienia!

Wiktor, zdziwiony na razie tém rozumowaniem, cieszy się, że jego kochanka, choć wieśniaczka z rodu, stała się taką „filozofką, jak gdyby prosto wróciła z Paryża“, nie przeczuwając nawet, jak głębokie uczucia kryją się w jéj piersi.

Cóż w tym czasie robi brat dziewczyny, który jéj strzedz przyrzekał? Maluje on sam najlepiéj stan swéj

duszy, która także nie zdołała się oprzéć dziwnym czarom, jakie ją opadły wśród pańskiéj sfery. I jemu podobnie, jak siostrze, wszystko się tu wydaje snem i złudą — daremnie próbuje się wyrwać z zaklętego koła. Osłabły, zniewieściały do niepoznania, woła:

Cały świat ten boży,
Co tam na polach tak wielki — wysoki,
Niknie bez granic gdzieś w dal i w obłoki,
Tu się jak drobne pacholę pokorzy,
Stroi i wdzięczy. Ów wiatr, co tam stepem
Pomiędzy ziemią a nieb szumi sklepem,
Tu ledwie dysze... Owi ptacy leśni
Tu się dopiéro w klatce uczą pieśni...
Płowy kwiat polny tu rozkoszniéj woni,
A owa lipa dzika, co w ustroni
Tak krzywo rosła, tu się pnie wyniosła,
I sama w rzędy ustawia się rada —
I całe życie jakoś w ład się składa,
I jakieś nowe czucia sercu rosną —
Coś mu tak rzewnie, tęskno i litosno,
Coś mu za wiele i czegoś nie staje...

To rozpamiętywanie własnego położenia budzi w nim smutne uczucia i gorzkie wyrzuty.

O, po cóż tutaj zaniosła mię dola!
Po cóż tu szedłem! Aby siostry bronić?!
Nie obroniłem! zamiast ją uchronić,
Sam w tę zwodniczą toń się zapatrzyłem,
I lgnę, przypadam ku tym dźwiękom miłym,
Co tak ułudnie nęcą ze dna — — Boże!
Nie daj mi wpaść tam!—wiem, po co tu jestem —
Wyrwę ztąd siostrę i sam wyjdę z duszą
Nazad do domu, pod strzechę, na rolę —
Jeszcze dziś! jeszcze dziś!

Ale i to postanowienie płonne — sztuczna i niezdrowa atmosfera dworu odurzyła kmiecia; dopełniła miary nigdy nie wyznana, tajona najściśléj miłość do cichéj, szlachetnéj Emmy. Téj jedynéj szczerze mu przyjaznéj osoby prosi on, aby jemu i siostrze wolno było powrócić do chaty, a zapytany, dla czego, odpiera:

Bo przytomność nasza,
Przytomność dwojga chłopskich biednych sierot
Na pańskim dworze i na łasce pańskiéj
Tylko zawadą. Oni niezrodzeni

Do tego szczęścia, a to szczęście od nich,
Jak od siermięgi ów jedwab' się plami.

Utraciwszy dawny hart, nawołuje siebie i siostrę do ucieczki, lecz niestety, za późno.

Wysoko (mówi) słońce stoi już na niebie,
Zbyt już wysoko poniosły nas dumki,
A my wciąż gnuśnie, jak w śnie południowym,
Leżym i marzym pod czarownem drzewem.
A słońce spada i cień coraz dłuższy —
Więc wstać nam wreście, i daléj co prędzéj
Precz z tego dworu!

Zonia w odpowiedzi na wezwanie mówi z lekceważeniem, aby szedł sam, gdy mu tak pilno, zapytuje z goryczą, „czemu baczniéj nie bronił siostry, przyszedłszy tu po to“ i wskazuje, że odgadła jego serdeczną tajemnicę:

Czemuż ty także nie zbędziesz téj burzy?
O, w jasnych oczach są leki na czary,
I jeden uśmiech uprzejmy odwróży
Całego życia uroki i mary;
A tu raj taki śmieje ci się, bracie,
I takie jasne oczy patrzą na cię...

II.

Nadchodzi dawno zapowiadany ślub Wiktora z Emmą. W przeddzień tego aktu odzywa się panicz do kochanki: „Mama wié wszystko, co jest między nami, I sama każe, abym ci doradził, Żadnego znaku żalu, lub niechęci Z tego powodu nie dawać. Ach, Zoniu, bądźże spokojną!“ Na to odpowiada dziewczyna z wysiłkiem: „Tylko mi nie każcie, Nie każcie z pańska być spokojną, cichą — A będę sama. Jakbym ja doprawdy O wasze pańskie śluby i tytuły dbała nieboga!“

Lubo wolny od skrupułów, na myśl jednak o tém, co ma nastąpić nazajutrz, Wiktor popada w głęboką zadumę, z czego korzysta szambelanowa, rozumiejąca doskonale stan jego duszy i mówi:

Patrz, jak on marzy! Jak on ciebie kocha!
Biedny Wiktorek! Emciu! Toż choć słówko
Przemów do niego!

Nie zawiodła się matka w rachubie, że syn dobrze odegra komedyą miłości; jakoż, godząc w jéj myśl, woła do narzeczonéj, która kocha płochego młodzieńca, lecz w jego sercowe zapały ku sobie nie bardzo wierzy:

Tyżeś-to, pani! O jakże się cieszę!
Właśnie o tobie marzyłem w téj chwili,
A tyś przede mną! Po raz pierwszy w życiu
Taka myśl piękna tak pięknie i szybko
Ziściła mi się.

Plany młodéj pary, mającéj zaraz po ślubie wyjechać na wojaż, boleśnie ranią Zonię. Usłyszawszy, jak szambelanowa woła z radością: „A teraz bez zwłoki, Na wierzch pudełka, walizy, tłomoki, I daléj w drogę!“ — mówi zawiedziona kochanka smutnie i ponuro:

W podróż! za granicę!
Na rok! dwa lata! Tylko ich oboje!
A ja tu zostać! Przeplakać dni moje!
I nie — nie płakać, ale być spokojną,
I tak, jak oni, w mowę gładką, strojną,
Owijać serce, jak tę lalkę w szmatki,
Jak trupa w całun — sadzić barwne kwiatki
Na grobie! — Cha, cha, cha! to snu maszkary.
(postrzegając Wiktora)
O pójdź, pójdź, luby! Zdejm ze mnie te czary!
Ożyw mnie! Obudź!

Ale panicz na namiętny uścisk dziewczyny nie odpowiada już uściskiem; odsuwa się od niéj, przestrzega, że matka w pobliżu i zapowiada, iż na długo przyjdzie im się rozstać. Uderzona tą wiadomością, błaga ofiara swego kata, by z nim jechać mogła i patrzéć nań chociaż z dala, przyrzekając, że „jak dziecię będzie cichą i spokojną, każe zamilknąć sercu, schować uczucia, jak ślimakowi rożki.“

Wiktor przyrzeka wyprosić to u matki, a szambelanowa poleca wieśniaczemu rodzeństwu jechać do miasta, gdzie się ślub odbędzie. Oszołomiony Duklan woła, wybierając się w drogę:

Hej, jeszcze ostatnią
Czarę wypiję z téj zaklętéj toni!
Hej, jeszcze raz się zanurzę tam na dnie —
A potém, potém niech padnie... co padnie!

Akt trzeci wprowadza nas do saloniku szambelanowéj w mieście, w chwili, gdy piękną, lecz melancholicznie usposobioną Emmę stroją do ślubu. Panna młoda czuje, że pada ofiarą brzydkiéj rachuby, a z trudnością tajony jéj smutek powiększa Zonia, deklamując tęsknie dumkę o sierocéj niedoli. Wiktor, bawiący gdzieś zdala od oblubienicy w wesołém gronie hulaszczéj młodzieży, powraca w końcu, rzuca się niedbale na sofę i woła cynicznie:

Wkrótce piąta. Człowiek
Jak pies zmęczony—a tu jeszcze ślub brać!

Zonia nadbiega z radosną dla siebie wiadomością, że młoda para po ślubie, zamiast w świat, ma znów podążyć z powrotem na wieś; ale panicz przyjmuje ją odpychająco i szyderczo, nazywa nudną i śmieszną, jakby dla odczepienia się od niéj jałmużną, rzuca jéj obietnicę posagu i każe wyszukać sobie męża-głupca.

Po jego wyjściu Zonia wybucha gorzkiemi słowy:

Miałabym nudzić, wolałabym struć się!
Struć się! Utoczyć téj krwi czarnéj z piersi,
Co mi tam teraz spiekła się w truciznę
I w jad téj żmii, co tam w koło serca
Wije się, wije i krew moję pije...

Łkającą rozpaczliwie zastaje brat, a choć dziewczyna zataja przyczynę płaczu i udaje obojętność, mówiąc: „O, łzy dziewczęce prędko osychają“, Duklan odpiera tonem silnego postanowienia: „Lecz nie tak prędko przygasa gniew brata ku temu, który siostrze je wycisnął.“ Czarny zamiar dojrzał już w jego duszy i czeka tylko na sposobność do czynu. To téż mówi:

...A jam już przebył tę ognistą próbę
Dworskiego życia i dworskich pokuszeń,
I choć bez serca, i choć już bez wzruszeń
Litości w sercu, wracam przecież wolny,
Wolny na pola, gdzie mi wicher polny
Do reszty serce wysuszy, zagłuszy,
Aby już śladu miłosierdzia w duszy
Nie pozostało, i była tak twarda
I tak okrutna, jako ich pogarda
I jak ta zemsta moja.

Dzikiego szału, jakim teraz płonie, nie zdolna już zażegnać nawet Emma, któréj łagodne i przyjazne wyrazy działały nań zwykle kojąco.

Tymczasem godzina ślubu nadeszła. Wśród zaproszonych gości zjawiają się i towarzysze hulanek pana młodego, a wraz z ich wejściem ogarnia nas atmosfera cynizmu i wyrafinowanego zepsucia. Jeden z tych panów zauważa szyderczo, że oblubieńcowi nie bardzo się spieszy, na co oświadcza drugi: „To już jawnie grzeszy; Na jego miejscu jabym drwił ze świata, Panna przystojna, młoda i bogata, A przytém głupia — czegóż chce u kata!“ Wchodzący do kolegów Wiktor, dla dostrojenia się do ogólnego kamertonu, przemawia z komicznym patosem: „Bracia! chwila blizka!“ Oktaw dodaje takim samym tonem: „Ostatnia chwila na ślub skazanego!“ Maryan nazywa go biedną ofiarą, a Emil woła: „Niechże więc ofierze W kwiaty i wstążki rogi kto ubierze!“ Wiktor, chcąc mieć porównanie zupełném, pragnie, aby i „ofiarnéj nie brakło libacyi;“ każe więc przynieść wina, choć wszyscy już podchmieleni. Wtedy nawet płochy Maryan woła z oburzeniem: „Czyś ty oszalał! Wnet szósta godzina, A ty nas poić myślisz!“ Ale młody pan mniema, że to będzie oryginalnie; wznosi więc „dawnych rozkoszy kawalerskich zdrowie“, ktoś inny pije zdrowie różnych bóztw, które czcił z kolei, „artystek, śpiewaczek, baletniczek i statystek“, z wymową pełną komicznéj werwy maluje romansowe stosunki z kapłankami Melpomeny.

Wśród takich toastów rośnie ochota złotéj młodzieży, a szampan leje się strumieniem. Zagrzany nim panicz, nasłuchawszy się opowiadań o awanturach współbiesiadników, mówi o nich z pogardą, jako o bardzo lichych i powszednich kąskach, a sławi ognistą, ślepą i pełną nieograniczonego poświęcenia miłość wieśniaczek, od ogólnych zaś uwag schodząc do szczegółów, opowiada historyą swego romansu z Zonią. Nie dość na tém; podniecony drażniącemi słowy Emila, zarzucającego mu przesadę, urządza „walną krotochwilę“, daje przyjaciołom przedstawienie, mające ich przekonać o potędze uczucia dziewczyny.

Wszystko się spełnia wedle zapowiedzi reżysera téj tragikomedyi. Posłyszawszy znaną dobrze nutę, która zwykle służyła za hasło do schadzek, Zonia wchodzi

do pokoju, gdzie złota młodzież ucztuje, a wskutek zmierzchu sądząc, że nie ma tam nikogo prócz kochanka, rozrzewniającemi słowy maluje smutny stan swego zawiedzionego serca. Ale któż wypowie jéj rozpacz i zgrozę, gdy się spostrzega wydaną na śmiech i urągowisko rozwiozłych ludzi, któremi się kończy ta scena, jak już wyżéj wspomnieliśmy, jaskrawa i wstrętna. Jak obłąkana, powtarza ona wtedy okrutne słowa zwodziciela i fantazyuje nieprzytomnie wśród wybuchów najsroższego bólu — podczas, gdy w kościele kapłan łączy dłonie państwa młodych.

W 4-tym akcie widzimy Zonię znużoną, w zaniedbanym stroju, w pobliżu rodzinnéj wioski, do któréj powróciła nocą i wśród burzy. Słowa jéj tchną rozpaczą i szałem; wyczerpawszy siły, upada na kamieniu i duma z głową na ręku opartą. Spotykają ją dziewczęta, idące o świcie w pole, i urągają jéj boleści za to, że jéj niegdyś zazdrościły. Jedna z nich pyta: „A ty téż, o Zoniu, nie pójdziesz tam z nami?“, druga mówi, natrząsając się: „Drzeć chwasty na roli drobnemi rączkami!“ Trzecia zachęca szyderczo: „No, pójdź-że, pójdź-że! Już gruda nie splami jedwabnéj sukienki“, a czwarta zapytuje zjadliwie: „Cóż! wciąż jeszcze gardzisz dawnemi drużkami?“

Zonia dotkliwych tych słów słucha obojętnie; czyż one były dla niéj tém, co kochanek, aby ją te szyderstwa teraz boleć miały: „po jego zdradzie nie ranią te strzały.“

Za dziewczętami idzie ekonom, dawniejszy konkurent nieszczęśliwéj; widząc przedmiot swych zabiegów tak sponiewierany i odarty, błogosławi Opatrzność, że mu nie dozwoliła ziścić dawnych życzeń. Dziewczyna, spoglądając za nim, mówi z goryczą:

O miły wdzięku wiejskiéj prostoty i cnoty!
Nie żal ci mego wstydu, ale żal nieboże,
Posagu i protekcyi za panną we dworze.

Ale czemuż-to, zniósłszy tyle, zadrżała nagle biedna! Oto, widząc nadchodzącego ojca, lęka się jego litości „i tych łez, co na starca jagodach zaświecą.“ Onufry wita córkę przekleństwem za to, że siwe jego włosy okryła niesławą i hańbą. Przeklęta przez ojca, od brata doznaje nieoczekiwanego współczucia. Du-

klan jéj oświadcza, że nadszedł już dzień zemsty i czas spełnić dawno powzięty zamiar. Zonia czuje, że śmierć nie minie Wiktora, jeśli ona nie zdoła temu zapobiedz; „lecz jakże zaradzić? — pyta siebie posępnie — mamże tu brata, czy kochanka zdradzić“? kochanka, który ją zgubił, czy brata, który sam jeden przytulił ją serdecznie, gdy wszyscy inni odwracali się od niéj!

W chwili, gdy nad tém rozmyśla, przechodzą głębią w towarzystwie ludu szambelanowa, „panicz“ i Emma. Zonia, patrząc na swego zabójcę, doznaje dziwnego uczucia, widzi, że mimo wszystko, dotąd go kochać nie przestała. „I nigdyż już — mówi z boleścią — nie zmilkniesz podłe serce! I choć przebite, bijesz wciąż dla tego, co ci śmierć zadał — i jak to kadzidło, za śmierć własnego na ogniu zniszczenia, zapach w płomienie ronisz.“

Duklan żąda od siostry, aby mu dopomogła do spełnienia zemsty, która ma być sroga, „i jak sąd Boga spaść nań w ciemności.“ W tym celu ma Zonia raz jeszcze zwabić kochanka na miłosną schadzkę w ustronnéj chacie, pełnéj dla niéj wspomnień rozkosznych. Dziewczyna przyrzeka, bo już powzięła szlachetny zamiar ocalenia niegodziwego panicza.

Przywołany przez nią pan Wiktor przeprasza kochankę, zaręczając że nie przypuszczał nigdy, aby się płochym „żartem“ tak uczuła dotkniętą, okazuje chęć do dalszego prowadzenia romansu i przyrzeka jéj wzajemną stałość na zawsze. „Wiem o tém, — odpowiada dziewczyna, udając, że jego obietnice przyjmuje za dobrą monetę, — tylko, mój kochany, bez przysiąg! Czyśmy jeszcze w téj porannéj porze kochania, kiedy słowik wiośnie na wieki nucić przysięgał miłośnie?“ A gdy Wiktor zaczyna ją pieścić, mówi, odsuwając go z lekka: „Tylko z daleka, niech się wprzód przekonam, czy to przypadkiem, Wikciu, nie kto inny, zamiast kochanka spoczął mi u łona...“ Ale tę gorzką aluzyą osładza mu wnet nadzieją, że znów kilka dni będą mogli przeżyć razem, „przeżyć, jak dawniéj, w ogniu i uściskach“; proponuje bowiem, aby udał, że jedzie na jarmark, po drodze jednak zatrzymał się w miasteczku i zaczekał na nią. Młodemu rozpustnikowi, który nigdy nie czuł pociągu do Emmy, uśmiecha się ta myśl, przystaje więc

z ochotą; aby go zaś żona nie zatrzymała, postanawia wyjechać jakoby tylko w sąsiedztwo, i dopiero z drogi donieść o zmianie projektu. Zonia wyprasza sobie jeszcze, aby jéj dał własny kapelusz i płaszcz jasny, by pod jego zasłoną tém bezpieczniéj mogła ukazać się w miasteczku.

Po odejściu Wiktora, pełnego otuchy i marzącego o przyszłych rozkoszach, mówi nieszczęśliwa dziewczyna gorączkowo, że już cały fałsz, „jak pszczoła żądło wyłoniła z siebie, jako jedwabnik całą pierś wyprzędła, i już jéj teraz, jak pszczole bez żądła, zginąć co prędzéj.“ Ona z radością zginie, bo i czémże byłoby dla niéj dalsze życie! A zgon jéj będzie expiacyą za grzechy i dwóch ludzi ocali, jednego od zbrodni, drugiego od śmierci.

Akt piąty i ostatni. Według objaśnienia autora: wązka, lesista okolica, w głębi opustoszała chata, pora nocna. Scena z początku pusta. Tylko z dala słychać jakąś dumkę na fletni, która wkrótce zamilka. Po chwili zjawia się w głębi postać, okryta jasnym płaszczem i szerokim kapeluszem, i znika w chatce, ku któréj skrada się niebawem Duklan. Postać w płaszczu, widząc go, wychodzi przeciw niemu. Wtedy zabójca rzuca się na mniemanego „panicza“ i uderza go potrójnym ciosem, mówiąc za każdém ugodzeniem: „To za siostrę! A to za Emmę, to zaś za mnie, wrogu!“ Biedna ofiara, przyjąwszy ostatni cios z rozkrzyżowanemi rękoma, słania się, i wsparta o drzewo, wymawia z natężeniem: Uciekaj!

Duklan, usłyszawszy głos siostry, staje osłupiały, a Zonia, odsłaniając płaszcz, odzywa się z wysileniem przedśmiertném:

Tu jestem, bracie! dopełniłeś ślubu!
W twoje-to ręce oddała mnie matka,
Ty mnie jéj znowu wracasz czystą, świętą,
Bo ukaraną. Kara już spełniona.
Z tą krwią czerwoną, co mi płynie z łona,
Niech wszelka wina upływa i ginie —
I niech tu żadna kropla już nie płynie!

Bratu każe uchodzić co prędzéj, bo Wiktor już ostrzeżony o jego zamachu, po czém kona, majacząc na temat uczucia, które ją nawskróś przenika.

Rozpacz Duklana nie zna granic; zamiast usłuchać ostatniéj rady umierającéj siostry, zatrzymuje się na miejscu i woła głosem ogromnym, że chce skamienieć, aby ludzie wiedzieli „że tu brat siostrę zabił!“

Na ten krzyk zbiega się tłum ludu, a własny ojciec każe występnego syna związać i oddać w ręce sprawiedliwości.

III.

Taką jest treść dramatu, którego podaliśmy zaledwie suchy szkielet, nie wdając się w jego estetyczny rozbiór i krytyczną ocenę, ani téż nie zastanawiając się nad tém, o ile tragiczny finał Hugonowskiego *Le roi s'amuse* wpłynął na rozwiązanie niniejszéj kompozycyi, bo to obecnie nie miałoby już celu, a utwór ten, przyznajemy, pod niejednym względem ułomny, zasługuje na uwagę przedewszystkiém dla tego, że zaznacza jeden stopień w rozwoju tak znakomitego talentu, jakim był Szajnocha, i rzuca niejakie światło na jego społeczne przekonania około roku 1846. Dla tego téż, nie mając nadziei, aby młodzieńczy utwór autora *Jadwigi i Jagiełły* doczekał się kiedykolwiek druku, bo podobno sam Szajnocha zamiar ten w późniejszych latach stanowczo porzucił, a rodzina niezawodnie wolę tę uszanuje, uważaliśmy za swój obowiązek zapoznać publiczność choć pokrótce z jego osnową.

Sądzimy jednak, że powyższe sprawozdanie nie byłoby zupełném, gdybyśmy w związku z treścią dramatu nie podali epilogu, skreślonego świetném piórem poety, którego z autorem *Panicza i dziewczyny* wiązały węzły serdecznéj przyjaźni. Jesteśmy przekonani, że nam za to wdzięczny będzie czytelnik, który teraz dopiéro zrozumie niejeden ciemny mu dotąd ustęp w pięknym poemacie Ujejskiego. Za jego więc łaskawém pozwoleniem przytaczamy następujące strofy, drukowane po raz pierwszy w roku 1846 w *Dzienniku Mód Paryzkich*.

Dziewczyna z prawéj strony:

O senna siostro! o czém ty marzysz
Z zwróconą ku gwiazdom twarzą?

W milczeniu nocy czy tak się skarżysz,
Jak białe róże się skarżą?
Głosu twojego tłum nie posłyszy,
Zrodzi się w ciszy, i zginie w ciszy,
Jak łza, co serce wypłacze...
Ale był słowik, co twoję spowiedź
Schwycił natchnieniem — więc ci odpowiedź
Śle przez me usta prostacze.
O senna siostro! nie skarż się więcéj,
Choć cię na ziemię zepchnięto,
Aby cię szorstkie porwały ręce,
A potém rzuciły — zmiętą.
Nie skarż się, nie skarż! kwiat co swą wonią
Wiał nad niewdzięczną, weselną skronią,
I wiądł śród pijanych śmiechu,
Lepszą miał dolę, niż ten, co głazy
Obwijał majem, aż mu się płazy
Wylęgły w brudnym kielichu.
Lepszą miał dolę, kto przypadł kwiatem
Na serce bliźnie z wróżbą szczęśliwą,
Niż ten, co wzgardził Bogiem i światem,
I wyrósł chwastem — pokrzywą;
Niż ten, co bratni odstąpił wieniec,
I ściera z czoła wstydu rumieniec,
Choć słońce patrzy nań ostro;
Niż ten, co tarnią stanął wśród drogi,
By bronić świętych pielgrzymów nogi...

. . . . . .

Dziewczyna z lewéj strony.

Na kurhanie nad krynicą
Smutniała kalina,
Z zapłakaną tam źrenicą
Uklękła dziewczyna.

Leciał krasny ptak do wody
I ujrzał kalinę,
Wyszedł z strzelbą panicz młody
I ujrzał dziewczynę.

— Oj, kalino, nocą ciemną
Daj mi jagód swoich!
— Oj, dziewczyno, pójdź, pójdź ze mną
Do pałaców moich.

— Pełne krwi jagody u mnie,
To krew z nich wytryśnie.
— Już ten moim będzie w trumnie,
Kto mnie raz uściśnie.

— Oj, Kalino, tu usiędę,
By ci wiecznie śpiewać.
— Oj, dziewczyno, ja cię będę
Na sercu ogrzewać.

I nagięła się kalina
Do ptaka krasnego,
I skłoniła się dziewczyna
W ramiona lubego.

Nie wiem, jakim pan wyrodny
Pozbył ją sposobem,
Dość, że uciekł ptak swobodny
Z zakrwawionym dziobem.

Dziewczyna z prawéj strony.

Dość tych pieśni, bo one po wierzchu
Płyną żywota, jako lekkie łodzie...
Ileż tam walki w jego głębin zmierzchu,
Ileż tam dziejów na to dno osiada,
Choć gładkie niebo na wodzie!
Pieśń ma, jak nurek w tę głębinę wpada,
Długo się między straszydłami wije,
Długo się błąka w koralowym lesie,
Nim się na skałach rozbitych rozbije,
Albo wam perlę wyniesie.
Mnie duch nieznany kładzie w usta słowa,
Wyrzec je muszę na zaklęcie jego,
Sercem przeczuwam, co nie pojmie głowa —
Jam jak ptak morski, co przed niepogodą
Śpiewa, a nie wie, dla czego.
O senna siostro! i twą duszę młodą
Dopóki trzymał jasny duch w niewoli,
Życiem, jak pieśnią, igrałaś do woli;
Lecz gdy go światy uniosły jaskrawsze,
I tyś umilkła na zawsze.
Jakże się dziwnie ludzkie życie gmatwa!
Pokój nas czeka tam, na drugim brzegu —
Niebo nam świeci — to przeprawa łatwa —
Więc się rzucamy szereg po szeregu,

A morze cichą pogodą nas mami —
Ciche, choć płynie naszą krwią i łzami!
I ciebie, siostro, długo fala niosła,
Niby w kolebce bez steru i wiosła.
Z ufnością krwawéj oddałaś się fali,
Myśląc, że barwę wzięła od korali;
A ona ciebie z muszlami i z pianą
Na brzeg rzuciła z piersią roztrzaskaną.
O życie ludzkie! W zamian za cierpienia,
Coż ty nam dajesz? Nic, tylko marzenia —
Nic, tylko krótkie sny —
Z świętéj miłości i z poświęceń wielu,
Z wielkich nadziei, i z wielkiego celu
Nic — tylko krew i łzy.

Głos z góry.

Każda myśl wielka przebywa męczarnie,
Zanim ją ludzkość ogarnie;
A serce ludzkie nie maż boleć w łonie,
Zanim je wieczność pochłonie?

Dziewczyna z lewéj (podczas, gdy dziewczęta ciało Zoni na mary składają i liściem obsypują.)

Lekko, lekko — w krzyż jéj ręce
Załamcie w pokorze,
A ja piosenką poświęcę
Jéj liściane łoże.
Niechaj marzy senne łono
Śpiewno i zielono.

Chór. Śpiewno i zielono! —

Niechaj się tam biednéj prześni,
Że usnęła w strachu,
Przy słowika nocnéj pieśni,
Przy leśnym zapachu,
Że usnęła bez miłego,
Czekając na niego.

Chór. Czekając na niego.

Gdy spuścicie ją uśpioną
Do cichego doła,
To niech twarzą obróconą
Pogląda do sioła,

Czy nie wyjdzie kto z wieczora
Od białego dwora.

Chór. Od białego dwora.

A gdy zbudzą ją anieli,
Na swém łożu siędzie,
I krew ujrzy na pościeli,
To jéj zdać się będzie,
Że gdy miły ją uścisnął,
Sznur korali prysnął.

Chór (oddalając się z ciałem Zoni.)

Sznur korali prysnął. *(Muzyka żałobna.)*

Poniatowscy.

Pod tytułem *Die Poniatowski* *) ukazała się książka, zwracająca na siebie uwagę okazałością wydania; tekstu jest w niéj jednak zaledwie tyle, ileby się na dwudziestu kilku ściśle zadrukowanych stronnicach pomieścić mogło. Nazwał ją autor historyczno-genealogiczném badaniem, lubo niemal wyłączną jéj treść stanowią wypisy z tych szczupłych źródeł, jakiemi autor rozporządzał. Tłómaczone wyjątki z Dyaryusza Samuela Maszkiewicza, Amosa Komeniusza, z Paprockiego, Niesieckiego i z *Voluminów legum* wraz z dodanemi do nich krótkiemi uwagami, składają się na tę publikacyą.

Najobszerniejszym jest pierwszy rozdział, noszący napis: O tytułach w Polsce. Spodziewaliśmy się znaleść w nim rozprawkę na ten temat, lecz i tutaj spotkaliśmy znowu wypis, bo przekład znanego listu Jana Firleja, pisanego około roku 1604 do syna. „Ażeby o ile możności — mówi pan Szymanowski — uniknąć wszelkiéj subjektywności, autor zamiast dać krótki wstępny rozdział o pojęciu szlachectwa w dawnéj, samodzielnéj i jeszcze siebie świadomej Polsce, woli raczéj przedłożyć mu w wiernym przekładzie wysoce charakterystyczny list Jana Firleja, podskarbiego wielkiego koronnego do syna, który się kształcił w Ingolsztacie.“ Jakkolwiek zdaje nam się, iż rzecz ta nie wiąże się bezpośrednio z przedmiotem, przyznajemy, że wybór był wcale szczęśliwym, a piękny i ważny ten zabytek, przełożony umie-

*) Eine historisch-genealogische Untersuchung, von Oswald Korwin Szymanowski. Genf, Verlag von Theodor Müller, 1880, Str. 64 in 4to.

jętnie, nietylko da obcemu czytelnikowi pewne wyobrażenie o polskiém szlachectwie, lecz nadto będzie miał dla niego urok nowości. To wszystko natomiast, co następuje na dalszych kartkach, nietylko dla polskiéj, lecz i dla niemieckiéj publiczności nie będzie miało téj zalety, bo w zwięzłém streszczeniu mieści się w ogłoszoném przed pięciu laty dziele profesora Roepella p. n. *Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts*, które autor zna i cytuje, z którém polemizuje niekiedy w drobnych kwestyach.

Z polemiki téj nie wypływa nic nowego i dodatniego; pan S. nie posunął sprawy ani o krok daléj, cofnął ją nawet, jak to zaraz wykażemy, nie znając materyałów, które się ukazały już po wyjściu książki Roepella. Że Ciołkowie należeli do starych rodów, rzecz to powszechnie wiadoma, niemniéj, że Poniatowscy herbu Ciołek występują już w XVII wieku; ale téż wynika z podanych w tém dziełku cytatów, że aż do XVIII stulecia nie wznieśli się po nad poziom prostéj, żadnym zaszczytem nie odznaczonéj szlachty. Ażeby Ciołkowie Poniatowscy mieli jakikolwiek związek ze sławnym włoskim rodem Torellich Montechiarugullo, na to brak zupełnie wskazówek; pierwszy o tém wspomina Wielądek, któremu sam pan Szymanowski słusznie odmawia wiarogodności. Równie oszczerczém jest twierdzenie przeciwników familii, jakoby ojcu jego należała się poprzeczna belka w herbie Sapiehów — jak fałszywém zdanie pochlebców, iż protoplastów kasztelana wypada szukać w Italii. Do tego samego rezultatu byłby niezawodnie przyszedł pan Szymanowski, gdyby był znał pamiętniki Stanisława Poniatowskiego, ogłoszone przez piszącego z rękopisu w *Przewodniku Naukowym i Literackim*. Nie znając tego najważniejszego i najwiarogodniejszego świadectwa, ucieka się do tak słabych argumentów, jakie spotykamy na str. 56—58. Wolno mu kwestyą uważać za nierozstrzygniętą, wolno mu oburzać się na Lelewela i na innych pisarzy, którzy owego włoskiego pochodzenia Poniatowskich nie chcą traktować na seryo, a utrzymują, że w Polsce przed stu laty śmiech wzbudzało — lecz nie godziłoby się pozwalać sobie tak gwałtownych wycieczek przeciw pisarzom, wyznającym inne zdanie, jak to widzimy na str. 24. Zauważył tam słusznie autor, że Mickiewicza nie można poczytywać za powagę

w kwestyach historycznych, lecz niezadowolony tém, mówi daléj: „Był on, jak wiadomo, przejęty nieposkromioną próżnością; i tak, gdy na jego cześć w r. 1831 urządzili bawiący w Dreźnie Polacy ucztę a pewien młody wielbiciel w toastowém przemówieniu ogłosił go za największego poetę wszystkich ludów i wszystkich wieków, Mickiewicz skłaniając się z wzruszeniem, zawołał skromnie: „Ale i Dante!“. Przytoczywszy ostatnie słowa po polsku, tak je pan Sz. tłómaczy na język niemiecki: „*nun, Dante war gerade auch kein Stümper*“. Daléj prawi jeszcze autor więcéj o próżności wieszcza i jego arystokratycznych aspiracyach, a to wszystko w tym celu, aby dowieść, że Mickiewicz starał się o ile mógł, zmniejszyć sławę domu Poniatowskich.

Pozostawiamy uznaniu samego pana Szymanowskiego ocenienie, czy się godziło brać tego rodzaju odwet za różnicę w zdaniu na twórcy *Pana Tadeusza* i powtarzać w obec cudzoziemców bajeczne podanie, uwłaczające pamięci największego z polskich poetów; mamy zaś nadzieję, że w dalszych swych pracach zechce odstąpić od podobnéj taktyki w polemice nietylko już z takimi olbrzymami, jak Mickiewicz, lecz nawet ze zwykłymi śmiertelnikami.

Autor widać smakuje w poruszaniu kwestyi, nie należących do rzeczy, zwłaszcza jeśli są natury drażliwéj. I tak ostatni ustęp p. n. *Nachlese*, temu jedynie usposobieniu zawdzięcza swój początek. Pan Szymanowski oświadczywszy tu ponownie, że pogłoska o nieprawém pochodzeniu dziada ostatniego króla polskiego jest fałszywą, dodaje: „Natomiast jestto rzeczą całemu światu wiadomą, że sam Stanisław August nawet w najwyższych sferach kobiecych od młodości cieszył się niezwykłém powodzeniem“ i opowiada o jego synu, generale Michale Cichockim, zrodzonym z pewnéj księżny, oraz o procesie, jaki prowadził, chcąc być uznanym za prawowite dziecko swéj matki. Skoro już autor odchylił zasłonę i popełnił, jak sam mówi, niedyskrecyą, nie będzie zapewne od rzeczy wspomnieć, że pomiędzy rękopisami biblioteki Ossolińskich znajdują się akta tego procesu, a nawet oryginalne listy Stanisława Augusta, z których widać, że tak Cichocki, jako téż jego siostra, Szwanowa, byli dziećmi króla (nr. inwentarza 2605 i 2606).

Stanisław August interesował się żywo losem obojga i przesyłał im prócz stałéj pensyi dość częste pieniężne zasiłki po kilkanaście, kilkadziesiąt i więcéj dukatów. W pierwszym z kolei liście z dnia 3 stycznia 1793 mówi do syna: „Szkoda, że wychodzić chcesz koniecznie ze służby; trudno mi będzie Ciebie znowu wprowadzić do niéj. Niechże wiem, jak się w tém finalnie determinujesz... Fundusz ja Ci mogę pomnożyć ten, co go już masz u mnie, byle się moje własne okoliczności poprawiły. Bądź téż pewny, że Cię nie opuszczę.“

Jak dalece wchodził król w szczegóły życia swych dzieci, świadczy list z dnia 9 maja roku 1795, pisany do Leduchowskiego, kasztelana lubaczowskiego, którego niepodobna przytoczyć w całości. Znając położenie państwa Szwanów, jest on zdania, „że tyle już mając dzieci, nie powinniby życzyć sobie mienia ich więcéj.“ Do takiéj opinii pobudza go głównie troska o wątłe zdrowie córki, któréj zaleca, aby zamieszkała przy klasztorze Klarysek lub gdziekolwiek indziéj, lecz w bliskości najlepszych lekarzy; tym nakazał jak najgorliwsze staranie o chorą. Do tegoż Leduchowskiego pisze z Grodna 8 sierpnia t. r., że przeznacza 500 dukatów „na poratowanie JPana Szwana i wyprawę onego do wiosek jego“; z syna nie bardzo był zadowolony, bo mówi: „Gdy WPan masz już pasport przy sobie dla majora Cichockiego, to Ja zezwalam na Jego przybycie do Warszawy, ale nie do Grodna, lecz z tym dodatkiem, żebyś mu WPan napisał, że Ja żadnych jego nowych długów opłacać nie będę, ani go bronić, jeżeli najmniejszą da okazyą nowego na siebie nieukontentowania teraźniejszéj zwierzchności warszawskiéj“.

Niebawem awansował Cichocki, bo w dniu 28 października t. r. pisze doń król już jako do pułkownika: „Prawda jest, żem był niekontent z tego, żeś bez pozwolenia mego odjechał z Wiednia. Obawiałem się oraz, żebyś przez bytność swoję teraz w Warszawie, znowu nie dał okazyi przykrości jakiéj i dla Ciebie samego i dla mnie. Lecz kiedy mam pewność, że się w Warszawie tak będziesz zachowywał, abyś żadnéj okazyi nie dał ani komendantowi, ani żadnemu z Moskalów do nieukontentowania, to już zezwalam, abyś tam bawił spokojnie przy siostrze. Tylko mi napisz exacte: wiele dłu-

gów zostawiłeś w Wiedniu? jak wiele pieniędzy z swojéj pensyi tam zostawiłeś na opłacenie tych długów? i z czegoż teraz żyjesz w Warszawie? i czyli masz stancyą blisko siostry i gdzie? i czy z nią razem jadasz i razem gospodarujesz? Oznajm mi tudzież, czém się bawisz? bo próżnowanie zupełne byłoby dla Ciebie, jak dla każdego człowieka, najgorszém niebezpieczeństwem. Jeżeli chcesz czytaniem się zabawiać, to się udaj do X. Albertrandego, aby ci pozwalał w Bibliotece czytywać; a na to, żeby Ci dał to pozwolenie, pokaż mu to, co tu do Ciebie w tym liście piszę. Radbym jednak wiedział, w jakim gatunku czytania chciałbyś się aplikować: czyli w historyi, czy w wojażach, czyli w fizyce, czyli w książkach, do kunsztu wojennego zgodnych? W każdym z tych gatunków X. Albertrandi będzie Ci mógł najlepiéj poradzić, co po czém metodycznie masz czytać. Jeżeli do geometryi, matematyki, fortyfikacyi i artyleryi chcesz się aplikować partykularnie, to nietylko z książek możesz się w tych naukach doskonalić, ale i nauczyć się rysunku tak do zmierzania na polu, jak do robienia planów i map pod metrem jakim, o których możesz się dopytać u Pana Generała Wodzińskiego, bo tam jeszcze pozostali podobno metrowie od kadetów, albo od Pana Generała Deybla od artyleryi, ponieważ podobno Schüller jeszcze jest w Warszawie. Jest téż jeszcze w Warszawie ludwisarz mój, Dütrich, to i wiadomości o ludwisarskiéj sztuce możesz od niego nabrać. Nakoniec, gdybyś się partykularniéj do geografii i robienia planów chciał aplikować, to Cię w tém najlepiéj może nauczyć mój geograf, Perthées, a do początków kapitan Czapski, pod nim pracujący. Gdybyś do architektury cywilnéj chciał się aplikować, poproś albo Kubickiego, albo Kamsetzera, albo Merliniego, żeby Ci dawali lekcye. Tylko razem wszystkiego nie zaczynaj. Obierz sobie już jedną drogę, żebyś do téj się szczerze aplikował, a jak którego metra ugodzisz na miesiąc, to mi napisz. Ja Ci dam na to, i na kupienie reiss-ceuchu, kolorów, tuszu, penzlów, papieru etc., bo bez tego trudno geometryi albo inżynieryi się uczyć.

„Temu zaś wierz, że Cię zawsze w sercu i pamięci mojéj zachowuję. Siostrę pozdrów odemnie, i niech wiem, czy zległa, i jak się ma? *Vale et me ama.*“

W liście króla z 6 stycznia r. 1796 czytamy: „Nie

dziwuję Ja się, że WPanu niecierpliwość dokucza przez niewiadomość i niepewność przyszłego losu, ale wspomnijcież na to, że Ja sam jeszcze niczego nie jestem pewien. Spodziewam się wprawdzie, że już niezadługo ta niepewność moja zamieni się w jasną wiadomość, ale póki to nie nastąpi, to każda obietnica moja byłaby próżną, i mogłaby się stać szkodliwą dla każdego tego, któryby się na niéj fundował. Więc uspokój się, czekaj, a tego bądź pewien, że ani o Tobie, ani o siostrze Twojéj nie zapomnę. Tymczasem zaś posyłam Wam sto dukatów na teraźniejsze, jeśli macie jakie, naglące potrzeby; tego mi zaś WPan nie mów, żebyś 25 duk. nie mógł się obejść na miesiąc, ile gdy wraz z siostrą żyjesz. która ich ma 30. Wszak Was stancya i opał nie kosztują, a wieleż to jest oficerów i generałów, nawet i żonatych i dzieci mających, którzyby się za bardzo szczęśliwych mieli i z połową tego, co Wy macie. Ale jeszcze raz mówię: będziecie mieli więcéj, i będzie mi bardzo miło dać Wam więcéj, i to co dam, ubezpieczyć; ale nie prędzéj, jak gdy będę sam miał. Co się tyczy długów WPana wiedeńskich, wszak te już zupełnie są spłacone, a na warszawskie już wypłacił Watson 65 dukatów, a resztę successive spłacać będzie; więc już to WPanu nie cięży. O ożenieniu zaś, pewnie lepiéj uczynisz, gdy nie będziesz się z tém spieszył, póki Twoj los nie będzie ustanowiony, a że Twój los pójdzie za moim, więc kto wie, czyli WPan nie gdzieindziéj, jak w Polsce swoje życie trawić będziesz, a i dla tego samego lepiéj się z ożenieniem nie pospieszyć."

Pan pułkownik prowadził życie hulaszcze i burzliwe, za co go nieraz strofuje król po ojcowsku. „Dobrze jest — pisze mu z Grodna 12 maja 1796 r. — żeś mi się z tego baliku wyexplikował. Strzeż się też prócz expensowych pokus, i takich pokus, któreby Cię na Wołoszczyznę ciągnęły, lub na jakąkolwiek robotę w gatunku takim, któryby Cię do Szpandau zaprowadził w tropy tych, których świeżo z Warszawy tam powieziono." Stanisław August, dowiadując się o coraz nowych długach młodego utracyusza, z któremi się przed nim taił, aby nie zastraszać ojca, mówi: „Czemużeś mnie od razu całkiem się nie wyspowiadał? Niechże teraz już nie będzie nic utajonego. Wcześnie Ci zapowiadam, że jeżeli teraz jeszcze cośkolwiek zataisz, to

choćbym Ja się potem dowiedział o tém, już tego opłacać nie będę właśnie dla tego, jeżeli zatajsz".

Pod dniem 20 października 1796 roku posyła król swym dzieciom na drzewo „dukaty złe i oberznięte, bo sam lepszych nie dostaje", poczem mówi: „Ale dokładam przykaz najwyraźniejszy, abyście nikomu wcale nie powiedzieli, żem Ja Wam dał na drzewo, ponieważ jest koło trzech set osób w Warszawie, którzy mię o drzewo proszą, a Moja możność teraźniejsza żadnym sposobem na to nie wystarcza, tak dalece, że samemu JPanu Kickiemu k. k., drzewa nie daję, i wszystkim negative o drzewo odpowiedziałem. Gdyby tedy dowiedziano się, że Wam daję, toby wszyscy krzyknęli: a czemu nam nie?"

Zapewnia daléj pułkownika, że go nie opuści i „szczerze kocha", zaleca mu jeszcze „trochę cierpliwości" i pozdrawia „od serca" panią Szwanową, która się rozwiodła z mężem. W dwa miesiące późniéj (18 grudnia) pisze również z Grodna: „Coraz bardziéj się zbliża ten termin, w którym Ja WPana przybliżę do boku mego. Bądźże spokojny i nie psuj sobie zdrowia przez zgryzotę i niecierpliwość. Siostrę pozdrów odemnie, i bądźcie pewni Oboje, że jestem dla Was zawsze z nieodmiennem sercem i najprzychylniejszy."

Czy owo zapowiadane powołanie Cichockiego nastąpiło istotnie prędko, nie wiemy, bo jestto ostatni już list Stanisława Augusta do pułkownika.

Biskup Krasiński w r. 1787.

Uprzedzony zachwalającemi wzmiankami kilku dzienników, z żywém zajęciem wziąłem do ręki książkę pana Falkowskiego p. t. „Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce.“ *) Szereg obrazów z niedawno minionéj przeszłości krajowéj, bo z XVIII i początku XIX wieku, skreślony na podstawie przeważnie nowych materyałów, listów i rękopiśmiennych pamiętników, to rzecz dla każdego miłośnika dziejów ciekawa i ponętna. Same źródła wprawdzie, choćby najcenniejsze, nie wystarczają jeszcze, jak nie wystarcza sama materya, przybierająca dopiero pod ręką sztukmistrza piękne kształty — potrzeba nauki i talentu, aby z nieforemnego kamienia olśniewający swym blaskiem klejnot wyrzeźbić; w podobnych zaś do niniejszego wypadkach potrzeba przynajmniéj takiego zapasu wiedzy, aby znalezione źródła dawniejszemi wyjaśnić i uzupełnić, aby co najmniéj już wiedzieć, do kogo odnoszą się wykryte przez nas dokumenta.

Bo i jakąż, pytamy, korzyść mógłby np. wyciągnąć beletrysta, nieobeznany z dotychczasową literaturą wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, gdyby mu się udało wynaleść całe archiwum, odnoszące się do téj epoki? Thiers lub Sybel gospodarowaliby w niém jak we własnéj szufladzie notatek, ale jakby sobie radził z tą zdobyczą człowiek, którego myśl w dziedzinie historyi nie wychodziła po za obręb podręczników?

*) Tom I. Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego, 1877. 8o. 344 stron.

Nie przypuszczaliśmy zrazu, aby p. Falkowskiego trzeba było policzyć do rzędu szczęśliwych, lecz niezasłużonych wybrańców fortuny, ale chwilowe złudzenie musiało wkrótce ustąpić miejsca przykremu rozczarowaniu. Nie chcę przez to powiedzieć, aby mnie książka pana F. nie zajęła i abym żałował chwil nad nią spędzonych. Nie, gotowem nawet zachęcać każdego, aby ją odczytał od początku do końca, a dozna bez wątpienia niemało prawdziwéj przyjemności, wiele się z niéj nowego dowie i niejednego nauczy.

Wymienione powyżéj zalety publikacyi nie bronią jéj wszakże od bardzo ciężkich zarzutów. Moglibyśmy ich wyliczyć nie mało, ze względu jednak na szczupłe ramy sprawozdania, w którém nadto pragniemy wyłuszczyć pewną nową sprawę, ograniczymy się do szczegółowego wytknięcia jednego tylko, lecz wielce rażącego fałszu. Pan Falkowski dopuścił się przewinienia wcale nierzadkiego w naszéj literackiéj republice, stał się winnym zadziwiającego lekceważenia czytelników, do których przemawia.

Zdawałoby się, iż nie jest to zbyt wygórowane żądanie, by każdy autor bodaj w ogólnych zarysach, jeśli już nie więcéj, znał przedmiot, o którym pisze. Na nieszczęście zapominają o tém dość często w kraju, gdzie dyletantyzm króluje wszechwładnie, gdzie nieraz wyrokują o wartości pism historycznych ludzie, co historyą znają z *Weltera* i z *Wieczorów pod lipą*, a dziś jeszcze z całą powagą rozprawiają o rokoszach gliniańskich (historyczne!), skoro im się zaś przypomni, co o tém przed stu laty trzymał ś. p. Naruszewicz, niezmięszani ułatwiają sobie odwrót wytartym frazesem o zgubnym wpływie krytyki, odzierającéj dzieje z poetycznego uroku i wywracającéj wszystko w swym burzącym pochodzie...

I pan Falkowski nie bardzo się trudził nad studyami historycznemi, wziął się do dzieła bez przygotowawczéj pracy, bez badań, bez znajomości źródeł, oprócz tych, które mu wpadły w rękę przypadkiem. Pojmujemy teraz, dla czego nie nazwane po imieniu osoby, powierzając mu swoje papiery familijne, domagały się ogłoszenia, że „*nie biorą żadnéj solidarności* z jego sposobem zapatrywania się na wypadki i ludzi, bądź z publicznego, bądź z prywatnego stanowiska;“ nie pojmujemy tylko, dla czego udzielając mu ich, nie za-

żądały, by zamiast tworzyć dość sztucznym sposobem obrazy, ogłosił raczéj same tak ciekawe materyały, jak listy Krasińskich, księżniczki Maryi Radziwiłłówny, późniejszéj matki twórcy *Irydyona, rękopisne* (sic) pamiętniki Józefa Krasińskiego, wojewodziny Nakwaskiéj itd.

Byłby się wówczas ustrzegł tak uderzających błędów, jak ów, który popełnia przez kilkadziesiąt stronnic, od trzeciéj począwszy, okazując dziwną niewiadomość w rzeczy całemu światu znanéj, a obchodzącéj najściśléj bohaterkę jego opowiadania. Trudno to doprawdy wierzyć, że p. F., rozpisując się szeroko i długo o Zofii z Krasińskich, *primo voto* Tarłowéj, *secundo* Lubomirskiéj, nie wie, jak się nazywał pierwszy mąż téj pani i zamiast Jana, wojewody sandomierskiego, wymienia Adama Tarłę, który zginął w głośnym na całą Rzplitę pojedynku, że opowiada cały przebieg sprawy, choć bardzo słabo, w błogiém przeświadczeniu, że tu chodzi o małżonka Zofii...

A przecież z pierwszego lepszego podręcznika byłby się mógł dowiedzieć, że ubóstwiany przez gmin szlachecki Adam zaślubił w kwiecie wieku nie młodziuchną i hożą dzieweczkę, lecz podeszłą w leciech osobę, bogatą wdowę po hetmanie Chomętowskim, i że dla tego, zapominając o swéj pani, nadskakiwał w niebudujący wcale sposób pięknéj Anusi Lubomirskiéj, zkąd powstała zwada, o czém wcale nie wie nieobeznany z przedmiotem i dla tego wszystkiemu dziwiący się autor.

Przykład ten może służyć za miarę w sądzie o naukowém przygotowaniu pana F. To téż wszędzie w rażący sposób występuje na jaw nieumiejętność podłożenia tła, pod ciekawe zkądinąd szczegóły, wydobyte z rękopiśmiennych źródeł, ztąd ułamkowy sposób opowiadania. Najlepiéj jeszcze pod tym względem przedstawia się Napoleon w roku 1806 i 1807, jakkolwiek szanowny autor szedł tu prawie wyłącznie za drukowaną korespondencyą cesarza. Gdy mówi o téj epoce, czujemy, że jest więcéj w swoim żywiole, że ją zna lepiéj, jeśli nie z piśmiennych źródeł, to niejako z tradycyi i ztąd więcéj panuje nad przedmiotem, podczas gdy w dwóch innych opowiadaniach przedmiot panuje nad nim wszechwładnie. Dla tego mimo uporczywych pretensyi do lekkiego, niemal romantycznie efektowanego tonu, nie są to bynajmniéj *obrazy*, jak obiecuje tytuł, ale mniéj lub

więcéj obszerne wyjątki z wymienionych materyałów, uzupełnione takiemi wyciągami z niektórych druków, jak np. znanych pamiętników Koźmiana, — *Rysu dziejów porozbiorowych* Morawskiego i niewielu innych. A wszystko to związane nicią parafrazy luźnych szczegółów lub pospolitą a pretensyonalną frazeologią grzeszącą w dodatku tu i owdzie dość niepoprawną polszczyzną.

Czasami nie rozumie autor znaczenia słów, przez siebie cytowanych, jakkolwiek innych o to samo posądza. Tak przytoczywszy ciekawy list biskupa Krasińskiego do Zofii z Krasińskich Lubomirskiéj, z 20 sierpnia 1787, dodaje z przekąsem: „Nie wiem czy księżna wiele z tego listu zrozumiała“ (str. 79). Możemy zapewnić p. Falkowskiego, co mu wcale nie uwłacza, że w każdym razie więcéj rozumiała niż on, bo wtenczas wszyscy mówili o sprawie, poruszonéj w biskupiém piśmie. Musiała przeto wiedzieć o niéj, choć sprawy publiczne były dla niéj obojętne, czego chwalić żadną miarą nie można, choć zasklepiwszy się samolubnie w ciasnéj skorupie familijnych interesów, w najboleśniejszych dla ogółu chwilach nie poczuła żywszego uderzenia serca. Niezupełnie pozbawiona szlachetniejszych, ogólnie humanitarnych popędów, nawet wobec włościan, których w ciągu czteroletniego sejmu gnębił ucisk rozłożonego po wsiach żołnierstwa (str. 80), trzyma jednak starannie swe uczucia na wodzy, szafując niemi tylko w rodzinném gronie. Najulubieńszém dla niéj zadaniem, niemal namiętnością, było kojarzenie stadeł w swém kole. Autor zapewnia, że „miała wysokie wyobrażenie o świętości małżeństwa,“ a na stwierdzenie tego zdania przytacza z upodobaniem jéj słowa: „ufundować nową familią, jakaż to zasługa przed Bogiem,“ ale silniéj od słów powyższych brzmi nam rada, dana przez dostojną panią Józefowi Krasińskiemu: „Dołóż mu przytem na boku odemnie, że jeśli się kiedy zakocha, *to niech się bierze do swojéj jejmości jak dragon!*“ (str. 58).

Nie myślimy podawać charakterystyki księżny, choćby znacznie odmiennie wypadła, niż u p. F. Powiedzieliśmy, że pani Zofia mimo niezbyt chwalebnéj obojętności dla spraw publicznych, więcéj pojmowała, o co chodziło biskupowi kamienieckiemu, aniżeli sam

szanowny autor. Nie trudno tego dowieść, bo pan F. nie umie nam wcale wymienić okoliczności, wśród jakich działy się rzeczy, w owym liście opowiedziane, nie umie wyjaśnić, dla czego to w Kamieńcu zachodziły takie zmiany. Nie żądamy wcale, aby o tém wszystkiém miał dokładne wyobrażenie, ale moglibyśmy się domagać, aby wiedział tyle przynajmniéj, ile mógł zaczerpnąć z przedostatniego tomu (V) Morawskiego. Przeczytawszy niewiele kartek z téj książki, byłby umiał powiązać zawarte w liście szczegóły z współczesném położeniem i wypadkami, byłby wiedział, że panowała wogóle w narodzie, a przynajmniéj w rządzie, dążność postawienia kraju na obronnéj stopie, — że w tym celu np. wbrew tradycyjnéj praktyce, rozpuszczano co roku pewną część wojska, a powołując natomiast nowych rekrutów, zwiększano ludność, usposobioną do orężnéj walki, — że Katarzyna II, zachęcona powodzeniem Patiomkina i Suworowa na wschodzie, ścieląc sobie drogę do Carogrodu, zawezwała Stanisława Augusta do zaczepno-odpornego przymierza, że w tym celu pospieszył król do Kaniowa, że zresztą, okazując się skłonnym do takiego traktatu przeciw Porcie, szedł tylko za radą, udzieloną przez Roussa konfederatom barskim w słowach: „skoro znów wybuchnie wojna między Turkami a Rosyą, ta zaś wezwie was, Polacy, do przymierza, kwapcież się wówczas, nie tracąc okazyi do wprowadzenia w życie pożądanych reform.“

Wytknęliśmy właśnie ten, a nie inny wypadek niewiadomości autora, by korzystając ze sposobności, wyjaśnić bliżéj sprawę na podstawie oryginalnych koresponcyi króla, brata jego prymasa (Michała) i biskupa Krasińskiego, udzielonych nam łaskawie przez pana Kaliksta Orłowskiego, który je odziedziczył w spadku po dziadzie, zacnym generale Józefie Orłowskim, komendancie nasamprzód Kamieńca po Wicie, następnie zaś Warszawy w r. 1794, żołnierzu i literacie.

Zdaje się, że w porze królewskiéj podróży do Kaniowa, oświadczył biskup gotowość popierania całą duszą zamiarów królewskich, tj. ufortyfikowania Kamieńca Podolskiego. Stanisław August jeszcze przed wyjazdem (a więc przed 23 lutego) wydał różne w tym samym celu rozporządzenia, a mianowicie pragnąc doznać ustępstw ze strony osiadłego licznie w twierdzy duchowieństwa,

rozkazał wyprawić listy do Rzymu, dla porozumienia się z generałem zakonników i z papieżem. Donoszący o tém biskupowi w dniu 27 kwietnia Prymas pisze w dalszym ciągu: „Szepnąłem cicho Bakałowiczowi (wyprawionemu z królewskiego ramienia do Kamieńca), aby jeżeli zniesienie Trynitarzów i Karmelitów nie będzie koniecznie potrzebne, tych konserwować; pierwszych z przyczyny, że ich fundusz i dla pomocy więźniów przydatnym być może, drugich, że podobno piękny bardzo mają mieć kościół, a przytém jednego wielkiego domu, właśnie ta sama prowincya (zakon) ustępuje na szpital generalny w Krakowie.“

Od téj pory rozpoczyna się serdeczna korespondencya między starym Barszczaninem o biskupim pastorale, a dawnymi jego przeciwnikami, królem i prymasem. Wprawdzie utrzymują z sobą związki arcy-sekretne, książę Michał wysyła nawet list przez umyślnego do pocztmistrza w Krasnymstawie, aby ten „jako w swoim interesie dojechał do Lwowa“ i wręczył pismo Krasińskiemu „cichuteńko“ — a biskup znacznie później pisząc do Wołoszyńskiego, oświadcza: „widzieć się życzyłbym sobie z księciem prymasem, ale *nigdy w Warszawie*,“ gotów natomiast zjechać do niego na wieś. Na to odpowiada prymas: „uskutecznienie tego projektu bardzo będzie dla mnie miłe.“

Prymas w owéj epoce krzątał się nader żywo około dobra publicznego; jako przewodniczący komisyi edukacyjnéj, wespół z ukoronowanym bratem dokładał usilnych starań w celu dźwignienia oświaty w kraju, łożył koszta na dwadzieścia kilka szkółek parafialnych, usiłował podnieść handel i przemysł, zajmował się gorąco sprawą ufortyfikowania kresów.

Po kaniowskim zjeździe nietylko nie ustają Poniatowscy w zamysłach uczynienia znowu z Kamieńca silnéj twierdzy, lecz nawet tém raźniéj przystępują do ich spełnienia. Prymas w liście do Krasińskiego, datowanym z Warszawy 17 maja 1787 pisze, że reskrypt monarszy, „najlepiéj go informować będzie o intencyach i sposobach exekwowania tychże intencyi dobrego króla, który chciwie się chwycił zbawiennéj i oświeconéj rady J. W. Pana, wykonania któréj nie mógł w lepsze ręce powierzyć, jak samemu autorowi.“

Widać ztąd, że biskup sam wystąpił z propozycyą naprawy Kamieńca, a ponieważ myśl ta sprzyjała planom Stanisława Augusta, więc skwapliwie korzystając z oświadczenia ex-konfederata, uczynił go wykonawcą swych zamiarów. Dalszy ciąg prymasowskiego listu, odsłania politykę warszawskiego dworu i stosunek do Stolicy Apostolskiéj tak samego gabinetu, jak i obydwóch książąt Kościoła. „Codziennie się spodziewamy — pisze książe Michał — z nuncyuszem jakich wiadomości od J. W. Pana, które nuncyusza postawią w sposobności dania według rozkazów papiezkich ostatnich zleceń zakonnikom i J. W. Panu, o którym, że byłeś autorem tych myśli (tj. usunięcia mnichów) naturalnie domyślać się możesz, żem się nie zwierzył Rzymowi, ani nuncyuszowi, któryby był może o kogo innego oparł exekucyą onychże. Nic także dotąd nie wspomniałem i wspominać nuncyuszowi nie będę o reskrypcie i ułożeniu onego, w którym *dla tego letkie tylko czyni się wspomnienie o umówieniu się z papieżem, nic nie wzmiankując o interwencyi nuncyusza, ażeby sobie w podobnych przypadkach rąk nie wiązać i w naglejszych potrzebach, albo gdzieby trudności od Rzymu zachodziły, własną powagą potrzebne wydawać dyspozycye*, do których J. W. Pan autoryzowany wraz z kolegami tym reskryptem, będziesz umiał jak najzręczniéj i najlepiéj rzeczy ułożyć, jako oświecony biskup a niemniéj gorliwy senator i Polak, całość i honor swego kraju kochający.“

Wyraża też prymas nadzieję, że obywatelstwo kresowe zamiast się oglądać na króla i skarb, samo nie będzie szczędziło ofiar, wiedząc, „że lepiéj jakąś cząsteczkę majątku lub więcéj na ratunek Ojczyzny ochoczo ofiarować w równéj proporcyi, niżeli przez ociąganie się poniewolne wszystko lada dzień utracić razem z wolnością, coby łatwo nastąpić mogło, gdyby żywo nie profitowano z tych momentów.“

Król ze swéj strony pisze do biskupa d. 25 maja z Wiśniowca, gdzie stanął w powrocie z Kaniowskiéj wyprawy. Wyraziwszy żal, że „z powodu nieprzewidzianéj, a nagle nastąpionéj okoliczności, odjąć sam sobie musiał zamierzonego ukontentowania bytności w Kamieńcu i tam powitania powtórnego w własnéj katedrze godnego biskupa,“ wypowiada pełne ufności przekonanie,

że Krasiński będzie umiał zużytkować załączony reskrypt „w taki sposób, który ojczyźnie bezpieczeństwo i pożytek, mnie satysfakcyą, W. Panu honor przyniesie, a nikomu sprawiedliwego uskarżania się nie da przyczyny.“

A daléj tak mówi: „Objekt téj imprezy, jako prawdziwie patryotyczny, przez to samo wiem, że zagrzewać będzie duch W. Pana do skutecznego uchylania wszelkich zawad, wykonaniu jego przeszkadzać mogących, i że powaga, roztropność a wymowa W. Pana to łatwém być pokaże, coby dla innego nie przebytém być mogło.“

Szczegółowiéj myśli pańskie ma wyłożyć oddawca listu; król tylko jeszcze we własnoręcznym przypisku, dodaje te charakterystyczne słowa: „gdy przezorność W. Pana będzie wynajdowała fundusze, dotychczas prawie niewiadome, bądź W. Pan upewniony, że na misye prywatne strwonić ich ja nie pozwolę, ale jedynie na pożytek zmocnienia fortecy one obracać będę.“

Biskup Kamieniecki nie zasypiał sprawy, nie zawodził położonego w sobie zaufania. Stanął niebawem „projekt ulokowania mniszek, szkół z mieszkaniem dla profesorów, i koszar,“ zredagowauy ze szczególną bacznością na dobro twierdzy, z którego przytaczamy wyjątki. „Dominikanów — czytamy tu — nieuchronnie przenieść potrzeba z Kamieńca, albo podług dawnego ułożenia do Latyczewa, lub teraźniejszego do Baru, na miejsce Karmelitów... Dominikanki przenieść na miejsce Dominikanów. Dla opędzenia kosztów reperacyi muru, potrzeba uchwały ze strony komisyi, aby fundusz cały mniszek i każdéj w szczególności posag był autentycznie wynotowany na fortecę, gdy zaś wszystkie wymrą, cały fundusz na tenże poszedł koniec. Szkoły, kolegium i oba kościoły, stary i nowy, pojezuickie, obrócić na koszary, bardzo potrzebne w blizkości bramy polskiéj.“

„Trynitarzów, ile do czasu tylko być mających w Kamieńcu, ruszyć teraz potrzeba, ponieważ ci wiele utracili z funduszu swego, zabranego w kordon i sami téż nie najwięcéj życzą sobie być w Kamieńcu, a nadto i potrzebni téż nie są. Na ich miejsce przenieść profesorów i szkoły.“

W „projekcie“ powyższym nie spotykamy wcale Franciszkanów, jakkolwiek i ich z fortecy rugować po-

stanowiono. Strwożone tém zgromadzenie pozwoliło prowincyałowi wywieść skrycie z Kamieńca „łaskawy obraz“ świętego Antoniego. Pobożny lud spostrzegłszy stratę, „całe miejsce narzekaniem, wrzawą i płaczem napełnił.“

Sławetny burmistrz miasta, Jmć P. Antoni Zwoliński, podjąwszy się wyrazić ogólne oburzenie z powodu prześladowania, jakiego doznają zakonnicy, i uprosić odwołanie nakazu, w liście do prymasa z dnia 28 czerwca 1787 roku, stara się przekonać go i wzruszyć. Rozwodzi się on nad zgorszeniem pogranicznych muzułmanów, „którzy zasiągnąwszy o cudach tego obrazu od swych przodków, w Kamieńcu niegdyś lat 28 mieszkających, wiadomości, i sami na ofiarę w szkodach swoich przysyłali.“ Zapewnia, że „udawali się do niego“ nawet Zydzi, poczém dodaje: „Kamieniec pomimo protekcyi i obrony dla kraju, miewał co rok pospólstwa w dzień tego świętego, do kilku tysięcy zjeżdzającego się.“ Błaga więc prymasa w imieniu miasta, „aby patryarchalną w tém Królestwie władzą i powagą zalecić raczył powrócenie takowéj szkody Kamieńcowi, niemniéj zakonników tego klasztoru w témże mieście, choć na innem miejscu utrzymać.“

Ale nie rozczulony lamentem pana „prezydenta“ książę Michał, na dniu 9 lipca suchą i wymijającą daje mu odpowiedź. Dziwi się w niéj „postępkowi Franciszkanów, który nietylko jemu, ale nikomu przyzwoicie myślącemu podobać się nie może,“ — nie chce się nawet mięszać do téj draźliwéj sprawy, dając poznać, że „ta okoliczność podpada pod jurysdykcyą“ biskupa Kamienieckiego.

Ale zaniepokojone w swych siedzibach zakony, związane tysiącznemi węzłami wiekowéj tradycyi z okoliczną społecznością, podniosły okrzyk grozy przeciw nielitościwemu biskupowi, uciekły się z prozbą o poparcie do swych dobrodziejów i dobrodziejek. Jedna z ostatnich, nieznana nam z imienia, wstawiła się za OO. Dominikanami do Krasińskiego; ten zaś odpowiada jéj w sposób tak charakterystyczny i jaskrawy, tak dosadny i tak malujący człowieka, Polaka i kapłana, że nie wahamy się podać tu obszerniejszych wyjątków z tego pisma, szkoda, że pozbawionego adresu i daty. „Dziwuję się bardzo.“ pisze kościelny dostojnik, „że Dominikanie kamienieccy mieli śmiałość inkomodować J. W.

M. W. Panią Dobrodzikę, powiadając, że ja chcę ich przez zawziętość wypędzić z miasta. *Gdyby mieli zdrowy rozum*, powinniby teraz, wyżebrawszy od Rzplitéj cokolwiek, opuścić dobrowolnie przykre dla nich siedlisko... Przedtém, w dawniejszym nierządzie naszym, kiedy garnizon nie składał się tylko z *pięciuset ludzi*, było nam wszystkim przestronno. Teraz zaś, gdy się do *kilku tysięcy* powiększył, zrobiło się dla miasta i dla wszystkich ciasno. Klasztor dominikański jest obszerny i wygodniejszy, niżeli moje seminaryum; jak prędko wsadzą do niego czterdziestu dragonów, tak dopiero natenczas poznają mnichy, co to jest forteca.

„Domyślam się ja, że się podobać będzie zakonnikom, *mieć furtę bez klauzury...*, ale niechaj pomiarkują, jeżeli ta wygoda jest warta, żeby dla niéj dawać czterdzieści tarczanów i dwieście fur drew, mianowicie w takim kraju, gdzie wszystkie lasy zamknięte. Najpierwiéj oni sami wiedzą, że są ubodzy, *potém ja wiem, że są swawolni;* jak prędko tedy naprzykrzy się im w dzień żołnierz, *a w nocy instygator będzie łapał po mieście*, tak wkrótce muszą szukać inszego dla siebie siedliska, gdzie nie będzie ani żołnierza żadnego, ani instygatora.

„Jeżeli stanął dekret w Komisyi reskryptowéj, tedy nie stanął przez żadną nienawiść, ale na usilne nalegánie inżynierów i na reprezentacyą komendanta — dla tego widząc, że potrzebniejsza jest dla kraju fortyfikacya, aniżeli *klatka na mnichy*, kazano im wynieść się do innego klasztoru.

„Wszakże powinniby wziąć ze mnie przykład, że ja dla fortecy dałem kościółek mój jeden, potém zniosłem dwie rezydencye kanonickie, na ostatek dałem plac, wyznaczony na ogród za rezydencyą biskupią, a rezydencyą naznaczyłem na dwóch kanoników, w nagrodę odebranych domów. Wolno jest Stanom sejmującym, skasowawszy dekret, wrócić do fortecy Dominikanów, ale żadna konstytucya nie może ich uwolnić od wspólnych z nami ciężarów. Trzeba tedy będzie dawać drwa, trzeba dawać tarczany, potem reperować piece, okna i na ostatek płacić kominowe od żołnierskich kominów. Takie wydatki są dla mnichów bardzo kosztowne; trzeba wiedzieć, że fura drew kosztuje siedm złt., więc na czterdzieści żołnierzy wyniesie 1400.“

Ze szczególnem upodobaniem wykazuje daléj biskup, jako „uporczywość i nierozeznanie mnichów jest oczywistym dowodem, *że nie mają rozumu*,“ aż wreszcie zapominając o swym duchownym charakterze, przemawia o zakonnikach niemal z pogardą: „Każda forteca ma prawo wypędzić próżne gęby za mury, a rozumiem, *że próżniejszych gąb nie masz w fortecy nad klasztorne*.“

Po téj żółciowéj apostrofie przemawia w sposób bardzo przekonywający: „Czas i doświadczenie nauczy Polaków, że w fortecy więcéj potrzeba spichlerzów, lazaretów, cyrulików, magazynów na broń i armaty, które niepotrzebnie gniją na wałach, aniżeli klasztorów na konserwacyą mnichów... Kamieniec jest mały na te obszerne potrzeby, ponieważ klasztory zabrały najsposobniejsze miejsca. *Gdyby mieli milion centnarów złota*, powinnaby ich forteca przyjąć dla obrony krajowego bogactwa, ale Dominikanie goli, nie mają z czego sześciu księży wyżywić, cóż tedy po nich w fortecy.“

Upewnia w końcu biskup nieznaną nam damę, że do rugowania zakonników skłania go wzgląd na dobro kraju, które jako „komisarz reskryptowy“ przedewszystkiem mieć winien na oku; na cóż zresztą zda się forteca, którą nieprzyjaciel może zdobyć jabłkami?“ „Kamieniec został fortecą w imaginacyi saméj u tych, którzy go nie widzieli, ale ktokolwiek dobrze się wpatrzy, znajdzie w nim tyle słabości i tyle niedostatku, że na jego dobycie mało czasu straciłby nieprzyjaciel, a dobywszy, zabrałby całą artyleryą polską, którą do Kamieńca od dawnego czasu zgromadzali. Miejsce jest sposobne, ale od traktatu Karlowickiego opuszczone i zaniedbane; dopiero teraźniejszy komendant dzień i noc pracuje, żeby dziury połatał, któremiby nieprzyjaciel wchodzić mógł bez wielkiéj trudności.“

Pełen werwy list powyższy mógł zapewne przekonać dostojną opiekunkę OO. Dominikanów, jeśli im ślepo nie była oddaną, lecz to pewna, że samych zakonników i ich bezwzględnych wielbicieli, lekceważącym i pogardliwym swym tonem mógł tylko więcéj jeszcze rozdraźnić. O ile jednak energiczne postępowanie biskupa wywołało wzburzenie w kamienieckim i okolicznym ludzie, o tyle znów w rządzie wzbudzało najwyższe zadowolenie. Pisma królewskie i prymasowskie

do biskupa z téj pory tchną uczuciem najgorętszéj wdzięczności i uznania. „Kapituła J. W. Pana, pisze książę Michał z Jabłonny na dniu 5 czerwca, może nabyć od rugowanych zakonników wioski i folwarki na czynsz wieczny, z nadzieją utrzymania się całkowicie przy tych intratach, gdy kiedyśkolwiek niektórzy zakonnicy i u nas będą zniesieni lub zredukowani, a tak wszystko w kraju i zagranicą się ułatwi i autor tak zbawiennego projektu, z powszechną chwałą, spokojnością i wdzięcznością od Króla, ojczyzny i odemnie, składającego drobną cząstkę onejże, dni swe kończyć będzie, słodko zapatrując się na swe dzieło i ratunek obywatelów, z którymi ja się łączyć będę na sejmie, aby wystawiona była w tém mieście pamiątka zasłużona Temu, któremu czułe umysły wyryją monumentum aere perennius w sercach cnotliwych, i w dziejach skażonego wieku, grzebać się jednak usiłującego ze swych rozwalin, z których może jeszcze powstać potrafi, gdy takie przykłady będą z przyzwoitą pochwałą współczesnym i potomkom do naśladowania podawane.“[1])

Niemniéj pochwalnie brzmią listy króla, wynoszącego głównie postępowość biskupa, bo jak wiadomo Stanisław August lubił, gdy książęta kościoła wiedli wojnę z mnichami, czy to w życiu jak Krasiński, czy na papierze, jak dowcipny autor *Monachomachii*. Rozpływa się więc nad tak „chwalebnym,“ a u nas tak nowym i rzadkim przykładem, jaki daje biskup „kładąc na stronę wszystkie przesądy, do urzędu i do sukni zdawna niby przywiązane“ — poczém mówi w najwyższém już, choć zapewne niebardzo szczerém uniesieniu: „Gdy kamieniecka forteca ze słabości swojéj aktualnéj powstanie, gdy zmocnione na nowo jéj mury przywrócą jéj

[1]) W tymże liście czytamy: „Nie wątpię, że gorliwość J. W. Pana, wynaleść potrafi zatajone fundusze zakonników, któreby wystarczyć mogły na zabezpieczenie całego pogranicza, a zatém królestwo od cisnącéj się czasami zarazy, któremiby (zająć) można niektórych marnujących intraty próżniaków do usługi krajowéj w opatrywaniu duchownych i innych potrzeb więźniów, chorych, wysłużonych, sierot i tym podobnych, którym przecię jakiś tytuł duchowności nadać można, zabezpieczający inne majątki od chciwego rozerwania, pod imieniem obrony, kraj dotąd bardziéj uciemiężającéj, niż ratującéj“ Wszystkie listy prymasa pisane są od początku do końca własnoręcznie, charakterem dziwnie brzydkim i niemal dziecinnym.

sprawiedliwie tytuł *przedmurza chrześciaństwa* — nietylko na skałach jéj, ale w kronikach krajowych i w sercach obywatelskich wyryte zostaną pamiątki, że to dzieło będzie winna ojczyzna biskupowi Krasińskiemu, którego wielbić, będzie słodką powinnością każdego patryoty, a najprzód moją.“

Czegóż jeszcze mógł pragnąć dawniejszy malkontent i konfederat od tych, przeciw którym występował nieraz tak energicznie? Niewiadomo, jak owe niepomiarkowane kadzidła przyjmował, ale to wiemy wszyscy aż nazbyt dobrze, iż nadzieje i przepowiednie dostojnych braci spełzły marnie, bo Kamieniec niczego nie ocalił, ani nawet nie próbował bronić. Słońce téż względów monarszych, choć latem, r. 1787 tak pełnym blaskiem oświeciło postać Krasińskiego, odwróciło się od niéj wkrótce. Ambitny i burzliwy ksiądz Adam niedługo potém nazywać będzie króla „Panem Stanisławem,“ będzie urągał nietylko jemu, ale całemu narodowi, będzie się rzucał niespokojnie i złorzeczył, aż w końcu umrze zapomniany w późnéj starości. Szkoda, że Bartoszewicz nie spełnił obietnicy rozpisania się szerzéj o téj bądź co bądź charakterystycznéj figurze. Sąd jego o biskupie, lubo może zbyt jaskrawy, w ogólności jednak trafny. Była to jedna z tych postaci ruchliwych, nerwowych, gwałtownych, trawionych ambicyą, dbałych zapewne o dobro ojczyzny, lecz więcéj o siebie, o wyniesienie bliskich. Mimo arystokratycznych zasad i nienawiści dla „golego pospólstwa,“ dla „kanalii francuzkiéj,“ stworzony raczéj na rewolucyonistę, niż na biskupa, w porze wybujania Jakóbinizmu we Francyi byłby może pomyślniejszą odedrał rolę, niż w Polsce, gdzie go krępowała nietylko suknia duchowna, lecz także odmienne stosunki.

Początek
Zakładu nar. im. Ossolińskich.

I.

Pojawiały się różnemi czasy w rozmaitych pismach wzmianki i wspomnienia o początku zakładu narodowego imienia Ossolińskich, zgodne zwykle z prawdą pod ogólnym, zasadniczym względem — niedokładne jednak, a często wprost mylne w szczegółach, cyfrach i datach, rzucane bowiem były pobieżnie i mimochodem, nie roszcząc wcale pretensyi do gruntowności i wyczerpania. Poszło jednak za tém, co się dość często zdarza, że wiadomości nasze o tak świeżych stosunkowo rzeczach, bo nie sięgających po za granice lat kilkudziesięciu, są nierównie mniéj obfite i mniéj wystarczające, niż o wypadkach, oddzielonych od nas przedziałem wieków.

Zanim kiedyś bieglejsze pióro, na podstawie starannie przechowywanych akt, protokółów i korespondencyi, opracuje całą historyą Zakładu, wyjmujemy tymczasowo kartkę z jego dziejów, o tyle ciekawszą, że obejmującą właśnie epokę powstawania i początkowego rozwoju téj pięknéj i użytecznéj instytucyi. Materyał do opowiadania czerpiemy głównie z zapisanego tylko w czwartéj części manuskryptu, p. t. „Pamiętnik domu i budowy księgozbioru narodowego imienia Ossolińskich

od r. 1824“ *). Źródło to cenne, szkoda jedynie, że tak ułamkowe i szczupłe, zapełnione nadto przeważnie szczegółami administracyjnéj i ekonomicznéj treści, jako to wyszczególnieniem pojedyńczych darów, drobnostkowemi opisami budowy i t. p. Artykuł nasz z natury rzeczy, jako oparty jedynie na piśmiennym zabytku, pozbawionym będzie téj pełni i barwności, jaką mógłby się odznaczać, gdyby autor nie z martwéj tylko litery, ale i z życia czerpał doń wątek. Cieszymy się jednak nadzieją, że może który sędziwy świadek owych czasów i zdarzeń z rzeczy niniejszéj weźmie pochop do udzielenia ogółowi swych wiadomości i uzupełni to, co tu podajemy zapewne zbyt jednostronnie. Tyle przynajmniéj powiedzieć możemy, że szczegóły poniższe mają wszelką rękojmią autentyczności, zawdzięczamy je bowiem dwom osobom, związanym nierozdzielnie z historyą tego szanownego zakładu i w wysokim stopniu wiarogodnym, Janowi Wincentemu hr. Bąkowskiemu i księdzu Franciszkowi Siarczyńskiemu.

Drugi z nich, pierwszy z kolei dyrektor Zakładu, zacny kanonik warszawski, pracowity i pełen erudycyi pisarz, zbyt znany i ceniony, abyśmy tu jego biografią pisać potrzebowali; pierwszemu natomiast nie od rzeczy zapewne będzie poświęcić kilka słów wspomnienia. Nakazuje nam to stosunek hrabiego i do instytutu i do jego szlachetnego założyciela: przez dziewięć lat bowiem czuwał troskliwie nad zakładem, a przez trzydzieści z górą był najbliższym przyjacielem i najpierwszym powiernikiem Ossolińskiego, we wzniosłych i zawsze dobro kraju na względzie mających zamysłach. „Niżéj podpisany — wspomina on sam o sobie — i urzędowaniem czteroletniém w Wiedniu wraz z hrabią Ossolińskim od roku 1789 do 1793 w deputacyi krajowéj odbytym, gdy rzecz szła o uchylenie systematu urbaryalnego i nadanie konstytucyi krajowi, i ścisłym związ-

*) Drugi tytuł brzmi: „Pamiętnik założenia i uposażenia biblioteki publicznéj imienia hrabiów Ossolińskich we Lwowie ku zachowaniu imion osób dobroczynnych, które darami lub pracami uczonemi do wzrostu lub do zachowania tegoż instytutu przyczynić się raczyły, zaczęty w r. 1824.“ Wiadomości zawartych w tym manuskrypcie, dopełnia „Dziennik czynności urzędowych księgozbioru“, pisany również przez Siarczyńskiego (nr. 533) (Nr. inwentarza rękopisów 1314).

zkiem przyjaźni od lat trzydziestu z tymże połączony, miał ten zaszczyt, iż od lat siedmiu (pisano w r. 1824) na czele niniejszego ustanowienia zostając, ufność założyciela pozyskał, miał oraz sposobność widzenia, jak ustanowienie biblioteki od publiczności przyjęte i jak pomimo ciężkości czasów, ku swemu postępowało celowi.“

Słów powyższych nie należy poczytywać za pustą chełpliwość, ani za objaw próżności; zamykają one wszystko, co o sobie powiedział hrabia, a figurują tu jedynie w charakterze legitymacyi dla autora, niejako na usprawiedliwienie, dla czego wziął się do pisania i na dowód, że lepiéj, niż kto inny zna przedmiot, o którym pisze. Wielkim jego zasługom i nieskazitelnemu charakterowi składa wymowny hołd kontynuator pamiętnika, ks. Siarczyński. Bąkowski urodził się około r. 1760 w Wiśniowczyku z ojca Mateusza, herbu Jaxa i Anieli z hr. Komorowskich; odebrawszy początki nauk w świeżo podówczas założonym korpusie kadetów, dopełnił wykształcenia usilną pracą i częstemi podróżami za granicę. Współcześni podziwiali w nim uczoność i rzetelne znawstwo sztuk pięknych. Jako deputat Stanów galicyjskich w r. 1790 powołany do stolicy monarchii, wespół z Ossolińskim i wyznaczoną na ten cel nadworną komisyą dwa z górą lata pracował nad załatwieniem ważnych spraw krajowych. Z tego czasu datuje się zawiązanie przyjaźni pomiędzy nimi. „We wszystkich przygotowaniach — pisze Siarczyński — do założenia biblioteki narodowéj i publicznéj we Lwowie był Bąkowski radą i pomocą Ossolińskiego, i nabytym na ten skład narodowy gmachem zawiadował, który mu swoje ocalenie od upadku i przy szczupłych funduszach, przynajmniéj naglejsze swe naprawy jest winien.“

Niezmordowany w służbie publicznéj, niósł jéj zawsze w ofierze swoje siły i zdolności. Stały sekretarz Towarzystwa dobroczynności, podejmował chętnie wszelkie prace, jakie nań nakładał Wydział odnowionych Stanów galicyjskich, a w r. 1824, lubo przygnębiony chorobą, przyjął urząd honorowego deputata. „Czystą i łagodną była dusza jego — mówi daléj Siarczyński — kochał ludzi i ufał im, bo sam nie był zdolnym zdradzić nikogo. Jedyną namiętnością jego była chęć służenia

drugim, któréj w całém życiu aż do zaniedbania spraw własnych dogadzał.“

Umarł w ostatnim dniu października r. 1826, w pół roku z górą po śmierci znakomitego przyjaciela. Dziwném się wydaje, że o tym dotkliwym ciosie dla siebie, a wielkiéj stracie dla kraju nic w pamiętniku nie wspomniał; niezawodnie mocno go odczuł, a może téż stargane siły w ostatnich miesiącach życia nie dozwoliły ciągnąć daléj zapisków, które jak gdyby w przeczuciu bliskiego zgonu, zaopatrzył swym podpisem.

A teraz uchyliwszy czoła przed obywatelską cnotą i zasługą hr. Bąkowskiego, skorzystajmy z kreślonego przezeń pamiętnika.

Do chwili otwarcia Zakładu Ossolińskich, posiadał Lwów jednę tylko bibliotekę publiczną, mianowicie księgozbiór uniwersytecki, hojny dar cesarza Józefa II, powiększony znakomicie dziełami, zgromadzonemi ze zniesionych klasztorów. Użyteczność tych bogatych wówczas zbiorów (przed pożarem r. 1848) zmniejszał fakt, że trzecią ich część stanowiły książki angielskie, holenderskie i włoskie, a języki te daleko mniéj jeszcze, niż dzisiaj, znane były mieszkańcom Lwowa. Najmniéj stosunkowo było tu dzieł polskich, chciwa przeto nauki młodzież nie mogła z nich czerpać nauki o przeszłości i literaturze ojczystéj.

Palącéj potrzebie czynił zadość Ossoliński, postanowiwszy ostatecznie we Lwowie, a nie gdzie indziéj założyć, że użyjemy wyrażenia jego samego i współczesnych, „dla muz ojczystych przybytek i schronienie.“ Nosił on się już od dawna, jak sam w jednym z aktów donacyjnych powiadada, z planem zostawienia narodowi wieczystéj po sobie pamiątki. Pierwszą myśl założenia publicznego księgozbioru powziął, wedle Siarczyńskiego w Wiedniu około roku 1793. Przystępując do wprowadzenia jéj w życie, zawarł w Łańcucie 17 sierpnia 1804 roku umowę z ordynatem hr. Stanisławem Zamoyskim celem umieszczenia zebranéj i uposażonéj przez siebie biblioteki w Zamościu, a cesarz potwierdził układ w dniu 23 lutego 1809 roku.

Wkrótce atoli wskutek zmian politycznych, Zamość przestał być stosownem na „siedlisko muz“ miejscem, i „bezpieczném zbiorów uczonych schronieniem,“ miasto

bowiem, przeszedłszy pod panowanie Rosyi, stało się warownią wojskową i utraciło akademią.

Akt umieszczony w kamieniu węgielnym gmachu bibliotecznego naznacza, jako pierwszą datę fundacyi, r. 1816; najwcześniejszy zaś dokument w zbiorze, wydanym r. 1851 przez księcia Jerzego Lubomirskiego datuje się z r. 1818. Mniemamy, że ani jednéj, ani drugiéj daty nie można uważać za prawdziwą, jest nią natomiast trzecia: 4 czerwca r. 1817. Jakkolwiek bowiem książe Jerzy nie posiadał owego dokumentu, zaświadcza jego egzystencyą niemieckie „oświadczenie“ Ossolińskiego z 19 stycznia r. 1818 (zob. publikacyą Jerzego Lubomirskiego str. 15—16), medal wybity w roku 1822 przez sejm, oraz podana przez hr. Borkowskiego wiadomość, że cesarz Franciszek pismem swojém, wydaném 17 czerwca r. 1817, potwierdza fundacyą. Zapisuje w niéj założyciel na rzecz instytucyi: Wolę Mielecką, Piątkowiec, Zgórsko, Stary dwór, Giełdę, Przybysz, Podlesie. Podborze, Grzybów, Schabowiec, Izbiska, Jamy, Wilczą Wolę i Partynią w tarnowskim a Wielkie Strzelce i Widów w Bocheńskim cyrkule. Zastrzegłszy sobie z dóbr wymienionych dochód dożywotni, oddaje je Ossoliński na własność Zakładu, nadmieniając, że kurator ekonomiczny, wybrany z naznaczonych przezeń rodzin, ma spłacać na opędzenie wydatków bibliotecznych, jako to na pensye urzędników i sług, na zakupno dzieł i przedmiotów sztuki, na reperacyą gmachu itp. pewną kwotę (najprzód 6, potém 7 tysięcy złr.), mającą zmieniać się za wspólném porozumieniem co 50 lat, odpowiednio do zmieniającéj się wartości pieniędzy. Warunek ten bardzo trafny i właściwy, nie utrzymał się jednak w późniejszych dodatkach do aktu donacyjnego. Czcigodny fundator rozciągnął najprzód termin lat 50 na 200, w końcu zaś zniósł go zupełnie wskutek ostrzeżeń „zacnych obywateli,“ że tak nieokreślona ustawa wywołałaby „zawiłości“ oraz „szkodliwe zajścia między administracyjnemi urzędami“ Zakładu. Odstąpił od pierwotnego zamiaru, „pragnąc jak najusilniéj zawarować trwałą spokojność i jedność.“

Chcąc nadto ustrzedz fundusze od wszelkiego niebezpieczeństwa, oddał je pod szczególny nadzór Stanów i zalecił wyraźnie, aby ich nie użyto nigdy na rzecz ża-

dnéj instytucyi publicznéj ani w obrębie monarchii, ani prowincyi.

Postanowiwszy wybrać Lwów na urzeczywistnienie wzniosłego zamysłu, zaczął się Ossoliński krzątać około wyszukania pomieszczenia dla swych zbiorów, złożonych wówczas z książek, rękopisów, kopersztychów i medalów. Spoczywały one dotąd w Wiedniu, mało komu przystępne i użyteczne, lubo sława ich rozbiegła się już szeroko po świecie i wzbudzała między uczonymi ciekawość. W kilka lat późniéj, wyprawił nawet uniwersytet wileński jednego ze swych profesorów do Wiednia dla dokładnego poznania i zużytkowania biblioteki. „Profesor ten, pisze w roku 1824 Bąkowski, już od dwóch lat tą zatrudniony pracą, znajduje materyały do dziejów ojczystych i do historyi literatury polskiéj równie rzadkie, jak szacowne.“

W r. 1817 nastręczyła się sposobność nabycia tanim kosztem przybytku dla tych skarbów duchowych. Ossoliński, przybywszy wówczas do Lwowa, przyglądał się z żywém zajęciem murom spalonego kościoła i klasztoru po Karmelitankach trzewikowych. Wystawił go w roku 1671 pod górą, zwaną w dawnych księgach Szemberką, Alexander Janusz z Ostroga, książę Zasławski. Panny zakonne wprowadziły się do klasztoru w sześć lat późniéj, a pierwszą ich przełożoną była Marcelina Kobylińska. Gmach ten po zniesieniu klasztorów (1782) oddany najprzód na użytek alumnów łacińskiego obrządku, potém na piekarnią wojskową, spłonął w roku 1804. Odtąd przez lat trzynaście nie mógł się rząd zdecydować, na co obrócić zrujnowany budynek, który będąc pozbawiony drzwi, okien, a nawet dachu, od śniegu i ulewy szwankował coraz więcéj.

Wystawiono wreszcie całą realność na licytacyą; Ossoliński stanął między licytującymi i nabył ją za 23,710 złr. w. w., to jest dając zaledwie sto reńskich nad taksę urzędową.

Nowy właściciel postarał się najprzód o „rozprzestrzenienie kominów podług powszechnych przepisów, dla urzędu budowniczego wydanych“ oraz o pokrycie dachem kościoła i tych części budynku, które wydzierżawione, mogły przynieść pewien dochód. Na koszta restauracyi przysłał Ossoliński fundusz, mający się dopełnić pobieraną od lokatorów płacą.

Uchroniwszy tymczasowo gmach od ruiny i zapewniwszy sobie z niego choć drobne źródło dochodów, rozmyślał hrabia nad przerobieniem go w taki sposób, aby się w nim wiedeńskie zbiory wygodnie pomieścić mogły. Zasięgał pod tym względem rady znawców i architektów a sam prezes akademii sztuk pięknych, hr. Nobili, wygotował mu siedm planów.

„W każdém szlachetném działaniu — są słowa hrabiego Bąkowskiego — dość jest uczynić początek, aby mieć naśladowców przykładu.“ Prawdziwość słów tych stwierdziły hojne dary, jakiemi pospieszono wzbogacić świeżo utworzoną instytucyą. Z tych najpożądańsze były chwilowo ofiary pieniężne, gdyż dochody z dóbr, zapisanych przez Ossolińskiego, miały wpływać dopiero po jego zgonie, a na bieżące wydatki brakło zasobów. To też, gdy Wincenty Kopystyński, właściciel Putiatyniec, na dniu 3 stycznia roku 1818 przeznaczył dla zakładu 500 holenderskich dukatów, obrócono procent od téj kwoty na utrzymanie budynku. A było to w istocie arcy-potrzebném, bo najwyższe pokłady cegły w proch się zamieniły.

Sejm, który później nie szczędził Ossolińskiemu w jego pięknem przedsięwzięciu materyalnéj pomocy, udzielił mu najprzód moralnego poparcia, składając najwymowniejszy i najgorętszy wyraz uznania w uchwale z roku 1822 wybicia na jego cześć medalu. W rok po otrzymaniu tak chlubnego hołdu od narodu, dotknął czcigodnego męża najdotkliwszy cios, jaki może spotkać oddanego naukowym badaniom człowieka, bo utrata wzroku.*) W tak nawet smutném położeniu nie przestawał przysparzać bibliotece zasobów z owoców własnéj pracy literackiéj, nader ubogo wówczas opłacanéj. Układ, zawarty przezeń dla dobra Zakładu z wydawcami, zasługuje na wspomnienie jako osobliwość. Krakowskiemu drukarzowi, Mateckiemu, oddał trzy pier-

*) Szczegółowy i obszerny opis stanu wzroku Ossolińskiego w tym czasie ułożony po niemiecku, znajduje się w rękopisie pod Nr. 907. Pomiędzy autografami mieszczą się trzy obszerne jego listy z r. 1782 a nadto w rękopisie Nr. 1448 akta jego procesu rozwodowego w Konsystorzu krakowskim w r. 1791 i listy, pisywane do ks. Andrzeja hr. Ankwicza, arcybiskupa lwowskiego, w odpisach z oryginałów, które były w ręku śp. Ambrożego Grabowskiego.

wsze tomy *Wiadomości historyczno-krytycznych do dziejów literatury polskiéj* za zobowiązanie dawania na rzecz Zakładu jednego egzemplarza każdego wydawnictwa, mającego wyjść z téj oficyny; w podobny sposób zamierzał się ułożyć z księgarzem warszawskim, Glücksbergiem, skoroby tylko uporządkował i opracował ostatecznie materyały do trzech dalszych tomów. Ale śmierć zaskoczyła go przed dokończeniem téj pracy a dopiero w roku 1852 wydał Bielowski z pośmiertnych rękopisów tom czwarty.

Już po utracie wzroku, przy pomocy lektora tłómaczył nie strudzony ten człowiek historyą Liwiusza, a przekład ten pod względem piękności i siły języka dziś jeszcze za wzór służyć i młodzieży do pilnego odczytywania poleconym być może. I ta praca pojawiła się dopiero w dwadzieścia cztery lata po śmierci tłómacza. (1850).

W tym samym roku, w którym dla oczu Ossolińskiego światło słoneczne zagasło, przeprowadził on ważną dla swéj instytucyi sprawę, zawarł nader dla niéj korzystną umowę z księciem Henrykiem Lubomirskim, mocą któréj zbiory przeworskie miały się wcielić do nagromadzonych już przez niego skarbów.*)

Tu urywają się zapiski hr. Bąkowskiego a rozpoczyna się sprawozdanie pióra ks. Franciszka Siarczyńskiego.**) Uczony ten kapłan rozwija rzecz swoję od chwili objęcia literackiéj kuratoryi Zakładu przez księcia Henryka Lubomirskiego. Książę na mocy umowy z założycielem, miał sobie oddany zarząd nowéj instytucyi już z dniem 25 grudnia 1823 r., objął jednak ten urząd dopiero 1 lipca r. 1824, do pomocy zaś, dla czuwania nad dochodami i potrzebami Zakładu, przybrał sobie p. Zbierzchowskiego. Ten naprawiał jak mógł, coraz bardziéj podupadający budynek. „Broniony i zachowywany od zniszczenia — mówi Siarczyński — sa-

*) Bliższych szczegółów układu z ks. Lubomirskim, równie jak niektórych innych, nie podaję z powodu, że powszechnie są znane, a świeżo poruszył je nawet obszerniéj p. Władysław Zawadzki w pamiętniku p. t. *Literatura w Galicyi*.

**) Siarczyński rozpoczął tę pracę 16 lutego r. 1828, jak świadczy jego własny zapisek na 9 stronie rękopisu Nr. 533, p. t. „Dziennik czynności urzędowych księgozbioru narodowego we Lwowie", o którym poniżéj.

mém tylko utrzymywaniem w jednymże stanie murów, doznawał losu chorego człowieka, któremu gdy się nie polepsza, pogorsza się tém samém — szkodliwy zaród złego wzmaga się i sprawia zniszczenie.“

Czuli wszyscy potrzebę ratowania ruiny, ale przystawianie coraz nowych podpór i nieustająca łatanina, nie mogły go zabezpieczyć od upadku. Tak miały się rzeczy aż do 1 lipca roku 1826, tj. do chwili, gdy zarząd nad domem objął Mikołaj Michalewicz, profesor literatury polskiéj na lwowskim uniwersytecie. „Było to stosownie — czytamy — do woli Ossolińskiego, który znając, prócz doświadczonéj przychylności dla siebie JM. Pana Michalewicza, jego zdolności znakomite, (?) jego dla rzeczy publicznéj gorliwą chęć usługi, w nim sprawiedliwe zaufanie ku osiągnieniu swych dla dobra tego zamiarów położył.“

Michalewicz spełnił pokładane w sobie nadzieje. Za jego urzędowania dopiero rozpoczęły się istotnie roboty budownicze w gmachu, nad którego podźwignięciem i zupełném przekształceniem niezmordowanie pracował, w „niezrażonych staraniach księcia Kuratora“ znajdując dzielne poparcie. A potrzeba było takiéj zgodnéj gorliwości dla doprowadzenia dzieła do skutku; przychodziło bowiem „tysiączne zwyciężać trudności, łamać nienawistnych ludzi zapory i iść ze wszelkiemi przeszkodami w zapasy.“ Na prowadzenie robót potrzeba było znacznych zasiłków pieniężnych, a tymczasem Kurator ekonomiczny nie spłacał rocznéj należności, i zaledwie z wielką trudnością można go było do wypełnienia obowiązku nakłonić.

II.

Równocześnie inną jeszcze sprawą zająć się należało; po zgonie Ossolińskiego wypadało przewieść jak najrychléj z Wiednia do Lwowa pozostałe po nim zbiory. „Wymagała tego i potrzeba, aby ten skarb nauk objąć w posiadanie mu właściwe, zaspokoić żądanie narodowéj publiczności i zabezpieczyć od wszelkiego uszkodzenia, jakiemuby mógł podpaść, zostawiony w obcych rękach i pod nieobowiązanym do odpowiedzialności nadzorem.“

Rzecz była tém bardziéj nagląca, że pan Protowebera, wice-prezydent wiedeńskiego sądu szlacheckiego a zarazem wykonawca ostatniéj woli Ossolińskiego, domagał się jak najspieszniejszego wywiezienia książek z domu, aby wynająwszy go, ciągnąć dochód na rzecz spadkobierców. Trzeba było jednak wpierw zliczyć księgi, poznaczyć i tak w skrzyniach poukładać, by od wszelkiego uszkodzenia były bezpieczne; mógł się przeto wywiązać należycie z tego zadania tylko człowiek pracowity, zdolny i sumienny. Z początku padł wybór na Michalewicza, lecz stanowisko profesora uniwersytetu nie dozwalało mu wyjeżdżać na dłuższy czas ze Lwowa. Już nawet zyskano dla niego uwolnienie, gdy niespodziewanie nastręczył się do téj pracy, z godną uznania i najwyższéj pochwały uczynnością Gwalbert Pawlikowski, podówczas sekretarz nadworny. „Natchniony miłością ojczyzny i nauk — są słowa Siarczyńskiego — zapalony gorliwą chęcią usługi dla dobra publicznego, nadto powodowany szczególną przychylnością dla J. O. księcia Kuratora, przyjął to mozolne zatrudnienie, i z taką je zręczną pilnością, z taką porządną dokładnością, na drobne nawet okoliczności baczną, a zarazem z takim pospiechem, podwajającym pracę wykonał, iż wszelkie oczekiwanie przewyższył.“

Całą bibliotekę, ułożoną porządnie w skrzyniach, do dnia 18 kwietnia 1827 r., wyprawiono do Lwowa. Same książki zajmowały skrzyń czterdzieści i cztery. W trzech innych mieściły się malowidła, a pomiędzy niemi wielki obraz w ramach pędzla Canalett'ego, przedstawiający głośny na całe chrześciaństwo wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu; cztery obrazy, wystawiające Ossolińskich, jeden Bąkowskiego, a daléj Naruszewicza, Marcina Poczobuta i tablica rodu Ossolińskich.

Znalazły się nadto ryciny (ośm tek), mapy (1 teka), odciski medalów (551), kruszce (z górą 650), muszle (z górą 500), „paczka z kamieniami kamieniorytemi (litografiami) do tragedyi *Templaryuszów*“ itp.

Zajmującemi są cyfry, wykazujące, jak obfite były wówczas zbiory Ossolińskiego. Otóż samych książek, oznaczonych liczbą porządkową, unikatów, wydobyto z owych 44 skrzyń, 10,121 dzieł a 19,055 tomów, duplikatów 456 tomów, 76 wiązek różnych pism, 552 ma-

nuskryptów w 708 tomach, 133 map, 1,445 rycin, nie licząc rzeczy mniéj znaczących.

Wszystko to, razem z pięćdziesięciu skrzyniami, ważyło 329 centnarów i 83 funty, tyle bowiem obliczono za przewóz. Nie wchodzą tu w rachubę, jako wówczas jeszcze nie przewiezione z Wiednia, medale złote, srebrne i brązowe. Spis tychże, dokonany z woli Ossolińskiego 1 sierpnia r. 1823, wykazywał 46 złotych i pozłacanych, 255 srebrnych, 40 brązowych i miedzianych, razem 341.

Nie na tém jeszcze koniec. Książki Ossolińskiego mieściły się nietylko w stolicy Austryi, lecz także i w Galicyi, na wsi, a mianowicie w wiosce Przybysz, należącéj do gminy Zgórska, ale chcąc je odebrać, należało dopełnić różnych formalności, udać się do tarnowskiego sądu szlacheckiego, wyjednać zlecenie od komornika, by ową bibliotekę urzędownie wydał, i upoważnić kogoś do zabrania. Stało się zadość tym formalnościom, a pełnomocnikiem swym mianował książę Kurator hrabiego Ksawerego Wiesiołowskiego. Na dniu 21 stycznia r. 1827 wydano książki wedle spisu, sporządzonego przez komornika, Wawrzeńca Wisłockiego. Było kompletnych 863 oprócz 62 wiązek druków bez początku lub bez końca; nadto 4 wielkich a 18 mniejszych obrazów familijnych.

Owe dzieła, znalezione w dziwnie opłakanym stanie, mało przyniosły korzyści. Doznawały one takiego losu, jak niektóre poklasztorne księgozbiory, np. w warszawskim kościele św. Franciszka, gdzie, jak słychać, służyły „za podkładki do rupieci, za schodki do sięgania po bieliznę, za zatykadła do dziur w ścianach i dachu, w końcu zaś poszły na całopalenie w zakrystyi;“ albo w innéj, znanéj nam miejscowości, gdzie ksiądz proboszcz sędziwemi, przepysznemi foliantami wyścielał sobie wśród błota drogę z plebanii do kościoła...

Ale przykładu podobnego wandalizmu nie szukać w samych klasztorach. Mówił nam niedawno szanowny ze wszech miar p. Alexander W. z Galicyi, jak mu sąsiad z uśmiechem na ustach opowiadał, że roznieciwszy wielki ogień na kominku, wrzucił w niego cały stos starych dyplomatów, a skwierk topiących się, woskowych pieczęci sprawiał mu rozkosz nie do opisania...

Snać Ossoliński dawno nie zajrzał do Przybysza, skoro tamtejsza biblioteka tak wielkiemu uległa spustoszeniu. Książki były po większéj części podarte, poszarpane, przez mole i inne robaki nadgryzione lub z wilgoci tak nagniłe, że ich do ręki wziąć nie było można. Po przywiezieniu ocalonych szczątków do Lwowa, próbowano dopiero środków wypłoszenia niezliczonego roju robaków, gubiąc je zapachem i dymem zapalonéj siarki.

Niewzruszony smutnym stanem księgozbioru pan komornik, chcąc okazać swą gorliwość w pełnieniu obowiązków urzędu, zabrał zakazane dzieło Jezuity Busembaum'a, p. t. *Medulla theologiae moralis*, jakkolwiek biblioteka miała prawo posiadać i zabronione książki. Upomniał się o przywłaszczoną własność książę Henryk u tarnowskiego sądu szlacheckiego, lecz sąd dla utrzymania powagi swego komornika, uważał za stosowne odmówić słusznemu żądaniu.

Pracę budowniczą rozpoczęto nie od wznoszenia nowych murów, lecz od burzenia starych. Wypadało zaś tak postąpić dla tego, że część murów tak już była wątłą, iż magistrat wydał rozporządzenie, aby się mieszkańcy natychmiast z nich wynosili, poczém ma zarząd niezwłocznie zrównać ściany z ziemią. Uważano zatém, że bezpieczniéj będzie i dalsze mury zburzyć, i tak zaledwie drobna ich część ocalała.

Zupełne przebudowanie gmachu pociągało za sobą ogromne wydatki. Nie pokryłyby ich nawet regularne wypłaty ze strony ekonomicznego kuratora, cóż dopiero, gdy ten nie uiszczał się z powinności. Ale trzeba było koniecznie przyspieszać roboty, gdyż inaczéj biblioteka ani uporządkowaną, ani na użytek publiczności nie mogła być wystawioną. W tak trudném położeniu zwrócił się książę Henryk do Wydziału Stanów z prośbą o pożyczkę i powtórzył ją wobec saméj, zgromadzonéj na sejm reprezentacyi kraju. Stany, uchwaliwszy niedawno zbiorowy akt uznania dla szlachetnego założyciela, nie mogły teraz odmówić wsparcia wzniesionéj przezeń instytucyi. Zarządzono pożyczkę 15,000 złr. w srebrze, mającą się spłacić ratami z dochodów. Uchwała ta nabierała jednak wagi dopiero za zezwoleniém cesarskiém, co przy ówczesnym biurokratyźmie i ówczesnych środkach komunikacyjnych, mogło trwać

długo, a tymczasem nie było chwili do stracenia. Gdy jednak nie godziło się powątpiewać o zgodzie monarchy, przychylnego ś. p. założycielowi, książę August Długosz Lobkowicz, „z krwi Piastów ród swój wiodący“ gubernator Galicyi, „niepospolity miłośnik i znawca nauk,“ za staraniem Lubomirskiego „z funduszów stanowych, czyli z domowego dochodu“ rozkazał zaliczyć 2000 złr. w srebrze na najpierwsze potrzeby. W półtora miesiąca później cesarz potwierdził udzieloną przez Stany pożyczkę.

Było już więc za co budować, ale nasuwało się teraz ważne pytanie, w jaki sposób zabrać się do dzieła. Księcia kuratora nie było we Lwowie, bawił on zapewne w jakiéj europejskiéj stolicy, więc Michalewiczowi przypadło zadanie kierowania budową. Zbyt sumienny, aby sam, jako człowiek nie fachowy, stanowić o rzeczy, wymagającéj fachowego wykształcenia, przedsięwziął zasięgnąć zdania znawców i spisać protokół udzielonych przez nich rad, aby w razie potrzeby zastawić się nim przeciw możebnéj naganie. Do zawezwanych powag należeli: Tadeusz Wasilewski, deputat stanowy, Józef Bem, kapitan inżynieryi, sławny później generał, i Trescher, majster mularski, zowiący siebie budowniczym miejskim. Narada odbyła się 23 grudnia 1826 roku.

Rzeczoznawcy uchwalili w pierwszéj konferencyi na tle planu hrabiego Nobili wystawić gmach, opisany w protokóle najskrupulatniéj, jak się skrystalizował w ich wyobraźni. Nie możemy streszczać całego, arcydługiego protokółu, podamy z niego tylko niektóre drobne wyjątki dla scharakteryzowania najważniejszych punktów. Postanowiono znieść pierwszy przysionek, tém bardziéj, że usunięcie go nie osłabi kościoła, a daléj zrzucić niższą galeryą nad drugim przysionkiem i drugą wyższą galeryą. W miejsce obydwu ma być dany równy gzems, w środku zaś fronton.

Lewa ściana od dworu była mocno osłabiona, a oparte na niéj sklepienie groziło upadkiem. Wymagało ono nieuchronnie rozebrania, przyczém ściana jeszcze więcéjby się osłabiła; radzili przeto architekci znieść ją, począwszy od podstaw.

Dach miał być kruszcowy, lecz rozchodziły się w tém zdania, czy żelazny, czy cynkowy. Gdy jednak, jak mniemano, kopuła nie zniosłaby żelaznego dachu,

a z braku blach i krokiew żelaznych w miejscu, cała robota opóźniłaby się znacznie, z wymienionych zaś przyczyn zależało na jak najrychlejszém wykończeniu budynku, postanowiono go pokryć blachą miedzianą, jako lekką i trwałą.

Małą kopułę zgodzono się zostawić w dawniejszym stanie, dając tylko ozdobniejszy daszek i konduktor dla bezpieczeństwa od piorunów. Żałować przychodzi, że ostatni projekt nie wszedł dotąd w życie, że z tak wielkim trudem przez wiek cały gromadzone zbiory mogą nagle w razie nieszczęśliwego wypadku spłonąć w oka mgnieniu, nie sądzimy bowiem, aby konduktor cytadeli służył za dostateczną osłonę dla zakładu.

Zarządza ten środek ostrożności i późniejsza komisya, zamianowana przez Wydział Stanów, lecz tak dzisiaj rozpowszechniony przyrząd, nie przestał być dotąd dla Zakładu *pium disiderium.*

Celem upiększenia miejsca i z praktycznych względów, uchwalono splantowanie dziedzińca, jako też miejsca, pozostałego za budynkiem.

Narady téj nie uważano za dostateczną; to też zwołał Michalewicz drugą przed rozpoczęciem wiosennych robót, 1 marca r. 1827. Oprócz dawniejszych znawców, byli obecni: Muha, podpisany jako „Gal. Tribunal-Ingenieur," Nagel, adjunkt, i znany w literaturze autor *Podróży do Włoch*, uczony Stanisław Dunin hr. Borkowski, występujący tutaj jako zastępca reprezentanta potomności.*)

Konferencya ta trwała krótko i niewiele wprowadziła reform. Chodziło tu głównie o to, jak wysoko wznieść nowe mury. Członkowie zgromadzenia, nie mogąc się porozumieć w téj mierze, uprosili kapitana Bema, by wykonał dwa profile facyaty, jeden w stosunku do ówczesnego stanu pobocznych murów, drugi do wysokości głównego frontu; z widoku dopiero obydwu facyat chcieli rozstrzygnąć sprawę. Aby się zaś upe-

*) Instytucya „reprezentantów potomności", postanowiona przez Ossolińskiego, miała na celu czuwanie nad dobrem Zakładu, aby niejako późne pokolenia mogły z niego czerpać coraz większe korzyści. Bywało zwykle dwóch „reprezentantów potomności" oraz dwóch zastępców; drudzy w razie choroby lub nieobecności pierwszych, spełniali obowiązki, przywiązane do tego honorowego urzędu.

wnić, jak dalece osłabiony jest filar w kościele, postanowiono, skoro cieplejsza pora nastąpi, pokryć go cienką warstwą wapna zmięszanego z gipsem, wnioskując trafnie, że zasklepione w ten sposób szpary i rysy okażą, czy się mur filaru nie rozchodzi i czy ztąd kopule nie grozi niebezpieczeństwo.

W ośmnaście dni później nastąpiła trzecia z kolei konferencya, złożona jednak nie z budowniczych i majstrów ciesielskich, ale z „przedniejszych osób.“ Prócz znanych nam już, Michalewicza i Wasilewskiego, byli na niéj obecni: Ignacy hr. Krasicki, Andrzéj hr. Cetner, Wincenty Skrzyński, Jan Uruski i Izydor Piotruski, jako reprezentant potomności. Jako znawcę budownictwa powołano kapitana Bema „który, — dodali — z obywatelską gorliwością pracę nam swą poświęca.“ Poważne to grono ściągnął wzgląd niemałéj wagi, bo zasadnicza kwestya ostatecznego przeprowadzenia budowy. Sam Ossoliński w statucie swoim wyraził życzenie, by się przy restaurowaniu gmachu trzymano planu hr. Nobili. Tymczasem okazało się nietylko, że na budowę wedle tego planu nie starczyłyby pozostawione przez Ossolińskiego fundusze, lecz nawet, że plan ów, jako sporządzony bez znajomości miejsca, stojących już murów i ich objętości, w żadnym razie ściśle wykonanym byćby nie mógł. Chciano więc najprzód naprawić kościół, aby w nim umieścić bibliotekę, czytelnią zaś i mieszkania dla urzędników urządzić w części budynku, zrestaurowanéj już staraniem hr. Bąkowskiego i księcia Lubomirskiego, resztę odłożyć *ad calendas græcas*. Bacząc wszakże, iż owa, na szczęśliwsze czasy czekać mająca część gmachu skoro zostanie opuszczoną, w ciągu lat kilku ulegnie zębowi czasu, — zgromadzenie uchwaliło i Wydziałowi Stanowemu, mającemu przedsiębrać restauracyą, przedłożyło kilka punktów, z których przytaczamy główniejsze. Przedewszystkiém wedle możności należy trzymać się planu hrabiego Nobili, jak najprędzéj więc część dotąd nierestaurowaną pokryć dachem, mury osłabione rozebrać, a wznieść w ich miejsce inne, przyczém stosować się do planu w ogólności, wszelkie zewnętrzne ozdoby odkładając na później. W zrestaurowanéj części ma się tymczasowo złożyć biblioteka. Restauracya kościoła rozpocznie się, skoro cesarz potwierdzi ofiarę Stanów (15,000 złotych reńskich). Hrabia Nobili

przeznaczał go na „muzeum dzieł rzeźbiarskich;“ ponieważ jednak część gmachu, na bibliotekę przeznaczona a od fundamentów na nowo budować się mająca, dla braku funduszów nie tak prędko mogłaby stanąć, nadto zaś instytut nie posiadał jeszcze wcale utworów dłuta, przeto można bez wahania umieścić bibliotekę w kościele, tém bardziéj, że myśl tę objawił już sam Ossoliński w liście do Józefa Dzierzkowskiego.

Odpowiednio do powyższych postanowień, kapitan Bem podejmuje się wykonać plan budowli wraz z zamierzoną restauracyą.

Wydział stanowy pod dniem 31 marca uznał uchwałę ostatniéj konferencyi za „zgodną z wolą fundatora i celowi swemu odpowiadającą“ i zachęcił nawet zarząd do wprowadzenia jéj w życie, przyczém w piśmie, podpisaném przez księcia Lobkowicza, znajdujemy wyraz uznania dla Bema, „którego obywatelska gorliwość w służeniu dobru publicznemu i usilna praca, wkładają obowiązek wdzięczności.“

Odtąd postępowały już żwawo roboty, a „muzy ojczyste“ miały w końcu znaleść bezpieczne schronienie. Książę Kurator, czyniąc zadość warunkom układu, w dniu 16 czerwca roku 1827 wobec Izydora Piotruskiego i Stanisława hr. Borkowskiego, jako zastępców potomności, przedsięwziął uświetnić pamięć rozpoczęcia budowy i „podać ją wiekom potomnym, przez uroczysty obrzęd założenia kamienia węgielnego.“ Uczynił to w trzy dni po złożeniu przysięgi wobec gubernatora, przedstawicieli wszystkich urzędów krajowych i wielkiego tłumu publiczności. Samego obrzędu dopełnił hrabia Ankwicz, ówczesny arcybiskup lwowski.

Książę Henryk, w myśl życzeń Ossolińskiego, wyrażonych w statucie, postanowił co prędzéj wzbogacić Zakład drukarnią i litografią. Na wystosowane przezeń w tym celu pod dniem 22 czerwca 1827 podanie wraz z propozycyą, aby mu druki pism rządowych zostały powierzone, odpowiedziano ze strony rządu przychylnie, uznając, że samo potwierdzenie ustaw przez cesarza służy za pozwolenie zaprowadzenia drukarni, dodając, że wszelkie rządowe druki mogą być oddane tylko w drodze licytacyi, że do końca bieżącego roku wojskowego trwa układ z Pillerami, po upływie którego może książę stanąć w gronie współubiegających się.

Nie było zatém trudności ze strony rządu, ale brakło natomiast najważniejszéj rzeczy, bo funduszów, pochłanianych przez budowę. Niezrażony tém książę wpada na dobry pomysł urządzenia drukarni bez pieniędzy, rozpisuje na nią akcye i to 200 po 50 złr. Gdy księciu Lobkowiczowi przedłożono układ, nietylko się chętnie na niego zgodził, lecz nawet sam wziął dziesięć akcyi, co stanowiło wcale poważną na owe czasy, cyfrę 500 złr. Dany z góry przykład dobre sprawił wrażenie i zjednał sprawie naśladowców. „Gdyby nie zbyt twarde czasy — czytamy w naszém źródle, — które najlepszym chęciom odmawiają zadosyć uczynienia sposobności, już byłby układ zupełnie przywiedziony do skutku.“

Jak widzimy, książę kurator, przyjechawszy z zagranicy do kraju, rozwinął w przeciągu krótkiego czasu wielką czynność i energią. W niewiele tygodni po tém, cośmy opisali wyżéj, dopełnił on ważnego obowiązku, dając Zakładowi dyrektora w osobie znanego nam księdza Franciszka Siarczyńskiego, ex-kaznodziei Stanisława Augusta, kanonika warszawskiego, proboszcza kolegiaty jarosławskiéj i członka warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk. List księcia, zawierający nominacyą, datowany z Przeworska, 8 września 1827. „Światłe i uczone Twe prace — brzmi środkowy ustęp książęcego pisma — które ci już głośne zjednały imię, połączone z prawdziwą gorliwością o wzrost i dobro nauk, są najlepszą rękojmią tak dla ojcowskiéj troskliwości rządu, jako i dla obywatelów tego kraju, iż zakład ten wnet jak najwdzięczniéj zakwitnie, a wzniesieniem i rozszerzeniem oświaty krajowéj, niebawem jak najpożądańszy plon wyda.“

Książę składa przy téj sposobności wyraz uznania bezinteresowności i poświęceniu szanownego męża, który „przez wgląd na trudne początki instytutu, obowiązki bibliotekarza tymczasowo bez wszelkiego wynagrodzenia przyjąć na siebie raczył.“

Książę Henryk zawiadomił również o nominacyi rząd krajowy, ten zaś wystosował pytanie do Wydziału Stanów, czy przeciw niéj nie mają nic do nadmienienia. Wydział w odpowiedzi oświadczył najprzód, że Kurator zgodnie z brzmieniem ustaw, sam jeden ma prawo mianować dyrektora, następnie zaś przyznał, że wybór nie

mógł być szczęśliwszym, ks. Siarczyński bowiem „przez swe obszerne i gruntowne wiadomości, przez swoję moralność, przez swoje w kościele i w piśmiennictwie zasługi i przez swe przywiązanie do nauk, znakomitą sobie zjednał sławę,“ aby dość naiwnie zakonkludować, iż się na tę nominacyą tém chętniéj zgadza, ponieważ nowy dyrektor tymczasowo „zrzeka się wszelkiéj płacy.“

Nie tu jednak kres formalnościom, z powodu nadanego księdzu kanonikowi zaszczytnego, lubo nieintratnego urzędu. Na mocy prawa, nie wolno pasterzowi oddalać się ze swéj parafii; to téż dopiero po długich staraniach u przemyskiego konsystorza i u rządu, udało się księciu wyjednać Siarczyńskiemu pozwolenie przebywania po za granicami parafii, aż do niezbyt już oddalonéj chwili otwarcia biblioteki i uregulowania funduszów.

Pozwolenie to wykołatano dopiero w styczniu roku 1828; ksiądz Franciszek zaś przybył do Lwowa już 13 listopada roku 1827 i niezwłocznie przystąpił do pracy. Już w tydzień późniéj, korzystając z przysługującego Zakładowi prawa i chcąc dogodzić „powszechnemu życzeniu publiczności,“ uwiadomił on rząd, że rozpoczyna wydawnictwo pisma czasowego, którego Galicya nie miała od lat kilku. Lubo chodziło tylko o zadosyćuczynienie drobnym formalnościom, a Siarczyński jak najrychléj załatwił, czego zażądano, rzecz jednak poszła w odwłokę, i dopiero za usilném staraniem wpływowych osób we Wiedniu, udało się w trzy z górą miesiące, (26 lutego 1828) wydobyć nie ulegające żadnéj wątpliwości pozwolenie. Każdy zeszyt przed oddaniem do druku miał przejść przez cenzurę radzcy Bernhard'ego; tyle przynajmniéj uwzględniono tu Zakład, że zamiast dwóch, pozwolono przedkładać tylko jeden egzemplarz. Ksiądz Siarczyński pragnął gorąco wydać jeszcze zeszyt w pierwszém ćwierćroczu, ale musiał się pożegnać z nadzieją, odebrawszy manuskrypt z cenzury dopiero 22 marca i to w takim stanie, że trzeba go było mozolnie „zszywać i latać.“

Po za czasem, poświęconym przygotowaniu materyałów do czasopisma, wydobywał dyrektor książki ze skrzyń i porównywał je ze spisem, złożonym w każdéj skrzyni. Dopomógł mu niemało, w dziele uporządkowania zbiorów Ignacy hr. Krasicki, gdy na prośbę księ-

cia, z dokładnością prawdziwego znawcy, opisał zbiór medalów muzeum Lubomirskich i, ułożywszy w sporządzonych na ten cel szafach, oddał pod zarząd dyrektora. Było ich wszystkich razem 1821, samych srebrnych rzymskich 636.

Równocześnie postępowała budowa, prowadzona pod kierunkiem Bema, wychwalanego tu bez miary. Wykonane przezeń rysunki, miały się odznaczać tak wielką „dokładnością, dogodnością i umiejętnością, iż praca jego u znawców i nieznawców powszechną pochwałę zyskała.“ Wezwane znów przez Lubomirskiego do osądzenia ich grono poważnych osób, uznało jednogłośnie „skład i rozkład budowy za jak najstosowniejszy do jéj przeznaczenia,“ bo łączący „dogodność z prawidłami sztuki, oszczędność z wspaniałością.“

Znalazły się pieniądze na najpierwsze wydatki, gdy cesarz potwierdził nietylko pierwszą, lecz i drugą uchwałę zebranych (r. 1827) na sejm Stanów, aby owych 15,000 złr. nie pożyczać, ale darować je Zakładowi. Na upór Broniewskiego, kuratora ekonomicznego, znalazł się też sposób. Hr. Ksawery Wiesiołowski, reprezentant potomności, „znany ze swych gorliwych dla dobra narodowego chęci i z najcnotliwszych duszy przymiotów,“ podjąwszy się sekwestracyi Zgórska i Woli Mieleckiéj, wywiązał się wybornie z przyjętego na siebie zobowiązania i wydobywał z nich powoli należne Zakładowi kwoty.

Koszta budowy przewyższały jednak sumę wszystkich dochodów, bo wedle obliczenia, podanego przez Bema w dniu 29 lutego roku 1828, wynosiły ogółem 28,508 złr. Wyznaczona znowu przez Wydział Stanów komisya, złożona z Wasilewskiego, Dzierzkowskiego i Wincentego Ziętkiewicza, z powodu nieobecności księcia Kuratora we Lwowie, strawiwszy dość dużo czasu bezczynnie (od 22 marca do 4 czerwca r. 1828), w pierwszéj połowie czerwca wreszcie (od 4 do 11) wespół z księciem Henrykiem i reprentantantami potomności, Piotruskim i Borkowskim, załatwiła ostatecznie sprawę. Wzięła ona na nowo pod rozwagę wszystkie plany, wychodząc z zasady, że „pożytek cząstkowych odmian dopiero przy roztrząsaniu całości dostatecznie uznanym być może.“ Chcąc być sumienną, nie zadowoliła się przejrzeniem planów na papierze, lecz je sprawdzała na

miejscu i wszystkie szczegóły poddała gruntownéj krytyce.

Pracy i talentowi Bema oddaje i ta komisya szczere uznanie. „Plany jego, oświadcza, pod względem zewnętrznéj postaci łączą prostotę z przyzwoitą takiemu Zakładowi ozdobą. Przyjęty przez pana Nobili styl koryncki, odpowiada wspaniałemu przeznaczeniu tego gmachu.“ Bem umiał w najdrobniejszych szczegółach zastosować się do wziętego za normę stylu; „nigdzie obcych temu porządkowi ozdób, nigdzie nie pomieścił niepotrzebnych upstrzeń.“ Niemniéj odpowiada celowi i potrzebie wewnętrzne urządzenie, o ile pozwolił stan dotychczasowéj budowy, zbyt wązkiéj i do obecnego przeznaczenia nieodpowiedniéj.

Komisya potwierdza w przeważnéj części uchwały dawniejsze, wprowadzając tylko ze swéj strony pewne zmiany, ulepszenia i dodatki. Lubo zależało na tém wszystkim, aby gospodarować jak najtaniéj i jak najszczuplejszemi sumami opędzić koszta budowy, nie uwodziła się jednak względami źle zrozumianéj oszczędności. Dowodzi tego czwarty z kolei punkt protokółu, brzmiący jak następuje: „Dawny wchód do kościoła, niekształtny, zastąpił Wny Bem ozdobną facyatą koryncką. W téj umieszczone cztery kolumny miały być z cegły, lecz komisya, zważając na nietrwałość tego materyału, jaki z cegielni tutejszych wychodzi, mniema, iż warto i potrzeba ponieść dla mocy budowy koszt większy, lecz pożyteczny na kolumny z kamienia.“

Obliczywszy, że w samym kościele pomieści się około 40,000 tomów, a na galeryach nierównie więcéj, postanowiono zabezpieczyć go przeciw kradzieży, a zarazem urządzić jak najodpowiedniéj dla celu, na który jest przeznaczony. Szafy więc mają stanąć przy ścianach i obok filarów, środek może służyć „do uroczystych posiedzeń.“ Pomysł użycia środkowéj przestrzeni do posiedzeń był niewłaściwym i, o ile nam wiadomo, nigdy nie wszedł w wykonanie. Obecnie stoją na tém miejscu tylko dwa stoły, mieszczące wewnątrz mapy i teki, a służące nadto do tymczasowego składania zwróconych przez publiczność książek.

Owe szafy zaś miały być dla bezpieczeństwa zamknięte, wprawdzie nie drewnianemi drzwiami, bo te nie

przepuszczałyby powietrza, lecz siatką z mosiężnego drutu. „W górze, dodaje oględna komisya, gdzie ręką dostać nie można, mogą być zupełnie otwarte.“

Zbyteczne to a nader kosztowne środki ostrożności, bo do wnętrza biblioteki nikt bez towarzystwa urzędnika lub stypendysty wchodzić nie ma prawa. To też projekt powyższy nie utrzymał się, a wszystkie książki, z wyjątkiem schowanych za szkłem inkunabułów, stoją w otwartych pułkach.

Co się tyczy podanéj przez kapitana Bema sumy kosztów (28,508 złr. monety konwencyjnéj), komisya oddaje mu sprawiedliwość, że trzymał się w ogóle cen targowych, składanych urzędownie, odstępując od nich tam, gdzie wiadomości, zasiągnięte wprost od rzemieślników i przedsiębiorców, oraz naoczne przeświadczenie odstąpić od nich kazało — że słusznie też w kosztorysie wyliczył *maximum* wydatków. Ale komisya mniema, że wysokość tychże albo wcale nie, albo bardzo mało się podniesie, pomimo iż przybędą kolumny kamienne, dwoje drzwi żelaznych, daléj z powodu wyprowadzenia kanałów, zrównania i oporządzenia dziedzińca i sprawienia pominiętego przez Bema konduktora.

Zliczywszy na odwrót wszelkie leżące fundusze Zakładu i wszelkie w ciągu dwóch lat dające się ściągnąć dochody, doszła komisya do cyfry 29,816 złr., pokrywającéj zupełnie koszta przedsiębiorstwa.

Prowadzenie budowy pozostawiono, jak dotąd, Bemowi. Zastępować go ma podczas nieobecności profesor Michalewicz, nazwany tu po raz pierwszy „kustoszem.“

W obszernym protokóle rzeczonéj komisyi, znajdujemy kilkakrotną wzmiankę o podanym jéj wniosku hrabiego Stan. Borkowskiego, w sprawie „połączenia domu stanowego z biblioteką.“ Załączona kopia owego wniosku daje nam sposobność zwięzłego streszczenia go, a zarazem oddania hołdu obywatelskiemu czynowi tego znakomitego człowieka.

Nie napróżno obwarował Ossoliński tak mocno swój zapis i odgrodził go od wszelkiego zewnętrznego wpływu. Okazało się teraz dowodnie, jak potrzebną i użyteczną była ta oględność. „Na ostatnim sejmie,“ są słowa Borkowskiego, „zapytało kilka osób sejmują-

cych, czyby nie można połączyć domu stanowego z biblioteką, aby tém oszczędzić Stanom kosztów na osobny dom stanowy. To nawiasem rzucone pytanie, niepoparte, niewotowane, ani niedyskutowane przez nikogo, weszło do protokółu sejmowego, jakoby żądanie narodowe i poszło do Wiednia. Wskutek zapewne tego urzędowego zapytania, żądał po dwakroć J. W. deputat Wasilewski, członek komisyi, aby wprowadzić do protokółu, „iż abrys Wgo kapitana Bema ma przy wielu innych zaletach i tę zasługę, że można do niego załączyć dom i kancelaryą stanowe.“

Borkowski, jako powołany przez Wydział do wypowiedzenia swego zdania w téj mierze, „idąc jedynie za przekonaniem i sumieniem,“ wykazuje, że zużytkowanie gmachu na wymienione cele sprzeciwia się najwyraźniéj ustawom założyciela, równałoby się „alienacyi“ i dla samego zakładu najsmutniejsze mogłoby mieć skutki, „jest bowiem niebezpieczeństwo, że rząd objąwszy część, może sięgnąć i po całość.“

Przewidział podobny wypadek dla ukochanego dzieła swéj ręki Ossoliński, gdy w § 8 Ustawy głównéj czyni wyraźne zastrzeżenie, „że Biblioteka jest funduszem prywatnym, a zatém fundusz wspomniony na żaden inny cel ani publiczny, ani prywatny, nawet w okoliczności politycznéj zmiany, nie może być przeistoczonym, owszém gdyby co przeciwnego (nad wszelkie spodziewanie) stać się miało, lub gdyby przez jakieś upodobanie krajowéj zwierzchności fundusz ten miał być inaczéj obróconym, prawo własności założyciela i jego następców do tego funduszu, *cum toto effectu* moc swoję odzyska.“

Wniosek, wyciągnięty z powyższego paragrafu ustaw, był jak najlepszém i najefektowniejszém zakończeniem memoryału hr. Borkowskiego, wskazywał bowiem absolutną niemożebność korzystania z ofiary założyciela, jako *eo ipso* w tejże chwili tracącéj charakter publiczny. „Gdybyśmy więc, kończy Borkowski, pozwolili na projekt, odstąpienia części funduszów na użytek Stanów, tedy tém samém damy prawo sukcesorom hr. Ossolińskiego, do zniszczenia tak ważnego dla kraju instytutu.“

III.

Tu się urywa „Pamiętnik księgozbioru,“ lecz w innym rękopisie, zapisanym również ręką ks. Siarczyńskiego (nr. 533), znajdujemy dopełnienie powyższych wiadomości. Jestto „Dziennik czynności urzędowych“ Zakładu, doprowadzony znacznie daléj, bo do 20 sierpnia r. 1829, po którym 17 dni tylko jeszcze żył Siarczyński. W tym starannie dzień po dniu spisanym dyaryuszu, występuje w całéj pełni niestrudzona pracowitość i niezmożona energia sędziwego dyrektora, który mimo lat podeszłych i steranego na mozolnéj pracy zdrowia, pracuje, rzec można, za kilku. Bo i czegóż on nie robi? Pełni obowiązki dyrektora Zakładu, redaktora Czasopisma, zastępcy kuratora, budowniczego itd. Od poranku do wieczora porządkuje książki i rękopisma, stara się wprowadzić w nie pewien ład i system, zbiera, odcyfrowuje i składa „mazaniny“ Ossolińskiego, aby je drukiem ogłosić; krząta się gorliwie około wydawnictwa *Czasopisma i Świętnika Lwowskiego*, „krzesze i gładzi“ własne artykuły, a więcéj jeszcze mozoli się nad obcemi, poprawiając je i obrabiając „pod jednostajną modłę toku mowy,“ upomina się daremnie u magistratu, aby oświecono ulicę Ossolińskich, na co odbiera odpowiedź, że na téj ulicy za mało dotąd domów, aby do oświecenia rościć mogła prawo; odpowiada sumiennie na rozliczne pytania w kwestych naukowych, bo któż nie zasięga jego wskazówki i rady, począwszy od warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk, żądającego oceny dziejopisów polskich, od pana Dorau, proszącego o artykuł o literaturze polskiéj w Galicyi „dla umieszczenia go w ogólnym obrazie piśmiennictwa w Europie, od początku XIX wieku“ aż do wesołych osób modnego świata, dopytujących się o dawne stroje polskie, których chcą użyć na balu maskowym.

Po za tém wszystkiém myśl czcigodnego starca „natężona ku wielkiemu przedsięwzięciu,“ które ma nadzieję skończyć jeszcze przed śmiercią, ku „powszechnemu słownikowi znakomitych Polaków.“

Ale gdzież mu czasu ma starczyć, gdy wszystko sam robić musi, skoro niema najmniejszego wyręczenia! Michalewicz podobno zajęty swą profesurą, niewiele do

pomagał, a później nawet zupełnie musiał ustąpić, bo rząd sprzeciwił się jego podwójnym obowiązkom, inni pomocnicy zaledwie do przepisywania się zdali, a gdy jednemu z nich dał artykuł do przetłómaczenia, dostaje przekład dosłowny, „ani zgodny z prawidłami mowy polskiéj, ani dokładny, ani zrozumiały.“

Gdybyż przynajmniéj ograniczyło się na tych zatrudnieniach, ale biednemu dyrektorowi przybywają nowe; zastępując często nieobecnego Bema, musi się troszczyć o najdrobniejsze szczegóły prac przy budowie, martwić kamieniarzem, robiącym ciągłe zawody, walczyć prośbą i groźbą z majstrami różnych rzemiósł, nie stawiającymi się w słowie, bo przekonanymi, że zgrzybiały i nad księgami ślęczący ksiądz, nie zdoła ich utrzymać w karbach.

Niejednokrotnie też zapisuje udręczony dyrektor z żalem: „czas, którybym rad łożył dla pracy piśmiennéj, poświęcam dozorowi budowy,“ a 14 sierpnia roku 1829 pisze z rezygnacyą: „wyjechałem do Lubienia i nazajutrz wróciłem, nie mogąc użyć w tym roku kąpieli, lubo mi radzonych i potrzebnych dla umocnienia zdrowia przeciw doświadczanym atrytycznym cierpieniom, bo w niebytności p. Bema cały ciężar zatrudnienia budowy na mnie polegał.“

To też spracowany, wycieńczony, nieraz na kilka dni zapada, cierpi na oczy, na wyczerpanie sił i t. p.

Już to Bem, tak z początku chwalony i wielbiony, stawał mu później kością w gardle. Wyjeżdżał on często i na długo, zwłaszcza do Brodów, zostawiając budowę na łasce Opatrzności. „Oko pańskie konia tuczy;“ bez fachowego dozoru, psuło się i wykrzywiało wszystko. Z rozpaczą widział ten opłakany stan rzeczy Siarczyński. „Znosząc z przykrością“ — pisze 1 sierpnia 1829 — „wszelkie przeszkody w budowie, a straty w wydatkach łożonych, tém więcéj cierpię, patrząc na rozwalenie świeżo postawionego muru, na trudności w ruszeniu i przeniesieniu ogromnych kamieni, które się niedawno z tak wielką pracą zaciągało, na szczerby, poczynione w gzemsach kamiennych.“ Bema widocznie ma na języku, gdy mówi daléj: „odwracam oczy i zapisuję radę dla każdego, aby do takowych obowiązków nie przyjmować darmo ofiarowanéj usługi.“

Przysparzały kłopotów trudności, stawiane przez owoczesną cenzurę, czepiającą się pojedyńczych słów, a kaleczącą i przemazującą całe ustępy. Była to kula u nóg, w kolebce jeszcze spoczywającéj literatury peryodycznéj. Aby nabrać wyobrażenia o losach, jakie wówczas przechodził utwór ducha ludzkiego, przytoczymy najprzód *fata* przygotowanego przez księdza-dyrektora czwartego tomu *Wiadomości historyczno-krytycznych* Ossolińskiego, które, jak się zdaje, tylko ze względów cenzuralnych zamiast w r. 1829, wyszły na świat w dwadzieścia lat z górą późniéj.

Na dniu 17 stycznia roku 1829 zapisuje Siarczyński, że już czwarty z kolei miesiąc upływa, jak oddał do cenzury „dalszy ciąg Wiadomości krytycznych.“ Dopiero w półtrzecia miesiąca późniéj odebrał wiadomość o dramatycznych kolejach dzieła. *Habent sua fata libelli.* Z powodu ustępu, traktującego o kacerzach, pan konsyliarz Bernhardi, nie chcąc obarczać swego sumienia ciężką odpowiedzialnością, oddał manuskrypt do cenzury kościelnéj. Konsystorz, upatrzywszy w książce ślady herezyi, odesłał ją napowrót ze swemi uwagami świeckiéj cenzurze. Wówczas to Bernhardi, uniósłszy się wspaniałomyślnością, stanął w obronie naukowéj spuścizny po Ossolińskim przeciw zbytniéj gorliwości konsystoryalnych cenzorów, którzy wówczas z godnym lepszéj sprawy zapałem sekundowali cenzurze polityczněj. „Dzieło to, — rozumował trafnie Bernhardi — nie będzie czytane od ludu wiejskiego, ale tylko od ludzi uczonych, sądzę więc, że rozprawy o wierze i wykład błędnych mniemań nowowierców, zgorszyć nikogo nie mogą.“

Wobec takiego nieporozumienia dwóch ciał cenzuralnych, przepisy nakazywały odesłać dzieło do cenzury nadwornéj wiedeńskiéj, jako do najwyższego trybunału. W Wiedniu przyznano słuszność panu radzcy i zwrócono mu rękopis. „Lecz ponieważ konsystorz — dodaje Siarczyński 29 marca, — „zdania swego nie odstępuje, przeto los dzieła niepewny.“

Przez cały kwiecień i maj nie zmienił się stan sprawy; wreszcie w środku ostatniego miesiąca wysłano manuskrypt powtórnie do nadwornéj cenzury. Na téj wzmiance ginie ślad *Wiadomości krytycznych*; nie wiadomo, jaki los padł im późniéj w udziele, widocznie je-

dnak niepomyślny, skoro przez dwadzieścia lat spoczywały w rękopisie.

I w roku 1852 nie wyszły na świat w nienaruszonym kształcie, bo szanowny wydawca dzieła, Bielowski, przyznaje, że „uwzględniał wskazówki ówczesnéj cenzury krajowéj“ a Maurycy hr. Dzieduszycki jako zastępca kuratora przejrzawszy część rękopismu, „co za stosowne uznał, *zmienił* (!) lub przypiskami objaśnił...“

Nie umiem powiedzieć, jakiego rodzaju były owe zmiany i czy miały na celu dogodzenie świeckiéj lub téż duchownéj cenzurze; bądź co bądź godzi się żałować, że pośmiertne dzieło Ossolińskiego nie dostało się do rąk publiczności w pierwotnéj formie, bez obcych zmian i przeróbek.

Jednym z najciekawszych, bo wkrótce głośnemi wypadkami potwierdzonym zapiskiem ks. Siarczyńskiego, jest niewątpliwie następujący: „Dnia 4 września roku 1829. Postępuję w tejże pracy piśmiennéj (Uwagi z powodu Historyi rosyjskiéj Karamzyna) a dokończenie jéj zostawując czasowi, układam do kalendarzyka wiadomość, czém w dziejach naszych, od przyjęcia chrześciaństwa, rok trzydziesty w każdym wieku szczególniéj się odznaczał, *wnosząc ztąd ważne znaczenie roku następnego 1830.*“

Nie dożył zacny starzec sprawdzenia przewidywań swoich; umarł 7 listopada r. 1829, w 71 roku życia.

Zakład Ossolińskich zbyt krótko cieszył się posiadaniem tak użytecznego i znakomitego na owe czasy kierownika, jakim był Siarczyński. Nieprędko znalazł się godny po nim następca. Ani Słotwiński, ani Kłodziński nie byli ludźmi, odpowiednimi na dyrektorów naukowego instytutu. Pierwszy porucznik artyleryi pieszéj księstwa warszawskiego, późniéj komisarz obwodowy w Jaśle, tłomacz mierny, autor *Katechizmu poddanych galicyjskich* i nędznych utworów poetycznych, z których jeden aż w 21 pieśniach, p. t. *Zbawienie świata*, szczęściem dla świata pozostał w głębi autorskiéj teki, a niewiele zapewne straciliśmy na tém, że nie doczekało się druku dzieło z szumnym tytułem: „Dzieje zachodnio-południowéj Polski w pierwszych dziesięciu wiekach ery chrześciańskiéj.“ Przez niego, po kilkomiesięcznéj zaledwie czynności, usunął się z zakładu znakomity bibliotekarz i pisarz, Karól Sienkiewicz, po-

wołany przez ks. Lubomirskiego na kustosza. Wyparł go Słotwiński, nie mogąc znieść w niższym urzędniku niezawodnéj wyższości umysłowéj a dla dogodzenia swéj ambicyi nie wahał się pozbawić biblioteki nieocenionego pracownika.

Nie więcéj odznaczył się jako pisarz Adam Kłodziński, były nauczyciel w domu Potockich, autor różnych nekrologów, pisma „na wiązanie J. O. X. Henrykowi Lubomirskiemu,“ artykułów małéj wartości i pism polemicznych, wydanych z powodu zarzutów, czynionych mu jako dyrektorowi zakładu. „Z polemiki téj — jak ktoś słusznie zauważył — nie wyszedł cało i zwycięzko,“ co się nie przyczyniło do podniesienia powagi Zakładu, który późniejszym dopiero przewodnikom swoim zawdzięcza wzrost i świetny wkrótce rozkwit.

Z archiwum Mniszchów.

I.

Było to latem w r. 1850. Zamiłowany w swym zawodzie pedagog, a przytem jeden z najruchliwszych wówczas, lubo niegłośnych literatów lwowskich, znany pod pseudonimem Jacentego Toporka — Wincenty Smagłowski, dla poratowania nadwątlonego pracą zdrowia, podążył wraz z rodziną do Truskawca, aby się kąpać i pić żętycę. Ponieważ Truskawiec nie obfitował jeszcze w owéj porze w zapasy, niezbędne do życia, wypadło zaopatrzyć się w nie w pobliskiém miasteczku samborskiém. Zwróciło to uwagę autora *Krakowiaków porabacyjnych*, że przyniesione przez służącego świece, mydło itp. były poobwijane w jakieś stare, pożółkłe od starości papiery.

Papiery te zaciekawiły mocno pana Wincentego, któremu wszelkie podobne materyały były arcy-pożądane, bo właśnie pracował nad publikacyą większych niż dotąd rozmiarów. Był to kalendarz rolniczo-gospodarski, nazwany „Liwoczaninem“ dla tego, że miał odsłaniać „lico jednéj części Podgórza od góry Liwocza.“ Smagłowski miał wcale szczęśliwy pomysł zapoznawania szerszéj publiczności z różnemi częściami kraju, odzwierciedlając w wydawanych przez siebie kalendarzach co rok inną stronę rodzinnéj ziemi.

Na papierze, który służył świecom za okrycie, wyczytał nasz literat następne wyrazy: „Karabela w jaszczur oprawna — siodło husarskie — delia rysiami podbita“... itd. Pan Jacenty Toporek, choć pisarz nie-

wielkich zdolności, zrozumiał całą doniosłość odkrycia, domyślił się, że jeśli żyd obwija swój towar w takie papiery, musi ich mieć dość dużo, a wśród nich kryją się może rzeczy niepośledniéj wagi, daléj zaś, że tego skarbu nie ceni wysoko, skoro z niego tak małą ciągnie korzyść. Poszedłszy zatém co prędzéj do kupca, poprosił go o wskazanie materyału na tytki. Żyd zaprowadziwszy ciekawego do brudnéj komory, gdzie w najwilgotniejszym kącie, na gołéj ziemi, walała się kupa na wpół zgniłych papierów, dowiedział się nie bez zdziwienia, że podróżny gotów ten zapas starzyzny zakupić. Rozpoczął się targ bez zwłoki; handlarz, widząc zapał literata, drożył się trochę, w końcu pozbył się towaru, jak opowiada w pierwszym tomie *Materyałów do konfederacyi barskiéj* Szczęsny Morawski, mniéj więcéj za 60 złotych, wpierw jednak przekonał się, czy nie ma pomiędzy papierami „not bankowych lub wekslów“, gdyż nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby skromnie podróżujący człowiek, chciał płacić tyle za stos nadbutwiałéj bibuły.

Cenna zdobycz, którą pan Jacenty Toporek składał troskliwie na góralski wózek, znajdowała się już wówczas w bardzo smutnym stanie. Mimo troskliwe starania, nie wykryto dotąd, kiedy i jaką drogą przeszła w ręce synów Izraela. Utrzymują niektórzy, a między nimi Bielowski (w przemówieniu o archiwach familijnych, ogłoszoném w r. 1854 w „Dodatku tygodniowym do *Gazety lwowskiéj*“), że kiedy Laszki murowane przeszły w obce posiadanie, a nowy właściciel rozrzuciwszy stary zamek, pozostałe z niego kamienie obrócił na gospodarskie budynki, „archiwum przypadkiem czy też z umysłu, przerzucone zostało na strych żydowski, gdzie przez długi czas trupieszało.“

Wersya powyższa wskazywałaby, że potomek wojewody sandomirskiego, żegnając starodawną siedzibę przodków, nie najmniejszą część odziedziczonéj po nich spuścizny, tę właśnie, która najlepiéj maluje minioną sławę domu, zostawił lekkomyślnie na igraszkę losów, na łaskę ludzi obojętnych i obcych.

Byłaby to niezawodnie płochość, niegodna rodu z taką przeszłością; szczęściem można powiedzieć niemal na pewno, że nie dopuścił jéj się prawnuk Jerzego

Mniszcha. Przynajmniéj dobrze jak się zdaje powiadomiony autor *Gniazda Nieczujów* w rozprawce p. t. „O wartości źródeł rękopiśmiennych i ustnych tradycyj do historyi drugiéj połowy XVIII wieku“ *) zaręcza stanowczo, „że wszelkie książki i rękopisma, jakie przy sprzedaży Laszek tamże się znajdowały, zapakowano w skrzyń kilkanaście i zawieziono do Ulanowa, gdzie się dotychczas znajdują.“

Wedle Kaczkowskiego zatém hr. Alfons Mniszech, o którego zbiorach dotąd było głucho, posiadałby część rodzinnego archiwum, podczas gdy reszta wpierw zapewne *jure caduco* przeniosła się z zamku do pobliskiego miasteczka. Nie potrzebujemy się rozwodzić, jak dalece pożądaną byłaby o ile można dokładna wiadomość, co mieściły owe przewiezione do Ulanowa skrzynie; zbiór ten bowiem wespół z papierami, ocalonemi przez ś. p. Smagłowskiego, złożyłby może całość piśmiennéj spuścizny domu, który wydał cały szereg pierwszych w Rzplitéj dygnitarzy i — carową.

Nie omylimy się podobno, utrzymując, że archiwum, dopóki było w zamku, znajdowało się w dobrym stanie, a dopiero zaciekanie dachu w żydowskiém mieszkaniu sprawiło w niém znaczne spustoszenie i przyczyniło się do częściowego zniszczenia tych nieocenionych materyałów **).

Nie myśląc się kusić o wykrycie kolei, przez jakie one przechodziły, zanim je troskliwa ręka ocaliła od niechybnéj zagłady, sądzimy, że istnieje może pewna analogia pomiędzy losem archiwum Mniszchów a Cetnerów. Przed kilkudziesięciu laty zwróciła uwagę je-

*) Rzecz ta, napisana w r. 1862, doczekała się druku dopiero niedawno, w pierwszym tomie zbiorowego wydania powieści Kaczkowskiego, ogłoszonego przez Ungra. Autograf téj cennéj rozprawy, znajdujący się między rękopismami Zakładu n. im. Ossolińskich (l. 2365), nosi tytuł: „Związek braterski — praca więzienna.“ Miał to być wstęp do powieści, osnutéj na zagnieżdżaniu się u nas w przeszłym wieku wolnomularstwa, o czém świadczą końcowe kartki rozprawy, nieogłoszone dotąd drukiem.

**) Zapewne drobne ułamki z tych zbiorów błąkają się luzem po świecie; i tak przed kilku laty miałem sposobność przeglądać w zbiorach J. I. Kraszewskiego w Dreznie spory tom oryginalnych listów Brühla i jego żony, pisanych do córki Amalii, wydanéj za Jerzego Mniszcha. Mniemam, że korespondencya ta znajdowała się dawniéj w archiwum Mniszchów.

dnego z miłośników cudzéj własności duża stara skrzynia, umieszczona dawno w Krakowcu, w browarze. Otworzywszy ją jednak, doznał złodziéj gorzkiego rozczarowania; zamiast spodziewanych skarbów, znalazłszy tylko stare papiery z archiwum wojewody bełzkiego, skończył na skradzeniu potężnéj kłódki... Żyd propinator browaru, mniéj od złodzieja ciekawy, a więcéj praktyczny, skorzystał z odbicia skrzyni, używając papieru do zatykania drożdży w browarze, dopóki jakaś poczciwa dusza nie ocaliła szczątków. W podobny sposób obchodzono się z archiwum rodzinném Koniecpolskich, zanim go nie wzięła pod swą opiekę ordynacya Krasińskich.

W ogólności powiedzieć trzeba na wstyd naszego oświeconego wieku, że prawdziwie po wandalsku niszczył najcenniejsze zabytki tak piśmienne, jak architektoniczne, piękne owoce pracy i troskliwości ubiegłych stuleci, a dziś jeszcze nawet względnie ukształcony ogół nie dość rozumie potrzebę pieczołowitości w obec tych starych pamiątek, czy one są publiczną, czy prywatną własnością. Jeśli dr. Stanisław Karwowski w przedmowie do świeżo wydanéj *Kroniki miasta Leszna* skarży się, że w tamtejszém archiwum miejskiém „wśród kurzu i zgnilizny zaledwie zdołał cośkolwiek odszukać“, nie myślimy, aby skarcone przezeń, występne niedbalstwo było odosobnionym wypadkiem. Nienaruszalności i bezpieczeństwa tych ważnych zabytków strzegły dawniéj prawa, a za ich całość odpowiadali urzędnicy. Już Jan Olbracht rozporządza w roku 1496, aby po zgonie lub ustąpieniu starosty, składano księgi grodzkie na ratuszu w osobnych, na ten cel przeznaczonych skrzyniach pod trzema kluczami, z których jeden miał zostawać u wojewody, drugi u sędziego ziemskiego, trzeci u starosty. Ścisły nadzór i częste rewizye, podczas ktorych spisywano urzędowe protokóły, dawały rękojmią nietykalności tych nieoszacowanych źródeł do historyi kraju.

Mimo godną uznania czujność praw, zdarzały się wprawdzie tu i owdzie nadużycia. Opowiada Matuszewicz (Pamiętniki, tom I, str. 96), jak źle i nieporządnie pomieszczone były akta w brzeskim klasztorze Augustynów. „Tam“, mówi, „przez wilgoć muru, ile podczas mroźnéj zimy, a potém z odwilży akta bardzo mokre znaleźliśmy, tak dalece, że na spodzie będące więcéj dwóchset arkuszy tak zgniły, że się rozpłynęły, gdy lód

roztopniał.“ Niezrażony tém pamiętnikarz przeprowadził mozolne poszukiwania, jak zapewnia, „nie bez nabrania się z pogniłych wielu ksiąg kataru“, a my dziś na podstawie licznych przykładów dodać możemy, że i płuca jego nie wyszły zapewne z téj potrzeby bez szwanku, gdyż wapory, wydzielane przez zgniłe a niewysuszone papiery, oddziaływają fatalnie na ten delikatny przyrząd.

Ale powyższe zdarzenie należy, powtarzam, do wyjątków, podczas gdy o naszym wieku, zwłaszcza pod rządem pruskim też same, tak bacznie od niedawna strzeżone akta, stawały się pastwą niewiadomo czy więcéj złych, czy téż więcéj głupich ludzi. Że nie przesadzamy, świadczy przedmowa d-ra Wojciecha Kętrzyńskiego do dzieła o „narodowości polskiéj w Prusach Zachodnich za czasów Krzyżackich.“ Autor tego studyum, robiąc na miejscu rozległe poszukiwania archiwalne, miał wyborną sposobność przekonania się, jak sobie poczynało „z zabytkami własnéj i naszéj przeszłości“ państwo, chełpiące się pysznie, że ono dopiero obdarzyło nas cywilizacyą. Dla sprawdzenia tego, tak stanowczo wypowiedzianego sądu, nie od rzeczy będzie zobaczyć, co czynili nasi germańscy cywilizatorowie z pomnikami krajowéj cywilizacyi, jakiemi są niechybnie archiwalne zabytki. Otóż wskazują najwymowniejsze jak zwykle fakta, że najszczęśliwszy stosunkowo los przypadł w udziale takim zbiorom, jak archiwum radzyńskie i gołubskie, które Kętrzyński odkrył na poddaszach „zasypane pyłem i gruzem“ lub archiwum grudziązkie, uważane przez magistrat za spalone przez Szwedów, dopóki go nie odkrył Ksawery Froehlich. Nie najgorzéj jeszcze wiodło się archiwum łaszczyńskiemu w szopie obok miejskich sikawek, bo choć tu gniło i szczurom służyło za pokarm, ocalało jednak z niego kilka tomów, co niezawsze udawało się w innych miejscowościach, gdzie „palono aktami w piecach, sprzedawano je kramarzom lub używano ich na inne cele..“ Tak archiwum wąbrzeskie jeszcze przed kilkunastu laty sprzedawano na funty, tak zaledwie resztki z miejskiego archiwum malborskiego „udało się z kramów kupieckich wydobyć“ tak urzędnicy pruscy, którzy miejscową ludność przyszli cywilizować, po zajęciu Gdańska najstarsze tomy akt sądowych starego miasta umieścili na poddaszu, zkąd powoli wprawdzie, lecz tak systematy-

cznie wędrowały do złotników i kupców, że uratowano nie więcéj, jak kilka kart pergaminowych.

Każde jednak z miejsc powyżéj wspomnianych było szczęśliwszém od tych, których nie wymieniliśmy; „archiwa innych miast, które wedle pewnych wskazówek za czasów Rzeczypospolitéj istniały, za pruskich czasów przepadły bez śladu.“

II.

Ocalone szczęśliwie od ostatecznéj zagłady archiwum Mniszchów, aż do początku roku 1854 znajdowało się w ręku Smagłowskich. Na dniu 28 stycznia tegoż roku pomiędzy panią Wincentową Smagłowską a Zakładem nar. im. Ossolińskich stanął układ sprzedaży zbioru za kwotę 1500 złr. mon. konw., które jéj wypłacono w tydzień późniéj.

W kilka miesięcy potém, na dorocznem posiedzeniu (12 października) ówczesny zastępca dyrektora, Bielowski, zdając sprawę z nowego nabytku, powiedział, że się znajduje w złym stanie, że mianowicie „niektóre dokumenta zaledwie są już czytelne i prędkiego odpisania wymagają“, poczém dodaje: „tém większa była potrzeba, iżby archiwum przeszło na własność Zakładu, jako mogącego mieć na ten cel fundusz potrzebny do rozrządzenia; temi względami kierowany JW. Kurator, skoro się o tém dowiedział, nie omieszkał uczynić tego natychmiast, i co tylko uratowane być mogło, zostało uratowane.“

Z powyższych słów możnaby sądzić, że fakt wydobycia archiwum z rąk żydowskich, do roku 1854 publiczności nieznany, w téj dopiéro porze dzięki przypadkowi doszedł do wiadomości kuratoryi, że daléj zakład nabywszy zbiór od pani Smagłowskiéj, przystąpił niezwłocznie do uporządkowania go i zapobieżenia dalszéj zagładzie papierów, które zostawione w dotychczasowym stanie, musiały coraz więcéj niszczyć się i marnieć. Tak jednak bynajmniéj nie było. Czytający ogół już w roku 1851 z wspomnianego wstępu Morawskiego do *Materyałów* wiedział, jaki skarb odkrył w samborskiém miasteczku Jacenty Toporek, wielu literatów w pierw-

szych zaraz miesiącach po odkryciu przejrzało z grubsza tę piękną zdobycz, a pan M. już z niéj nawet do swego wydawnictwa korzystał. Zarząd téż Zakładu przez długie lata niczém nie usprawiedliwił słów Bielowskiego, zarówno już wyżéj przytoczonych, jako i tych, które je poprzedziły a mianowicie, że „wszelkiego rodzaju zbiory wtedy dopiero są wielce użytecznemi dla kraju i przeznaczeniu swemu należycie odpowiadają, jeżeli tak przystęp do nich, jako i możliwość użytkowania z nich przez uporządkowanie wewnętrzne i spisy dokładne ułatwione zostały.“

Zdawałoby się, że uczony autor *Wstępu krytycznego do dziejów Polski*, rozumiejąc tak doskonale niezbędną potrzebę „wewnętrznego uporządkowania i dokładnych spisów“, uważał za pierwsze zadanie przyprowadzenie archiwum Mniszchów do takiego stanu, aby było zabezpieczone przed dalszym rozkładem, oraz stało się przystępném dla badaczy. Nie znamy przeszkód, które tym zamysłom stanęły na zawadzie; dość, że do ostatnich czasów podobne zajęcie się tym zbiorem nie wychodziło po za sferę pobożnych życzeń. Z pobieżnéj wzmianki, uczynionéj w r. 1862 przez Kaczkowskiego, że Zakład umieścił archiwum „w swoich salach“, możnaby wprawdzie wnosić o pewnym porządku; ale trudno budować jakiekolwiek przypuszczenia na wyrzeczeniu, jeśli wprost nie błędném, to przynajmniéj niedokładném, archiwum bowiem nie było złożoném w salach, lecz po prostu zamknięte w jednéj ze szaf bibliotecznych, zkąd arcy-rzadko wydobywano je na światło dzienne, aby każdego z poszukujących przekonać o staréj prawdzie, że niepodobna korzystać na razie z chaotycznie rozrzuconéj kupy papierów.

Rażąca niedbałość, jakiéj ofiarą padło archiwum, wywoływała od czasu do czasu z różnych stron skargi i upomnienia, zawsze niestety daremne. I tak w roku 1865, gdy nadchodził termin oddania Zakładu pod zarząd księciu Jerzemu Lubomirskiemu, sąd krajowy pismem z dnia 8 lutego zawezwał ówczesnego zastępcę kuratora, „aby wszelkich dołożył starań do jaknajrychlejszego sporządzenia i uzupełnienia inwentarzy przedmiotów, dotąd nieinwentowanych a mianowicie... archiwum tak zwanego Mniszchów.“ Jak mało skutkowały podobne odezwy, widać z następującéj rady, zapisanéj

na dniu 10 listopada r. 1872 przez Szujskiego w „księdze życzeń i zażaleń“: „pożądaném i koniecznem byłoby przystąpić jak najspieszniéj do chronologicznego uporządkowania listów po Mniszchach“ itd. W interesie uratowania mocno przez zaniedbanie nadpsutego zbioru, zaleca szanowny profesor „sprawić pudełka na listy, popodklejać te, które się łamią i kruszą za dotknięciem.“

Słuszne te uwagi nie trafiły snać do przekonania zarządu, gdyż pomiędzy rokiem 1872 a 1877 nie tknięto się wcale archiwum, a jedyny wypadek zajęcia się niém należy odnieść do wcześniejszéj pory, i to podobno do roku 1865, bezpośrednio po znanéj nam odezwie sądu krajowego. Ówczesny kustosz Zakładu, ś. p. Ksawery Godebski, któremu nie można odmówić zalety pracowitości, podjął się niemałego, choć niestety bezowocnego trudu około uporządkowania archiwum. Ażeby dla wiadomości sądu módz podać ogólną cyfrę listów, porozdzielał je na paczki, obejmujące po sto sztuk, czyli na tak zwane centurye, przyczém jednak nie kierował się żadnym systemem, żadną zasadą, wkładając w każdą „centuryą“ bez względu na jakikolwiek porządek wszystko, co się nawinęło pod rękę.

Żałować trzeba, że ten szanowny człowiek zamiast wprowadzić pewien ład w utworzone przez siebie centurye, wolał podejmować zupełnie zbyteczną pracę, z niemałym trudem dopisując w oryginałach atramentem różne objaśnienia. I tak w każdym odczytanym przez siebie liście, do wymienionéj tylko wedle godności osoby dodawał odsyłacz, na dole zaś wypisywał imię i nazwisko a nierzadko dołączał całe komentarze, jak np. w liście Szembeka, kanclerza w. kor. z r. 1726: „Mowa tu o weselu Wacława Rzewuskiegu, syna Stanisława, z Anną Lubomirską, wojewodzianką czerniechowską.“

Podobne przypiski zajmowały autorowi wiele czasu, stanowiły zaś zabawkę nietylko bezcelową, lecz co gorsza, sprzeczną z pierwszemi zasadami bibliotekarstwa. Mówię bezcelową, bo przypuścić należy, że każdy ze światłych czytelników i badaczy, a tacy tylko zwyli zaglądać do źródeł, albo z pamięci będzie wiedział, jak się nazywał ten lub ów kasztelan, wojewoda, biskup, hetman, kanclerz, podskarbi itp., albo też będzie się mógł przekonać o tém snadnie z tych dzieł pomocniczych, ja-

kich używał niedość zkądinąd z materyałami do historyi XVIII wieku obeznany Godebski, ztąd téż niekiedy popełniający rażące pomyłki.

Ożywiony najlepszemi chęciami, miał on zamiar opisać całe archiwum, ale z niewiadomych nam znowu powodów, rozpoczęty przezeń w *Bibliotece Ossolińskich* z roku 1862 artykuł, nie doczekał się nigdy dalszego ciągu a obejmuje zaledwie pięć kartek. Nie znajdujemy w nim nic więcéj, okrom wydrukowanych *in extenso* czterech dokumentów z epoki Samozwańców, a mianowicie oryginalnych listów z pieczęciami i własnoręcznemi podpisami: Dymitra I do Stanisława z Wielkich Kończyc Mniszcha, starosty sanockiego, pisany z Moskwy dnia 15 sierpnia r. 1605, Dymitra II do Jerzego Mniszcha, wojewody sandomirskiego, pisany w obozie pod Moskwą 14 października r. 1608; carowéj Maryny do ojca, pisany w obozie 13 stycznia r. 1609 *) i Zygmunta III do Stanisława Bonifacego Mniszcha, starosty lwowskiego.

Wydania tych materyałów nie można nazwać krytyczném, jakkolwiek Godebski miał do pomocy pod ręką dwa dzieła historyczne, Kognowickiego *Życia Sapiehów* i Niemcewicza *Dzieje panowania Zygmunta III* dla porównania z tém, co znalazł w listach. Rzecz naturalna, że ta pomoc nie mogła być wystarczającą; szczególniéj żałować wypada, że szanowny autor znał rosyjskie wydawnictwa do tego przedmiotu jedynie z cytatu, podanego we wspomnianéj książce Niemcewicza, który się powoływa na *Sobranie gosudarstwiennych gramot i dogowor*ow Rumiancowa.

Pierwszy z pomiędzy wspomnianych listów, z wyjątkiem łacińskiego tytułu i wstępu, zredagowany jest w całości po polsku. Donosi w nim Dymitr przyrodniemu bratu Maryny, że „od ojca świętego patryarchy, według starożytnego obyczaju koronowany i świętym olejem pomazany nietylko na jednę szeroką ojczyznę naszą, ale i na wszystkie te tatarskie królestwa, które z dawna naszéj monarchii posłuszne były“, wyprawia w poselstwie do Zygmunta III, podskarbiego nadwornego, Afanazya Iwanowicza Własiejowa, upoważnionego

*) Listy te, oddzielone już dawno od archiwum, umieszczono pomiędzy autografiami; zobacz numera 39, 40, 2438.

przez carską parę do traktowania z Jerzym Mniszchem. Sama „Cesarzowa Jejmość“ zaprosiła listownie „Jaśnie Wielmożnego Pana Ojca“, by niezwłocznie podążył na miejsce pobytu króla, do czego i pan starosta sanocki ma go nakłaniać, „gdyż na tém siła należy.“

Drugi z kolei list, w którym Dymitr II obiecuje wojewodzie sandomirskiemu „trzykroć stotysięcy rublów“, gdy go „Pan Bóg na stolicy osadzi“, znany jest z niebardzo poprawnego przedruku Rumiancowa i Niemcewicza. Dokument ten w sto kilkadziesiąt lat późniéj (1736) doczekał się oblaty w grodzie warszawskim za staraniem marszałka w. kor. Józefa Mniszcha, który mając nadzieję, że cesarzowa Anna spełni obietnicę Samozwańca, nie szczędził zabiegów przez Keyserlingka i Löwenwolda; Piotr I w skutek starań, czynionych w r. 1720 przez posła polskiego w Petersburgu, Stan. Chomętowskiego, przyrzekł przez usta Dołhorukiego marszałkowi sześć tysięcy czerwonych złotych towarami, co temu oczywiście nie przypadło do smaku. Pan marszałek skarży się z goryczą, że jego pradziad poniósł „koszta wielkie na ornamenta i przeprowadzenie córki na stolicę moskiewską.“ Owe „ornamenta“ pozostały w Moskwie, wspomniane wynagrodzenie nigdy nie zostało spłacone, a nadto zabrano panu wojewodzie sandomirskiemu „pieniądze, klejnoty, aparencye i splendory wszelkie, jego ludzi zacnych, przy nim na ten czas będących.“ Wspomniawszy o tylu niepowetowanych szkodach, napomyka pan marszałek, że posiada w swym ręku „zapisy oryginalne na pewne ziemie w państwie rosyjskiém domowi jego służące, *donativo modo**) uczynione.“

Wzruszającą do głębi jest treść listu Maryny do ojca, pisanego 13 stycznia r. 1609 z obozu, z którego już uszedł nędzny Samozwaniec. „Nieszczęsna córka“ wojewody, opuszczona przez dotychczasowych stronników, w obec groźnego niebezpieczeństwa prosi go o opiekę, przyczém wypowiada słowa, charakteryzujące wiernie i owczesne położenie ambitnéj kobiety i stan jéj wyniosłéj duszy, słowa pełne ujmującéj prostoty: „Wielki gniew Pański teraz tkwi nademną, rady zdrowéj i pomocy zniskąd mieć nie mogę, tylko się Bogu najwyższemu poruczam, a czekam wyroku Pańskiego, gdzie

*) sposobem darowizny.

podobno ciężki żal mój poda mię w grób bez czasu, cobym już wolała, niżeliby świat miał więcéj tryumfować z nieszczęścia mego...“

Ostatni z rzędu, ogłoszony w *Bibliotece Ossolińskich* list Zygmunta III, tyczy się kup swawolnych rozzuchwalonego żołnierstwa, które nie wahało się w ojczyźnie poczynać sobie jak w kraju nieprzyjacielskim, wydanym na łup zwycięzcy.

III.

Opowiedziawszy koleje, przez jakie przechodziła ocalona w r. 1850 część archiwum Mniszchów, poświęciwszy należną wzmiankę tym, co dotąd o niém pisali, uczyńmy je teraz przedmiotem szczegółowszéj rozprawki, zużytkujmy zwięźle co ważniejsze i charakterystyczniejsze szczegóły, dobyte z téj bogatéj skarbnicy, którą piszący miał sposobność poznać gruntownie, dokonawszy z polecenia dyrekcyi Zakładu systematycznego uporządkowania zbioru, rozdzielonego już obecnie na kilkadziesiąt starannie oprawnych tomów, tak że odtąd nie grozi mu zagłada, a uczeni, pragnący z niego korzystać, zamiast dawniejszego chaosu, spotykają materyał, przygotowany odpowiednio do naukowego użytku.

Metoda, jakiéj się trzymać będziemy w téj pracy, nie zyska może aprobaty w kole samych pracowników naukowych, którzy chcieliby od nas bibliograficznego regestru, dokładnego wyszczególnienia wszystkiego tego, co się tutaj znajduje. Przyznaję, że byłoby to rzeczą wygodną dla interesowanych pisarzy i uczonych, lecz wyznaję zarazem, iż nie mogłem się zdecydować na ograniczenie użyteczności artykułu do tak szczupłéj liczby osób; że wolałem raczéj napisać rzecz, w któréj obok ogólnych wskazówek natury bibliograficznéj, znajdzie nietylko człowiek naukowy nowe materyały w rodzaju pamiątkowéj mozaiki, lecz nadto inteligentny profan ciekawą i o ile możności i zajmującą opowieść, wysnutą z poufnych listownych wynurzeń i zwierzeń, dozwalającą nam zajrzéć głębiéj za kulisy ówczesnych politycznych wypadków i rzucić niejeden promień światła na historyą wybitniejszych rodów optymatów pol-

skich w najmniéj stosunkowo znanéj epoce. Nie będzie to wcale małoznacząca zdobycz; słusznie bowiem i pięknie mówi Kaczkowski, „że jak obrazu jakiéjś skomplikowanéj machiny nikt nie odtworzy, dopóki budowy wszystkich pojedyńczych trybów i sprężyn nie obejrzy i nie dojdzie, jak one za siebie chwytały i ruch nadawały całości, tak i dziejom naszym nikt nie nada prawdziwego kolorytu życia, dopóki tego ducha, który ożywiał pojedyńcze rodziny, nie zbada w nich samych, z nich nie dobędzie i nie przeleje w puste dotychczas dziejowego szkieletu arterye.“

Były czasy, gdy ród Mniszchów, dopiéro w pierwszéj połowie XVI wieku do Polski przybyły, jeśli nie trząsł całą Rzecząpospolitą, gdyż to bywało zwykle przywilejem starszych domów, to przynajmniéj zajmował w niéj najpierwsze urzędy, a nawet wywierał znaczny wpływ na losy kraju. Pierwszy z nich Mikołaj, wychodźca czeski, uszedłszy z kraju przed niełaską króla Ferdynanda, dobrze się zasługuje przybranéj ojczyźnie, a Zygmunt Stary w nagrodę za to, niemniéj dla przywiązania przybysza do kraju, obdarza go starostwami, mianuje podkomorzym w. koronnym. Ale syn udarowanego, Jerzy Mniszech, źle się odpłaca synowi dobroczyńcy; jak wiadomo, on to z klasztoru Bernadynek warszawskich wykrada dziwnie do Barbary Radziwiłłównéj podobną Giżankę, aby za pomocą jéj wdzięków opanować chylącego się do grobu Augusta i tak wypróżnić pełne kosztowności i klejnotów skrzynie królewskie, że ostatniego z Jagiellonów nie będzie w czém pochować. Jestto ten sam Jerzy, wojewoda sandomirski, ojciec ambitnéj Maryny, a teść Dymitra, ten sam, którego sędziwy Żołkiewski w *Historyi wojny moskiewskiéj* mieni podobnym do Bryssoneta; Bryssonet zaś, *„podły i lekki człowiek“*, perswazyami swemi przywiódł Karola VIII, króla francuzkiego, na wojnę do królestwa neapolitańskiego.“

Znane są powszechnie klęski, jakie sprowadziły na Polskę „ambicya i chciwość“ wojewody; pomijamy milczeniem tę smutną epokę wybujania potęgi czeskich przybyszów, czynimy to zaś tém chętniéj, że do wiadomych już wypadków nie moglibyśmy dodać nic nowego, a z licznych niezawodnie dokumentów, odnoszących się do owéj pory, przechowało się zaledwie kilkanaście.

Okrom wydanych przez Godebskiego, są między niemi jeszcze następujące: własnoręczny memoryał Stanisława Mniszcha, starosty lwowskiego, wystosowany do Dymitra bez daty, wyjaśniający stosunki rodzinne i proszący o pośrednictwo; dwa memoryały samegoż Jerzego Mniszcha, „pamięć do pokazania krzywd, które Rzeczpospolita z Królem Jegomością wzięła od narodu moskiewskiego“ i „Motiva niektóre, dla których Rzplita i Król Jegomość o wybawieniu swych tu zatrzymanych słusznie radzić ma“; „regestr pieniędzy, które Moskwa pokazywała z listów JMPana Wojewodzinych od Dmitra pobranych“, czyli wyszczególnienie sum, nadsyłanych teściowi przez Dymitra różnemi czasy; w końcu plan malowideł i ozdób dla sal zamku carskiego w Moskwie, rodzaj ilustracyi wypadków, których sceną była Moskwa od śmierci Borysa Godunowa aż do objęcia władzy przez Dymitra. Uwagi, dopisane na tym planie ołówkiem, uchodzą za własnoręczną notatkę Jerzego Mniszcha.

Materyały, znajdujące się w niniejszym zbiorze, pochodzą niemal wyłącznie z XVIII wieku, głównie z pierwszéj jego połowy; dokumentów z poprzedniego stulecia jest bardzo szczupła liczba, a zawdzięczamy je nie Mniszchom, lecz innym rodzinom, spokrewnionym z nimi prędzéj lub późniéj, jak Potockim, Ossolińskim itd. Z pośród Mniszchowskich pamiątek owéj epoki, przechowała się jeszcze tylko obalona późniéj umowa z r. 1620 o nabycie dóbr Laszek i Chirowa pomiędzy Stanisławem Bonifacyuszem, starostą lwowskim, i Franciszkiem, sanockim z jednéj a hrabią Jerzym Drugieth'em z Homonny, Węgrem, z drugiéj strony. Nie brak natomiast cennych zabytków, sięgających mniéj więcéj od środka XVII aż do drugiéj połowy XVIII wieku, jako to: relacye, mowy, pisemka polemiczne, instrukcye, udzielane posłom przez różne ziemie, drohicką, łomżyńską, olszańską, lauda sejmików łomżyńskiego, średzkiego, wiśnieńskiego itd.

Listów z tego okresu jest zaledwie kilka; przybywa ich dopiéro z początkiem XVIII stulecia, to jest z chwilą, gdy Józef Mniszech, syn Jerzego, wojewody wołyńskiego, występuje na widownią polityczną, aby w krótkim czasie dojść do najwyższych w Rzeczyplitéj godności. Odtąd rośnie korespondencya w nieprzebrane mnóstwo dłuższych i krótszych listów, bo ruchliwy dygnitarz

utrzymuje tak szerokie stosunki, że nie ma prawie znaczniejszéj osoby w kraju, z którąby się nie znosił dość często.

Rzecz szczególna, że człowiek, który od młodych lat zajmował pierwszorzędne stanowiska w Rzeczyplitéj, piastując kolejno godność marszałka nadwornego i generała artyleryi, a od roku 1713 przez lat kilkadziesiąt dzierżył wysoki urząd marszałka w. koronnego, że mówię taki człowiek nie pozostawił w dziejach żadnego śladu po sobie, że nie upamiętnił swego imienia żadnym godnym pamięci czynem, że nawet pisarze, zniewoleni o nim wspomnieć, kończą na wymienieniu dat i tytułów dygnitarza [1]), nie zadając sobie trudu ocenienia jego charakteru.

Możnaby ztąd wnosić, że płużył w słodkiéj bezczynności, ale zbiór niniejszy świadczy wymownie przeciw podobnemu przypuszczeniu. Nie cała wprawdzie współczesna mu korespondencya zawdzięcza swą egzystencyą marszałkowi, weszło bowiem w skład archiwum wiele papierów, pozostałych po spokrewnionych z Mniszchami domach, jak Ossolińskich i Potockich, szczególniéj zięcia marszałkowego, Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego; ale pisane do niego samego listy dowodzą, że nie należał do owych w próżniaczém życiu rozmiłowanych magnatów, jakich nie brak u nas w XVIII wieku, lecz że interesował się żywo sprawami publicznemi, choć sam w nich nie przyjmował osobiście czynnego udziału i miał rozgałęzione stosunki w różnych częściach kraju.

Ale materyały te nie wystarczają bynajmniéj do odmalowania postaci, rysującéj się bądź co bądź bardzo blado na tle współczesnych wypadków; jak mało bowiem uczestniczył marszałek w ważnych wypadkach wojny północnéj, widać już ztąd, iż Nordberg, tak dobrze z polskiemi sprawami obeznany, ani słowem o nim

[1]) Tyle nawet nie uczyniono w Encyklopedyi Orgelbranda. W ogólności powiedzieć możemy, że o ile sumiennie napisane są w niéj biografie Bartoszewicza, o tyle znów artykuły Sobieszczańskiego, a szczególniéj Wójcickiego, zasługują na surową naganę. Panowie ci nietylko przepisywali dosłownie całe karty z pierwszego lepszego herbarza, lecz nawet mówiąc o jakimś głośnym rodzie, pomijali jego najznakomitszych członków; to też „Encyklopedya“ potrzebuje koniecznie w tym kierunku dopełnienia.

nie wspomina. Wybitnie politycznéj roli nie odegrał on nigdy, choć nie brakło po temu ochoty na stare lata, po śmierci Augusta II, za popędem danym przez ambitną, drugą z kolei żonę, któréj się królować chciało, Konstancyą Tarłównę, wojewodzankę lubelską, śmiertelną nieprzyjaciółkę Konstancyi Poniatowskiéj, matki Stanisława Augusta. Jak gorąco ją kochał i jak pokornie ulegał jéj woli, [1]) wskazuje cały stós pisanych do niéj listów, szkoda, że zapełnionych niemal wyłącznie najtkliwszemi wynurzeniami nieostygłego nigdy przywiązania. W każdym z tych romansowych pism, obok rozczulającéj troskliwości o ukochaną osobę, spotykamy zapewnienia, podobne do następnego: „Ani czas piękny, ani nocleg wygodny, ani okrzyk słowików ukontentować i uspokoić mię nie mogą, oddalonego od ciebie, serce moje jedyne...“ Korespondencya między zakochaną w sobie parą rozpoczyna się w roku 1710, tj. wówczas, gdy byli dopiero narzeczonymi, gdy pan Józef w znak i w zakład „wiernéj a słodkiéj niewoli“ przesyłał ukochanéj „sygnecik“ z prośbą, aby go zawsze nosiła, podobnie jak on ofiarowany sobie nosi „przy zielonéj wstążce“ — gdy zaręczał, „że między żyjącymi od wieków na świecie, nikt bardziéj, nikt wierniéj, nikt stateczniéj doświadczać pasyi miłości nie mógł.“

Olśnieni superlatywami pochwał, oddawanych „jedynéj, najśliczniejszéj Kostuleńce“, żałujemy, że nie dano nam było poznać bliżéj ideału Mniszcha i przekonać się, czy ta „najdoskonalsza w świecie dama“ posiadała istotnie, przypisywane sobie przymioty i talenta. Tyle można powiedzieć na pewno, że pisała bardzo nie kaligraficznie i nie ortograficznie, o czém przekonywa własnoręczna jéj notatka na jednym z mężowskich listów: „*l*ysty do Lwowa, do mnie pis*z*ane...“

Zdaje się, że głęboka miłość do żony była naj-

[1]) Że pani Konstancya lepiéj umiała chodzić koło interesów i zręczniéj od małżonka intrygować na dworze, świadczy np. list marszałka do żony, przebywającéj we Lwowie z powodu wiadomości o konaniu Sieniawskiej (r. 1729): „Dla Boga, trzeba jako najprędzéj jechać spiesznо, wszak moje serce wiesz, jak u dworu rzeczy idą, kto nieprzytomny. W niebytności WCi mnie duszno, nie wiem, co czynić... Trzebaby choć o niedzieli wyjechać, proszę, moja duszo, i serdecznie obliguję, powracaj jak najprędzéj, bo o rzecz wielką idzie.“

większą cnotą marszałka, który pod innemi względami nie stał wyżéj od upadłego moralnie wieku. Aż pod koniec panowania Augusta II odgrywał on niezaszczytną rolę królewskiego narzędzia, za co, jak zaręcza Loewenwolde, pobierał z prywatnéj jego szkatuły 12,000 talarów rocznie. Późniéj brał pensyą od Rosyi i wraz z innymi magnatami żądał pomocy państw postronnych przeciw królowi; podczas bezkrólewia zachowywał się dwuznacznie, sam wzdychając do korony, a gdy go ominęła nadzieja, stanął po stronie Leszczyńskiego, popierał go nawet przez pewien czas szczerze, lubo zawsze ostrożnie i nie narażając się zbytecznie.

Zestawiając obok siebie listy Fryderyka Augusta z listami Leszczyńskiego, widzimy, że marszałek łudził z razu obydwóch płonnemi obietnicami, sam łudzony przez rosyjskiego ambasadora, który chwali jego dobroduszność *(welchen einen der ehrlichsten finde)*. Był to w istocie, o ile sądzić można, raczéj słaby, niż zły człowiek, a nieszczęście chciało, że rządy nad nim dostały się kobiecie chciwéj i skoréj do intryg. Zawiódł się jednak poseł, licząc na jego słowa, wyrzeczone w lutym roku 1733:

„*Roi ou point roi. je ne me departirai jamais des interêts de Votre cour.*“

Z pierwszego listu, jaki Leszczyński wystosował do niego bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości o zgonie Augusta II, dowiadujemy się o dawnych między nimi stosunkach, którychbyśmy się nie spodziewali ze względu na przeszłość marszałka. „Pamiętny W-u Panu“, pisze Stanisław 13 lutego r. 1733 w Chambord, „rozumiem afekt i estymacya moja ku zacnéj Jego osobie. Nie zapomniałem i ja tego, coś mi zawsze w podających się okazyach świadczył, a zatém niepłonnie się spodziewam, że przy teraźniejszéj okazyi zechcesz odnowić obligacye swoje i *pro authoritate ministerii sui dirigere negotia publica* [1]) tak żeby i Ojczyzna i ten, którego interesa są złączone z dobrem pospolitém, jak najskuteczniejsze mógł odnieść *solatium*.“ [2])

O zachowaniu Mniszcha w roku 1733, zwłaszcza przed elekcyą, wiemy nieco z relacyi braci Loewenwol-

[1]) wedle powagi ministerstwa swego tak pokierować sprawy publiczne, [2]) pociechę.

dów, ogłoszonych przez Gieriego, oraz z relacyj hr. Wilczka i markiza Monti, zużytkowanych w rozprawie piszącego p. n. *Po zgonie Augusta II* (*Przewodnik naukowy i literacki* od sierpnia do końca roku 1877); wzmianki te uzupełniają się oryginalnemi listami króla Stanisława. Pod dniem 23 października już z Gdańska dziękuje mu król „*tenerrime* [1]) za pamięć i te starania (dodaje), które masz do przełamania uporu naszych adwersarzów, których zawziętość i *tenacitatem* [2]) słodzi mi przywiązanie WPana do interesów Ojczyzny, z osobą moją nierozdzielnych.“

Podobnież 15 stycznia następnego roku donosząc przez Eperyasza, że „nieomylnie spodziewa się posiłków“, nie ma słów na podziękowanie „za tak chwalebne województw małopolskich do ratunku Ojczyzny rezolucye, do których wiem, żeś WPan wielkim był powodem.“ I późniéj jeszcze dziękując jak najgoręcéj „za tak wielkie prace i starania, które marszałek ma koło dobra pospolitego“, przemawia słowami, pełnemi życzliwości i przyjaźni a „JMćPanią marszałkową i całą familią serdecznie ściska.“

Pod dniem 27 lipca, a więc bezpośrednio po szczęśliwéj ucieczce z miasta, przyprowadzonego do ostateczności, rozpoczyna krótki list od słów: „Wszechmocna ręka Boska jakim cudem wyprowadziła mię ze Gdańska, już się nieprzyjacielowi poddającego, rozumiem, że już wiadomo WMPanu.“

Od 25 sierpnia począwszy, wspomina Leszczyński kilkakrotnie o jakimś, obmyślanym przez siebie a nieznanym nam bliżéj sposobie ocalenia swéj sprawy. Mówi, że „ułożył plantę do tego według sumienia“, którą już komunikował wojewodzie kijowskiemu, Józefowi Potockiemu. „Podaję ją“, pisze daléj „*judicio* [3]) WPana, pewien, że ją *approbabis* [4]) i wielkim kredytem swoim *cooperaberis* [5]) do wykonania, czego życzę i co mi się zda w teraźniejszéj konjunkturze *unice salutare*.“ [6])

W kilkanaście dni późniéj (9 września) powtórzywszy zapewnienie, że w owéj plancie zakłada nadzieję „*salutis publicae*“ [7]), posyła z bliższemi wyjaśnieniami

---

[1]) najczuléj. [2]) upór, [3]) pod sąd, [4]) potwierdzisz, [5]) przyczynisz się, [6]) jedynie zbawienne, [7]) publicznego dobra.

stolnika brzesko-kujawskiego, „to zaś, co doniesie stolnik, prosi jeszcze mieć *sub arcano* [1]) a według tego brać *mensuras*.“ [2]) Król uchwycił się swéj planty, jak ostatniéj deski ocalenia; widać to ze słów następnych: „Ja zdanie moje podałem — nie mogę *convinci* [3]), żeby nie miało być *saluberrimum*. [4]) Jestem pewien, że WMPan miarkując wszystkie *circumstantias, approbabis, revolves* [5]) skrupuły, jeżeliby były jakie. Ja *teste conscientia* [6]) nie widzę przeciwko temu żadnych racyi, owszem sądzę *hoc unicum salutare*.“ [7])

Nie znamy odpowiedzi Mniszcha; wiemy tylko, że wyjawił swe zdanie w dwóch listach, „których *contenta* [8]) (donosi król 15 września) *penetrant intima cordis*...“ [9])

Snać był Stanisław zadowolonym z zachowania marszałka, powiada bowiem, że od rotmistrza Raczyńskiego odebrał ustną relacyą „*de dignissimo* WMPana *sensu* [10]) w teraźniejszych naszych nieszczęśliwych cyrkumstancyach, za którego radą daj Boże, aby jako najprędzéj kochana Ojczyzna mogła *solari* [11]), jako mam w łasce jego świętéj zupełną nadzieję... To tylko *optandum* [12]), żeby za powodem WMPana zgodnie wszystko *decidatur et celerrime excquatur*.“ [13])

W końcu proponuje Leszczyński, aby się Mniszech przeniósł do jego rezydencyi wraz z rodziną; ucieszyłoby go to niezmiernie, bo miałby „w ukochanéj jego osobie *angelum consilii*.“ [14]) Próbę tę powtarza następnie usilniéj, ale bez skutku, gdyż położenie królewskie stawało się coraz groźniejszém. Musiał biedny tułacz okupywać sobie względy Fryderyka Wilhelma I ulubionymi temuż rekrutami olbrzymiéj postawy. Dnia 21 września roku 1734 pisze do marszałka: „żebyś mi kilku ludzi wielkiego wzrostu kazał się starać dostać, żebym sobie mógł Króla JMci pruskiego obligować, co WMPan osądziwszy za rzecz potrzebną w teraźniejszych konjunkturach, wiem, że zechcesz mię w téj materyi, o co bardzo proszę, obligować. *N'epargnez pas, je Vous prie, la peine en cela.*“

---

[1]) w tajemnicy, [2]) miarę, [3]) dać się przekonać, [4]) najlepszém, [5]) okoliczności, potwierdzisz, załatwisz, [6]) świadkiem sumienie, [7]) że to jedynie rzecz zbawienna, [8]) treść, [9]) przenika do głębi serca, [10]) najgodniejszém uwagi zdaniu, [11]) doznać pociechy, [12]) jest pożądane, [13]) o wszystkiém zdecydowano i jak najprędzéj wprowadzono w życie, [14]) anioła rady.

Nie tracił jeszcze Stanisław nadziei, że kraj się poruszy i rozgromi nieproszonych opiekunów a marszałek przyrzekał, że dołoży wszelkich starań w tym celu. To też król woła 29 września: „Całém życiem zawdzięczę, jak da Pan Bóg, dopomożesz do konfederacyi generalnéj“ a 7 grudnia pisze uradowany: „Pobłogosławił Pan Bóg *conatibus* [1]) WMPana w zjednoczonéj Rzeczypltéj przez konfederacyą generalną, przy któréj tak pożyteczném i przezornem postanowieniu tém skuteczniéj nieporównana WMPana *activitas cooperabit* [2]) do ratunku Ojczyzny.“

Ale ostatnia to już pochwała, po któréj następują wyrzuty i żale; w niespełna dwa miesiące potém (5 lutego r. 1735) pisze Leszczyński: „Niepodobna *combinare integritatem* [3]) WMPana z wiadomością fatalną, którą odbieram o rezolucyi, którą bierzecie z JMPanem wojewodą kijowskim...“ Z bólem widzi nieszczęśliwy król, że wierni mu dotychczas stronnicy dążą „przez jakieś armisticium w nieochybną kapitulacyą o zgubę Ojczyzny.“ Chciałby, jeśli jeszcze można, odwieść opuszczających go przyjaciół od powziętego zamysłu, gdy mówi: „*Lator plura deferet*, [4]) jeżeli temu jeszcze czas.“ Wahając się między nadzieją a zwątpieniem, woła: „Ja sercem z żalu ściśnioném *obmutesco* [5]), póki mię WMPan nie odżywisz tak, abym całe życie był WPana kochający Stanisław król.“

Przytoczyliśmy umyślnie szereg wyjątków z listów Leszczyńskiego, gdyż rzucają dużo światła na stanowisko marszałka w owéj porze i przedstawiają nam go w charakterze troskliwego o dobro kraju obywatela, pracującego wytrwale w raz obranym kierunku, czego nie można o nim powiedzieć ani w poprzedzającéj, ani w następnéj epoce. Nie powinniśmy się dziwić, że człowiek z natury słabego charakteru, nie dochował do ostatka wierności prawowicie wybranemu królowi, skoro nie było już widoków, ażeby opuszczony przez Francyą i większą część własnego narodu, zdołał powrócić na tron, odebrany mu przemocą. Godzi się to uznać, że Mniszech nie oświadczył się prędzéj za Augu-

---

[1]) usiłowaniom, [2]) zabiegliwość przyczyni się, [3]) pogodzić niewinności, [4]) oddawca więcéj powie, [5]) zamilkam.

stem III, który już blisko rokiem wprzód, 7 marca r. 1734 pisał do niego, że tłómacząc sobie przychylnie usunięcie się marszałka na wieś, chce chętnie wierzyć, iż nie zjechał na koronacyą jego i elektorowéj do Krakowa jedynie gwoli niepewności dróg, zapewnia go przeto o swych względach na wypadek, gdyby się chciał połączyć z nim w Piotrkowie, Łęczycy lub Toruniu, dokąd się wybiera [1]).

IV.

Lata 1734 i 1735 należały do wyjątkowych w długiém życiu Mniszcha; wówczas bowiem zajął pewne samodzielne stanowisko polityczne i w myśl jego działał dość stanowczo, lubo zawsze oględnie i niejako pośrednio, nie uczestnicząc osobiście w zaciętéj walce, jaka się toczyła między stronnictwami, po części dla sędziwego już wieku, w części zaś, jak się zdaje, dla braku osobistéj śmiałości i odwagi. Niemniéj przeto próbował różnych sposobów, dla poratowania słabo bronionéj sprawy, a szczególniéj usiłował nakłonić Tatarów i Turków do czynnego upomnienia się u Rosyi o mieszanie się do polskiéj elekcyi. Mniszech, podobnie jak Poniatowski, Józef Potocki i Michał Potocki, wojewoda wołyński, który nawet podejmował w tym celu podróże, usiłowali nakłonić to Portę otomańską, to przynajmniéj Ordę do wojny, ale starania te nie przynosiły pożądanych owoców. Dość obfita korespondencya wchodzi w szczegóły, malujące ówczesny stosunek Muzułmanów do Polski. I tak Jan Jakób Kolumna Pogroszewski, podsędek ziemi podolskiéj, pisze z Kamieńca pod dniem 31 maja roku 1734: „Od Chocimia nic pocieszngo *occurrit* [2]) do oznajmienia nad to, iż przez tak długi czas

[1]) „...Je serai ravi de Vous y voir et de Vous donner des marques de Ma clémence Royale.“ Mniszech uznał Augusta III w liście z 30 stycznia roku 1735, na co mu odpowiada król dnia 17 lutego: „Votre engagement de répondre pour le palatin de Kijovie a donné du poids aux promesses, qu'il M'a fait faire de sa dévotion sincère pour Ma personne et la part, que Vous prennez naturellement à ses avantages, ne m'a pas peu porté a mettre le Castellan de Cracovie en état de Vous montrer un document de mes intentions favorables, pour ce que le dit palatin désire.“

[2]) nie słychać.

uwodząc Chan JMć tatarski, tak wielkie od JWnych WMpanów i Dobr. zabrawszy upominki, na końcu powiedział: iż ta być moją nie może rezolucya wkraczać do Polski, póki fermanu od Porty mieć nie będę. Ferman zaś być nie może, póki senator znaczny od Najjaśniejszego Króla JMci Stanisława i wszystkich marszałków, przy dostojeństwie jego skonfederowanych *in ordine* [1]) z Portą o takowe *subsidium* [2]) posłany nie będzie do Porty.“

Na tym samym punkcie stały rzeczy przez długie miesiące, jak widać z listu atamana kozackiego, Orlika, pisanego z obozu pod Koszanami na dniu 1 sierpnia 1734 r. Donosi w nim Orlik Mniszchowi, że chan z najżywszą niecierpliwością *(impatience extrême)* oczekuje potwierdzenia wieści o szczęśliwéj ucieczce króla Stanisława z Gdańska. „Proszę wierzyć“, brzmią dalsze słowa listu, „że nie przestajemy pracować tutaj u boku Chana JMci (*auprès la Majeste le Khan*), aby go nakłonić do wyruszenia w pole, on jednak nie mogąc, ani nie mając prawa działać na własną rękę, nie przestaje zagrzewać Porty do spełnienia obietnic, dawanych tylokrotnie Rzeczypospolitéj, ale Porta pragnie widzieć posła, zaopatrzonego w autentyczne pełnomocnictwa Króla i Rzeczypospolitéj, ażeby ułożyć warunki korzystne dla stron obu.“

Żądaniu temu nie można było uczynić zadość; dla tego też Porta nie posłuchała błagalnego głosu Stanisławowczyków.

Pora zawieruchy politycznéj, od początku bezkrólewia aż do sejmu pacyfikacyjnego, maluje się tu barwnie i dosadnie; z wszystkich stron bowiem, a szczególniéj z Kamieńca Podolskiego, dochodziły marszałka to krótsze, to obszerniejsze relacye. Niektóre z nich noszą charakter wyłącznie sprawozdawczy i zbliżają się do gazetek pisanych, inne zawierają prośby i skargi. I tak korespondencya Jana Jordana (na wiosnę r. 1734), skierowana przeważnie przeciw gwałtom, jakich się dopuszczał niedoszły król, zuchwały Teodor Lubomirski, wojewoda krakowski. „Tę, jakem pisał“, mówi 20 marca r. 1734, „hydrę, koniecznie zetrzeć potrzeba. Z trzynastu miast spiskich z wsiami, które do tych miast należą, kazał

[1]) porządnie, [2]) zasiłek.

każdemu miastu wystawić po 400 ludzi, 600 *actualiter* [1]) już zebrał, okrył, zaciągnął Rosyi i Kozakom dał wczas.“ Cała okolica jęczy pod srogim uciskiem, „starostwu czorsztyńskiemu, nowotarskiemu nakazał nieznośny prowiant, *tandem* [2]) za wielkiém miłosierdziem zgodzili się panowie gubernatorowie starostw za 16 tysięcy, nowotarskie już dało 2000 *ad rationem.* [3])

Tak dotkliwego ciemięztwa nie myślą dłużéj cierpieć mieszkańcy; „niech przynajmniéj 200 przyjdzie koni“, woła Jordan, „a my się nie damy.“

Do osobistéj protekcyi marszałka odwołują się bardzo często tak swoi, jak obcy, a między nimi jakiś awanturniczy książę Falary, [4]) i potężny w późniejszych latach hetman, teraz zaś chorąży koronny, Jan Klemens Branicki, który gorliwą służbę Augustowi przypłacił utratą swobody. W czasie, gdy jeszcze zostawał na wolnéj stopie, dnia 25 września r. 1733 posłyszawszy o zrzeczeniu się przez przyszłego teścia swego, Stanisława Poniatowskiego, generalnego regimentarstwa na rzecz Józefa Potockiego, donosi marszałkowi, że

---

[1]) w rzeczy saméj, [2])nareszcie, [3]) na poczet.

[4]) Duc de Falary, bo tak się podpisuje na listach, jak widać, w arcy-kłopotliwém znajdował się położeniu, skoro oświadcza 13 sierpnia r. 1726 w Warszawie: należy słuchać Bożych i królewskich rozkazów, lecz nakaz króla polskiego tém trudniejszy dla mnie do spełnienia, „que je ne puis partir, à moins que je ne m'en aille en demandant la charité.“ Książę błaga, aby mu przynajmniéj udzielono pieniędzy na podróż, przyrzekając w zamian wdzięczność ze strony papieża, na którego dworze posiada wysoki stopień. W trzy dni późniéj wzywa Mniszcha, ażeby nie dopuścił „qu'une personne de mon rang et recommandé par le pape, périsse à Varsovie de misère. Je n'ay de quoy vivre, ni de quoy partir, ne voulant pas, que je sois réduit à demander la charité.“

W zimie tegoż roku spotykamy prześladowanego od losu księcia w Wolborzu, u biskupa kujawskiego, zkąd pod dniem 1 grudnia donosi marszałkowi, że dowiedziawszy się w Grodnie, dla czego August nie chciał mu powierzyć żadnego urzędu na swym dworze, żąda zadośćuczynienia. Hr. Lagnasco na wezwanie księcia Richelieu, posła francuzkiego w Wiedniu, uwiadomił króla, jakoby Falary miał się dopuścić zdrożnych czynów w stolicy Austryi. Otóż dotknięty tém oszczerstwem książę, postarał się o świadectwa swéj konduity na dworze tamtejszym od ministrów cesarskich i od nuncyusza Grimaldego; domaga się przeto w imię sprawiedliwości, aby król polecił sprawdzić, czy owe świadectwa nie zbijają zupełnie fałszów, rozsiewanych przez Richelieu'go, ktory chciał zgubić go w oczach królewskich.

Jaki skutek wywarło słuszne żądanie księcia, nie wiemy.

„mieć sobie będzie *pro gloria* [1]) pod tak zacną zostawać komendą.“ „Proszę“, dodaje, „abyś raczył JMPana wojewodę sprawić na mnie łaskawego, żeby mię nie tak, jak przeszły regimentarz zagrzewał *indiscrete* [2]) ordynansami w tych zwłaszcza konjunktorach“, a kończy, dopraszając się wstawienia u nowego naczelnika, aby mu „nie odbierał tych kilkunastu ludzi“, których ma pod ręką.

Zawiodły jednak pana chorążego nadzieje, pokładane w nowym przełożonym, bo już na początku wiosny następnego roku znajdował się w jego ręku, jako surowo traktowany więzień [3]). Katastrofa ta nastąpiła pomiędzy 12-m marca, w którym to dniu jeszcze jako wolny człowiek „ubolewa nad nieszczęśliwością Ojczyzny“ a 4 kwietnia, gdyż wówczas z Jarosławia prosi marszałka o „łaskę i interpozycyą“, o „kompasyą nad teraźniejszą sytuacyą“ a ufny w skuteczność próśb niewieścich, następnemi słowy kończy list, z którego już tylko ocalały strzępki: „Niech także uprasza JMPani Dobrodzika JMPana regimentarza, aby był łaskawszy na mnie.“

W dwa dni później błaga Mniszcha, „aby go na parol swój wziąć raczył“ a w krótkim przypisku zdradza wewnętrzny stan swéj duszy: „Choć dziś wyjeżdżamy, nie wiem dokąd, czy do Zamościa czy do Stanisławowa, *per omnia sacra* [4]) suplikuję, ratuj mię WMPan Dobrodziéj, bobym już cale o sobie desperował.“

Zamiast do Zamościa lub Stanisławowa, jak się obawiał, zawieziono Branickiego do Kamieńca podolskiego, zkąd 26 listopada pisze znowu błagalnemi słowy do marszałka w. kor.: „Zapomniany i cale w tak nieszczęśliwéj sytuacyi mojéj od wszystkich opuszczony, w samego tylko WMPana Dobr. dawnych respektach

---

[1]) za zaszczyt, [2]) niedyskretnie.

[3]) Jak widać z *Kroniki Podhoreckiéj* Leona hr. Rzewuskiego (str. 20) schwycił go Adam Tarło, starosta jasielski i oddał Potockiemu. Do historyi obrony Kamieńca pod wodzą Wacława Rzewuskiego, znajduje się w archiwum sporo materyałów, dopełniających opowiadania Leona Rzewuskiego; ciekawe są zwłaszcza piękne, szlachetném uczuciem tchnące listy samego pisarza koronnego.

[4]) na wszystkie świętości.

moje składając nadzieje, do jego protekcyi *ex carcere* [1]) wyciągam rękę zdesperowany, upraszając o kompasyą chrześciańską i miłosierdzie nad osobą moją, który dla tyle niefortunnych przypadków, a najbardziéj dla zrujnowanego ośmmiesięczną detencyą i ustawicznemi niewygodami zdrowia, jakobym miał *subsistere*,[2]) sposobu nie znajduję. Jeżeli zaś kredytu mieć nie mogę, jako najuniżeniéj suplikuję, gdziebym mógł ostatniéj zdrowia mego *subvenire ruinae*.[3])

Nie wiadomo, o ile pan marszałek okazał serca na niedolę chorążego; wiemy tylko, że z dawien dawna stali w przeciwnych obozach, podczas bowiem gdy drugi jako jeden z naczelników konfederacyi tarnogrodzkiéj, bił ciemięzców saskich, pierwszy trzymał się statecznie dworskiéj klamki, lubo odgrywał tu raczéj bierną, niż czynną rolę. Dość powiedzieć, że podczas całego ówczesnego zatargu króla z gnębionym narodem, raz tylko słyszymy o Mniszchu, a jakżeż nieszczególną rolę odegrał w tém wystąpieniu, rolę pospolitego królewskiego narzędzia, używanego przeciw objawom wolnomyślności obywatelskiéj. Oto gdy w r. 1714 poseł, wyprawiony przez wojsko, domagał się słusznie, „żeby ministrowie sascy w Saksonii się rządzili, nie *in libero regno*“ [4]) a podkanclerzy litewski na to „*civilissime*[5]) odpowiedział od tronu“, nie kto inny, jak marszałek wielki kor. objawił temu dostojnikowi wolą Augusta, „żeby więcéj na pokojach królewskich nie bywał.“ (Pamiętnik Otwinowskiego, wydanie Czecha, str. 218).

Za tę bezwzględną, niekiedy w obec narodowych obowiązków wprost grzeszną powolność, dobrze się działo Mniszchowi, bo August był szczodrym panem dla swych ulubieńców i narzędzi. Sam opływając w dostatki i biorąc jedno starostwo za drugiém, miał marszałek niemały wpływ na rozdawnictwo urzędów i królewszczyzn. To téż skoro umarł jaki starosta lub dygnitarz, nie mógł się opędzić usilnym, a często natarczywym prośbom mężczyzn i kobiet. Tak np. po śmierci Tyzenhauza, wojewody mścisławskiego, pisze pani Róża z Ogińskich Krasińska, kasztelanowa płocka (z Krasnodworu 30 kwietnia r. 1724): „Zostały po wojewodzie

[1]) z więzienia, [2]) wytrwać, [3]) zapobiedz ruinie, [4]) w wolném państwie, [5]) najuprzejmiej.

starostwa kupiskie i pieniańskie, żebyś Dobrodzieju które wyrobił dla panów Massalskich, obligować nas wszystkich do usług swoich będziesz. Tak też i województwo wakuje. *U mnie taka stanęła ordynacya*, aby niém JWMPana podskarbiego n. W. X. lit. król Jegomość ukontentował a podskarbstwo panu Massalskiemu. Jeżeli się to będzie WMPanu zdało, ja uniżenie suplikuję, abyś to uczynił i JMości kochanéj Dobr. proszę, aby się przyłożyła instancyą swoją."

Czasami do próśb dołączali petenci propozycye; i tak niejaki Terlecki z Unihowa listem, pisanym 27 lutego r. 1730 w Rosochach, prosi o wakujące wójtostwo w miasteczku Niżankowicach, starostwie przemyskiém, obiecując w zamian wypłacić do skarbu marszałka w. kor. na koszta kancelaryi „5000 bitych talerów *sub verbo nobili, fide et honore*.[1])

Niejeden z dopominających się darowizny, czy awansu, dostaje odprawę raz, drugi i trzeci, co zamiast go odstręczyć od dalszego próbowania szczęścia, staje się tylko pobudką do natręctwa i gorzkich wyrzutów, niekiedy nawet wprost do wypowiedzenia usług. Stefan Humiecki, wojewoda podolski, grozi 8 marca r. 1718, że „czeka nietylko dalszych rozkazów Pańskich, ale też nagrody *meritorum* [2]), bo w podeszłym wieku, swego azardować życia na prace nie odważy się bez pociechy drobnym sukcesorom." Jeszcze wymowniéj pisze M. Podoski z Radomia 22 maja 1729 r. „J. W. Mci Dobrodzieju, gdybym tak długo i na galerach, jak Rzeczypospolitéj służył, albo uwolnienia z więzów, albo bym się jakiéj szarży dosłużył a tu *nulla meritorum habetur ratio*". [3])

Śmiały szlachcic przypomniawszy, że „kto kościołowi służy, to mu z zakrystyi płacą", woła z oburzeniem: „dacie za nas Bogu rachunek, którzy sercem Pańskiém rządzicie, Bóg na to patrzy!"

Uspokajał go wprawdzie dawniéj Mniszech, mówiąc: — „Już się nie turbuj, całe ministeryum myśli o ukontentowaniu twojém" — ale były to płonne przyrzeczenia, gdyż w trzy lata późniéj błaga marszałka,

---

[1]) pod słowem szlacheckiém, wiarą i honorem, [2]) zasług, [3]) nie oceniają wcale zasług.

aby „miał pamięć na jego prace i fatygi, które *in usum publicum* [1]) z ruiną zdrowia i fortuny *przy trzydziestu i sześciu* (sic) *funkcyach ex senatorio et equestri ordine* [2]) odprawionych podejmuje"; a 12 sierpnia r. 1732 powtórzywszy ulubiony frazes o galerach, o starganém na służbie publicznéj zdrowiu i uszczuplonéj fortunie, mówi z goryczą: „że zaś tak nieszczęśliwy jestem, iż każda konkurencya, o jakikolwiek zamyślę wakans, zawsze na racyach *evanescit* [3]), więc podniósłszy serce do Boga, pod jego nogi składam moję niedolę."

Zdaje się, że biedny Podoski doznawał istotnie krzywdy, podczas gdy ulubieńcy, ulubienice i ich rodziny otrzymywały, czego im się tylko zachciało.

Chcąc coś wymódz na Auguście, trzeba było przypuszczać szturm śmiało i mieć przy jego boku takich, coby umieli przypominać mu sprawę w najwłaściwszéj porze. Nie brakło ich Mniszchowi, a może najzręczniejszym i najenergiczniejszym między nimi był Krzysztof Towiański, podczaszy a późniéj podkomorzy koronny, którego listy, pisane dosadnie i żywo, lubo już bardzo zniszczone, zawierają wiele ciekawych szczegółów.

„Byle się okazya najmniejsza nadarzyła", pisze z Drezna 15 listopada r. 1727, „zaraz biegę obces do króla i mówię o WMPanu bardziéj, aniżeli o sobie" a na stwierdzenie prawdy słów swoich, opowiada szczegółowo charakterystyczne zajście dnia poprzedniego: „Wczoraj rano JMć X. Podkanclerzy (Jan Lipski, późniejszy kardynał), nie mogąc widzieć króla, mówił mi, że WMPan życzysz sobie starostwa warszawskiego, którego mógłbyś dostąpić, gdyby król dał starostwo kamienieckie panu wojewodzie kijowskiemu (Józefowi Potockiemu) *in praesenti.* [4]) Więc pobiegłem a raczéj wszedłem do króla."

Targ się nie powiódł dla tego, że August II nie ufał Potockiemu, pomny jego konszachtów z Turkami w czasie pobytu Karola XII w Benderze. Na przedstawienia więc Towiańskiego odpowiedział odmownie:

— Cela se pourroit faire, Monsieur, si la starostie de Kamieniec n'étoit pas si prêt des Turcs, avec les

---

[1]) na użytek publiczny, [2]) z senatorskiego i poselskiego stanu, [3]) kończy się, [4]) zaraz teraz.

quels le palatin a de mik mak, et il en auroit encore d'avantage, étant staroste de Kamieniec. Cela est de dangereuces conséquences. Mais, s'il y a quelque autre bonne starostie, je la donneroi au grand maréchal.

Do téj wiernie powtórzonéj odpowiedzi królewskiéj dołącza korespondent następne objaśnienie: „Pan wojewoda kijowski nie jest tu, widzę bardzo dobrze w łasce Pańskiéj *positus* [1]), jako i dom Potockich, krom jednego pana wojewody wołyńskiego (Michała), i ten prawda nie ze wszystkiém dobrze, ale lepiéj, niżeli kto z téj familii. Stara się najbardziéj pan wojewoda kijowski o strażnikowstwo na syna, ale deklaracyi nie odbiera, ani odbierze. Namieniłem także o buławie małéj, *in quantum* [2]) by wakowała, że pan wojewoda kijowski i dla niéj ustąpiłby starostwa warszawskiego, ale i to się nie zdało królowi."

Jeśli podejrzliwy król nie chciał oddać Potockiemu pogranicznego starostwa, nie dziw, że mu odmawiał jednéj z buław, z powodu których pod koniec jego panowania rwał się jeden sejm za drugim. Ambitny wojewoda pragnął usilnie władzy nad wojskiem, coby go uczyniło panem sytuacyi. Wiedział on, że August, odtrącający teraz wojewodę, musiałby się liczyć z hetmanem i dla tego nie szczędził starań, ani wydatków, aby stanąć u celu swych życzeń; król nawzajem z téjże saméj przyczyny, na stanowisku wodzów siły zbrojnéj chciał widzieć ludzi sobie oddanych. Na środki i sposoby, jakich używał Potocki, dla ziszczenia przedmiotu swych pragnień, rzuca ciekawe światło list, wprawdzie niedokończony (urywa się na pierwszym arkusiku), a a ztąd bezimienny, lecz niewątpliwie pisany, a raczéj dyktowany przez wojewodę kijowskiego do wspomnianego powyżéj syna, ze Zbaraża 10 czerwca r. 1726, a więc na rok z górą przed relacyą Towiańskiego. Poleca w nim Potocki przybyłemu na dwór synowi, aby się często „prezentował na pokojach" królowi i królewiczowi i ujmował sobie wszystkich tych, którzy wywierają wpływ na umysły obydwóch, a więc aby z JMPanem Starostą tymbarskim konferował często „w wiadomym o buławę interesie" i aby wedle jego wskazówek odwiedzał ministrów, szczególniéj kanclerza w. koron., Jana

[1]) postawiony, [2]) o ile.

Szembeka i wojewodę płockiego, Denhoffa, który jako „marszałek królewiczowski“, przytém osobiście ojcu przychylny, dla syna skarbić będzie względy królewicza. Ma też młodzieniec „przypomnieć się respektowi i protekcyi“ prymasa, słuchać pilnie jego rad i zleceń, nie sprzeciwiając się w niczém, aby nie zniechęcić dygnitarza kościelnego, który przyrzekł forytować krewniaka do buławy, „zabrać konfidencyą“ z majorem Jauchem, „bliskim boku królewskiego“ a wojewodzie kijowskiemu „srodze życzliwym“, oraz z niejakim François, „baptystą“, zasługującym dla tego na uwagę, że „ma pozwolenie najczęściéj bywać u JMPanny contessy Orzelskiéj...“ Jeśliby sam miał sposobność zapoznać się z ulubioną córką naturalną Augusta, niech to uczyni, „rekomendując“ i siebie i ojca „w teraźniejszéj o buławę konkurencyi *promotioni* [1]) onéj, a ta dama, jako *cor principis possidet* [2]), tak najskuteczniéj dopomódz mogłaby, gdyby szczerze chciała.“

Jak dalece biegłym był pan wojewoda w dyplomatycznym kunszcie, wskazuje ostatni ustęp niedokończonego listu: „Bliższych boku tak królewskiego, jako też królewiczowskiego zapraszaj WMość, choć nierazem wszystkich do siebie na obiad, akomodując się im i dla maniery i bardziéj dla interesu a mogą i ci *prodesse* [3]), gdy dobrze o nas wspominać będą, osobliwie IChmość Sułkowski i Moszczyński *ex veteri et constanter perseveranti obsequio* [4]) są w partykularnych respektach u Królewicza JMci. Ci siła u Najjaśniejszego (sic) pana swego a on u ojca sprawić mogą. Gwałtem nie wymusimy, tylko trzeba starać się usilnie, czekać cierpliwie, promocyi szukać, nieukontentowaniem, z niepomyślności w jakowéj okazyi doznaném nie zrażać się, a tak temi drogami możemy trafić na pożądane nadziejom naszym skutki i jeśli Bóg zechce, pobłogosławi krokom naszym.“

Towiański, z powodu wzmianki którego daliśmy głos Potockiemu, bardzo często mówi o opróżnionych dostojeństwach i starostwach, a gdy ich braknie, woła na pół żartem, na pół seryo: „Rogate tam widzę dusze w Polsce, nikt mający królewszczyznę ani myśli umierać.“ Augustowi naprzykrza się nieustannie, czém ten

[1]) protekcyi, [2]) sercem pańskim włada, [3]) być pożyteczni, [4]) z dawnéj i nieustającéj życzliwości.

znudzony, zbywa go jak może. „Mówiłem ja obszernie dosyć królowi, że się dziwują w Polsce, że jednym nie chce tu nic deklarować z wakansów, drugim zaś wszystko, o co proszą, daje, ale mi na to inaczéj nie odpowiedział, tylko:

— *Vous ne sauriez croire, comme j'étois tourmenté!*

Ale *on a beau de le tourmenter;* kiedy nie chce, to nic nie uczyni."

Listy pana podkomorzego tém większą mają wagę, że z epoki, do któréj się odnoszą, posiadamy tak mało materyałów, iż ograniczonym niemal wyłącznie na pamiętniki jednostronnie rzeczy widzącego szlachcica i na korespondencyą urzędową, braknie nam poufnych zwierzeń ludzi, którzy stali przy wielkim ołtarzu, pilnie przed tłumem strzegąc swych zakulisowych robót. Sądzimy więc, że nie od rzeczy będzie przytoczyć opis odwiedzin Towiańskiego, odbytych w Gdańsku u ostatniego potomka Gotarda Kettlera linii męzkiéj, u zamieszkałego po za granicami kraju księcia kurlandzkiego, Ferdynanda.

„Pełnię rozkaz WMMPana", z tego tu miejsca — czytamy pod dniem 12 kwietnia r. 1726, — „oraz donoszę, żem sam z siebie był u księcia kurlandzkiego z wizytą. Po zwyczajnych ludzkości komplementach zaczął dyskurs o swéj inwestyturze, żaląc się, że nie wie, *quo facto* [1]) naznaczona *pro 4 aprilis* [2]) od króla, *evanuit* [3]) a zatém niespodziane ode dworu czynią mu propozycye, ażeby *usitato* od antecessorów jegoż *modo*[4]) znał się na dyskrecyi *in honorario*[5]) tak Królowi, jako też niektórym JChmościom. Potwierdziłem toż samo repliką moją, upewniając, że jedno bez drugiego nie będzie i nie zapomniałem po Panu — domawiać się o WMPana. Na co mi odpowiedział, że by się znał na téj dyskrecyi, gdyby *in plena* był, jako przodkowie jego *possessione* [6]) dóbr kurlandzkich, oraz zaś swój *exposuit* [7]) naprzeciwko JPPanów Komisarzów na on czas do Kurlandyi naznaczonych, to jest na JPana Wojewodę Połockiego i JP. referendarza Dunina, że IChmość zakazali, żeby tameczne ministerium nie oddawało mu dotąd *reditus* [8])

[1]) jakim zbiegiem okoliczności, [2]) na 4 kwietnia, [3]) nie przyszła do skutku, [4]) sposobem przez poprzedników używanym, [5]) w wynagrodzeniu, [6]) w zupełnem posiadaniu, [7]) wyłożył, [8]) dochodów.

póki nie uczyni inwestytury, *interea* [1]) ażeby te pieniądze *pro deportatione* [2]) długów kurlandzkich od antecesorów jego zaciągnionych obracało, co oni na własny obracali użytek, albowiem i tenże między innymi poseł kurlandzki, którego to do Kamieńca posłać teraz miano, od lat pięciu w dobrach księciu należących siedzi i ztamtąd cztery tysiące talerów co rok prowentu zabiera. *Tandem* [3]) po długich w téj materyi dysertacyach tém zakończył, że niech mię Król i Rzplita, którym dotąd byłem wierny, na posesyą dóbr *reinducant* [4]), znać się będę do powinności méj ku Panu, jako też osobliwie i ku WMMPanu a lubo mam i teraz trochę grosza, niepewny losu mego, chować go *pro ultima* muszę *sitti* [5]), żadnych nie mając dochodów, *insuper* [6]) gdybym żył po książęcu, jużbym był dawno *mendicans* [7]). Już tedy, Kochany Dobrodzieju, widzę, że *vana spes nostra*." [8])

Pod wielką tajemnicą („o czem zaklinam nic nie mówić — niech to w sercu tkwi WMPana") zwłaszcza czując się pewniejszym, gdy wyjeżdża od dworu („nie pisałbym tak śmiele z Drezna"), przesyła Towiański marszałkowi nowiny, przeznaczone tylko dla szczupłego koła wybrańców. Odnoszą się one przeważnie do króla i jego trybu życia, na który nasz korespondent narzeka, ubolewając, „że się cale nie ochrania, pije i dosyć często — a mówić i prosić, aby nie pił, albo nic nie mówić, to wszystko za jedno."

Przez pewien czas, pod wrażeniem lekarskich przestróg, hamował nieco swe zapały do butelki. „Król z łaski Bożéj zdrów", czytamy w jednym z listów, pozbawionych daty, „śpi, pije dobrze, czasem się i napije nadto, lecz to przecie rzadko. Noga, lubo ranka, jako pół szeląga, nie zgoiła się dotąd, co przecie, między nami, znak krwi nie ze wszystkiém dobréj; jeśli się ochraniać nie będzie, nie dobry koniec *ominatur*." [9])

Sprawdziła się późniéj wróżba, król bowiem umarł na nogę. Czuł on potrzebę wstrzemięźliwości, ale nie przywykły do trudnéj sztuki panowania nad sobą, folgował niekiedy ulubionéj słabości. „Pan z łaski Bożéj

[1]) tymczasem, [2]) na spłacenie, [3]) wreszcie, [4]) na nowo wprowadzą, [5]) na ostatnią potrzebę, [6]) nadto, [7]) żebrakiem, [8]) próżna jest nadzieja nasza, [9]) zapowiadają.

zdrów", pisze Towiański z Drezna 30 grudnia r. 1727, i „ciała znacznie nabrał i codzień nabiera; żyje *très sobrement*, tylko w Pilnicach raz był wypił półtory butele wina *de Champagne*. Od tego czasu, czemu już niedziel pięć, i kieliszka nie wypił."

Dość często uwiadamiał pan podkomorzy, oddalonego od stolicy marszałka o zajściach i intrygach dworskich. I tak pisze pod datą co dopiero wymienioną z nieukrywaném zadowoleniem: „Pan generał Lubomirski stanął tu onegdaj, ale nie bardzo dobrze przyjęty. Przysłał przodem z kartą o mil cztery będąc od Drezna, swego kamerdynera do pana Loosa, aby króla prosił o stancyą dla niego. Gdy o to mówił królowi, rzekł król:

— *Vous n'avez que lui dire, qu'e je n'ai pas ou le loger.*

„Stałem przy królu i toż słyszałem. Bardzo go to tedy zmortyfikowało, bo sobie siła dobrych obiecywał rzeczy, między inszemi, że ordre mieć będzie, którego jako mi ongi król mówił, widzę że mieć nie będzie a zatém *avec un pied de nez* w kilka dni ma odjechać. Otóż tobie *faire les yeux doux!*"

Jako dworak duszą i ciałem, lubi się Towiański zajmować wszystkimi i wszystkiém, co żyje w dworskich kołach; to też obok ploteczek udaje mu się częstokroć podać bardzo ciekawy szczegół. Krótko po śmierci Fleminga mówi o pozostałéj po nim wdowie, znanéj z lekkomyślnego życia Tekli z książąt Radziwiłłów, późniejszéj księżnéj Michałowéj Wiśniowieckiéj. „Pani feldmarszałkowa bodaj nie pójdzie za pana Rutowskiego (generała, naturalnego syna Augusta II.) obawiając się, żeby trzech albo czterech kroć stu tysięcy talerów nie płaciła, co nieboszczyk małżonek *zemknął* Panu *visiblement*. Upomina się ich król seryo i zaraz propozycyą uczyniono Jejmci, jeśli pójdzie za pana Rutowskiego. Responsu rzetelnego nie dała dotąd, ale widzę, że się nadstawia temu konkurentowi."

Niemniéj złośliwie wyraża się podkomorzy o owdowiałéj po Stanisławie Denhoffie wojewodzinie polockiéj, Zofii z Sieniawskich, z powodu jéj związku z księciem Augustem Czartoryskim: „Matrona, która *fata* męża nieboszczyka i z racyą opłakiwała [1]), tak że o nieprzy-

[1]) Słowa powyższe odnoszą się zapewne do bardzo żałosnych listów, któremi owdowiała wojewodzina donosiła o świeżéj stracie.

jaznych nieboszczykowi nie chciała i słuchać mowy a zwłaszcza o książętach Czartoryskich, na których i czci nie zostawowała, a *tandem* miłość górę wzięła, ale o tém sam siła opowiem *particularitates*[1]) Dobrodziejowi memu i dokumenta na piśmie do mnie w téj materyi wyrażone pokażę. *Elle a fait faux ton à tous ses meilleurs amis* — dla tego ja teraz zdaleka.“

I z Mniszchami nieszczególne stosunki łączyły bogatą dziedziczkę; odpisując bowiem marszałkowéj wielkiéj kor. (16 sierpnia r. 1731 z Warszawy) na powinszowanie odbytych przed dwoma miesiącami zaślubin, wspomina o „dawniejszych dyfferencyach z JMcią Panem Marszałkiem“ [2]). Pomiędzy księciem Augustem a Mniszchami nie było nigdy szczeréj zgody, choć jednano się od czasu do czasu, jak np. 3 lipca r. 1733, gdy B. Gozdzki pisze z Dąbrówki nie wiadomo do kogo: „Donoszę téż JWPani Dobrodziejce, że już po napisanym liście zaszła mnie wiadomość o zgodzie wojewody ruskiego z panem marszałkiem.“

Sama matka księżnéj Augustowéj, słynna z rozumu i wpływu na sprawy publiczne Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska, hetmanowa w. koronna, kobieta wedle Otwinowskiego, „tak dobrego obrotu, że z całą Europą miała konferencye“, z natury żywa i energiczna, nie wahała się wystąpić przeciw Mniszchowi ostro, lubo zwykle przemawiała doń tonem życzliwym i przyjaznym. List (bez daty), zdradzający gwałtowne usposobienie dostojnéj pani, przytaczamy tém chętniéj, że w innych mówi niemal wyłącznie o sprawach potocznych, nie zasługujących wcale na uwagę:

„Donosi mi podstarości mój, Czerniakowski, że tam WMJWPan jakichś ubogich chorych w szpitalu lokować ordynujesz, zaczem proszę WMMPana, żebyś tę *charitatem* [3]) nie w moich dziedzicznych dobrach, ale po

Kopiaryusz tych listów znajduje się w archiwum. Jeden z nich tak się rozpoczyna: „Ciężkość żalu mego a przez nią oprcsya serca, wszystkie przechodząca expresye, łzy nieutulone wyciska i zamiast odetchnienia, samém dychać jęczeniem pozwala“ itd.

[1]) szczegółów.

[2]) W tym samym liście donosi księżna, że mąż pojechał do Drezna „dziękować Królowi JMci za konferowany sobie order bardzo piękny z brylantami i bardzo obligujące przytém w liście expresye.“

[3]) miłosierdzie.

Warszawie lub na inném miejscu do swojéj należącém jurysdykcyi pokazać i rozłożyć raczył, bo nietylko że sama do Warszawy najdaléj za trzy niedziele zjadę a w Czerniakowie stać będę, żadnych tam nie życzę sobie zastać chorób, ale i ludzi moich chcę mieć od téj zarazy wolnymi. Upewniam zaś WMPana, że tego pozwolić nie mogę i szpital zamknąć i zapieczętować każę; jeżelibym zaś w tem miała jaką wiolencyą, musiałabym w sądzie szukać sprawiedliwości, który i sędziów sądzi. Upraszam tedy i powtórnie, abyś był na mnie łaskawszy, niż jesteś, bo ja jestem“ etc.

Słynny mezalians księcia Teodora Lubomirskiego z uwiedzioną mieszczką krakowską, Krystyną Kominżanką, wywołuje w dumnéj siostrze słowa lekceważenia i pogardy. „Słyszę“, pisze 10 lipca r. 1727 z Wilanowa, „że i mój brat się ożenił, starosta spiski, czego mię aż wstyd, z Chrystą — bardzo piękna koligacya!“

Dość charakterystycznym i ciekawym jest list pani kasztelanowéj, pisany o kilka miesięcy wprzód, 26 lutego z Jarosławia: „Chciałam ztąd jechać, ale mnie San nie puszcza a potem na śledzionę strasznie choruję, nudności straszne, ludzi nie lubię, tylko mnie melankolia jakaś opanowała straszna. Chcę do Warszawy jechać, jeżeli króla zastanę jeszcze — niezmiernie teraz zła droga, bo puszcza strasznie. Królewicz Jakób ongi mało nie umarł w Złoczowie, tak był zemglał, że się go ledwie dotrzeźwili i jeszcze choruje. W Złoczowie z Królewiczową źle bardzo. Mnie chcieli do zgody, alem ja się wymówiła, ale się Królewiczowa poprzyznawała do blankietów, jako on powiada. Dla tego do tych kłótni wdawać się nie chcę.“ *)

Jak widzimy, w smutnym stanie zdrowia i usposobienia znajdowała się ta niepospolita kobieta w ostatnich latach życia, które zakończyła w Oleszycach 24 marca r. 1729.

Ciekawsze są listy jéj męża, którego zaledwie o trzy lata przeżyła, ostatniego potomka możnego rodu

*) O Jakubie Sobieskim i o Annie Iwanównie, późniejszéj Carowéj szczególną wiadomość podaje Chomętowski, wojewoda mazowiecki, w liście do marszałka, pisanym na wiosnę r. 1724: „Soli. Piszą mi, że królewic Jakub życzy sobie *renovare nuptias* z księżną kurlandzką.“

Sieniawskich, hetmana wiel. koron. i kasztelana krakowskiego. Ciągną się one od roku 1713 [1]) do 1726, najważniejsze jednak obejmują czas pomiędzy rokiem 1715 a 1717. Niezdolne zrehabilitować samolubnego, upartego a słabego magnata, ani usprawiedliwić jego chwiejnego i nieszczerego postępowania, przedstawiają go przecież w znacznie korzystniejszém świetle, aniżeli pamiętniki nie dość sumiennego w sądach Otwinowskiego, prototypu szlacheckiéj lekkomyślności i podejrzliwości, wietrzącego wszędzie przeniewierstwo i zdradę.

Hetman z powodu różnych okoliczności tak śmiało i otwarcie występuje przeciw nadużyciom Sasów, lubo wie, że słowa jego dojdą do Monarszych uszu, a nawet nieraz każe je sam powtórzyć królowi — tak wyraźnie określa swoje stanowisko w stosunku do dworu i narodu, że wniesione przeciw niemu oskarżenia pamiętnikarza musimy uznać za mocno przesadzone a zarazem oświadczyć, że późniejszy więzień konfederacyi tarnogrodzkiéj zapewne mniéj względem niéj przewinił, niż powszechnie mniemamy. Źródło, na podstawie którego wypowiadamy to zdanie, jest wiarogodne i pewne; o ile bowiem pisząc do członków i zwolenników konfederacyi, mógłby Sieniawski zostawać pod podejrzeniem nieszczerości, o tyle w listach, wystosowanych do dworaka, a piętnujących saskie bezprawia, zasługuje na bezwarunkową wiarę.

Otwinowski, zapewne w dobréj wierze, stał się łatwowierném echem współczesnych zarzutów, podnoszonych przez otwartych przeciwników hetmana. Zbija je sam Sieniawski, pisząc 4 marca roku 1716 ze Lwowa: „JMPan feldmarszałek Fleming powiedział przed wszystkimi przytomnymi w Rawie, żem nigdy o ewakuacyą wojsk J. K. Mości nie prosił i żadnych w téj mierze rzeźwych nie czynił reprezentacyi. Przyzywam jednak w tém WMPana *testimonium* [2]), iż teraz JMPan *involat in jus* [3]) władzy hetmańskiéj, wydaje dyspozycye na

---

[1]) Na dniu 23 stycznia roku 1713 pisze hetman: „Tak ja rozumiem, że Król JMć szwedzki inaczéj zacząć nie zechce, tylko z brzega od Króla JMci duńskiego, bo kto chce karpi w kotlinie dostać, z brzega po jednemu, żeby się wszystkie nie poruszyły, brać musi.“

[2]) świadectwo, [3]) przywłaszcza sobie prawo.

hiberny i konsystencye. A zkąd do tego prawo? Czyliż to już ministerya nasze *vana simulacra?* [1]) Upraszam tedy WMPana, abyś tak J. K. Mość o tém informować chciał i JMPana feldmarszałka reflektować, aby *praejudicium* [2]) tego nie uczynił."

Rozwodzi się niejednokrotnie pamiętnikarz nad „libertowaniem" włości hetmańskich „to od Moskwy, to od Sasów" a przecież widocznie ich nie oszczędzano, skoro Sieniawski utyskuje często na niegodziwą gospodarkę, jakiéj się w jego dobrach dopuszczają Sasi. „Wszędzie zgoła *deserta Arabia*" [3]) woła ze Lwowa 14 marca r. 1716 i dodaje zaraz: „Tłómaczyć tego inaczéj nie mogę, tylko że to za osobliwym J. Kr. Mości dzieje się ordynansem, albo przynajmniéj JMPana Feldmarszałka Fleminga."

A ileż to razy gromi hetman nadużycia Sasów i dopomina się o surowe zadośćuczynienie! Głośne morderstwo, dokonane na Turskim, tak opisuje 1 maja r. 1715 z Oleszyc: „Przy dokończeniu tego listu przychodzi żałosna i niespodziewana wiadomość o śmierci JMPana Turskiego, starosty pilznieńskiego, chorążego usarskiego Królewicza JMci Augusta, którego francuzki JKMci regiment, na Spiż czyli do Krakowa idący, okrutnie naszedłszy *armata manu* [4]) na dwór jego, zamordował i z wszystkiém zrabował. Zabili z nim razem i pana Sierakowskiego, chorążego chorągwi pancernéj JMci Pana kasztelana sandomirskiego (Józefa Myszkowskiego) i JMci Pana Berezickiego, towarzysza książęcia JMci Podkanclerzego W. X. lit. (Kazimierza Czartoryskiego) i innych ludzi niemało. JMci Pana zaś Belhackiego, kasztelana bieckiego, JMPana Malawskiego, towarzysza i buńczucznego króla JMci i dwóch reformatów na śmierć postrzelano i pokłuto, i ci wszyscy są bez nadziei życia."

Do tego opisu, różniącego się nieco w szczegółach od wersyi Otwinowskiego, dołącza Sieniawski następną uwagę: „Uważże WMPan, co się to za niepraktykowany stał kazus i chciéj JKr. Mci tę okropną donieść scenę, z wyrażeniem nietylko mojego, ale i całego wojska żalu. Ten kawaler służył zawsze wiernie i życzliwie JKr. Mci,

[1]) próżno bałwany, [2]) nie przesądzał, [3]) Arabska pustynia, [4]) zbrojną ręką.

bywszy syna JKr. Mci oficerem i tenże już dnia dzisiejszego stanąć miał najpierwszy w obozie i kupić wojsko jako regimentarz, aż taką odebrał zapłatę.“

Hetman domaga się jak najsurowszéj pomsty na zabójców; proszę, mówi, „abyś tę akcyą jak najgorliwiéj J. Kr. Mci remonstrować raczył i upraszał J. Kr. Mci, aby tych oficerów, którzy nie pilnując komendy, prawie pozwolili to wszystko uczynić ludziom swoim, przykładnie i kryminalnie sądzić i karać kazał, zasłużyli bowiem na to, aby ich ćwiertowano.“ [1])

Otrzymawszy wiadomość, że August „tego fatalnego wypadku żałuje“, oświadcza Sieniawski (8 maja) że „nie może J. Kr. Mość większéj nieboszczykowi JMPanu Staroście i po śmierci pokazać łaski, jako gdy będzie mścicielem występku i kryminalnie tak wielką zbrodnię sądzić i karać każe.“ Na zarzut, że i Turski nie był bez winy, odpowiada: „Po staremuż go najechali ludzie J. Kr. Mości a napastnik *a se ipso occiditur;* [2]) bronił się nietylko jako szlachcic, ale i jako żołnierz, mając po sobie prawo *immunitatis.*“ [3])

Mógłby nam powiedzieć pamiętnikarz: nie dziw, że Sieniawski tak gorąco odzywa się przeciw mordercom, gdyż Turski „był wielki faworyt hetmański.“ Na szczęście nie brak innych ustępów, w których hetman występuje przeciw bezprawiom i gwałtom saskim, czegoby nie czynił, gdyby się z duszą i ciałem zaprzedał dworowi. Pisze on do marszałka 23 maja r. 1715 z Dzikowa: „Chciéj WMPan *pro gradu suo* [4]) reprezentować J. Kr. Mci nieznośne jarzmo Sasów, które ostatnią desperacyą, niepohamowaną i niewyperswadowaną po województwach wzbudza i w wojsku toż sprawuje“ a 5 czerwca (z Dzikowa) odmalowawszy wzburzenie szlachty

[1]) O wypadku tym przemawia w 10 dni późniéj regalista Dorpowski w liście, pisanym do marszałka ze Śmiłowic: „Mieszana ta akcya musi każdego. bo przy niedyskrecyi saskich ludzi kto w domu bezpieczny? kiedy od nas, oficerów królewskich zaczynają. Ten przez wszystkie lata swoje wiernie Panu i Rzeczypospolitéj służył, na tę i ową stronę nigdy nie udawał się, aż za to nieszczęśliwą i niespodziewaną śmiercią przyszło zakończyć i jeszcze regimentarzem będąc, gdy na ściągnienie wojska pod Koprzywnicę miał wyjeżdżać, tyrańsko w domu zginąć musiał. Gwałtu i zemsty do Boga ta nieszczęśliwa woła sprawa.“

[2]) sam jest przyczyną swéj zguby, [3]) wolności, [4]) wedle swego stopnia.

na sejmiku wiszniеńskim, przypomina, że wielokrotnie upominał ministrów, ale u nich „*non apprehendebantur* [1]) życzliwe przestrogi, folgi żadnéj nie uznano i owszém coraz nowe wynajdywano *irritamenta*.“ [2])

Jak bardzo brał sobie do serca niedolę Polaków, zagnanych w głąb Rosyi, widać z pisma, wysłanego z Brzeżan, zdaje się, że w r. 1718: „Donoszę oraz, żem tu z poczty warszawskiéj odebrał list aż z Archanioła (Archangielska), od niewolników szlachty polskiéj, w więzieniu tam będących dawno, suplikujących o wyzwolenie, między którymi znajduje się także niejaki pan Sienicki z ziemi chełmskiéj. Są także w Peterburku niowolnicy polscy, jest znaczny szlachcic, Michał Czerniecki, od dziewięciu lat w niewoli, koligat panów Wrzeszczów, za którymi upraszam WMPana o instancyą do J. Kr. Mci, aby z wrodzonéj klemencyi swojéj raczył pisać do Cara JMci o uwolnienie wszystkich niewolników polskich, w państwie jego będących.“

Z „Dźwinogrodu“ donosi Sieniawski 8 kwietnia r. 1716 o ciekawych zajściach, w których nietrudno byłoby dopatrzeć się wypadku uwięzienia nielubionego hetmana przez tarnogrodzkich konfederatów, gdyby nie wzmianka o Piotrze W. i Daszkowie i gdyby nie było wiadomą rzeczą, że przygoda z konfederacyą zdarzyła mu się 19 lutego. Rozpoczyna się ten list od słów: „Transakcya tragiczna nad spodziewanie wszystkich w przeszły piątek we Lwowie odprawiona, którą insze ręki obszerniéj WMPanu rozumiem wyraziły, ruszyła mnie ze Lwowa na miejsce“, a kończy następnemi wyrazy: „W téj namienionéj tragedyi, ze dwie godziny i więcéj trwającéj, gdy jedni w miasto *ab extra* [3]) wpadli, drudzy już w mieście będący, *ab intra* [4]) attakowali, ledwie mi nie przyszło *vitae* [5]) zakończyć *scenam* [6]) aż na parol Cara JMci przez JPana Daszkowa założony, wzięty jestem. Toć to jest, że J. Kr. Mość nie słuchał naszych suplik, WMPanowie zaś reprezentacyi. Ztąd my niewinni ofiarą być musimy za wszystkich... Na te jednak wszystkie wzmagające się gorsze rezolucye lekarstwo najskuteczniejsze, klemencya J. Kr. Mości, skłoniona *ad vota populorum*.“ [7])

---

[1]) nic nie zważano na, [2]) wstręty, [3]) z zewnątrz, [4]) z wewnętrznéj strony, [5] i [6]) życia, [7]) do życzeń narodu.

Opisany powyżéj wypadek, o ile nam wiadomo, nie był dotychczas znany.

Niektóre listy malują dosadnie stosunek hetmana do króla. „To najgorsza“, pisze z Brzeżan 7. grudnia r. 1717, „że przedtém hetmani, widząc zaczepkę jakąkolwiek od wypadających ze stepów tatarskich swywolnych ludzi, donosili to zaraz chanom i rekwirowali poskromienia; ja teraz i w tém skrupuł mam pisać do chana, nie doniósłszy o tém J. Kr. Mości i nie miawszy na to pozwolenia.“

Najwięcéj obawiał się August konszachtów Sieniawskiego z Piotrem W.; to téż pod dniem 23 marca r. 1718 pisze hetman do marszałka: „Winszuję sobie, że mi WMPan donosić raczysz o ukontentowaniu J. Kr. z oddalenia rezydenta Cara JMci odemnie.“

Jak widzimy, Mniszech służył za pośrednika między buławą a tronem, i jeśli sam często udzielał hetmanowi wskazówek z natchnienia dworu, to znowu na odwrót listy Sieniawskiego komunikował królowi.

V.

Znane powszechnie smutne dzieje niewoli Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego w Koenigsteinie; smutne, mówimy, bo odsłoniły całą wątłość i słabość tego charakteru, który nie wytrzymawszy ogniowéj próby dokuczliwego więzienia, wyszedł z niego złamany i przygnębiony poczuciem upokorzenia, na jakie się sam skazał, błagając w sposób małoduszny o litość — tyrana, zasypując najpochlebniejszemi wyrazy tego, który się z nim obchodził bezprawnie i niemiłosiernie.

O ile jednak wiemy, co się działo z wojewodą do chwili uwolnienia, to jest do 15 lutego roku 1717 a z rozpoczętego przezeń pamiętnika i innych źródeł, znamy przynajmniéj ogólnie poprzednie jego losy, o tyle po roku 1717 nie mamy o nim prawie żadnych wiadomości. „Z odzyskaniem swobody“, mówi w pięknym swym szkicu Jarochowski, „z powrotem na łono rodziny, kończy się polityczna rola naszego bohatera. Nie ukazuje się już odtąd na widowni, na któréj doznał tylu zawodów, upokorzeń, niepowodzeń, a któréj trudom sprostać nie umiał.“

Historyk Augustowskiéj epoki mniema, że Jabłonowski nie uczestniczył wcale w walce stronnictw, jaka się toczyła po zawarciu warszawskiego traktatu, że zajęty jedynie regulowaniem własnych majątkowych interesów, dla tego tylko występował publicznie, aby od miast pruskich i od litewskiego hetmana odebrać należność ojcowską, że powięzienne życie wojewody „płynie zresztą bogobojnie wśród dobrych uczynków i pobożnych fundacyi, wśród pisania licznych traktatów religijnéj treści, wydania na widok publiczny przekładu *Telemaka*, wśród pracy wreszcie nad perłą wszystkich pism wojewody, *Skrupułem bez skrupułu*.“

Korespondencya Jabłonowskiego z marszałkiem w. kor. wskazuje, że twierdzenie Jarochowskiego nie zupełnie zgadza się z prawdą, że wojewoda po wyjściu z Koenigsteinu nie tylko żył dla pobożnych praktyk i zajęć literackich, lecz nie unikał także spraw publicznych, występując jednak na politycznéj widowni we wręcz przeciwnym duchu, aniżeli do 7 sierpnia r. 1713. Przedłużając niejako upokarzający swój stosunek do króla, zainaugurowany w więzieniu, stara się dumny niegdyś magnat uniżonością i pokorą skłonić Augusta do nagrodzenia brzęczącą monetą wyrządzonéj sobie krzywdy. „Odważyłem się“, pisze 14 grudnia r. 1718 z Podkamienia, „przy pożegnaniu prosić wręcz króla o *remboursement de ma prison*. Przyjął to najłaskawiéj, kazał konnotacyą téj expensy oddać, *m'assurant, qu'il ordonnera de me recompenser*.“ Gdy wojewoda złożył obrachunek, zapewniono go, że August spełni obietnicę, lecz dopiero w Warszawie. Petent pragnie, aby to nastąpiło jak najrychléj, gdyż przyciska go potrzeba; błaga więc Mniszcha o radę, „co z tém czynić i jak się upominać“, wzywa go, aby „zaprzągł do téj sprawy“ księcia Janusza Wiśniowieckiego i sam „ratował człowieka, którego pani płocka (gdzie indziéj „baba płocka“ czy nie owdowiała kasztelanowa płocka Krasińska?) bezbożnie za gardło dławi, póki nie oddam.“

Wojewoda ruski wiele liczy na poparcie marszałka; to téż w jednym ze swych listów stawia „tylko dwa punkta: 1-o *Ego amo te* (Kocham cię), 2-o *Memento mei* (Pamiętaj o mnie)...“ Z początku nie wie wedle własnych słów „*ruralis* senator i zagrzebany statysta“, jaką drogą ma sobie skarbić względy dworu, na dniu

bowiem 15 kwietnia r. 1720 mówi: „kiedy się nie służy, to się gniewają, kiedy się służy, to nic nie dbają“ a równocześnie wypowiada „nieutulouy żal“ z powodu, „że mizernéj chorągwi, obiecanéj synowi, doprosić się nie może“ i żąda, aby go marszałek „królowi przypominał“, ale wkrótce nastręczyła mu się sposobność pozyskania królewskiéj łaski.

Gdy po sejmie, zerwanym 22 lutego z powodu komendy Fleminga rozpasała się w kraju anarchia a hetmani gotowali nową kampanią przeciw dworowi, trzeba im było przeciwstawić silną partyą, przedewszystkiém zaś przeprowadzić na sejmikach dobrze dla tronu usposobionych posłów. Użyty w tym celu były więzień z Koenigsteinu, okazał się najpowolniejszém i najgorliwszém narzędziem saskiém, jak świadczy jego „relacya o sejmiku wiszeńskim“, wyprawiona do marszałka 28 sierpnia 1720 r. Rozpoczyna ją wojewoda wystawieniem „prawie niezwyciężonych przeszkód“, jakie mu przychodziło zwalczać. „W całéj Polsce“, mówi, „nic trudniejszego nikt dobrze myślący nie miał, jak ja, kiedy narachowałem trzy części hetmańskich, wojskiem, grodem lwowskim i pensyami zniewolonych a ledwo czwartą część wolnych i niezależnych.“

Zwiększały trudność zadania inne względy: „sejmiku rwać się nie godziło, bo się sprzysięgli zabijać tego, któryby ich posłów zbawił, bojąc się nowéj taryfy, przeprzeć ni racyami nie można, na kreski pozwalać nie chcieli.“ „Przecież musieli“, woła tryumfująco, „i tak pięciu głównie dobrych i niezawisłych, szósty Gumoski, hetmana jednego chorąży, drugiego, to jest polnego, krewny, i przez to *tractabilis.*[1]) Chcieli naprzód przysięgi, nie dokazali, chcieli *sub discrimine*[2]) sejmu, ani tego.“

Zwycięztwo, odniesione przez Jabłonowskiego i towarzyszy, nie było jednak bynajmniéj tak świetném, jakby godziło się sądzić z powyższego opisu; cóż bowiem sprawić mogli „niezawiśli“ posłowie, skoro stanęła na sejmiku uchwała, „aby nie przystąpić do żadnéj materyi, aż komenda będzie wrócona według praw i konstytucyi sejmu warszawskiego, grodzieńskim potwierdzonego!“ Przekonany ztąd wojewoda, „że cenzury będą“, ale wy-

[1]) można się było z nim ułożyć, [2]) z narażeniem.

stawia swą „niewinność“, tłómacząc, „że inaczéj być nie mogło żadną miarą, ani się sejmik zerwać mógł“, jak zapewne polecono z dworu.

Wielkie światło na ówczesną sytuacyą rzucają następne słowa tego niepospolitego, choć słabego człowieka: „To, com przewidział, uznasz WMPan, że traktat hetmanów w karłów obrócił, intryga z Flemingiem olbrzymami w kredycie czyni. Ci IChmć, *którzy się podpisywali na elekcyą królewicza Augusta*, ciż utrzymują Fleminga na komendzie, żeby tę elekcyą wojskiem cudzoziemskiém utrzymał. Proszę, co *suspicaci populo* [1]) na to odpowiadać, chyba *fateri*, [2]) żem się podpisał i ja... Te reflexye moje niech będą w sercu łaskawém WMPana, na obronę, jeśli będzie potrzeba, zakopane.“

Silne węzły przyjaźni i powinowactwa łączą Jabłonowskiego z książętami Wiśniowieckimi, o których też często wspomina, raz nawet w wyrazach bardzo ciekawych, szkoda tylko, że nie zaopatrzonych w dokładną datę (z Podkamienia 25 maja): „Książę kanclerz (Michał Wiśniowiecki) i we Lwowie dla mnie i w domu u mnie był, wczora odjechał trochę nie zdrów i nic nie pił. Tego zastałem zagniewanego na Pocieja o regiment, że go chce brać Gorzdowskiemu i na kompozytorów gazety o 40 tysięcy Moskwy. Tandem go *lenivi* [3]) i dał mi finalną wczoraj deklaracyą, abym ją księciu prymasowi (Teod. Potockiemu) i WMPanu doniósł, że jeżeli będziecie widzieli tego potrzebę i napiszecie do niego, aby przyjeżdżał, to przyjedzie prosić o sprawiedliwość na delatorów, ale prosi, żebyście i wojewodę trockiego (Ogińskiego) sprowadzili i *cooperabitur* [4]) do pogodzenia z IMPanem Poniatowskim i ze wszystkimi *alias* (jak on jest rzetelny) do Pana przyjechać, ale podskarbim Poniatowskiego rekognoskować nie mogę bez wojewody trockiego, to króla urażę. *Ce seroit un coup de maître*, i sejm by się ufacylitował, i Poniatowski by siła zyskał, kosztów i wexy sejmowéj uchodząc.“

Widzimy ztąd, że między Michałem Wiśniowieckim a Stanisławem Poniatowskim, dawno już wrzała nie-

[1]) podejrzliwemu narodowi, [2]) wyznać, [3]) ułagodziłem, [4]) przyczyni się.

przyjaźń, która potém bezpośrednio po zgonie Augusta II w tak jaskrawy sposób wybuchła.

Oprócz politycznego, kryje się w listach Jabłonowskiego dużo obyczajowego materyału. Pod jesień roku 1723 donosi o niejakim Garczyńskim, hultaju chcącym „pozyskać imię i sławę polskiego Herostrata.“ Rozbija on „w gołych lasach“ a zuchwałość swą posuwa tak daleko, że grasuje nawet „pod bokiem hetmańskim, bo pod Oleszycami.“ Sieniawski wyprawił przeciw niemu aż trzy podjazdy; „o pierwszym mówią, że go ten scelerat zniósł.“

W liście, pisanym ze Lwowa 11 stycznia r. 1728 ubolewa wojewoda ruski, że go ze strony Mniszcha spotkał „afront nienagrodzony“, skoro ten jako marszałek wysyła przeciw niemu do ziemstwa przemyskiego pozew o żyda z Jaworowa, który „napastował“ mieszczanina pana wojewody z Mościsk. Oburzony tém hetmański syn mówi: „Musiało to być albo bez wiadomości WMPana, albo z ostatniego despektu Jego osoby mojéj i urzędu wojewódzkiego.“

Zdaje się, że nie była to wcale pomyłka, a jeszcze w połowie kwietnia wspomina Jabłonowski z ubolewaniem o sprawie żyda, „który *tanta superbia* [1]) z panami idzie.“ Prowadził ją niejaki doktor Forbes, niewdzięczny, albowiem niepamiętny dobrodziejstwa wojewody, który mu ocalił życie: „Kiedy księżna ś. p. matka książąt Wiśniowieckich, siostra moja, zabić go kijmi kazała była i rajtarów rozesłała, i miłością księżnę i siłą uśmierzyłem a nagrodę tego od doktora miałem, że w żydowskich interesach wszystkie co mogą być, figle i afronty i przeciwności honorowi memu czynił i czyni.“ Nadto jeszcze, dodaje, „wyrwałem go z procesu JMPana Podwojewodziego lwowskiego, a on za tę łaskę przed JMPanem wojewodą malborskim (Przebendowskim Piotrem) publicznie a kłamliwie powiedział, że mi się okupił!“

Poważny statysta w bolesnych nawet dla siebie kwestyach pozwala sobie czasem dowcipu, opartego na igraszce słów. „Pan Krakowski“, czytamy 15 kwietnia r. 1723, „bardzo się był na kamień zachwiał. Pisze mi Lullier: Mr. de Cracovie a été très mal de la pierre,

[1]) Tak pysznie.

mais grace à Dieu, il l'a rendue. Jam mu chciał odpisać: s'il vouloit rendre aussi trois cents mille livres, qu'il a pris de seul Mościsk... A to widzę nie pogodzi ich prymas, i ta szykana będzie wieczna. Mają gust wietrzyć talery i bogacić grody i jurysty. Pono i ja pójdę przed króla *de jurisdictione palatinali*, [1]) którą mi gród lwowski *manifeste* [2]) łamie."

VI.

Z domem Czartoryskich łączyły marszałka chłodniejsze stosunki, zwłaszcza w późniejszych latach, aniżeli z innemi magnackiemi rodami. Przyczyniły się do ich oziębienia i polityczne względy i nienawiść, jaką pałały ku sobie nawzajem pani marszałkowa koronna i pani Konstancya z Czartoryskich, Stanisławowa Poniatowska, lubo nie zabrakło nawet związków krwi między Mniszchami a książętami. Ale owo powinowactwo właśnie, zamiast zbliżyć, oddaliło od siebie podobno związane niém rodziny.

Rodzona siostra Józefa Mniszcha wyszła za Samuela Czartoryskiego, syna Karola, podkomorzego krakowskiego; po niedługiém pożyciu umarli oboje małżonkowie, zostawiając majątek w ruinie i dwoje dzieci, syna i córkę. Dziewczę, jak zwykle, nie sprawiało nikomu kłopotu, nie mając bowiem wiana odpowiedniego urodzeniu, „wybrało" wedle Niesieckiego, a raczéj musiało wybrać „życie panieńskie", i to w Krakowie u panien wizytek. Żywot przykutéj do murów klasztornych księżniczki płynął spokojnie i cicho; to też głucho o niéj w naszéj korespondencyi. Chłopiec natomiast nie tylko nie spełnił nadziei wuja, który łożąc dość hojnie na jego wychowanie, pragnął go pokierować w świecie, lecz nawet złém prowadzeniem się i coraz większemi wybrykami, do rozpaczy przywodził i Mniszcha i innych krewnych, niezdolnych sobie dać rady z rozhukanym i niepoprawnym paliwodą. Młodociany książę Jakób, bo takie nosił imię, był smutnym typem téj części wykolejonéj i zepsutéj młodzieży magnackiéj, jaką zawdzięczamy opłakanéj epoce saskiéj. Uwydatniając w sposób jaskrawy

[1]) o jurysdykcyą wojewódzką, [2]) jawnie.

wady i występki wieku, prześcignął on, jak się zdaje, towarzyszów swawoli i rozpasania. Zawadyaka. próżniak, stroniący od nauki, lubo niepozbawiony talentu, hulaka, pochopny do kielicha, do włóczęgi, do wszelkiego rodzaju burd i skandalów, niepomny obowiązków, jakie nakładają imię historyczne i wysokie położenie społeczne domu, nabawiał on rodzinę tysiącznych kłopotów a nie czując sam, co to wstyd, nieraz ją przyprawiał o gorący rumieniec. Jedną z przyczyn tak rażącego rozpasania było zapewne wczesne sieroctwo; mówi bowiem obżałowany do Mniszcha: „Wiadomo Waszeci Dobr. lepiéj, niżeli mnie samemu, w jakim stanie odumarli mnie ś. p. rodzice moi, ciężkie na całéj fortunie zostawiwszy długi, tak że nie mam gdziebym głowę skłonił i tylko z saméj miłości dla krwie J. O. Książę JMć chorąży litewski dotąd mię żywił i według możności mojéj *erudivit*.“ [1])

Należało do zwyczajów epoki, podobnych warchołów i awanturników, dla których świat był za ciasny, zamykać w szczupłéj celi klasztornéj, by ich przepisami surowéj reguły do poprawy i zmiany życia nakłonić. Tę, jak częstokroć okazywało doświadczenie, niezbyt szczęśliwą metodę temperowania umysłów niesfornych, zastosowano do księcia tém skwapliwiéj, że mimo świetny tytuł był ubogim, i sam się zdecydował szukać uspokojenia w klasztorze. Ponieważ jednak razem z decyzyą nie spłynęło kapłańskie powołanie na młodego kandydata do stanu zakonnego, przeto spełnienie tego zamiaru nie przyszło bynajmniéj z łatwością. Wstępował on do jednego zakonu po drugim na to tylko, aby niebawem czy to wypędzony za karę, czy też sprzykrzywszy sobie samotność celi i jednostajność surowego życia, opuszczać mury klasztorne, rzucać się z tém większą lekkomyślnością w wir świata, chwilową pokutę wetując sobie tém jaskrawszém wyuzdaniem.

O tych ciągłych metamorfozach dowiadujemy się tylko z listów stryja i dobrodzieja nieletniego winowajcy,

---

1) Wykształcił. W tymże liście, pozbawionym daty, pisze książę Jakób, że „matka podobno sub potestate będąca, tanquam przymuszona, na tak ciężkie kredytorów długi pisać się musiała“; dla tego pragnąłby dochodzić swych praw, „chciałby jakkolwiek choć o Rymanowską spytać się posesorów zastawnych substancyą.“

księcia chorążego litewskiego, gdyż jego własna korespondencya tchnie tak szczerą na pozór moralnością i tak świętobliwą pogodą, że gotowibyśmy go uważać za najprzykładniejszego młodzieńca, który wprawdzie szumiał nieco, ale wcześnie wrócił na drogę uczciwości i cnoty, a wstępując w stan duchowny, spodziewa się rychłéj za te cnoty nagrody. „Wiedząc“, pisze do wuja 9 sierpnia r. 1722, „że ten świat jest jedno igrzysko, jako przyobiecałem w duchownym stanie służyć Panu Bogu, tak nie odmieniam mego przedsięwzięcia, tylko, aby w tém łaska WMPana Dobr. była, bym przynajmniéj pierwszy stopień miał, to jest jaką kanonią.“ Na nieszczęście, czy na szczęście, listy niedyskretnego stryja odsłaniają prawdziwe oblicze płochego młokosa. Pierwsza zaraz wzmianka, jaką o nim spotykamy w piśmie chorążego (22 sierpnia r. 1722 z Kalwaryi) maluje dosadnie człowieka i jego usposobienie: „O xięciu siostrzeńcu WMPana donoszę WMPanu, że przyjechawszy z Częstochowy [1]) bez mojéj wiadomości wstąpił był do Jezuitów i już był w nowicyacie. Ztamtąd się go Jezuici kształtnie pozbyli, ale jeszcze był nie wziął *habitum religionis*, [2]) teraz chce być koniecznie księdzem świeckim. Ażali będzie statkował, Bóg zna, moja głowa już temu nie poradzi.“

Z tegoż miejsca w niewiele dni potém (12 września) donosi stryj, że „książę Jakób *fervidissime* [3]) chce być księdzem“, posyła go więc do ojców misyonarzy, aby się przygotował do tego stanu i „aby choć liznął trochę łaciny, bo mu jest wielce potrzebna.“ Wiadomości szkolne wichrowatego młodzieńca musiały być przeto nadzwyczaj skromne, skoro nie znał nawet tego, co było początkiem mądrości wieku, to jest łaciny. Ale rezolutny chłopak, jak gdyby dla pokazania, że krewni i opiekunowie zbyt złe mają wyobrażenie o jego umysłowym poziomie, w ośm dni późniéj pisze z Krakowa do „z serca kochanego wuja i dobrodzieja osobliwego“ list naszpikowany tak wówczas modnemi makaronizmami, rozwodząc się nad tém, jak „szczęśliwie wkroczył w stan duchowny, do którego wola Boska go wprowadziła“,

[1]) Zapewne wprzód próbował szczęścia na Jasnéj Górze u OO. Paulinów.

[2]) sukni zakonnéj, [3]) jak najgoręcéj.

zaręczając, że „jak kontent jest, *in hoc plano paginae* [1]) wyrazić niepodobna“ i t. d.

Niedługo jednak trwało to niewymowne „wnętrzne ukontentowanie niepośledniéj szczęśliwości“, niedługo także złudzenie stryja, bo godny bratanek jego dopuścił się takich czynów, za które nie do klasztoru powinien był iść, ale wprost do turmy. „Książę Jakób“, pisze chorąży z gorzką ironią 3 października z Krakowa, „dziwnym trybem żyjąc, cudownie w wokacyi swojéj trwa, bo poszedłszy do misyonarzów, jeno raz był na lekcyi. Więcéj jeszcze zbłądził, kiedy powiedział, że człowieka, który mu z drogi ustąpić nie chciał, zabił.“

Namby się dziś zdawało, że niepoprawny pędziwiatr zgrzeszył nie przez to, iż się przyznał do występku, ale że go popełnił, lecz snać książę chorąży litewski inaczéj rzecz pojmował. Nie dziw, że nie chciano święcić pospolitego mordercy, „czyniąc trudności“, ale dziwno, że ramię świeckie nie pociągnęło go do odpowiedzialności.

Jeśli mu sumienie wyrzucało zbrodnię, starał się uspokoić je w sposób, praktykowany często ze skutkiem przez podobnych doń rycerzy, oto „z pewnym jakimeś księdzem włóczył się po szynkownych domach od szynkarki do szynkarki, *relegato comitatu*. [2]) choć ich nie wielu.“ Oburzony tém do żywego chorąży, woła z rozpaczą: „Bóg zna, że potém wstyd mi będzie w Krakowie bywać, jeżeli on nie zmieni albo obyczajów, albo imienia. Niech komu chce zapisze swoję fortunę, byle tylko nie szpecił imienia!“

Ponieważ paliwoda nie bacząc na nic, „pije i huczy“, przeto radzi książę chorąży marszałkowi, aby go wziął do siebie „na czas słuszny“ i powagą swą wpływał na niego, z powrotem zaś dał mu na towarzysza podróży człowieka poważnego i statecznego, „któregoby się bał i słuchał, inaczéj będzie hańbą domu“ — „bo“, dodaje przekonywająco, „kto go zna, że jest mój synowiec, ten będzie wiedział, że jest WPana siostrzeniec.“

Oddawszy tak hołd krewkiéj naturze i poziomym swym instynktom, rozpoczął znów szanowny młodzieniec starania o przyjęcie do zakonu, w którym to celu uzyskał „list instancyonalny“ od księdza biskupa kujawskiego,

[1]) na téj karcie, [2]) oddaliwszy otoczenie.

Szaniawskiego; dla tego też dodaje z całą powagą: *Quod est Caesaris, Caesari, quod est Dei, Deo.*“ [1])

Ale i tém przyrzeczeniem, choć przypieczętowaném sentencyonalnie łacińskim frazesem, nie bardzo się czuł związanym; zaraz po wyjeździe stryja uciekłszy od misyonarzy, dokazywał po staremu „*cum opprobrio*[2]) imienia swego i święcić się nie chciał.“ Ażeby dostać ptaszka w ręce, trzeba było zażyć podstępu; podmówiono go, aby zajechał w odwiedziny „do księżnéj sandomirskiéj a tam go złapawszy, w miejscu trzymali aż do przyjazdu księcia chorążego.“ Spotkawszy się oko w oko ze stryjem, na całe usprawiedliwienie powiedział, „że mu xiądz sufragan odmówił święcenia.“ Nieprzekonany tłomaczeniem chorąży, wziął go do siebie z postanowieniem rozmówienia się z sufraganem, „aby dojść prawdy i na czém te kłamstwa zawisły, zobaczyć.“

Wzięty w kluby książę Jakób, nie mógł się dłużéj wymawiać, że go nie chcą przyjąć do zakonu, sam stryj bowiem dopilnował wszelkich formalności i uprosił nawet biskupa krakowskiego, że mu własnoręcznie dał „pierwsze poświęcenie.“ Donosząc o tém 23 maja Mniszchowi, dodaje młody zakonnik skromnie: „Dalszych rozkazów czekam w seminaryum, bo tu zostaję, *in spiritualibus*[3]) exercytuję, tylko na mnie ciężko, od nikogo nie mając suplementu, garnę się tedy do osobliwéj łaski WMPana Dobr.“

Można było być pewnym, że i teraz nawrócony grzesznik nie postatkuje długo; jakoż w dwa tygodnie późniéj czuje się już zniewolonym do obrony z powodu wniesionych znowu oskarżeń. „Teraz widzę“, mówi, „że jest taki, któryby mnie w respekcie i łasce osobliwéj WMPana Dobr. rujnował, kiedy na mnie niedobre kładą inwektywy przed WMDobr., do czego się nie czuję, bo na udaniu siła zależy.“ Nie śmiał jednak obrońca własnéj reputacyi, składać wszystkiego na oszczerstwo, lecz owszém przyznając łaskawie, że nie obyło się bez pewnych uchybień, stara się przekonać surowego wuja, że to są nieuchronne następstwa bujnéj młodości; „lecz jeżeli przytrafiło się złego co, niedziw: *juventus ut ventus* (!)“ [4]) a w końcu zniża się nawet do przeprosin, prawda,

---

[1]) Dajcie cesarzowi, co jest cesarskiego, Bogu co Boskiego, [2]) z zakałą, [3]) w rzeczach duchownych, [4]) młodość jako wicher.

że niezbyt pokornych: „jednak... przepraszam, *da patenti veniam*.“ [1])

W trzy dni później wyprawiony list stryja wyjaśnia rzecz całą. Wspomniawszy o „szalonéj fantazyi“ i o „historyach“ księcia Jakóba, dodaje na dowód, że nie oskarża synowca fałszywie: „a że to prawda, posylam starszego od Ojców misyonarzów, jak się tam sprawował, zkąd gdy wyszedł, po ulicach i wsiach włóczył się z rozdartym u szyje krawatem, po domach jednych niby wołoskich, drugich całe wołoskich.“

Zamknąwszy oczy na wybryki, przez wzgląd na dostojność i zasługi rodu, przyjęli misyonarze na nowo zbłąkaną owieczkę, ale i teraz na nic się zdała ta pobłażliwość, czytamy bowiem w piśmie księcia chorążego litewskiego do marszałka w. kor. „Z naszym księciem Jakóbem dziwne rzeczy się dzieją. Od misyonarzów już się znowu przeniósł do Jezuitów, do św. Piotra.“ Sprzykrzywszy sobie wreszcie chleb duchowny, postanowił zakosztować innego zawodu: „porzuca teologią a chwyta się jurisprudencyi, którą chce słuchać, dałby Pan Bóg, choćby się *juris* [2]) opuściło, aby tylko prudencya przy nim się została.“

Dowcipne to życzenie nie ziściło się niestety a wiele jeszcze wody miało upłynąć, zanim się w końcu utemperował wichrowaty animusz książątka. Po krótkiéj ochocie do „jurisprudencyi“ zwrócił się na nowo do zakonu, ale już teraz nie do misyonarzy, ani Jezuitów, tylko do Dominikanów. Na dniu 17 stycznia r. 1724 uwiadamia wuja: „tego tygodnia ruszam się z JMcią panem Mrozkiem do Podkamienia“, gdzie wedle słów jego współczesnika była „święta góra różańcowa, przez Najświętszą matkę łaski i cuda czyniąca.“ Miał książę „przy tymże JMci Panu Mrozku do skutku przyprowadzić wokacyą swoję“; stryj bowiem, zniechęcony bezowocnością poprzednich swych zabiegów, oświadczył listownie, że nie może być obecnym na obłóczynach synowca.

W trzy tygodnie później (6 lutego) pisze już do wuja jako „X. Dominik Józef Czartoryski ord. Pr.“: „Niech Bogu będzie chwała, że za błogosławieństwem JMci Pana Dobr. intencye moje do skutku przyprowa-

[1]) Przebacz proszącemu, [2]) prawa.

dziłem, na którym akcie był pan Mrozek. Teraz na niczém mi nie schodzi, tylko łaski JWJMPana Dobr. potrzeba, abyś o mnie nie zapominał, biednym zakonniku.“

Nie tu jednak kres kłopotów; sprawa ostatecznego wyświęcenia przeciągnęła się jeszcze teraz nadspodziewanie długo. W rok blizko po przytoczonéj wyżéj odezwie (28 stycznia r. 1725) pisze książę chorąży z Olexinca: „Już się tu był dużo zachwiał książę Jakób, który mnie srodze poalterował — nie chciał profesyi czynić.“ I zakon ze swéj strony czynił trudności z finansowych względów, tak że chorąży zaledwie z wielkim trudem i kosztem usunął przeszkody; z przekąsem więc odzywa się do marszałka: „A WMPan na to śpisz dobrze, czego winszuję WMPanu a ja tu mam zawsze takie z nim obroty, co jest z uszczerbkiem zdrowia mego.“ Dzięki Bogu odbędzie się wreszcie „profesya“ na początku lutego; godzi się przeto, aby wuj dobrodziéj przysłał „dla księży z beczkę wina i dla przeora jakie honoraryum, żeby się już téj jako najprędzéj zbyć biedy.“

Zbyli się jéj istotnie, gdyż rok 1725 stanowi epokę w życiu księcia Jakóba; w dojrzalszych zaś latach stał się ów nieuchodzony wietrznik i awanturnik, jeśli nie zupełnie statecznym, to przynajmniéj poważniejszym, niż dotąd człowiekiem. Na dowód dość przytoczyć fakt, że raz złożywszy śluby zakonne, wbrew dawniejszym zwyczajom wytrwał do końca w dominikańskiéj celi. Listy jego, odkąd zaczął wieść na seryo żywot zakonnika, stają się krótsze i rzadsze, lubo nie przestaje w nich apelować do wujowskiéj szkatuły, gdyż wedle rezolutnych słów, „nie na zdrowiu, ale na mieszku szwankuje.“ Nie wyrzekł się również myśli zajęcia wyższego stanowiska w hierarchii kościelnéj; pod dniem 2 czerwca r. 1731 pisze, że przyjechał do Lwowa „dla otrzymania promocyi, która wkrótce mnie spotka przy łaskawéj rekomendacyi JWPana Dobr.“

Zawiodły go jednak nadzieje, skoro 24 września następnego roku podpisuje się jako braciszek zakonu kaznodziejskiego (*frater ordinis Praedicatorum*) w Podkamieniu; odtąd ginie nam zupełnie z oczu.

Nie zatrzymujemy się nad korespondencyą innych członków rodu Czartoryskich, których etykietalne listy

nie zawierają ważniejszych wiadomości; najczęstsze i najobszerniejsze stosunkowo księcia Kazimierza, kasztelana wileńskiego, obracają się przeważnie w sferze konwenansów i interesów prywatnych. Ciekawsze natomiast są listy a raczéj rodzaj dyaryusza, prowadzonego szczegółowo od 4 czerwca do 22 lipca r. 1768 z Drezna do Frankfurtu nad Renem, przez księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Występuje tu książę jako dowcipny światowiec, opisujący z humorem własne przygody oraz wyższe towarzystwo tych stron, które przebywa: to téż listy jego tak się podobały, że pani krajczyna Potocka, dla któréj były pisane, udzieliła ich w kopii komuś z rodziny Mniszchów, zapewne pani podkomorzynie litewskiéj. Czyniąc aluzyą do tronu, który go minął po zgonie Augusta III, pisze książę generał z Frankfurtu 15 czerwca po francuzku: „Słusznie mawiają, że nikt nie jest prorokiem we własnéj ojczyźnie: zaledwie porzuciłem moją, aliści uznano mnie godnym korony i przeznaczono mi duńską. Zapragnęli tego wszyscy pocztmistrze pomiędzy miastami Fuldą a Hanau. Broniłem się od tego zaszczytu przez sześć pierwszych mil; widząc jednak, jak wytrwale wzywają mnie na tron i że wszędzie, gdziem zmieniał konie, tłum ludzi czeka na mnie a nikt moim wymówkom nie chce dawać wiary, ustąpiłem nareszcie i pozwoliłem się nazywać pocztylionom: *mein lieber Herr König.*“

Podczas gdy tak polskiemu księciu oddawano królewskie honory, monarcha, któremu się one istotnie należały, jechał tuż za nim; w Hanau zatrzymał się tylko na noc u swéj córki, wydanéj za landgrafa Heskiego.

We Frankfurcie poszedł książę Adam do teatru; wrażenia, jakich tam doznał, opisuje w zabawny sposób. „On a donné *le Joueur.* Dans une scène du Marquis avec la Comtesse, lorsqu'elle lui dit: *Fi donc, petit badin, vous vous passionez*, le traducteur met dans sa bouche cette tendre apostrophe: *Halt das Maul du kleiner Berenreiter*, sur quoi il la quitte en lui disant: *leben Sie wohl, Madame, sie sind la Gofernante de mon coeur.*“

VII.

Znane są w ogólnych zarysach stosunki pokrewieństwa Mniszchów z innemi rodami, ale dopiero w archiwum poznajemy je bliżéj i gruntowniéj — dopiero na podstawie znajdujących się tu korespondencyi możemy ocenić charakter i wartość moralną osób, wchodzących w skład téj familii. Nie ma pomiędzy niemi indywidualności niezwykłych, typowych, wyrastających ponad poziom współczesnych; nie brak jednak takich, którym się należy bodaj słowo wspomnienia tém więcéj, że się urodziły w pierwszéj połowie XVIII stulecia, w epoce tak ubogiéj w wielkie talenta i charaktery.

Tylokrotnie już wspominany Józef Mniszech, którego osoba stanowi jak gdyby ognisko naszego archiwum, przez dwukrotne związki małżeńskie, pobłogosławione liczném potomstwem, spowinowacił się z wielu mniéj lub więcéj znakomitemi domami. Pierwsza żona Eleonora Ogińska, miecznikówna litewska, zbliżyła go nawet nieco do późniejszego przeciwnika, Stanisława Poniatowskiego, gdyż jak wiadomo, znakomity ten mąż w młodych latach ożenił się z podstarzałą już wdową po mieczniku litewskim. Nie była to dla Mniszcha świetna partya, skoro nawet pułkownik żałował ożenku z miecznikową, ubolewając, że jéj dobra były mocno obciążone długami.

Ogińska umarła młodo, zostawiwszy marszałkowi dwie córki; z tych młodsza, Anna, została Benedyktynką w Jarosławiu, starsza, Teresa, wyszła najprzód za Stadnickiego, wojewodzica wołyńskiego, a owdowiawszy wkrótce, powtórnie za Lubomirskiego, wojewodę czerniechowskiego.

Znana nam już Konstancya z Tarłów, wojewodzianka lubelska, oprócz synów, znanego powszechnie Jerzego Augusta i Jana Karola, miała dwie córki, z których jedna, Elżbieta, zaślubiła Wielopolskiego, koniuszego koronnego, druga, imieniem Ludwika, wyszła w r. 1732 za podeszłego już wojewodę kijowskiego, Potockiego, i przeżywszy go o trzydzieści kilka lat, umarła dopiero w sierpniu r. 1785 (w Krasiczynie). Ostatnia para tak często odzywała się do starych Mniszchów, że listy jéj składają dwa spore tomy. Korespondencya ta, stano-

wiąca dość ważne źródło dla pisarza, któryby się chciał podjąć napisania żywota pana wojewody, dla nas nie bardzo jest zajmującą, gdyż braknie w niéj listów z lat, obfitujących w najdonioślejsze zdarzenia, a główny i niemal wyłączny jéj przedmiot stanowią interesa prywatne. Niewiele tylko luźnych ustępów z korespondencyi Potockiego zasługiwałoby na przytoczenie; zacytowawszy już jeden powyżéj, ograniczamy się tutaj na podaniu drugiego wyjątku, ze względu na jego treść osobliwą: „Z naszego tu horyzontu“, pisze wojewoda kijowski do marszałka w. kor. około 1-go maja r. 1718, zdaje się, że ze Stanisławowa — „nad to, iż się Turcy *fortissime* [1]) na przyszłą przeciwko cesarskim gotują kampanią, nic godnego doniesienia *ex publicis*[2]) nie znajduje się. Z prywatnych zaś spraw to curiosum wiedzieć, że ów pan Tatar, którego mi Król JMć oddał wyjeżdżającemu z Wschowy, chciał był być apostołem tureckim, bo mi jednę Niemkę a jeszcze mężatkę z siostrą, z tych, co z rzemieślnikami za łaską i konsensem Króla JMci wyszły z Saxonii, odmówił już był na wiarę swoję tak dalece, iż gdyby się to było przez drugie ich kamratki nie odkryło, już miał z niemi *migrare*, [3]) i bez pożegnania się ze mną. Tak to temu poganinowi zasmakowała płeć saska, a cóż się dziwować, że pod czas i u ministrów zacnych swój znajduje respekt. Ale żart na stronę, kazałem te dobrodziejki z ich metrem, co na to zezwalał, posadzać do więzienia; tego zaś apostoła co prędzéj expediować będę, z którym tak samo godziłoby się postąpić, gdyby się nie respektowało, żem go z rąk pańskich J. K. Mci odebrał.“

Tatara, który tak zręcznie umiał sobie jednać prozelitów, imieniem Czarszembej, odesłał Potocki 4 marca, z obawy, „aby mu podobnych nie wyrabiał sztuczek.“

Dziewierz wojewody kijowskiego, a drugi syn Marszałka, Jan Karol Mniszech, w dwudziestym roku życia poseł na sejm pacyfikacyjny (1736), późniéj podkomorzy w. litewski, ożenił się z kobietą, zasługującą na bodaj pobieżną charakterystykę. „Katarzyna z Zamoyskich Mniszchowa“ mówi o niéj dopełniacz Niesieckiego, powołujący się na papiery familijne „wojewodzianka smo-

[1]) Bardzo silnie, [2]) ze spraw publicznych, [3]) wędrować.

leńska z ostatniéj księżniczki, Elżbiety Wiśniowieckiéj, wojewodzanki wileńskiéj, zrodzona, znana z dowcipu i nauki, posiadająca rzadką przyjemność w życiu (sic), z patryotyzmu i gorliwości o dobro powszechne, wielkiego kanclerza, Andrzeja Zamoyskiego, siostra nieodrodna."

W charakterystyce téj mieści się wiele prawdy, choć prawda nie cała. Pani podkomorzyna litewska była nieodrodną córką swéj epoki a dorównywając współcześniczkom w lekkomyślności, równie jak one tkliwa i skora do uniesień w sprawach sercowych, czém się już nie mogą pochlubić grzeszące na zimno romantyczki drugiéj połowy XVIII wieku, przewyższała swe otoczenie zaletami żywego, zdolnego i jak się zdaje, niepospolicie ukształconego umysłu.

Wrażliwa, niepozbawiona szlachetniejszych popędów, uległa zgubnemu prądowi mody, kierunkowi, który rozwijał mdłą czułostkowość, nie ustaliwszy gruntownych podstaw uczciwości niewieściéj; to téż zapomniawszy o obowiązkach żony i matki, skarb swoich uczuć roztrwoniła małodusznie na zdawkową monetę powszednich miłostek. Wszedłszy raz na tę pochyłość, nie zatrzymywała się na niéj, darząc swemi względami ludzi, którzy ją umieli ująć zręcznem pochlebstwem, pozorami głębszego uczucia, dowcipem delikatnym i wytwornym. Gdy chodziło o wybór ulubieńców, przenosiła stanowczo cudzoziemca nad Polaka, wespół z niejakim Ferberem np. żartowała sobie z nudnych „Sarmatów", a jednak była gorąco do kraju przywiązaną, próbowała nawet przyjaciół swoich pozyskać dla ojczystéj sprawy; prawda, że żyła w czasie, gdy niektóre panie uważały za akt patryotyzmu, okazywać uprzedzającą powolność obcym ambasadorom.

Zajmująca jest jéj korespondencya ze Szwajcarem, zostającym od r. 1764 w polskiéj służbie, niejakim panem Glaire, o którym tyle jedynie wiemy, że był sekretarzem poselstwa Rzeczyplitéj w Petersburgu, i że Rzewuski, pisarz korony, wyjechawszy na początku roku 1767 do Polski, zostawił go w nadnewskiéj stolicy jako *chargé d'affaires*. Ten to Glaire, pisze w dwa lata późniéj (23 marca r. 1769) z Warszawy do swéj drogiéj protektorki, jak zwie Mniszchową: „Ośmieliwszy się

odezwać o konfederatach (barskich), ganiłem jedynie zapatrywania, obce religii i wolności, jakiemi tchnie większa część jéj wodzów, oddawałem natomiast sprawiedliwość dzielności innych. Wierz mi Pani, że jeśli, aby być dobrym obywatelem, potrzebaby było tylko nienawidzieć nieprzyjaciół i zginąć w walce z nimi, zdołałbym zasłużyć na ten piękny tytuł, skoroby mię okoliczności powołały do czynu. Dla czegoż więc powtarzam, postępujesz Pani ze mną, jak z człowiekiem podejrzanym, niegodnym słuchania skarg serca szlachetnego, przenikniętego do głębi nieszczęściami Ojczyzny! Jesteś niesprawiedliwą i okrutną zarazem.“ [1])

Okrom pana Bertrand, również Szwajcara, jak się zdaje nauczyciela synów pani Mniszchowéj, o którym przez zazdrość może powiada Glaire, że go dziwi sprzeczność, zachodząca pomiędzy jego powierzchownością filozofa a zbyt wygórowanemi pretensyami, zasługuje jeszcze na uwagę Belk, wojskowy, jeden z agentów francuzkiego rządu. Człowiek ten najwięcéj odpowiadał skłonnościom podkomorzynéj, bo schlebiał jéj politycznéj ambicyi i ulubionemu marzeniu czynnego wpływania na obrót spraw krajowych. Belk chciał i mógł stać się jéj pożytecznym w téj mierze; to też w listach jego, zwykle cyfrowanych, góruje polityka a zaledwie tu i owdzie znajdujemy zwrot romansowy.

Była to chwila, gdy interes francuzki schodził się z interesem dworu drezdeńskiego a kuźnią wspólnych planów i widoków stawał się dwór białostockiego magnata. Mokronowski, pierwszy i wszechwładny, jeśli tak rzec można, minister Branickiego, otrzymał równocześnie od Ludwika XIV tytuł generała, od Augusta III donośne starostwo, gdyż Brühl, dotknięty postępowaniem gabinetu petersburgskiego, który w obronie Czartoryskich stawał bardzo stanowczo, gotów był działać pospołu z Francyą i jéj stronnikami przeciw Rosyi.

[1]) Listy pana Glaire obfitują w polityczne nowiny. Pisze on z Warszawy 26 października r. 1769 do bawiącéj w Wiśniowcu podkomorzynéj: „Monsieur Wielhorski est à Paris. Un des princes du sang, lui ayant demandé, si le comte Wielhorski, qui avoit été à Petersburg, étoit son parent, celui-ci répondit, que c'étoit lui-même. Vous savez donc plaider le pour et le contre — lui répondit le prince!“

Postanowiono nadto porozumieć się w tym celu z Portą, dokąd miało wyruszyć osobne poselstwo. Belk forytował na tę godność męża pani swych myśli. List jego, pisany do podkomorzyny z Białegostoku 1 maja r. 1755 wybornie charakteryzuje sytuacyą. Doniosłszy, że Durand, rezydent francuzki, jedzie do Wschowy w towarzystwie Mokronowskiego, „którego oczy i uszy mogą mu być pożytecznemi“, uspokaja Mniszchową, jak widać ostróżną i we wszystkie sekreta wtajemniczoną dyplomatkę: „Nie ma się czego obawiać ze strony Mokronowskiego. P. Durand trzyma go na wodzy a powierza mu tylko zwyczajne sprawy. Hetman w. kor. (Branicki) używa go w takiż sam sposób; wiemy zaś wiele rzeczy, Mokronowskiemu zupełnie nieznanych. Starzeński (szef hetmańskiéj kancelaryi) powinien również wyjechać do Wschowy. Polecimy mu oddanie naszych listów senatorom i popieranie naszych zamysłów w kwestyi wyborów posła do Konstantynopola. Wybór ten żywo nas zajmuje. Mojém zdaniem jeden tylko podkomorzy w. lit. mógłby usunąć kandydatów dworu i Czartoryskich, jeśli zechce wziąć sobie gorąco do serca interesa własnego imienia i wspólnéj sprawy.“

Stało się zadość pragnieniu Belka i podkomorzynéj; chodziło teraz o to, ażeby pan ambasador zastosował się do ich żądań. Francuzki agent w liście z 17 lipca r. 1755 (w Białymstoku) udziela przyjaciółce wskazówek, w jaki sposób ma wpływać na posłusznego męża: „Pan hrabia zawezwany do dania wyjaśnień w kwestyi stanu interesów w Polsce, ma prawo czuć się wolnym od wszelkiego tłómaczenia jako minister, przysłany jedynie dla tego, ażeby odpowiedzieć na ostatnie grzeczności Porty względem Rzeczyplitéj; ale jako szlachcic polski i dobry patryota, nie ma najmniejszego powodu do odmawiania świadectwa prawdzie. Mam rozkaz, prosić Panią jak najusilniéj, abyś zechciała dać to do zrozumienia Panu hrabiemu, szczególniéj zaś, jeśli uznasz za stosowne, bezpośrednio przed jego wyjazdem, ażeby nie miał czasu (!) powziąć innych instrukcyi. Jego gorliwość, gdy chodzi o dobro kraju, jego uczciwość i roztropność, pozwalają nam cieszyć się nadzieją, że usłucha Pani bez oporu. *Możesz Pani połączyć interesa męża i kochanka w jednéj miłości ojczyzny,*

będącéj w Niéj górującą namiętnością. Nigdy dama rzymska nie spełniła tak pięknego zadania!“ [1])

Patetyczny ten okrzyk, godzien zaiste lepszéj sprawy, jest zarazem kulminacyjnym punktem pisma, jakkolwiek mu jeszcze daleko do końca Zaleca się daléj Mniszchowi, aby żądał koniecznie na tłómacza niejakiego Marini'ego; potrzebuje tylko w tym celu napisać słówko do Branickiego, a rzecz będzie skończona. Powinien się natomiast wystrzegać Julianiego, jako oddanego Rosyi. Hr. Brühl może mieć powody do wezwania go na ten urząd, lecz obydwaj bracia (Mniszchowie, podkomorzy i marszałek nadworny kor.) nie potrzebują ich podzielać; Juliani jest człowiekiem sprzedajnym i niebezpiecznym.

Ograniczamy się na przytoczeniu kilku powyższych charakterystyczniejszych wyjątków, gdyż o przebiegu i skutkach poselstwa nie daje niniejsza korespondencya dokładnego wyobrażenia.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że jedyny w całém archiwum list Stanisława Augusta, jeszcze jako stolnika litewskiego, pisany był do podkomorzyny (z Warszawy 16 maja 1760), odnosi się jednak niemal wyłącznie do spraw prywatnych. [2]) Ciekawsze natomiast są listy

---

[1]) *Il Vous est réservé. Madame, de réunir les interets de Votre mari et de Votre amant, par le seul amour de la patrie, qui est Votre passion dominante. Jamais dame romaine joua un si beau role!* Niemniéj charakterystycznym jest następny wyjątek z listu, pisanego w Białymstoku 1 kwietnia r. 1756: „Votre amant de parade m'ordonne de Vous faire passer un grain de jalousie sur la conduite de son rival à Dresde. Il marque tant d'assiduité à la femme du ministre de Danemarc, qu'on est tenté de croire, qu'il y a entre eux quelque chose de plus, que la simple bonne intelligence entre les deux couronnes. Il est probable, que l'amant de parade ne seroit pas faché de mettre cet interrègne à profit pour Vous engager à faire des infidelités en sa faveur.“

[2]) List ten bezimienny, lecz po charakterze pisma nie trudno odgadnąć, że wyszedł z pod pióra Poniatowskiego, kończy się następnemi słowy: „Adieu, nóżki ściskam i całuję. Excusez cet affreux griffonage, car je suis extrèmement pressé.“ Jedyną ciekawszą wiadomość zawiera ustęp o królewiczu Karolu: „Xiążę Kurlandzki zawsze źle się ma. On dit dans le monde, que l'on diffère l'operation de la fistule à cause d'un cours de ventre; cela peut être, mais l'obstacle principal est ce que Vous savez, et que le malade veut absolument, que le Roy ne sache pas a ule-

jéj brata, sławnego kanclerza, Andrzeja Zamoyskiego; zwłaszcza dwa, wysłane z Warszawy pod datą 16 lutego r. 1769, z których jeden pisany do podkomorzynéj. Pisma te malują usposobienie tego zacnego obywatela w porze najwyższego tryumfu konfederacyi barskiéj, gdy naraz w różnych stronach kraju zaczynają się formować oddziały, staczają z nieprzyjacielem zwycięzkie potyczki, gdy Kirym-Giraj, zwany „ostatnim bohatyrem z rodu Dżyngis-hana“, pustoszy zadnieprzańskie włości, uprowadza w jasyr tłumy ludu i rzuca postrach aż pod same mury Moskwy a sułtan Mustafa III grozi ogromną wyprawą na Rosyą.

W téj tak korzystnéj, jak się zdawało, dla Polski chwili, starano się nakłonić do udziału w konfederacyi Stanisława Augusta, niemniéj i Zamoyskiego, który się od niéj zawsze usuwał. „Różne tutaj były gadania“, mówi on, „a osobliwie o konfederacyi. Lecz król sam widząc, żeby była bardziéj szkodliwą krajowi w teraźniejszych czasach, jak pożyteczną, wcale jéj nie akceptował, tém bardziéj my wszyscy ją odrzucili. Ja z mojéj strony wcale żadnéj nie zechcę podjąć się roboty, póki nie obaczę, jakie są propozycye, na których ma się konkludować robota, to jest do uszczęśliwienia kraju; potém co za bezpieczeństwo w robocie saméj, potém co za bezpieczeństwo całéj roboty, gdy się ukończy.“

Następne wyrazy dają niejakie wyobrażenie o środkach, jakich używano dla pociągnięcia wpływowego człowieka: „Możesz JMci Pani wierzyć, że ani obietnice, ani postrachy mnie nie odprowadzą od moich myśli. Już to nieraz było na placu, a ja zawsze przy mojém zostałem zdaniu. Połowica moja nie tylko nie jest przeciwną sentymentom moim, ale możesz JWMci Pani wierzyć, że mnie jeszcze w nich utwierdza.“

Szczerzéj i poufniéj zwierza się Zamoyski siostrze, dla któréj nie okazuje się zkądinąd zbyt serdecznym: „Widząc Ją troskliwą nad rezydencyą moją tutaj, umyślnie wyrażam, co mnie determinowało do tego.

---

czyć prawie niepodobna tak, żeby król nie postrzegł l'espèce des remèdes nécessaires pour cela.“ Podobne doniesienie spotykamy we wspomnianéj powyżéj korespondencyi Brühlów z córką, Amalią Mniszchową.

A najprzód miałem myśl wyjechać za granicę. To pewna, że co do osoby własnéj, miałbym spokojność i bezpieczeństwo, ale co do umysłu, te byćby nie mogły, uznając całą ojczyznę w nieszczęściu a siebie oddalonego od czynności na moment w podawających się okazyach, jeżeli nie w salwowaniu zupełném, to przynajmniéj w umniejszaniu nieszczęśliwości, to przynajmniéj w okazywaniu resentymentu w czynnościach szkodliwych. Mieć okazyą, mieć sposób salwowania Ojczyzny, nie jest to teraz w rękach naszych, lecz postronnych potencyj, zaczém przytomność szkodzić nie potrafi a odległość podane okazye i sposoby omieszkać by mogła.

„Miałem w myśli siedzieć na wsi, nie tak dla własnéj zabawy, jako dla okazania, że człowiek oddalony od wszelkiéj czynności i interesów, lecz większe daleko niebezpieczeństwo, kiedy ustawiczne przechody wojskowe różne mogłyby narzucić impostury a ztąd przystąpić do jakich gwałtownych sposobów a tak większe niebezpieczeństwo dla osoby, bez żadnego dla ojczyzny awantażu, kiedyby naród i prawdy saméj wiedzieć nie mógł. Obranie rezydencyi w stołecznem mieście lubo exponuje osobę i fortunę, ale daje zupełnie poznać każdego charakter i umysłu stałość. Przytomność tutaj podaje okazyą czyli radzić, czyli mówić, moderacya gwałtownych czynności ze swymi, unikanie wszelkich zaczepek z postronnymi, wstrzymanie od podniesienia tutaj konfederacyi, zachowanie Zamościa i Kamieńca i inne okoliczności, będą zawsze dowodami dobrego obywatelstwa. Przeszłe i teraźniejsze postępki rozumiem, że każdego nie tylko uspokoić, ale i wyperswadować powinny, że rezydencya tutaj szkodliwą nie jest, bo to w ręku naszych, żeby zaś pomocną być mogła, to jest w Bozkich.“

Z tak kategorycznego oświadczenia nie była zapewne zadowoloną pani podkomorzyna, usiłująca, jak wiemy, nawet swych cudzoziemskich faworytów natchnąć sympatyą dla konfederacyi.

VIII.

Archiwum Mniszchów mieści w sobie nie tylko oryginalne listy i relacye, przesyłane samym Mniszchom aż do początku XIX wieku, lecz także korespondencyą

spokrewnionych z nimi domów, jak Potockich, Ossolińskich, Rzewuskich, [1]) a nadto kopie różnych pism treści publicznej. Ztąd to znajdujemy tu np. spory tom listów feldmarszałka Münnicha, pisywanych do Józefa Potockiego, a z lat dawniejszych ciekawą korespondencyą polityczną z pory pobytu Karola XII w Turcyi.

Wiadomo, że wówczas Stambuł był ogniskiem akcyi dyplomatycznéj dla całéj niemal Europy i że w ręku Porty, która pobiwszy Piotra W. nad Prutem, nie umiała korzystać z walnego zwycięztwa, spoczywał jeszcze klucz sytuacyi. To téż obie strony starały się równie usilnie o pozyskanie Dywanu a Rosya z obawy, aby nie ściągnąć na siebie nowéj wyprawy Muzułmanów, pragnęła rychłego powrotu Karola do Szwecyi. Wybornie maluje ówczesny stan rzeczy na wschodzie list ministra rosyjskiego, Szafirowa, pisany do Sieniawskiego z Konstantynopola dnia 13 lipca 1712, z którego przytaczamy tu drobny wyjątek wedle kopii: [2]) „Upraszam JWMPana, jako pierwszego senatora i ministra, aby przez miłość ku ojczyźnie i spólnym interesom, raczył mądremi i ważnemi swemi konsyliami u Króla JMci i u Stanów Rzeczypospolitéj jako najprędzéj konsens na przejazd króla szwedzkiego zjednać i o tém jak najprędzéj ordynans do JMci Generała Goltza przysłać, ponieważ JMPan Poseł wielki tak prędko tu być nie może, żeby mogli tego nam niebezpiecznego gościa z tych krajów przed zimą wyprowadzić, przy takiéj do tego przychylności całéj Porty ottomańskiéj. Kiedy WMPan zważysz pożytek tego wyprowadzenia ztąd a *periculum*. [3]) któreby mogło być z tego przejazdu przez Polskę z tak małym a nie więcéj pięciu tysięcy Turków będącym konwojem, *inclusive* [4]) dwóchset Tatarów, to przyznać raczysz, że z pierwszego pożytek większy, niżeli niebezpieczność z ostatniego.“

Przedstawia daléj Szafirow, że Polska powinna się zgodzić na propozycyą, gdyż Karol w drodze nie po-

[1]) Teresa Mniszchówna, córka Józefa, marszałka w. kor., wyszła najprzód za Stadnickiego, wojewodę wołyńskiego, a po jego śmierci za Józefa Lubomirskiego, wojewodę czerniechowskiego, brata Teodora. Córka jéj z drugiego małżeństwa, wyszła za hetmana Wacława na Rozdole Rzewuskiego; do dziadka i babki pisywała bardzo często. [2]) Szafirow, Żyd polski, umiał po polsku. [3]) niebezpieczeństwo, [4]) włącznie.

zwoli „ni na stronę zjechać, ni z nikim mieć komunikacyą rozmów“, nadto zaś ma „mieszkać wespół z tureckim konwojem za swój grosz według asekuracyi Porty, w czém się ofiarują (Turcy) traktatem obowiązać.“ Nie będzie więc Rzeczpospolita wystawiona na żadną szkodę „a do tego na pięć tysięcy Turków choćby i chcieli co zamierzać“, łatwoby przyszło poskromić tak drobną garstkę. [1])

Nie wiemy, co na powyższe wezwanie odpowiedział hetman; z naszéj strony o ile pojmujemy skwapliwość, z jaką Rosya pragnęła pozbyć się z Turcyi śmiertelnego wroga, o tyle rozumiemy także opór Augusta II, gdyż jak wiadomo z listów Jana Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, znajdowały się w kraju żywioły burzliwe, gotowe do wybuchu, skoroby się tylko pojawił w granicach Rzeczypospolitéj choćby z najszczuplejszym zastępem zbrojnym, sławny bohater szwedzki.

August czuł całą doniosłość niebezpieczeństwa, grożącego mu z południa, zwłaszcza gdy tam podążył z Pomorza i Leszczyński. Nie ograniczając się na wysłaniu do Porty Chomętowskiego, wojewody mazowieckiego, który stanął w Adryanopolu 25 listopada r. 1712, na początku następnego roku wyprawił spolszczonego cudzoziemca, pułkownika Piotra Lamara [2]) do chana krymskiego z sowitemi darami i z tajną instrukcyą. Lamar znosił się z królem za pośrednictwem umocowanego w tym celu Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego, podskarbiego nadwornego koronnego, i dla tego papiery te wskutek późniejszego powinowactwa przeszły w dom Mniszchów.

Instrukcya, udzielona nowemu agentowi w kancelaryi pokojowéj a przechowana w kilku egzemplarzach, nie daje dokładnego wyobrażenia o celu poselstwa, a nadto położona na niéj data (22 czerwca r. 1713) wskazuje, że sporządzano ją dla wysłannika wówczas, gdy się już znajdował na miejscu przeznaczenia.

---

[1]) Oryginał powyższego listu znajduje się zapewne w archiwum ks. Czartoryskich, po śmierci bowiem Sieniawskich przeszły ich papiery na własność zięcia, ks. Augusta Czartoryskiego.

[2]) August II nazywa go „generosus colonellus Lamar, aulicus noster“, Ossoliński „pułkownikiem i generał-adjutantem J. Kr. Mci.“ Nordberg, poświęcający pułkownikowi krótkiemu wzmiankę, nazywa go błędnie „Lamars“

Puściwszy się w drogę pod koniec zimy, przejeżdżał w ostatnich dniach marca przez Lwów, gdzie miał długą rozmowę z Sieniawskim, a na początku kwietnia stanął w Kamieńcu Podolskim.

Tutaj spotkał się Lamar z Sapiehą, starostą bobrujskim, który przekonany o porozumiewanie się ze stronnikami saskimi, schwytany w ucieczce i uwięziony, tylko chanowi zawdzięczał ocalenie, a do Kamieńca, wedle słów Nordberga, przyjechał zaledwie pół żywy pod wrażeniem obawy, że go dopędzi wysłana za nim pogoń. W mieście tém czując się wreszcie bezpiecznym, pisze 12 kwietnia do Ossolińskiego: „Chan zrzucony, którego żal się Boże, bo wielkiego Polski przyjaciela, który tylko reprezentował Polsce korzyści nasze i Porty, dla czego Polska zasługuje na konserwacyą i asystencyą turecką od przyjaciół, ale Szwedzi i zawistni szczęścia panowie nasi przytomni Polacy *ad desperata* [1]) Polskę prowadzą, kiedy czynią *sponsionem*,[2]) że do Stanisława i do nich wszystka Rzeczpospolita przystąpi i wojsko także, mnie zaś tak ukoloryzowali, że z chanem przeszłym znosiłem się, aby Polska przeciwko Porcie z Tatarami ligę mając, wojnę podniosła, o co nimby do justyfikacyi przyszło, pewniebym nieszczęściu był podległy, jako jużem spróbował, gdy niedziel dwie pod wartą byłem.“ [3])

Sapieha doradził Lamarowi, ażeby się zatrzymał z wyjazdem, gdyż dawny chan złożony z urzędu a nowego „nie masz jeszcze na Budziaku“ Nie chcąc przeto siedzieć bezczynnie w Kamieńcu, pospieszył pułkownik do Lwowa, zkąd na dniu 30 maja donosi Ossolińskiemu między innemi, że „Stanisław był w Benderze u Abdy baszy, co świeżo przyszedł do Benderu, na wizycie, gdzie bardzo po czerkiesku był przyjęty, i ten go basza nie zowie, jeno Leszczyńskim.“ W załączeniu przesyła

---

[1]) Do rozpaczy, [2]) przyrzeczenie.

[3]) W tym samym dniu pisze starosta do króla, tłómacząc swój nagły wyjazd z Benderu: „car pour les services de V. M. j'étois arreté par les Suédois pendant deux semaines et si le Tartar Can devant son départ n'auroit pas employé les soins de moi, je n'aurois pas été restitué à la liberté.“ Nagła zmiana w usposobieniu Porty powstała głównie „par des impostures, que le Tartar can vouloit faire alliance avec la Pologne et les Cosaks confederés avec Mr. Orlik contre le Turcs, ce qu' on a representé au Grand Seigneur de la part du Roy de Suède et des Polonois.“

Lamar „kopie listów od WMPana Urbanowicza i innych, z oryginałów przekopiowane.“ List Urbanowicza pisany był do pułkownika Rzeszowskiego, który podobnie jak starosta bobrujski, podał się do amnestyi a wraz z Sapiehą więcéj się obawiał zemsty Sieniawskiego, niż króla, jego też przedewszystkiém prosił o przebaczenie*). „Nie spodziewamy się“, pisze z goryczą słynny partyzant szwedzki 9 maja z Adryanopola, „wojny tureckiéj z Rosyą, bo niedawno byli na Dywanie wojnę ogłosili, teraz znowu pokój czynią, tacy szalbierze ci poganie; żal się Boże czterech lat, cośmy w tym kraju niepoczciwym stracili.“

Nie bardzo także pocieszającemi były słowa kuchmistrza kor. Tarły, pisane 4 maja r. 1713 z Adryanopola do Rzeszowskiego: „Poufale donoszę, tylko proszę miéj to w sekrecie (Rzeszowski, pragnąc przebaczenia, nie miał nic pilniejszego, jak wydać sekret wysłannikowi Augusta), że Turcy idą dużo oporem; rozumiem jednak, że Turcy poprowadzą Króla JMci szwedzkiego przez Polskę, nie rozumiem, żeby w wielkiéj kwocie, jak zaś przeprowadzą, nie wiem, bo widzę, że im się wojny o gwałt nie chce.“

Król, otrzymawszy wiadomość o upadku chana, listem z 26 kwietnia pochwalił roztropność swego agenta i polecił mu, ażeby wraz z kapitanem Zakłackim pospieszył bez zwłoki do Chomętowskiego, celem zasięgnięcia od niego rady, co począć daléj. Sapieże każe oświadczyć, że bardzo dobrze postąpił, uszedłszy „du voisinage de ces esprits mal intentionés et pernicieux à nous et à la Patrie, car autrement il auroit fort mal passé son temps, et ses bonnes intentions, qu'il a pour

*) Pisał również do Sieniawskiego z Benderu 23 lutego r. 1713 Tarło, kuchmistrz koron.: „Vous m'aviez assuré de Votre grace et tout ensemble de celle de Sa Majesté, mais il étoit difficile en ce temps là de retirer ses pas, mais à présent, puisque je suis à mon arbitre par cette action inouie au monde du Roy de Suède avec les Turcs, sans avoir égard à aucunes éspérances, tant de la guerre, que d'autres négotiations, je me voudrois sincèrement chercher un azile sans aucune réserve dans la grace de V. A. et la clémence de Sa Majesté.“ Ów czyn niesłychany w świecie, o którym tu wspomina Tarło, odbył się 1 lutego; szalony bohatér szwedzki na czele 300 ludzi podjął wówczas walkę z 26,000-czną armią turecką. Wbrew brzmieniu powyższego listu, nie spieszył się Tarło z powrotem do Polski.

notre service et pour la République, auroient été frustrées.“

Z wspomnianéj powyżéj instrukcyi z dnia 22 czerwca dowiadujemy się, że wysłannik do chana krymskiego „jako najspieszniéj i jako najbezpieczniejszym traktem przebierać się będzie ku granicom wołoskim, poprzedzając urodzonego Sulimierskiego, chorążego bracławskiego, z publicznym od J. Kr. Mości i całéj Rzeczypospolitéj charakterem.“ August proponuje chanowi wspólne działanie przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, „do czego że są przeszkodą wielką i zatamowaniem nieustające króla szwedzkiego i zapamiętałych na własną ojczyznę adherentów jego fakcye, bunty, praktyki, na szlakach i pasach codzienne niebezpieczeństwa“, żąda tedy od chana, „aby te i podobne władzą i powagą swoją poskromił, jako szkodliwe sąsiedzkim interesom licencye.“

Oddawszy władzcy krymskiemu sute podarunki, wytłómaczy mu pułkownik, że ostatni sejm zerwany „nie z żadnéj między Stanami Rzeczypospolitéj dyffidencyi, ale z prywatnych niektórych panów polskich kolizyi, przecież bez najmniejszych szkodliwych na przyszłość konsekwencyi“ a nadto „ubezpieczy ewakuacyą wojsk auxyliarnych rosyjskich w państwach J. Kr. Mości i Rzeczypospolitéj.“

Tak w zwięzłém streszczeniu brzmi mniéj więcéj osnowa instrukcyi, nie obejmującéj jednak widocznie wszystkich punktów legacyi, skoro czytamy, że „*inquantum* [1]) by chan *zalecone prywatnie* urodzonemu posłannikowi akceptował propozycye“ powinien poseł „chętnie na wszystko pozwolić“, co król ze swéj strony „aprobować i ratyfikować ochotnie obiecuje.“

Dalsza korespondencya w kwestyi rzeczonego poselstwa nie wyjaśnia nam, na czém polegały owe „prywatne propozycye“ królewskie; ocalały z niéj bowiem tylko ułamki a w najważniejszych ustępach brak klucza do rozwiązania cyfry. Tyle wiemy, że poselstwo trwało dość długo i że chodziło o interesa niemałéj wagi a jeśli mamy wierzyć Tarle, kuchmistrzowi koronnemu, o ujęcie Augustowego rywala. Zdanie to wypowiada pan kuchmistrz w nader ciekawym liście, pisanym ze wsi Dłonie 15 marca r. 1714 do króla Stanisława, z któ-

[1]) o ileby.

rego to pisma nie od rzeczy tu będzie przytoczyć wyjątki bez wszelkich komentarzy, gdyż ów list mówi sam za siebie, a rzecz widoczna, że Tarło miał przywieść do skutku układ pomiędzy królami-współzawodnikami. „Jakom prędko przyjechał do Warszawy", donosi Leszczyńskiemu, „zaraz mi wartę przydano i żadnego ani z moich ludzi do posłów, ani ich do mnie nie wpuszczono. *Tandem* [1]) przyjechano po mnie do króla, gdzie otworzyłem mu *le sujet de mon arrivée en ces termes*, że ponieważ Porta i chan posyłają ofiarować W. Kr. Mci traktat z Królem JMcią szwedzkim, ponieważ po tak wiele razy imieniem W. Kr. Mości szukano tych sposobów, Król JMć Stanisław *veut bien employer ses offices, pour cet effet, mais qu'il souhetcroit de savoir, à quelle condition, que cela se pourroit faire.* Na to mi odpowiedział, qu'il étoit bien vrai, que la paix avec le Roy de Suède lui tenoit fort à coeur et qu'il ne feroit point de difficulté de se séparer de ses alliés, mais comme le congrès de Brunswick doit se tenir bientôt, qu'alors il auroit plus beau jeu, en voyant particulièrement, que les Russes fussent irrésolus de se séparer d'eux et de faire sa paix à part. Po téj odpowiedzi już nie myślałem więcéj, tylko się wrócić, do czego mnie i list pański, przez umyślnego do mnie pisany wspierał.

„Kiedy już miałem jechać, aż mię nie chcą puścić. Ja mówię temu Murzy: Wszak mnie wziął chan na swój parol! Ty mów o to, bo ja się chcę wrócić a to widzisz, że i chan tego po mnie potrzebuje, aż on mi odpowiedział d'un ton fort sec: i po cóż się masz wracać! Zrozumiałem zaraz que cet homme étoit entièrement gagné. Odjechałem, — ledwo com do siebie powrócił, szukano mię do króla, gdzie przyszedłszy na pokój, zawołał mię do gbinetu i tam mi mówił, qu'il seroit bien aise, que j'attendois encore quelques semaines, qu'ensuite il me donneroit des réponses positives et des commissions pour le Roy de Suède; qu'en attendant je pourrois faire un tour chez moi, si je voulois, mais que je revienne aux trois Roys. Il me l'a fait dire concore par Mr. Szembek et Mr. Mniszech, ale potém wyjechał przed trzema królami, żadnéj nie kazawszy uczynić wzmianki. Pisałem już po dwa razy do pana kanclerza

[1]) Wreszcie.

do Saxonii; na pierwszy odpisał, że Król JMć *in grata memoria* [1]) mieć będzie moje starania do przysługi J. Kr. Mości, na drugi tylko, że to doniesie królowi. *Wszystka rzecz jest, że mu Lamar uczynił nadzieję, że chan Waszą Król. Mość wyda, moyennant une somme d'argent considerable*, i na to trzeba mieć pilne oko et ne point faire mystère de cela, tylko mnie przez Boga nie wydawać, bo nie chcę być w Kenigsteinie. Pisał i teraz Lamar, czyniąc nadzieję tę, co wiem *de certa scientia*[2]), i ma król August wyprawić pana Ossolińskiego do chana (który także w tę intrygę wchodzi), ażeby już z chanem skonkludował."

* * *

Moglibyśmy rozpisać się jeszcze obszernie na podstawie kilkudziesięciu tomów korespondencyi i różnych materyałów, zawartych w archiwum Mniszchów, z którego śmy przytoczyli zaledwie kilka wyjątków, kilka rysów do charakterystyki ludzi i czasu; kończymy jednak artykuł, bo nie możemy myśleć o wyczerpaniu tego obfitego źródła, którego części składowe są nawet zbyt różnorodne i ułamkowe, aby wymienianie ich po szczególe było rzeczą stosowną i użyteczną. Zamiast przeto drobnostkowych wskazówek i notatek, zamiast wyliczania wszystkich sejmikowych uchwał, sądowych spraw, wypisów z różnych akt grodzkich, „Regestrów expens marszałkowskich," „Sexternów prowizyj kuchennych" itp, powiemy tylko ogólnie, że kto chce zbadać gruntownie stosunki polityczne, społeczne i obyczajowe XVIII wieku u nas, kto niezadowolony stereotypowemi ogólnikami, chce sam sięgnąć do głębi i ujrzeć prawdziwe oblicze przeszłości narodu, odkryć realne warunki, wśród których się rozwijał w smutnéj dobie rozprzężenia i upadku, kto pragnie wejrzeć w stan stosunków ekonomicznych, poznać sposób traktowania spraw prywatnych i publicznych pomiędzy rodami magnackiemi a szlachecką bracią, ten w archiwum Mniszchów znajdzie nieocenione i wielostronne źródło, lubo daremnieby szukał gotowego materyału na pewne specyalne tematy politycznéj treści.

[1]) we wdzięcznéj pamięci, [2]) na pewne.

Delegacya galicyjska w Wiedniu przed 93 laty.

I.

W drugim tomie znakomitego dzieła O. Kalinki o sejmie czteroletnim, znajduje się nader zajmujący ustęp o Galicyi, który niezawodnie czytająca publiczność ma jeszcze w żywéj pamięci. Szanowny autor odmalował w nim wybornie i ogólną sytuacyą polityczną, i stosunek kraju do monarchii austryackiéj, i zgubne następstwa zastosowanego tu systemu rządzenia, i niecne machinacye biurokracyi; pod tym względem nie moglibyśmy zatém nic dodać, lecz raczéj przypomnieć tylko w kilku słowach główne rysy skreślonego obrazu. Z kart tych i z dawniejszych Galicyanów Władysława Łozińskiego wiadomo dobrze, jak opłakany był stan Galicyi pod koniec panowania Józefa II. Sam cesarz krótko przed śmiercią uznał za rzecz niezbędną, ulżyć Galicyi, a zacny gubernator, hr. Brigido, wezwany do wypowiedzenia swéj opinii w téj mierze, „obliczył, że na kraj podatkami i rekrutem uciśniony, operacyami urbaryalnemi zniszczony, nałożono nowych ciężarów z powodu wojny w ciągu roku 1789 o cztery blisko miliony złr. więcéj, niż w latach poprzednich, przedstawił, że po ogłoszeniu patentu urbaryalnego najszczęśliwsi obywatele są ci, którzy trzecią część dochodów stracili, ale są i tacy, którzy tylko przy ósméj części pozostali.“ Widząc rosnące oburzenie mieszkańców, lęka się hrabia wybuchu w Galicyi powstania, które uważa

za nieuniknione w razie, gdyby przyszło do zamierzonego przymierza między Prusami a Rzecząpospolitą, oraz do wojny między temi państwami a Austryą.

Wyznaczona przez Józefa II komisya nietylko potwierdziła zupełnie opinią gubernatora, lecz nadto zaleciła bezzwłoczne zawieszenie urbaryum i zniesienie patentu o podwójnym podatku dla obywateli, którzy mieli majątki w Galicyi i w obrębie granic Rzpltéj. Zaradcze te środki obmyślono w sam czas, już bowiem tajny komitet warszawski, zawiązany pod auspicyami Lucchesiniego, postanowił, aby Galicya powstała niezwłocznie, skoro się tylko rozpoczną kroki nieprzyjacielskie między Austryą a Prusami. Niebezpieczne zadanie przygotowania Galicyan do roli, jaką w blizkiéj przyszłości odegrać mają, wziął na siebie (zawsze wedle opowiadania Kalinki) odważny Kazimierz Rzewuski, pisarz polny, który w tym celu odbył rzemiennym dyszlem podróż od Tarnowa aż do Brodów, we Lwowie zaś dał inicyatywę do założenia tajnego również komitetu, złożonego z trzynastu członków. Znamy z pomiędzy nich tylko trzy imiona: biskupa przemyskiego Gołaszewskiego, Niezabitowskiego i Józefa Dzierzkowskiego, słynnego adwokata i erudyta, który jednak do pióra czuł wstręt, jak się zdaje, nieprzezwyciężony i dla tego nie pozostawił po sobie literackiéj spuścizny.

Za sprawą komitetu, gdy po śmierci Józefa II objął rządy pełen przymiotów monarszych brat jego, Leopold II, wyjechała do Wiednia deputacya, złożona pierwotnie z Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, z księcia Stanisława Jabłonowskiego, Mikołaja Potockiego i Jana Batowskiego, celem zaniesienia do tronu zażaleń i upomnienia się o konieczne reformy. Monarcha przyjął delegatów na początku kwietnia r. 1790 nader uprzejmie i przyrzekł, że wszystko uczyni dla Galicyi, co się nie będzie sprzeciwiało dobru państwa; jakoż nie długo potém wprowadził w życie zamysły, powzięte jeszcze przez nieboszczyka cesarza, a mianowicie zniósł patent urbaryalny i tak zwany podatek rustykalny, pozwalał zaś spodziewać się całego szeregu dalszych zmian i reform.

Komitet lwowski przeobraził się wkrótce z władzy tajnéj w korporacyą jawną, i znosząc się niewątpliwie

z Warszawą, udzielał wskazówek i instrukcyj delegatom, przebywającym w Wiedniu. Margrabia Lucchesini mówi w raporcie z dnia 21 kwietnia, że komitet warszawski przejęty myślą odzyskania Galicyi, przesłał do Lwowa zlecenie, by deputowani galicyjscy stawiali tak wygórowane żądania, iżby im Leopold żadną miarą zadośćuczynić nie mógł, a Kalinka sądzi, że owo polecenie wpłynęło stanowczo na treść memoryału deputacyi, przedłożonego następnie monarsze. Nie śmiałbym wprost przeczyć twierdzeniu tak wytrawnego i gruntownego pisarza, pozwalam sobie jednak zauważyć, że materyały, które tu po raz pierwszy ogłaszam, upoważniają do odmiennego zdania. Dzierzkowski, który był duszą lwowskiego komitetu, pisząc do delegatów zupełnie poufnie, ani jedném słowem nie daje powodu do przypuszczenia, jakoby on i jego towarzysze, dążąc na pozór do porozumienia z rządem, działali w innéj, ubocznéj myśli, lecz wskazują dowodnie, że mecenas pragnął szczerze i usilnie wyjednania zrujnowanemu i wycieńczonemu krajowi tych ulg i reform, któreby go mogły podźwignąć z upadku, a nie oczekując nic dobrego z Berlina, na złudne pruskie obietnice wcale nie liczył. Wielkie wymagania memoryału dadzą się, jak mniemam, wytłómaczyć trudném wówczas położeniem monarchii austryackiéj, z którego postanowiono skorzystać celem zdobycia sobie dogodniejszego stanowiska, wychodząc przytém z zasady, że trzeba więcéj żądać, chcąc mniéj wytargować.

Kalinka nie zużytkował korespondencyi, którą się dzielimy z czytelnikami, na czém nie straciło szacowne ze wszech miar dzieło, zajmujące się Galicyą jedynie o tyle, o ile to ma związek z sejmem czteroletnim, ale historyograf Galicyi nie może się obyć bez tych listów, jako rzucających wielkie światło na ówczesne stosunki, malujących nam w sposób dosadni stan umysłów ogółu, budzące się w kraju nadzieje, obawy i przejawiające się różnice opinii. Oprócz innych zalet, mają one jeszcze ten osobny urok, że pod niejednym względem przywołują nam na pamięć niedawne wypadki, stwierdzając niejako znaną prawdę, że nic nowego pod słońcem. Słysząc o niecierpliwości pierwszego pokolenia „Galicyan“, gotowych do posądzenia swych wysłańców, że nie dbają o dobro publiczne, że się sprzeniewierzają przyjętym na

siebie obowiązkom, przypominamy sobie niedawno przebrzmiałą walkę Lwowa, zainaugurowaną przez tamtejsze dziennikarstwo, z legalną reprezentacyą kraju w Wiedniu, przypominamy sobie smutny przebieg, bohaterów i ofiary téj kampanii.

Nie brak i dalszych analogii pomiędzy ówczesnemi a teraźniejszemi stosunkami. Jeżeli dzisiaj dla pewnéj części centralistycznego dziennikarstwa wiedeńskiego nie ma tak potwornego kłamstwa i tak niedorzecznéj potwarzy, którejby się nie godziło rzucić na Galicyą, aby ją tylko wystawić jako siedlisko pół-azyatyckiego barbarzyństwa, to pod koniec przeszłego wieku jeszcze zjadliwszych mieliśmy wrogów. Nasłana z daleka biurokracya, ziejąca śmiertelną nienawiścią do szlachty i duchowieństwa, nie cofająca się przed żadnym środkiem, gdy chodziło o to, aby własne rządy utrwalić, a sferom najwyższym dać jak najgorsze wyobrażenie o krajowcach, tak jaskrawemi kolorami malowała miejscowe społeczeństwo w urzędowych raportach i bezimiennych elaboratach literatury paszkwilowéj, że najbujniejsza i (dodajmy) najbrudniejsza imaginacya dzisiejszych romanistów à la Sacher-Masoch i Franzos nic okropniejszego wymyślićby nie mogła. Ze w powyższéj charakterystyce nie ma wcale przesady, przyzna każdy, kto czytał osławiony paszkwil Krattera: *Briefe über den itzigen Zustand von Galizien*, wydany bezimiennie w r. 1786, a mianowicie niezrównany w swoim rodzaju ustęp o lwowskim sufraganie łacińskiego obrządku, zmarłym przed dziesięciu laty, który miał w sobie łączyć „wszystkie krwiożercze instynkta despoty, wielkiego inkwizytora i lichwiarza.“ Nielitościwy tyran dla poddanych, nie pozwalał im nigdy sypiać dłużéj, jak dwie godziny, a jeszcze przed północą kazał nieszczęśliwych porywać z łóżek i ciągnąć do roboty. *Es verging kein Tag* — cytujemy oryginał, aby nic nie uronić z dosadności wyrażeń i uniknąć zarzutu, że w przekładzie podnosimy drastyczność opisu — *an dem nicht einer zu Tod geprügelt, auf die Fussohlen gebrannt, im Rauchfange aufgehangen wurde. Einmal liess er zwölf Bauern in einer Judenschenke zwischen den Armen aufhängen, sie in Erbsenstroh einwickeln, und selbes anzünden. Da ihr Körper von Fuss an bis zum Kopf wundgebrannt war, liess er sie wieder herabnehmen und jedem mit einem*

Stab auf Bauch und Rücken hundert Streiche geben. Er sass dabei, sah zu und lachte...“ *)

Podane już wyżéj wskazówki, niemniéj dołączone w końcu objaśnienie, że ów krwożerczy prałat, przypominający najdzikszych Cezarów rzymskich, założył we Lwowie *ein prächtiges Piaristenkloster*, nie pozostawiają na szczęście najmniejszéj wątpliwości co do osoby mniemanego okrutnika. Miał nim być Samuel Głowiński, sufragan lwowski a biskup hebroński *in partibus infidelium*, który zmarł istotnie w r. 1776 w sędziwym już wieku, bo czterdzieści ośm lat przedtem (1728) był deputatem na trybunał koronny, a od r. 1733 do 1737 pełnił obowiązki administratora osieroconego arcybiskupstwa. Zaprzyjaźniony ze Stanisławem Konarskim, popierał gorąco jego dążności, założył dla Piarów konwikt we Lwowie, przeznaczył na wybudowanie gmachu i uposażenie instytutu złp. 60,000 gotówką, kilka gruntów na przedmieściu oraz dobra Winniki i Podbereście. („Historyczny pogląd na rozwój fundacyi Głowińskiego“ w dodatku tygodniowym do *Gazety Lwowskiéj* r. 1851 Nr. 35—37.) Dzieduszycki w „Żywocie Wacława Sierakowskiego“ (str. 216—217) mówi o procesie arcybiskupa z Głowińskim o wieś Czarnuszewice; choć jednak jawnie staje po stronie uwielbianego przez siebie Sierakowskiego, sufragana zaś już dla tego nie lubi, że był podobno w rzeczach religii moderantem i wszelkiemi siłami promowował Pijarów przeciw Jezuitom, jednakże nie może przytoczyć nic, coby niekorzystnie świadczyło o człowieku i uwłaczało jego pamięci. Znając bezwzględność tego zasłużonego zkądinąd pisarza wobec niesympatycznych mu postaci historycznych, można być pewnym, że nie byłby omieszkał namalować czarnemi barwami portretu przesiąkniętego liberalnemi ideami biskupa, gdyby był miał fakta po temu, a mógłby je był znać dokładnie, gdyż nie tylko rozporządzał piśmiennemi materyałami, lecz czerpał także wiele z opowiadań sędzi-

*) „Nie było dnia, żeby nie kazał kogo na śmierć rózgami zasiekać, podeszwy wypalać, albo w kominie powiesić. Razu pewnego rozkazał dwunastu chłopów w karczmie żydowskiéj pod ramiona powiesić, obwinąć ich w grochowiny i podpalić. Gdy ciała nadpalone pokryły się ranami, zdjęto nieszczęśliwych i każdemu wyliczono kijem sto plag, bijąc po brzuchu i po grzbiecie, On zaś siedział przy tém, patrzał i śmiał się.“

wych osób, które pamiętały jeszcze owe czasy, jak np. arcybiskupa ormiańskiego, Stefanowicza. Inny surowy sędzia, Julian Bartoszewicz, mówi wprost, że Głowiński „miał szlachetną ambicyą, dużo światła i należał do najcelniejszych ludzi w narodzie.“

Jeśli więc na męża, cieszącego się tak dobrze zasłużoném uznaniem, który majątek swój poświęcił na cele oświaty i dobra publicznego — nie wahał się biurokrata austryacki rzucać haniebnych oszczerstw, łatwo się domyślić, jakie androny wypisuje o samém społeczeństwie i o pojedyńczych osobach, których imion i godności nie podaje, wskutek czego trudniéj mu wykazać *ad oculos*, jak niegodziwie kłamie. Podobnie wykwintnych obrazów, jak przytoczony przez nas powyżéj, nie brak w tym paszkwilu, z którego zagranica miała czerpać wyobrażenie o Galicyi, jako o kraju nawskróś barbarzyńskim, zasługującym w interesie cywilizacyi na jak najsurowszą chłostę i na nieustającą kuratelę niemieckich urzędników. Nie dziw zatém, że tak głęboka przepaść rozdzielała rządzonych od rządzących, tém więcéj, że ci stali na niesłychanie niskim poziomie moralnym, jak świadczą zgodne a niepodejrzane świadectwa współczesnych, nie wyjmując samego Krattera, którego nie wolno pomawiać o tendencyjną przesadę, gdy koleżeńskiém piórem zbiera wzorki ze świata biurokratycznego.

Po tym krótkim wstępie przystępujemy do saméj korespondencyi, zawartéj w rękopisie Zakładu nar. im. Ossolińskich Nr. 2,338, a składającéj się niemal wyłącznie z listów Józefa Dzierzkowskiego, raz bowiem tylko znajdujemy w niéj dopisek wspomnianego już również Kazimierza Rzewuskiego. Pierwszy z kolei list napisany jest pod świeżém wrażeniem przygnębienia, wywołanego nowiną o zamianowaniu przedstawicielem Galicyi jakiegoś Linińskiego, czy Lenińskiego, o którym mimo skrzętnych poszukiwań, nie udało nam się zasięgnąć bliższych szczegółów.

„Wiadomość, którą dziś odebraliśmy — pisze Dzierzkowski ze Lwowa pod dniem 15 kwietnia 1790 roku, o godzinie 10éj wieczór — że Król [1]) dawną komisyą

[1]) Leopold przed koronacyą cesarską, nosił tytuł króla węgierskiego.

sejmu *compillatoriam*[1]) skasował, a na jéj miejscu inną postanowił, wszystkich, którzy tu są, obywatelów, mocno pomięszało z téj przyczyny, iż w téj nowéj komisyi umieszczony jest Leniński jako reprezentant Galicyi. Wiadomość ta przyszła listem, do wiceprezesa Janowskiego pisanym, który ją publicznie na klopie (w klubie) czytał z tym dodatkiem, iż naród z téj komisyi tém bardziéj być kontent powinien, iż wolno jest każdemu swe zdanie komunikować Lenińskiemu. Z woli tedy wszystkich tu przytomnych obywatelów, którzy się tu w znacznéj liczbie zgromadzili, piszę do JWWPanów Dobr. z wyrażeniem im najczulszéj tkliwości z tego pierwszego kroku, którym nam legislatora Niemca postanowiono. Na miłość kraju, przerabiajcie to panowie i okażcie dworowi, jak ten postępek nie zgadza się ze sprawiedliwością, nie zgadza z pochlebnemi obietnicami Króla JMci, iż chciał nas mieć rządzonych przez osoby, geniusz i zwyczaje nasze znających.

„Ja rozumiem, żebyście Panowie udali się do Dworu i powiedzieli Królowi o nieukontentowaniu narodu z tego wyboru, który nic nam dobrego obiecywać nie może, ile w ten moment, kiedy chcemy zrzucić z siebie uciążliwe subalternów jarzmo, ciemiężące nas przez cały czas przeszłego panowania. Powiedzcie potém, że ten wybór uważa naród jako dowód intrygi niemieckiéj, chcącéj zawsze mieć influencyą do Galicyi, bo gdy Król JMć powiedział Panom, że chce nas mieć rządzonych stosownie do geniuszu i do naszych zwyczajów, jakże wysadzać na legislaturę tę osobę, która wcale kraju nie zna i żadnego nie ma w narodzie zaufania. Powiedzcie Panowie daléj, iż prawa między prywatnemi nic się nie dotykają tronu, ani władzy monarchicznéj, a zatém nic bardziéj z sprawiedliwością stosownego nie jest, jak żeby przez sam naród *salva principis approbatione*[2]) postanowione były prawa, ile gdy kraj zna najlepiéj, czego mu do sprawiedliwości potrzeba, i jak stosowną do skrócenia procesów ustanowić manipulacyą.

„Zapewne ten wybór jest skutkiem intrygi, bo dla czegoż nie jest wybrany Urbański, mąż światły i rodak, albo wreszcie Nikorowicz, za którym *senium*[3]) mówiło.

---

[1]) kompilacyjną, [2]) z zastrzeżeniem potwierdzenia przez monarchę, [3]) wiek.

Leniński zaś lubo *indigena*[1]), nie może być jednak wzięty za obywatela, bo nie ma dóbr w Galicyi, bo zapewne ani on, ani jego potomkowie mieć nie będą sprawy w Galicyi. Wreszcie choćby Leniński myślał dla kraju i najlepiéj, choćby w téj komisyi rodak prawdziwy był umieszczonym, przecież nic sobie dobrego obiecywać nie można, bo nasze procesa tak dawne, tak zabałamucone, wymagają innéj wcale manipulacyi, Niemcom zaś się zdaje, iż już nic lepszego wymyślić nie można nad ich formę, do któréj się wiekami przyzwyczaili. Więc w téj komisyi zawsze będzie *pluralitas*[2]) przeciw Galicyi, a co jest gorszego, iż ułożona sposobem niemieckim manipulacya otworzy drogę Niemcom do naszéj judykatury, którą zamknąć pierwszém jest dobrem kraju i najważniejszym zapewne gorliwości obywatelskiéj celem.

„Do manipulacyi niemieckiéj trzeba nauki, trzeba teoryi, którą druga dopiero po nas generacya mieć będzie, a zatém obywatele, do tego wszystkiego nieprzyzwyczajeni, muszą być od urzędów odsunięci, albo nie zechcą się azardować na niepewność, czyli będą przyjętymi, lub odrzuconymi. Wreszcie wiecie JWWPanowie Dobrodzieje, jak to jest przykro, żeby obywatel, starający się o urząd, zaczynał od egzaminu, który lubo jest z inszych miar użytecznym, nie stosuje się jednak ze sposobem myślenia osób poważniejszych, którzy przez wiek i miłość własną przywłaszczają sobie prawo nauczania, nie zaś być nauczanymi.

„Słowem przekonywam się z gorliwości obywatelskiéj, iż ta nowa komisya wykuje nam żelazne prawa, których nie zrozumie Galicyanin, a ta niezrozumiałość prawa odsunie obywatelów od urzędu, sprowadzi nam cudzoziemców, zrobi sprawiedliwość kupną.“

Dzierzkowski zapowiada, że nazajutrz odbiorą deputaci memoryał, zaopatrzony licznemi podpisami obywatelstwa, niemniéj obszerne pisma w téjże materyi; on sam przesyła niniejsze słowa sztafetą, „żeby kilkanaście godzin może użytecznych nie stracić.“

W drugiéj części listu dotyka rosnącéj niezgody między obywatelstwem galicyjskiém i budzącéj się do delegatów nieufności.

---

[1]) krajowiec, [2]) większość.

„Z wielkiém umartwieniem — mówi — muszę donieść JWWPanom Dobr., iż tu zdawali się obywatele skłaniać do rozdziału. Byli jedni, których zazdrość, drudzy, których nienawiść pobudzała do tego tak szkodliwego rozdziału. Znacie Panowie, jak łatwo chwiejące się duchy na którąkolwiek stronę nakłonić. Wzięto za pretekst, iż nie można losu całego kraju na kilka osób zdawać, iż plenipotencya dana ma nieograniczoną władzę, iż wreszcie nie wie naród, co robicie, i jeżeli żądania podane, lub podać się mające, zgadzają się z wolą narodu. Wzięliśmy przeto rezolucyą zrobić klop publiczny, na który wszyscy schodzą się, aby nie gadano, iż kilku tylko interes publiczny robi, i żeby tym sposobem połączyć duchy rozdzielone.

„Zaczyna to mieć skutek, jakiego sobie obiecywaliśmy, ale to jest na zawadzie, iż żadnéj od dni dziesięciu nie mamy od Panów wiadomości. Rozumieją, iż przed nimi taimy, lubo nie ma co taić; proszę więc Panów, piszcie nam dyaryusze swoich robót i wszystkie choćby drobne okoliczności, żeby wystawić i pokazać, że jesteście czynnymi. Chodzi tu o dobro kraju, chodzi o Wasz honor, który ja zaraz po Ojczyźnie kładę. Wierzcie mi Panowie, że gdyby nie miłość do kraju, którego nawet niewdzięczność kocham, jużbym wszystko porzucił — tak mi się uprzykrzyło widzieć niewyrozumiałość wielu, którzy prywatą zajęci, chcieliby wydrzeć ten laur, tylu napełniony kolcami. Zanadto znam szlachetność dusz Waszych, żebym śmiał sądzić, iż w Was ostygnie chęć służenia krajowi. Słodźcie sobie przykrości wszystkie nadzieją szczęścia i téj sławy, którą niewdzięczność współziomków jeszcze świetniejszą uczyni.

„O klopie zrobionym uwiadomiony jest gubernator, który się obiecał być jutro na nim. Gubernator, gadając z Rzewuskim z okazyi tego klopu, dał poznać, iż się boi rewolucyi w kraju, tém bardziéj, że w traktat, między Turczynem a Prusakiem zawarty, odebranie Galicyi weszło. Próżna to bojaźń, jeśli Galicya i pod tym rządem przyjdzie do przeszłego swojego szczęścia. *Je Vous conjure, Messieurs, par l' amour du pays et par Votre propre honneur, écrivez nous le plus souvent, car il faut apaiser les esprits disposés à desunion.* Zginiemy, jeśli to rozłączenie się tak daleko posunie się, iż go przeciwko Waszym układom użyją,

a pewny jestem, że naszego narodu nieprzyjaciele podmawiać do tego będą, aby się przeciw Wam skarżono. Piszcie takie listy, aby je czytać można na klopie, a partykularne okoliczności, których publikować nie trzeba, można w osobnym liście mnie samemu komunikować. Jeśli potrzeba pieniędzy na robienie interesu, a najbardziéj na dowiedzenie, co się gdzie dzieje, zaraz za pierwszém doniesieniem poszlę.

„Wyznaję niewzruszone przywiązanie i szacunek, z którym jestem dla Was do śmierci. Codzień poczta odchodzi, więc codzień o wiadomość dopytują się; wypada ztąd potrzeba, żebyście choć kilka słów co pocztę pisali i listy numerowali.“

Po liście mecenasa, którego nie chcieliśmy psuć parafrazą, ze względu na wielkie znaczenie każdego, zawartego w nim zdania, następuje krótki dopisek pisarza polnego téj treści: „Już tym świętym słowom trudno co dodać. Macie w nich i sprawiedliwość Wam winną i rzut dalszych kroków według widzenia tutejszego, bo uczucie i chęć dobrego dla kraju jest nam spólna zapewne. *Au nom de Dieu, ne Vous laissez ni fascincr les yeux, ni abattre le courage, que nous Vous connaissons: quand trouverons-nous une occasion plus propice pour reclamer la justice qui nous est due!* Do nóg upadam Panom moim, którym, jak dobrze zrobicie, dodam: Protektorom.“ Rzewuski.

Lakoniczne słowa pana pisarza mają dla tego niemałą wagę, ponieważ wskazują, że nawet on, wysłaniec warszawskiego komitetu, podzielał sposób myślenia Dzierzkowskiego i w owym czasie przynajmniéj nie chciał zrażać korony wygórowanemi żądaniami.

Drugi list mecenasa, pisany w trzy dni po pierwszym (18 aprilis 1790, Lwów), a świadczący o tém, że w ciągu tych trzech dni nadeszła relacya od deputacyi, pełen jest również ciekawych i charakterystycznych rysów.

„Czytaliśmy — są słowa Dzierzkowskiego — z deliberacyą taką pismo Panów, jakiéj warte jest dzieło, pełne uwag gruntownych i prawdziwie obywatelskie. Nad tém się tylko zastanawiali niektórzy, iż deklarowaliście się przyjąć podatek, jaki był *immediate*[1]) przed

[1]) bezpośrednio.

urbarium, co się na okoliczności kraju, w jakim jest teraz, po tylu nieszczęściach i extorsyach zdaje być za uciążliwe. Ale ja tak przekonany jestem, że tą ceną dobrzebyśmy kupili resztę przywilejów, o które dopominacie się, i które dałyby dopiero takie znaczenie narodowi, jakiego jest wart, jakie mieć powinien. Do tych więc punktów te nam tylko przyszły uwagi, które Panom tego momentu, dla prędszego ich użycia przesyłamy.

„Pisałem dawniéj i sami Panowie czujecie, że zabezpieczenie naszego losu i tych przywilejów, których się spodziewamy, zależy od tego, iżby Niemcy odsunięci byli od urzędów, a na ich miejscu rodacy osiedli, bo inaczéj zawsze Dworowi wystawiać będą, iż nie jesteśmy dosyć zdolni do prowadzenia rządu, i w rzeczy saméj rząd przeszły okrom tyle złego, co nam zrobił, wyzuł nas jeszcze z ludzi czynnych, którzy od wszelkiego oddaleni wpływu do rządu, musieli się poświęcić saméj roli i zapomnieć o tych obowiązkach, które służą obywatelowi. Mówię więc, że *cardo rei*[1]) polega na oddaleniu Niemców, nawet dla tego, iż zostawszy się, rzuciliby się na nas. Gdyby więc Dwór czynił trudności dla tego, iż nie ma gdzie pomieścić tę trzodę amplojowanych, tedy wyexplikujcie Panowie najprzód, iż nie nasza wina, że dotąd z krzywdą kraju i z naszych pieniędzy żywiliśmy cudzoziemców, więc niema żadnéj racyi, żeby dłużéj tę znosić niesprawiedliwość; zresztą zgadza się bardzo wielu obywatelów, żeby dla wystawienia Dworowi, jak to nas wiele dotyka, ofiarować zapłacenie trzyletniéj pensyi z tą tylko kondycyą, żeby od téj nagrody wyjęci byli ci, których imiona wspomina naród z nienawiścią i którzy dali się nadto poznać przez złe swojéj władzy użycie. Punkt ten służyć ma na ten tylko przypadek, gdyby wszystkie inne uwagi były bezskuteczne.

„Prosiliście, Panowie, żeby język łaciński był zachowany w Stanach i w cyrkułach, czyli w starostwach. Mnie się zdaje, i takiego są zdania inni obywatele, iż potrzeba język ojczysty wcale w tych magistraturach zachować, bo znacie kraj, że jest wielu godnych i zdanie mających obywatelów, ale nie wszyscy z rozumem

[1]) główna rzecz.

i edukacyą wzięli wiadomość języka łacińskiego, więc lepiéj niech akta będą po polsku, a ten punkt jeszcze bardziéj Niemców oddali od naszych magistratur. Nawet im nadzieję odjąć potrzeba, bo inaczéj nie zapomną o Galicyi, która tém jest dla nich, czém była dla Żydów ziemia obiecana.

„Ważny jest punkt, aby magnaci, to jest grafowie i baronowie nie byli kreowani, jak tylko za Stanów zgromadzonych rekomendacyą. Znacie Panowie, jak wiele taka dystrybucya przerabia obywatelów w zdrajców Ojczyzny. Niech najpierwszym będzie honorem poczciwy ziomek, a resztę zostawmy duszom małym, których próżność jest bóstwem.

„W Galicyi nie ma więcéj reprezentantów, głos na sejmie mających, jak tylko czterystu kilkudziesiąt. Im mniéj jest reprezentantów, tém łatwiéj zrobić intrygę i mieć *pluralitatem*[1]) na sejmie. Generacya nasza po tylu klęskach, smutném doświadczeniem nauczona, nie sprzeda zapewne swoich przywilejów, ale nasi następcy mniéj cenić będą te prerogatywy, które ciągłém ich użyciem staną się dla nich obojętnemi. Uważajmy zawsze ludzi tak, jak ich uważać należy: mają swoje słabości, egoizm zawsze przodkuje energii, któréj wieków potrzeba, aby siły nabrała i podniosła broń świętą na obronę ludzkości. Trzeba więc, aby więcéj zrobić reprezentantów i zniżyć do $32^1/_2$ reńskich albo i mniéj tę sumę podatku, która kwalifikuje obywatelów do wolnego na sejmie głosu.

„Nic nie mówimy przeciw aplikacyi kancelaryi naszéj do kancelaryi węgierskiéj, o to tylko zapytujemy się Panów, czyli nasi konsyliarze i kanclerz będą mieli osobne *conclave*[2]), bo trza się lękać, aby siedząc wraz z Węgrami, nie mieli przeciw sobie *pluralitatem*. Pewny jednak jestem, że Panowie mają dosyć przezorności, iżby o tém zapomnieli; wszelako darujcie naszéj troskliwości, któréj nigdy nadto mieć nie można.

„Wreszcie ani wątpimy, że po tak dobrze rozpoczętém dziele, będziecie mieli stałość taką, jaka reprezentantom licznego i szlachetnego narodu przystoi. Sprawiedliwych rzeczy prosimy, chcemy być podległymi, ale

[1]) większość, [2]) biuro.

chcemy być ludźmi. Prawa podobnego żaden sprawiedliwy monarcha nie odmówił ludowi, i my tegoż samego po sentymentach teraźniejszego Króla tém bardziéj spodziewamy się, że Jego intencyą jest i być powinno spokojniejsze posiadać i zostawić prowincye swoje, jak jak je po przeszłém panowaniu zastał. My przez erygowane *comité*, poparte wszystkich Stanów, nawet duchownego i miejskiego zezwoleniem, pomnożymy waszę powagę i większą damy wam konsyderacyą.

„Powtarzam niewzruszone przywiązanie i szacunek, którego ze wszech miar warci jesteście.“

Mniéj obszernym, niemniéj jednak zajmującym jest list z 22 maja. Donosi w nim Dzierzkowski, że „*comité* stanęło“ i tegoż dnia odbyła się pierwsza sesya w domu arcybiskupa Kickiego, a pod prezydenturą biskupa przemyskiego, Gołaszewskiego, „bo Arcybiskup słaby, swego przyłączenia chciał dać dowód przez pozwolenie domu“; zaręcza daléj, iż „rzeczy spokojnie, bez fanfaronady obeszły się.“ Wysłani do gubernatora Łoś, Woyna i Orzechowski uwiadomiwszy go o tém, co zaszło, dodali:

— *Nous avons l'honneur d'avertir Votre Excellence, que la nation se conformant même à Votre avis, a erigé le corps de correspondance, dont le but principal est celui d'affermir la tranquillité du pays, pour que le citoyen soit instruit des tous les moyens qui ont employé à faire son bonheur.*

— *Ni j'aprouve* — odparł gubernator, nie wiedząc, jak się zachować w obec zmienionego położenia — *ni je n'aprouve pas. Ça dépend de la Cour.*

Końcowy ustęp pisma charakteryzuje stan kraju i usposobienie mieszkańców. „Kwestya teraz ubija i żywo przez obywatelów popiera się, aby po cyrkułach z tychże samych powodów *comité* erygowane były. My to ile można, odradzamy, żeby nie powiedziano, że formujemy stan w stanie. Chcemy więc, żeby to odłożyć do czasu, dopóki się te rzeczy nie ustoją. Zapewniamy Panów, że w całéj téj robocie nie ma innego objektu, jak tylko sama chęć dobra publicznego. Prawda, że po prowincyach obywatele krzyczą, ale my to uspokajamy, tak jak poczciwość każe. O tym kroku donosimy królowi. Pojedzie z tą expedycyą pewnie Orzechowski i

jeszcze ktoś drugi, ale jeszcze nie zdecydowano. Będzie i do Panów expedycya, w któréj podług Boga i poczciwości wyznajemy, że Was mamy *pro palladio* [1]) naszego kraju, że się łączymy z Wami. Zgoła uważajcie nas Panowie jak ziomków, jak ludzi, których nie ślepa popędliwość, ale dobro kraju wiedzie."

Ostatni list naszego zbioru, noszący datę 31 maja 1790 r. nie jest adresowany do całéj delegacyi, lecz tylko do jednego jéj członka, Ossolińskiego (a nie do Orzechowskiego, jak na nim przez omyłkę dopisano). Późniejszy założyciel instytutu nar. im. Ossolińskich był najzdolniejszym i najczynniejszym z pomiędzy wysłanych do Wiednia deputatów, tém boleśniéj przeto odczuwał niesprawiedliwość zarzutów, czynionych delegacyi w kraju. Żali on się Dzierzkowskiemu na „nie wyrozumiałość niektórych, więcéj żądających po urzędowaniu delegatów, niż stan rzeczy i okoliczności pozwalają"; ten zaś perswaduje mu, „iż to jest los powszechny tych, których wyższe talenta do służenia swemu krajowi przeznaczyły." Wbrew krzywdzącym krzykom odosobnionych jednostek, „głos publiczności nazywa go wybawicielem swoim." Sam mecenas zaręcza, że wedle jego silnego a szczerego przekonania, Ossoliński jest jedynym, „któremu straż dobra publicznego z ufnością oddać można." Nie śmie téż „zagrzewać go do wytrwania w chwalebnie rozpoczętéj robocie", nie chcąc uwłaczać jego wysokiemu poczuciu obowiązków obywatelskich. Przechodząc następnie do interesów, odpowiada, jak się zdaje, na krytyczny sąd o zachowaniu się Galicyan, w następujących słowach:

„Rzecz jest naturalna, że się naród porusza, bo z jednéj strony jeszcze nie widzi dopełnionych swoich nadziei względem przywilejów, które mu Dwór obiecuje, z drugiéj strony uważa, iż się sąsiedzi w koło armują, iż w roboty dworów weszła Galicya, iż tę wiadomość pogłoski potwierdzają. Prosta więc jest rzecz, iż naród, który azardem o wszystkiém sądzi, nie widząc zabezpieczonego losu swojego, porusza się, ale poruszenie to nie ma konsekwencyi szkodliwéj."

Dowie się Ossoliński od Orzechowskiego, jak usilnie pracuje komitet lwowski nad utrzymaniem w kraju spo-

[1]) za palladium.

kojności, „jak wiele cierpi od obywatelów niecierpliwych, którym się zdaje, iż już wszystko otrzymać byli powinni.“ — „Doniesienia Niemców muszą być kalumnii pełne, bo widzą, że chodzi o ich egzystencyą, że trza Dworowi wyperswadować, iżby nacyonalistom nie powierzył rządu. Ale cóż może być więcéj na przekonanie Dworu o naszéj wierności, jak szczęście powszechne narodu, które w nadanych przywilejach znajdziemy. Któżby był tak nieroztropny, tak źle myślący obywatel, iżby pewne szczęście swoje losowi ślepemu powierzał... Wreszcie, gdyby się kto tak nierozsądny znalazł, nie będzie miał pewnie naśladowców. Na Boga, na Ojczyznę przysięgam JWPanu Dobr., że tu wszyscy poczciwie myślą, iż zdanie JWPana Dobr. w téj okoliczności jest zdaniem powszechném. Niech Dwór nada przywileje, niech nam zabierze te pijawki państwa, które z nas wszystko wyssawszy, zostawili nam tylko żywą czułość nieszczęść naszych, a pewny jestem, że błogosławić naród będzie Tego, który mu los szczęśliwy zrobił.“

Uniwersał Leopolda w sprawie urbarium nie może kraju zadowolić, albowiem przytoczone w nim motywa nasuwają myśl, „iż dla tego kasują urbarium, że jego egzekucya jest niedokładna, że złe skutki zrobiła, ale *directe* [1]) samego systemu nie kasują. Ta supozycya tém bardziéj wzrasta, że uniwersał de anno 1785, to jest pierwszy, który ustanowił urbarium, nie jest skasowany, ale tylko następne uniwersały, bardziéj o egzekucyi, niż o samym systemie.“ Z tego powodu godziłoby się rozważyć gruntownie kwestyą, czy nie należy żądać od Dworu osobnéj na to rękojmi, „że urbarium nie powróci się.“

Chcąc ocenić wszystkie dodatnie i ujemne strony proponowanego przyłączenia Galicyi do korony Sgo Szczepana, prosi Dzierzkowski swego korespondenta o dokładne objaśnienie, „czyli z rekwizycyi dwóch komitatów, Biharyiensis et Sepuciensis można uważać wolą całych Węgier względem inkorporacyi Galicyi“; daléj w jaki sposób należałoby przeprowadzić akt inkorporacyi i jakie przytém zachować ostrożności, „żebyśmy się pod jarzmo Węgrów nie przenieśli“; czy i kiedy potrzeba wysłać w tym celu delegatów do Wiednia; czy misyi

[1]) wprost.

téj nie zechcieliby się podjąć dotychczasowi deputaci, „aby wybór tych delegatów nie zrobił poruszenia w narodzie, a co gorzéj, szkodliwéj emulacyi“; „czyliby Dworu ostrzedz nie trzeba, iż na przypadek odmówionych przywilejów, naród dysponowany jest łączyć się z Węgrami i zdaje się, iż ma do tego niezaprzeczone prawo.“

Mecenas radby wiedzieć, „jakiego jest dwór sentymentu względem téj inkorporacyi“; on sam uważa ją za *malum necessarium*[1]), gdybyśmy nie byli szczęśliwi zyskać przywilejów.“

„Jeżeli da Dwór przywileje — tak kończy swoje uwagi — tedy muszę koniecznie widzieć się z JWPanem Dobr. i pojadę do Wiednia, dla naradzenia się o wielu ważnych okolicznościach. Daj Boże, żebyśmy własném staraniem los nieszczęśliwéj Ojczyzny naszéj ubezpieczywszy, cieszyli się słodkiém użyciem pracy naszéj. Słów mi dokładnych nie staje na wyznanie tego szacunku, którym przejęty jestem dla osoby JWPana Dobr. Szanuję w nim człeka rozumnego, kocham gorliwego współziomka, uwielbiam troskliwego obrońcę biednéj Ojczyzny naszéj.“

Taka jest osnowa listów, pisywanych w pamiętnéj dla Galicyi epoce pierwszych miesięcy krótkiego panowania Leopolda II przez człowieka, który na chwilę zająwszy wybitne stanowisko polityczne, ze zmianą stosunków powrócił do skromnéj roli adwokata i uczonego. Nie pominąwszy nic, co tylko w nich zasługiwało na uwagę, śmiem w końcu wyrazić nadzieję, że nieuprzedzony czytelnik przyzna słuszność wstępnym uwagom naszym o znaczeniu niniejszéj korespondencyi i zgodzi się na wysnute z niéj wnioski; sama treść listów, zbyt jest, jak mniemam, wymowną, aby wymagała dalszych komentarzy.

---

[1]) złe konieczne.

Z autografów
Zakładu nar. im. Ossolińskich.

Historya Rzplitéj nie zawiera się tylko w samych konfederacyach, ale w myśli, w usposobieniu *wszystkich* zainteresowanych i nie zainteresowanych do wielkiéj sprawy. Najmniejszy tu fakcik nie jest zbyteczny.

Julian Bartoszewicz.

I.

Piękny i obfity zbiór autografów, gromadzony starannie w ciągu lat kilkudziesięciu przez zarząd jednéj z najpożyteczniejszych naszych instytucyj, nie zwrócił dotąd na siebie téj pilnéj baczności nie już ze strony ogółu, lecz nawet szczupłego kółka uczonych, jaka mu się ze wszech miar należy.

Jeżeli w ogóle z żalem przyznać trzeba, że rękopiśmienne zasoby biblioteki Ossolińskich mało dotychczas bywały zużytkowane; jeśli ubolewać przychodzi, że tylu piszących, ilu ich Lwów liczy, mając tak wyborną i łatwą sposobność czerpania do najrozmaitszych prac pełną dłonią z tego nieoszacowanego źródła, odrzuca ją z dziwną, rzekłbym lekkomyślną, obojętnością — to bez porównania mniéj względów doznawały zawsze autografy.

Z manuskryptów korzystał już nie jeden uczony, ten i ów przetrzebił je wcale gruntownie dla swego przedmiotu, jak Szajnocha i Kubala — do auto-

grafów wyjątkowo i zrzadka ktoś zaglądnie, i to wtedy chyba, gdy wie na pewno, że tam dla siebie coś znajdzie. Dzieje się to zaś, sądzę, w skutek nieuwagi i nieuzasadnionego lekceważenia zbioru, uważanego poprostu za pospolitą kolekcyą podpisów, kartek i listów, pozbawionych jakoby wszelkiego innego znaczenia, krom tego, że są własnoręcznemi pamiątkami po sławnych i wybitnych w społeczeństwie ludziach.

O mylności podobnego mniemania można się było wprawdzie z łatwością przekonać, bo i za dawnych lat snadniéj przychodziło zoryentować się wśród nich, aniżeli wśród rękopisów, które teraz dopiero stają się przedmiotem osobliwéj pieczołowitości dyrekcyi — obecnie zaś inwentarz autografów, zupełnie ukończony, daje każdemu możność natychmiastowego odszukania rzeczy, o którą chodzi.

Celem niniejszego artykułu jest skierowanie uwagi jeśli nie całego myślącego ogółu, to przynajmniéj osób naukowym i literackim pracom oddanych, na zaniedbane do téj pory źródło. Nie myślimy tu ani podawać wyczerpującego przeglądu zbioru, bo nie starczyłyby na to szczupłe ramy téj pracy, ani wymieniać rzeczy, zasługujących na opracowanie, boby w ten sposób urósł suchy regestr, nie zajmujący dla szerszego koła czytelników, do których przemawiamy, a zbyteczny dla uczonych, umiejących lepiéj rozróżnić rzecz ważniejszą od mniéj ważnéj. Podobnie jakeśmy już wpierw z niego czerpali, tak i nadal posłuży on nam do niejednego szkicu i obrazka; w téj chwili natomiast pragniemy jedynie zebrać okruszyny, spadające z suto zastawionego stołu, z tu i owdzie luźnie rozpierzchnionych rysów, z porzuconych mimochodem kamyków, niezdolnych dostarczyć materyału do osobnéj budowy, nie nadających się wcale do oddzielnego obrobienia, a niemniéj przeto cennych — złożyć rodzaj mozaiki, któraby samą rozmaitością i barwnością wchodzących w jéj skład cząstek, miłe na czytelniku sprawić mogła wrażenie. Uda nam się może zająć tém ogół, a zarazem nie naruszyć tych przedmiotów, któreby ze względu na swą naturę i na obszerniejsze rozmiary, wymagały raczéj osobnego i gruntowniejszego traktowania. Sądzę téż, że drobiazgowość szczegółów, o których mowa, nie zmniejsza ich wagi i doniosłości; że to, co pozornie atom niedojrzany

w życiu ludzkiém stanowi, godne przecież uwagi, a dla stwierdzenia tego zdania powołać się mogę na powagę Bartoszewicza. W dalszym ciągu słów, położonych na czele niniejszéj pogadanki, z powodu pozostałéj po Kokceju korespondencyi, mówi on: „Kokcej nie pisał historyi, ale zwierzał się przyjacielowi; otóż w tych jego zwierzeniach utkwił niejeden fakt ciekawy, który jak się zbierze moc ogromna takich spostrzeżeń, rozrzuconych po korespondencyach prywatnych, dostarczy niejednego pięknego rysu do scharakteryzowania epoki.“

Na nieszczęście zbyt mało u nas pamiętano o téj prawdzie, zbyt mało starano się o gromadzenie owych maleńkich i na pozór nic nie znaczących rysów — i otóż dlaczego w wielu epokach brak niemal zupełnie materyału do subtelnego rysunku, do cieniowania, a są tylko ostre, niewypełnione kontury, dla czego dziejom politycznym nie towarzyszy historya swojskiego obyczaju w danéj epoce, dlaczego tak mało znamy społeczną fizyognomią rodziméj przeszłości.

Do przedmiotów, godnych oddzielnéj pracy, należy niezawodnie w pierwszym rzędzie sprawa niesięgająca w odległą, zamierzchłą przeszłość, przedzielona nawet od nas zaledwie kilkudziesięciu laty, niemniéj przeto domagająca się historyografa, dopóki jeszcze nie do samych piśmiennych zabytków ograniczaćby się było trzeba — dopóki żyją jeszcze ludzie, choć już arcynieliczni, posiadający klucz do rozwiązania niejednéj wątpliwości, zdolni żywém słowem dopełnić martwéj litery na papierze przechowanych wspomnień.

Mówimy o sprawie tak dla ogółu zajmującéj, jak wzniesienie instytucyi, będącéj ogniskiem umysłowego życia i światła, roznoszącéj ożywcze promienie wiedzy od lat tylu nietylko wśród samego miasta, które jéj zwłaszcza w świeżo ubiegłéj epoce zawdzięczało świetny rozkwit literatury, lecz po całym kraju, po wszystkich niemal dzielnicach dawnéj Rzeczypospolitéj — bo zewsząd przybywają do niéj goście nietylko dla zaspokojenia próżnéj ciekawości, lecz także dla rzetelnéj pracy i poważnych studyów.

Pierwszorzędny dziś Zakład, powstał, jak wiadomo, zasługą i obywatelskim trudem jednego człowieka, który godnym naśladowania dla wielkich domów przykładem,

ślad wygasającego, świetnego niegdy rodu, upamiętnił po wsze czasy trwalszym nad śpiże pomnikiem, a do wdzięczności potomków większego nabył prawa, niż głośni, aureolą wielkich zwycięztw otoczeni bohaterzy.

Nie sądzimy, aby poczucie owéj wdzięczności właściwsze przybrać mogło kształty, jak przyczyniając się do wyraźniejszego uwidomienia, ogólnemi zaledwie rysami nakreślonéj postaci szlachetnego założyciela, oraz dokładnego opowiedzenia okoliczności, jakie towarzyszyły wzniesieniu tego wspaniałego, jak go współcześnie nazywano, muz ojczystych przytułku. Wprawdzie pomna swych obowiązków dyrekcya spełnia ten dług, wydzierając niepamięci sławnych jego przodków, wydając autobiografią Jerzego Ossolińskiego, kanclerza w. kor., po któréj nastąpią inne po nim zabytki — lecz niemniéj potrzebnémby było dać pełny obraz działania i zasług samegoż Józefa Maksymiliana Ossolińskiego.

Praca taka stanowiłaby walny przyczynek do dziejów cywilizacyi w prowincyi naszéj, wyprowadziłaby na jaw obok głównéj postaci, wiele nieznanych, a cichą pracą około dobra rodzimej literatury i umiejętności zasłużonych osób, wiele ważnych i cennych faktów.

A nie mógłby się autor skarżyć na brak materyałów, bo pomijając to, coby z ustnego podania posłyszał, nieprzebraną ich mnogość znalazłby w zbiorze, któremu dziś poświęcamy kilka słów pobieżnych. Przedewszystkiém w rozlicznych listach, pisywanych do Ossolińskiego, napotkałby wierną ilustracyą jego niestrudzonych i różnostronnych zabiegów, wytężonych w celu obdarzenia ziomków instytucyą, mającą rozlewać na kraj zdroje oświaty. Dowiedzialby się z nich, jakiemi to drogami i jakiemi sposoby zasilał dostojny mąż swoje zbiory, jak był niezmordowanym, kiedy chodziło o dodanie bodaj jednéj cegiełki do wznoszącego się gmachu. Zarówno on, jak późniejsi zawiadowcy biblioteki, dla pomnożenia narodowych zbiorów nie wahali się uciekać do różnych fortelów, czego dowodzą szczególniéj listy Lindego, a najwięcéj dokazywali, działając na próżność ludzką, pozyskując życzliwe poparcie rymokletów, autora *Sobiesciad* i tym podobnych elukubracyj, uroczystém a nic nieznaczącém przyrzeczeniem, że ich utwory „umieszczą w księgozbiorze“, gdzie miały spocząć w nienaruszonym spokoju.

Listów, adresowanych do Ossolińskiego, jest bardzo wiele; przytaczamy z pomiędzy nich tylko jeden z powodu, że nosi najdawniejszą datę i wyszedł z pod pióra człowieka znakomitego, a nieprzywykłego do tak częstéj korespondencyi, jak tylu innych sławnych ludzi. Jest-to jedyne, w zbiorze autografów przechowane pismo księcia biskupa Warmińskiego, Ignacego Krasickiego, koryfeusza odrodzonéj za czasów Stanisława Augusta literatury polskiéj — tém ciekawsze, że choć zaledwie mimochodem, dotyka przecież spraw publicznych, oraz naukowych usiłowań hrabiego.

Znakomity autor *Pana podstolego*, jak widać z poniższych słów, ceni wysoko Ossolińskiego, sprzyja mu serdecznie i popiera jego zabiegi. Pisze on z Heilsbergu, pod dniem 5 września 1793, krótko po powrocie z Warszawy:

„Pamiętny przyrzeczenia i już odetchnąwszy w domu, czynię odezwę, pozdrawiając pisarza dziejów polskich, z doniesieniem, iż ów kalendarz obywatelski wygotowany jedzie do Warszawy do Grölla, aby go na świat wypchnął.

„A jak się ma Zygmunt Stary? proszę go téż na świat wyprowadzić, bo takich właśnie dzieł, osobliwie w okolicznościach teraźniejszych potrzeba, ażeby ile możności nie gasły ostatnie iskierki miłości tak nieszczęśliwéj, jak jest teraz, Ojczyzny.

„Rozpatrzyłem się nieco w wyobrażeniach osób na blasze. Umyślny regestr Polaków spiszę i prześlę, jacy się u mnie znajdują, i już mam niektóre, których będę mógł użyczyć; zdaje mi się albowiem, żem ich w WMPana kolekcyi nie widział. Cóżkolwiekbądź, ten regestr rozumiem, iż poda informacyą, gdzie i kto był wyobrażony i przez kogo.

„Warszawę zastałem piękną, ale pustą — *viae Syon lugent* (drogi Syonu w żałobie), jak mówił Jeremiasz w czasie niewoli.

„Jeżeli Hrabia będzie grzeczny a odpisze, ja regestr a może i wizerunek jaki przyszlę.

„Nie kładę na kopercie wyrażonego adresu, bo mi się gdzieś zapodział, ani się polecam przyjaźni, bo jak się nią zaszczycam, takem jéj pewien.

Krasicki.“

Obok Ossolińskiego, nie od rzeczy może byłoby poświęcić kilka słów wspomnienia i charakterystyki mężowi, nie mogącemu się z nim bezwątpienia mierzyć ani pod względem zasług obywatelskich, ani téż nauki, zasługującemu przecież na uwagę z powodu typowości swojéj, oraz stanowiska, jakie zajmował w świecie nietylko polskim, ale w ogóle europejskim. Mówimy o księciu Henryku Lubomirskim.

Sam kasztelanic kijowski niezamożny, jeszcze jako pacholę, dzięki swéj urodzie zyskawszy względy księżny marszałkowéj Lubomirskiéj, która niejednokrotnie za pomocą dłuta Kanowy unieśmiertelniła nadobne jego kształty w postaci Amorków i aniołków, zawdzięczał powinowatéj dobrodziejce nietylko rozległą fortunę (Przeworszczyznę), lecz także owe świetne stosunki z arystokracyą różnych narodów i krajów, jakie stale utrzymywał, a nawet z każdym rokiem pomnażał. Jeśli kto, to Maurycy hr. Dzieduszycki mógł był odtworzyć rysy téj postaci, którą znał wybornie, bo książę umarł dopiero w roku 1850.

Pewnego razu opowiadał Lubomirski autorowi *Skargi* bytność swoję w przededniu rewolucyi na dworze Ludwika XVI w loży Maryi Antoniny, która go z upodobaniem gładziła dłonią po twarzy, a opowiadał z jak najdrobniejszemi szczegółami, nie pomijając opisu strojów główniejszych figur—tak żywo tkwiły w pamięci dostojnego starca odległe wspomnienia z epoki dziecięcéj, gdyż wówczas zaledwie dziesięć lat liczył.

Żałować przychodzi, że nie powziął myśli spisywania pamiętników, nie było bowiem na schyłku XVIII i na początku XIX wieku znakomitszéj indywidualności, z którąby się nie był zetknął w ciągu długiego żywota. Trawiony gorączką ciągłego ruchu, nieustannie podróżował, nieustannie dążył z Paryża do Wiednia, z Wiednia do Petersburga, Włoch itd.

Od słynnego z władania czterdziestu językami poligloty, kardynała Mezzofantego, jak wskazuje przypisek, wydobył dokument, świadczący nie już o tém, że szczególny ten człowiek znał język polski, co było rzeczą wiadomą, lecz że nawet składał w nim dość zręczne rymy. Do księdza Dzierożyńskiego S. J. wystosował on następny czterowiersz:

Teraz ia iestem w Rzymie, i *mi zdoła*,
Albowiem jestem, gdzie Pan Bóg mię woła.
Iednak daleko iesteśmy od siebie!
Będziemy blisko, day to Boże! w niebie!
Jos. Mezzofanti.

Wierszyk powyższy, napisany wyraźnym i pewnym charakterem, otrzymał książę od samego kardynała w Rzymie w kwietniu r. 1833, a zawarty w pierwszym rzędzie błąd, udaremniający zrozumienie myśli autora, przekonywa mnie, że ten płód kardynalskiéj Muzy przyszedł na świat zupełnie bez obcéj pomocy.

Na czterdzieści lat przed wypisaną powyżéj datą, powoływano już siedmnastoletniego księcia Henryka, ur. w r. 1777, do uczestnictwa w sprawach publicznych, ofiarując mu wcale poczestne, jak na młodzieniaszka w jego wieku, stanowisko wojskowe. Baron Karol Hompesch, pułkownik huzarów w służbie angielskiéj, upoważniony od swego rządu do formowania oddziałów, proponuje mu z Düsseldorfu na dniu 30 marca 1794 r. przywództwo kompanii, skoroby ją zechciał zebrać i na koniach dostawić do Kolonii. Podawszy szczegółowe wskazówki w tym względzie i zastrzegłszy sobie, że o cenę za każdego żołnierza i konia porozumieją się późniéj, w końcu dopiero poczytuje za stosowne objaśnić, co go skłoniło do uczynienia niniejszego kroku. „Zadziwisz się książę — pisze — odbierając ten list i te propozycye od kogoś, zupełnie sobie nie znanego, ale popchnęły mnie do tego pragnienie i potrzeba dopełnienia jak najrychléj pułku, oraz imię pańskie, przypuszczam bowiem, że książę jesteś szwagrem najlepszego mego przyjaciela — Jana Potockiego.“

Na list powyższy dał młodzieniec grzeczną, lecz odmowną odpowiedź, jakkolwiek wyraził był kiedyś istotnie życzenie objęcia dowództwa nad kompanią lekkiéj kawaleryi. „Nie skończywszy jeszcze nauk (pisze z Łańcuta 24 kwietnia r. 1794), nie mogę obecnie rozpoczynać wojskowéj karyery.“

Że tłómaczenie to nie było czczą wymówką, że książę długo jeszcze oddawał się studyom szkolnym, widać z wcale udatnéj francuzkiéj jego rozprawki, złożonéj u stóp księżny matki w Łańcucie 1 stycznia r. 1796, a przechowanéj między rękopisami Zakładu Ossolińskich pod liczbą 898. Po tytule: „*Essai sur le bon-*

heur à sa Maman, par Henri Lubomirski", czytamy następną dedykacyą: „Ce que Vous méritez, Maman, à tant de titres; ce que je dois moi-même à Votre bonté, à Votre amour, *le bonheur*, est le sujet de cet essai que j'ose Vous offrir à ce renouvellement d'année comme une preuve des progrès de mon esprit, et une marque de la sensibilité de mon coeur. Le désir de Vous plaire, anime mon zèle pour l'etude, et mes progrès me font sentir d'avantage la réconnaissance que je Vous dois."

Przy dawnym trybie odbywania podróży, wiele czasu na niéj musiał spędzać nasz turysta i zapewne, choć człowiek staréj daty i starych wyobrażeń, wdzięcznym był wynalazkowi poruszania wagonów za pomocą pary, jeśli nie należał do rzędu ludzi, lubujących się w saméj peregrynacyi i czujących się wtedy dopiero w swoim żywiole, kiedy puszczają się w drogę, by nowych szukać wrażeń i świeże oglądać twarze.

To pewna, że mimo swego charakteru kuratora rozwijającéj się dopiero instytucyi, we Lwowie przesiadywał bardzo rzadko i o jéj dobro nie mógł dbać wiele. Szczęściem, że Zakład miał wówczas innych, troskliwych kierowników, nie szczędzących dla jego dobra zachodów, podczas gdy książę pan swoim zwyczajem gonił wiatr w polu.

Magnat z rodu i nawyknień, obracał się w kołach niemal wyłącznie wysoce arystokratycznych, odstępując od téj reguły jedynie dla reprezentantów nauki, literatury i sztuki, bo jeśli ich sam na seryo nie uprawiał, czuł przynajmniéj dla nich cześć głęboką, jako szczery miłośnik wszystkiego, co pożyteczne i piękne. Ktoś z jego dobrych znajomych zapewnia mnie, że w późniejszych przynajmniéj czasach całą swą wiedzę czerpał z *Revue britannique* i z *Revue de deux mondes;* sądzę jednak, że powyższego twierdzenia nie można przyjmować dosłownie. O rozwój literatury ojczystéj był nawet tak troskliwym, że w r. 1845, a więc w sędziwym już wieku, skopiował własnoręcznie rękopis cesarskiéj biblioteki w Petersburgu, który następnie posłużył Szajnosze za materyał do pięknego szkicu o Klementynie Sobieskiéj.

Wyznawca zasad legitymistycznych i ztąd nieprzyjaciel rewolucyi z r. 1789, tém więcéj, że ta zawiodła

pod gilotynę nieszczęśliwą panią tegoż samego, co on imienia i rodu — otwierał gościnne podwoje łańcuckiéj swéj rezydencyi dla wychodźców francuzkich, między którymi mogłeś znaleść pierwszorzędne figury, parów, biskupów i książąt, że wymienimy tylko biskupa z Laon, imieniem hr. de Sabran, para Francyi. Był pomiędzy nimi człowiek z bardzo skromnym tytułem, z którym jednak dumny pan polski stał na wcale poufałéj stopie. Kamerdyner ten — bo taką była jego godność — pisywał i przemawiał do księcia Henryka poprostu *mon cher prince*, ale był to jedyny w swoim rodzaju kamerdyner, wyróżniany ztąd zaszczytnie z całego zastępu ludzi, piastujących tę godność, choćby na dworach najpierwszych monarchów.

Imię jego głośne i sławne, bo związane nierozdzielnym węzłem z imieniem nieszczęśliwego króla, co padł ofiarą rewolucyi, a otoczone aureolą wiernéj i pełnéj poświęcenia służby w ciągu pięciu miesięcy, spędzonych w twardém więzieniu.

Cléry pisuje do księcia z Wiednia między rokiem 1804 a 1806; poprzednio bawił w Łańcucie, dokąd przybył z nad Tamizy. Posiadamy dokładny adres słynnego kamerdynera z pory pobytu jego w Londynie; na tytułowéj bowiem karcie ogłoszonego przez siebie w r. 1798 dzieła p. t. *Journal de ce qui s'est passé à la tour du Temple, pendant la captivité de Louis XVI, roi de France*, (str. 239 w 8-ce) dodał, że kupować je można u autora na „*Lisle-street 6.*“

Nie zabawiwszy długo w Galicyi, mieszkał następnie w stolicy Austryi, gdzie w kilka lat późniéj (1806) miał umrzeć — głównie dla karyery syna, którego właśnie za protekcyą Lubomirskiego chciał umieścić w wojsku. Podejmuje się on w Wiedniu różnych usług dla rodziny księcia, przesyła mu różnego gatunku nowiny i brukowe ploteczki. I tak raz donosi, w jak opłakanym stanie powraca z „szalonego Babilonu“ Stanisław Lubomirski, który gorzko przypłacił młodzieńczą płochość — to znowu rozpisuje się z najwyższém uznaniem o ulubionym powszechnie w naddunajskiéj rezydencyi księciu Kaźmirzu, wstępującym w śluby małżeńskie. „*Je crois* — dodaje nie bez złośliwéj radości 16 grudnia r. 1806 — *qu'une belle princesse se mordera les pouces plus d'une fois, d'avoir laissé dans les bras d'une*

autre un mari, si digne d'être heureux...“ Którą to księżniczkę spotkał tak przykry zawód i minęło szczęście świetnego zamężcia — nie wiemy.

Autor-kamerdyner przeplata swe listowne pogadanki nowinami treści politycznéj; ilekroć przy tém wspomina o bohaterze, co wyszedłszy z łona rewolucyi, włożył na skronie koronę Cezarów, a sławą swą świat napełniał, tylekroć traktuje parweniusza z pogardą. Nie spotykamy tu nawet nazwiska konsula lub generała Bonaparte, lecz po prostu: „*Mr. Napoléon et sa clique.*“

Do łańcuckich gości należał podobno i książę Richelieu, późniejszy minister spraw zagranicznych Ludwika XVIII. Zdaje się przynajmniéj świadczyć o tém poufały list ministra, pisany do księcia Henryka z Paryża na dniu 30 sierpnia r. 1817. Odpowiada w nim Richelieu na prośbę uwolnienia krewnego Lubomirskich, pana Ż., który korzystając z tego, że rozkoszna Lutecya znów zostaje pod rządami prawowitego monarchy, wyprawiał podobno różne awantury nad Sekwaną. Wstawienie księcia Henryka okazało się już zbytecznem, gdyż kilka osób, zwłaszcza Józef Lubomirski, staraniami swemi wyjednało dla winowajcy łaskę. Przywołany po długiém tułactwie na tron przodków król, pomny na mile nad Wisłą spędzone czasy, przebaczył mu wspaniałomyślnie, objawiając tylko życzenie, aby co rychléj jechał na rodzinną Litwę, „*où j'espère* — dodaje minister — *qu'il fera moins de sottises, qu'en France; car je ne peux Vous cacher, c'est un bien détestable sujet.*“

II.

Wszyscy ci przybysze, o ile nam wiadomo, goszcząc w Łańcucie, dzięki powadze księcia nie doznawali ze strony władz najmniejszych przykrości. Prześladowanie natomiast bolesne i dotkliwe padło w udziele najgłośniejszéj ze wszystkich osób, jakie nawiedziły dom książęcy, i to rzecz osobliwa, kobiecie, któréj dla znakomitego w literaturze stanowiska musimy tu poświęcić kilka słów wspomnienia, lubo przechowane w autografach jéj listy nie wzbudzają zajęcia.

Pani de Staël, jak wiadomo, dotknięta w swéj próżności przez Napolona, który nie lubił kobiet piszących,

następnie za wichrzenie przeciw cesarstwu wygnana z Francyi, zaprzysięgła potężnemu władzcy śmiertelną nieprzyjaźń i systematycznie też przez niego była prześladowana. Nie znajdując dla siebie na Zachodzie bezpiecznego przytułku, postanowiła w r. 1812 udać się do Rosyi. Z Wiednia, dokąd przybyła szczęśliwie, zamierzała pojechać na Wschód, a po drodze, czyniąc zadość prośbie księcia Henryka, wstąpić do Łańcuta. Podróży téj towarzyszył szereg szykan, opisanych przez sławną kobietę z żółcią w pamiętnikach p. t. *Dix années d'exil.*

Szczęściem, że nie podróżowała sama, lecz w towarzystwie syna i Wilhelma Aug. Schlegla, wysmaganego tak nielitościwie przez najdowcipniejszego w Niemczech człowieka, Heynego, w pogadance p. n. *Romantische Schule*, którą rozpoczyna ustępem o natchnioném przez braci Schleglów dziele autorki *Korynny*, p. n. *De l'Allemagne.*

Ale i ta straż honorowa nie obroniła jéj od licznych przykrości ze strony austryackich urzędników. Już w Bernie zalecił jéj gubernator, aby przez Galicyą przejechała jaknajspieszniéj, w Łańcucie zaś nie zatrzymywała się dłużéj nad 24 godzin. Nie myślimy za przykładem saméj autorki rozwodzić się szeroko nad wszystkiemi, wyrządzanemi jéj w Galicyi krzywdami; wspomnimy tylko, że w każdém biurze pocztowém spotykała się z własném nazwiskiem, wypisaném na plakacie olbrzymiemi czcionkami a w Rzeszowie starosta oświadczywszy, że może tylko na ośmiogodzinny jéj pobyt w Łańcucie zezwolić, dodał, iż musi osobiście czuwać nad tak niebezpieczną osobą i dla tego pojechał wraz z nią, choć dotknięta do żywego niemiłém towarzystwem, genialna kobieta dostała spazmów w drodze.

Stanęła wreszcie u celu cała kawalkata. Książę wyszedł naprzeciw sławnym gościom rozpromieniony i radosny, lecz ci postępowali chmurni i posępni, bo ciągłe starcia z niesfornymi urzędnikami, przywodziły ich do rozpaczy. Na domiar złego, wbrew nadziei, że przynajmniéj na miejscu pozbędą się nieproszonego opiekuna, musieli patrzeć, jak pan starosta bez względu na obecność wielkiego pana i nie pytając o pozwolenie, zasiadł bez ceremonii do stołu i postępował, jak u siebie w domu...

Po wieczerzy, może winem jeszcze podniecony, oświadczył agent panu Augustowi de Staël, że stosownie do wyższego rozporządzenia, aby na krok nie odstępował jego matki, powinienby noc spędzić w tym samym, co ona pokoju, lecz galanterya nakazuje mu odstąpić w tym razie od rozkazu władzy. Surowa odpowiedź młodzieńca na ten płaski objaw urzędniczéj grzeczności, odjęła mu trochę śmiałości.

Nazajutrz tak upojono pana starostę, że odszedł od zmysłów. Mogła więc pani Staël dłużéj zabawić u księztwa, ale nie chcąc narażać siebie, ani gościnnych gospodarzy, wyjechała ze łzami w oczach. Od granicy rzeszowskiego cyrkułu towarzyszyło jéj dwóch żandarmów.

Śmieszna to była obawa przed kobietą, któréj wpływ mocno przeceniano.

Nie ulega prawie wątpliwości, że nietylko z panią de Staël, z biskupem Laonu i z ministrem Ludwika XVIII, ale z samym monarchą w porze jego wygnania, łączyły księcia Henryka stosunki znajomości. O tym czwartym z kolei wnuku Ludwika XV a bracie straconego pod gilotyną Ludwika XVI, wypada nam powiedzieć słów kilka z powodu jednego, niestety, tylko ułamkowo przechowanego listu, choć niewiadomo nawet dokładnie, do kogo był pisanym.

Igrzysko i ofiara losu i zmiennych jego kolei, popularny i nienawidzony, tułacz i król, zaproszony przez Pawła I do Moskwy, a późniéj z niéj wydalony, w r. 1801 zajrzawszy w odwrocie ze Wschodu do Warszawy, upodobał sobie w tém mieście i przez dłuższy czas w niém przebywał.

Magnaci polscy ubiegali się między sobą w hołdach i objawach serdecznéj sympatyi dla wygnańca, a Stanisław Ksawery (bo tak brzmiały jego chrzestne imiona), odwdzięczając się za gościnność, folgował popędom serca, które mimo że piątego już dobiegało krzyżyka, nie było wcale dla gorących afektów obojętném.

Nie inaczéj postępowała otaczająca go noblesa, jak ów duc de Fleury, który nacieszywszy się panią Cichocką, porzucił ją dla Pociejowéj w chwili, gdy właśnie otrzymawszy upragniony rozwód, zamyślała stanąć z nim na ślubnym kobiercu.

Wierzymy téż, że w wykwintnéj, rozkosznéj Warszawie nierównie weseléj i miléj płynęły chwile żądnym zabaw i miłostek Francuzom, niż w biedném i cichém stołeczném miasteczku Kurlandyi, w Mitawie, gdzie od r. 1805 do 1807 miał zamieszkać.

List dostojnego wychodźcy, znajdujący się między autografami, nosi datę 17 listopada 1802 r., pisany zaś był do jednéj z piękności nadwiślańskiéj stolicy. Nie możemy bliżéj określić rodzaju tego stosunku, a przynajmniéj nic pewnego powiedzieć o jego trwałości i mocy, lecz wolno nam sądzić, jakie uczucia skłoniły nadobną syrenę do pozostawienia królewskiego pisma w tym stanie, w jakim je widzimy obecnie.

Z dwustronnego listu ocalało na nieszczęście tylko kilka wierszy, większą część odcięły ostrożne nożyczki; na pozostałéj, wązkiéj, podłużnéj karteczce, jedna strona zamazana tak troskliwie, tak po mistrzowsku, że najbystrzejsze oczy z pomocą wszystkich pomocniczych środków z pewnością nic z pod téj czarnéj warstwy nie wydobędą. To, co uszło szczęśliwie z pod podwójnéj tortury tnących nielitościwie nożyczek i mażącego bez miłosierdzia atramentu, podajemy w dosłownem brzmieniu:

„*Il est temps de finir, mais je ne puis me refuser une dernière réflexion. Je n'ai plus des socurs, l'une a péri sous le fer des assassins, l'autre vient de succomber à ses longs malheurs, mais en songeant à Vous, je crois que la Providence m'en a voulu rendre une.*

Adieu, Madame; la réconnoissance me met à Vos pieds, l'amitié voudroit me jetter dans vos bras.

(podp.) *Louis.*“

Forma życzenia, użyta w ostatniém zdaniu, wespół z rzewném wspomnieniem o siostrach i pragnieniem, aby piękna korespondentka zastąpiła mu jednę z nich, przemawiają poniekąd za niewinnością stosunku — lecz troskliwość, z jaką usunięto z przed oczu ciekawych więcéj niż trzy czwarte listu, i naturalny ztąd wniosek, że ustępy wycięte i zamazane musiały być bez porównania więcéj obciążającemi, udaremniają to korzystne tłómaczenie.

W duszy piękności, która rozbudziła miłosne zapały niemłodego Adonisa, walczyły snać z sobą dwa prądy, dwa uczucia, łatwe do zrozumienia. Uczuciami temi,

to wstyd niewieści i próżność kobieca: wstyd że z podeptaniem obowiązków słuchała występnych oświadczeń — próżność, że zniewoliła serce monarchy.

W walce téj nie odniosło zwycięztwa ani jedno, ani drugie uczucie, a raczéj zwyciężyły obydwa. Nie może się pochlubić bezwarunkowym tryumfem próżność, bo wycięciem i wymazaniem zrobiła pewne ustępstwo wstydowi — nie może téż otrąbić wygranéj wstyd, boć z pozostałych kilku wierszy dość przezroczyście, jak sądzę, przegląda romans z królem bez tronu, a okrywająca resztę tajemnicza zasłona nie może się przyczyniać do wytworzenia pobłażliwego sądu...

Jak się nazywała ta trochę wstydliwa, lecz w wyższym stopniu próżna kobieta? nie śmielibyśmy zaręczać, choć ktoś inny okazał się od nas pewniejszym, a przynajmniéj mniéj skrupulatnym, na okładce bowiem, mieszczącéj w sobie rzeczone pismo, czytamy dopisek skreślony nieznaną ręką: „List Ludwika XVIII do Rozalii z książąt Lubomirskich Rzewuskiéj Wacławowéj.“

Wyznaję, że na razie dałem bez namysłu wiarę téj notatce. Nasunęły się téż zaraz pewne względy, czyniące powyższe twierdzenie dość podobném do prawdy. A najprzód przemówiła za niém znana do zbytku płochość ówczesnych kobiet wielkiego świata. Wcale nie wzorowéj moralności było postępowanie matki pani Wacławowéj, któréj czci nie ocaliło bynajmniéj głośne przed niewielu laty we Lwowie wyzwanie na pojedynek.

Jakby w znak kary za przedsięwzięty w zdrożnym celu wyjazd za granicę, o (czém czytaj u Tańskiéj i u innych), księżna, jak wiadomo, w r. 1794 padła ofiarą rewolucyjnego teroryzmu. Córka jéj, jak opowiadają ci, co ją znali i jak zapewnia w swym zajmującym artykule o niéj p. Kaźmirz Chłędowski *(Z pod gilotyny)*, „do późnego wieku dochowała nienawiść do wszystkiego, co tylko z rewolucyą w jakiéjkolwiek mogło być styczności.“ Ztąd-to nie zadawała kłamu najfantastyczniejszym podaniom, jakie o niéj rozsiewano, i dopiero krótko przed śmiercią zdecydowała się na zwięzłe sprostowanie, umieszczone w *Tygodniku illustrowanym*.

Nienawiść do rewolucyi — narzucał mi się wniosek natrętny — szła niechybnie w parze z przyjaźnią do tego, kto był jéj naturalnym wrogiem, kto jéj za-

wdzięczał zgon rodzeństwa i własne tulactwo. Niby też nie było dziwnego, gdyby przyjaźń zmieniła się na miłość; gdyby piękna kobieta, żyjąc w epoce luźnych o moralności pojęć, okazała mu się powolną, nie bacząc na spóźniony już nieco wiek kochanka, a myśląc tylko o wysokim jego stopniu w hierarchii społecznéj i wspólnéj poniekąd doli. Stosunek z Ludwikiem, to we wrażliwéj główce Rozalii jak gdyby odwet, wzięty na rewolucyi, jak gdyby osłoda cierpień, zadanych tąż samą ręką, która zakrwawiła sieroce serce księżniczki.

Tkliwe wspomnienie doznanych nieszczęść, odbijające się smutném echem w ocalonym ustępie listu króla, potwierdza niejako to przypuszczenie, a ktoby chciał posunąć się daléj w domyślności, mógłby powiedzieć, że oględna pani zniszczyła te własne ustępy, w których wielbiciel, przypominając podobieństwo swoich z jéj losami, w niedwuznaczny już sposób zdradza przedmiot swych miłosnych uniesień... Ale po bliższém rozpatrzeniu sprawy, względy powyższe upadają, jako pozorne. Choćbyśmy nie zwracali na to uwagi, że osobie tak młodéj i niezamężnéj jeszcze, jaką była wówczas Rozalia, nie byłby zapewne Ludwik nadawał tytułu *madame*—winniśmy pamiętać, że datę listu od daty zgonu księżny oddziela tylko ośm lat, ponieważ zaś księżniczka w porze śmierci matki była „małą dziewczyną“, więc nie godzi się przypuszczać, aby pomiędzy kilkunastoletnią panienką a czterdziestosiedmioletnim królem *in partibus* zachodził stosunek taki, o jakim inkryminowany list świadczy. Gdyby zaś naodwrót pismo było niewinném, to pocóż niemal całe tak starannie niszczyć?

Nadto nie od rzeczy będzie zauważyć, że w żadnym z listów, pisywanych wówczas z Warszawy, tak ogłoszonych (np. księżniczki Maryi Radziwiłłównéj, późniejszéj generałowéj Krasińskiéj), jak niewydanych, w żadnym z pamiętników, nie ma wzmianki o księżniczce Rozalii — coby było rzeczą niepodobną, gdyby bawiła w stolicy, a nadto miała stosunek z królem-tulaczem...

Sądzę więc, że z tego powodu posądzenie jest mylném i że autor dopisku, objaśniającego do kogo list był pisany, dopuścił się lekkomyślności.

Ostateczne rozwiązanie wątpliwości byłoby jednak wtedy tylko możebném, gdybyśmy posiadali olbrzymie,

bo aż z pięciuset podobno arkuszy pisma, złożone pamiętniki hr. Wacławowéj. W chwili śmierci autorki (11 stycznia 1865 r.), która już w r. 1823 ogłosiła dwutomowy romans francuzki p. t. *Hedvigue, reine de Pologne*, ów pamiętnik, złożony w ręku Ranconeta w Wiedniu, miał niebawem ujrzeć światło dzienne. Hr. Leon Rzewuski, dowiedziawszy się o tém (tak przynajmniéj zapewniała ś. p. Wanda z Potockich Cabogowa), pospieszył do stolicy Austryi i wymógł, aby druk do pewnego czasu wstrzymano. Obecnie, jak słyszymy, literacka spuścizna po pani Rzewuskiéj ma się znajdować w ręku znanego dyplomaty austryackiego, hr. Rewertery.

Któż nie słyszał, kto nie czytał o mężu hrabiny, o pełnym talentu i oryginalności awanturniku, o upamiętnionym Mickiewiczowskim Farysem i tragiczną a tajemniczą śmiercią pod Daszowem emirze Bagdadu, Wacławie Rzewuskim — kto nie czytał pięknego o nim opowiadania Lucyana Siemieńskiego!

Zbytecznémby więc było malować na nowo tego sztuką i fantazyą w Beduina przedzierzgniętego potomka hetmanów Rzeczypospolitéj, ukazywać złotobrodego w zawoju i w pąsowéj todze, mówić o jego koczowniczym, a w gruncie dość czczym żywocie, o złotém acz lekkomyślném sercu, o wielkich a zmarnotrawionych niestety zdolnościach, bo z nich dla społeczeństwa niewiele korzyści urosło.

Wspomnimy tu jedynie o jego stosunku do znakomitego ukraińskiego śpiewaka, do Tymka Padury. Poeta przed r. 1820 podróżował z emirem po Wschodzie, a łączyła ich szczera i serdeczna przyjaźń. Pod dniem 19 sierpnia pisze Rzewuski z Sawrania (na Podolu) do Padury, zamieszkałego w Pustoszy, pod Machnówką, niedaleko Berdyczowa. Przytaczamy całe pismo, jest bowiem zwięzłe i charakterystyczne:

„Kochany Tomaszu.

Odebrałem twój list, posyłam ci r. as. 100. Zaraz przyjedź do mnie, do Sawrania. Dla ciebie jest pokój przygotowany, nowe dzieła gotowe, czekają cenzury. Uściskaj twego brata Józefa i powiedz mu, iż jak byłem, tak jestem jego czcicielem i przyjacielem. K..... kiep, po moim przyjeździe do Sawrania został potępiony

i oddalony za jego szelmowskie postępowanie z twoim bratem. Jeśliby Józef miał czas, niech mnie odwiedzi w Sawraniu, rad mu będę z serca i duszy. Wszyscy tu mu sprawiedliwość oddają i kochają. Czasu nie trać i przyjeżdżaj. Czekam — prędko, bo inaczéj paź będzie z kontroli wymazany.

Sługa i przyjaciel
Wacław Rzewuski."

List powyższy, świadczący o zażyłości między dwoma sławnymi ludźmi, dający wyobrażenie, jak po polsku pisał człowiek, znany nam przeważnie z listów, pism i wierszy francuzkich — doszedł do Padury na jak najpospolitszéj, najprozaiczniejszéj drodze pocztowéj, wbrew oczekiwaniu naszemu, że poetyczny emir wyśle z nim raczéj wiernego kozaka na rączym biegunie. Nie godzi się zaś, jak sądzę, przypuszczać, że uczynił to dla bezpieczeństwa włożonych wewnątrz stu rubli, bo zastęp kozaków, którymi się otaczał, miał go uwielbiać, lubo utrzymują niektórzy, że pod Daszowem oni to właśnie zabili swego pana, aby się obdzielić sporym trzosem złota.

III.

Rozpocząwszy od związków księcia Henryka z francuzką emigracyą, za dalekośmy się już oddalili od niego samego, a trzeba nam jeszcze wspomnieć o jego stosunku do współczesnéj literatury i sztuki.

Pochlebiało to poniekąd magnatowi, że uchodził za opiekuna nauki, piśmiennictwa i sztuk pięknych. Dlatego chętnie obcuje z uczonymi, literatami i artystami; z niektórymi żyje nawet na poufałéj stopie, nie szczędząc im w danym razie poparcia i pomocy.

Cała téż rzesza pracowników na tém polu zwraca się ku niemu z różnego rodzaju prośbami, najczęściéj mając na celu skłonić księcia do uczestnictwa w prenumeracie, lub poniesienia części kosztów nakładu wydawnictw, któreby inaczéj nie ujrzały światła dziennego. Lubomirski otaczał swą pieczołowitością przeważnie ziomków, jakkolwiek pomagał chętnie i cudzoziemcom, że tylko wymienimy sławnego powieściopisarza

francuzkiego, Balzaca, dziękującego mu serdecznie za „protekcyą“, bo, jak zapewnia, jeśli gdzie, to we Francyi protekcya jest niezbędnie potrzebna.

Bawiło w Łańcucie różnemi czasy wiele polskich znakomitości, a między niemi i Niemcewicz. Pod dniem 24 września bez r. pisze on ztąd list, tchnący właściwym mu humorem, do starościanki Stadnickiéj z Dukli. „Mój godny kolega i przyjaciel — powiada — generał Orłowski, wypisał się do Starościanki Dobrodziéjki tak grzecznie, dokładnie i zbawiennie, że po nim zostaje mi tylko powiedzieć *Amen*.“ Wyręczony przez generała we wszystkiém inném, poeta nie pozwala się jednak wyręczyć w powinszowaniu imienin młodéj korespondentce, i oto cel jego pisma.

Po zwięzłém wyrażeniu życzeń składa autor uszanowanie siostrze starościanki, pani Małachowskiéj, i powiada, jak mile wspomina chwile, wspólnie z niemi spędzone w Bardziejowie. Aby pod tym względem mógł doznawać wzajemności, nie śmie przypuszczać. „Najprzód że na to nie zasłużyliśmy przez wszystkie nasze popełnione zbrodnie, powtóre że damy nie mają po temu czasu, bo oprócz macierzyńskich, małżeńskich i rodzeńskich powinności, są inne zatrudnienia. Trzeba wydobywać 17.000 turkusów z kulbak i rzędów, układać rubiny, granaty, aquamariny, szmaragdy itd., nakoniec fabrykować pisma, niby ręką ojcowską pisane, umizgać się do Duczaniego etc. etc. To tak wszystkie zapełnia godziny, iż dla biednego Amerykanina nie zostanie i chwili.“

Po téj łagodnéj i dobrodusznéj złośliwości następują serdeczne słowa przyjaźni, z powodu rychłego powrotu do zaatlantyckiéj krainy. „Za parę dni oddalam się z Łańcuta, a za kilka niedziel z kraju, zawsze z sercem pełném wdzięczności i przywiązania do osób, które choć późno poznane, nigdy z czułéj nie wyjdą pamięci.“

Ale żartobliwy i zawsze do figlów skory wędrowiec nie mógł przenieść na sobie, aby wesoło rozpoczęty list kończyć rzewnie i z pewną smętną tęsknotą, jaka się przebija z po za słów obojętnych; dodaje więc w przypisku: „Dla lepszéj wiary i wagi pismo to stwierdzone będzie pieczęcią wyrytego na aquamarinie niezwyciężonego bożka...“

W rzeczy saméj bożek figuruje na czerwonéj pieczęci.

Nie mogąc wybierać imion wszystkich tych osób, co z podobnemi, jak się wyżéj wspomniało, prośbami udawały się do księcia Henryka, ograniczymy się do streszczenia listu autora *Stepów i koliszczyzny*, Michała Grabowskiego, z dnia 23 maja 1843 r.

Michał Grabowski przemawia do opiekuna literatury, ale nie we własnym interesie, ani téż nie apeluje wprost do kieszeni mecenasa. Prośba jego, wyrażona delikatnie i z godnością, ztąd szczególniéj zasługuje na uwagę, że w piękny a trafny sposób określa stanowisko, jakie ludzie bogaci, panowie o historycznych imionach i tradycyach, zająć powinni wobec rodziméj literatury i sztuki, pozbawionych z natury rzeczy tego dzielnego i skutecznego wsparcia, jakiego od rządów doznają w innych krajach.

Ów list wręczył adresatowi Romuald Podbereski i i w jego to sprawie odzywa się głośny krytyk. Podbereski, Litwin, zmarły około r. 1860, od r. 1843 począwszy aż do 1850 wydawał na przemian w Petersburgu i Wilnie pisma czasowe, sam pisywał dość dużo, a specyalnością jego była literatura białoruska.

Wówczas powziął on plan prowadzenia w nadnewskiéj stolicy ilustrowanych wydawnictw polskich „i już pierwsze dwie próby przyprowadził do skutku.“ Grabowski wspomina o przysłudze, jaką mógłby ogółowi wyświadczyć sprężysty i zdolny, czynny i światły wydawca, podczas gdy dotąd w kraju „ciemni i ospali księgarze są wielce szkodliwi literaturze naszego języka.“

Autor w pomyśle ilustrowanych wydawnictw widzi nadzieję innéj jeszcze, a daleko ważniejszéj korzyści. „Byłoby to — mówi — z jednéj strony najłatwiejszym środkiem zaszczepienia w kraju gustu i miłośnictwa sztuki, a z drugiéj otworzyłoby swojskim talentom pole popisu i zasługi.“

Przypomniawszy, że w Petersburgu, wówczas siedzibie licznych rodzin polskich, bawi dużo młodzieży naszéj, kształcącéj się na artystów, że oni wszyscy jednak dotychczas byli straconymi dla krajowéj sławy i pożytku, dodaje: „Pan Podbereski zdaniem mojém ma tę zasługę, że pierwszy wzniecił w nich myśl pracowania dla ziomków i z treści domowéj.“

Prosząc o poparcie poczciwych usiłowań Podbereskiego, wypowiada Grabowski słowa, które wiernie powtarzamy, dla pięknéj końcowéj myśli, zasługującéj na baczną uwagę, niezależnie od chwilowego interesu, jaki ją wywołał: „Nie sądzę, aby trudno było wynaleźć patrona dla téj zacnéj sprawy. Z krociów, które nasi możni panowie tracą w stolicy, niedojrzana cząstka zaradziłaby potrzebie. Nie ma też wątpliwości, aby zabrakło chęci i dobréj woli do uczynienia tego, skoroby myśl podano; podanie więc jéj na nikogo stosowniéj nie przypada, jak na W. Ks. Mość, którego stosunki, wpływ, powaga *i przyjęty już charakter opiekuna nauk krajowych*, robią najpotężniejszym i niejako naturalnym każdéj obywatelskiéj myśli orędownikiem. Pozwalam sobie zrobić domysł, czyby téż nie chciała przyłożyć się do rzeczy młoda hrabina Potocka, tak majętna, a tak słynna z przymiotów umysłu i duszy? Wszak dla każdego ze znakomitszych Polaków, zamieszkałych w Petersburgu, byłoby to przyzwoitą rolą, obrać przedmiot specyalnéj opieki, z któregoby kraj odnosił korzyści! *Przyczynić się do ozdoby literatury, do wzrostu cywilizacyi, stworzyć jakąś sztukę, obdarzyć kraj jakimś talentem, byłoby tak wzniosłym celem, tak uprzyjemniającém życie zajęciem, tak wiecznotrwałą pamiątką i prawem do niezgasłéj wdzięczności ziomków.*“

Zwracano się do Lubomirskiego nietylko jako do opiekuna literatury, ale także jako do znawcy, z prośbami o wskazówkę, o radę. Czyni to krom innych nieodżałowany, a ze swych zasług i obywatelskiéj gorliwości głośny hr. Edward Raczyński. Oto wyjątek z listu jego, wysłanego pod dniem 22 lipca 1838 r., a dodajmy nawiasem, pisanego po polsku dlatego jedynie, że hrabia cierpiąc na oczy, musiał się wyręczyć piórem sekretarza: „Od lat kilkunastu zgromadzam materyały do dziejów ojczystych. Między zgromadzonemi już posiadam kilka pamiętników, ściągających się do dziejów naszych XVIII wieku. Pamiętniki te tak są ważne i w tak zajmujący sposób pisane, że nie wahałbym się na moment ogłosić ich drukiem, gdyby mnie jedna uwaga nie wstrzymywała. Autorowie wspomnianych pamiętników, opisując zdarzenia i ludzi epoki, tylu bezprawiami nacechowanéj, nie zamilczeli bynajmniéj o największych brudach tak szczególnych osób, jako téż całych stanów.

Zachodzi więc pytanie, czy ogłoszenie tych źródeł w obecném położeniu rzeczy byłoby z pożytkiem narodu, któregoby przez to słaba strona tém widoczniéj się okazała. Porównywając dobre ze złém, któreby te pamiętniki sprawić mogły, nie śmiem przedsięwziąć stanowczego w téj mierze kroku, bez zasiągnięcia poprzednio rady kochanego Księcia. Uprzedzać go nie potrzebuję, że ułomności prywatne osób pominę, bo takowe nie stanowią nic (?), albo bardzo mało w historyi. Delikatność ta przecież moja nie może pewnych przestępować granic, gdyż inaczéj wszystkoby przemazać przyszło."

Nie wiemy, co na powyższą interpelacyą odpowiedział książę, ale o radzie wolno może wnosić ze skutku.

Już Nabielak, ogłaszając w r. 1868 w *Bibliotece Ossolińskich* listy Piotra des Noyers, sekretarza królowéj Maryi Kaźmiry z lat 1680—1683, wykazał, jak „osobliwszych zmian i poprawek, wedle swego zwyczaju" dopuścił się Raczyński, w wydanéj przez siebie (w styczniu roku 1834 *Portofolio królowéj Maryi Ludwiki)* części listów tegoż z lat dawniejszych.

Zapomniał on o prawdzie, któraby świętą być powinna dla wszystkich wydawców źródeł historycznych i pamiętników, że należy je albo ogłaszać w tym kształcie, w jakim się znajdują, albo téż nie kwapić się wcale z wydawnictwem. Wszelkie zmiany i poprawki *ad usum delphini* psują i zamącają takie źródło. Jakąż tu wreszcie można postawić granicę między tém, co uchodzi, a co nie — co godziwe, a co zdrożne?

Każdego przecież prawdę miłującego człowieka oburzać musi, kiedy pan des Noyers w liście z obozu pod Toruniem z dnia 1 października 1658 mówi o Janie Kaźmirzu: *on ne parle dans sa chambre que de luxure* — Raczyński zaś, znając język francuzki lepiéj niż polski, uważa za stosowne dać w przekładzie następną poprawkę: „w jego pokoju nie rozmawiają o niczém, jak *o piśmie świętém (!!).. (Portofolio*, t. II, str. 181—183.)

Jest-to już doprawdy trochę za daleko posunięta „delikatność", do któréj *naśladowania* nie chcielibyśmy nikogo zachęcać.

Jako kurator zakładu Ossolińskich, w porze każdego opróżnienia urzędów otrzymywał książę liczne podania

od kandydatów lub listy, polecające ich przez wybitniejsze w społeczeństwie osoby. Przytaczamy jeden z tych listów, jako odnoszący się do znakomitego pisarza. Hr. Jan Uruski, obywatel ze Złoczowskiego, pod dniem 12 września r. 1835 a więc przed czterdziestu z górą laty, przemawia za Lucyanem Siemieńskim, jako ubiegającym się o posadę kustosza. Czyni to już w przeciągu dwóch lat po raz drugi. „Przez te dwa upłynione lata — są słowa Uruskiego — ten sam p. Siemieński ziścił nadzieję moję, którą o jego zdatności miałem i o chęci dalszego siebie samego wykształcenia. Przekładem wiernym i ozdobnym Pieśni Igora ze starego języka słowiańskiego na ojczysty, zyskał sobie sławę literacką. Tłómaczenie jego p. Hanka w nowém wydaniu pieśni Igora obok swoich umieścić raczył, wydając te pieśni we trzech razem językach: słowiańskim oryginalnym, czeskim i polskim przekładem p. Siemieńskiego.“

P. Uruski ręczy za charakter Siemieńskiego, jako znanego sobie oddawna, gdyż przez długi czas w domu hrabiego bawił; dodaje przytém, że utalentowany literat „jako w Królestwie polskiém wykształcony, w Galicyi nigdzie umieszczonym być nie może i przy redakcyi *Gazety polskiéj* jest zmuszonym szukać sposobu utrzymania.“

Polecającym również, choć w znacznie odmienny sposób, jest list napisany przez Adryana Franciszka Boieldieu'go do p. Duvala w Genewie. Pismo to datowane z Paryża, dnia 22 września 1824 r.

Pięćdziesięcioletni kompozytor *Beniowskiego* stał wówczas u szczytu swéj sławy; właśnie w r. 1824 wystawił najznakomitsze swoje arcydzieło, wyróżnione zaszczytnie wśród tamtoczesnego operowego repertuaru i niezwyklém uwieńczone powodzeniem, *La dame blanche*. Wręczył on następujące pismo wyjeżdżającéj do Szwajcaryi pani Szymanowskiéj, późniéj teściowéj największego z wieszczów naszych, głośnéj swego czasu z talentu i wdzięków, na które nie był obojętnym Göthe:

„*Mon cher Duval.*

„*Madame Szimanowska, pianiste de L. L. M. M. les Impératrices de Russie qui se recommande tant par elle même, par son superbe talent, par ses manières distinguées et par le rang, qu'elle a occupé dans le*

monde avant que ses malheurs l'aient forcé à avoir secours à ses talents à Genève avec l'intention d'y donner un ou deux concerts."

Żąda daléj sławny kompozytor dla znakomitéj artystki wszelkiéj pomocy i ułatwień, jakich tylko będzie potrzeba.

IV.

Z czasów bliższych naszéj epoki, z korespondencyi osób, które stały na czele zakładu, przytaczamy tylko dwie maleńkie próbki, aby nie wkraczać w zakres obcy. Godne to uwagi i szczerego uznania, że w owéj już porze starano się czynić zadość potrzebie, dziś jeszcze mało uwzględnianéj, aby nie zasklepiając się w obrębie rodzimego piśmiennictwa, nietylko śledzić literatury innych szczepów, jak romańskich i germańskich, lecz także nie spuszczać oka z naukowego i literackiego ruchu w krajach słowiańskich. Zakład Ossolińskich pozostawał w stosunkach z uczonymi słowiańskimi, zwłaszcza czeskimi, znosił się z Dobrowskim, Sztulcem itd. Szczególniéj zajmujące są listy pierwszego; drugi, obecnie infułat, w piśmie zaadresowaném do Serwatowskiego (bez daty) a zredagowaném wcale poprawną polszczyzną, donosząc o przesyłce pięciuset egzemplarzy „zacnego dziełka, wydrukowanego w Pradze na pamiątkę pierwszego Zjazdu słowiańskiego", dodaje, że „sławne te słowa wieszcze zostały wydrukowane kosztem księcia Jerzego Lubomirskiego", w końcu zaś prosi o „łaskawą pamięć na lud pobratymczy, siedzący na Termopylach Słowiańszczyzny."

Również poprawnie po polsku pisany jest list Wacława Hanki, niewiadomo do kogo adresowany, donoszący z Pragi pod dniem 1 lutego 1829 r. o wyniku licytacyi zbioru numizmatów i książek, na któréj zakupił dla swego korespondenta trochę monet.

Największą może zasługę na polu ułatwiania Polakom naukowéj i literackiéj komunikacyi z Czechami, położył dziwnie ruchliwy i czynny dziedzic Żurawiczek długich, Adam Junosza Rościszewski. On pierwszy podał Hance myśl wystawienia komedyi Fredry na praz-

kiéj scenie, czyli mówiąc jego słowami, „widowni“, Ossolińskiemu do biografii Orzechowskiego wskazał lub wynalazł nie jedno źródło i był, jak się zdaje, naukowo wykształconym człowiekiem, choć z ortografią nie mógł nigdy trafić do ładu i zawsze był w wielkim kłopocie, gdy mu przychodziło rozwiązywać wątpliwość, czy wyraz ten lub ów pisać przez *ż* lub *rz* (borzyszcze, porzytek itd.).

Nie przeszkadzało to jednak, że uczone ciała, jak Towarzystwo naukowe krakowskie, wespół z wszechnicą Jagiellońską, i muzeum czeskie w Pradze, wezwały go na członka, a „czasopismo naukowe, od Zakładu nar. im. Ossolińskich wydawane“, jeszcze za życia szanownego męża, w r. 1833, pomieściło o nim artykuł, jakoteż dało drzeworyt, przedstawiający jego popiersie z natury zdjęte obok biustu z gipsu czy marmuru, poniżéj zaś odbicie medalu, jaki sobie widocznie sam sporządzić kazał, jako członek honorowy dwóch towarzystw.

Zarząd Zakładu miał niemałe obowiązki wdzięczności dla Rościszewskiego, otrzymał bowiem od niego do r. 1833 już 567 tomów, a spodziewać się należało, że po wyjściu z druku pochwalnego wspomnienia, podwoi się hojność mecenasa. Mimo to czuli redaktorowie czasopisma, że taki objaw wdzięczności wielu ludziom nie przypadnie do smaku i na ostre zasłuży cenzury. Dlatego też, uprzedzając niejako zarzuty i nagany, umieszczają na wstępie żółciową apostrofę: „Niechaj się krzywią brudne dowcipki, niech przedrwiwają obrażone samoluby; plonne gadania z wiatrem ulecą, a zasługa, choć w późnéj potomności, za zasługę uznaną zostanie.“

Treść czterostronnego artykułu wykazuje dobitnie, że zasługa Rościszewskiego polegała na ofiarności dla Zakładu i bezinteresownéj, poświęcenia pełnéj gorliwości o naukę i literaturę ojczystą. To też p. K. S., kończąc swą pochwałę, kładzie przycisk na tę stronę obywatelskiéj działalności pana na Żórawiczkach długich, przeciwstawiając ją złośliwie lekkomyślności i chciwości innych, a mianowicie literatów: „W tym to czasie, kiedy niejeden zbiór literacki w obce ręce, a co gorsza, w ręce starozakonnych na Zarwanicę przechodzi, kiedy nawet wielu pisarków krajowych dziełek swoich tu (tj. do biblioteki) nie oddają, ale je przepłacać każą, musimy z żalem wyznać: *Nie ma jak Rościszewski.*“

Charakterystycznym jest ustęp w liście pana Adama do Fr. Siarczyńskiego z dnia 19 marca 1728 r. Podzielając powszechne wówczas uwielbienie dla erudycyi słynnego adwokata, Józefa Dzierzkowskiego, pisze do uczonego księdza, a wówczas już dyrektora Zakładu Ossolińskich, co następuje: „Racz wm. pan dobr. sprawić pompę (!) do wyczerpania tak obfitego źródła wiadomości W-go Dzierzkowskiego; szkodaby było, aby dla publiczności przepadły, a wątpię nawet, aby miał jakie notaty.“

Przesadne wyobrażenie o niezgruntowanéj uczoności Dzierzkowskiego, zamieniło się znowu na przesadne lekceważenie, gdy się okazało po jego śmierci, że ów stos papierów, na który z dumą nieraz spoglądał, utrzymując swych wielbicieli w błogiém przekonaniu, że to owoc długoletnich trudów, pomnikowe dzieło o prawodawczych zasługach Kaźmirza W. — że ów stos, mówię, ani samego dzieła, ani nawet materyałów do niego nie mieścił. Wówczas zawiedzeni adoratorowie podnieśli krzyk oburzenia, głosząc szyderczo, że ś. p. Józef był po prostu mistyfikatorem i kłamcą, że spodziewając się odwiedzin jakiego naukowego człowieka, zaglądał zwykle do encyklopedyi pod odpowiednią specyalności gościa rubryką i zaczerpnąwszy w tak tani sposób pewnych wiadomości, dzięki wybornéj pamięci zadziwiał go następnie wszechstronném wykształceniem.

„Czego ten człowiek nie umie?“ zapytywali zdumieni satelici, krążący około tego zaściankowego słońca, gdy pan mecenas, rozsiadłszy się w historyczném, dziś w Wydziale krajowym lwowskim stojącém krześle, zaczął na nich rzucać promienie swéj wiedzy, olśniewać rymowanemi i prozaicznemi cytatami z najrozmaitszych starożytnych i nowszych autorów — jak gdyby był panem całego ogromu ludzkiéj wiedzy.

Za zbyt daleko posunięte uwielbienie, zemścili się na nim później zbyt srogo. Przy świetnéj pamięci, pracowitości i talencie, a nizkiém ukształceniu współczesnych Lwowian, mógł w ich mniemaniu uchodzić za studnią erudycyi, nie uciekając się do tak nędznych sposobików, jak ciągłe pomaganie sobie *Conversations-lexiconami*, a co się tyczy studyów nad prawodawstwem polskiém, posiadamy wymowny dowód, że im się istotnie oddawał. Zakład, w darze od spadkobierców Józefa

otrzymał wiele cennych rękopisów z wieków dawniejszych, odnoszących się przeważnie do tego przedmiotu, nadto zaś od Aleksandra hr. Stadnickiego listy Dzierzkowskiego od r. 1815—1823, złożone w pudle między manuskryptami (l. 1660), a zasługujące z wielu względów na zużytkowanie. Znajdujemy wśród nich arkusz listowego papieru, zapisany ścisłym charakterem, a traktujący, jak na owe czasy, gdy krytyka historyczna zaledwie się u nas wykluwać poczynała, w bardzo krytyczny sposób kwestyą kompozycyi o dziesięciny między Bodzantą a Kaźmirzem Wielkim. Choć to nie rozprawa, ale tylko notatka, wskazuje już przecież dostatecznie na umysł badawczy i rzetelnym studyom oddany. Można ubolewać, że po tych poszukiwaniach nie zostało śladu, lecz godziłoby się wstrzymywać od doraźnych sądów o człowieku, jakich mieliśmy sposobność nasłuchać się.

Jako przejście z niedawno ubiegłéj przeszłości do epoki Stanisława Augusta, posłużyć nam może wzmianka o związanych poniekąd z tąż epoką i z Polską osobach, o biskupie Piatolim i o głośnéj w literaturze niemieckiéj przyjaciółce utalentowanego poety, Krzysztofa Tiedgego, Elizie von der Recke. Druga była wprawdzie Niemko-Kurlandką, a pierwszy Włochem; ale pani Eliza bawiła w Warszawie wraz z siostrą, Anną Karoliną Dorotą, ostatnią księżną kurlandzką, w gorączkowéj porze czteroletniego sejmu, zajmowała się Polską, pisała o niéj i zostawała w stosunkach z królem — pierwszy należał do najzaufańszych powierników Stanisława Augusta i do najgorliwszych współpracowników w wielkiém dziele konstytucyjnéj ustawy.

I biskupa z literatką łączyła jak widać serdeczna zażyłość, skoro pisze do niéj 24 kwietnia 1808 r. w Berlinie: „*bonne excellente Elisa*“ i dodaje w końcu: „*Julie* (?) *vous embrasse avec moi*“; po drugiéj stronie znajdujemy następne słowa, wypisane dobrze nam znanym charakterem Elizy: „*Der Brief ist an mich gerichtet — Elisa von d. Recke.*“

Z własnoręcznych listów Stanisława Augusta wymieńmy pismo króla, wystosowane w dniu 22 lipca r. 1794 do Zakrzewskiego, prezydenta Warszawy. Wiedząc o jego szlachetnych, pojednawczych dążnościach, o staraniach, jakie łożył dla stawienia tamy samowoli rozgrzanego motłochu, a nie czując się sam dość bezpie-

cznym wskutek rozpuszczonych pogłosek, jakoby chciał uchodzić, pisze w te słowa: „Gdy już dwakroć, to jest w dniach 9 maja i 28 czerwca, dały się widzieć okropne skutki fałszywych wieści, złośliwie o mnie rozsiewanych, a dochodzi mnie, że w podobnym gatunku znowu w tych dniach rozchodzą się kłamstwa, ferment między ludem sprawujące — jakom to WPanu wyłuszczył na dniu wczorajszym ustnie, tak i dziś przypominam żądanie, ażeby Rada narodowa odnawianiu takowéj nieprzyzwoitości wcześnie zapobiegła sposobami najskuteczniejszemi i najlepiéj publiczność przeświadczyć mającemi o poufałéj ze mną jednomyślności, ku ratunkowi, ubezpieczeniu i uszczęśliwieniu stolicy i całéj powszechności Ojczyzny naszéj.

Stanisław August król.“

Najciekawsze może są obszerne listy ex-króla z Petersburga do rodziny, tłómaczące nam poniekąd tę smutną rolę, jaką odgrywał u schyłku dni swoich nad Newą.

Ze środka panowania Poniatowskiego, bo z wiosny r. 1778, datują się niewiadomo do kogo pisane listy niejakiego J. B. Wiciechowskiego. Z jednego z nich podajemy dość obszerny wyjątek, jako mieszczący w sobie nader ciekawe szczegóły o jakimś baszy naddniestrzańskich Mohyłł, gdzie właśnie bawi pan W., — widocznie Polak i ex-konfederat barski.

„Po zakończonych szczęśliwie świętach — pisze Wiciechowski 22 kwietnia 1778 r. — nowiny, które mam, donoszę Wmu WMPanu Dobr., iż pasza na otokach Mohyłł z wojskiem stojący, jeszcze do dnia 20 maja ma się tu zabawić. Byłem tam i tu u nas był na dniu wczorajszym sekretarz i podskarbi paszyński. Jest-to człowiek z nacyi Ormianin; ten paszą, ale nie nim pasza rządzi. Widziałem oczyma swemi, kiedy pasza do niego przysyłał po ryż, to nie chciał dać, dopóki mu kwitu nie przysłał. Ten sekretarz i podskarbi ma prawo miecza (rzecz niewyrozumiana), że się więcéj rządzi, niż pasza. Nawet przystał jeden Żyd za faktora do paszy; to zazwyczaj u Żydów, gdy go znaczny kto do siebie przyjmie, w wielkie chce się wdawać rządy, tak téż i ten chciał to czynić po mieście, ale ten pan Bartłomiéj, sekretarz paszyński, przy mnie surowo mu zagroził, mówiąc: „Żydzie, jak mi się będziesz wdawał

w jakie interesa miasta, każę ci łeb uciąć i w Dniestr wrzucić", i z tą samą powieścią posłał do paszy, którego pasza zaraz od siebie oddalił. *Niedocieczona rzecz, bo ten pasza dobrze po polsku umie, a niedoskonale po turecku. Znam dobrze człowieka i zdaje mi się, że wiem jak się zowie*, lecz on sam poznawać się nie daje. Gdybyś go i sam Wny Pan Dobr. zobaczył, poznałbyś go, *bowiem dobrze był wiadomy każdemu obywatelowi tutejszemu podczas konfederacyi.* Takowych paszów jest dziesięć, po Wałachii i Mołdawii rozciągnęli się, a jedenasty stoi w Dubasarach, który ma komendę nad tymi wszystkimi i jego słuchają ordynansów, a zaś ten w Dubasarach stojący referuje się do hospodara jaskiego. Raczże teraz Wny WMPan Dobr. wyrozumieć, co się to znaczy. Ten sekretarz wiele mówił pod sekretem z księdzem proboszczem tutejszym po ormiańsku. Znać że dobrze, bo ksiądz (chociaż dużo bojaźliwy), wesoły i nas wielce cieszy. Co dnia spodziewamy się wiadomości z Żwańca od tutejszego komendanta, pana Dzierka chorążego, który tam jest wraz z panem kasztelanem Stępkowskim dla oddania posła za granicę."

Trzeciego maja tegoż roku pisze Wiciechowski: „Zapomniałem dnia wczorajszego wyrazić (brak wspomnianego listu) i to Panu, że to pasza na otokach będący, tajnie pewnéj kupczyny dał kilkanaście lewów, żeby mu podług obrządku chrześciańskiego święcone na wielkanoc przyrządziła, i to rzecz pewna, że mięso to zażywa, czém się Turcy brzydzą. Nazywają go Arnaut-pasza."

Na tém się kończą uwagi o zbisurmanionym Barszczaninie. Czyż ów tajemniczy basza nie jest gotowym bohaterem do powieści lub dramatu?

V.

Przechodzimy do epoki Sasów, aby z niéj obfitszy nieco plon podać. Przedewszystkiém wspomnieć nam tu wypada o szeregu listów Jana Woronicza do Radziwiłła, kanclerza w. litewskiego, jako dosadnie charakteryzujących czas i samę osobistość Fryderyka Augusta Mocnego. Pisał je na samym schyłku XVII wieku, w progu nowéj, wcale nie chlubnéj ery, gdy Rzeczpo-

spolita, idąc za przykładem rozwiązłego króla, zaczynała szaleć i bankietować do upadłego, za co wkrótce po rozpasanych orgiach karnawału, miały nastąpić post i pokuta — miał na kraj nieszczęśliwy paść grom z północy w postaci bohaterskiego awanturnika Szwecyi, młodego Karola XII. „Nie usłyszy tam w Warszawie nic więcéj teraz — pisze Woronicz 5 lutego r. 1699 — tylko gdzie król z maszkarami będzie, które się już naprzykrzyły niektórym damom. Trzebaby siła wypisać o obyczajach i wadach naszego pana, że siła przeciw przystojności majestatu swego robi. Ale nie jest to rzecz bezpieczna, gdyż słyszę, poczty przetrząsają, a to tylko nadmieniam, opuściwszy insze ekscesa, że w ten przeszły wtorek (3 b. m) był z maszkarami u księcia Janusza Wiśniowieckiego. Tam, upiwszy się, szalał. Ztamtąd powrócił do miasta, nie do zamku, do Witofa (sic) Michała. Już spali wszędzie; do kamienicy drzwi wybijał, potém go puszczono. Tam zastał samę w łóżku, wyciągnął w koszuli z łóżka i tańcował; potém ztamtąd piechotą chodził po mieście od kamienicy do kamienicy, kazał drzwi wystawować w kilku, a naostatek do Czarnowy przed nowomiejską bramą. Tam kołatał, a gdy nie chciano otworzyć, kamieniami w okna rzucał i powybijał okna, co na swoje oczy widziałem, i inne podobne rzeczy. Upiwszy się kiedykolwiek, to robi, coby nie należało hultajowi jakiemu. Więcéj o tém nie piszę, luboby i było co.“

W liście z dnia 7 sierpnia tegoż roku (z Warszawy) opowiada Woronicz awanturę, wyprawioną przez Lubomirskich, a przypominającą burdy księcia Teodora, wówczas już starosty spiskiego. Dopuszczono się tutaj zamachu na osobie damy, czyli jak widać, kochanicy Józefa Lubomirskiego, marszałka nadwornego; załatwiono w ten gwałtowny sposób komeraż familijny, oddalono od krewniaka kobietę, do któréj był przywiązanym. „Stała się téż sam — czytamy — akcya niebardzo chwalebna. Imć Panowie Lubomirscy, dowiedziawszy się, że dama p. Korzeniowska, Jmści pana marszałka nadwornego, jechała sama do Warszawy, uprosiwszy u króla, wyprawili Jmć pana starostę sądeckiego; w drodze ją o mil kilkanaście zaskoczywszy, wziął i przywiózł do Warszawy. Lokowana wprzód u Jmci Pana Podskarbiego (Lubomirskiego Hier.), a te-

raz nie wiemy gdzie odesłana. Rotmistrza rajtarskiego, który był z ludźmi, kazano bić kijami.“

Szczególném było położenie marszałka, bo doznawszy srogiego afrontu od krewnych, nie wypadało głosić go przed światem, ani domagać się sprawiedliwości: „Jmć Pan Marszałek z téj swojéj konfuzyi bardzo żałosny i pewnie przyszedłby był do desperacyi, gdyby go nie animowano i nie pilnowano, o którym powiadają, że zachorował. Stoi we dworze Belotego. Jmć Pan Marszałek, nasz dobrodziéj (niewątpliwie książę Stanisław Lubomirski, marszałek w. koronny) nie wchodził w tę sprawę i owszém mam relacyą, że nie chwali téj akcyi.“

List pisany w tydzień późniéj, zdradza dość ogólną w ówczesném społeczeństwie wadę, przesadną zabobonność. O spółkę z siłami piekielnemi posądzony tu Bechling, zaufany urzędnik Augusta II, i jego matka. „Pana Bechlinga inkluza czyli *ars magica* (kunszt magiczny) sprawił to wszystko — zapewnia na seryo korespondent — o którym powiadają, że mu czasu jednego jaszczurki z peruki przed królem wypadały!... Matka żony jego wielka czarownica, na wieczne skazana więzienie w Saksonii już dawno, za otrucie nieboszczyka brata króla teraźniejszego.“

Jakie wrażenie sprawiały na niezawisłych od dworu Polakach początki rządów saskich, ile po za szaleństwami Augusta było powodów do głębokiego niezadowolenia, nietajonego téż wcale przez znaczną część narodu, widać ze słów następnych: „Odjazd królewski jest pewny — już nie mało aparencyi wywieziono, mułów kilkadziesiąt z rzeczami poszło. Karety, rumaki, cugi i Niemczyska także codziennie wyjeżdżają, bodajby bez powrotu! Odradzali Jmć Panowie senatorowie, aby nie odjeżdżał (król), osobliwie Książę Jmć Prymas, dając racye, żeśmy jeszcze tak na zewnątrz, jak wewnątrz nieuspokojeni, Kamieniec nieoddany [1]) i Elbląg niewrócony, ratyfikacya paktów jeszcze nie stanęła. Nie słucha jednak tego, jako głucha wieść niesie, i pewnie dnia 18 albo 20 b. m. wyjedzie. Z Litwy donoszą, że Niemcy wychodzić nie chcą, pretendując zasług swoich satysfakcyą; jedni w polu, a drudzy włóczą się po

[1]) Kamieniec Podolski zwrócili Turcy w tydzień późniéj.

wsiach i miasteczkach, z najwyższą opresyą szlachty i ludzi ubogich.“

W trzynaście dni później (27 sierpnia) przesyła Woronicz księciu nowiny, które go z pewnością bardzo żywo obeszły, a i dla nas będą nader zajmujące — donosi bowiem o staraniach króla w celu złamania potęgi i wpływu możnowładzców, a utwierdzenia tém samém powagi tronu. Mówi tu nasz korespondent szczególowo o rzeczy, o któréj Otwinowski (u Raczyńskiego, str. 17) i Zawisza (str. 204) zaledwie natrącają, o któréj nie mówi Jarochowski, jakkolwiek wspomina, że sejm pozostawił woli królewskiéj wszelkie zmiany, jakie w organizacyi wojska za korzystne uzna (str. 255), to jest o zwijaniu pułków krajowych, idącém w parze ze sprowadzaniem Sasów, wbrew przyrzeczeniu króla, że ich wycofa z granic Rzeczypospolitéj.

Fryderyk August po burzliwym sejmie opuścił Warszawę dnia 25 sierpnia o saméj północy. Z zamku wyruszył już wprawdzie o godzinie piątéj z wieczora, ale zajeżdżał do różnych panów, a najdłużéj bawił u królewiczów; po drodze miał wstąpić do rezydencyi prymasowskiéj do Łowicza, gdzie wistocie dzień cały zabawił. Bezpośrednio przed samym wyjazdem, z gorączkowym pospiechem zabrał się do dzieła, które tak mu bardzo na sercu leżało. „Kazał sobie przynieść komput wojska naszego po naradzie wojennéj i zamknąwszy się w swoim pokoju, gdzie sypia, tylko z sobą Jmć Pana Krakowskiego (Stanisława Jabłonowskiego), wojewodę krakowskiego (Potockiego Feliksa), kasztelana kamienieckiego (Żaboklickiego Nikodema?), kasztelana chełmskiego, pana Czackiego, p. Grebena wziąwszy, tam likwidował wojsko i mazał. Nasamprzód zmazano cztery husarskie chorągwie królewicza Jakuba, nieboszczyka biskupa krakowskiego (Małachowskiego Jana), starosty Szczurowieckiego i pana Radeckiego. Pancernych z wołoskiemi zwinięto trzydzieści i kilka, tych zaś, które konserwowano, wszystkich po czterdzieści koni zwiniono, oprócz królewskich i hetmańskich. Regimentów także zwiniono niemało, między innemi i samego JW. Pana Dobr. (Radziwiłła), także Jmć Pana Starosty halickiego.“

Tak wielkie i tak nagle przeprowadzone zmiany, nie obyły się oczywiście bez opozycyi, ale zuchwały Sas nie wiele na nią baczył. „Sam król mazał, nie

zdając się na decyzyą panów hetmanów, i kiedy Jmć Pan Krakowski umawiał się, że to na mnie padnie ta nienawiść, bo to są zasłużene regimenta na pograniczu, trzeba je konserwować, na to po francuzku odpowiedział, powtarzając często:

— *Laissez parler et moi je me... de tout.*

„Dostało się i panu Generałowi wielkopolskiemu (Leszczyńskiemu Raf.), wojewodzie płockiemu (Krasińskiemu J. B.) i Jmć Panu Podskarbiemu kor. (Lubomirskiemu Hieronimowi), którym także pomazał regimenta, *tandem* aż za nim jeździł na nocleg. Ledwie po półtora sta porcyj naznaczył, a resztę pozwijano. W jego regimencie 1200 ludzi, u królowéj tyleż i w Flemingowym także 1200.“

Wbrew oporowi magnatów, ograniczył król liczbę wojska do osiemnastu tysięcy, aby niedługo potém dziwną losu koleją domagać się naodwrót powiększenia armii, czemu znów oligarchowie sprzeciwiają się w imię téj złotéj wolności, któréj groźnego wroga upatrywali w Auguście.

Niemniéj zajmująco opowiada Woronicz o zajściach, wywołanych rękojmią, jakiéj się król domagał od rady senatu za kwotę, ofiarowaną przez siebie na wykupno Elbląga. „Sam potrzebuje, aby téż summę Rzeczpospolita przyznała jemu samemu na Malborku i na Połądzie w Litwie, nadto aby miał załogę swoję własną w tych fortecach, cztery tysiące ludzi. Podpisał tę uchwałę książę prymas (Radziejowski), własną swoją ręką podpisawszy ją — Pan Wojewoda krakowski (F. Potocki) prawie zmuszony, bo nie chciał, tylko że mu obiecano konsensa do ustąpienia belzkiego i hrubieszowskiego starostw.“

„Potém zyskany został biskup warmiński (Zaluski Jęd.), wojew. mazowiecki (Morsztyn Stan.), wojew. czerniechowski (Zaluski Franc.), podkanclerzy litewski (Szczuka) i wojewoda malborski (Przebendowski Jan) — zaś Jmć Pan Krakowski (Jabłonowski) stanął wpoprzek, kontradykował temu i podpisać nie chciał, mimo wielokrotnych nalegań ze strony króla. Posyłał po niego, nawet już i z drogi przysyłał panów podskarbich, koronnego i litewskiego (Lubomirskiego Hieronima i Benedykta Sapiehę) z perswazyą, aby to uczynił; jednak żadną miarą nie chce. Jmć pan wojewoda wileński (Kaźmirz Sa-

pieha), kasztelan wileński (Bogusław Słuszka), wojewoda połocki (Słuszka Dominik) także podpisać nie chcą téj rady senatu. To zaś podpisano już na przedmieściu w Pana Stradomskiego dworze, gdzie stał Lewenhaupt, generał jego."

Łatwo pojąć, jakie wzburzenie wywołała w stolicy i w kraju tak niepraktykowana samowolność monarchy. „Bardzo są Jchmość wszyscy skonsternowani z takowych akcyj królewskich i grożą nieszczęściem ojczyźnie naszéj. Wojsko jego jako żywo nie wychodzi, to jest w Litwie i w Prusiech. Około téż Warszawy i w saméj Warszawie jest niemało Niemców."

Nie przywykli do podobnego postępowania elekcyjnego króla, postanowili panowie dać mu uczuć swe niezadowolenie i sami o sobie radzić. „Król teraz jedzie do Cieplic do wód, z małą bardzo asystencyą; nikt z naszych polskich nie asystuje mu. Książę prymas ma sam powrócić do Warszawy, na którego przyjazd mają Jchmć czekać i mieć naradę prywatną. Jmć Pan Krakowski nie odjedzie, chyba po téj konferencyi."

Kończy się to, w polityczne nowiny obfite pismo wiadomością, że feldmarszałek Fleming oświadczył się o pannę koniuszankę litewską, Sapieżankę, „deklarując się przed ślubem dać gotówką milion..."

Dzieje stosunków Rzeczypospolitéj i magnatów polskich z Rosyą w pierwszéj połowie, a zwłaszcza w pierwszych latach XVIII stulecia, odsłonią kiedyś nowe widoki historyografii naszéj, rozjaśnią wiele ciemnych dotąd stron i rozwiążą niejednę zagadkę. Jak dalece zaś stosunki te były blizkie i ścisłe, jak nie ograniczając się do wielkich spraw i wielkich figur, wciągały w swe koło najdrobniejsze nieraz interesa i najmniéj znaczące osobistości, jak dalece powaga północnego alianta, zwycięzcy z pod Połtawy, ciężyła na rządach Fryderyka Augusta, wkraczając we wszystkie niemal władzy jego atrybucye, widać z niezmiernie charakterystycznego memoryału Jmć Pana Józefa Gruszewskiego z r. 1711, wręczonego rosyjskiemu generałowi Geschonowi, „osobliwemu dobrodziejowi." Pismo to nader ciekawe nadto ze względu na szczególny stosunek prostego szlachcica do Piotra W. i Katarzyny. Instrukcya dla pana generała brzmi, jak następuje:

„Stanąwszy tak szczęśliwie u dworu J. C. Mości,

przypomnieć tak Carowi Jegomości samemu, jako i Carowéj Jéjmości, upatrzywszy czas, że za instancyą i interpozycyą Carską w Jarosławiu będąc, na radzie przyobiecał Najjaśniejszy Król Jmć powrócić i dać przywiléj na wioskę Demianice w starostwie niepołomskiém, w województwie krakowskiém, które przez lat dwadzieścia ojciec i matka żony mojéj trzymali od ś. p. nieboszczyka Pana Józefa Lubomirskiego, marszałka w. kor., starosty niepołomskiego, dożywotnio, i pustki objąwszy, tak dwór, stodołę, karczmę i inne potrzebne budynki pobudowali, a teraz jak odebrano na stół Jchmci to starostwo, matkę żony mojéj z tego partykularza rugowano...“

Wystawia daléj p. Gruszewski, że „ów partykularz“ bardzo nieznaczny, że liczy tylko trzech kmieciów i kilku zagrodników, że nie ma w nim ani lasów, ani stawów, ani młynów, a cały dochód z niego wynosi 500 złotych rocznie. Zauważywszy więc, że „nietrzebaby tak wielkiéj dysputy i tak wielkiéj instancyi o tak mały partykularz“, prosi raz jeszcze, aby przypomniał ten interes „Carowi Jmci i Carowéj Jéjmci, żeby przypomnieli Królowi Jmci i do podpisu przywiléj podano.“ Poczytuje zaś za „największy fundament“ list do Goltza i Kicińskiego, jako generalnych komisarzy, zaręczając, że „choć i przywiléj jest jaki od Króla Jmci, to komisarze nigdy nie oddadzą.“

Najwięcéj wszakże „przeszkadza Jmć Pan kanclerz koronny“ (Jan Szembek). „Musi mieć coś za skrupuł— dodaje nasz korespondent—ale deklarował Carowi Jmci i Carowéj Jéjmci Król Jmć, *uderzywszy się trzy razy w piersi*, że odda pomieniony partykularz nam i podpisze na to przywiléj, w czém Jmci panu Ficzsztanowi (Vitzthumowi), odjeżdżając, Car Jmć i Carowa ustnie zlecili ten interes, aby zakończył, jakoż przyobiecał.“ Generałowi „za te fatygi“, to jest za przypilnowanie interesu, przyrzeka pan Józef „beczkę wina najgłówniejszego.“

VI.

Z pierwszych lat epoki saskiéj przeskoczymy teraz do jéj schyłku, bo do ostatnich lat życia Augusta III,

aby głośną w dziejach z tragicznéj przygody postać, nieszczęśliwego biskupa krakowskiego, Kajetana Sołtyka, któregośmy przywykli widywać w ponuréj perspektywie — ukazać w zupełnie odmiennem świetle, bo w roli dowcipnego, niemal swawolnego prałata, jakich podówczas nie brakło. Nie trzeba przytém zapominać, że nie było to człowiek z jednego kruszcu ulany, że w nim, jak w tylu innych historycznych figurach, kryje się dwóch niejako ludzi: jeden, który w pewnéj chwili, pod wpływem sprzyjających warunków podniósł się do wysokości bohaterstwa i nakształt granitowego posągu lśni przed oczyma potomności — drugi, człowiek zwyczajny, niewyższy od swego otoczenia, pospolitym słabościom uległy. Od suwającego się po pańskich posadzkach dworaka, od powolnego narzędzia saskiego, do uczestnika pamiętnéj katastrofy — jakżeż daleko! List nasz może posłużyć, jako materyał do odmalowania go w pierwszéj roli, do przedstawienia w biskupie dowcipnisia i galanta. Pisany był 8 listopada 1759 r. z Warszawy do podczaszego czerwonogrodzkiego, Bronickiego. Podajemy go w całości, bo inaczéj przyszłoby nam uronić niejeden z charakterystycznych rysów pisma, nacechowanego subtelnym, trochę za wolnym dowcipem, nie mającym jednak na celu dotknięcia pana podczaszego, lubo ma wszelkie pozory zjadliwego szyderstwa. Widocznie poufały stosunek pomiędzy dobrymi znajomymi i zobopólny nastrój usposobień usprawiedliwiał ton podobny, bo zkądinąd wiemy, że ich łączyła szczera życzliwość.

„Wielmożny mci panie podczaszy czerwonogrodzki,
a mnie wielce mciwy panie i kochany bracie.

„Długo bardzo tęskniłem i nie poznawałem niespokojności méj przyczyny, aż dopiero po odebranéj Wmć Pana odezwie uczuwszy w sobie wielkie z pamięci jego na mnie ukontentowanie, poznałem, że skrytą, o któréj sam nie wiedziałem, przyczyną mego nieukontentowania, było przedłużone jego milczenie, z którego wnoszę wielkość zatrudnienia WMPana, które mu i momentu nie pozwalają wolnego. Gdybym nie wiedział, że wielką do małych rzeczy nosisz głowę, ledwiebym mógł pojąć, jak możesz wystarczyć takim ustawicznym obrotom.

„Widząc zaś doskonałość jego i wspaniałe myśli, że się równie do rzeczy wojskowych, jak statystycznych aplikujesz, dziwuję się bardzo i gorszę się z téj jego

podłości, że sobie nie życzysz przybycia Austryaków w Krakowskie. I owszem, gdybyś WMPan poznawał dobro swoje, które ztąd możesz odnosić, powinienbyś jechać im na spotkanie i zapraszać do domu swego jak najwięcéj, WMPan albowiem będąc jeszcze kawaler młody, żołnierz niedotarty, ani ostrzelany, statysta niedouczony, z ustawicznéj z tymi gośćmi kompanii nauczyłbyś się, jakim być żołnierzem, wyćwiczyłbyś się w sentymentach, tyczących się stanu Europy, i co insi kawalerowie z kosztem i azardem zdrowia jeżdżą do wojsk za wolontaryuszów, WMPanbyś tego dostał w swym domu. A do tego wielu jeździ dla nabycia doskonałości i experiencyi do cudzych krajów, WMPan we własnéj wiosce byłbyś jak w cudzych krajach i napatrzyłbyś się obcych narodów i obyczajów ich. Właśnie tedy nie poznajesz szczęścia swego, które mu się do domu jego ciśnie, a WMPan tego nie widzisz. Zostawam, jak zawsze, z dobrém życzeniem

WMPana uprzejmie życzliwym bratem
i uniżonym sługą
Kajetan, książę biskup krakowski.“

Po liście tym, w którym tylko podpis jest autografem biskupa, następuje własnoręczny jego dopisek: „Jako miarkuję, iż do listów WMPana księżna Jéjmość Wojewodzina cokolwiek dmuchnęła, tak wzajemnie proszę jéj tego responsu komunikować, przy wyrażeniu odemnie należycie pięknego ukłonu.“

Po pierwszym, następuje drugi jeszcze przypisek, niepodany wprawdzie wprost od Sołtyka, lecz ani wątpić, że pochodzi z jego natchnienia, bo uzupełnia tylko w jaskrawszy nieco sposób list biskupa, a trudno téż przypuścić, aby ktoś bez woli piszącego mógł się w liście przypisywać. Dodatek ten brzmi tak: „Refleksye JOKs. Jmci Dobrodzieja prawdziwie są pasterskie; w spodziewaniu się drugiéj owieczki, dotąd zwanéj Dulskiéj, a przyszłéj pani Bronickiéj, która bez kosztu profitowałaby, zamieniwszy taniec kapucyński na menuet, od doskonałych w tém rzemiośle cudzoziemców.“

Że Sołtyk pamięta o panu podczaszym i że mu szczerze sprzyja, widać z listu jego do pani Gumowskiéj, łowczyny nurskiéj, pisanego pod dniem 18 maja 1760 roku z Borzęcina. Wypowiada on radość swą z powodu, że pani Gumowska „przez wzgląd intereso-

wania się mego za Jmć Panem Podczaszym czerwonogrodzkim, skłoniła łaskę swą dla niego, a Jéjmci Panny, córki swojéj, serce *). Winszuję zatém tego nowego związku młodéj parze, niemniéj zacnością urodzenia, jako i pięknemi ze wszechmiar przymiotami wzajemnie sobie korespondującéj.“

Wypływa więc ztąd, sądzę, niezaprzeczony wniosek, że list poprzedni do pana Bronickiego był żartem, choć jak na biskupa, dość grubym. Co się tyczy charakteru i stanowiska Sołtyka, mniemam, że najwłaściwiéj, najbezstronniéj ocenił go dotąd Kalinka, a żałować przychodzi, że niektórzy pisarze z nienawiści do pana stolnika, jak z przekąsem lubią nazywać nieszczęśliwego króla, a z podeptaniem wszelkich względów logiki poszli tak daleko, jak Wojcicki, wedle którego biskup „*za głównie* (sic) sprawą Stanisława Augusta (!) porwany wśród Warszawy“ itd.

Niewiadomo nam, czy się życzenia księcia biskupa spełniły, czy państwo Broniccy byli szczęśliwi w małżeńskiém pożyciu, ale wiemy, że książę Janusz Sanguszko, marszałek nadworny lit. i jego małżonka nie należeli do szczęśliwych stadeł. Kto tu więcéj zawinił, nie nam sądzić, jakkolwiek bowiem nasze źródło składa całą winę na księżnę, niewolno jednak polegać bezwzględnie na świadectwie jednéj i to interesowanéj strony, zwłaszcza że i książę wcale nie szczególną cieszył się reputacyą. Sądzę jednak, że nie godzi się pomijać téj sprawy, bo nieuwzględniając jéj, pominęlibyśmy tém samém jeden z najbardziéj charakterystycznych rysów epoki.

Książę w liście z Dubna 10 grudnia 1750 r. do do niejakiego p. Wiesiołowskiego, jak się zdaje plenipotenta swego, przypomina, jak wielkim występkiem *(quanto facinore)* księżna pani go znieważyła; ztąd ufny w życzliwość i zacność Wiesiołowskiego, postanowił się doń zgłosić z żądaniem usług. Oświadcza tedy, że taki wybryk (excess) pociągnie za sobą złe następstwa, nie waha się nawet twierdzić, że mu grozi niebezpieczeństwem życia (*vitae periculum*), czego pragnąc uniknąć, „inaczéj nie chce, tylko się rozwieść“, życzy sobie

*) Widocznie pani Gumowska była *primo voto* Dulska, albo też jéj córka jako wdowa nosiła imię Dulskiéj.

jednak, „żeby to bez osławienia występku nastąpić mogło“, a to z dwóch względów, z miłości chrześciańskiéj, oraz „z respektu na jéj wielkie urodzenie.“ Zaklina przeto Wiesiołowskiego, aby „jechał do księżnéj i doniósł jéj kategorycznie po szczeremu, że z nią mieszkać nie chcę i nie mogę; jeżeli tedy nie chce dla siebie osławienia i z krzywdą honoru jéj przez inkwizycyą dowodzenia, niechże pozwoli na rozwód.“ Powinien zaś stanąć za obustronną ugodą z przyczyn kanonicznych, przymusu lub nieobecności własnego proboszcza. Żąda więc książę oznajmienia, na mocy którego z tych punktów chce się księżna rozwieść.

Poleca daléj odebrać na skarb swój trzymane dotąd przez żonę dobra Klimontów, Baranów, Sulejów i Wałowice. O kontraktach mówi, że zawarte „niepraktykowanym przykładem, i nie ma na to prawa, aby żona mogła od męża arendować dobra; jest przeciwne z reguły prawo: cokolwiek żona zyskuje za życia męża, nie dla siebie zyskuje, lecz dla męża“ (*mulier quidquid acquirit stante vita mariti, non sibi acquirit, sed marito*), „a Księżna Jéjmość z mojéj substancyi na kilka milionów zyskała dla siebie, trzymając dobra moje, a z nich i prowizyi od dochodów do skarbu mego nie wnosząc — swoje zaś dobra, które ja trzymać byłem powinien, opatrując dla Księżnéj Jéjmości przyzwoite utrzymanie, według prawa trzymała i dysponowała bez żadnego dla mnie udziału. Co ja wszystko cierpiałem, spodziewając się innéj po Księżnéj Jéjmości nagrody i wdzięczności.“

List powyższy uważać należy za publiczną instrukcyą, którą się p. Wiesiołowski może zastawić wobec księżny; wprost odmienny charakter natomiast nosi osobne, poufne zlecenie, zapieczętowane wyrazem: soli. Każe w niém podejrzliwy Książę Janusz zważać bacznie, „jeżeli szkatuła z klejnotami, która stawała przy łóżku Księżny, jest i teraz w całości.“

Tu wydaje nam się właściwém zakończyć artykuł o autografach nie dlatego, jakobyśmy uważali przedmiot za wyczerpany, bo przeciwnie, zaledwieśmy go dotknęli— lecz tylko z powodu, że pozostałe korespondencye, z wyjątkiem nielicznego szeregu pism bez znaczenia, wymagają odrębnego opracowania i z samego już względu na swe rozmiary, nie mogłyby wejść w ramy krótkiego szkicu. Zauważyć też nadto wypada, żeśmy uwzględnili

te listy tylko, które złożone w osobnych pudłach, tworzą oddzielny dział autografów, nie wciągając rozproszonych między manuskryptami; żeśmy daléj objęli tylko wiek XVIII i XIX, jakkolwiek nie brak pism i z poprzednich stuleci, zwłaszcza z XVII.

Korespondencye pozbawione donioślejszéj treści, pomijamy stanowczo — bez względu na to, z pod czyjego wychodzą pióra, nie zważaliśmy bowiem *kto*, lecz raczéj *co* pisał, notowaliśmy więc skrzętnie tylko ważne lub ciekawe i charakterystyczne ustępy. W końcu jednak nie możemy odmówić przyjemności sobie i zapewne czytelnikom ozdobienia niniejszego artykułu głośném po wszystkie czasy imieniem — mówimy bowiem o tym, przed którym, mimo wszystkie potępienia niektórych historyków, wedle pięknych słów Krasińskiego (w liście do Ferd. Trentowskiego) „wieki klęczą“, o Napoleonie I.

List ten, datowany z Bautzen 16 sierpnia 1813 r., pisany jest do bardzo żywo obchodzącéj nas osoby, bo do księcia Józefa Poniatowskiego. Wielki wojownik, po małéj wagi zleceniach, stosuje do marszałka zapytanie, dowodzące, jak wysoko cenił jego wojskowe wiadomości i jak na jego zdaniu polegał. „*Faites moi connoitre* — pisze — *la nature du pays entre Ziller et Gabel. Je pense, qu'il y a un défilé. Y-a-t-il aux environs de Gabel une position meilleure, que celle du Ekarttberg?*“

Tém zapytaniem bohatera wieku zamykamy ogólną rzecz o autografach, a jeśliśmy nią niebardzo znudzili łaskawe czytelniczki i szanownych czytelników, to może jeszcze powrócimy do tegoż samego zbioru, aby z pojedyńczych korespondencyj zaczerpnąć materyału do krótkiego wspomnienia.

Pieśni i ballady Goethego.[1]

I.

Goethe nie należał nigdy do poetów, popularnych w Polsce. Więcéj podziwiany i wielbiony na słowo estetyków, aniżeli czytany, nie doczekał się ani jednego oryginalnego studyum, a dość liczne tłómaczenia nie dają pojęcia o świetności i sile utworów tego duchowego mocarza.

Księże, czy ty Goethego znasz w oryginale? zapytuje Gustaw w Dziadach, a pytanie to, jakby wskazywało na przepaść, oddzielającą niemiecki tekst autora Fausta od jego przekładów.

Nie godzi się atoli jednym wyrokiem potępienia obejmować wszystkich tych pisarzy, co się starali ojczystéj literaturze przyswoić płody wielkiego niemieckiego

---

[1]) Artykułu powyższego nie umieszczałbym w książce niniejszéj, gdyby nie rozgłos, jakiego nabrał w swoim czasie, i mylne wnioski, jakie z niego wysnuwano. Pisząc zarówno to sprawozdanie, jak recenzyą Listów księcia Zbaraskiego, miałem jedynie rzecz samę na względzie, z dr. H. Zatheyem i dr. Aug. Sokołowskim nie zdarzyło mi się mieć żadnéj bezpośredniej, ani pośredniéj styczności; myśl zaś o jakichkolwiek uprzedzeniach względem Krakowa i jego mieszkańców, odpycham z pogardą, jako złośliwą i niedorzeczną. Mimo to nie brak na bruku królewskiego grodu żywiołów, przywykłych każdą objektywną nawet krytykę, wymierzoną przeciw Krakowianinowi, uważać małodusznie za objaw już to osobistéj niechęci do autora, już też jakiéjś niezrozumiałéj dla mnie antypatyi do miasta polskich pamiątek; to też obydwóch

poety. Na pochlebne między nimi wyróżnienie zasługuje literat, zajmujący dość skromne zkądinąd stanowisko w piśmiennictwie, nie dość uposażony talentem poetyckim, ażeby pod każdym względem godnie się wywiązać z trudnego zadania i zawsze utrzymać się na wysokości poety, ale posiadający obok niezaprzeczonéj inteligencyi tę godną uznania zaletę, że się do niego zbliża z uszanowaniem, że dokłada usilnych starań, ażeby być dokładnym, wiernym i jasnym. Ztąd to przekłady jego, lubo nie należą do arcydzieł, niekiedy zaś grzeszą pewną sztywnością, liczą się do prób wcale szczęśliwych, a starannością i wykończeniem przewyższają wiele okrzyczanych i przechwalanych tłomaczeń.

Ludwik Jenike, o nim tu bowiem mówimy, w ubiegłym roku obdarzył nas nowym owocem swéj pracy, ukazując Reinecke-Lisa w formie, dla przyzwoitości nieco obciętéj. W roku bieżącym dwóch pisarzy niemal równocześnie postanowiło zapoznać bliżéj polską publi-

---

tych recenzyi nie wahano się w interesowanych kołach wyzyskiwać w tym duchu. W sprawie listów Zbaraskiego okazało się wkrótce, po czyjéj stronie była słuszność, skoro Akademia uczuła się później zniewoloną niektóre arkusze zniszczyć i na nowo wydrukować, inne zaś zaopatrzyć w liczne sprostowania.

Artykuł p. t. *Ballady i pieśni Goethego*, wywołał także niemałą wrzawę, a rzecz trudna do uwierzenia, niemniéj jednak prawdziwa, że pewien dygnitarz, zajmujący jedno z pierwszych stanowisk w Galicyi, przyszedłszy do redaktora pisma, które mi udzieliło w swych szpaltach gościnności, w imieniu zgromadzonych wtedy na sejmie posłów krakowskich oświadczył, iż w inkryminowanéj recenzyi ujawniła się stara niechęć Lwowa do Krakowa. Zdziwiony redaktor odparł żartobliwie: „Gdzież Rzym, a gdzie Berdyczów: Z..... z Tarnopola, K..... z Poznańskiego, a Göthe z Weimaru“ — poczém wykazał całą bezpodstawność podobnego twierdzenia i skonstatował, że ani on, ani też recenzent nie należeli nigdy do zaciężnych pułków lwowskich, staczających walkę z podwawelskim smokiem.

Mniemam, iż żartobliwa uwaga znakomitego redaktora jest najlepszą odpowiedzią na urojone pretensyo; ja z méj strony po latach pięciu chcąc się poddać nieuprzedzonemu sądowi ogółu, ogłaszam bez zmiany artykuł, który stanowił kamień obrazy dla pewnych sfer, przywykłych patrzeć na wszystkie objawy publicznego życia przez zabarwione szkła osobistych i partyjnych niechęci.

Nie od rzeczy będzie, gdy dodam dla objaśnienia, że przekład p. Zatheya wyszedł następnie jako odbitka z *Przeglądu* w osobnéj książce i doczekał się ocenienia w różnych pismach czasowych, zwłaszcza warszawskich.

czność z „papieżem sztuki“, jak go ktoś nazwał. Obydwaj, pp. Piotr Chmielowski i Hugo Zathey, należą do młodego pokolenia piszących, lubo pierwszy, jako krytyk pełen nauki i niezawisłych poglądów, zdobył już sobie poważne miejsce w literaturze. W tym razie nie miał on sposobności rozwinąć tych szacownych przymiotów, gdyż wyjątkowo zrzekł się samodzielnego sądu, ażeby w kilkunasto-arkuszowym „biograficzno-literackim zarysie“ streścić popularne odczyty berlińskiego profesora, Hermana Grimma, uzupełniając je od czasu do czasu pracami Hermana Hettnera i kilku innych biografów.

Oryginalnych natomiast badań należy się spodziewać po studyum, zapowiedzianém przez redaktora *Przeglądu Polskiego*, p. Hugona Zatheya, który już we wrześniowym zeszycie krakowskiego pisma, jakby chcąc przygotować czytelników do przyobiecanéj rozprawy, ogłosił przekład wybranych pieśni i ballad tegoż poety.

Tłómacz poświęca swą pracę „pamięci i czci“ pisarza, niezrównanego w odtwarzaniu powabów i uroku obcych arcydzieł, Lucyana Siemieńskiego — poprzedza ją zaś kilkoma słowy objaśnienia dla czytelników, „którzy znając jego dawniejsze usiłowania na polu naukowém, z pewném niedowierzaniem wezmą te poezye do ręki i zdziwią się, zkąd go stać było na tak zbytkowne zajęcie.“

Jakkolwiek owo zdziwienie wydaje nam się nienaturalném, a wyjaśnienie, udzielone zdziwionym, nie bardzo koniecznem — zawsze jednak radzi jesteśmy téj pochopności szanownego tłómacza do wynurzeń, zawdzięczamy jéj bowiem ciekawą historyą powstania niniejszego przekładu. „W ciągu dłuższego pobytu mego za granicą przed trzema laty, spowiada się pan Zathey, w długich i samotnych przechadzkach w dolinie Adygi i na brzegach morza Śródziemnego, nawiedzać mnie zaczęły i kręcić się po głowie wiersze, goście od lat młodzieńczych nie widziani i w twardéj pracy życia zapomniani — prześladowały mnie z taką natarczywością, że opędzić im się nie mogłem...“

Kiedy pokusa nie ustawała a jamby, trochee „i inne djabliki“ przesuwały się przed rozbujałą wyobraźnią turysty, „wtedy zwrócił się myślą do poety, dla którego od najmłodszych lat osobliwszą miał cześć i mi-

łość, którego dzieła towarzyszyły mu nawet we wszystkich po świecie wędrówkach — zwrócił się do Goethego, i zawołał w duszy: „Mistrzu i Panie, Ty widzisz, jak mnie kuszą.“

Gdy dostojny mistrz nie odmówił zachęty, rzecze „z pokorą“ uczeń:

— Dobrze, spróbuję raz jeden zakląć te duchy, ale pozwól, że zaklnę je nie własną nieudolną, lecz pieśnią twoją, w moim ojczystym powtórzoną języku.

Pan Zathey nie mówi, co na tę pokorną odezwę odpowiedział wielki mistrz, ale, jeśli o tém wolno sądzić ze skutków, należałoby wnosić, iż nie odmówił prośbie, chociaż nie bardzo ufał proszącemu. „Tu wahanie jego, opowiada bowiem ostatni, było większe i namysł dłuższy, bo się obawiał, bym nie porwał strun nieśmiertelnéj lutni, bym nie sfałszował melodyi i nie pomylił nuty, a tém samém nie znieważył téj ślicznéj pieśni, która była tak prosta, tak pełna uczucia i rozumu, gdy z jego własnéj dobywała się piersi.“

Nasz tłómacz podziela zdanie o nadzwyczajnych trudnościach, jakie się nastręczają każdemu, kto przystępuje do przekładu poezyi Goethego. „Treść zawsze poetyczna, mówi, pełna uczucia, prawdy i namiętności, łączy się u niego z największą, z bezprzykładną prawie prostotą wyrazu, tak, że każde niemal zdanie tak samo musiałoby brzmieć w najzwyklejszéj prozie — i to jest zdaniem mojém, najwyższą, ale téż i najtrudniejszą do naśladowania tajemnicą prawdziwéj sztuki.“ Mimo to nie traci on wiary w swe siły, pozwala się nawet domyślać, że obawy poety były płonne; bezpośrednio bowiem po przytoczonym co dopiero ustępie dodaje z zadowoleniem: „Muszę jednak wyznać, że praca szła mi bardzo swobodnie i jakby od niechcenia.“ Daléj zaś, „choć to oczywiście nikogo obchodzić nie może“, zapewnia przecież, iż „to niepróżnujące próżnowanie było mu w ciężkich chwilach wielką pociechą i rozrywką.“

Rozstrzygnięcie kwestyi, czy z trudnéj próby „wyszedł zwycięzko“, zostawia pan Zathey naturalnie „światłemu czytelnikowi“, zapowiadając jednak znacząco, że ten uprzywilejowany sędzia „tém mniéj potrzebuje być pobłażliwym, im przedsięwzięcie trudniejsze, bo na cóż się zrywać wedle słów starego naszego poety, z motyką na słońce?“

Polegając na tém pięknem oświadczeniu, spodziewam się, że szanowny tłómacz nie poczyta mi za złe, gdy wbrew gorącemu uznaniu przyjaciół i wewnętrznemu jego głosowi, podniosę dość ciężkie zarzuty przeciw owocom miłych chwil, spędzonych przezeń samotnie w dolinie Adygi i nad brzegami Śródziemnego morza.

Przedewszystkiém więc wyznaję z méj strony, że obudził we mnie pewne obawy już sam sposób, w jaki p. Zathey odbywał tak trudną pracę, która niemniéj przeto „szła mu bardzo swobodnie i jakby od niechcenia.“ Sposób to wprawdzie arcy-wygodny, lecz także wielce niebezpieczny. Ażeby Goethego tak tłómaczyć i tłómaczyć dobrze — na to potrzebaby genialnego poety. Prawda ta wypływa z własnych słów tłómacza, przytoczonych powyżéj a nadto i z następnych: „Styl Goethego jest może najtrudniejszy do oddania ze wszystkich, jakie znam.“

Wypadało przeto nie ważyć sobie lekko pracy tak doniosłéj i przed ogłoszeniem poddać ją gruntownéj rewizyi. Trudu tego nie zadał sobie tłómacz, uważając go za zbyteczny. Nie tajno mu było, że w skutek owéj swobody w robocie „powstały pewne tu i owdzie niedokładności“, które, jak się dowiadujemy z żalem, „mógł“, których jednak nie chciał później poprawiać..“

Dla czego omieszkał udoskonalić tak ważną pracę, która wykonana wzorowo, zapewniłaby mu imię? zapytujemy zdziwieni — na co odpowiada p. Zathey, że nie uczynił tego pomny przestrogi Goethego: „Bilde, Künstler, rede nicht, nur ein Hauch sei dein Gedicht.“

Jeśli dziwnym wydał nam się sam fakt nietykalności pierwszéj, pospiesznie na papier rzuconéj redakcyi, o wiele dziwniejszém jeszcze wydać się musi uzasadnienie téj niebudującéj praktyki. „Im Auslegen seid frisch und munter, Legt ihr nichts aus, so legt was unter“ — powiedział sam Goethe, wyszydzając manią estetyków niemieckich, dopatrywania się rzeczy, o których poeta nie myślał; ale chociaż tak przygotowany na opaczne tłómaczenie swych pism, nie byłby nigdy przypuścił, że ktoś powyższym słowom podsunie podobne znaczenie, że się niemi zasłoni jak tarczą przed zarzutem o niedbałość — on, który tylokrotnie poprawiał i przerabiał własne utwory!

Pan Zathey kładzie kilkakrotnie nacisk na wielką swobodę, z jaką praca była wykonaną, zapominając o tém, że łatwość w tworzeniu wierszy niczego nie dowodzi, że najmierniejsi rymotwórcy tworzyli najswobodniéj, że nieśmiertelny Jaxa Marcinkowski w kilku dniach komponował całe poemata o kilkunastu pieśniach, ale Lafontaine sześć miesięcy siedział nad jedną bajką, że częstochowskie rymy płyną najłatwiéj, sypią się najobficiéj jakby z rękawa. Że jednak tłómacz, powołujący się ciągle na nadzwyczajną swobodę w pracy, nie bardzo był wybrednym i nie wiele wymagał od siebie, dowodzą liczne wiersze, jak n. p. w balladzie: *Joanna Scbus:*

Tak życie narażać szaleństwo i *grzech!*
Ja powinnam i muszę ocalić *ich!*

Na podobne rymy zdobywają się z wielką swobodą nawet studenci, zwłaszcza, jeśli jak tutaj, przekład jest zupełnie wolny — pierwszy wiersz bowiem brzmi w oryginale: „Verwegen in's Tiefe willst du hinein!“

Z tego jednego przykładu można już nabrać wyobrażenia o talencie poetyckim pisarza, który przy tak skromnych artystycznych środkach nie wahał się jednak zagrać na lutni największego z poetów niemieckich. Zobaczmy, czy nie pozrywał dźwięcznych strun muzycznego narzędzia, czy nie „sfałszował melodyi“ i „nie pomylił nuty“, a tém samém „nie skrzywdził wielkiego mistrza?“

Na zapytanie powyższe nie możemy, niestety, odpowiedzieć przecząco. Pan Zathey nietylko pozbawiony jest prawdziwie poetycznego nastroju i arstystycznego poczucia, niezbędnego przy odtwarzaniu utworów tak kunsztownych mimo zewnętrznéj prostoty, jak ballady i pieśni Goethego — nie tylko nie panuje o tyle nad formą i techniką rymotwórczą, ażeby bodaj zewnętrznie oddać przedziwną misterność poetyckiéj szaty mistrza i choć w przybliżeniu dać poznać głębokość myśli, ukrytéj nieraz w obrazie, pełnym dziecięcéj na pozór naiwności, w słowach nibyto najzwyczajniejszych w świecie — lecz owszém czyni na nas niekiedy wrażenie, jak gdyby umyślnie parodyował i treść i formę, dla wykazania, że cała wykształcona powszechność i krytyka wszystkich cywilizowanych narodów niesłusznie dotąd

zachwycały się „balladami i pieśniami“ jako perłami najczystszéj wody. Wprawdzie *pietas*, jaką tchnie przedmowa tłómacza, wstrzymuje nas od podobnego przypuszczenia, ale czyż go nie potwierdza każda niemal strofa samego przekładu, n. p. gdy czytamy, że król w Tule „*hulaczysko* stare“, wychylając puhar, który „dała mu kochanka c z u l e“, „krzepił się na drogę w d a l“ („trank letzte Lebensgluth“) a potém zamknąwszy oczy „nie wziął wina i n a ząb“ (!) (trank nie einen Tropfen mehr), bo już spoczął na wieki...

Dzięki tym drobnym na pozór zmianom i dodatkom, efekt z dramatycznego i uroczystego, zamienia się na komiczny, a czytelnik uśmiecha się w chwili, gdy go poeta chciał rozrzewnić i wzruszyć...

Owa uderzająca różnica wrażeń, jakie odnosimy z czytania oryginału a przekładu, pochodzi przedewszystkiém ztąd, że tłómacz mimo swobody, jaką się chełpi, widocznie często bywał w kłopocie o rym; tylko, że zamiast starać się wybrnąć z niego bez ujmy dla autora, wybierał łatwiejszą i wygodniejszą drogę, radząc sobie wedle słów profesora Tarnowskiego „przemyślnie“, bo „nadstawiając konceptem.“

Koncepta te i pseudo-poetyczne parafrazy z początku, jak widać, nie wchodziły w plan przekładu. Nie unikał ich wprawdzie, popełniał je bez skrupułu, skoro tylko nasunęła mu się jaka trudność, a stosowny rym nie znajdował się w pogotowiu, ale zawsze widać, że takiego postępowania nie uważał za dobre, bo zaraz w pierwszym ustępie p. t. *Skarga wstępna*, ażeby mieć rym do wyrazu westchnienia, dodaje ni ztąd ni zowąd: „z dni radości i cierpienia“, a gdy następne dwa wiersze oryginału zupełnie pomija, i daléj o czémś inném mówi, aniżeli poeta — to przynajmniéj dodaje na dole w przypisku: „przekład od wiersza 3 do 8 wolny.“ Podobnież zapisuje gdzieindziéj opuszczenie kilku zwrotek i pewne zmiany, objaśnia téż z zadowoleniem, że podczas gdy niemieckiemu poecie piękne dziewczę „dało ochotę do nowych piosnek i t a ń c ó w“ — jego zachęciło raczéj do „czynów.“ W wierszu p. t. „Ocalenie“, kiedy zrozpaczony niewiernością kochanki młodzieniec, stojąc zapatrzony posępnie w wartki nurt rzeki, usłyszał nagle za sobą głos, czytamy w niemieckim oryginale, że zamiast zwrócić się wprost do swego wybawcy, spojrzał

na odwrót w wodę, pewny niezawodnie, że w jéj zwierciedle ujrzy przybywającą osobę:

Auf einmal hört' ich was, das rief —
Ich wandte just dahin den Rücken.

Przeciwnie pan Zathey poczytywał za rzecz konieczną poprawić błąd Goethego, a czyniąc zarazem zadość potrzebie rymu do wyrazu głęboko, napisał:

Naraz słyszę, że ktoś woła;
Zwracam w lot tamtędy oko (!).

Już powyższe wyjątki wskazują, że tłómacz grzeszy tém, co słusznie wytknął hr. Tarnowski w *Przeglądzie Polskim* panu Charles de Noire Isle, to jest, że „nie tłomaczy, ale w natchnieniu parafrazuje a po części nawet tworzy na własną rękę.“ — Ale tłómacz tylko w trzech czy czterech wypadkach przyznaje, że przekład jego jest „wolny“; zdawałoby się przeto, że po za wskazanemi ustępami odznacza się wiernością.

Nieliczne przypiski tłómacza mogłyby złudzić pod tym względem nieświadomego czytelnika; nie złudzą jednak nikogo, kto choćby nie woził ze sobą Goethego „we wszystkich po świecie wędrówkach“, ma jednak dla niego tyle „miłości“, że rozkoszując się jego utworami od czasu do czasu, chowa we wdzięcznéj pamięci jeżeli nie słowa, to przynajmniéj ich ton i nutę, nieraz głębokie psychologiczne spostrzeżenie i wzruszające do głębi motywa a umie odróżnić prawdziwą świetność od blichtru, głębokość i subtelność od zwykłéj pospolitości.

Goethe jako największy klasyk nowożytnych czasów, jako jedyny poeta nowoczesny, który intuicyą geniuszu odgadł i odtworzył tajemnicę kunsztu mistrzów greckich, posiadał w wysokim stopniu zalety, które przyznaje Homerowi, mówiąc, że sprawiał największe efekta za pomocą „nadzwyczajnéj lakoniczności słowa, czystości i oszczędności w przedstawieniu, doprowadzonéj niemal do *skępstwa.*“ Jean Paul mawiał, że tron tego mieszkańca Olimpu wznosi się wysoko po nad światem, że dostojny Apollin zrodzony na niemieckiéj ziemi, jest tak potężnym i wielkim, iż nikt mu już nic dodać nie może.

Tłómacz snać innego był zdania, uszczęśliwia bowiem wielbionego przez świat cały poetę coraz to no-

wemi poprawkami i dodatkami, a posuwa się nawet tak daleko, że ofiarowuje mu je najbezinteresowniéj na niepodzielną własność, nie objaśnia bowiem, że ten lub ów pomysł w jego powstał głowie.

„Nie rozumiano dawniéj zadania i właściwego celu tłómaczeń, pisał pan Zathey przed kilku laty w artykule p. t. *Homer w Polsce* — i zdawało się tłómaczom, że mogą dowolnie przerabiać i przekręcać, jak im potrzeba.“ A z powodu prac niezmordowanego, uniwersalnego tłómacza, Jacka Przybylskiego, mówił: „Tłómaczenie towarzyszyło pierwotworowi jak słaby i niewyraźny cień — często cienia nawet nie było widać, często jakieś koszlawe przybierało kształty.“

Wkrótce po rzuceniu tak surowych wyroków na dawnych naszych tłómaczy, zasiadł krytyk do przekładu utworów jednego z największych poetów literatury powszechnéj, którego u nas jeden tylko Mickiewicz umiał oddać w całym blasku i wzniosłéj prostocie, jak tego dowiódł w przepysznem tłómaczeniu *Wędrowca*.

Na nieszczęście okazało się, że odwaga była nierównie większą od talentu i że czynione innym zarzuty, dadzą się zastosować do p. Zatheya niemal dosłownie. Jak w przekładzie Odyssei Żukowskiego Homer, tak pod jego ręką Goethe „zaginął w rozwlekłym i nadto prozaicznym toku“, jak Staszic greckiemu wieszczowi, tak p. Z. niemieckiemu poecie „odebrał nietylko życie, ale tak go pokiereszował, że go poznać trudno.“

II.

Przed dwudziestu kilku laty, w niepozornéj mieścinie, Wadowicach, wyszedł przekład niektórych pieśni i ballad Goethego, dokonany przez dość znanego w swym czasie powieściopisarza, Adama Gorczyńskiego, a przed siedmiu laty pojawił się nawet w drugiém wydaniu. Jestto również praca słaba, dokonana bez uszanowania dla wielkiego poety i bez talentu, poświęcająca sens dla rymu i mieszcząca tak niezmierne trywializmy, jak n. p. w *Królu dębów:*

Ładny chłopczyku, ze mną chodź ze mną,
Ładne me córki słodko, przyjemno

Pieścić cię będą, lubo, r o z p u ś n i e (!)
Lulać, kołysać, aż chłopczyk uśnie.

Mimo tak rażącą nieudolność, nie wahamy się powiedzieć, że ś. p. Jadam z Zatora mniéj spaczył Goethego, niż najnowszy tłómacz, bo bądź co bądź mniéj przecież popuszczał cugli własnéj wyobraźni, a więcéj się trzymał oryginału.

Nie ma prawie wiersza, w którymby tłómacz nie próbował poprawić poety, podnosząc zwykle kolory i wzmacniając nie dość silne wedle niego efekta, rozszerzając i rozwadniając to, co było powiedzianém zwięźle i treściwie. Musielibyśmy bez porównania szersze ramy zakreślić niniejszemu artykułowi, i tak już zbyt obszernemu, gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie błędy i uchybienia, jakich się tłómacz dopuścił. Dość powiedzieć, że zdaje się, jakby się starał o to, ażeby powiedzieć coś innego, niekiedy coś wręcz przeciwnego, aniżeli się znajduje w tekscie. Zamiast więc „długich dni“, spotykamy „żywot złowrogi“, zamiast „łagodnéj radości“ (milde Freude), „radosny szał“, zamiast pierwszéj osoby, drugą lub trzecią, n. p. w *Pieśni majowéj* wiersze: „Wie ich dich liebe — mit warmem Blut“ tłómaczy:

Jak ty mię kochasz,
Dziewczę me złote...

lub w wierszu p. t. *Kochanek w rozmaitych postaciach*:

Ich wollte, ich wäre treu,
Mein Liebchen stets neu.

Chciałbym być kochany
I pełen odmiany (!).

W tymże wierszu kochanek mówi do swéj lubéj:

Willst du bessre besitzen,
So lass dir sie schnitzen —

co oddane bardzo „swobodnie“ i wygodnie:

Gdy zechcesz lepszego,
To znajdziesz innego...

Nie więcéj skrupułów okazał tłómacz, zastępując wiersz:

Da lief ich an ein fliessend Wasser,
Das Wasser lief vor mir vorbei...

następnemi słowy:

Więc nad rwącą biegnę wodę,
Skończyć życie to mizerne...

Ze względów utylitarnych opuszcza tłómacz w jednym wierszu całe zdania, w innym natomiast wynagradza hojnie ten ubytek, a zdarza się niekiedy, że to samo, co sobie tutaj przywłaszczył, tam zwraca sumiennie. I tak w *Ocaleniu* wyrzucił wiersz: „Da lief mir was durch's ganze Blut“, w *Nawróconéj* zaś, jak gdyby przypomniawszy sobie o tém, dodaje: „przeszły mię dreszcze“, lubo interesowana osoba wcale o dreszczach nie wspomina.

Jedną z kardynalnych wad niniejszego przekładu jest rażąca rozwlekłość, stojąca w jaskrawém przeciwieństwie do zachwycającéj zwięzłości oryginału. Tak w prześlicznéj „balladzie o wygnanym i powracającym hrabi“ czytamy:

Die will ich, so ruft er, auf's Leben!
Erkennst du, erwiedert der Alte, den Schatz,

zamiast czego znajdujemy w tłómaczeniu niby to upiększoną a rzeczywiście rozpuszczoną w letniéj wodzie ogólnikowości parafrazę:

— Tę oto — zawołał — prześliczną dziewoję,
Mieć pragnę, staruszku, podróżny.
— Gdy chcesz ją posiadać, rzekł stary, mój książę,
Gdyś tak ją podobał namiętnie...

W tym samym poemaciku niezręcznie i niezrozumiale oddał tłómacz dumne słowa wyniosłego księcia: „Man läugnete stets und man läugnet mit Recht — Dass je sich der Adel erlerne.“

Nie może, kto zrodzon w plemieniu prostaczém,
Szlachcicem się stać umiejętnie (!).

W ogólności zauważyłem, że p. Zathey szczęśliwiéj odtwarza ustępy uczuciowe, aniżeli reflexyjne. Ostatnie psuje wtenczas nawet, gdy zupełnie jasne i łatwe do oddania. I tak kiedy harfiarz z Wilhelma Meistra w pieśni, pełnéj rzewnéj tęsknoty mówi, że „kto się oddał samotności, ach! ten będzie wkrótce sam“, na stwierdzenie czego dodaje: „Ein jeder lebt, ein jeder liebt — und lässt ihn seiner Pein“, wówczas tłómacz myśl tę zastępuje oklepaną sentencyą, nie wiadomo czemu przyczepioną do słów poprzednich,

Pragniem życia i miłości,
Świat cierpienie niesie nam...

W końcowym ustępie wiersza p. t. *Witaj mi i żegnaj!* wskutek zbyt „swobodnéj“ parafrazy, powstają wręcz nonsensa. Poeta upojony radością dzięki wzajemności ukochanéj, woła: „Ihr Götter, ich hofft' es, ich verdient' es nicht“ — w miejsce czego mówi tłómacz: „O jaki ten wzrok! O takiém szczęściu wiecznie śnij i marz!“

Słowa zaś oryginału: „In deinen Küssen welche Wonne — In deinen Augen welcher Schmerz“, tłómaczy z niepojętych dla nas przyczyn następnie:

W jéj smutku dla mnie jest radość (!?)
A szczyt rozkoszy, ach, jéj całowania!

Tłómacz szczególny ma talent do wypaczania najpiękniejszych myśli i zamieniania ich na komunały, na dowód czego niech posłuży zestawienie oryginału „Odpowiedzi zadowolonego“ z przekładem.

Vielfach ist der Menschen Streben,
Ihre Unruh, ihr Verdruss;
Auch ist manches Gut gegeben,
Mancher liebliche Genuss;
Doch das grösste Glück im Leben
Und der reichlichste Gewinn,
Ist ein guter leichter Sinn.

Różne ludzkie są starania,
Niepokoje i kłopoty,
I nie zawsze nam zasłania
Smutek, widok szczęścia złoty;
Lecz szczerego używania
Obraz tylko wtedy kreśl,
Gdy masz dobrą, lekką myśl...

Ale dość tych cytatów, które już zapewne znudziły niejednego czytelnika; kończymy przeto na dwóch króciutkich wyjątkach. Tłómacz, jakeśmy już widzieli, lubi poprawiać Goethego, zwłaszcza chcąc go wznieść wyżéj pod względem etycznym. Ożywiony tą dążnością, do *Zachęty*, kończącéj się w oryginale słowami: „niech nie pada ten, kto stoi“, dodaje jeszcze od siebie wcale zdrową radę:

A kto upadł, niech powstanie!

Może kiedyś, po wielu latach, pomiędzy estetykami przyszłości wywiąże się gorący spór, czyja filozofia stoi

wyżéj: niemieckiego poety, czy polskiego tłómacza? Nie możemy przewidzieć, na czyją stronę przechyli się szala zwycięztwa; sądzimy natomiast, że w jednéj kwestyi nie będzie wątpliwości, a mianowicie, że Goethe był daleko skromniejszym w oryginale, niż w tym przekładzie. Ktokolwiek wątpiłby o tém, niech porówna ustęp z *Syna muz* w niemieckim tekście:

Und nach dem Takte reget — Und nach dem Mass beweget — Sich alles in mir fort, z polskim przekładem:

A rytm mój wszystkich wzruszy,
Melodya wprost do duszy
Od razu trafi wam!

Na tym cytacie kończąc niniejsze sprawozdanie, zaręczam, że nie byłbym go się podjął, gdyby pracy p. Zatheya nie było ogłosiło pismo tak poważne i szanowne, jak *Przegląd Polski*, pismo, z którego padały gromy szlachetnego oburzenia przeciw niepowołanym tłómaczom, w którém natrafiamy wymowne słowa, że „tylko wielki artysta mógłby zrobić znośną kopią obrazów“ wielkiego poety, że „tylko wybrany kochanek muz, przez Boga na poetę stworzony człowiek, mógłby nie zepsuć w tłómaczeniu“ jego niezrównanych utworów.

Król bez tronu.

I.

W ośmnastym, w tym tak smutnym i nieszczęśliwym dla Polski XVIII wieku, mieliśmy dwóch królów bez tronu, o tyle do siebie podobnych, że obydwaj z niego strąceni, złożyli kości na obczyźnie, że obydwom przyszło się zrzec władzy pod naciskiem klęsk i nieszczęść, choć wśród bardzo odmiennych warunków.

Jednego z nich okrzyknięto „pierwszym między równymi“ na początku stulecia — drugi umarł na schyłku wieku. Mimo to byli sobie współczesnymi; po wyborze drugiego, pierwszy z dalekiego zachodu śle elektowi powinszowanie wraz z życzeniem, aby korona więcéj mu przyniosła szczęścia, niż jemu samemu, który po dwakroć ozdobiwszy nią skronie, prześladowany przez obcych, niebroniony dostatecznie przez swoich, musiał sromotnie uchodzić z ojczyzny.

To jakby w smutném przeczuciu rzucone napomknienie wspólności losu, dziwne wrażenie sprawia na nas dzisiaj, gdy wiemy, jak się sprawdzić miało! Czyż jednak Leszczyński, choć podczas długiego życia przeszedł tak pouczającą szkołę doświadczenia, a bystrym wzrokiem widział zarówno wewnętrzną słabość i rozprzężenie w łonie Rzplitéj, jak potęgę i determinacyą jéj sąsiadów — czyż jednak przypuszczał, iż rządy Stanisława Augusta skończą się tak okropnie, że ten świeżo

na tron powołany monarcha po niewielu latach zakończy niesławnie długi i świetny szereg swych poprzedników!

Leszczyński doznał wprawdzie sam przed trzydziestu laty zmienności i niestałości własnych zwolenników, a zarazem zuchwałości sąsiadów, którzy wbrew woli całego narodu, narzucili mu nielubianego Sasa — ale powracając do gościnnéj dla siebie Francyi, w dzierżawy swego zięcia, zostawiał przynajmniéj kraj w dawnych jego granicach, choć jęczący pod brzemieniem zależności od obcych. Innym był los Poniatowskiego. Po nim nastąpił — potop. Statek, nad którym podjął się steru, zatonął w odmęcie; on jako sternik, nie miał odwagi pójść razem z okrętem pod wodę — wolał postępować za rydwanem zwycięzcy, prowadzony do jego stolicy na złotym łańcuchu niewoli, a wewnętrzny głos ostrzegał go, że późne pokolenia złorzeczyć mu będą, jako widomej głowie i reprezentantowi narodu w porze upadku.

Smutna i upokarzająca Odyssea nieszczęśliwego króla znana nam z nielicznych, i to rosyjskich źródeł. Z najżywszą tylko boleścią i najserdeczniejszym żalem przychodzi historykowi towarzyszyć Poniatowskiemu na północ aż do nadnewskiego grodu, gdzie miał spocząć na wieki. Usprawiedliwić go z czynów i kroków ostatniego okresu życia, z trzech ostatnich lat panowania nie zdoła żadna siła — o sprostanie takiemu zadaniu daremnieby się kusiło najświetniejsze pióro, podczas gdy obrona pierwszéj doby jego rządów tak prosta i łatwa. Na Stanisława Augusta, jadącego do Grodna a ztamtąd do Petersburga, nie można patrzeć z współczuciem, niepodobna go tłómaczyć i uniewinniać — a przecież trudno też, choć czynią to niektórzy, naigrawać się z niego i szydzić, bo nie jest rzeczą piękną i szlachetną, nie uszanować nieszczęścia choćby zasłużonego, tém więcéj, że nieszczęścia wspólnego z narodem.

Nie siląc się na obronę Stanisława Augusta, ani na tłómaczenie jego małodusznéj słabości, trudno nie zauważyć, że nie on sprowadził katastrofę, ale ci, co korząc się u stóp północnéj Semiramidy, błagali o tysiące bagnetów przeciw własnemu krajowi — że nie on był największym winowajcą, więc nie na niego też paść powinien kamień bezwzględnego potępienia.

Nie z przyjemnością i nie dla przypomnienia chwil upokorzających, stawiamy Poniatowskiego na nowo przed kratkami historyi. Czynimy to dlatego, że nowy materyał pozwala nam rzucić na rzecz nieco odmienne światło, a w jéj przedstawieniu będziemy się równie zdala trzymali od panegiryku, jak od namiętnéj satyry.

Jeśli ostatni król Rzplitéj nie doczekał się dotąd swego Saint Simona, któryby świat wiernym jego portretem obdarzył, nie brakło natomiast żarliwych pamflecistów i panegirystów gorących. Pierwszych pełno w XVIII i XIX wieku, drugich — rzecz to charakterystyczna — spotykamy niemal wyłącznie między współczesnymi. Wielu z pomiędzy nich znamy z druku, wielu kryje się w rękopiśmie, że tylko wspomnimy o niewydanych pamiętnikach pięknego pazia, Narbutta (mawiano: „dowcipny jak Turkuł, piękny jak Narbutt"), które mieliśmy sposobność czytać podczas miłéj gościny u potomków pamiętnikarza, we wspaniałéj niegdyś rezydencyi Czartoryskich, w Wołczynie, gdzie się urodził Stanisław August. Wymowne też są słowa listu, pisanego 5 stycznia r. 1796 przez zacnego generała Górzeńskiego do niemniéj szlachetnego ex-komendanta Kamieńca a późniéj Warszawy, Józefa Orłowskiego: „Prawda, że król abdykował; ja sobie mam za chwałę, żem mu w szczęściu krótko, lecz w nieszczęściu do końca służył. I on i naród nieszczęśliwy. Patrzyłem jednak zbliska na jego serce, na jego chęci, na jego starania i wyznać muszę, gdybyśmy go byli słuchać chcieli, więcéj w nim pokładali zaufania i mniéj z nim wojny toczyli, nie bylibyśmy pewno w tak smutném położeniu." *)

Moralną wartość korespondenta, którego słowa przytoczyliśmy wyżéj, najlepiéj jak sądzę, określa Siewers, radząc pod dniem 25 stycznia 1795 Katarzynie, aby go usunęła od królewskiego boku:

„Król ma być otoczony w Grodnie muszarami (to jest agentami, sprzyjającymi konstytucyi i nieprzyjaznymi Rosyi); głową ich generał Górzeński, marszałek królewskiego dworu, choć właściwie Bezbrodko wyznaczony na marszałka. Dla tego mam sobie za obowiązek oświadczyć W. Cesarskiéj Mości, że ów Górzeński pod

*) Z archiwum rodzinnego Cygenbergów-Orłowskich.

każdym względem należy do niebezpiecznych, jako oddany zasadom 3 maja...“

Osoby z najbliższego otoczenia króla, liczyły się zawsze do najgorętszych jego zwolenników. Było to bowiem charakterystyczną cechą tego miękkiego umysłu, że obdarzony wrodzoną tkliwością i czułością, posuniętą do przesady, pragnął dokoła siebie widzieć tylko szczęśliwych, tylko wesołe i uśmiechające się twarze, a dla dopięcia tego celu dokładając wszelkich starań, zapominał nieraz, że chcąc czynić dobrze, czynił źle, że starając się o dobro i szczęście jednostek, szkodził dobru i szczęściu ogółu.

Jak w drugiéj połowie politycznego bytu Polski wybujanie indywidualnéj swobody naraziło na szwank wolność ogólną, tak w duszy ostatniego króla dobroć dla indywiduów wystawiła całą społeczność na niepowetowane straty. Idąca w parze z miękkością słabość charakteru, kazała mu się oglądać na tych, co go otaczali; że zaś przeważna większość z pomiędzy nich przenosiła własny interes nad dobro ogółu, że głosy lepsze przebrzmiewały wśród wrzawy interesowanych dworaków bez echa, przeto król nie wahał się w końcu podpisywać najsromotniejszych aktów, aby tylko zabezpieczyć los krewnych, przyjaciół i „sług wiernych“, choć najwierniejsi z Deszertem na czele wołali na kolanach, że gotowi iść z torbami, byle kraj ocalał. Bardzo też trafnie powiedział w swym pamiętniku paź królewski, Jan Sagatyński: „Nie zaprzeczam, że nie miał może mocy charakteru, wielkiéj duszy, zdolnéj do wielkich przedsięwzięć, ale na prywatnego Pana nie miał sobie równego. Ileż to cnót i dowodów najlepszego serca, przez cały czas panowania nie doświadczało tysiące osób! Zawsze pierwszy pospieszał tam, gdzie nędza i rozpacz potrzebowały pomocy, nie szczędząc wydatków, gdzie tylko szło o wsparcie cierpiącéj ludzkości.“

Nic prawdziwszego, nic rozumniejszego nad proste zdanie, jakie bezpośrednio daléj wypowiada paź; dla tego powtarzamy je wiernie z mało dziś czytywanéj książeczki: „Gdyby ci, co go otaczali swém świetném gronem i tyle innych osób, co miały wpływ i moc nad jego umysłem, gdyby byli szlachetnymi i przywiązanymi do ojczyzny doradzcami króla, kochającymi nie pieniądze, nie tytuły i ordery, nie starostwa, udzie-

lane wielu niewdzięcznym — gdyby ci zamiast pochlebstw, zamiast zbyt mądrych dyskursów i uczonych wykładów, wpajali w niego miłość do narodowéj sławy i nieugiętość w stosunku do obcych mocarstw; gdyby się byli znaleźli tacy doradzcy, co pokazując ze siebie godne naśladowania przykłady, wskazaliby mu drogę, którą ma postępować dla szczęścia i dobra ojczyzny, jestem pewny, że poszedłby za ich radą, nie straciłby miłości narodu, stałby się godnym zasiadać na tronie Piastów i Jagiełłów, zakończyłby życie z chwałą i żalem całego kraju, a zwłoki jego spoczywałyby teraz na własnéj, nie na obcéj ziemi.“

Rzecz godna uwagi, że patryota tak gorący, człowiek tak zapalony, jak Niemcewicz, odzywa się w niedrukowanym liście do Potockiego, marszałka W. Ks. Litewskiego, w następnych słowach o Stanisławie Auguście, już po jego przystąpieniu do konfederacyi targowickiéj: „Żal mi króla, rok tylko miał sławy — rok tylko mieć może po tylu zgryzotach życia; pozostaje mu wieczność. Gdyby serca swego słuchał, obrałby ją chwalebną — że słuchał pisków, naznaczy ją sobie bezsławną.“*)

Wątły organizm moralny Stanisława Augusta rozsadzała walka, niepokoiła wątpliwość, co lepsze: czy bezwarunkowa uległość, zdolna wyjednać dla nieszczęśliwych pewne względy — czy opór za jakąbądź cenę? Rozstrzygła jednak w końcu tę kwestyą owa mdła czułostkowość, owa tkliwość w małych rzeczach, troskliwość o przyjaciół i wierzycieli, zostająca w rażącém przeciwieństwie do powszechnego nieszczęścia, któremu naród winien był stawić czoło z poświęceniem wszystkiego.

Zdaje się, że ludzie złéj wiary, znając charakter króla, nasuwali mu z umysłu przerażające obrazy klęsk, jakie czekają naród, jeśli zechce trwać dłużéj w uporze. Środek nie chybiał zwykle celu; przelękły Stanisław ze zgrozą zasłaniał oczy przed strasznym widokiem i — ustępował. Okropne widmo smutnych następstw wojny rozkrwawiało jego serce, a przypuszczając podobne uczucia w innych, pragnął ich wzruszyć tymże samym

*) Z rękopisu Zakładu Ossolińskich.

sposobem. Gdy usiłowania rewolucyi Kościuszkowskiéj skończyły się upadkiem, odwołuje się on do tkliwych uczuć Katarzyny a oddawszy „losy Polski“ w jéj ręce, „błaga o łaskę“ dla narodu, którego stan w rzewnych maluje wyrazach: „Wojna — prawi — powstrzymała prace rolne, dobytek zabrany, włościanie, których gumna opróżnione, popalone mieszkania, tysiącami uchodzą za granicę; wielu ziemian uczyniło już to samo — Polska przeobraża się w step bezludny.“

Sądził król, że tym jaskrawym obrazem wzruszy serce, tak dlań niegdyś łaskawe — ale w téj niewieściéj piersi kryło się więcéj męzkiéj, nieugiętéj woli, więcéj okrutnéj obojętności na środki i sposoby, za pomocą których trzeba było zdążać do celu, niż w piersiach wielu, po obozach i wśród bitew posiwiałych wojowników. Nie dziw téż, że na jéj plany nie wpłynęło efektowne przeciwstawienie klęsk wojny błogosławieństwom pokoju i cichemu szczęściu rólnika.

II.

Wezwany przez Katarzynę, aby pospieszył do Grodna i tam czekał dalszych rozporządzeń, przeczuwał Stanisław August smutny koniec swych rządów; do podróży sposobił się niechętnie a tymczasem odzywał się głośno, że gotów zrzec się korony pod warunkiem, iż mu wolno będzie resztę dni spędzić w stolicy chrześciańskiego świata, w odwiecznéj Romie. Było to płonne życzenie, bo straconego monarchę wypadało mieć bliżej, aby przeciw dokonanym faktom nie mógł protestować, aby im swém zachowaniem nadawał niejako sankcyą.

Repnin byłby wolał widzieć króla w warownéj Rydze, niż w Grodnie, gdzie mógłby, jak sądził, rozpocząć knowania przeciw Rosyi. „Lękam się — pisał — że pobyt w Grodnie nie zapewni królowi spokoju; będzie się cisnąć do niego miejscowe obywatelstwo, i jeśli nie na piśmie, to ustnie komunikować mu rozmaite nowinki i plotki, wylęgłe w tępych głowach, i zdolne wreszcie zachwiać jego postanowieniem.“

Wbrew tym obawom, nie zmieniła Katarzyna rozkazu; „opiekunem“ nieszczęśliwego jeńca mianowany został

hr. Bezborodko. Mówimy jeńca, bo mimo wszelkich objawów uniżonéj grzeczności, mimo okazywanych mu „monarszych honorów“, prezentowania broni, pohylania sztandaru, bicia w bębny i salw armatnich, nie jest on już niczém więcéj, jak tylko pilnie strzeżonym więźniem, niewolnikiem, prowadzonym dla uświetnienia tryumfu zwycięzcy. Nietylko więc wedle słów Repnina „nie powinien mieć żadnego udziału w rządzeniu krajem“, lecz nawet ma niemal wszelką swobodę utracić. Czuwa nad nim nieustannie kompania piechoty i 30 konnych dragonów; z tych 24 strzeże przedpokoju i nie opuszcza jeńca na krok. Pałac obstawiony tak szczelnie, iż żywa dusza bez wiedzy stróżów wyjść, ani wejść nie może.

W instrukcyi, danéj przez Repnina generałowi Bezborodce, mieści się najpiękniejsze świadectwo, jakie kiedykolwiek wydano Stanisławowi Augustowi — świadectwo najwiarogodniejsze, bo wychodzące z pod wrogiego pióra, a nie przeznaczone do publicznego użytku. „Długoletnie doświadczenie przekonało nas, pisze książę, że król działał zawsze wbrew naszym korzyściom i stawał na czele wszelkich zmian w Polsce, przeciwnych naszym widokom.“

Niechajby sobie powyższe słowa spamiętali ludzie, odmawiający słabemu królowi patryotycznych uczuć i popędów, odsądzający go od wszelkiéj czci i wiary.

Nad królem i jego otoczeniem rozciągniono najtroskliwszą, drobnostkową kontrolę, przeglądano pilnie korespondencyą, notowano wszelkie wizyty, rewidowano kupców i towary, jakie wnosili do pałacu.

Stanisław August spędzał czas jednostajnie i nie wesoło, w złowrogim niepokoju i melancholii, częstokroć wśród silnych wzruszeń. I tak w dzienniku, obejmującym opis zdarzeń w zamku grodzieńskim a prowadzonym przez Bezborodkę, czytamy pod dniem 26 stycznia (st. stylu):

„Ranek zeszedł jak zwykle; biskup Naruszewicz odwiedził króla. Przy spotkaniu niepocieszeni obaj płakali, potém kilka godzin spędzili razem w gabinecie.“ Jakżeż ów płacz dwóch dostojnych ludzi wymowny, choć czytamy o nim w dzienniku rosyjskiego oficera! A nieobojętna także, iż odwiedzali jeńca niemal wyłącznie zwolennicy konstytucyi trzeciego maja, Targowiczan zaś zaledwie kilku.

Stan moralny króla w onéj porze najlepiéj się maluje w relacyach Repnina do carowéj. W kilka dni po przybyciu więźnia do Grodna pisze książę: „Co dnia prawie widuję się z Poniatowskim. Z nadziei przechodząc do rozpaczy, bada on mnie bez ustanku o przyszłość swoję.“

Repnin „uspokajał“ nieszczęśliwego nie bardzo pocieszającemi słowy, bo dowodził wymownie, że „po tém wszystkiém, co zaszło, dawny porządek rzeczy jest niemożliwy“, to jest, że Rzeczpospolita musi ostatecznie zniknąć z karty Europy. Takie uspokajanie oburzało do żywego króla, lecz niezrażony tém książę, nie zaprzestawał łagodnéj perswazyi, a używał w tym celu środków, jakie mu wskazywał czterdziestoletni stosunek z nim i dokładna znajomość wszelkich słabych stron człowieka. Dowodził mu więc, „że po rozstrzygnięciu losów Rzeczypospolitéj powinien myśleć o własnéj przyszłości, najlepszy zaś sposób utrwalenia jéj, to poddanie się z całą pokorą woli cesarzowéj.“

Do skołatanego, słabego umysłu Stanisława zaczęły powoli przenikać wymowne rady Repnina. Bronił im się jeszcze, choć już słabiéj a bronił pod wpływem „promyka nadziei, że się jeszcze dola Polski odmieni!“ Ale promyk ten był bardzo „słaby“ i blady; nie trudno więc przyszło księciu zgasić go i usunąć tak królowi ostatnią deskę, któréj się wśród toni trzymał jeszcze gorączkowo. To téż Repnin pisze: „Spostrzegłem z radością, że rady moje zaczynają działać.“ Kiedy mu mówił o potrzebie baczenia na własną przyszłość, Stanisław pochwycił tę sposobność we właściwy sobie sposób, chcąc z niéj korzystać nie wprost dla siebie, ale dla innych. „Dostrzegłem, czytamy daléj w rzeczonéj relacyi, że głowę ma zaprzątniętą tysiącem drobnych interesów, tyczących się ludzi prywatnych bez znaczenia, którzy go prosili o pomoc, a którym przyrzekł, że o nich pamiętać będzie.“ Troskał się zapewne przedewszystkiém o dawnych swych dworzan i służbę, o nieopłacanych już dawno ambasadorów po różnych stolicach.

Był to objaw pomyślny dla gubernatora; wnosi téż ztąd trafnie, „że król wkrótce wyraźnie i otwarcie zacznie mówić o bezwzględném poddaniu się woli Waszéj Cesarskiéj Mości.“ Jakoż nie zawiodły bystrego dyplomaty nadzieje; w dwa tygodnie poźniéj przysłał

mu król dobrowolnie depesze z Hagi, Stockholmu, Londynu i Kopenhagi, które mimo czujności stróżów przedarły się do grodzieńskiego zamku, a nadto i klucze do nich.

Odtąd donosi Repnin z pociechą, jak król coraz bardziéj się przekonywa, „że tylko mu dziś pozostało polegać na łasce i szczodrobliwości cesarzowéj“ a nawet w wygotowanym przez siebie memoryale wyraźnie daje do poznania, że gotów zrobić wszystko, co cesarzowa „rozkazać raczy.“ List Katarzyny zachwycił go; po odczytaniu kazał księciu podziękować „z nieudaném uniesieniem za opiekę nad jego losem“, a gdy mu mentor zaręczył, że od jego „szczerości“, to jest uległości bezwzględnéj zależeć będzie postępowanie imperatorowéj, Stanisław zapominając o dawniejszych zamysłach, zapewnił, iż hasłem jego: „nie mieć innéj, jak cesarzowa woli“, i dodał nadto owe dziwne słowa, „że od téj zasady nigdy nie odstąpi, albowiem ma tę przynajmniéj w nieszczęściu pociechę, że może polegać na wspaniałomyślności i miłosierdziu Jéj Cesarskiéj Mości.“

Z podobną uniżonością występuje w liście do carowéj z 29 stycznia, gdy mówiąc o poniewolném pożegnaniu się w Warszawie z drogiemi sercu osobami, dodaje: „Ale rozstanie to nie było mi bolesném — rozstawałem się bowiem, czyniąc zadość Waszéj woli.“

Nie myślimy kreślić szeroko i długo nieciekawéj historyi smutnych dni pobytu królewskiego w Grodnie; poruszymy tylko nieco szczegółowiéj dwie kwestye: stosunek rodziny do Stanisława i abdykacyą — w przekonaniu, że z nich można wyciągnąć niejeden rys do charakterystyki człowieka. Abdykował, jak wiadomo, 25 listopada 1795 r. w samą rocznicę wstąpienia na tron. Słusznie z tego powodu powiedział wspomniany powyżéj patryotyczny paź: „Ten czyn króla nigdy nie znajdzie obrony; nie powinien był okazać się tak uległym, lecz raczéj śmierć ponieść.“

Podobało się utrzymywać niektórym pisarzom, nie chcącym w nieszczęśliwym Stanisławie dojrzeć ani odrobiny uczucia i przywiązania do kraju — podobało im się, mówię, twierdzić, jakoby go sromotny ten akt nic nie kosztował, jakoby go podpisywał lekkiém i swobodném sercem. Że twierdzenie to jest prostém oszczer-

stwem, świadczy znów Repnin listem swym, pisanym tegoż dnia do Platona Zubowa. „Nie obeszło się — czytamy tam — bez łez i to łez gorzkich, nie samo zrzeczenie się było ich powodem; wywołała je myśl o przyszłym losie Polski i odraza do króla pruskiego...“ Dowiadujemy się jeszcze z tegoż pisma, że „hr. Panin pracował nad stylem aktu, dobierając wyrażeń, któreby skłoniły króla do prędszego podpisania.“

A więc był opór, opór pełen scen wzruszających; trzeba było „dobierać wyrażeń“, aby nieszczęśliwego, lecz słabego króla „skłonić“ do zrzeczenia się powierzonéj sobie przez naród władzy nad krajem, którym się przyrzekł opiekować, choćby go sprowadzono do objętości kapelusza. Może byłby się zdobył na odwagę niezłomnego oporu, gdyby przybywające doń obywatelstwo było mu dodawało otuchy, było go starało się utrzymać w myśli wytrwania, zamiast wytargowywać od niego w przededniu powszechnéj ruiny, patenta na order św. Stanisława, z podsunięciem dawniejszéj daty...

Tyle dotąd z rosyjskich źródeł wiadomo o zachowaniu się Stanisława Augusta w sprawie abdykacyi. Nam szczęśliwy wypadek dał możność bliższego określenia walki, jaką stoczono przed dniem 25 listopada w Grodnie — wyraźniejszego ukazania oporu, jaki stawiał król, aby zmniejszyć hańbę, która z tego aktu miała spłynąć i na niego samego i na cały naród.

Widoczne to z dwóch projektów abdykacyi, znajdujących się w papierach, pozostałych po ambasadorze Stackelbergu, a udzielonych nam łaskawie w Petersburgu przez jego spadkobierców. Z projektów tych możemy się przekonać, jak twardym w oporze był król, choć nie okazał tyle hartu, ile było potrzeba — ile Panin musiał pracować nad „stylem aktu“ i jak pilnie musiał „dobierać wyrażeń“, aby Stanisława nakłonić do wyrzeczenia placet.

Dla uwidocznienia różnic pomiędzy redakcyami, uważamy za najwłaściwsze podać w dosłownym przekładzie z francuzkiego obydwa projekta. Pierwszy brzmi jak następuje:

„Nauczeni doświadczeniem przeszłości, że rozruchy, które zamąciły Rzeczpospolitą polską a w szczególności ostatnie powstanie, którego spustoszenia zdołała po-

wstrzymać jedynie potężna ręka Jéj Cesarskiéj Mości Wszech Rosyi, odjęły Rzeczypospolitéj zupełnie wszelką możność utworzenia rządu dość silnego, aby się zabezpieczyć przeciw klęskom anarchii — że nasze usiłowania i prace, mające na celu dobro ogółu, nie sprostałyby trudnościom, tamującym ustalenie jéj niepodległości, że środki, przedsięwzięte przez obydwa dwory cesarskie i gabinet berliński dla bezpieczeństwa i pokoju ich krajów, zdołałyby zarazem same jedne zapobiedz wybuchowi nowych zaburzeń w mojéj ojczyznie i zapewnić jéj panowanie prawa i publicznego porządku, postanowiliśmy z własnego popędu i z wolnéj a nieprzymuszanéj woli, nie mając żadnych innych pobudek, jak tylko uczucie przywiązania do narodu polskiego, dla jego spokoju uczynić ofiarę z praw, jakie nam dał nad sobą; oświadczając, jak to niniejszym aktem ogłaszamy, że w sposób jak tylko być może najautentyczniejszy, z własnego popędu, z wolnéj a nieprzymuszonéj woli, zrzekamy się rządów i korony Polski, równie jak W. Ks. Litewskiego i innych ziem do nich należących — zrzekamy się także wszelkich praw i pretensyi, które nam służą (czy to na mocy elekcyi, czy z jakiegokolwiek tytułu) lub kiedykolwiek służyćby mogły, do Królestwa Polskiego, W. Ks. Litewskiego i ich zawisłości od nas; równie jak wszelkich posiadłości, objętych w rzeczonych państwach. Oświadczamy nadto, że wyrzekamy się powrotu za jakąkolwiek pomocą do praw, których się zrzekamy niniejszym aktem bez wyjątku i bez zastrzeżenia pod jakimbądź pozorem."

Drugi projekt opiewał:

„Zastanowiwszy się dojrzale wobec Boga nad obowiązkami, jakie na nas nakładają obecny stan naszéj Ojczyzny, zupełne rozprzężenie jéj rządów, wywrócenie wszelkich władz, wreszcie anarchia i wszystkie klęski, w które ją wtrąciło powstanie — uważając, że wszelkie nasze usiłowania, mające dobro publiczne na celu, nie zdołałyby usunąć wszystkich tam, stojących w poprzek przywróceniu porządku i prawa, że nie leży w możności naszéj zapobiedz ponowieniu się rozruchów, wreszcie przekonani, że jedynie środki wywołane (nécessités) nagłością okoliczności a użyte przez obydwa dwory cesarskie i gabinet berliński, zdolne byłyby przytłumić powstanie i powstrzymać jego klęski, burzące

wszelki porządek socyalny — postanowiliśmy, nie ulegając żadnym innym pobudkom, jak tylko gorącemu przywiązaniu do sprawy publicznéj, uczynić na rzecz Ojczyzny ofiarę z wszelkich praw, jakie nam dała nad sobą, zezwalając na środki, użyte przez obydwa dwory cesarskie i gabinet berliński, lub jakich w swéj roztropności użyją, jak zezwalamy niniejszym aktem z wolnéj a nieprzymuszonéj woli bez żadnego wyjątku, ani zastrzeżenia pod jakimkolwiekbądź pozorem“ itd.

Obydwa powyższe projekta odrzucił król, aby po długich targach podpisać trzeci, brzmiący jak następuje:

„My Stanisław August, z Bożéj łaski król Polski, i t. d. Nie szukając w ciągu królowania naszego innych korzyści, ani zamiarów, jak stać się użytecznym ojczyznie naszéj, byliśmy także tego zdania, iż należy opuścić tron w okolicznościach, w których rozumieliśmy, że oddalenie nasze przyłoży się do powiększenia szczęścia ziomków naszych lub przynajmniéj do zmniejszenia ich nieszczęść; przekonani teraz, że pieczołowitość nasza na nic się Ojczyznie nie przyda, kiedy nieszczęsny wybuch insurekcyi pogrążył ją w teraźniejszy stan upadku, i rozważywszy, że środki względem przyszłego losu Polski z powodu naglących okoliczności niezbędne, a przez Najj. Imperatorową Wszech Rosyi i inne sąsiednie mocarstwa przedsięwzięte, jedynemi są dla przywrócenia pokoju współobywatelom naszym, których dobro było zawsze najpierwszym przedmiotem naszych starań; postanowiliśmy z miłości publicznego spokoju oświadczyć, tak jak też niniejszym aktem ogłaszamy, że z wolnéj a nieprzymuszonéj woli wyrzekamy się bez wyjątku wszelkich praw naszych do korony polskiéj, do w. księstwa litewskiego i innych należących do nich krajów, jako też znajdujących się w nich posesyi i przynależytości. Uroczysty ten akt zrzeczenia się korony i rządów Polski w ręce Najj. Imperatorowéj Wszech Rosyi składamy dobrowolnie i z tą rzetelnością, która postępowaniem naszém w całém życiu kierowała; zstępując z tronu, dopełniamy ostatniego obowiązku królewskiéj godności, zaklinając Najj. Imperatorową, aby macierzyńską swą dobroczynność rozciągnęła na tych, którym panowaliśmy, i aby to właściwe wielkości swéj duszy działanie przekazała sprzymierzonym. Akt niniej-

szy, dla nadania mu większéj wagi, podpisaliśmy i rozkazaliśmy wycisnąć na nim pieczęć naszę.

Działo się w Grodnie d. 24 listopada r. 1795 a r. 32 panowania naszego.

Stanisław August, król.

Stanisław kniaź na Kozielsku Puzyna.

Trudno zaprzeczyć, że wszystkie podane przez nas akty, upokarzające są dla pamięci ostatniego króla, że kończą dzieje samodzielnego bytu Rzeczypospolitéj niezatartą niczém plamą, któréj z czoła Stanisława Augusta nie zmyją najzręczniejsi rehabilitatorowie, jeśli nie zechcą się sami narazić na ciężki zarzut zatracenia zmysłu moralności. Ale pomimo to przyznać też trzeba, że pomiędzy pierwszym, drugim a trzecim aktem zachodzi znaczna różnica, że król nie do przebaczenia uległy i słaby. cierpiał przecież i walczył, że o ile mógł, łagodził sromotne wyrażenia aktu, który aby dla Rosyi stać się użytecznym, musiał tak być zredagowanym, jak go widzimy — i że z pewnością nie grał komedyi, gdy w strasznéj dla siebie chwili mdlał i gdy go porywały wymioty, a jak nawet niechętny mu Kitowicz wyznaje, gdy „przez trzy dni walczył z żalem, wstydem i rozpaczą.“

III.

Lucyan Siemieński w historycznym wstępie do źródła, opisującego „ostatni rok życia króla“, w słowach pełnych grozy i szlachetnéj indygnacyi karci koronowanego winowajcę za brak poczucia godności własnéj, jaki okazał po detronizacyi, głównie zaś w nadnewskiéj stolicy. „Czytając — powiada — owe listy czy buletyny, pisane w ciągu rocznego pobytu w Petersburgu, doznaje się takiego wrażenia, jakby to był nie zdetronizowany monarcha, ale jakiś dyletant, przybywający drugi raz do Petersburga, aby dopełnić przed czterdziestu laty zaczętych studyów nad towarzystwem, dworem, dziełami sztuki, gmachami i instytucyami téj stolicy... Człowiek ten, żeby nie uchybić przyzwoitościom etykiety, żeby utrzymać się w atmosferze perfumowanego salonu, zapomniał, że jest sąd historyi, że są powinności, przywiązane do korony, nawet gdy ta zdartą zostanie...

Przerażający to obraz! Małoduszny samolub daje się włóczyć z gali na galę, z fety na fetę, i jakby poprzestając na zaszczycie siedzenia między carem a carową, zapomina o milionowym jęku narodu.“

Nie pojętém jest dla autora to dziwne nurzanie się w odmęcie coraz nowych roztargnień; chciałby je tłómaczyć chęcią uwolnienia się od wyrzutów sumienia, poczém tak mówi daléj: „Człowiek w podeszłym wieku, co z czary życia napił się do sytości, niepodobna, aby swobodnym umysłem uganiał się od rana do nocy za błahemi fraszkami, godnemi ciekawego turysty a nie monarszéj osoby, albo żeby z taką, jak on punktualnością, odrabiał ową pańszczyznę dworską, srodze uciążliwą pod takim impetykiem i fanatycznym przestrzegaczem etykiety, jak Paweł.“

Po tych i wielu innych jeszcze wyrzutach, zapytuje autor: „Czego się w tém położeniu mógł obawiać a czego spodziewać Stanisław August?“ i oświadcza, że „trudno sobie wyrozumować.“

Zdaniem naszém, odpowiedź na powyższe pytanie łatwa, i już niejako przez samego Siemieńskiego dana. Działały tu też same pobudki, które już wpierw nakłoniły króla do abdykacyi, gdy mu oświadczył wedle świadectwa Komarzewskiego Repnin, „jako ani długi jego osobiste spłacone, ani przyszły los jego, los rodziny i domowników zabezpieczony nie będzie, jeśliby się wzbraniał podpisać abdykacyą.“

Na nieszczęście jak przed, tak i po abdykacyi, nie brakło ludzi, co „przy blasku dogorywającéj królewskości chcieli upiec swą pieczeń“, król zaś, wedle słów Szczęsnowéj z Mniszchów Potockiéj, „pan najlepszego serca“, wiecznie ulegający „chętce zobowięzywania sobie wszystkich i świadczenia dobrodziejstw“, która to chętka „narobiła mu najwięcéj złego“, nie posiadał tyle nad sobą mocy, aby odmawiać ciągłym prośbom i zaklęciom. Mianowicie krewni wysysali go jak pijawki, a nadto zarzucali petycyami, aby się w ich interesie wstawiał do dworu. Stanisław w przekonaniu, że czyniąc zadość ich prośbom, zmniejszy ciężar powszechnéj klęski, robił wszystko co mógł; chcąc pozyskać powolność rządu w owych sprawach, odbywał najpunktualniéj upokarzającą dla ex-monarchy pańszczyznę dworskiéj etykiety, wśród najtęższych mrozów bywał przytomnym

obrzędowi święcenia Jordanu a dla zaskarbienia cesarskich względów, stał przez trzy godziny bez futra, co mu podobno nawet zgon przyspieszyło.

Ile Stanisław August czynił w ostatnich czasach dla krewnych, drogich a nawet obojętnych sercu osób, nigdy zapewne nie będzie dokładnie wiadomém — mnóstwo tylko rozproszonych wskazówek świadczy o miękkości królewskiego serca a nienasyconéj chciwości tych, co ją wyzyskiwali. My z naszéj strony podajemy drobny przyczynek do rzeczonéj kwestyi, na podstawie siedmiu nieogłoszonych dotąd, własnoręcznych listów króla, pisanych od połowy sierpnia r. 1795 (z Grodna) do 19 marca 1797 (z Pętersburga) do zamieszkałéj w Łańcucie księżnéj marszałkowéj z Czartoryskich Lubomirskiéj, a znajdujących się między autografami Zakładu nar. im. Ossolińskich.

Cztery pierwsze listy pisał Poniatowski jeszcze jako król, bo przed podpisaniem aktu abdykacyi — wszystkie są kreślone w języku francuskim, przeplatanym tu i owdzie polskiemi zwrotami. Pierwszy list, datowany z Grodna 17 sierpnia 1795 opiewa:

„Moja Księżno Kochana! Nia mogę puścić ztąd Mniszka, nie przesyłając Ci przezeń wyrazu życzliwości mojéj. Powie on Księżnéj, jak mnie martwi wszystko, czego obecnie doświadczasz Pani i Jéj brat; wie Mniszek także, co uczyniłem, aby temu zaradzić, o ile to w mojéj mocy. Zobaczymy, czy spodoba się Bogu, aby słowa moje były skuteczne. Pisałem w jednym liście jednemi słowy za Wami obojgiem, tak jak i za własną siostrą. Co się tyczy mojéj osoby, to wiem dzisiaj tyleż, co wiedziałem temu trzy miesiące. Nie łudzą mnie tutaj, ale też i nic mi nie mówią, bo nie chcą mnie łudzić. Dolatuje mnie wiele pogłosek zkądinąd, ale tak sprzecznych, że nie wierzę w żadną itd.“

Drugi list z 15 września 1795 roku wyjaśnia, o co chodziło księżnie. Król donosi, że na swą prośbę, tyczącą się jéj dóbr, odebrał następną odpowiedź od Carowéj: „Kazałam zawiesić aż do dalszego rozkazu sprzedaż majątków, należących do osób, które WKMość obchodzą. Chwila, którą Mu zapowiedziałam, a która ma rozstrzygnąć o Jego losie, nie jest daleką. Również zdecyduje się los Jego bliskich. Zastrzegam sobie do téj epoki pogodzenie ile możności ich korzyści i ich do-

dobrobytu z ogólnemi środkami, jakie mi przepisze interes mego państwa.“

Słowa pisma, dla króla niezbyt były pochlebne i nie wiele obiecujące. To téż zacytowawszy je bez komentarza, pisze daléj nie wesoło, choć jeszcze nie wyrzeka się nadziei swobody: „Co wiem i co znam, to donoszę. Daj Boże, żeby to, co mi w obojętnych wyrazach odpisano, w najlepszy sposób się wyjaśniło! Nie tracę nadziei, ścisnąć Waćpanią osobiście w Łańcucie. Proszę tymczasem ścisnąć Księcia Generała.“

Kończy wyrazem nadziei, że czekolada, którą przez Mniszka przesłał księdzu Benvenuto, dobrze mu smakowała. Pierwsza to, lecz nie ostatnia wzmianka o czekoladzie, którą król raczył krewnych swoich i znajomych.

Trzecie z kolei pismo z 14 listopada, najobszerniejsze i najszczegółowsze, wtajemnicza nas w interesa księżnéj marszałkowéj. Dowiadujemy się z niego, że chodzi o odzyskanie dóbr skonfiskowanych, i że księżna spodziewa się pomyślnego skutku długich zabiegów i starań za przybyciem gubernatora (du gouverneur de là bas). Wbrew jéj optymistycznym widokom obawia się król, aby ta nadzieja nie okazała się płonną, gdyż jego „biedna siostra,“ Zamoyska, pozbawiona jest od dwóch lat wszelkich dochodów mimo odpowiedzi ogólnikowéj, przychylnéj, jak się zdawało, dla wszystkich powinowatych królewskich. Pocieszającą jednak nowinę otrzymał Poniatowski od bawiącego w Mińsku, a spokrewnionego z sobą Wincentego Tyszkiewicza. Ten przesłał królowi kopią listu urzędowego, jaki napisał główny gubernator, Tutulmin, do gubernatora Bergmana. Donosił on, że na mocy wyjątku, uczynionego przez cesarzową „dla wszystkich familiantów królewskich,“ ma uwolnić dobra referendarza Tyszkiewicza Bokopole, położone w Bracławskiém. Z majątku tego nie zdjęto jeszcze sekwestru, lecz pozwolono właścicielowi ściągać przez własnych ekonomów dochody. Król sądzi przeto, że podobnie postąpią władze z księżną.

Przed otrzymaniem powyższéj nowiny, doszła Stanisława inna wiadomość. Powiedziano Repninowi, że Podoski, starosta lenarzycki, stara się o nabycie dóbr marszałkowéj i że życzyłby sobie na ten cel listu polecającego

od Repnina do gubernatora. Zagadnięty w téj materyi przez króla, odpowiedział książę: „Jeśli Podoski przybywa tu, aby mi powiedzieć, że chce zostać poddanym Cesarzowéj, kupując majątek, zostający pod jéj panowaniem, i że w następstwie złoży przysięgę — wówczas dam mu list rekomendacyjny nie tylko chętnie, lecz pewny dobrego skutku dla niego i dla księżnéj marszałkowéj, podczas gdy udzielenie rekomendacyi bez wspomnianéj rękojmi wywołałoby tylko podejrzenie, że to intryga i maska, i że Podoski użyty jedynie za narzędzie, dla przywrócenia księżnie dochodów.“

Król oświadczył na to, że Podoski stary a obecnie w rzeczy saméj złożony chorobą, nie mógłby dopełnić wymaganych od siebie warunków. Na co Repnin:

— Niechże więc ktokolwiek, zaopatrzony w dostateczne pełnomocnictwo, przybędzie tutaj dla wyręczenia go w czynnościach, które sam miał spełnić.

Stanisław August radzi przeto, aby Podoski zaopatrzył w pełnomocnictwo swego zięcia, Hussarzewskiego, człowieka bardzo rozsądnego i doskonale obeznanego z interesami.

Załatwiwszy tak sprawę księżnéj, mówi daléj o sobie i o rzeczy publicznéj. „Jakkolwiek nie ulega już wątpliwości, — są jego słowa — że trzy dwory zgodziły się na ostateczny podział Polski i że Warszawa przypadnie królowi pruskiemu, nie wiem jeszcze, kiedy i jak i dokąd ztąd wyjadę. Gdybym miał zostać tu jeszcze na przyszłą wiosnę, poczytałbym sobie za najsłodszą pociechę i szczęście widzieć cię tu, Księżno, i nie mogę ci dość podziękować, że byłaś łaskawą objawić mi ten zamiar. Miałem prawdziwą przyjemność zaznajomienia się tutaj z małym Mniszkiem (avec le petit Mniszek), gdyż dawniéj widywałem go tylko z daleka. Pozdrawiam go równie serdecznie, jak naszego dobrego księdza Benvenuti.“ Wymieniwszy ostatniego, przypomina sobie król czekoladę i ubolewa, że przesłane niedawno tabliczki nie przypadły mu do smaku. W przypisku dołącza ukłony i wyrazy przywiązania od pani Grabowskiéj, która za nim przybyła do Grodna.

W sześć dni późniéj składa Stanisław August nowy dowód troskliwości o krewnych, donosząc, że Prusacy, skoro się staną panami Warszawy, pozwolą wywieść

wszystkie jego ruchomości, nie wymagając od nich cła, czego jednak nie uczynią, jak się zdaje, dla innych osób. To też proponuje król, aby księżna i brat jéj, kazali przenieść swoje rzeczy do Łazienek, zkąd będzie je można wywieść daléj jako królewską własność.

List ten pisał na pięć dni przed podpisaniem aktu abdykacyi; po nim następuje dość długa przerwa, bo aż do 3 stycznia 1796. Pod dniem tym, w odpowiedzi na pismo księżnéj z 6 grudnia ubiegłego roku, które go jednak dopiero co doszło, załącza kopią ukazu, wydanego w jéj sprawie, przesłaną sobie przez bratanka, księcia Stanisława, a spisaną w języku rosyjskim, choć łacińskiemi literami. Zagadnięty o wykład ukazu Repnin, nie odebrawszy żadnego objaśnienia w téj mierze, nie umiał powiedzieć, ani kiedy, ani w jaki sposób owo rozporządzenie na korzyść księżnéj wejdzie w życie. Na domiar złego gubernator, mający zarząd nad ziemiami, gdzie majątki księżnéj położone, Tymofiej Iwanowicz Tutulmin, do którego ukaz adresowany, w drodze na Wołyń wypadłszy z karety, złamał obojczyk i ramię. Powróciwszy przeto do Mińska, rozpoczął kuracyą, która potrwa przynajmniéj kilka tygodni — a ztąd i interes księżnéj pójdzie w odwłokę.

„Odpowiedź — pisze daléj Poniatowski — mająca rozstrzygnąć ostatecznie o moim losie, nie nadeszła jeszcze. (Przypominamy jego płonne nadzieje, że mu wolno będzie resztę życia spędzić we Włoszech). Tak więc nie mogę Ci, moja Księżno kochana, donieść nic w tym względzie, czy i kiedy mogę się spodziewać przyjemności uściskania Cię. Moje siostry i synowica moja, Mniszchowa (któréj mąż pojechał do Dubna) zlecają mi, abym wyraził ich uczucia dla Twojéj osoby. Generałowéj Grabowskiéj niewymownie to pochlebiało, co napisałaś o niéj do mnie. Wszystkie one i ja więcéj od wszystkich, wzdychamy do chwili, w któréjbyśmy mogli zobaczyć Cię, kochana Księżno i powiedzieć Ci, że Cię kochamy z całego serca.“

Przesyłając daléj serdeczne pozdrowienie księdzu Benvenuti, dodaje: „Nie zwątpiłem jeszcze, że będzie mi daném odwieść go do Rzymu, jakkolwiek nie mam dotąd pewności.“

Nierównie większa przestrzeń oddziela ostatni list od następnego, noszącego datę 25 stycznia roku 1797,

lecz pisanego jeszcze z Grodna, zkąd wyjechał dopiero 17 lutego. Dostojny korespondent przyrzeka w nim, że skoro tylko przybędzie do Petersburga, to jest w pierwszych dniach marca, zajmie się natychmiast sprawą małego starostwa księżnéj, Wiśniowczyka. „Nie mogę tego uczynić prędzéj, gdyż książę Repnin nie bawi tutaj“ — mówi po francuzku — „a tu teraz nie masz z kim gadać o żadnéj takiéj rzeczy.“

Po ustępie, odnoszącym się do interesu, czytamy większéj doniosłości słowa: „Gdybym Ci chciał powiedzieć, Księżno — mówi — co się dzieje we mnie, musiałbym napisać całą księgę, zamiast listu. Pojmujesz zresztą dobrze, co mnie zajmuje całego w czasie przygotowywania się do téj roli tak nowéj dla mnie, tak różnéj od wszystkiego, co ją poprzedziło, a w któréj więcéj, niż kiedykolwiek, potrzeba mi tak ciągłéj baczności pour éviter egalement le trop et le trop peu (frazesu tego nie tłómaczymy, aby go nie zepsuć w przekładzie) i dla utrzymania w przyzwoity sposób pozoru egzystencyi, któréj rzeczywiście już nie masz, aby jednak mimo to stać się użytecznym wielu ludziom.“

Ustęp powyższy stwierdza wymownie prawdziwość naszego wytłómaczenia dziwnego postępowania Stanisława w nadnewskiéj stolicy. Koniec listu nacechowany pełną rezygnacyi melancholią. „Mój wiek — czytamy — moja słabość i ten straszliwy klimat, który mnie nabawiał choroby wówczas, gdym miał zaledwie lat dwadzieścia pięć, wszystko to powiększy jeszcze moje kłopoty. Ale im dziwaczniejszém i niezwyczajniejszém staje się moje przeznaczenie, tém bardziéj czuję się upoważnionym do nadziei, że Sprawca moich losów doda mi światła i sił, potrzebnych do wypełnienia tego przeznaczenia.“

Że po przybyciu do Petersburga pamiętał o przyrzeczeniu, widać z listu, pisanego 8/19 marca, a w pierwszéj części polskiego: „Moja Księżno kochana! Zaledwie teraz mogłem się dopytać, czyli można się spodziewać, aby się udała prośba o Wiśniowczyk. Ale widać, że ani tentować można. Przekładałem, że to rzecz mała dla dać mającego, a ważna dla WPani dla lasu i że rozumiałbym, iż gdy to ten pan Grzybowski posiada Wiśniowczyk, zdaje się, że to żądanie mogłoby

być dogodzone łatwiéj nad inne. Ale słyszę, że teraz Panujący nie chce jednak odjąć Zubowom, ani ich najmilszym żadnéj posesyi, im przez matkę jego nadanéj. Powiedziano mi jeszcze i to, że gdy ten Wiśniowczyk jest rzecz mała, najlepiéj uczynisz WPani, że go kupisz (już jak dziedzictwo) u Grzybowskiego, który pewnie nie będzie się drożył z tą posesyą, za bezcen przeda, byle za gotowe pieniądze, tak jak wielu innych, jemu podobnych, zbywali już swe posesye za gotowiznę, któréj prawie wszyscy są najpotrzebniejsi i najchciwsi.“

W chwili pisania niniejszego listu, otrzymał Poniatowski list księżnéj z 23 lutego, oraz dołączony do niego memoryał, domagający się więcéj, niż zwrotu samego Wiśniowczyka. „Popróbuję jeszcze w Moskwie (dokąd miał pojechać na koronacyą Pawła), czy jakimkolwiek sposobem nie uda mi się sprawy Twojéj, Księżno, przywieść do pożądanego końca, lecz mogę zaręczyć tylko za moję gorliwość, tém więcéj, że miałem sposobność przekonać się, iż osobista życzliwość, jaką mi okazują, nie powinna mnie skusić do pochlebiania sobie, abym coś wykołatał dla innych, chyba bardzo rzadko i z największą oględnością.“

„Trzeba przecież jeszcze powiedzieć, że ponieważ gubernatorowie, na których najwięcéj można się było uskarżać, zostali zmienieni, ci zaś, co nastąpili w ich miejsce, mają reputacyą ludzi dobrych i nieskazitelnych — godzi się przeto sądzić, że w takim wypadku jak Twój, najlepiéj jest wystosować memoryały do cesarza na ręce gubernatora, w którego obwodzie przebywasz i starać się, aby Cię poparł swém świadectwem. Mówią mi, że tak zaadresowane memoryały dojdą z pewnością na miejsce przeznaczenia i uzyskają odpowiedź, podczas gdy należy przypuszczać, że wystosowane wprost do Panującego, zostaną odesłane do gubernatorów, aby o nich sąd wydali. Wyjeżdżam za tydzień do Moskwy; cesarz wyraził życzenie ujrzenia mnie tam... Mniszchowie i książę Stanisław (Poniatowski) będą mi towarzyszyli. Spodziewam się wrócić tu ku końcowi maja.“

Jestto ostatni z kolei list Stanisława Augusta z naszego zbioru. Już te paręset wierszy, wyszłych z pod królewskiego pióra, tłómaczą zdaniem naszém dostatecznie, choć nie usprawiedliwiają bynajmniéj, dla

czego Poniatowski tak mało dbając o utrzymanie godności monarchy nieszczęśliwego narodu, uwijał się na wszystkich recepcyach, festynach i balach.

Zużytkowana przez nas korespondencya, ocalona przez księcia Henryka Lubomirskiego, wydaje nam się wcale cennym materyałem do odtworzenia moralnéj fizyonomii człowieka z ostatniéj epoki życia, jakkolwiek nader szczupła, a rozrzucone w niéj rysy bardzo skąpe i drobne. I nie dziw, bo księżna marszałkowa należała do dalszych krewnych króla, a stosunki między nimi nie były nigdy zbyt ścisłe. O ileżby natomiast ciekawszą i ważniejszą była korespondencya króla z najbliższą sercu generałową Grabowską, z siostrami: kasztelanową krakowską, Izabellą Branicką — z wojewodziną Ludwiką Zamoyską, z sędziwym bratem, księciem Kazimierzem, ex-podkomorzym, z Wincentym Tyszkiewiczem, referendarzem koronnym i jego żoną, z marszałkiem koronnym, Mniszchem, i tylu a tylu innymi...

Petycye bywały zbyt liczne, aby wszystkie mogły być spełnione; mimo to już za życia Katarzyny, jak nam zkądinąd wiadomo, zdjęto sekwestr z dóbr pani Zamoyskiéj, Mniszcha, Tyszkiewicza i innych.

Szczęśliwy wynik królewskiego pośrednictwa zachęcił wiele osób, nietylko powinowatych, lecz nawet częstokroć zupełnie obcych Stanisławowi Augustowi. Nie mógł się opędzić coraz liczniejszym petentom, coraz częstszym ustnym i piśmiennym prośbom. Pod świeżém wrażeniem owego natręctwa, pisze z Moskwy 16 maja 1797: „Co do mojéj osoby, zawsze najlepiéj obchodzą się ze mną; kładą mi jednak często w uszy, że nie życzą sobie, abym się wstawiał za drugimi. Ziomkowie moi słysząc o przyjaznem usposobieniu Imperatora względem mnie, zarzucają mnie żądaniami, których spełnić nie mogę, co mi bardzo przykro.“

Paweł okazywał w istocie ex-królowi podobne względy, jak Ludwik XIV pozbawionemu korony W. Brytanii rezydentowi w Saint-Germain Jakobowi II; z powodu jego przybycia do Petersburga zawiesza na trzy dni żałobę, otacza go „najczulszą przyjaźnią“, okazuje mu na każdym kroku „ujmującą delikatność...“ Przyznajemy, że wszystko to nie uniewinnia jeszcze ani postępowania Stanisława Augusta, ani jego słów, których na grzeczności i kom-

plementa nigdy nie żałował. Choćby najbardziéj grzecznością cesarza rozczulony, powinien był dobrze się zastanowić, nim wyrzekł, że — „dzień ten (w Pawłowsku) liczy do najprzyjemniejszych w życiu“, że „do zupełnego szczęścia brak mu tylko oglądać W. księcia Aleksandra...“

Że jednak Poniatowski nie zatracił i wówczas poczucia wstydu, świadczy przestroga, udzielona Kickiemu, „aby ani myślał o drukowaniu moich biuletynów lub o podawaniu ich do gazet“; że zaś starał się wedle sił służyć krajowi, okazuje wykołatane przezeń uwolnienie młodego Pocieja, uwięzionego za spisek patryotyczny, któremu powiedział książę Kurakin:

— Idź Waszmość podziękować królowi, że się wstawiał za tobą.

SPIS RZECZY.

		Str.
I.	Kłopoty dyrektora teatru (Wojciecha Bogusławskiego)	1
II.	Generał artyleryi koronnéj (Fryderyk hr. Brühl) . .	35
III.	Przygody szpiega. (r. 1735)	46
IV.	Samozwanka, proces kryminalny z XVII wieku . .	61
V.	Pan podskarbi (Jan Jerzy Flemming)	79
VI.	Za króla Sasa	96
VII.	Karol XII w Polsce i w Turcyi.	102
VIII.	Panicz i dziewczyna, niewydany dramat Szajnochy .	225
IX.	Poniatowscy (dzieci Stanisława Augusta)	245
X.	Biskup Krasiński w r. 1787	252
XI.	Początek Zakładu nar. im. Ossolińskich	265
XII.	Z archiwum Mniszchów	292

TREŚĆ: Pan Jacenty Toporek i jego odkrycie w żydowskiéj komorze. Szacunek dla zabytków przeszłości niegdyś a za naszych czasów. Matuszewicz i los archiwów pruskich. Archiwum Mniszchów nabyte przez Zakład Ossolińskich (1854) — w jakim stanie znajdowało się do r. 1877. Napomnienia uczonych i centurye Ksaw. Godebskiego. Maryna i epoka Samozwańców. Józef Mniszech, marszałek w. kor. i jego druga żona, Konstancya Tarłówna. Gorąca ich miłość. Karyera i charakter marszałka; jego stosunek do Augusta II i do Stanisława Leszczyńskiego. Jan Jordan o Teodorze Lubomirskim. Jan Klemens Branicki więźniem. Awanturniczy duc de Falary. Natarczywy szlachcic. M. Podoski. Krzysztof Towiański, podkomorzy kor. i jego wizyta u Ferdynanda Kettlera w Gdańsku. Józef Potocki udziela rad synowi, jak się ma zachowywać na dworze. August II i jego tryb życia. Hetman Sieniawski w obec dworu i narodu. Jabłonowski, wojewoda ruski, po wyjściu z Koenigsteinu. Wysługiwanie się dworowi i promowowanie kandydatury syna za życia ojca. Rozbójnik Garczyński. Dziwny animusz księcia Jakóba Czartoryskiego, Dominikanina, jego awantury i wybryki. Książę generał ziem podolskich w podróży po Niemczech r. 1768 i król duński. Tatar nawracający. Katarzyna z Zamoyskich Mniszchowa, podkomorzyna w. litewska, jéj skłonności, legacya pana podkomorzego do Turek. Kanclerz Jędrzéj Zamoyski i konfederacya barska. Podkanclerzy rosyjski Szafirow i sprawa powrotu Karola XII z Turcyi do Szwecyi przez Polskę. Pułkownik Lamar i niedoszły zamach na Leszczyńskiego. Sapieha, starosta bobrujski i Tarło, kuchmistrz kor.

XIII. Delegacya galicyjska w Wiedniu przed 93 laty . . 357
XIV. Z autografów Zakładu nar. im. Ossolińskich . . . 373

TREŚĆ: Zbiór autografów, jego znaczenie dla historyi i literatury. Korespondencya Ossolińskiego. List księcia biskupa warmińskiego (Ign. Krasickiego). Ks. Henryk Lubomirski, jego charakterystyka. Mezzofanti polskim poetą. Sławny kamerdyner. Richelieu i Litwin więźniem w Paryżu. Pani Staël w Łańcucie i jéj umartwienia. Romans Ludwika XVIII w Warszawie. Historya obciętego i zamazanego liściku. Obrona hr. Wacławowéj Rzewuskiéj. Jéj olbrzymie pamiętniki. Emir Bagdadu i poeta ukraiński.

Ks. Lubomirski mecenasem literatury. Balzac. Niemcewicz i starościanka Stadnicka. Michał Grabowski i literackie przedsięwzięcie w Petersburgu. Apostrofa do magnatów. Hr. Edw. Raczyński i wydawnictwo pamiętników. Źle zrozumiana gorliwość. Lucyan Siemieński. Boieldieu i pani Szymanowska. Sztuc i Hanka. Adam Rościszowski i Zakład Ossolińskich. Józef Dzierzkowski i sąd o jego uczoności.

Biskup Piatoli i Eliza von der Recke. List Stanisława Augusta do prezydenta Warszawy, Zakrzewskiego w r. 1794. Zbisurmaniony Barszczanin. Szaleństwa i orgie Augusta II. Porwanie panny Korzeniowskiéj. „Inkluz“ i czarodziéj. Znoszenie pułków pańskich. Zajścia króla z senatorami. Gruszewski, Piotr W. i Katarzyna I. Dowcip biskupa Sołtyka i pan Bronicki, lękający się Austryaków. Taniec kapucyński i menuet. Ks. Janusz Sanguszko i jego żona. Napoleon I do ks. Józefa Poniatowskiego. Koniec.

XV. Pieśni i ballady Goethego 412
XVI. Król bez tronu (Stanisław August w Grodnie i w Petersburgu) 425



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA WAP
47423/
/2